

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Zygmunt Kaczkowski

MURDELIO

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM I

*Kto tak mądry, że zgadnie
Co nań jutro przypadnie?
Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszcze więcej niżli trzeba.*

J. Kochanowski, *Pieśń IX*

Wstęp

Za życia mojego ojca, lubo nigdy nie znałem macierzyńskiej miłości, bardzo byłem szczęśliwy. Fortuna nasza była dostatnią, a chociaż owe dwie wioski, któreśmy mieli w Sandomierskiem dziedziczne, ojciec oddał był mojej siostrze, która wyszła była za pana Krzysztofa Michałowskiego, herbu Poraj, stolnikowicza sandomierskiego, to jednak tutaj została nam jeszcze Bóbrka i Zabrodzie, od jw. Ossolińskiego, wojewody wołyńskiego, w zastawie, przeszło dwakroć sto tysięcy w gotowiznie a sprzętach i taki dobytek w domu i w gospodarstwie, żeby go znaczniejszym i u jakiego drażkowego kasztelana nie znalazł. Mój ojciec był w obyczajach surowy i wielki impetyk, ale prawością swoją i dobroduszością tak sobie umiał zyskiwać szacunek i poważanie u wszystkich, że chociażby mnie było przyszło i daleko więcej znieść surowości, niżeli jej zniosłem w rzeczy, to zawsze byłoby mnie to ani na włos nie zachwiało w tej, którą dla niego miałem, miłości. Wychowując się prawie ciągle w domu i będąc ustawicznie pod jego okiem, daleko prędzej pozyskałem u niego wiarę niżli moi rówiennicy, okolicznej szlachty synowie, którym się częstokroć jeszcze wtedy obrywały bizuny, kiedy już wasy mogli zakręcać za ucho. Ja tylko raz w życiu poczułem na sobie gniewną rękę ojcowską – ale też za to, nie mając więcej nad lat dziewiętnaście, byłem już wyzwolony i wraz z ojcem stojąc w szeregu i bijąc się pod pana Puławskiego komendą, już przez to samo wszedłem w koło krajowego rycerstwa i obywatelstwa. Mój ojciec żył jeszcze potem lat kilka, ja mieszkałem przy nim i byłem więcej uważany jakby mu równy niżeli podległy, co było rzadkością na owe czasy; pomimo to jednak nie było mi wolno ani się wtrącać do gospodarstwa, ani w czymkolwiek samemu się rządzić. Wtedy to, przypatrując się temu gospodarstwu z daleka i widząc i to, i owo, niejedno cale mi się nie podobało – myślałem też sobie nieraz: nic tak by to było, gdyby był przy mnie regiment!¹

Otóż jakoś na rok przed końcem owych rozruchów konfederackich ojciec mój, już dobrze starością przygarbiony, zapadłszy bardziej na zdrowiu, pożegnał się z tym światem. Żal głęboki mnie porwał i długom się z niego nie mógł ocucić, a lubo mnie sąsiedzi moi przez ten czas prawie ani na krok nie odstępowały, jednak zdawało mi się, że sam już sam a sam zostałem na świecie, że jestem najnieszczęśliwszy sierota i że nie mam nawet żyć po co. Więc wymurowałem mu grób wielki w Bóbrce, na którym kazałem postawić głaz piękny z napisem, a nad nim anioła z białego kamienia ze złamanym kordem w jednej, a z przygaszoną pochodnią w drugiej ręce; chodziłem prawie przez całe lato i jesień na grób ten, rozpamiętywałem czynny i pełen cnót wzniosłych żywot nieboszczyka rodzica, rozpamiętywałem tych nieszczęść ogromy, które wtedy i mnie, i innych dotknęły, modliłem się tam za dusze zmarłych i poległych – ot! i przeszło to jakoś.

Bo już tak Bóg dał, że najczulsze dzieci mogą przenieść stratę rodziców.

¹ regiment– tu: zarząd, kierownictwo.

Nadeszła zima, a wśród niej i zapusty; nastąpiły wesołe tańce i biesiady. I nie tylko w ziemi sanockiej, ale w całej tej podkarpackiej kramie pierwsze lata tej nowej naszego żywota epoki były bardzo wesołe; bo raz, że to zwyczajnie lata po długich wojnach albo uporczywych rozruchach bywają zawsze wesołe, a po wtóre, że z wkroczeniem wojsk cesarskich w te kraje, które przez lat kilka najnieporządniejszej pod słońcem wojnie służyły za scenę, spokój prawie stały zawitał, od lat kilku już tak przez wszystkich pragniony. Więc kto był smutny, ten sobie mógł płakać w kąciku, ale reszta bawiła się gwarno i Wesoło. Do tych wesołości jednak ja nie bardzo się zabierałem, bo anim jeszcze miał serce do tego, anim był tak bardzo ośmielony do wielkich kompanij. Z wiosną dopiero, rozpatrzywszy się dobrze w tym, co mi po ojcu zostało, i poczuwszy się, że jestem tego wszystkiego pan samowładny, tupnąłem nogą o ziemię, poprawiłem czuprynę i powiedziałem sobie: otóż mam i regiment!

Pierwsza myśl, która mi wtedy wpadła do głowy, była ta, że nie mam właściwie dziedzictwa i że lada kto może mnie nazwać włóczykijem, arendarzem, spekulantem albo czym zechce. Siadłem więc zaraz do stolika pisać list do jw. wojewody z prośbą, czyby nie przyjął ode mnie dopłaty do sumy zastawnej, za której prowizję trzymałem Bóbrkę i Zabrodzie, a to tak, aby te wsie obiedwie przeszły pod moje dziedzictwo. – Ale tylko co kazałem zawołać pachółka, aby go wysłać z tym listem, przynosi mnie kozak jw. wojewody list od niego do mnie. Czytam – lzy mnie w oczach stanęły. Wojewoda pisze, abym przyjeżdżał do Leska odebrać sobie tę sumkę, za której procent trzymałem Zabrodzie, albowiem wioska ta już sprzedana jakiemuś panu Grossowi, szlachcicowi z Wielkopolski, który tymi czasy, wpadłszy w niełaskę u króla jegomości pruskiego i uciekając przed jego wojskami, z rekomendacją jw. Mielżyńskiego z Brudzewa, tamtejszego znakomitego pana, do wojewody przybył, ażeby się tu gdzie tymczasem pomieścić; a że nie chciał ani służby, ani dzierżawy, więc mu wojewoda sprzedał Zabrodzie za czterdzieści tysięcy. Żal mnie wielki stąd dotknął, a to i za posesją tak pięknej wioski nad samym Sanem położonej i tak urodzajnej, że mój ojciec na niej kilkanaście tysięcy zarobił – i za inwentarzem, który tam miałem, a którego odtąd nie miałem gdzie podziąć – a na koniec i za samym sąsiedztwem: bo jużciż wolałem sąsiadować ze sobą samym niż z obywatelem tak szlachetnego nazwiska, o którym, choćby go tam i sto razy pan Mielżyński rekomendował, ja jednak, znając całe *Gniazdo cnoty* i *Herby rycerstwa* na pamięć, jak mnie Bóg miły! nic a nic sobie przypomnieć nie mogłem. Lubo najniesłuszniej tak myślałem o panu Grossie, bo sąsiadując z nim potem lat jakie dwanaście, przekonałem się jawnie, że to był szlachcic dobry, niegdy z Warmii przybyły, za Sasa pierwszego nobilitowany i człowiek najuczciwszy pod słońcem.

Jednak na moją zgryzotę nie było rady. Pojechałem do Leska i moją sumkę odebrałem od wojewody, ale wraz go prosiłem o sprzedaż mi Bóbrki.

– Obaczemy i obaczemy – odpowiadał wciąż wojewoda, ale słowa dać nie chciał.

Poradzono mi, abym się o to z panem Jakubem Tarnowieckim, stolnikiem owruckim a jw. wojewody generalnym komisarzem, rozmówił, bo czego czasem nie zrobisz z głową, to zrobisz z ogonem. Ja się też znałem na rzeczach i delikatnie obiecałem trzysta dukatów w złocie niby to poręczawicznemu panu komisarzowi, jeżeliby mi do tego kupna dopomógł – ale i to się na nic nie zdało. Plunąłem więc na wszystko i lubo mi żal było zrywać z Ossolińskimi, z którymi moi przodkowie parę wieków w nieprzerwanych przeżyli stosunkach, jednak rzekłem: – Jak sobie chcecie! ja Ossolińskich na obronę mojej osoby nie potrzebuję, a z gotówką jeszcze się nikt poniewierać nie dał i nie da! – i z tym pojechałem do domu. Jeszcze mi wprawdzie Bóbrki nie odbierano z zastawu, jednak tak mnie już zapaliła owa chęćka dziedzictwa, że postanowiłem w razie konieczności nawet ziemię sanocką opuścić, a koniecznie na własnym gdzie osiąść zagonie. Ale niedługo turbowałem się z tymi myślami, bo przyjaciele, których wtedy miałem bez liku, zaraz mnie na to poradzili.

Owóz jednego dnia w Lesku, zasiadłszy w winiarni za stołem, pan Urbański z Komborni, brat podstolego sanockiego, który był szlachcic zasobny i miał piękną fortunę, ale w

Jabłonkach pod samym Bieszczadem mieszkał dla polowania na niedźwiedzie i dziki i jeszcze po staremu na oszczep je brał – odezwie się do mnie w te słowa:

– Wiesz waszmość co, kiedy ci tak pilno dziedzictwa, to kup sobie Rabe z Huczwicami i Czarnem. Jest to własność pupilów², a ja mam nad nimi opiekę i administrację majątku: kością w gardle mi to już stoi, bo na co mnie jeszcze cudzych kłopotów? – Substytuował³ mi wprawdzie pan podczaszy, nieboszczyk, pana Załęskiego w tej kuratorii, ale ten nie tylko że mi nic zgoła nie pomaga w tym zatrudnieniu, ale jeszcze kiedyś niechcący powiedział, że darowałbym dzierżawę Kolonie temu, który by mnie w tej administracji zastąpił, on, to biorąc do siebie, wyzwał mnie i musiałem się z nim wyrąbać, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie jego myślałem. Kup Rabe, panie skarbnikowiczu, będziemy sąsiadować ze sobą, a co się niedźwiedzi nabijemy i dzików za jedną zimę, to tego wszyscy Mazurowie, jak są, za dziesięć lat nie nabijają. Kup Rabe, a wiesz, że w tamtejszych górach jest rdzeń żelaza, kto wie, co z tego być może.

– Może tam gdzie i złoto jest – odpowiedziałem – to by jeszcze lepiej. Ale mniejsza; tylko że to w takich górach, że tam świat jest deskami zabity, a gościa chyba aż na łyku pociągnąć.

– O to to! miej tylko dobre wino, a kniei każ dobrze pilnować, to obaczysz, że się i nie opędzisz od szlachty. Ale i na sąsiedztwach tam wcale nie braknie: bo, ot, panowie Karsznicy teraz w Balogrodzie, pan Osuchowski we Mchawie, mój brat w Żahoczewiu, pan Bal w Nowosiołkach, a ja, a pan Nurkowski w Łubnem, a niech no jarmark w Balogrodzie, to i nie dorachujesz się gości, wszystko na noc pociągnie do ciebie.

Podobało mnie się to, że tam z dobrą szlachtą sąsiedztwa, i zaraz pojechałem oglądnąć. Dziura to wielka i tylko z jednej strony jest przystęp, dalej już ani pies by nie przeszedł; mała tylko dróżynka idzie przez górę Baładę, i to tylko do Kołonic – ale że ziemi, chociaż chudej, jest jednak dosyć, pastwiska wielkie po lasach, a lasu półtora tysiąca morgów, wiecem się ułakomił. Za sto sześćdziesiąt tysięcy stanęła pomiędzy nami ugoda, ale wziąć zaraz nie mogłem, bo to już akta grodzkie z Sanoka wtedy były przeniesione do Tarnowa i forum szlacheckie⁴ tam ustanowione; więc aż tam trzeba było jechać, nie tylko dla wniesienia dziedzictwa do aktów i do odebrania pozwolenia na to od forum, jako pupilarnej instancji, ale i dla napisania samej transakcji, bo tu, w Sanoku, już by ani jednego palestranta był natenczas nie znalazł, tak to wszystko pociągnęło za sądem, jak muchy za miodem. Wsiadliśmy tedy z panem Urbańskim obadwa na wóz czterokonny, w Lesku na targu tam będącego zabraliśmy z sobą pana Załęskiego, podstolego drohickiego, jako drugiego opiekuna, i pojechaliśmy do Tarnowa.

Jechaliśmy bardzo wesoło, gawędząc to o tym, to o owym przez drogę. Ja prawie tak jakby nigdy jeszcze nie byłem na Mazurach, a dziwne mnie rzeczy opowiadano o tym narodzie, więc rzeknę do pana Urbańskiego: – Cieszę się bardzo tą podróżą, bo przy tej okazji przecie obaczę kawałek kraju i poznam znów trochę ludzi. – A pan Załęski na to: – Będzie tam co widzieć, będzie dla ciebie, bo tam szlachta twarda i bitna, chociaż przecie nasza twarda i do korda, i do kufla, i podobno lepszej już nie ma na świecie, chyba to aż Łęczycanie, co to także wytrzymali przy kuflu, a tak skorzy do bójki, że aż w przysłowie poszli.

I chciał dalej coś mówić, ale mu pan Urbański przerwie i rzecze:

– Ho ho! panie bracie! cale to inny naród te Mazury; napatrzysz się ich dosyć i w Pilźnie, i w Tarnowie, bo oni tam siedzą i piwo smolą przemyskie albo aż nawet wareckie. Cale to inny naród jak nasi. Mazur się ślepo rodzi i aż dopiero trzeciego tygodnia trochę słońca dojrzewa.

² pupile – sieroty nieletnie, pozostające pod opieką sądu.

³ substytuować (łac.) – przelać pełnomocnictwo na inną osobę.

⁴ forum szlacheckie – w zaborze austriackim sąd dla szlachty.

Mazur każdy mały i nabity jak pień, jada jaglaną kaszę ze śliwkami i jajecznicę z kielbasą, wąsiska ma duże jak sum, a w piwie tak wymoczone, że o pół mili cuchnie jak browar. Każdy leniwy do roboty i ciężki jak wół, że kiedy by cię na nogę nadeptał, to zaraz odpadnie. Leżą też sobie na piochach i wygrzewają się do słońca, bo słońce to u nich słoń się nazywa. Na Mazura kiedy by bieda przyszła i zaczęła go jeść od palców, toby go mogła zjeść aż do karku, on by się ani ruszył; głowy mu żadna bieda nie uje, bo twarda. W boju żadnej odwagi nie mają, aż kiedy byś którego uderzył, dopiero ci jak gad skoczy, a wtedy choćbyś go pociął w kawałki, to jeszcze każdym kawałkiem ruszać się będzie aż do zachodu słońca. Biją się zawzięcie, ale tylko ze złości. Nabożni są, którzy się w katolickiej wierze chowają, ale siła jest heretyków pomiędzy nimi, a nawet są lutry i kalwiny. Mowa ich inna jak nasza, a nawet niełatwo ich wyrozumieć: bo oni, kiedy z góry jadą, to mówią: pod górę, a kiedy droga jest pochyla, to u nich: z posłużą. Kiedy który rękę za pas włożył, to mówi, że wraził, koń to u nich psina, a drób domowy to gad. Polowania u nich nie ma, a lis, co się tam lizka nazywa, to już drapieżny zwierzę; ale za to tchórzów u nich bez końca, a z kunami sypiają, i to także gad u nich. Szablę noszą przy boku, ale nią nie umieją narabiać, lepsza u nich bitwa na suche razy i dlatego z nich każdy wozi z sobą kij gruby, nakrzesany krzemym, co po naszymu pałka, a u nich kitajka.

– A przecie kitajka to tafta po staremu.

– No, a u nich to pałka – odpowiedział Urbański. No, no – myślałem sobie – to to kraj niedaleki, a naród już inny! i dużo mnie w głowie siedziała ta bitwa na suche razy, bo to rzecz nieszlachecka i człowiek by się jakoś wzdragał przed taką zabawą; ale przecie sobie potajemnie pomyślał, że musi sobie pan Urbański dworować ze mnie. I aby oddać dobre za nadobne, począłem im opowiadać duby smalone o Wołyniu, Podolu i Litwie, gdzie ja znów byłem, a oni nie byli.

Otóż przyjechaliśmy do Tarnowa i zaraześmy ową sprawę naszą przy boskiej i palestrantów pomocy, którzy za pieniądze są bardzo usłużni, załatwili; poznaliśmy też zaraz i kilku Mazurów, którzy także tam stali w gospodzie. Dopiero przekonałem się dowodnie, że owa mowa to żart był ze strony pana Urbańskiego: kubek w kubek taka sama to szlachta, jak nasi, tylko w mowie trochę różnicy, a kiedym się z nimi lepiej zapoznał, tośmy się tak pokochali, żeśmy się aż popłakali nad sobą i nieszczęściami naszymi. Owóż było ich pięciu: jeden Bielański, cześnikowicz sądecki, bardzo grzeczny kawaler, drugi Bzowski, którego wołano sędzią, trzeci Konopka, młody, i dwóch jeszcze braci rodzonych, których nazwiska nie pamiętam. Mnie Konopka najwięcej przypadł do smaku, bo był gładkich obyczajów i po świecie już bywał, a równy mi był w latach. Był on w szkołach w Krakowie, ale uciekłszy z Akademii, przystąpił do konfederatów i uwijał się z nimi blisko dwa lata. Jeździł jeszcze potem za jeneralnością aż do królestwa Bawarii – to już nie wiedzieć po co; bo chociaż tam trochę się otarł pomiędzy różne ludzkie i narody, jednak tym tak swego ojca rozgniewał na siebie, że kiedy powrócił do Krakowa i wszedł do rodzicielskiego domu, to dostał w gębę od ojca i został wypchnięty za drzwi. – Kiedy cię skóra świerzbi – krzyczał ojciec do niego – to się bij i za samego diabła, nie tylko za konfederatów, ale mi poczciwego nazwiska nie poniewieraj pomiędzy Niemce i cudze narody! – I wypchnął go; ale się przecie dał udobruchać i przyjął go znowu do siebie, tylko, umierając, znacznie mu fortuny nadszarpnął, bo trzecią część na kościoły, zapisał. Tak mnie to sam syn opowiadał przy wszystkich, nawet przy palestrantach, a wszystko tak krotocwilnie, żeśmy się aż za boki brali od śmiechu. I bardzo nam tam czas szedł zabawnie pomiędzy tymi Mazurami, ale żeśmy to już dni parę siedzieli w Tarnowie, a to był bliski czas sianokosów, więc ja się odezwę:

– Miło nam tu jest między wami, panowie bracia, ale trzeba już dalej myśleć i o powrocie, bo to czas na sznurku nie stoi, a świętojanka niedaleko; nuż lunie niespodziewanie i siedźce tu parę tygodni. – Na to pan Załęski:

- Czekaj no jeszcze, niebożę, musisz przecie jakoś opłukać to nowe dziedzictwo, bo choć sprawa ta w nowomodnym forum załatwiona, ale my jeszcze po staremu.

Palestranciki, którzy także lubią *hungaricum*, chociaż ich głowa tak wiele nie zniesie, bo mają piersi wąskie i mało powietrza w płucach od siedzenia za stołem, a którzy także temu byli przytomni, nuż do mnie:

– A! należałoby się, panie skarbniku dobrodzieju! a to dawny obyczaj! śp. ojciec pana skarbnika dobrodzieja suto każdą sprawę oblewał w Sanoku! – i tak dalej; i zrobili mnie franci skarbnikiem, zem już nim odtąd został na całe życie, chociaż mi się ten tytuł nie należał. Już to ja z ojca jeszcze od serca nie lubiłem palestry, bo to naród nieszlachecki i na szachrajstwie tylko chowany: w chłopskiej chatce albo pod warsztatem gdzieś się to rodzi; od czyszczenia bucików poczyna, szlachcie bakę świeci i tumani przez całe życie, a na koniec i herb się skądś tam bierze, i szabelka przy boku, i dziedzictwo niemałe: a już fuma potem i pogarda dla drugich, że w ką i szlachcic od Bolesławów, i senator mu za nic! – Więc nie miałem ochoty siadać z nimi za stołem i bratać się z tym, co tak dobrze jak szewc, jak krawiec albo inny lud rzemieślniczy za robotę grosz bierze na rękę, ale siadał pan Urbański, siadał pan Załęski, siadali inni, więc i ja siadłem. Jednakże popoiwszy wkrótce tych piórowych rycerzów, powynosiliśmy ich wraz z ławami, na których leżeli, na drugą stronę, abyśmy sami sami zostali.

Dopieroż ja przysiadłem się do Konopki, bo mnie ta przyjaźń jego, ile że to w szkołach tylko rok byłem we Lwowie i owego koleżeństwa tyle sławnego prawie całe nie zaznałem, a w konfederacji, chociaż kilkoma nawrotami służyłem, jednak zawsze tak na gorąco trafiałem, że i nie było czasu pomyśleć o osobistej przyjaźni – więc owa przyjaźń jego bardzo mnie zajmowała. A tym bardziej przy winie, gdzie to i język się rozkowuje, i serce się zaraz rozlewa, to prędko to idzie; owóz w parę godzin jużeśmy tak byli z Konopką, jakbyśmy się znali z kolebki, co się jeszcze przez to ugruntowało, że kiedyśmy się obrachowali, pokazało się, że nasi ojcowie jednego dnia i jednego roku pomarli. Więc rzecze do mnie Konopką:

- Jeszcze by tego potrzeba, żebyśmy się jednego dnia pożenili.

– Dobrze mówisz, panie bracie – odpowiem – ot, dla kompanii uczynimy to.

– Ba! to by pięknie, ale kiedy jednemu się zechce ożenić, to drugi pierwszej lepszej baby nie weźmie li dla dotrzymania terminu. Ale wiesz co, Nieczuja, uczynimy tak: który się pierwaj żenić będzie, temu drugi będzie družbował, a przyjechać musi, choćby na drugim końcu świata był.

- Dobrze! – odpowiem.

– Parol?

– Parol.

– A ja jestem za świadka – dorzucił pan Urbański – biadaż temu, który by się nie stawił; mnie by się musiał za to sprawić.

– O! nie będzie z tego nic – odpowiedział Konopką – każdy się postawi, za to ręczę. – A tymczasem pan Urbański począł opowiadać ożenienie się swoje, co bardzo było ciekawym. Otóż przy takich opowiadaniach i krążeniu kielichów zeszedł nam czas pięknie aż do samego rana; a kiedyśmy już mieli kazać zaprzęgać i żegnać się, a Konopką koniecznie stawił się na tym, abyśmy do niego jechali na obiad, wszedł Żyd, faktor pana Załęskiego, i dał nam znać, że Węgrzy wino przypławili Dunajcem i że można by tanio kupić; więc pan Urbański mi mówi:

– Jedźmy tam, panie bracie, może co wybierzemy, a mamy wózek próżny pana Załęskiego, toby było gdzie wziąć.

Więc pojechaliśmy – a to półtory mili, bo aż pod Wojnicz. Tameśmy znowu inną szlachtę poznali, która przyciągnęła do wina. Więc byli tam Rogalińscy i Stojowscy, Jordanowie, Lubienieccy i Dąbscy, Niemyscy i Brodzczy, i innych wiele, to tam się formalny jarmark zrobił, a beczek było paręset. Myśmy kupili sobie trzy i wracaliśmy nazad, ale na pół drogi na

gościńcu zastąpił nam całe niespodziewanie Konopką, który naówczas jeszcze o swój majątek leżący w Krakowskim musiał się procesować i tymczasem Koszyce trzymał dzierżawą i prawie mocą nas zabrał do siebie. Koszyce były to dobra niegdyś do oo. Jezuitów należące, później po tychże zniesieniu przez rząd administrowane i wypuszczane, teraz zaś przez cesarza jmć panu Łętowskiemu, posłowi sejmowemu, za jakieś zasługi darowane, i od niego to wziął je dzierżawą Konopka. Tam tedy ; piliśmy już na zabój; ażeby jeszcze gospodarzowi naszemu przystojną jego gościnę odwetować, wzięliśmy go jeszcze ze sobą do Tarnowa i sprosiwszy cokolwiek szlachty, pod przywództwem panów Urbańskiego i Załęskiego, poczawszy po sanocku, dwie naszych beczek wina wypiliśmy za jedną noc.

– Tęgo ci my pijema – mówili Mazurowie – ale Sanoczanie, pal ich kat! – Bośmy też mieli czym się pochwalić: pan Urbański, wzrostem nieduży, ale tuszą potężny, mógł tyle pić, ile chciał, a kiedy mu się w głowie zaczęło cokolwiek kręcić, to tylko choćby nawet przez okienko zachlipnął trochę świeżego powietrza, już się i wytrzeźwił, i mógł pić *de noviter*⁵, jak gdyby na czczo; pan Załęski zaś mówił:

– Sztuką kozły tłułą, mosanie, a Mazury kubkiem! – i palił kubek półgarncowy jednym oddechem. Więc Mazury tylko oczy wytrzeszczali na nas, bo i mnie było niczego, a wciąż mówili:

– Oto owsiani doją jak smoki, a jaka u nich fantazja, jakby się na ryżu wypasali, a nie na górskiej owsinie.

– Ho, ho! – krzyknie pan Urbański – w górach owies skacze, a na dołach pszenica leży albo ją pławią do Warszawy, aby za nią piwa nazwozić. – I tak przycinając jedni drugim dla krotochwili, wyciągnęliśmy obie beczki; ale przy końcu już się jakoś z Mazurami niewiele można było dogadać; więc kiedy my się jeszcze trochę trzymamy na nogach, rzeknie pan Załęski:

– Jedźmy, panie bracie, bo i tej beczki nie dowieziemy. – A ja na to:

– Trudno to i tak będzie, do domu jeszcze daleko. Idźmy lepiej spać.

Więc poszliśmy – a dopiero na drugi dzień koło południa Mazurowie nas z kapelą wyprowadzili aż do mostu, z ćwierć mili za miastem leżącego nad potokiem, który oni po swojemu nazywają wontokiem. Nie pojechaliśmy atoli daleko, bośmy bardzo byli ponuzeni, i nocowaliśmy w Pilźnie, niegdyś stolicy tegoż powiatu; z Pilzna dopiero wyjechawszy o świcie, ruszyliśmy wielkim krokiem, co mil parę popasując i zawsze z owej beczki nam jeszcze pozostałej po trochę pociągając. I dobrze już było z południa, kiedyśmy stanęli popasem w Krośnie; jeszcze ja mówię do pana Urbańskiego:

– Pono ja tu waszmościów porzucę i skręcę do Dukli. – A on na to:

– Po cóż to, panie bracie?

– Bo, słyszę, beczka już podzwaniać zaczyna, a mnie podobno i na gruncie jeszcze trzeba będzie oblewać to dziedzictwo.

– Ej, gdzie, gdzie! – odpowie pan Załęski – nie upiliśmy jak cztery garnce, jest jeszcze dosyć. A zresztą, niepróżna tam bóbreczka piwnica.

– Ba, niepróżna! ale to ojcowiska puścizna i nie masz tam wina, którego by nie szkoda było dla wielkich kompanij.

– No, to u Łatesa w Lesku dostaniesz, jakiego zechcesz. I tak wjechaliśmy do gospody, gdzie, popasując koniom i pachółkom, samiśmy także się pokarmili i cedząc z owej beczki, po trochę popijaliśmy. Ale kiedy ja chciałem tylko tyle utoczyć, ile by w miarę było do obiadu, oni zaraz obsiedli beczkę i zabrali się do niej na piękne, żartując sobie jeszcze:

– Ho, ho! pełniuteńka.

Nie chodziło mi o to wino, bo to była fraszka na owe czasy, ale że nie jestem zwolennikiem rozmyślnego pijaństwa, odpowiedziałem:

⁵ *de noviter* (łac.) – na nowo.

– Ale gdzież tam, już niepełna!

– Jeśli niepełna, to tym ci lepiej – poderwał pan podstoli – prędzej zajedziemy do domu.

– Jak waszmość chcecie – odpowiedziałem chmurnie i wyszedłem, abym już tego nie miał na moim sumieniu, co się tam będzie działo. Poszedłem na miasto, bo Krosno jest to piękne miasteczko: stare, bo ma jeszcze od Ludwika Węgierskiego przywileje; katolickie i wierne, bo ma kilka kościołów, a Żyda w nim ani na oko; miłe, bo ma wiele starożytnych pamiątek. Pomędzy innymi są tam pod kościołem oo. Franciszkanów trumny obojga Oświecimów, brata i siostry, którzy, zapłonawszy do siebie nieczystym ogniem, chcieli się byli pobrać i na to już dispensę od Ojca Świętego dostali, ale Bóg jednak tej zgrozy nie dopuścił i przed ślubem jeszcze zabrał oboje z tego świata. Powiadano mi, że ich ciała leżą tak całkowicie do dziś dnia, jakby dopiero wczoraj były chowane, więc mnie ciekawość wzięła ten cud boski obaczyć. Przyszedłszy do furty klasztornej i znalazłszy ją nie zamkniętą, wszedłem w dziedziniec. Zaraz też wyszedł mnich jeden z klasztoru, więc ja do niego.

– *Laudetur Jesus Christus*⁶.

– *In saecula saeculorum*⁷. Czym możemy służyć waszmości?

– Chciałbym, gdyby to można, nawiedzić groby Oświecimów.

– A to na co? – zapytał mnich surowo – ciekawość was tu przywiodła patrzeć się na ofiary bożego gniewu, jak na światową komedię?

– Nie ciekawość, mój ojcie – odpowiedziałem – ale uciekłszy od pijatyki, którą oto tam w gospodzie poczynają moi towarzysze podróżni, sądziłem, że nie na złe obrócę tę godzinę, odwiedzwszy i pomodliwszy się za dusze moich grzesznych współbraci.

– Od pijaków waszmość uciekłeś? – rzeknie ksiądz – czy jeszcze piją? Dopijają tych resztek, które im po ojcach zostały? Kiedyż się dobiorą do owego krwawego osadu, który po winie ostał się na ziemi? Chodź, waszmość, ja cię zaprowadzę do grobów.

Przypatrzyłem się temu księdzu, bo mnie jakoś dziwnie swoją mową uderzył. Był to mąż wzrostem wysoki, barki miał silne, twarz cokolwiek pooraną zmarszczkami, ale nie były to ślady lat mnogich, bo nie mógł ich mieć więcej jak czterdzieści i kilka, w czarnych zaś oczach jego jakieś dziwne płomienie gorzały. Głos miał mocny i przenikający, ale często się w nim jakaś żałość przebijała; jego cała postać była tak pełną powagi i chłodu, że niby odtrącała od siebie, a przecie przyciągała. Takiego mnicha nie widziałem nigdy na życiu... Powierzchność nawet jego nie zdawała się odpowiadać klasztornej powołaniu – ale że to były czasy, w których klasztory swoimi habitami nierzadko okrywały światowe i cale nieklasztornych powołań osoby, więc mnie nie tyle spotkanie to zadziwiło, ile zajęła ciekawość, samymże rozbudzona wrażeniem. O czym się zamyśliwszy, ani uważałem, żeśmy już zeszli byli do grobów i stali pomiędzy trumnami.

– Oto są! – rzekł tedy ksiądz, pokazując mi dwie trumny – za kazirodztwo poczęte w myśli Bóg ich nie tylko zabrał z tego świata, ale nie dał nawet zgnić ich ciałom, ażeby były przykładem światu, że sakramenta święte pochodzą od Boga. Za kazirodztwo poczęte w myśli...

Przypatrzyłem się bliżej i w rzeczy tak było. Straszne to trupy tych Oświecimów. Włosy im z głów powyłaziły, powypadały zęby, powygniwały oczy, szaty wszystkie na proch się rozsypały i starły, a ciała tylko mocno pożółkły i nietknięte zostały.

– Widoczny to w tym cud Boży, mój ojcie – rzekłem po chwili – kamień by już mchem był porósł za tyle lat.

– Cud jest – odpowiedział ksiądz – przez który Pan Bóg objawił gniew swój na grzesznych. Pierwszego sprawcę nowego grzechu zawsze Pan Bóg na tej ziemi karał tą karą. Siciński, który pierwsze rozpustne *veto* zapraktykował na sejmie, ziemię sobą rozorał i

⁶ *Laudetur...*(łac.) – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

⁷ *In saecula...* (łac.) – Na wieki wieków.

wyszedł z grobowca: jego trup się wala do dziś dnia po upickiej kostnicy i jest pośmiewiskiem żaków, a postrachem podróżnych; żaden człowiek go się ręką nie dotknie, dziki zwierz umiera z głodu przy jego ścierwie, najzjadliwszy robak go się nie imie!... Tarło, wojewoda lubelski, który pierwszy się na śmierć pojedynkował o rzecz prywatną, nie zgnił do dziś dnia, a jego trup zeschnięty jak deska i brunatny jak spiż nagi leży dziś w Luszowicach. Owóz Oświecimów widzisz dziś takich za pierwszą myśl kazirodczą między wiernymi. I widziałem ja więcej takich świadków Bożego gniewu, a odtąd, kto wie, azali gnić będą ciała całych pokoleń.

Staliśmy jeszcze tak jaką chwilę nad tymi trumnami, obadwa zamyśleni nad wszechmocą Boską, objawiającą się w każdym zakątku tej ziemi, a nawet i w grobach jeszcze: po czym chłód mnie objął po całym ciele, wstrząsłem się i wyszedłem z tego straszego grobowca; mnich się został zamyślony nad trumną. Przechodząc popod kościół i widząc drzwi otwarte, wszedłem tam i ukłękawszy pod filarami, odmówiłem modlitwę za dusze zmarłych. Wychodząc, spotkałem mojego księdza pod drzwiami, więc pokłoniwszy się, rzekłem do niego:

– Dziękuję wam, mój ojciec, za tę bratnią przysługę – a wiedząc, że franciszkanie są *ex ordine mendicantium*⁸, dodałem: – a jeżeli kiedy na was kolej przypadnie wyjechania po świecie, nie zapomnijcie mnie nawiedzić w Rabach, abym się też mógł jakim darem przysłużyć waszemu konwentowi.

– Któż wasze? – zapytał ksiądz.

– Jestem Marcin Nieczuja...

– Śląski?... – przerwał ksiądz.

– Tak jest.

– To znam. Ojciec, skarbnik zakroczymski, ożenił się z Mężykówną, herbu Wadwicz, Litwinką; czyś z niej urodzony?

– Nie, jam z Zakliczanki, wdowy po Godlewskim, z którą mój ojciec po śmierci pierwszej żony...

– A tak, tak, słyszałem. Czy żyje stary?

– Nie, trzeci rok już mija...

– Jak umarł, aha! szkoda! dobry żołnierz był, służył w wojsku francuskim za Augusta II, służył potem w wojsku rosyjskim i chodził na Turka – po wojnach mieszkał w Sandomierskiem, Ossolińskich partyzant⁹, nieprzyjaciel Familii¹⁰. Pamiętam, pamiętam.

Zadziwiło mnie to niepomąłu, skąd mnich krośnieński mógł tak znać ród mój od wieków gnieźdzący się za Wisłą, więc spytałem nieśmiało:

– Waszmość podobno nie od samej młodości siedzisz w tym klasztorze?

– Może!... tak, byłem kiedyś na świecie.

– Boby to trochę przykro było siedzieć w wilgotnej celi i nie znać świata prócz tego, który widać zza kraty, i wspomnień nie mieć innych oprócz jakiego dobrego przyjęcia w domu szlacheckim w czasie kwesty albo, co się dziś prawie częściej wydarza, jakiejś niegrzecznej rekuzy.

– Znam ja podobno więcej świata, mój panie, jak go widać przez kratę; ma się też niejedno wspomnienie z własnego życia. Pamięta się i dobre przyjęcia, ale się też pamięta i rekuzy!... Ale to wszystko zmieniło się dzisiaj u mnie w *memento mori*¹¹ i nakazuje *silentium*¹².

To mówił w wielkim zamyśleniu, po którym ocknąwszy się:

⁸ *ex ordine mendicantium* (łac.) – z zakonu żebrzących.

⁹ partyzant – tu: stronnik, poplecznik

¹⁰ Familia – nazwa stronnictwa, jakie w XVIII w. tworzyła rodzina Czartoryskich i spokrewnione z nią rody magnackie.

¹¹ *memento mori* (łac.) – pamiętaj o śmierci.

¹² *silentium* (łac.) – milczenie.

– Bądź waszmość zdrów! – rzecze – przypomniałeś mi wiele okazji, w których przychodziło mi się zdybywać z twoim ojcem... no! może i my się jeszcze kiedy zdybiemy w życiu. – I chciał iść, ale ja jeszcze:

– Jakże mam honor poznać waszmości?

– Imię moje Murdelio.

To mówiąc zniknął.

Widząc, że nie masz już mnicha przede mną, szedłem na powrót ku gospodzie. Bardzo jednak byłem zamyślony i niby czymś zafrasowany, z czegom sobie sam nie umiał zdać sprawy; całe te odwiedziny w podziemiach, owe trumny ze żywymi trupami wewnątrz, ów ksiądz, który pod mnisim habitem jakąś miał duszę wcale nie mniszą, owa powaga jego, owa pańskość, którą mi się zdawało było widzieć w jego mowie i ruchach, owe jego słowa: czy się szlachta jeszcze nie dopiła krwawego osadu, który się po winie miał ostać na ziemi? – owa jego znajomość z moim ojcem na koniec, jakieś okazje z nim razem przeżyte... wszystko to zdawało mi się jakby sen jaki, jak gdyby wizja, którą ludzie miewają w chorobach – czego też nie mogąc wyrozumieć dokładnie ani w jakikolwiek sens złożyć i różnie o tym myśląc, przeżegnałem się krzyżem świętym i wchodząc w bramę gospody, już zaczynałem *Ave Maria*¹³, kiedy nagle coś zaturkotało poza mną. Umknąłem się z drogi i pochwycając za klamkę, otworzyłem drzwi od izby, w której pan Urbański z Załęskim siedzieli przy ostatniej beczce naszego wina. To obaczywszy, jeszcze smutniej mi się zrobiło, ale wtem mnie ktoś z tyłu uderzył po lewym ramieniu. Oglądnąłem się, był to pan Deręgowski, mój niejako powinowaty przez Zaklików, chłop olbrzymiego wzrostu, a wielki junak i biba swojego czasu.

– Jak się masz, Marcinku? – zawoła on do mnie, zanim miałem czas myśli moje zebrać do kupy.

– Witaj, waćpan, panie Józefie – odpowiedziałem – skądże tak nagle w Krośnie?

– A skądże wasze?

– Ja wracam z Tarnowa, gdzie wyliczałem pieniądze za Rabe i oblatowałem¹⁴ dziedzictwo.

– A ja do Tarnowa, bo mi ciocia w Sandeckiem umarła i teraz mam z krewniaczkami o sukcesję proceder.

– No, to grajże waszmość dobrze z nimi, a kiedy wygrasz, to może i mnie się stamtąd jaka częśćka dostanie.

– Oho, serdeńko! to do tego ci się odzywa apetyt? już tak za młodu tego metaliku dźwięk ci się podoba? tobie, który siedzisz na pół miliona gotowizny? Oj! żeby to skarbnik nieboszczyk...

– Oho! jużci zaraz i pół miliona! co to ludzie nie nagadają! a tu nie wiem, czyby się i do trzechkroć sta tysięcy nabierało, i to złotych, mój Boże!

To mówiąc, staliśmy przy drzwiach otwartych wprawdzie, ale w sieni, że pan Deręgowski nie widział onej szlachty ukrytej za beczką, a tymczasem Urbański dobrze pijanym głosem zawoła:

– Panie stolniku! w ręce twoje.

– Jak do jasnej świecy! – odpowie tenże, nie wiedząc nawet wcale, kto woła, a obaczywszy, którzy są: – Hej! mospanowie, a to tu, widzę, na gody trafiłem.

– Należy mu spełna – jęknął na to Załęski – ho, ho! bo to biba jak wór dziurawy, dużo znieśie.

Dopieroż zaczęli pić. Ale gdzie Deręgowski, to tam niedługa sprawa. Umiał on nie tylko sam pić, ale i dogadywać, bo przy wielkim gardle duch w nim był taki ochoczy a zartobliwy, że gotów by był kiedy i kark skrócić dla samej fantazji. Więc przy kuflu:

¹³ *Ave Maria* (łac.) – Zdrowaś Mario.

¹⁴ oblatować (łac.) – wpisać do aktów.

- O! to tam stolniczeńko Mazurów nasiecie, kiedy się pomiędzy nich dostanie.
- Ja Mazurów? uchowaj Boże! mozem się już z jakie trzysta razy na rękę próbował przez moje życie, a jeszcze ani razu z Mazurem.
- Ej! to jeszcze tak do nieba nie pójdziesz, musisz i tego popróbować.
- Ha! jak Bóg da, trudno to, panie Jędrzeju, wyłamywać się spod tego, co Pan Bóg na człowieka nadeszle.
- Widzisz, to na niego Pan Bóg burdy nasyla.
- A cóż? przecież katolik i z szatanami spraw nie mam. A teraz na przykład: stoję w Sanoku i usiadłszy sobie przed bramą gospody, czekam, póki pacholek koni nie popasie, aż tu nagle słyszę gwar jakiś w sieni. Przybiegam, patrzę, aż tu jakiś z niemiecka przybrany pyta mojego sługę o paszport.
- O paszport! – zawołali obadwa żalonym głosem przy beczce.
- O paszport. Ja do niego: – Co zacz? – a on i mnie o paszport. – Ja tutejszy, mospanie, ale ty co za jeden? – A on z krzykiem: – Ale ty co za jeden? – Hej! jak porwę gwintówkę z mojego wozika... poszedł, jakby go nigdy nie było.
- O paszport go pytali! mój Boże! – zawołali znowu obadwa od beczki.
- O paszport! jak mnie Bóg miły! –. odpowie Deręgowski ze łzami.
- O paszport go pytali! – odezwie się także, płacząc, Załęski – w ręce twoje, stolniku.
- O paszport!... w ręce twoje, podstoli...

I tak tym paszportem przegradzając kufle, płakali a pili bez miłosierdzia. Jam stał i patrzył, i słuchał ich opowiadań i żalów, i jęków, co trwało poty, póki beczka nie zadzwoniła. Po czym Deręgowski powstawszy i z zaciśniętymi zębami:

– Hej!... nno!... – i kopnął nogą w dno beczki, które wyleciało w ten moment, a on sobie nalał pełny garniec lagru¹⁵ i zjadł go. Po czym, obaczywszy, że tamci obadwaj posnęli, zalani łzami i winem, obrócił się do mnie i rzekł:

– A jako tę utracicie, już wam o innej nie myśleć – powiedział ksiądz Skarga Pawęski, a ja to powtarzam i dodaję, że jakom ten lagier zjadł, tak i całą beczkę zjem, kiedy zechcę, a bez paszportu pojedę i na kraj świata, a oni i kufła nie wypiją, i z paszportami już jeździć będą aż do sądneho dnia. Bądź wasze zdrów!

To rzekłszy siadł i pojechał.

Powróciwszy do Rabe i wyprawiwszy po staremu stypę *in gratiam*¹⁶ instalacji mojej na, to dziedzictwo, wziąłem się na gorąco do gospodarstwa; raz, że to młody zawsze się na gorąco ima wszystkiego, a po wtóre, że zawsze to milej pracować i wkłady czynić na swoim niżli na cudzym.

Ale jakem się był od razu zapalił i nic tam nie widział, tylko samo dobro, tak teraz z każdym dniem prawie nowe spostrzegałem niedogodności. Więc przekonałem się najpierwej, że owo za górne i za skaliste tej wsi położenie nie tyle złym było dlatego, że gość by tam był rzadki, ile dlatego, że każda rzecz, którą kupiłem, dla trudności przywozu prawie dwa razy mię tyle kosztowała, każda zaś, którą przedałem, o znaczną część taniej z rąk moich wychodzić musiała. Nie było tam ani dworu dobrego, ani stajni, ani zabudowań gospodarskich w porządku i wszystko to trzeba było dopiero stawiać. – Kto buduje, procesuje a leczy, tego bieda ćwiczy – mówili starzy, a na mnie się to zaraz sprawdziło: bo chociaż materiał miałem pod nosem i na swoim gruncie, to jednak, nimem go przywiózł, byłbym go łatwiej gdzie indziej o milę był przeprowadził. Robotnik, któregom tam mógł tylko z trudnością dostać, był w najgorszym gatunku i niesłuchanie drogi. Sług nawet nie mogłem dostać, bo w góry komuż się chciało iść, kiedy są służby na dołach. Wkrótce też przekonałem

¹⁵ lagier – osad tworzący się w beczkach z winem.

¹⁶ *in gratiam* (łac.) – z powodu.

się, że ziemia tam daleko gorsza, niż sam myślałem – owies ledwie brat brata dawał, ziemniaków jeszcze wtedy tak nie sadzono, inne zboże się wcale nie udawało – i gdybym był nie miał gotowego grosza, tobym był musiał mrzeć z głodu wraz z moją czeladzią. Pastwiska, chociaż były pożywne, to jednak tak niedogodne, że do jednych godzina drogi, drugie tylko w stałą pogodę przystępne, a nie było takiego tygodnia, w którym by mi wilk był nie porwał jakiego drobiazgu, niedźwiedź nie ubił krowy lub wołu, źrebię się nie podarło na pniaku albo nie upadło ze skały. Jednego dnia nawet, rozkazawszy mego perłowego turczynka – com go był kupił po panu Franciszku Puławskim, z ran, w bitwie pod Hozzowem otrzymanych, na leskim zamku umarłym, i pielęgnował jak oko w głowie – dla krotochwili wypuścić na paszę, napędzonego przez nieuważnego komucha na pniaki, przez przebicie się utraciłem na wieki. I tak wszystko mi jakoś ginęło lub nicestwiało. Widziałem już jawnie, że o intracie stąd nie było co ani myśleć, chyba że aż za lat kilka; a na dobitkę jeszcze los mnie obdarzył był takim podstarościm, frantem zza siedmiu piekieł, żem się ani na krok z domu nie mógł wyruszyć, bo pod jego rękami wszystko gorzało.

Rozpatrzywszy się dobrze w tym, a do tego wzięwszy i to na uwagę, że mi przez to takie piękne gospodarstwo w Bóbrce upada, srodzem się zafrasowałem, a owo dziedzictwo, do którego niedawno tak gorąco wzdychałem, poczęło mi stawać kością w gardle, żem przez nią nie mógł oddychać. I dzień w dzień nowe przychodziły zgryzoty. Tak nie minęło ani trzy miesiące od mego przyjazdu, kiedy mnie już ten frasunek tak głęboko poczał dojmować, żem już ani po nocach nie sypiał, ani we dnie nie miał chętki do pracy, ani apetytu do stawy codziennej – wszystko mi już było niemiłe. A tu o radę ani rusz prosić kogo: bo jakżeż, proszę, było mi się wystawiać na oczywisty śmiech ludzki i złośliwych szyderstwo? Samotnie więc tylko bijąc się w piersi za moją lekkomyślność, wciąż sobie powtarzałem:

– Otóż do czego próżność i pycha nie prowadzą na świecie! Gdyby mi się było nie zachciewało dziedzictwa i gdybym był pamiętał na to, żem przy uczciwości i tym dobrym imieniu, które mi zostawili przodkowie, jeszcze może lepszy jak wielu, i raczej Panu Bogu dziękował za to, że mnie w dobrej wiosce zastawnej i w pięknej jeszcze gotówce przy śmierci ojca zostać się dozwolił, i nie piał się bezpotrzebnie do góry dla czezej famy tylko, tobym był nie poniósł strat tyłu i nie doświadczył tyle zgryzoty. Teraz, kto wie jeszcze, na czym się to zakończy; worek mój z każdym dniem słabszy, zdrowie się nadwiera, broń Boże jeszcze choroby, to już zginąć tu przyjdzie pomiędzy wilkami i niedźwiedziami. O ojcie mój! czemuż mi się kiedy nie pokazałeś, aby mnie ostrzec przed tym nieszczęściem!

I tak dnie moje licząc na frasunki i do Boga posyłane modlitwy o dobrą myśl jaką, która by mnie z tego nieszczęścia wyrwała, przeżyłem srodze pamiętne to lato dla mnie aż do żniw samych, które tam są po prostu kośbą, bo żąć nie ma co, i odbywają się aż o późnej jesieni.

W żniwa tedy, zgryziony jeszcze bardziej, bo mi się prawie nic nie urodziło, ze smutnym sercem wyszedłem do kosarzy i opatrzywszy robotę, że to już niedaleko było do wieczora, usiadłem pod jakąś lasówką na miedzy. Różne myśli mi poczęły przeciągać przez głowę, a taka ciężkość mi usiadła na piersiach, żem zaledwie mógł cokolwiek oddychać: grzech tej próżności mojej, która mnie nie tylko do straty grosza i spokoju przywiodła, ale jeszcze w owej chwili, kiedy mi tylko, w świat wchodzić było, zamknęła mnie w takich górach i lasach, stanął mi jakby wiedźma jaka przed zapłakanyimi oczyma – nie wiedziałem, jak się od niej ochronić; żegnałem się, modliłem się i na koniec ciężko usnąłem.

Otóż zaledwie oczy zamknąłem, zaraz zdawało mi się, że jestem w jakiejś pięknej krainie, leżę sobie pod rosochatym drzewem, pode mną zieleń taka miękka, jak najprzedniejszy wenecki aksamit, a wkoło mnie tak cudownie woniejące kwiecie i takie jakieś liściaste krzewy, jakich nie masz w mojej ojczyźnie. Niebo było aż granatowe i tak przeźroczyste, jak kryształ, a co mnie najmocniej dziwiło, to, że w dzień biały około słońca najwyraźniej widziałem księżyc i wszystkie gwiazdy świecące, a może nawet i więcej, bo straszna gąszcz mi się zdawała. Z daleka tylko przed sobą ujrzałem jakąś niewielką chmurkę, która się w

moich oczach zwiększała, zgoła tak, jakoby kto jechał po niebie i kurzyło się za nim, a musiał jechać prędko, bo aż gwiazdy podskakiwały i wywracały się w owym tumanie niebieskiego kurzu. Patrząc ja się na to, przecieram oczy i myślę, co by to być mogło? ale tu ani pół *Ave* nie minęło, kiedy tuż przede mną na ziemi stanął rycerz w okrutnie lśniącej zbroi i hennie z piórami, z gołym mieczem w ręku, ale na moim własnym, niedawno co utraconym turczyнку. Strach mnie wziął zrazu i pomyślałem: pewnie pan Puławski nieboszczyk! – więc zerwałem się na równe nogi, ale popatrzawszy owemu rycerzowi w oczy, tak mnie jakieś promienie olśniły, że wraz padłem na kolana. Dopiero rycerz ów, miecz spuściwszy ku ziemi, dziwnie pięknym głosem odezwie się do mnie:

– Nie bój się, Marcinie! widzę, mnie nie poznajesz, przeciwnie ja patron twój.

Chciałem coś przemówić i już otworzyłem był usta ku temu, ale mi tak język zakółkowało, że ani rusz. A święty Marcin dalej:

– Dziękuję ci za konia; dobra szkap, a w sam czas mi się dostała, bo u nas już tak stadnina podupadła, że ledwie do pługa z niej co mamy.

To mnie tak strzęsło, że o mało nie upadłem, bo jak pierwemu coś świętego czułem w tym rycerzu, tak teraz, kiedy już był pewny, że on na moim turczyнку, wzdrygnąłem się okrutnie: aż tak bowiem nie z tego miejsca ten rycerz jest, dokąd końskie dusze idą po śmierci? – ałem się trochę opamiętał. Dopiero rycerz znowu: .

– Czegóżes tak smutny, Marcinie, żeś całe oniemiał?

– Jakże nie mam być smutny – odpowiedziałem już trochę ośmielony, ale jeszcze zawsze klęczący i z pokorą – kiedy mnie to Rabe kością w gardle już stoi.

– Bo ci tak potrzeba było dziedzictwa, jak turczynka puszczać na paszę. Dobrze to jest nie wypuszczać z rąk ojcowizny, ale zaprawdę powiadam tobie, że nie ten jest pierwszy u Pana Boga, który ziemskie dziedzictwo po swoich ojcach wszelkimi siłami dźwierży, ale ten, który łaski Bożej nie wypuszcza ze swego posiadania i przechowuje ją dla swoich dzieci i wnuków. Kto o posiadaniu ziem wielu myśli i na to je nabywa, aby ziemskiego blasku dodał imieniowi swojemu, ten choćby posiadał tyle wsi, ile ich oko zajrzy z najwyższej góry, za nic ważony będzie, jeżeli innej nie położy zasługi, albowiem nie po imionach waszych was wołać będą na sądzie, ale po uczynkach, które was odznaczą od innych. Na jednym zagonie i w dreliszku niebożę, a z łaską Bożą i wiarą, a z pokorą i cierpliwością na losy doczesne, kto tak wytrwa i z takim świadectwem stanie w owym dniu strasznym przed Panem Bogiem, tego jedno westchnienie więcej zaważy wtedy niżeli wszystkie skarbcze bogaczy i ich najęte modlitwy. I zaprawdę powiadam tobie: Kiedy tam twoje oko popatrzy, to ujrzy, że z tych, którzy deptać będą po złotogłowie i złocie, większa część będzie w drelichach, a wiele lam i jedwabów pokaże się pokalanych w błocie. I skazani będą do ogniów i błota, iżby ogień wyżarł płamy z ich szat, a błoto pozostało się w błocie. – Tobie na cóż było dziedzictwa? czy ci źle było w Bóbrce? czy twój ojciec nie przesiedział tam lat dwadzieścia? czy nie przyrobił tam sporo fortuny? czy nie miał estymy i dobrego zachowania u szlachty? he? A z ciebie to taki syn kochający? Ledwieś ojca przywalił kamieniem, ledwie trawą porósł grób jego, jużes i nie miał nic pilniejszego, jak ruszyć jego krwawo zapracowanego grosza i dalejże puszyć się przed światem jego zasługą i pracą! Trzeba ci było porzucić Bóbrkę i dać ochłonać temu szczęściu, które Pan Bóg tam na was zsyłał? trzeba ci było domu tego odjeżdżać, w którym by ci cnoty i rozum twojego ojca, trzymające się jeszcze każdego kąta, dawały lepszą radę niż twoje najmądrzejsze sąsiady? trzeba ci było pamiątek tyle bez uczczenia porzucić, aby iść między niedźwiedzie i wilki? sługi stare a wierne samym sobie zostawić i podać im okazję nauczenia się kradzieży, a tutaj iść pilnować poprzyjmowanych złodziejów? Kości twojego ojca, stary kościółek porzucić, a żyć tutaj bez księdza, bez spowiedzi, bez mszy świętej i bez uczciwej w domu Bożym modlitwy?... Maszże teraz za swoją głupotę, masz za żądę dziedzictwa!

Milczałem, bom czułem, że mi. prawdę mówił ten rycerz; a on znowu:

– Milczysz? ciężko ci? czemuż sobie na to nie radzisz?
– Jakżeż ja mam sobie radzić – szepnąłem z cicha – kiedy nie umiem.
– To broić umiesz, a radzić sobie nie umiesz? Sprzedaj Rabe.
– Sprzedać? a któż to kupi?
– Prawda, że niewielu takich głupich, jak ty, ale ja ci dam radę. Jeszczę się nie stał niegodnym tej łaski, którą Bóg miał zawsze dla twego rodu. Wierz, jak oni wierzyli, a kupiec będzie na święty Marcin.

Po czym zwrócił konia i jeszcze dodał:

– Z Mazurami bądź ostrożny, bo to nieszczęśliwa ziemia dla Sanoczanów. Bądź zdrow i kłaniaj się panu Urbańskiemu ode mnie, a powiedz mu, niech już sobie raz da pokój z tym polowaniem, bo i niedźwiedzi nie wygubi, i do kufla się przyzwyczai, i w Komborni go tak rozkradną, że jeno puste ściany zostaną. A szkoda by ich, dobry ród.

Kłęczałem tak jeszcze przez jedno *Ave Maria* i czekałem, czy jeszcze mi czego nie powie; ale naraz straszny chłód mnie obwiał dokoła, rzuciłem się mocno, i przebudziłem się. Słońce już się było schowało, wieczór był chłodny, jak zwykle w górach, a zwłaszcza w jesieni; robotnicy szli już dołem do domu, a nade mną stał podstarość, prosząc, abym szedł już, bo noc. Wstałem, obejrzałem się i rzuciłem się w tył całym krokiem – pod ową lasówką bowiem stał z brewiarzem ów mnich, franciszkan, który mnie opanował tak w Krośnie, a któremu imię było Murdelio. Pokłoniłem mu się, on nic – podstarość się dziwnie wypatrzył na mnie, a tymczasem mnich ruszył naprzód, ja za nim, podstarość za mną i tak szliśmy aż do samego dworu.

Co się dalej stało, tego już nie wiem – to tylko pamiętam, że po owym mnichu we dworze nie było ani śladu i nikt go z żyjących nie widział – śnieg upadł tej nocy – mnie zaś, widzącego ustawicznie jakieś marzydła, sroga gorączka powaliła na łożo.

Była to straszna choroba – ból głowy, jakby mnie kto żaru nasypał pod czaszkę, nudności aż do skonania i takie pragnienie, że zrywając się nocą na równe nogi, nieraz po garncu krynicznej wody wypijałem od razu. Temu wszystkiemu towarzyszyła nieprzytomność bez przerwy, a straszne jakieś wiedźmy i upiory, które się dniem kręciły koło mnie, tak mnie męczyły bez przestanku, że przez kilka tygodni po sto razy poczynałem modlitwę i ani razu jej nie mogłem dokończyć. Chwile, w których cokolwiek miałem przytomności, były jeszcze straszniejsze od wszystkich boleści: wtedy bowiem sumienie, wyrzucając mi grzechy moje i ową próżność moją, rozpoczynało grę swoją. Więc raz biłem się w piersi, jakby jaki pokutnik, za grzechy śmiertelne i urywanymi słowy błagałem Boga o miłosierdzie. Drugi raz myślałem nad sobą i wtedy drżałem od strachu: widziałem bowiem, jako sam leżę wśród samych wertep i lasów, sierota bez ojca i krewnych; siostra o mil kilkadziesiąt, sąsiedzi tylko o jedną, ale głusi i nic nie wiedzący – widziałem, jako sługi jedne odbiegały mnie samowolnie, drugie się na to zostały, aby mnie okraść do reszty. Posyłałem raz po lekarza Włocha do Leska, ale ten, puściwszy się do mnie, kiedy mu koń nogę złamał na drodze, piechotą wrócił i ani słyszeć nie chciał o Rabach. Posyłałem po księdza *ritus graeci*¹⁷ do Balogroda; odpowiedział, że nigdy nie bywam w cerkwi i że luter być muszę, a on do lutra nie pójdzie. Łaciński proboszcz mojej parafii mieszkał o mil trzy i był starzec stuletni.

– Boże! – pomyślałem – otóż mnie pokarałeś, że nawet sam nie wiem, za co mnie Twoja ręka dotyka. Święty Marcinie! czegoż mnie takiej nabawiłeś choroby?

– To za żądę dziedzictwa, za próżność, za lekkość umysłu twego, za to, żeś odstąpił błogosławionych kości i wiary twojego ojca! – odpowiadała mi z kąta wiedźma jakaś, która raz była babą starą z wężowymi włosami, raz psem ogromnym, raz niedźwiedziem, to znowu gadem, ziejącym ogień z paszczy zębatej.

¹⁷ *ritus graeci* (łac.) – obrządku greckiego.

Inny raz znowu widziało mi się, że cała izba moja się pali szczerym płomieniem, że się dymi i skrzy, a głównie i węgle rozżarzone, kłębiąc się między sobą, odskakują od pożaru i padają mi na twarz, na rękę, na piersi. Czasem Murdelio z psalterzem w ręku stał mi w kącie izby i czytał modlitwy.

Kilka razy matka moja nieboszczka, której nawet nie pamiętałem postaci, stawała we drzwiach z podniesioną do góry ręką i powtarzała uroczystym głosem.

– Trwaj i wierz, a zdrow będziesz.

Raz tylko jeden pokazał mi się ojciec mój kochany: leżał w jakiejś trumnie kamiennej, cały wyschnięty i żółkły; ale szaty na nim tak były podarte i błotem powalane, pas rozszarpany i szabla tak aż do węgla spalona, zem się zatrzęsł cały i okropnym głosem zawołał do Boga o pomstę nad tymi, którzy rozrywają groby umarłych.

Wtedy on w trumnie Swojej prawą rękę podniósł, położył na piersi, pierś rozdarł aż do samego wnętrza i pokazał tam serce takie czyste, jak brylant.

I tak dziwne dręczyły mnie sny i widzenia – aż na koniec, kiedy jakiś potwór morski napelnił swym cielskiem sprośnym całą izbę moją i wywracając się w strasznych kłębach, to puchł w mych oczach aż do pułapu, to znów się zsychał tak, że mu aż zebra było widać, i nareszcie tak zmałał, jak człek zwyczajny – a temu człowiekowi poczęło z wolna ciało odpadać od kości i wnętrzości snuć się z niego i znikać w jakichś dymach ze siarki i smoły, że za chwilę żywa śmierć z kosą i klepsydrą stanęła w głowach mojego łoża – wtedy zebrałem wszystkie reszty sit moich i uklękawszy na łożu rzekłem: Panie! jam jest twój wierny i z dziada z pradziada służę tylko Tobie i chwale Twojej! Daszże mnie zginąć, jak jakiemu opryszkowi pośród tych wertep i lasów, bez księdza, bez spowiedzi i bez świętych Twoich sakramentów? Dopuszczisz, Panie, abym jako poganin szedł z tego świata? aby moje ciało zgniło nie pokropione, aby ani jedno oko nie zapłakało, ani pies nawet nie zawył na moim pogrzebie?... – I z słowami: – Ale niech się dzieje Twa wola... – upadłem na łóżko i ciężki sen zamknął mi powieki.

Ta noc była punktem przesilenia się mojej choroby. Przecie korpus Nieczujów przemógł kiepskie *malum terrestre*¹⁸, chociaż aż zamorskimi gadami szturm przypuściło. Na drugi dzień, Panu Bogu niech będzie chwała! już mi dużo lżej było. Głowa lekka, oddech wolny, wzrok czysty, tyłkom słaby byt jeszcze i czupryna mi tak do szczętu wylazła, że kiedym spojrział w zwierciadło, to mi się zdawało, że mój ojciec nieboszczyk do mnie zaziera.

Kiedy człowiek sam sobie pomoże, to już zaraz i wszyscy gdzieś się z pomocą znachodzą i wszystko jakoś się składa. Więc zaraz tego dnia rano przyszedł do mnie wójt z kilkoma starszymi z gromady z oświadczeniem, że się ofiaruje strzec dworu i gospodarstwem kierować, bo już przekonał się nieodmiennie, że mnie kradną bez miłosierdzia. Podziękowałem za sentyment, alem się prędko zbył tego tałatajstwa: co za sztuka przyjść teraz? czemuż nie widziałem was, kiedym był tak niemocen, zem kroku dać nie mógł? – Koło południa przyjechał też i mój Węgrzynek, jedyny mój sługa, można powiedzieć przyjaciel, któremum na nieszczęście właśnie na dni parę przed owym zjawieniem mi się św. Marcina we śnie był pozwolił pojechać do krewnych do Bieszczad. Już też i cale inaczej zrobiło się w Rabach: jeszczeż i dnia tego pan Urbański polujący z panem Osuchowskim, cześnikowiczem bielskim, w kołonicznych lasach zabłąkali się w mojej Bałandzie i będąc już prawie nad samym dworem, przyszli mnie trochę nawiedzić. Ileszczem był bardzo słaby, ale przecie mogłem już trochę rozmawiać, więc też nie czekając opowiedziałem im moją wizję św. Marcina i jego słowa.

– Hej! a może mnie tam i kradną w Komborni! – krzyknie pan Urbański, kiedym mu powtórzył pokłon świętego – oj! powywieszałbym drabów do dziesiątego pokolenia! – A ja na to:

¹⁸ *malum terrestre* (łac.) – zło ziemskie; tu w znaczeniu choroby ciała.

– Ej! nie sroż się tak, panie Jędrzeju! bo oto i mnie okradli do szczętu podczas mojej choroby, a ja przecie ich wieszać nie będę.

– A czemu?

– Bo pouciekali.

– A! to co innego.

Dopiero ja im opowiadałem cały kurs mojej choroby, wszystkie strachy i wiedźmy, i smoki, i gady, i ową śmierć. A kiedym skończył, rzecze znów pan Urbański:

– Widzi mi się, panie bracie, że to nie święty był, kiedy cię takiej choroby nabawił.

– A któż?

– To coś nieczystego.

– Jakże by to mógł być nieczysty, kiedy mnie takie piękne dawał nauki? nie może być.

– Chyba żeś wiele grzeszków miał, na które przychodzi czas, bo inaczej to nie wiem, co.

– Nie dziwna to, panie bracie – odpowiedziałem – że nie wiesz, co. Boskich rzeczy nigdy nie trzeba rozumem dochodzić, bo albo się głupstwo wywiedzie, albo dogmat taki, który człowieka z drogi wiary sprowadzi i od Pana Boga odwraca.

– Tak jest – dodał pan Osuchowski – *a kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić* – jak mówi Kochanowski.

– Ba! ale czy to wszystko prawda – zarzucił znowu pan Urbański – co ci ten święty powiadał?

– No, prawda nieprawda, to. wszystko jedno; to był sen, a mogłem ja czego nie dosłyszeć albo potem przekreścić.

– Obaczymy – odpowie on – kiedy kupiec będzie na św. Marcin, to twoja prawda, a kiedy nie będzie, to moja.

– Dla mnie zawsze moja wiara jest prawdą – odpowiedziałem, a tymczasem pan Osuchowski:

– Ej! co się tam będziecie spierać o prawdy, których obadwa nie rozumiecie. Jest który z was ksiądz czy teolog, czy biskup? Jak stoi w piśmie, tak wierz, a kiedy w wierze twojej najdzie się fałsz, to ty za to odpowiadać nie będziesz przed Panem Bogiem, jeno ten, co pismo pisał; boś ty jest prosty człowiek i nieuczony. Tak było u nas od wieków i dobrze było z tym; wszyscy w jedno wierzyli i jedno robili; a dzisiaj, kiedy się namnożyło piśmiennych a mądrych głów, to już każdy poszedł swoim torem i owóz, gdzieśmy tym zaszedli. Ale i to gadanie na nic się nie zdało; lepiej opatrzeć gospodarstwo pana skarbnikowicza i od szkody go zabezpieczyć, kiedy się jeszcze nie może ruszać sam.

I tak się zaraz stało: Osuchowski, poczciwe człeczysko, poszedł na moją zagrodę, a pan Urbański został się przy mnie. I gawędziliśmy sobie pomału, bom ja nie bardzo się mógł natężyć. Tymczasem wrócił pan Osuchowski i rzekł, że niepodobna mu w nocy oglądać wszystkiego; więc nocowali ci goście u mnie. Na drugi dzień pan Urbański, niespokojny o swoją Kombornię, wyjechał do niej; pan Osuchowski zaś został i od tego począł łąd w moim gospodarstwie, że resztę złodziei, którzy nie pouciekali, porozpędzał na cztery wiatry, a postanowiwszy już zostać u mnie, póki całkiem nie wyzdrowieję, swoich kilku ludzi ze Mchawy tymczasem sprowadził i przy nich pomału dla mnie nowe sługi przyjmował. Mnie tymczasem znacznie zrobiło się lepiej, zabierałem się całymi siłami, tylko głód mnie morzył niesłychanie, a broniono mi jeść wszystkiego oprócz delikatnych legumin. Kiedym już stał dobrze na nogach i przechodził się z wolna po izbie, i ów Włoch, doktor Gondoni, którego jw. wojewodzina, pani wspaniałego umysłu i serca, dowiedziawszy się o mojej niebezpiecznej chorobie, gwałtem do mnie wysłała, całe niespodziewanie do Rab przyjechał. Frakowy perukarz ten kazał mnie sobie rzecz całą opowiadać *ab ovo*¹⁹, a na koniec i niemało mi

¹⁹ *ab ovo* (łac.) – od początku.

kwestyj zadał o całego życia mojego *curriculum*²⁰, mrużąc sobie na każde słowo coś po swojemu i zażywając tabakę. A wysłuchawszy i wymacawszy mnie po wszystkich żyłach, od uszu aż do pięt, rzekł tak:

– *Signor* się dużo martwił po śmierci ojca, z czego dużo żółci wylało się w jego krew. Stąd musiała nastąpić choroba, ale nie przez to, że się święty pokazał we śnie. Wszakże i to, uderzając na nerwy i mózg, z czego ciało spotniało, a potem na jesiennym wietrze na górze się zaziębiło, mogło się wiele do choroby przyczynić albo ją zgoła przyśpieszyć. Ale teraz już nic, *signor* będzie zdrow, tylko trzeba zachować dietę i przez dziesięć dni jeszcze nie wychodzić z izby.

Powiedziawszy tę sentencję i dawszy mi maść na odrośnięcie czupryny, wziął dwadzieścia czerwonych złotych, niedźwiedziego sadła parę garncy i odjechał; a ja, wysmarowawszy czuprynę jego maścią, zjadłem zaraz kapłona i wypilem szklanekę starego wina dla zachowania diety.

Tak zachowując co dzień dietę około końca października Pan Bóg mi dał, żem się już nie potrzebował wyręczać panem Osuchowskim, sam chodząc około mojego gospodarstwa; a na Wszystkich Świętych byłem już u spowiedzi w kościele w Hoczwi i z pokorą słuchałem mszy świętej i pięknego kazania na tekst: „Wierz, a wiara cię zbawi”. – Młody ksiądz jakiś, mnich z pozorów, z wielką wymową i żarliwością powiedział to kazanie, dzieląc rzecz tak, że w pierwszej części wyłożył artykuły wiary świętej wedle przepisów Kościoła, z drugiej zaś uczynił mowę pełną aluzji do polityki tamtego czasu, a bijąc groźnie w to, iż z osłabieniem wiary w narodzie przyszły nań klęski doczesne, nieraz słuchaczom przywodził na pamięć słowa nieśmiertelnego ks. Skargi, który dzisiejszy stan rzeczy na dwa wieki już przepowiedział – i różne inne miejsca, które się właśnie do ówczesnego stanu tego kawałka kraju naszego jak najwyborniej stosowały. Kazanie to bardzo trafiło do mego przekonania i dziwiłem się, skąd się nagle w tym ustroniu tak wymowny wziął kaznodzieja; dopiero po mszy świętej dowiedziałem się, że to był mnich z zakonu misjonarzy św. Wincentego à Paulo, którzy właśnie nauką i kaznodziejstwem słynęli i odprawowali misje po kraju dla nawracania zbłąkanych albo niewiernych. Dziwnie oni się różnili od innych mnichów; zaraz tedy ubiorem – nosili bowiem suknię długą z czarnego sukna, z wysokim kołnierzem, białym płótnem obszytym, na wierzchu mantolet kanoniczny²¹, a na głowie czapka sukienna z opuszką z trzech końskich ogonów. Jakoż i w regule swojej mieli inne obowiązki od drugich mnichów, a najpierwszym z nich misje. Przyjmowali też rekolektantów dobrowolnych do domów swoich i udzielali im przez pięć dni pomieszkania, strawy i nauki bez żadnej za to nagrody. Poznałem się zaraz z tym księdzem i prosiłem go, aby na drugi dzień odprawił nabożeństwo na intencję mojego wyzdrowienia, i dawałem mu na to wedle zwyczaju pieniądze, ale przyjąć nie chciał, a przyrzekł, że nabożeństwo odprawi i tak. Zaprosiłem go więc, żeby mnie przynajmniej nawiedził kiedy w własnym mym domu, jak znów z misją pojedzie w te strony.

– Na przyszły rok, da Bóg doczekać, może się tu pokażemy – odpowiedział on – rzadkie tu kościoły łacińskiego obrządku, a wiele dusz łaknie słowa Bożego.

I prawda, że tam rzadkie kościoły, bo Rabe na przykład należą do parafii w Wołkowi, gdzie, gdybym chciał na mszy świętej być, tobym musiał dzień naprzód, i to rano, od siebie wyjeżdżać, a są wsie, którym jeszcze dalej jest do parafialnego kościoła; więc szlachta i łacinnicy, słudzy lub rzemieślnicy modlą się Panu Bogu po cerkwiach unickich, spowiedź świętą raz tylko odprawiają do roku, i to przed księdzem *ritus graeci*, bo jak się lody spiętrzą około Wielkiej Nocy, to ani kroku stamtąd nie można dać. To wszystko jedno przed Panem

²⁰ *curriculum* (łac.) – przebieg.

²¹ mantolet kanoniczny – rodzaj peleryny jedwabnej.

Bogiem, ale zawsze jest to grzech szlachty niemały, bo gdyby o to stali, to złożony się po lada czym, co parę wiosek swój kościółek by mogli mieć.

Ten dzień już strawiłem cały na plebanii i spędziłem go na pobożnej rozmowie z owym kaznodzieją, który także tam stał, a który na długi czas spragnioną duszę moją zasilł i w wierze świętej o wiele mnie wzmocnił. Dziwnie bowiem mądry to kapłan był, uczony we wszystkich świętych rzeczach, tak że już trudno sobie więcej pomyśleć, a co dziwniejsza, że przy tym i światowe rzeczy doskonale znał, tak jak który szlachcic ziemianin. A świątobliwość taka była od niego, że kiedy z nim mówiłem, to się go ręką dotknąć nie śmiał, jakby jakich relikwii. Doradził mi też on, ażebym, kiedy na mnie przyjdą frasunki i troski, Pismo święte do ręki ujął i czytał w nim albo kazania świątobliwych mężów i świętych żywoty, nad które nie masz skuteczniejszego lekarstwa na upadek duszy i utrzymanie się w wytrwałości w ziemskiej wędrówce tej. Usłuchałem jego rad i niemało z nich ulgi i pociechy doświadczyłem w późniejszym życiu.

Następnego dnia poszedłem do zamku, który stoi o kilkadziesiąt kroków od plebanii nad rzeką Hoczewką, wpadającą zaraz zp. Wsią do Sanu. Pan Fredro, podstoli pomorski – mąż już niemłody, ale piękny jeszcze kawaler, od czasu swoich podróży po Włoszech jakiś bardzo frasobliwy i tylko czarny kolor na sobie noszący – mieszkał w tym zamku. Pan ten, ile że z bocznej linii senatorów idący i więcej do panów aspirujący, lubo szlachty pospolitej nie lubił i tylko dlatego z nią żył, ażeby z niej dworować, z nią pić i w pałazie się bić albo dokazywać na koniach – przyjął mnie jednak po starej znajomości grzecznie i zaraz na wstępie rzekł:

– Cóż, wymodliłeś się już za twoją chorobę? he? teraz by podobno wypadało dać na mszę do św. Marcina, co?

– Dałem już na mszę świętą do Pana Boga, panie podstoli dobrodzieju, to i za świętych stanie.

– Masz rację – odpowie on – zawsze lepiej sprawę mieć z panem niż z podstarościm.

Odszedłem zaraz witać się z gośćmi, bo nie lubię słuchać mów takich filozofów, u których i najświętsze rzeczy nie ważą nic, a pan podstoli na dobre był przejęty tą filozofią i podobno innych książek nie znał jak Woltera i jego kolegów, których dzieła tyle wstrząśnień potem wywołały we Francji – a że było wiele szlachty w tej sali, więc jakoś mi to uszło. Tam też zostałem na obiedzie, przy którym po staremu pito wielką gębą i mnie też siłowano, ale się na ten raz wyprosiłem, bo raz, że byłem niedawno po chorobie, a po wtóre, że dla nabożeństwa i rozmowy z Panem Bogiem w to miejsce przyjechawszy, nie godziło mi się już wdawać w taką światową rzecz. Otóż po obiedzie rzecze do mnie pan Fredro:

– Gdybym nie wiedział, że ci aż pan Urbański wino musiał przywozić do Rab, tobym był może na święty Marcin się zaprosił do ciebie, aby trochę zażyć górskiego polowania.

– Nic to nie wadzi, panie podstoli dobrodzieju – odpowiedziałem natychmiast – u mnie, chwała Bogu, jest winka dosyć w Bóbrce; ja je tylko dlatego nie trzymam w Rabach, że i nie mam tam piwnicy i kto wie, azali tam długo pomieszkać, ale na święty Marcin, to będzie.

– No, no, ja żartuję – odpowiedział pan Fredro – i bez wina bym był przyjechał do Rab, bośmy to już o tym mówili; świadkiem pan Bal.

Otóż z obietnicą gości, a spokojniejszy na duszy i zdrowszy na ciele, pojechałem do Bóbrki, aby stamtąd zabrać, co trzeba było, na przyjęcie gości do Rab; bom to jeszcze prócz inwentarzów z Zabrodzia mało co tam był posprowadzał; z Bóbrki zaś już prosto do domu, gdzie nadglądając roboty szynek, salcesonów i kielbas i młócąc owies dla koni gościnnych, czekałem z niecierpliwością owego tyle dla mnie ciekawego dnia świętego Marcina.

Śród ciągłego zatrudnienia i oczekiwania minęło mi tych dni kilka jak z bicza trząśł. Święty Marcin przybył, ale już nie na białym koniu, jak wtedy we śnie; widać musieli i w niebie na paszę wypuszczać turczynka. Dzień był ponowny²², chłodny, ale nie wietrzny,

²² ponowny – następujący po nowiu księżycy.

jakich wiele u nas w jesieni. Około południa poczęli się zjeżdżać goście i po staremu ci, co mieli drogę najdalszą, przyjechali najpierwej, bo się najraniej wybrali, ci, co mieszkali najbliżej, przybyli najpóźniej. Starczył się w słowie pan Fredro i z dwoma Balami, i z panem Tarnowieckim stawił się pierwszy. Tuż za nim nadciągnął od Huczwic działami²³ pan Edmund Chojnacki, stolnikowicz rawski albo pisarzewicz grodzki sanocki, kiedy by go tytułować po ojcu; ale miał on natenczas już i sam się czym pochwalić, bo pierwszym rębaczem i junakiem swojego czasu był. Żył on natenczas w przyjaźni wielkiej z panem Janem Cieszanowskim, łowczym sieradzkim, i z nim razem z Kamicy przyjechał. Dalej przyciągnęli: pan Urbański z Nurkowskim, Karsznicki z Balogroda, Strzeleccy z Łopienki i Krajewski z Terki, podczaszy przasnyski; nie minęła mnie też wizyta pana Bobrowskiego, sędzica grodzkiego sanockiego a właściciela Żernicy, którego matka była Karsznicka z domu, podkomorzanka halicka, urodzona z tejże samej Balówny, z którą miasteczko Balogród z rodziny Balów przeszło w dom Karsznickich. Przyjechali i inni, dalecy i bliscy, znajomi i nieznajomi, i zaraz z góry po odbytych powinszowaniach zapowiedzieli mnie, że będą polować u mnie; przyjąłem to bardzo wdzięcznie, ale pan Urbański, utrzymując nie bez słuszności, że polowanie u mnie i trzy grosze niewarte, bo nie mam ani psów siła, ani knieję znajdujących myśliwych, zaprosił wszystkich do siebie. Na mnie więc tylko pozostało dać dobry obiad i wina nie skąpić, co też przyrzadziłem, jak należało. Podczas obiadu zrobił się gwar jak w ulu i wtedy dopiero poczęły się owe serdeczności, całowania i przezdrowia²⁴, którymi wszyscy chcieli mi dawać dowody swoich afektów i sentymentów. Jam był więcej zamyślony niż wesół i przyznam się, że mnie ta wesołość wcale nie pocieszała, a z tego, com widział, przymuszony byłem sobie powiedzieć te słowa: hej, hej! jak to, kiedy człowiek zdrow, worek ma pełny i stół ma czym zastawić, to mu i przyjaciół nie braknie; a niedawno, kiedym był chory, że mnie ani do rozmowy, ani do traktamentu nie było, to mogłem i skonać bez ludzkiej twarzy widoku, a niejeden z tych, którzy mnie dzisiaj ściskają i całują serdecznie, może dobrze wiedział o moim nieszczęściu, ale mu ani na myśl nie przyszło podać mi rękę pomocną albo przyjść choć przynajmniej dla pocieszenia. I gdybym był skonał przed trzema dniami, tak samo ciż sami goście piliby byli po moim pogrzebie, jako dziś piją w mój anniwersarz²⁵. Jakże to prawdę napisał ów poganin, mówiąc:

*Donec felix eris, multos numerabis amicos;
Tempora si fuerint nubila, solus eris*²⁶.

Widać już musiało tak bywać i za pogańskich czasów, kiedy on o tym wiedział. Mój Boże, jakże złą w gruncie jest ludzka natura!

Wtem pan Urbański, który tuż przy mnie siedział przy obiedzie, trącił mnie w łokieć i rzekł:

– Panie bracie! jakoś się święty Marcin nie starczy w słowie.

– Ha! taka już wola boska – odpowiedziałem – mam ja przecież nadzieję, że jeszcze jego słowo się stanie.

– Jakież to słowo, jeżeli się godzi zapytać? – odezwie się na to pan Janicki, który siedział znów obok pana Urbańskiego. Ten pan Janicki nie był mi znany i teraz nawet po raz pierwszy jawił się w ziemi sanockiej. Kto on był w rzeczy, trudno mi to powiedzieć; mówiono o nim, że się bawił palestrą w Pilźnie i na tym kilkakroć sto. tysięcy uciułał; teraz zaś, porzuciwszy swoje dawne rzemiosło, przyjechał tu gdzieś jakiejś ziemi kupić – inni powiadali, że był

²³ dział – tu: wzgórek, góra.

²⁴ przezdrowie – toast.

²⁵ anniwersarz (łac.) – doroczne święto; tu: imieniny.

²⁶ *Donec... eris* (łac.) – słowa Owidiusza, wypowiedziane na wygnaniu: Dopóki będziesz szczęśliwy, będziesz miał wielu przyjaciół, gdy nastanie czas zły – zostaniesz sam.

kotlarzem i na tym się fortuny dorobił; bądź co bądź, jednak to pewna, że go znano za konfederacji z pałaszem w ręku, że potem rzeczywiście ziemię w Sanockim zakupił, ze szlachectwa się wywiódł i był uczciwym człowiekiem. Otóż powiedziałem mu całą rzecz.

– Hm! – odpowie on – może to ja jestem tym kupcem od świętego Marcina przysłanym, bo, dalibóg, że się tylko losem tu dzisiaj znajduję. Wiele ważą te dobra?

Odrącałem teraz ja znów pana Urbańskiego w łokieć i odpowiedziałem:

– Ja dałem sto sześćdziesiąt tysięcy.

– Ou! to sól, mospanie! – odpowiedział na to Janicki – ziemia licha, a góry, że aż strach.

Pan Urbański popatrzył się tylko spod oka na niego i brwi namarszczył, bo to on sam mi przecie te wsie sprzedawał, a wtem Janicki odezwie się znów:

– Strasznie to przesolone, bo ciekawym nawet, jak by tu procent odpowiedni wydusić?

– Mospanie! – rzeknie na to pan Urbański – waszmość nie wiesz, co mówisz! to ja sam sprzedawałem panu Nieczui te dobra i pewnie grosza nie wziąłem nad wartość.

– Tak to się mówi, mości dobrodzieju – odpowie tamten – kle każdy na tyle swoją ziemię wyciąga, na ile może.

– Waść rzeczy bierzesz po palestrancku i może się to gdzie dzieje na świecie, ale u nas nie!

– Przecieżby dziś za to tamtej sumy nikt nie zwrócił!

– Otóż żebym waści przekonał, że Rabe warte są te pieniądze – krzyknie już zacierzewiony Urbański – to ja sam wrócę tę sumę. Panie skarbnikowiczu, daj Boże szczęście!

Jam stał osłupiony tym, co się w mych oczach działo; jakoż rzekłem po chwili:

– Nie może być! ja waszmości nie sprzedam Rab, cóż poczniesz z .tym?

– Co tobie do tego, co ja z tym pocznę! – zawoła on już w pasji – kiedy pieniądze mam, to mi kupić wolno, co chcę! a jak mi z tym nie pójdzie w ład, to .sprzedam Kombomię i wszystkie tamte ziemie, a całe góry tutaj zakupię, to może wtedy pójdzie w ład! a choćby i nie poszło, to sobie lada komu w oczy ćwikać nie dam, żem więcej wziął, jak co jest warte!

– Ale ja przepraszam bardzo waszmości dobrodzieja – odezwie się pan Janicki.

– Co mnie tam waszmości przeprosiny! przepraszaj sobie waszec takich, którzy dobrami frymarczą i za lada tysiączek gotowi duszę swoją skłać od wszystkich diabłów; ja bez przeprosin zostanę ten, którym był, i prędzej jeszcze Rabe komu daruję, niżbym miał o grosz więcej na nich wziąć.

Z tymi słowy wstał pan Urbański od stołu i wyszedłszy na ganek, zaraz wyrostka swego po pieniądze do siebie słał; ale ja wybiegłem za nim i prosiłem, aby dał temu pokój, wszakże jutro mam w Jabłonkach być, to już tam zakończymy. I tak się stało. Tego dnia przy pomiernej zabawie jeszcze wszyscy u mnie zostali, a na drugi dzień znowu wszyscyśmy byli w Jabłonkach oprócz owego pana Janickiego, któremu już nie godziło się jechać tam, bo stanął na bakier z samymże gospodarzem.

Polowaliśmy tam przez kilka dni i na tym polowaniu doświadczyliśmy każdy swoich sił i odwagi, ażeby to lepszym od drugiego być – i było jeszcze na co patrzeć natenczas, bo młódź szlachecka polowanie uważała niby za swoje rzemiosło i wiele dawała na to, ażeby we wszystkich łowieckich sztukach zręczną być. Ja nie mogłem jeszcze tak gorącego brać udziału w tej pięknej zabawie, bo przecie to jeszcze choroba dawała się czuć. Po polowaniu zaraz mi pan Urbański wypłacił owe sto sześćdziesiąt tysięcy i Rabe wziął.

I tak Pan Bóg przez szczególne zrządzenie swoje dał, że się obietnica owa dana mi we śnie sprawdziła do krzty, a jeszcze się stała przy tym i ta osobliwsza rzecz, że nie tylko na wyznaczony dzień istotnie kupiec był, ale nadto jeszcze tym kupcem musiał być ten, który owej przepowiedni wiary nie chciał dać. Dopieroż mi się przypomniały słowa owego świętego, który mówił wyraźnie: – Wierz, jak oni wierzyli, a kupiec będzie. – I prawda: bo gdybym ja nie był wierzył, to nie byłoby przyszło do owej niewiary pana Urbańskiego i byłby

był nie miał powodu rzec do mnie owych słów: – Panie bracie, jakoś się święty Marcin nie starczy w słowie – na które się pan Janicki odezwał i wywołał całą tę rzecz.

Bądź co bądź, jednak ja na tym wszystkim najwięcej zyskałem, bom się z owego piekła prędko, gładko i z bardzo małą tylko stratą wycofałem. Panu Urbańskiemu nawet owo szlachetne utrzymanie swego honoru wcale na złe nie wyszło, bo w rok potem stała się ta dziwna rzecz, że owe Rabe tenże sam pan Janicki i za. też samą sumę odkupił, i mieszkał tam przez kilkanaście lat, gdzie mu się wcale nieźle wiodło. Fortuna ta jednak wyszła potem i z jego rąk, a nabył ją pan Jacek Fredro, krewny pana podstolego pomorskiego, ale idąc od głównej linii, to jest od owego kasztelana Andrzeja Maksymiliana Fredry, który jest sławnym i w senacie, i w światowych naukach, i do dawnego splendoru swojego rodu niemało się przyczynia.

Co opowiedziawszy na wstępie, wracam znowu do mojego chudopacholstwa i będę opowiadał te owe dziwne losy, które mnie w czasie następnym spotkały, a które, lubo całe już były innego rodzaju i same w sobie przeważnie na całe życie moje wpłynęły, jednakże nie gdzie indziej, jeno w owym nieszczęśliwym kupnie Rab swoje źródło i przyczynę miały.

I

Owóz wydobywszy się w taki prawie cudowny sposób z mojego dziedzictwa, zaraz, nie czekawszy, poszedłem na powrót na mojąarendę i jeszcze Panu Bogu podziękowałem za to, nie dbając wcale o to, czy mnie tam kto nazwie włóczykijem, arendarzem, spekulantem lub nie. Jakoż dawszy sobie do zwierciadła parol kawalerski, że już nigdy w żadne kupno bez statecznego zastanowienia mojego i mądrych ludzi porady nie wejdę, oddałem się mojemu staremu gospodarstwu z wielką pilnością. Jednak już jakoś i tutaj mi nie szło; urodzaju nie miałem tego roku, burze jesienne dużo mi dachów popsuły, sadowina, źle ususzona, całe mi wygniła na strychu, kilkanaście sztuk bydła mi wypadało i dom przez to, że przez całe lato i jesień stał zamknięty i pusty, niemałemu popadł zniszczeniu, osobliwie też na dwóch konterfektach moich przodków taka jakaś pleśń nagle osiadła, żem je aż musiał dać przemalować. Mój podstarości, człowiek stary a praktyk wielki, który jeszcze z moim ojcem służył w konfederacji dzikowskiej i był aż pod Gdańskiem, mówił mi:

– Wszystkiemu to temu, panie, winny te niepotrzebne przenosiny. Poruszyło się nieszczęście – które nieboszczyk pan skarbnik, lat dwadzieścia siedząc na jednym miejscu, przygniótł był sobą do ziemi – i teraz hula. Jak tylko się gdzie wiedzie, to nie pytać, czy to arenda, czy zastaw, czy respekt²⁷ nawet, jeno siedzieć tam, choćby do śmierci – a kiedy nie idzie, to i z dziedzictwa uciekać. Toć my przecie z Sandomierskiego z własnych dziedzicznych wiosek poszli, a jeno przez to, że nam tam nie szło. Ot! i Pan Bóg jakoś odmienił! – ale młodemu to zawsze się hulać chce, a fortuny swojej próbować, bo pstro w głowie, mospanie, i cała rzecz.

Wysłuchawszy tej perory podstarościęgo, którą zawsze mu wolno było mieć do mnie, bo kolegował z ojcem i przez długie lata dobrego zachowania u niego zażywał, pomyślałem sobie: może też ma i prawdę? cóż ja mogę wiedzieć, jakie są drogi Opatrzności? Jednak nie frasowałem się tym tak bardzo, bom strat wcale wielkich nie poniósł, a choćbym był i poniósł niektóre, to i to byłoby mi znowu tak wiele nie szkodziło; zbytków wcale nie byłem łakomy, a miałem tyle, że mi mogło i na zbytki wystarczyć. Gorszym było dla mnie, że zima

²⁷ respekt (łac.) – tu: ziemia otrzymana bezpłatnie od kogoś na dożywocie ze względu na dawne zasługi własne albo rodziny.

nadchodziła, a z nią długie wieczory, i nudno mi tak było samemu. Wedle rady owego świątobliwego misjonarza brałem sobie wieczorami jakąś księgę poważną, więc Biblię Nowego Testamentu albo żywoty świętych Pańskich i czytywałem je zrazu sam, po parę godzin codziennie, ale widząc, że też samą robotą mogę się stać użytecznym i drugim ludziom, a osobliwie tym ludziom, których Pan Bóg mojej powierzył opiece i za ich dusze mnie odpowiedzialnym uczynił, zarządziłem, aby po wydaniu obroków, po zamknięciu wrót wszystkich i spuszczeniu psów z łańcuchów, co wieczora przychodził podstarość, dyspozytor i kucharz, *ex officio*²⁸ też mój Węgrzynek, do słuchania tej. przystojnej lektury. I działo się tak codziennie, co wszyscy czynili chętnie, bo księgi te są rzeczą tak prostą, że je każdy zrozumie, a zarazem tak wzniosłą i zajmującą, że się ich odsłuchać nie można. Po odczytaniu kilkunasu kartek ja zawsze jeszcze zaintonowałem którą kolędę i słuchaczy moich rozdzieliłem na głosy, co się bardzo pięknie wydawało, a tak się wszystkim podobało, że nigdy żaden na tę nabożną praktykę nie chybił ani się nawet spóźnił. Nie dosyć na tym: obcowanie za pośrednictwem Pana Boga z moimi ludźmi przyniosło mi i ten pożytek, że się wszyscy daleko lepiej podtenczas pilnowali w robocie, nabrali więcej poufałości do mnie, ale zarazem i uszanowania. Niebawem też i kilku parobków przyszło do mnie z prośbą o pozwolenie im przychodzenia także na tę kolędę, a szewc bóbrecki z swoim szwagrem kowalem nie ustąpili mi się poty, pókim ich także do tego bractwa nie przyjął. Jakoż dzień cały gospodarz, a wieczór ową nabożną praktyką wypełniwszy, anim się spostrzegł, że Boże Narodzenie już dawno minęło, a myśmy po lekturze miast kolęd śpiewywali godzinki, w których szewc, jako mistrz w tym kancie, swojej profesji właściwym, pomimo mego intonowania, jednak zawsze potem prym sobie zdobył i rzecz całą prowadził. Nie odbierałem szewcowi tej pociechy, jako jedynej okazji, w której rej wodzić mógł, i owszem, ciesząc się z tego, zem się przez ten mój pomysł stał kilku przynajmniej ludziom do pobożnej służby Panu Bogu powodem, starałem się każdemu z moich gości wieczornych jakiś prym dawać w czymś, iżby się tym więcej przywiązywał do tej rzeczy.

I zajmowała, i bawiła mnie ta robota; począłem nawet sobie już jakieś plany układać, czyby nie można to bractwo moje na całą wioskę rozciągnąć. I myślałem sobie nieraz, jaka by to była piękna przed Panem Bogiem i ludźmi zasługa, gdybym to ja gromadę moją pomału, przez opowiadanie słowa Bożego i żywotów świętych, w tej przenajświętszej, w której się rodzą, żyją i umierają, katolickiej religii pięknie umocnił, pobożność i cnotę w nich ugruntował, pokory i wytrwałości w tych nieszczęściach światowych nauczył – jacy by to potem byli ojcowie, jacy gospodarze, a jacy słudzy Kościoła. Zresztą, czemuż by to i żołnierz nie miał z tego być? Widziałem ci, że monarchowie postronni mają całe regimenta z samych chłopów złożone. I tak różne myśli mi się snuły po głowie i Bóg wie co za ogromną rzecz byłbym wymyślił, gdyby nie ta ułomność ludzkiej natury, której, niestety, i ja podlegałem.

Owóż jak drzewo każde ku wiosnie ożywia się wewnątrz, puszcza pączki i liście i już nieodmiennie musi odbyć tę, którą Bóg mu przeznaczył, kwitnienia sprawę, tak i ja wtedy, mając się albo raczej już będąc w wiosnie mego żywota, musiałem uczuć w sobie ową czczość i jakieś przy tym pragnienie, które mi powiadało: Jesteś sam, a przecież nie to jest twoje przeznaczenie.

To poczuwszy, długo się zastanawiałem nad sobą. Żenić się, wcale to ludzka rzecz i obowiązkiem każdego jest, owoż i mnie należałoby się uczynić to, ale azaliż już do tego dla mnie jest czas? Młodym jest, skąpo doświadczenia u mnie, ot! niedawno uczyniłem rzecz, z której cudem Bożym wybrnąłem, sam sobie w żaden sposób rady dać nie umiałem – nuż żona spyta o jaką radę! a jak należy robić to albo owo? jak dzieci chować? jak je potem prowadzić? jak fortuną zarządzić? Naprzeli się czego, co będzie złym – znajdeż ja tyle w mej głowie rozumu, abym ją od wszystkiego złego powstrzymał i żonie, i dzieciom dobry przykład ze

²⁸ *ex officio* (łac.) – z urzędu.

siebie dał? Przyjdą, Boże uchwaj! jakie nieszczęścia albo frasunki, które nie tylko samemu potrzeba będzie znieść, ale jeszcze i żonę w troskach utulić i pocieszyć, i od dalszych nieszczęść ochronić – bądź do tego potrzebną moc duszy i cierpliwość miał?

Więc kiedy mi się takie myśli snują po głowie i męczą mnie, to z drugiej strony znów jakaś niespokojna krew powtarza mi wciąż: żeń się i żeń; tyś dzisiaj na świecie nic, stoisz na tej ziemi sam, jak ono drzewko liche na miedzy, i choćbyś wyrósł wielki jak dąb, przyjdzie czas, upadniesz w proch, zgnijesz i ani śladu nie zostanie po tobie.

I tak to było, kiedy sobie przypomniałem słowa nieboszczyka mojego ojca, który krótko przed śmiercią mówił mi:

– Starym już, panie Marcinie, i lada dzień przyjdzie mi iść do owej gromady Nieczujów, którzy gdzieś w niebie dosługują Panu Bogu tych służb, których przez wojny i niepokoje nie mogli dosłużyć tu. O! i u mnie się znajdzie niemały do zapłacenia dług, bo się wiele czasu zmarnotrawiło na służbach postronnych. Ale ty zostaniesz młody i zaledwie od ziemi odrosły, któż cię poprowadzi w dalszy świat? Rad specjalnych żadnych nie mogę ci dać, bo czyż to wiem, w jakich terminach będziesz? Ale pamiętaj sobie to: *primo*, bez wysłuchania mszy świętej żadnej wielkiej nie poczynaj imprezy; *secundo*, bez spowiedzi i przyjęcia ciała i krwi Pańskiej żadnego solennego aktu nie czyn; a *tertio*, kiedy będziesz *in dubio*²⁹ w jakiegokolwiek materii, starych a prawych ludzi się radź. Póki żyje pan Błoński, niechaj on będzie kompasem dla ciebie.

Pan Błoński, dziedzic Kotowa, Berezki i wielu innych włości, dawniej chorąży, później stolnik sanocki, a podczas konfederacji jednomyślnie marszałkiem obrany, który to urząd jednak dla wieku swego i podagry odrzucił, mieszkał tylko o milę ode mnie. Zaraz też nazajutrz pojechałem do niego i pograwszy z nim jaką godzinkę w warcaby, w którą to grę każdy gość zawsze z nim musiał grać, rozpocząłem długą w materii ożenienia się mego naradę. Owóż, wysłuchawszy mnie, tak mi on rzekł:

– Chwali się to waści i bardzo, że postanowienie się w stanie małżeńskim za akt ważny uważasz i czynisz go materią statecznego rozmysłu. Cieszyłby się skarbnik nieboszczyk tym niepomału, gdyby żył jeszcze; jednakże zanadto skrupulatnie rzecz bierzesz i za mało ufasz sobie. Rannego wstania, rannej siejby i rannego ożenienia jeszcze nikt nie żałował, a którego doświadczenia jeszcze dziś nie masz, tego z czasem nabędziesz. Moja rada, nie marnować czasu daremnie za młodu i samowolnie się nie narażać na złe pokusy. Puść się waść trochę w świat, właśnie idą zapusty, oglądaj się pomiędzy ludzi i szukaj, a kiedy co znajdziesz, do czego byś pociąg sreca miał, to niech Bóg błogosławi. Tylko się nie pnij pomiędzy pany, bo z paniątkiem to bieda. Ja też odpowiedziałem:

– Niech mnie Bóg broni! panie chorąży dobrodzieju, żebym się piął wysoko; Nieczujowie zawsze pośrodku, ale dobrego rodu musi być, bo z byle kim krwi mojej nie zmieszam. Nie dałbym spać spokojnie moim ojcom po grobach.

– Tak się należy – odpowiedział pan Błoński – ale szlachta nasza sanocka jest dobry ród, chociaż ubogi, a może i niejednemu senatorowi by trochę dziadów i babek zabrakło, gdyby się z nimi obliczył. Kto tego ciekawy, niech zagładnie do ich familijnych papierów, które starannie chowają, a przekona się, że prawda jest, co powiadam. Kiedy stolnikowałem tej ziemi, zdarzało mi się nieraz widzieć u nich dokumenta jeszcze od Bolesławów *in originali*³⁰, a to niemała rzecz, mospanie, bo u nas, jeżeli kto sięgnie rodem do Ludwika Węgierskiego, to już powiada się wielką krwią. I nie ma się co na to oglądać, że ich przodkowie ani się gęsto rozsiadali w senacie, ani się bardzo pieli do wysokich zaszczytów, bo przecie wiadomo jest, że ziemia ta nawet nieczęsto bywa wspomniana w historii. Nie, wadzi to jednak nic do starożytności rodu tutejszej szlachty. Ziemia ta, odgraniczona prawie dokoła górami od

²⁹ *in dubio* (łac.) – w wątpliwości.

³⁰ *in originali* (łac.) – w oryginale.

innych, a południową stroną do samych Węgier przypierająca, od wieków rada zamykała się w sobie samej, a jak ona mało mieszała się do wewnętrznych spraw Rzeczypospolitej, tak i Rzeczpospolita nawzajem mało wglądała w nią. I dobrze było obudwom z tym, a to o tyle lepiej, ile że Rzeczpospolita z przyczyny ziemi sanockiej nie miała nigdy żadnych ciężarów ani kłopotów, a natomiast miała z niej pewną i uczciwą pomoc w każdym naglejszym razie. I tak nieodmienna tradycja jest, że podczas wojny Jagiełły z Krzyżakami ziemia ta tak piękną wystawiła chorągiew, że aż samemu królowi wpadła w oko i miało być tak, że kiedy w siedem lat po owej bitwie grunwaldzkiej Władysław król z Elżbietą, córką Ottona z Pilczy a wdową po hrabi Granowskim, ślub miał brać, to przez wdzięczność za ową przysługę sanockiego rycerstwa, brał. go w kościele w Sanoku, któremu to obrzędowi szlachta tutejsza asystowała *in pleno*³¹, o czym nawet piszą historykowie. Jednak kto by chciał historię tej ziemi układać, co by była rzecz bardzo piękna i uczciwa, ten daleko dalej by musiał sięgnąć, a to aż w owe zamierzchłe czasy, kiedy całe góry sanockie były tylko kilku rodów szlacheckich własnością. Niektóre z nich chowają się jeszcze dzisiaj, a lubo już tak podupadły, że tylko na jednej albo na kilku wioskach siadają, to jednak znajdują się u nich dowody na to, czym ich przodkowie bywali dawniej i kędy były ich dziedzictwa granice. Ile mnie jest wiadomo, to najdawniejszymi rodami w tych górach są: Urbańscy, Karszniccy, Osuchowscy, Trokulascy i Wisłoccy. Późniejszymi czasy przyszedli dopiero z Węgier Balowie i wciąż ziemię kupując a bogato się żeniąc, do wielkiej powagi tu przyszedli, a nawet i owych starodawnych przyćmili, bo najdują się i w senacie, i na kasztelaniach drażkowych, i podkomorstwach bardzo gęsto. Bobowscy zaś, Strzeleccy, Krajewscy, Górscy to już późniejsi, ale za to znowu od nich dawniejsi Laskowscy, którzy idą od Oświęcimów, i Konarscy. Jakoż piękne miejsce zajmują Bukowscy z Nozdrca i Bukowa, Trzcinińscy z Dynowa, Żurowscy z Rączyn, Nowosielscy z Wojtkowy, Chojnaccy ze Strwiążyka, Dydyńscy z Sielnicy i Witryłowa, Łazowscy z Dydni; dalej Tamowieccy, Łaszewscy, Walewscy i Zarembowie, na koniec Pieniżkowie, którzy z krakowskiej, Wiktorowie z sądeckiej, Brześcińscy z Rusi Czerwonej, Gniewoszowie z przemyskiej, Łosiowie z halickiej ziemi, a Jordanowie znad Wisły tutaj pozachodzili, gdzieś aż około pierwszego najazdu Szwedów na Polskę. Że nie wspominam o znakomitszych tej ziemi domach, jako o dawno wygasłych już Kmitach i dziś żyjących Krasickich i Stadnickich, którzy, lubo tutaj niektóre ziemie posiadali, jednak pierwsi mając Krasieczyn, drudzy Łańcut kolebkami swych rodów i mieszkając już prawie w senacie, raczej do całej Rzeczypospolitej należą i w komput³² prowincjonalnej szlachty nie wchodzi. Na dowód starożytności owych rodów szlacheckich, o których najpierwej wspominałem, nie tylko służyć mogą niektóre dokumenta i pamiątki, które się pomiędzy potomkami przechowały, ale głównie podania, które się w ich ubogich dziś dworach razem ze starymi Bibliami i kronikami pielęgnują. Do niektórych imion przywiązane są odwieczne, a czasem bardzo piękne powieści, które jawnie świadczą o ich najdawniejszym pochodzeniu i owym, dziś już wyiębłym, znaczeniu, którego dawnych czasów zażywały. Przodek pomiędzy nimi wszystkimi trzyma ród starodawny Urbańskich, o których to powiadają: praszczur ich w prostej linii, który żył za króla Bolesława Chrobrego, a jeszcze wedle ówczesnych obyczajów się inaczej nazywał, był okrutnie bitnym rycerzem i mając własną na swoim sumpcie³³ utrzymywaną chorągiew, całe życie trawił na wojnach. Owoż, kiedy Bolesław król wojnę miał z Rusinami, ów Urbański przyszedł mu ofiarować swój sukurs³⁴ i wyćwiczonym żołnierzem swoim tak potężnie Rusinów gromił, że aż sobie szacunek, a potem i przyjaźń królewską pozyskał. Owoż, kiedy się Polacy z Rusinami spotkali nad Bugiem i wielką bitwę im dali, jakoś szczęście poszło na stronę nieprzyjacielską; Urbański jednak przytomności nie tracąc, a widząc, w którym

³¹ *in pleno* (łac.) – w całości.

³² komput (łac.) – poczet, rejestr, liczba.

³³ sumpt (łac.) – koszt, nakład.

³⁴ sukurs (łac.) – pomoc.

miejszu najgroźniej nieprzyjacieli prze, kiedy tam wytnie ze swoimi, zaraz też i szala szczęścia przeważała się na stronę naszą, a Bolesław król po staremu ze zwycięstwem odeszedł. Urbańskiemu jednak za owo męstwo dał taki przywilej, żeby szedł tutaj w te góry i ile sobie ziemi mieczem zdobędzie, tyle jej może posiadać dla siebie i potomków swoich. Otóż on, jak tu wpadł, to całą przestrzeń, co to dziś nazywają za Chwaniowem, od samego Przemyśla i Dobromila po prawym brzegu Sanu, aż po dzisiejsze Lesko i Ustrzyki, zabrał i opanował. Wielkie miał tedy państwo ten rycerz, a chociaż potem dużo ziemi od jego potomków poodpadało i snadź pomieniali za inne, to jednak tej familii fortuna tutaj przez długie czasy największą była, a za mojej pamięci jeszcze do Urbańskich w samym Sanockiem należało do kilkudziesiąt wsi; ale służbę około Rzeczypospolitej nigdy inaczej nie odbywali, jeno z żelazem w ręku, a do wysokich urzędów się nie pięli, bo już taki był obyczaj w ich rodzie. Co nawet bardzo pięknie za nimi świadczy, bo owe parcie się do zaszczytów i urzędów, to zawsze pokazywało się, że to jeno była żądza starostw, intrat lub władzy w celach jakich partykularnych³⁵. Otóż to tak było, mospanie – kończył pan Błoński – i tak się ma rzecz z owym szlacheństwem sanockim; gdzie zaczepisz, mospanie, to czy będzie fortuna, czy nie, ale krew pewnie jest.

Z wielką uwagą słuchołem tych pana chorążego powieści, które jeszcze dalej ciągnął, bo jako tak stary człowiek, każdy prawie ród na palcach znał. I dawniej to jakoś u wszystkich pierwsza była rzecz, ażeby i swój ród, i sąsiadów dobrze znać i stąd zawsze wiedzieć, co się komu należy. Za moich czasów dopiero, kiedy ludzie poczęli się filozofią bawić, a rozum nad dawne zwyczaje wynosić, dopiero i tamto wszystko wzięło w łeb, a dziś niejeden już może nie wie, jaki był jego dziad.

Otóż nasłuchawszy się wielu ciekawych rzeczy od pana chorążego i wszystko to sobie pięknie w głowie rozważywszy, wróciłem z postanowieniem puszczenia się trochę w świat, a kiedy by Bóg dał, to i poszukania sobie żony w jakim uczciwym domu szlacheckim. Dopieroż począłem sobie roić po głowie, jaki wóz wezmę w tę podróż? jakie konie? jak sobie ludzi ubiorę? w którą udam się stronę? ot! jak to u młodych bywa zwyczajnie. Ale to człowiek tak, a Pan Bóg inak. Jednego dnia, kiedy ani pomyślał o tej podróży i w mróz trzaskający, że aż gonty pękały na dachach, krzątam się koło spichrza, patrzę, sunie Mazur z kobiałką na plecach i z listem za wstążką od kapelusza, a zziąbł jak lód.

– Pochwalony.

– Na wieki. A skąd to?

– Z Kosyc.

– Od kogo?

– Od Konopki.

– Od Konopki! – zawołałem – a cóż to, Konopka twój brat?

– A widzi, tak go wołają.

– Co widzi? co wołają? przecie to twój pan.

– A ino.

– No to kiedy ino, to mówże „pan”.

– Jj! to ta wszycko jedno, jegumość, bom strasznie zziąb.

– A żebyś i zamarzył, to jeszcze oddaj, co się komu należy.

– Jj! on ta na to nie dba, będzie on i tak panem.

– No to pewna, że będzie! – i wzięłem list od Mazura; a kazałem go dobrze paść i poić, żeby tam między Mazurami nie nagadał, że tu nie dosyć, że zimno, ale jeszcze głód. Otóż Konopka pisał mi tak:

„Kochany bracie! Żenię się, przyjeżdżaj, bo zaraz ślub. Twój sługa i brat. Konopka ręką swą”.

³⁵ partykularny (łac.) – tu: prywatny, osobisty.

No! – pomyślałem – jeno by im nagrobki dać pisać tym Mazurom! jak pałką uciął, taki list. Nie darmo to mi o nich mówił pan Urbański, że leniwi. Żeby choć był napisał, kiedy ten ślub? w jakiej wsi? z kim się żeni? Ale to już trudno, musi i tak być.

Rozporządziłem więc zaraz cztery dobre podjezdki, skarbniczek³⁶ przystojny jeszcze po moim ojcu, ale prawie jak nowy. Węgrzynka mego w nowy mundur ubrałem, wierzchowego konia osiodławszy, kazałem przypiąć do dyszlowych, aby to mieć zaraz szkapę od jakiego przypadku – i na drugi dzień świtem ruszyłem w Mazury. Kto mnie zdybał jadącego tak buczno, chociaż to nie powinno było nikogo zadziwiać, bo to rzecz kawalerska, każdy pytał:

– A dokąd to waszmość tak strojnie?

– Na Mazury – odpowiadam.

– Oho! to już pewnie gdzieś w konkur; dajże Boże szczęście! Nic nie odpowiadałem już na to, bo gdzieżby to się każdemu tłumaczyć? zresztą myślcie wy sobie, co chcecie, a ja wiem swoje.

Otóż dnia drugiego wieczorem, przyjechawszy do Tarnowa, prosto walę w gospodę – a stała ta gospoda na tym miejscu, gdzie się przedmieście Strusina zaczyna, na samym rogu po prawej ręce, i był to dom lichy, drewniany, przygarbiony i stary. Dach na nim mchem obrosnięty i miejscami pozapadany, brama krzywa z ogromnym drewnianym progiem; jednak wszyscy tam zajeżdżali, więc i ja, zajechawszy i ze skarbniczka wylazłszy, pytam zaraz na wstępie:

– Nie masz tu pana Konopki?

– Nie ma – odpowiada gospodarz, człek mały, rudowłosy i w szarą jakąś opończę zagarnięty.

– A kiedyż jego ślub? – Nie wiemy, panie.

– Z kimże się żeni?

– Hanuś – zawołał tedy gospodarz na swoją żonę – z kim to się żeni pan Konopka?

Wyszła z drugiej izby młoda a figlarnych oczu gospoia i pokłoniwszy się mnie:

– Pan Konopka? – odpowiedziała – pan Konopka się cale nie żeni; on się dopiero stara o pannę ze Żwiernika, ale to jeszcze daleko.

– Nie może być – rzekłem na to – lada dzień ślub.

– Już to nie, panie— odpowiedziała karczmarczka – przecieżbym ci o tym wiedziała.

– Nie wiem, dlaczego byś koniecznie miała to wiedzieć – mruknałem to sobie pod nosem i spytałem znowu: – A nie masz tu kogo z okolicznej szlachty?

– Są, panie, w izbie na drugiej stronie.

Szedłem więc tam, ale ponieważ karczmarczka z swoim filuternym wzroczkiem wyszła jeszcze za mną do sieni, aby mi drzwi do tamtej izby pokazać, więc rzeknę do niej:

– Aspani znasz pana Konopkę?

– Czemuż bym nie miała znać, panie? – odpowiedziała mi na to z uśmiechem.

– To mnie bardzo kontentuje – odpowiedziałem również z uśmiechem i wszedłem do owej izby. Przy stole, pod samym oknem, siedziało tam trzech szlachty. Mazurów – ale jakiejś pospolitej szlachty, bo mieli na sobie wytarte delie albo raczej opończe baranami podbite, spod których niemniej wytarte wyglądały żupany – i wśród chmur dymu tytoniowego, którego używanie jakoś z wejściem wojsk cesarsko-niemieckich bardzo poczęło być wchodzić w modę, pociągali sobie z blaszanych półgarcówek piwo tarnowskie. Koło nich stał żołnierz cesarski, którego rangi jednak nie mogłem rozeznąć z munduru, i kurząc ogromną lulkę, coś im tam rozповідаł. Kiedym wszedł, rozmowa ich nie przycichła, aż kiedym rzekł: – Pochwalony! – dopiero odezwali się: – Na wieki! – i dyskurs przerwali.

– Przepraszam waszmościów – rzekłem – że im zabawę przerywam, ale jestem obcy, a chciałbym się tu dopytać o pana Konopkę.

³⁶ skarbniczek – staroświecki wóz na żywność i przybory potrzebne w podróży.

– Aż daleka waszmość? – odezwie się jeden, poprawiając czapki zabrukanej na bakier.

– O, z daleka, mospanie.

– O pana Konopkę waszmość pytasz? – odezwie się drugi, który był siwy jak gołąb, wysoki, szaraczkowy żupan baranami podbity na sobie miał, a pasem litym bogatym, ale wyszarzanym po wierzchu był opasany; patron jakiś trybunalski czy foralny³⁷, jak mi to potem powiadano: – Był on tu wczoraj z rana, ale z panami Lubienieckimi pojechał do siebie.

– Kiedyż ślub? – zapytam.

– Ślub? – rzeknie stary – pono jeszcze daleko.

– Co u diabła! – mruknąłem sobie pod nosem – przecie pisze wyraźnie, że zaraz.

Tymczasem druga szlachta znów do mnie:

– Kogóż mamy honor poznać w waszmości?

– Obcy, mospanie; przepraszam, że przerwałem zabawę – odpowiedziałem i wyszedłem widząc, że to nie dla mnie kompania, ale wychodząc, słyszałem wyraźnie głosy: – Paniątko jakieś! – a drugi: – Może konfederacik, któremu się nie podoba kompania z cesarskim.

Tymczasem już i noc nadchodziła, więc rzekłem do gospodyni:

– Ja bym tu i przenocował, gdyby była izba jaka po temu.

– Nie masz, wielmożny panie, innej jak tamta – odpowiedziała gospodyni – a to pijacy, to posiedzą do późna w noc, zwłaszcza że ta szlachta to dzierżawcy książęcy i mają jakiś proceder z księciem, w czym zasięgają rady owego patrona, a ten patron lubi piwo, to pewnie radę swoją będzie przedłużał choćby i do północy.

– Jaki zaś jest ten żołnierz? – spytałem.

– To jest syn owego patrona, który już lat parę służy u cesarskich, a którego wszędy ojciec bierze ze sobą, gdzie darmo pić dają.

– Bardzo pięknie mówisz, moja mościa pani, musiałaś się gdzieś chować w przystojnym domu.

– Ja jestem rodem z Radomyśla, mieszczańskie dziecko, ale służyłam kilka lat w domu pani Strzegockiej w Żwierniku, a to dom wielki i pański...

– Tamże to, gdzie konkuruje pan Konopka?

– Tam, panie; ho ho! wiem ci ja o wszystkim, wiem.

– No, to bardzo ładnie, ale przecie ja bym chciał gdzieś kąta jakiego do spania... ot! wiesz asani co, kiedyś taka sprytna, szepnij, no temu patronowi do ucha, że ja bym mu zapłacił garniec dobrego miodu, jeżeliby się ze swymi klientami przeniósł do Waszej izby.

– Przecie jegomość mógłby i w naszym alkierzu nocować.

– Zapewnię, że mógłbym, ale ja wolę już tam.

– Jak wielmożny pan rozkaże.

I poszła sprytna karczmareczka, a niegdy służąca pani stolnikowej Strzegockiej, do swoich gości i wnet ich przeniosła do siebie. Tym sposobem dostałem kwatere, w której też zaraz rozgościłem się jak u siebie. Ale ledwie co pacierze odmówiwszy, począłem trochę usypiać, słyszę jakiś hałas na drugiej stronie. Pomacałem koło siebie, azali szabla stoi przy łóżku i czy ręką pistoletów dosięgnę leżących na stole, i znowu się położyłem. Aliści hałas znowu się odzywa, ba! słyhać nawet turkot i trzask jakiś wyraźny. Zerwałem się z łóżka i wciągam prędko buty na siebie, kiedy w tym momencie słyszę szturm do drzwi moich. Biegnę z pałaszem dobytym w lewej, a z pistoletem w prawej ku drzwiom, aż tu i głos pode drzwiami kobiecy: – Na miłość Boga żywego, puść mnie pan! – Otwieram: zaraz tedy wpadła karczmarka do mojej izby, zadyszana i drżąca ze strachu. Już więc nie pytam, co to jest, bo sam widzę wyraźnie, jak w owej izbie naprzeciwko jacyś ludzie tłumią się między sobą, a to tak, że się aż po podłodze walają, a mój Węgrzynek wali to wszystko z góry stołkiem, a

³⁷ patron jakiś trybunalski czy foralny – obrońca sądowy, adwokat, który miał prawo bronić spraw w trybunale lub na innym forum.

patron leje wodę na nich, właśnie jakby na psy, kiedy się pożrą pomiędzy sobą. Przybiegłem więc aż do tamtych drzwi, aby się przypatrzeć, ale trudno było dobrze rozróżnić, bo pełno było dymu w izbie, a łojówka się słabo paliła; poznałem tylko zaraz owych dwóch szlachty i owego żołnierza w mundurze, jakoż jeszcze kilku, to w ciemnych kapotach, to w białych mundurach, przy których się guziki świeciły. Więc aby także coś zrobić ze swojej strony, wymierzyłem z pistoletu w jakiś guzik świecący i wypaliłem, a potem Węgrzynkowi przyszedłszy na sukurs, poczęliśmy prędko i jednych, i drugich na dwór wyrzucać, to oknem, to drzwiami, jak się zdarzyło; wszędzie zaś, gdzie się guzik zaświecił, jeszcze pięścią po łbie albo w kark doprawiając. Przymieszał się do nas niebawem i sam gospodarz, który z szczerą niechęcią ku wszelkiej bitwie już był gdzieś leżał pod żłobem, i takeśmy prędko plac oczyścili, że mój Węgrzynek, rozmachawszy się, kiedy już nieprzyjaciół zabrakło, nawet i samego gospodarza oknem na dwór wyrzucił. Po czym chciał bramę zamykać i spokojnie się do snu układać, ale ja rzekłem:– Nie ma tu podobno co długo popasać – i rozkazałem w ten moment zaprzęgać, a jako tako rzeczy spakowawszy i do skarbniczka wrzuciwszy, zaraz drugą bramą wyjechałem z gospody. Dopiero objechawszy miasto na drugi koniec i wynalazłszy gdzieś przy lwowskim trakcie jakąś karczminę, tam się w chudobnej izdebce rozlokowałem. Jednak długo usnąć nie mogłem.

Na drugi dzień rano, tylko trochę szarzyć poczęło, budzi mnie zaraz Węgrzynek i mówi:

– Niech pan wstaje, konie już napasione i wszystko do drogi gotowe; tylko tłumok wypakować i jedźmy, bo tu lud jakoś bitny; niecieńko znowu przyjść gdzie do jakiej bitwy, a w dwóch to niekoniecznieśmy mocni.

– Prawda, że tu lud bitny – odpowiedziałem – ale trudnoż tak jechać, nie oddawszy Panu Bogu należnej czci, kiedy się jest przy kościele.

– Ba! ale bo nas poznają.

– Wielka rzecz! to się przecie tak brać nie damy, jak owce.

– Dobrze, panie.

Więc zebrawszy się i kazawszy mu tymczasem rzeczy popakować, sam poszedłem na mszę św. do Franciszkańskiego kościoła.

Dopiero po wysłuchaniu mszy św., powróciwszy do mojej gospody i zastawszy już wszystko gotowe, ruszyłem do Koszyc.

Niedaleka to droga, więc też niebawem na boku od gościńca pokazał mi się dwór koszycki. Około stajen i wozowni stało mnóstwo wozików, karabonów³⁸ i kałamaszek, bo chociaż to było w samym środku zimy, jednak sannej drogi jeszcze nie było – jakoż i wielu ludzi stało przed oficyną. Na turkot mego skarbniczka wybiegło wiele szlachty przed ganek, a na ich czele Konopka.

– Witaj, bracie! – rzekłem wyskakując ze skarbniczka. – A co, czy w czas przyjechałem?

Głośny śmiech rozległ się między gośćmi, a Konopka do mnie:

– Aj! niech ci Bóg sekunduje, jakiś słowny!

Już mnie to trochę ubodło i ów śmiech, i to przywitanie, a że mi mój ojciec nieboszczyk jeszcze na godzinę przed śmiercią powtarzał: – Nie dawaj zadrwić ze siebie nikomu, bo jak raz zadrwią, to już drwić będą przez całe życie; – więc ja zaraz na progu:

– Co ten śmiech znaczy? – a oni znów w śmiech. Skonfundowało mnie to trochę, alem się zaraz połapał i zawołałem:

– Mości Konopka! opatrz no mnie, jakeś jest mój przyjaciel, czy ja nie mam na sobie czego śmiesznego.

Oni jeszcze raz w śmiech – a Konopka na pół śmiejąc się, a na pół smutno znów do mnie:

– Aj! niech go diabli!... jaki słowny. A działo się to na pół w sieni, a na pół na dziedzińcu; więc kiedy mnie już złość na to porwała, sięgnę ręką do szabli i krzyknę:

³⁸ karabon – wóz kryty, z siedzeniami.

– Co to jest! jakem Niecują, ja ze siebie drwić nie dam! A tu jeszcze większy śmiech, że aż się zachodzą; a pod ścianą po prawej stronie najwyraźniej widziałem, jak jeden młody pucułowaty blondynek, jakem się później dowiedział, nazwiskiem Lgocki, skacze jak opętany i ciągle woła:

– Niecują, Niecują! cha, cha, cha, Niecują!

– Co to jest! – krzyknę i znów się porwę do szabli, kiedy oni wraz podniosą ręce i krzykną:– No, no! powoli! – Dopiero mi się przypomniały owe kitajki i suche razy, o których mi w lecie powiadał był pan Urbański i trochę dreszcz mnie przeszła po skórze: ale kiedy się oglądnę i ujrzę, że za mną mój Węgrzynek stoi już z gołą szablą, więc ja znowu do mojej i pomyślawszy sobie: dziej się wola Boża! – chciałem uderzyć i siekać. Ale w tymże okamgnieniu wysunął się Stojowski ze sieni (jeden z dwóch braci starościców, którzy na Grudnej siedzieli, a potem się na Dąbrowę, od książąt Lubomirskich nabytą, przenieśli) chłop duży, o wielkich sumiastych wąsach i minę pana mający – bo już to i mina, i wąsy to rodowe Stojowskich – i wzięwszy mnie z krwią zimną pod ramię, rzecze na strone:

– Panie Niecujko! Na bezbronnych nikt zbrojnie nie bije. Nie z waszmości się śmiano, aleś swoim niewczesnym junactwem śmiech ściągnął na siebie. Uspokój się, to ustanie.

– Ba! dobrze! ustanie; ale co się naśmiano, to ja tego darować nie mogę.

– Jak sobie zechcesz; tutaj też nikt o darowiznę nie prosi, bo to nie od łokcia ani od miarki kompania, tylko szlachta karmazynowa. Uspokój się, a z szablą się nie sroź, boby tu ani kawałka z ciebie nie pozostało.

– To niechaj nie zostanie! – krzyknąłem, bom już był w złości – kiedy honor zostanie, to wszystko zostanie. U mnie ręka ani noga nie znaczy nic, tam gdzie idzie o duszę.

– No, to bardzo pięknie – znowu zimno odpowiedział Stojowski – tylko uspokój się.

– Konopce pierwszemu nie podaruję, bo jako gospodarz powinien był bronić swojego gościa.

– Daj mu pokój; to jest *jovialis*³⁹.

– A żeby on był i diabeł sam, kiedy uczciwe imię ma, to niechaj o honor dba, a kiedy nie dba, to ja mu go tak naznaczę, że go już nigdy nie zapomni.

– Daj no pokój, u każdego kija dwa końce, kto wie, kto kogo naznaczy? A potem, na co tego, on się teraz kocha, jakżeż pójdzie z kresą do panny?

– Jak to kocha? przecie już ślub.

– Oj, nie jeszcze.

– Nie? a po cóż ja przyjechał?

– Bo się Konopka z panem Lubienieckim założył, że waszmość nie przyjedziesz na družbę i że Sanoczanie słowa nie dotrzymują.

– Konopka to powiedział! gdzie on jest, ten *jovialis*, ja go zaraz nauczę!

I wyrwawszy się z rąk Stojowskiemu, pobiegłem zaraz szukać tego *jovialisa*. Goście już byli poszli do izb, bo mróz był trzaskący, i tam się jeszcze zachodzili od śmiechu. Wyszukałem go zaraz i mówię tuż:

– Mospanie Konopka! sprowadziłeś mnie tutaj na zakłady jakieś, jakby jaką rzecz, a nie szlachcica i brata; wystawiłeś mnie na wstyd i śmiech; wiedźże tedy, że ja takich żartów płazem nie puszczam. – Na to on łagodnie:

– Ale bo widzisz... to była niewinna rzecz... ja stawałem w twojej obronie... to jakoś nie wypada...

– Aha! – rzeknę – małyś teraz? a jakiś wielki był, kiedy się śmiano ze mnie. Stawaj zaraz do sprawy, to już daremna rzecz.

– No, no! – odpowie on – nie taki ja bardzo mały, jak ci się zdaje – i zaraz szablę wziął z kąta i zśliśmy. A że u niego izby małe, więcemy poszli przed ganek, a mróz był, że aż gonty

³⁹ *jovialis* (łac.) – żartowniś.

trzeszczały na dachu. Idąc, Konopka zaraz sobie Stojowskiego wziął na sekundanta; ja przechodząc, rzuciłem okiem w kupę Mazurów, ale że żaden z nich sam mi się nie ofiarował, co się przecie należało, kiedy wiedzieli, że ja nie mam nikogo znajomego, więc ja sam stanąłem po prawej stronie przed gankiem, oni po lewej. Więc oni:

– A gdzież sekundant? – Ja też na to do mojego Węgrzynka:

– Janczi! weź pałasz i stawaj za mną. – A oni znowu:

– Pfe, sługa! – Więc ja głośno:

– Mości Janczi Mighaza de Isztvanferet, proszę waszmości na sekundanta!

Węgrzynek zaraz stanął, a oni się wypatrzyli rozumiejąc, że ja jakiego ukrytego magnata węgierskiego ze sobą wożę, co się tak długo nazywa. Tymczasem on w rzeczy szlachcic był, węgierski boczkorosz, niby nasz chodackowy, zwał się Mighaza, a był rodem z Isztvanferet, wsi, która leży gdzieś w pustkach debreczyńskich, a dostałem go był od grata Syrmaja, kiedym tam konie woził na sprzedaż. Ale źle się spisał Mighaza, bo tylko cośmy stanęli, on widząc, że kamerdyner Konopki, zapatrzwszy się na niego, także z gołą szablą stanął za swoim panem, wraz przyskoczył do niego i tegoż kamerdynera tak pięścią w gębę zajechał, że aż nieborak w śnieg się wywrócił. Dopieroż taki śmiech opanował wszystkich, żeśmy się aż brali za boki. Konopka jeszcze zaczął dogadywać do tego, tak że ja, trzymając goły pałasz w ręku, co chcę minę wroga zrobić, to ani rusz; zawsze mnie śmiech bierze: to z Konopki, który niestworzone rzeczy do tego plecie, to z kamerdynera, który się przy studni otrzepuje ze śniegu, a gębę już ma jak pudło, to na koniec z Węgrzynka, który, uczyniwszy swoją heroiczną, stał jak słup przy ostrogach i ani się ruszył. Co widząc, Stojowski (pięknym głosem rzecze do mnie:

– Ot! dajcie pokój tej bitwie, już jakoś sam Pan Bóg jej ni& chce. Daję słowo honoru, że ci tu nikt nie krzyw, panie Niecujko!

A w ganku ów blondynek, znów uderzywszy się dłońmi w kolana:

– Cha, cha, cha! Niecujka!

Alem już miał zastanowienie... Więc podałem rękę Konopce i kilku co przedniejszym z kolei – i nie mogę powiedzieć, jak tylko to, że dobrzy są ludzie i polubili mnie zaraz. Jenemu mi ten blondynek ze swoim „Niecujka” nie mógł wyjść z głowy, bo mi się wyraźnie wydawał jak jaki szatan, który wlaźł w kadłub Mazura, aby mnie swoim piekielnym śmiechem prześladował. Konopka zaś, rozgadawszy się ze mną na stronie, tak mnie mówił:

– Ot! co ci tam na tym zależy, że ślubu jeszcze nie ma? Ja, tak mi Boże dopomóż, myślałem, że to żart był, kiedyśmy sobie wzajemnie słowo dawali i druźbowanie przyrzekali. Pan Lubieniecki zaś utrzymywał, że zna sanocką szlachtę i chybaby nie Sanoczanin to był, który by choć żartem danego parolu nie dotrzymał. Więc założyliśmy się; że inaczej nie można było zakładu rozstrzygnąć, więc aż musiałem pisać. Pisałem zaś umyślnie tak krótko, ażeby, kiedy Bóg da, ciebie w wątpliwość wprowadzić. Owoż rzecz. Zaś z ożenieniem jest tak: jestem po słowie z panną Strzegocką, stolnikówną rzeczycką ze Żwiernika, ale ze ślubem jeszcze zwlekają.

– Czemuż to, panie bracie?

– Właściwie ważnej przyczyny temu nie masz żadnej, ale radzi Murdelio, więc go tam słuchają.

– Jaki Murdelio? – zawołałem. – Cóż ci powiem, Murdelio, mnich, kwestarz.

– Franciszkan z Krosna?

– Tak.

– Cóż on tam ma do dysponowania? krewny to jaki tego domu?

– Nie, krewny nie jest – odpowiedział Konopka – ale jakiś mąż świątobliwy czy tak bardzo rozumny, że jego rady tam słuchają bez kwestii. Albo cóż ciebie to tak zadziwia?

– Nic – rzekłem – poznałem go niedawno i dlatego się pytam.

– Gdzie go poznałeś?

– W Krośnie.

– Tak, bo on tam siedzi. Więc owo – prowadził dalej Konopka – choćbyś tu trochę na Mazurach pobawił, cóż by ci to wadziło? Luty jest, zapust jeszcze kilka tygodni, zabawisz się; w post pojedziemy sobie do Krakowa, a kiedy zechcesz, to i tamtędy pomiędzy szlachtę – a już koniom twoim owsa sypać będę, co zjedzą, i Mighazę winem spoję co dwa dni, kiedy taki zuch. I tak zbiegnie, do wiosny.

– Hm! – rzeknę – nieźle by to było być w Krakowie przy tej okazji, nieźle by i zabawić się tutaj. Może tedy tak będzie. Ale powiedz no mi, panie bracie, jaki to jest ten szlachcic, który się tak wciąż śmieje i woła „Niecuja”?

– Cha, cha, cha! – zawołał Konopka – to Jędrus staroście. Otóż ci powiem, że ten Jędrus stara się o drugą córkę pani stolnikowej; panna piękna i młoda, ale nadto delikatna i szczupła.

– Przecie mu jej nie dadzą?

– Otóż widzisz, że mają dać, bo ten Jędrus bogaty, rachują go do miliona, familia jego piękna i zresztą bardzo pocziwe z niego chłopczyśko.

– Ba, ależ setnie głupi mi się wydaje.

– Ach! jaki głupi! – odpowiedział Konopka i roześmiał się.

– Czegóż się śmiejesz? – zapytałem.

– Bom sobie przypomniał to, co mi właśnie o dowcipie Lgockiego opowiadano. Trzeba ci wiedzieć, że on już majątek rodzicielski odebrał i sam go administruje, a lubo i ten już jest bardzo wielki, toż jeszcze po panu Kąkolnickim prawie drugie tyle dostanie. Otóż, jak on gospodaruje. W jednej jego wsi, która leży nad Wisłą i w której on sam mieszka, łąka jednego kmiecia wyzwolonego tak przypierała do jego sadu z tyłu, że mu się ją kupić zachciało. Posłał tedy tam podstarościego, ale gdy ten mu przyniósł odpowiedź, że właśnie przed kilkoma dniami sprzedana: – Dobrze – rzecze – byle nie była pod moim sadem. – W parę tygodni jednak, gdy wyszedłszy za sad obaczył tę łąkę na tymże samym miejscu: – Tak! – zawoła – to powiedzieli, że łąka sprzedana, a łąka tu? – i posławszy po tego kmiecia, sypnął mu pięćdziesiąt bizunów za kłamstwo.

– O! głupi! – odpowiedziałem.

– Ale mu przez to pannę dają.

– O, nie będzie jej miał! – zawołałem.

– Dlaczegoż? ty mu jej przecie me zabierzesz.

– Kto wie – odpowiedziałem i jakaś myśl mi zaświtała w głowie, która mi nasuwała sposobność upieczenia dwóch pieczeni przy jednym rożnie; ale tymczasem przeszliśmy do izb tamtych, kędy drudzy zabawiali się goście. Więc poznałem się bliżej z piękną szlachtą tamtych okolic: jako z panem Rogalińskim, który, chociaż młody, niemałe już miał znaczenie u szlachty; z panami Stojowskimi, z których jeden nieodstępnym był towarzyszem księcia Marcina Lubomirskiego, marszałka konfederacji krakowskiej, mąż rycerski i prawy; z panem Jordanem, który potem służył ze mną w wojsku regularnym, z p. Krasuckim, który był tak gruby, że za dobrego wołu ważył, a zjadał ćwierć pirogów o zakład, i z wielu innymi jeszcze – tylko owego Jędrusia starościca omijałem z umysłu, bom go był znieawidził. Niebawem też dano obiad, przy którym pociągaliśmy po kropelce, fetując się nawzajem przy każdym kielichu przemowami i życzeniami. Jednak rozpusty nie było, a pod wieczór wszystko się rozjechało, bo każdemu niedaleko było do domu, my zaś z panem Konopką rozeszliśmy się wcześniej spać, każdy do izby osobnej.

Owóż znalazłszy się sam, dopiero począłem się pomału spowiadać z tego wszystkiego, co mi się od czasu mego wyjazdu z domu zdarzyło, jakoż i po trochę namyślać się nad tym, co mi dalej czynić wypada. I ze wszystkiego tego, co mi się przez myśl przesunęło, najbardziej mi głowę zagwoździł ów Jędrus staroście, który mnie tak głęboko dojął swym śmiechem, jakoż i owa panna piękna i delikatna, która już to niby miała popaść w ręce tego pucułowatego Mazura. Już przy pierwszym wspomnieniu Konopki o pani stolnikowej

Strzegockiej, gdzieś mnie to nazwisko wydało się być znajomym, nad czym pomyślawszy cokolwiek, doszedłem wkrótce, że siostra mego dziada, a rodzona ciotka mojego ojca była za jakimś Strzegockim; przy dokładniejszym atoli namyśleniu się przypomniałem sobie na pewno, że ów Strzegocki nazywał się Jakub i był wojskim sieradzkim, ale musiało to być jeszcze gdzieś za czasu najazdu Szwedów na Polskę, bo i to pamiętałem, że gdzieś zginął na wojnie. Ale czy tenże pan wojski był w rzeczy albo mógł być przynajmniej jakim krewnym męża pani stolnikowej, o którym nic nie wiedziałem, tego już zgadnąć nie mogłem.

Jednak, bądź co bądź – pomyślałem – za grzeczność nikogo nie biją: uda się? to dobrze, a nie uda się, to mogę sobie prosto ze Żwiernika pojechać do Bóbrki i wcale już nie druzbnować temu, który moje najlepsze chęci swymi żartami i zakładami znieważył. – Po czym zwyczajnie odmówiwszy pacierze, smacznie usnąłem.

II

Dnia następnego rano, powiedziawszy Konopce, że kiedy już tu na Mazurach mam się zabawić przez kilka tygodni, to wypada mi najprzód ze sprawami moimi obłatwić się w forum tarnowskim, gdzie mi jeszcze mój podpis położyć należy względem owej odsprzedaży Rab panu Urbańskiemu, i zostawiwszy u niego mojego podjezdka, sam wyruszyłem do Tamowa. Przez drogę namyślałem się jeszcze, gdzie stanąć w mieście, jednak nie suponując⁴⁰, aby z burdy przedwczorajszej mogły być jakie bardzo złe skutki, zajechałem wprost do tejże samej gospody. Aliści ledwie co w bramę zajechałem, wybiegła do mnie owa karczmareczka i ze łzami w oczach zakomunikowała mi tę fatalną nowinę: że mąż jej już całą dobę siedzi w kałauzie⁴¹, że go biorą na śledztwo i że go zapewne niebawem wezmą i na tortury, bo jeden z żołnierzy, którzy partycypowali⁴² w owej bitwie, ranny jest śmiertelnie i byłby pewnie zabity, gdyby nie to, że kula trafiła w guzik metalowy i straciwszy pęd, tylko głęboko wryła się za skórę. Opowiadała dalej, że jest najnieszcześniejszą kobietą pod słońcem, bo chociaż pewną jest tego, że jej mąż nie strzelał naówczas, czego dowód w tym, że żadnej broni palnej nie posiadał w swym domu, jednak ona, nie mogąc się wcale domyśleć, kto ten niefortunny strzał puścił, nie może z niego przed sądem usunąć suspicji⁴³. Przychodził wprawdzie do niej ów stary patron, który był świadkiem owej bitwy, i powiadał jej, że namyśliwszy się dobrze, może by sobie mógł wcale przypomnieć, kto był fen, który strzelił, jednak to by wiele kosztowało pieniędzy.

– Poilał go – rzecze na koniec karczmareczka – częstowałam miodkiem wybornym, którego garniec sprzedajemy po ośm złotych, postawiłam mu nawet flaszeczkę wina białego, aby sobie pamięć orzeźwił, ale jakoś nic nie pomogło. – Więc ja na to:

– Hm! ciekawa by to rzecz była – rzekę – dowiedzieć się, kto to strzelał do żywego żołnierza, ale to zapewne dzisiaj już trudno. Słyszałem ci ja wprawdzie strzał ten, ale mi się widzi, że wypadł zza okna, bo coś właśnie wtedy szyby zabrzęczały... Tymczasem niech was tu Pan Bóg ma w swojej opiece; ja, nawiedziwszy pana Dąbskiego w Wojniczcu, wracam już do siebie w Bełskie i śpieszę się, bo mnie listy doszły, że mi żona zaśląbla. Bądź aspani zdrowa.

I zaraz wskoczyłem na powrót do skarbniczka; szynkareczka jeszcze mnie zapytała:

⁴⁰ *suponować* (łac.) – przypuszczać.

⁴¹ *kałauz* (tur.) – więzienie.

⁴² *partycypować* (łac.) – uczestniczyć.

⁴³ *suspicja* (łac.) – podejrzenie.

– Wielmożny pan z Bełskiego?

– Z Bełskiego, duszeczko, i nazywam się Niewiadomski – i zawiąwszy się z głową w delię, kazałem ruszać z kopyta. Objechawszy miasto zaułkami i przedmieściami, dopiero na lwowskim trakcie odetchnąłem troszeczkę i tam przepytawszy się, kędy jest droga do Żwiernika, ruszyłem koło Gumnisk ku Górze Świętego Marcina.

Wieś Żwiernik leży o dwie mile od miasta Tarnowa, jednak wypadało mi popaść koniecznie; raz, że droga była haniebna i jechało się noga z nogi; po wtóre, że mi się trzeba było przebrać trochę, aby się godnie zaprezentować; a na koniec, że należało mi tak celować, abym nie trafił na obiad, co byłoby dowodem lichego wychowania i uchybienia przeciwko etykiecie, już naówczas obserwowanej i po domach szlacheckich. Więc obaczywszy jakąś porządniejszą karczemkę przy drodze, kazałem do niej zajechać, a podczas kiedy woźnica mój bawił się z końmi, ja zaś wypiwszy kieliszek gorzałki z własnego puzderka, posilałem się jajami przez Żydówkę dla mnie ugotowanymi naprędce – Węgrzynek mój, rozpakowawszy tłumok, wybierał suknie i rozkładał na ławie, iżbym sobie wybrać mógł, które by mi się na dzisiaj odpowiednie zdawały.

Były to czasy, w których próżność ludzka objawiała się w ubiorze, a po prostu elegancja owładnęła już całą młodzieżą polską, a z rzadka trafiało się już zdybać choćby i pomiędzy chudobniejszą szlachtą młodzieńca, który by większą połowę swojego mieszka nie wypróżniał na jedwab i złoto ciągnione⁴⁴. Dwojaki jednak był wtedy sposób pojmowania tej niby-wykwintności w stroju i dwojaka maniera zadawalniania tej chuci.

Więc jedni, pozostawszy przy staroświeckim swoich ojców sarmackich zwyczaju, najwyższą piękność w tym względzie upatrywali w zgrabnie przykrej onym kontuszu, w ozdobnym i gładko leżącym żupanie, w bogatym perskim lub drogo cenionym chińskim pasie, który to ostatni nazywano bawolim, a który, nie mając żadnej kruszcowej nitki w sobie, z wełny lub jedwabiu był tak misternie tkanym, że pomimo trzech- i czterołokciowej swej szerokości, dawał się przez pierścień przeciągać, a często osobliwie, kiedy dno miał białe, kosztował sto i dwieście dukatów – strojność widzieli oni w czapce pięknej i zgrabnym buciku, w szabli bogato oprawnej i wąsiku przystrzyżonym misternie, a na koniec w klejnotach, którymi mogły być ozdobione piórka u czapek, spinki u żupanów, rękojeście i pochwy u szabel, i ręce w pierścieniach.

Inni atoli, uroiwszy sobie jakąś niechęć do staroświecczyzny i wypatrzwszy grubość i niezgrabność w sukni swych ojców, całą piękność założyli sobie w sukniach zagranicznych, kusych a ogoniastych, w pluderkach wąziutkich, w pończoszkach i trzewikach z bogatymi kłamrami, w kamizelkach bramowanych galonami i kolbertynami⁴⁵, w perukach fryzowanych i pudrowanych, a na koniec w koszulach i mankietach, których jedna para, kiedy była z cienkiego batystu i przednimi koronkami obszyta, wyprowadzała za siebie z Polski cenę kilkuset korcy pszenicy. Gust ten, nazwany francuskim, albo inny jemu podobny, nazwany włoskim, a obadwa koniecznie perfum wymagające dla siebie, kilka razy się już zapędzali na tę ziemię kontuszów. Suknia kusa jedwabna i trzewik pokazały się niegdy nad Wisłą z królową Boną, snuły się po Krakowie za Zygmunta Augusta, wjechały nowym transportem z Henrykiem Walezym, atoli niebawem szwedzkiej ustępując się kryzie, nie pojawiły się znowu, aż na dworze Marii Ludwiki, Jana Kazimierza małżonki. Nigdy jeszcze wszakże do tego czasu nie zaraziła się nią prowincja, a lubo w senacie znachodziła niemało miłośników dla siebie, jednak zawsze pozostawała w nader szczupłej mniejszości – a kiedy za tegoż króla kontuszowi Polacy na otwartym teatrze z łuków wystrzelali francuskich aktorów, najbardziej tę cudzoziemszczyznę propagujących, to i znikła z kretesem, a za króla Jana i za cenę drugiego zwycięstwa pod Wiedniem nie znalazłby był nikt w Polsce męskiej nogi w trzewiku.

⁴⁴ złoto ciągnione – nitki złote, którymi przetykano kosztowne tkaniny.

⁴⁵ kolbertyna – szeroki galon.

Jednak za Sasa pierwszego znowu pomału poczęły się jawić peruki, za drugiego Warszawa więcej miała peruk niż czupryn naturalnych, a z początkiem panowania Stanisława Augusta już i na prowincji zagęściły się tak te dziwadła, że stary żupan nieraz musiał ustępować z placu przed przycinkami harbejtla⁴⁶. I tak, czego żaden cudzoziemiec król ani królowa nie zdołali uczynić, tego Piast rodowity dokazał z łatwością. Owóż w tych czasach, które opowiadam w tej chwili, na Mazurach już i głównie w okolicach bliskich bitego gościńca i częstszej z zagranicą komunikacji, trudno już było znaleźć gdzie liczniejszą kompanię, w której by się przynajmniej kilku tych perukarzy nie spotkało, a nawet i w ziemiach oddalonych, jakimi są: sandecka, sanocka i Ruś Czerwona, nierzadko pomiędzy wylotami wykręcał się i woń swego pudru roznosił jaki panicz kolbertynowy; i lubo nas, staroświeckich, jeszcze wtedy było daleko więcej i pomimo to nawet, że szczególnie pasja była pomiędzy nami podkówkami deptać po safianowych trzewikach i dmuchać w perukę, a niejakiem heroizmem pomiędzy młodzieżą brać na szable tych konduktorów perfum i pudru, niceśmy przecie nie dokazali, a wola Boża została na nas spełnioną, jako stało już od wieka zapisano w księdze przeznaczeń. Jednakże lubo się tak stało, żeśmy od owych miłośników peruk i perfum a adwersarzy⁴⁷ naszych pobici zostali, jeszcze zawsze przyznać im nie mogę prawdy w tym, jakoby strój ów dawny był gruby i brzydki. Rzecz, którą jeden z niepoślednich narodów z prawdziwym zamiłowaniem pielęgnował i pieścił przez tyle wieków, nie była nigdy za życia, a nawet i dzisiaj w grobie jeszcze nie może być brzydką; wątpię nawet, ażeby strój nowomodny, który dzisiaj cały świat cywilizowany ubiera, kiedykolwiek w najdalszej przyszłości i w czasach swojego najwyższego udoskonalenia z owym staroświeckim a grubym, we względzie piękności i powagi chociaż w najodleglejsze mógł pójść porównanie. Którą to prawdę odebrawszy wraz z wielu innymi puścizną po moim ojcu, miałem ją w sobie niezachwianą i w czasie mojej młodości, i w czasie mojego gaszkostwa; a lubo wiedziałem dobrze, że nasze kobiety daleko chętniej przytulają się do piersi koronkami okrytej niżeli twardym obleczonej kontuszem i że nie obawiając się pokłuć około twarzy ogolonej i gładkiej, prędzej koło niej migną swoimi usteczkami i bieluchną pogładzą ją rączką, jednak wolałem już rezygnować z tych łask fartuszkowych i perukarzom niejednego na tym polu odstąpić zwycięstwa, ale to za to, aby nie dawać zwyciężać gdzie indziej. I zostałem przy stroju mojego ojca.

Więc i Węgrzynek, rozkładając szaty moje na ławie, nie rozkładał tam ani peruk, ani batystowych koszulek, ani fraków aksamitnych, ani trzewików, jeno położywszy trzy żupany i tyleż kontuszków, trzy pary butów różnej barwy i trzy czapek z pasami, stanął do ubierania. Lubiałem się ubierać i za młodu wiele dawałem na elegancję, ale szło to u mnie piorunem: wskoczywszy w buty, ani jedno *Ave* nie minęło, kiedym już stał gotowy *et quidem*⁴⁸ na ten raz w białym srebrno-kwiecistym żupanie, kontusz na nim koloru orzechowego z białą aksamitną podszewką, czapka biała aksamitna z kasztanowatym barankiem, bucik żółty na skórzanych obcasach i pas karmazynowy bawoli, a skoro przypiąłem do boku lwowską szmelcowaną czeczugę⁴⁹, z rękojeścią w srebro oprawną i na srebrnej, i na karmazynowej rapci⁵⁰ zawieszoną, i delię zarzuciłem na siebie, to już jeno siadać było i jechać. Jakoż i ruszyłem natychmiast, a właśnie się zbierało ku wieczorowi, kiedym dwór żwiernicki obaczył.

A dwór ten był piękny, murowany i niby pałac wyglądał. Środek jego był okrągły niby nawa jakiego kościoła, przed którym stał ganek wielki kamienny, z wielkimi szklanymi po

⁴⁶ harbejtel (niem.) – siatka lub woreczek na pomieszczenie harcapu, warkocza u peruki noszonej przez mężczyzn w XVII i XVIII wieku.

⁴⁷ adwersarz (łac.) – przeciwnik.

⁴⁸ *et quidem* (łac.) – a mianowicie.

⁴⁹ czeczuga – rodzaj szabli.

⁵⁰ rapcia – pasek z taśmy albo sznurków do noszenia szabli.

bokach ścianami, których górne szyby były z szkieleń różnobarwnych złożone; po obu stronach tej nawy środkowej rozciągały się dwa pawilony, tak duże, jakby dwa dworki odrębne, nad nią podnosiło się piętro wysokim dachem okryte, z którego środka wychodziła niewielka wieżyczka, ozdobiona z blachy wyciętym i za wiatrem obracającym się herbem familii. Nad obudwoma pawilonami wznosiły się zamiast piętra tylko murowane facjaty, z framugami we środku, w których każdej był zamieszczony jakiś święty czy rycerz z kamienia wykuty. Zabudowania gospodarskie, stojące po prawej stronie, wszystkie były z kamienia lub cegły, także oficyna wyciągnięta po lewej; pomiędzy tym wszystkim zaś dziedziniec gładki z klombem krzewów i kwiatów na środku, na teraz umarznionych, ale zapewne cudnie pięknych w czasie wiosny i lata. Czwartą zaś ścianę tego kwadratu formowały pięknie malowane sztachety z bramą murowaną we środku, a w jednej z jej kolumn znajdowała się budka dla odźwiernego, dzisiaj jednak już próżno stojąca. Naokoło zaś tego wszystkiego widać było ogród częstokołem obwiedziony, ozdobiony altankami, parasolami, kamiennymi figurami i Bóg wie nie czym jeszcze: zgoła wszystko więcej po pańsku niż po szlachecku. Więc to obaczywszy, trochę mnie dreszcz przeszła, żeby tu co głupiego nie zrobić, ale myślę sobie: ej! jakoś to Pan Bóg da! *fortes fortuna juvat*⁵¹, a jeżeli się co trochę nie uda albo zakołkuje w dyskursie, to już to musi pójść na konto powinowactwa. I wylazłszy z woziku, wałę prosto do sieni; jednak to mnie jakoś zdziwiło, że na moje przybycie ani jedna twarz nie wyjrzała, ani pies nawet nie szczeknął. Albo nie masz nikogo w domu? albo już tu taka pałacowa powaga? ale, bądź co bądź, delię oddałem Węgrzynkowi w sieni, wąs pomuskałem, pogładziłem czuprynę, pasa poprawiłem i w tył zarzuciwszy wyloty, wchodzę w pierwsze drzwi po prawej. I trafiłem dobrze, bo do anty kamery⁵², w której było cichutko jak mak siał, jeno stary jakiś sługa, siwiuteńki jak gołąb, siedział pod piecem i przez zakopcone okulary czytał tak starą, jak on, książkę nabożną.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków! – odpowiedział zerwawszy się rączo.

– Jest pani stolnikowa?

– Jest, jw. panie.

– Którędyż iść?

Dopiero mi się z bliska przypatrzył i pyta:

– Jakże honor jw. pana?

– Mój honor? – rzeknę – jestem Marcin Nieczuja Śląski, skarbnikowicz zakroczymski, szlachcic ziemi sanockiej.

– Pójdę meldować – rzekł, a gdy odchodził, słyszałem najwyraźniej, jak sobie mrucał pod nosem:

– Marcin Szuja Nieczulski Zakroczymski. – Ale niebawem powrócił i pokiwawszy głową, rzekł z ukłonem: – Pani prosi.

Więc ja zaraz Węgrzynkowi kazałem złożyć delię w antykamerze, staremu położyłem czerwony złoty na stole i rzekłem:

– Pilnujże mi tu szuby, a ty idź do powozu.

Rozumiałem, że stary, wzięwszy dukata, wnet sobie „szuję” wybił z głowy, a ja, poprawiwszy jeszcze wylotów, rznę prosto do pokojów. Otwieram drzwi, ba! od razu sala tak wielka, że i na drugi koniec nie widać; ściany adamaszkiem obite, posadzka szlifowana, pełno pięknych sprzętów i różnych misternych gracików, duże zwierciadła w brązowych ramach, kobierce, świece woskowe w kilkuramiennych świecznikach, jednak pomimo tej wykuintności, we wszystkim przebija gust staroświecki. Widać, że wszystko tu nie tykane i stoi tak, jak przed laty kilkudziesięciu.

⁵¹ *fortes fortuna juvat* (łac.) – odważnym los sprzyja.

⁵² antykamera (łac.) – przedpokój.

Na adamaszkowej, tego samego koloru co ściany, poręczowej kanapie siedziała pani stolnikowa, kobieta lat może już koło czterdziestu, ale jeszcze tak piękna, że mogłaby być ujęć nawet za pannę, gdyby nie to, że ogień jej oczu błękitnych zdawał mi się zanadto przyćmiony i jak gdyby łzami zalany i że cała jej postać tyle miała stateczności i prawie posągowej powagi, ile jej tylko w podeszłego wieku i znakomitego rodu matronach znachodzić się zdarza. Jakoż i tej powadze, która zapewne pochodziła albo już z przyrodzonego usposobienia duszy, albo z wielu bolesnych doświadczeń, przeżytych jeszcze za młodu, odpowiadał strój niewykwintny i w ciemnych kolorach trzymany: więc lekka czarna kapuza na głowie, ciemnoróżowym atłasem podbita, i długi robion⁵³ materiałny wiśniowy, na który zarzucona była czarna jedwabna pielgrzymka⁵⁴. Koło okna siedziały jakieś dwie inne istoty niewieście, które coś haftowały przy krosnach, tych jednak od razu obejrzeć nie mogłem, bo ujrzawszy kanapę niepróżną, sunąłem prosto ku niej. Pani stolnikowa, widząc mnie wchodzącego, zaraz podniosła się z swego miejsca i postąpiła parę kroków naprzód, więc ja z pięknym ukłonem i z prawą ręką, w której czapkę trzymałem, wyciągniętą naprzód, ale pochyloną ku ziemi, natychmiast począłem w ten sens:

– Mam honor prezentować się pani stolnikowej dobrodziejce: jestem Marcin Nieczuja Śląski, skarbnikowicz zakroczymski, szlachcic ziemi sanockiej. – Pani stolnikowa też na to:

– Miło mi jest powitać waszmość pana w tym domu, ale jakimuż wypadkowi mam przypisać ten zaszczyt, który mnie tak niespodziewanie spotyka? – i wskazała mi ręką krzesło, sama opuszczone przez siebie zajmując miejsce.

– Nie jest to żaden niespodziewany przypadek, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem, delikatnie na misterne siadając krzesło, iżby mnie nie zdradziło – ale wypełnienie najżywszej mojego serca intencji. Mój ojciec, śp. pan Marcin Mieczuję Śląski, niegdy rotmistrz w wojskach: polskim, francuskim i jejmość imperatorowej rosyjskiej, później skarbnik zakroczymski i towarzysz pancernernej chorągwi polskiego autoramentu, opowiadając mi po staremu dzieje naszego rodu, nie zapomniał i o tym, że jego rodzona ciotka była niegdyś za panem Jakubem Strzegockim, Wojskim sieradzkim. Będąc tedy w tych stronach i dowiedziawszy się od mego przyjaciela, pana Konopki, że w Żwierniku mieszka pani stolnikowa Strzegocka, a suponując, że pomiędzy nami musi być jakieś powinowactwo, postanowiłem nie opuszczać tej szczęśliwej dla mnie okazji i, bądź co bądź, u nóg pani stolnikowej dobrodziejki osobiście złożyć moją nic nie znaczącą, a jednak szczerą rewerencję.

To jednym tchem wymówiwszy, rzuciłem z boku oczkiem na panny, a pani stolnikowa do mnie:

– Dziękuję waszmość panu bardzo za jego tak otwarte sentymenta i wielce sobie szacuję jego piękną pamięć dla koligacji; muszę mu nawet powiedzieć, że o ile mnie znajomą jest parantela śp. mojego męża, stolnika rzeczywistego a pułkownika – to słowo wymówiła z przyciskiem – chorągwi husarskiej polskiego autoramentu, rzeczywiście pan Jakub Strzegocki, wojski sieradzki a rodzony ojciec nieboszczyka, miał Śląskę za sobą. Ale zaraz my się tu przekonamy. – To mówiąc, obróciła się do panien i dodała: – Zosiu! idź no, poproś tutaj dziadunia albo przynieś mi manualik⁵⁵ herbowy w czerwony aksamit oprawny, leżący na moim biurku.

Zosia porzuciła krosienka i lekką nóżką jak ptaszek pobiegła po dziadunia lub manualik; pani stolnikowa zaś tymczasem do mnie:

– Tam jest zakonotowana cała parantela śp. mojego męża; było to kiedyś coś, było – dodała z westchnieniem – ale od króla Jana nie ma już na co patrzeć. Upadliśmy, panie skarbnikowiczu, bardzo upadli!

⁵³ robion (fr.) – szeroka, sztywna suknia, kolistą u dołu.

⁵⁴ pielgrzymka – pelerynka.

⁵⁵ manualik (łac.) – podręczna książeczka.

– Trudno to, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem – skarżyć się na los niefortunny, bo też i niepodobna, ażeby w wielkim mieście, które się wali w gruzy od końca do końca, jeden gdzieś domek został nie uszkodzony – a obejrzawszy się po sali i widząc w niej nie tylko piękność, ale i zbytek, dodałem: – Trudno mi tu zresztą dojrzeć upadku, mościa dobrodziejko, a jeżeli jeszcze wszystko odpowiada temu, co oto widzę, o czym wcale nie wątpię, tedy

tylko jeszcze Panu Bogu wypada złożyć dzięki za jego łaskę. Oj! bo to cał inaczej wyglądają domy obywatelskie po kraju! O! cał inaczej po tej nieszczęśliwej wojnie, która sobie właśnie te strony obrała na teatrum gry swojej.

– Proszę mnie też nie obwiniać o to, jakobym miała szemrać przeciwko woli Najwyższego Boga i Jego wyrokom, ale kto miał senatorów w rodzie, sam umarł stolnikiem i nawet syna nie zostawił po sobie, na tego potomków się Pan Bóg nie pogiewa, jeżeli westchną za dawną świetnością.

Nie przypominałem sobie, ażebym kiedykolwiek był słyżał o senatorach Strzegockich, i domyślałem się, że musiał się między nimi nachodzić jaki jeden i drugi kasztelan drażkowy lub deputat sejmowy, którego pani stolnikowa w niewiadomości swojej bierze za senatora; ale wtem drzwi się otworzyły i wszedł dziadunio, a za nim o pół kroku Zosia z manualikiem w ręku.

Obaczywszy tego staruszka, wstałem zaraz i z głębokim uszanowaniem stanąłem za moim krzesłem. Dziwnie bo to piękny staruszek był ten dziadunio. Wzrost miał więcej jak mierny, postać trochę przygarbioną, chód powolny i stąpanie niepewne, ale jeszcze dość rzeźwości i siły zdawał się mieć na swoje lata, które pewnie trzy razy przenosiły trzydziestkę. Włos jego biały jak mleko, długi aż do karku, ale już rzadki i tak rozwiany, że nad głęboko pooranym czołem poważna świeciła łysina. Twarz jego poważna, białym wąsem ozdobna, pełna była zmarszczków, które w różne porzbiegawszy się strony, tu i owdzie z różnymi kreskami złączone, dawały jej postać wcale zgrzybiałą, a pokrzyżowawszy i pozrastawszy się z sobą, trud, no dawały poznać, które z nich były samego wieku, a które szabli nieprzyjacielskiej śladami. Dziadunio miał na sobie kontusz popielatego koloru, delikatnymi kunami podbity, długi aż poniżej kolan i bez wylotów, pod nim żupan karmazynowego koloru, ale cokolwiek już wypełniony, pas na wierzchu lekki siatkowy, żółty bucik na nogach i białą konfederatkę na głowie, ale tę zaraz we drzwiach zdjął lewą ręką, w prawej trzymając krótką trzcinę i opierając się na niej za każdym krokiem. Widok ten pochwycił mnie jakoś za serce, bo dziwnie piękny to starzec był: coś mnie przypomniał mojego ojca nieboszczyka, coś portrety mych dziadów, wiszące u mnie na ścianie, a coś znów w nim było takiego, żebym mu był zaraz przypiął szablę do boku i dał mu klęknąć ze złożonymi rękami przy jakim wielkim kamiennym grobie, i niechby tak skamieniał i został na wieki wieków.

Zbliżywszy się dziadunio ku stolikowi, który stał przed kanapą, popatrzył na mnie i starym, ale jeszcze dosyć czystym głosem zapytał:

– Kogóż Pan Bóg przynosi w dom mojej córki?

– Imć pan Śląski, herbu Nieczuja – odpowiedziała pani stolnikowa. Tymczasem Zosia przysunęła poręczowe krzesło dziadkowi, na które on, czapkę złożywszy na stole, usiadł i po chwili namysłu zapytał:

– Ze Sandomierskiego? syn pana Marcina?

– Tak jest, panie dobrodzieju – odpowiedziałem – sam Marcin i syn Marcina, skarbnika zakroczymskiego.

– He?! – krzyknął głośno staruszek. Dopiero mi pani stolnikowa dała do zrozumienia, że trzeba dobrze gardło rozpuszczać, rozmawiając z dziaduniem. A on jeszcze raz:

– He? mów asan głośniej, bo u mnie każde ucho ma lat dziewięćdziesiąt i trzy, to ja już nie słyżę cichego gadania. Powtórzyłem moją odpowiedź, dopiero on:

– Takie to było jego skarbnikostwo! Obwołali go zakroczymscy skarbnikiem, kiedy się starał o Mężykówkę, powróciwszy z wojny tureckiej, ale podobno się skarbu ani ręką nie dotknął. Jakże mu się powodzi? czy zawsze jeszcze siedzi w Sandomierskiem?

– Wyniósł się już stamtąd, panie dobrodzieju – odpowiedziałem – i mieszkał potem w ziemi sanockiej przez lat przeszło dwadzieścia; ale teraz już w Bogu odpoczywa.

– Umarł? proszę! wiele, wiele młodszy ode mnie. Musiałże przynajmniej nahulać się jeszcze za ostatniej wojny? he? bitny to szlachcic był.

– Tak, po trosze, ale nie nadto, bo mu już ręka nie służyła.

– Ale wasze musiałeś mu dopomagać, rękę musisz mieć dobrą?

– Niczego, panie dobrodzieju, niczego. Panu Bogu na chwałę, ale z owego żołnierstwa mojego podobno do nieśmiertelności nie przejdę, bo trudno się bardzo dystygować na małej wojnie.

– Łatwiej jak na wielkiej, gdzie tysiącami biją na kupę, jak było za króla Jana; ale u niektórych to tak: na małej się nie biją, bo mała, a na wielkiej, bo wielka. Hm, hm... Śląski Nieczuja, Nieczuja Śląski... pomiędzy nami jakieś powinowactwo musi być; przecie wojski krakowski, Nieczuja Jan, ten, który był poszedł z królem Janem na wojnę, a tu mu palestranci wyparowali byli żonę z dziećmi i zajęchali dwór, że aż wróciwszy z wojny, zajazd musiał czynić na własną wieś... otóż ten wojski Jan, kiedym jeszcze był żakiem na Akademii Krakowskiej, kazał mnie się być tytułować wujkiem, a matka moja nieboszczka... ba! matka moja nieboszczka a jego żona były stryjeczne; przecie Grzymałówny obydwie... o!

– Tak, panie dobrodzieju.

– He! cześnikiem mnie nazywają, chociaż takie było moje cześnikostwo, jak twego ojca skarbnikostwo.

– Tak, panie cześniku dobrodzieju, ale jest jeszcze i drugi sposób, w który mam honor być asaństwem dobrodziejstwu powinowatym...

–No, którądyż to? –Przez śp. samego pana stolnika.

– Przez Strzegockiego? – zapytał dziadek, a namyśliwszy się cokolwiek, odpowiedział: – Prosta rzecz, rodzi go Śląska. A czymże ta Śląska była waści?

– Ta Śląska była rodzoną ciotką mojego ojca.

– A tak! – rzeknie starzec – pamiętam, bawiła za młodu przy jw. Ossolińskim na respekcie, sierotą była ubogą – bo dziad waści, syn Jana, Wojskiego krakowskiego, był człek lekki, całą fortunę przehulał; ojciec twój nawet z jego domu wyjechał o dwóch koniach i jednym pacholku i nie mając co robić innego, wojną się bawił, a kiedy wojny ni& było w domu, to szedł w służbę do postronnych potencyj... o!... konfederat dzikowski! dopiero mi się ochapia⁵⁶; przecie był ze mną w Gdańsku, kiedy miasto było obleżone przez Sasów... to, to, to, dobrze pamiętam. Toś ty syn jego? a pokażże mi się wasze, czyś do niego podobny?

I powstawszy cokolwiek, spojrzął na mnie, ale niebawem wzrok spuścił i na powrót usiadłszy, rzekł:

– Nic już nie widzę.

I w rzeczy ciemno się zrobiło, bo chociaż to ledwie parę godzin było Z południa, jednak, jak mówi poeta o tej porze:

*...w naszym miłym horyzoncie
Gdy południe u okna, zawsze wieczór w kącie.*

Tedy pani stolnikowa kazała wnieść światło, które się składało z dwóch świec jarzących, a stary znów do mnie:

– Gdzież ojciec mieszka?

– Nie żyje już – odpowiedziała pani stolnikowa.

⁵⁶ ochapia mi się – przypomina mi się.

- Hę? – krzyknął stary.
- Umarł.
- Aha! umarł! proszę, młody człowiek... ba! młody, tak się to zdaje, przecie musiał mieć lat siedmdziesiąt z czubem.
- O! pewno miał – odpowiem – żali nie więcej.
- Tedy i mnie już niebawem za nim iść; małym on zaczął być, kiedy my pod Leszczyńskim parli sieniawszczyków na Rusi Czerwonej.
- Ej! nie ma się czego śpieszyć tam, panie cześniku dobrodzieju, i podobno nie zaraz to nastąpi, bo zdrowie jegomości chwała Bogu jeszcze w pięknym jest stanie.
- Dworuj sobie zdrów – odpowie z uśmiechem stary – a pamiętasz:

*Płot trzy lata, kot trzy płoty,
Człek trzy konie, koń trzy koty;*

dłużej nie. A toć ja już trzy konie i jednego kota przeżyłem, a kiedy Bóg da do świętego Wita doczekać, to jeszcze będzie i jeden płot.

- Prawdać to, ale przysłowia to ludzka rzecz, a życie ludzkie, boska.
- Boska, boska, nie ma co mówić i wiem co do siebie, że byłbym pewnie setki dociągnął, gdyby nie tarapata... i różne terminy, które przyszło przebrodzić... szkoda mówić.
- Ale pani stolnikowa zakończyła tę urywaną rozmowę naszą, mówiąc:
- Tedy zamiast jednego pokazało się dwa powinowactwa pomiędzy nami, z czego mocno się cieszę, a to o tyle więcej, ile że sobie dobrze przypominam, z jaką czcią mój mąż nieboszyk zawsze wspominał Nieczujów rodzinę. Więc pan skarbnikowicz nie mieszka już w Sandomierskiem?

– Ja mieszkam w tym momencie w ziemi sanockiej, gdzie trzymam wieś Bóbrkę od jw. wojewody wołyńskiego prawem zastawu.

– Więc pan skarbnikowicz nie ma własnego dziedzictwa? – zapytała znów pani Strzegocka.

– Właśnie przeszłego lata skusiła mnie próżność moja zakupić parę wiosek w sąsiedztwie, bo się została gotowizna po moim ojcu i dobytku trochę więcej, niżeli jedna wieś zniesie; ale tak mnie Pan Bóg pokarał za ten grzech mój, że ledwie życia nie postradał w zawodzie tego nowego obywatelstwa.

Z którego to punktu szła potem dalej rozmowa, w której, wypowiedawszy się z mego życia i z mojej fortuny, powziąłem w zamian wiadomość, że pani stolnikowa posiada po mężu wieś na Wołyniu, która daje półtora tysiąca dukatów z dzierżawy, niemniej też dobrą wioskę koło Oszmiany, która właściwie należy do pana cześnika, przy tym Żwiernik i Strzegocice tuż koło Żwiernika leżące, nie jest zresztą bez gotowizny. Mówiliśmy jeszcze o innych stosunkach rodzinnych i niektórych wzajemnych przodkach naszych, przypominając sobie ich czyny i znaczenia, co jednakże pani stolnikowa wkrótce przerwała, mówiąc:

– Ale jakżeż ja się zapominam; nie zapoznałam jeszcze pana skarbnikowicza z moimi córkami. Chodźcie tu, panny.

W tym momencie obiedwie panienki, porzuciwszy swoje hafty i szepty przy krosnach, stanęły pomiędzy mną a staruszką, mając przed sobą stolik, a za stolikiem matkę, siedzącą na kanapie. Wtem pani stolnikowa:

– Oto jest moja starsza, Zuzia jej na imię, a zaręczona jest przyjacielowi waszmości, imię panu Konopce – i wskazała na tamtą, stojącą od strony dziadka, która usłyszawszy swojego przysłego nazwisko, i tak dosyć rumianą twarz jeszcze potężniejszym oblała rumieńcem.

– Ta zaś młodsza, imię jej Zosia – dodała matka, pokazując na drugą.

Piękne to imię Zosia, bardzo jest piękne... ale że to nie pora była zamyślać się, więc przystąpiwszy do nich i ukłon uczyniwszy kawalerski, rzekę:

– Wielce sobie szacuję ten dzień szczęśliwy, któren mi przynosi honor poznania dam tak znakomitych parentelą, jako też wdzięczną urodą i wychowaniem; chwila atoli ta tym mi pamiętniejszą snadź będzie dlatego, iż mi daje prawo, a nie wątpię, że i łaskawe pozwolenie, nazywania się odtąd waszmość panien po modnemu kuzynem, a po staremu honorowym kawalerem i uniżonym ich sługą.

– Niemniej i nas też to kontentuje – odezwała się Zuzia,

trzymając zapłonioną Zosię za rękę –r poznać w waszmość panu naszej familii bliskiego kuzyna oraz kawalera cnót pięknych, odziedziczonych po ojcach. – Więc ja znowu do Zuzi z ukłonem:

– Z którego to szczęśliwego korzystając momentu, nie mogę nie wyrazić mojego ukontentowania, którego doznam, družbując niebawem tak wdzięcznie dobranej parze, jaką waszmość panna uformujesz z swoim narzeczonym, a moim przyjacielem, panem Konopką.

– Jak? – zapytała pani stolnikowa – więc waszmość jesteś już zaproszony na družbę?

Tu dopiero musiałem, odchrząknąwszy, potężnym głosem całą rzecz opowiadać i zbaczając nieraz od materii, dziaduniowe zaspakajać pytania, które często do głośnego śmiechu pobudzały nas wszystkich, bo staruszek, nie dosłyszawszy lada czego swoim dziewięćdziesięcioletnim uchem, nieraz o takie rzeczy się pytywał, o których nikt ani wspomniał. Jeszcze opowiadania nie był dokończył, kiedy ów stary sługa na jednej wielkiej tacy przyniósł gotową już kawę dla całej kompanii, a na osobnej tacy buteleczkę starego miodu z lampką dla dziadunia, bo ten, ile że zaprowadzenie kawy w Polsce sam zapamiętał, nie mógł się jednak poddać nowomodnemu trunkowi, nad orientalny ten specjał przenosząc likwor doma urodzony *in crudo*⁵⁷ i doma do użytku sycony. Sługa nakrył tenże sam stół przed kanapą wielkim w kwiaty tkanym obrusem i w ten moment całą tę przekąskę, czyli raczej przepitkę, zastawił. Pani stolnikowa zajęła się nalewaniem kawy we filiżanki i porządkowaniem talerzów z grzankami, ja zaś tymczasem miałem sposobność przypatrzenia się pannom, każdej z osobna.

Otóż panienki te, chociaż siostry rodzone, jednak niejednakowo były ubrane, ale bo też i niejednakowe to były piękności. Panna Zuzanna była wzrostem słuszniejsza, miała na sobie suknię ciemną jedwabną, sznurowaną z przodu, z rękawami po łokieć, w staniku wciętą i całą z jednej materii. Na rękach miała rękawiczki irchowe, długie znowu po łokieć, z jednym palcem, a na resztę szła klapka z góry, która je nakrywała i była w złote kwiateczki po brzegach lita lub haftowana. Na ramionach miała zarzucony szal pojedynczy wełniany, różowego koloru, spod którego wyglądała róża czerwona naturalna, we włosy założona i cokolwiek przekwitła; we włosach były ślady pudru woniejącego o dziesięć kroków. Panna Zuzanna wcale nie była piękna: talia jej gruba, ręce dość ciężkie, twarz wcale niezajmująca, włos lniany, oczy czarne, nos nieregularny, usta cokolwiek odrzucone i broda spiczasta czyniły twarz pociągłą wprawdzie, ale niemą i nic nie przemawiającą do duszy. Biegły fizjognomista jaki byłby na niej dopatrywał trochę wyrazu złości, trochę dumy, trochę zarozumiałości, ale ani astronom nawet nie byłby dopatrywał rozumu.

Cale inną była panna Zofia. Wzrost jej niewielki, ale talia tak delikatna i zgrabna, że się zdawała nie po ziemi chodzić, ale unosić w powietrzu. Twarz miała więcej okrągłą niż ściągłą, ale bo też była prawie dziecięciami jeszcze. Nie wiem, azali więcej jak szesnaście razy lilie kwitły w jej oczach. Włos miała ciemny, czoło alabastrowej białości, oczy duże błękitne i tak mówiące, tak niewolące, a tak pełne promieni i blasku, że się zdawały migotać jak gwiazdy na niebie, których nieuzbrojone oko dojrzeć nie może. Nosek równiutki, usta ślicznie uformowane i tak mocno różowe, że żadna róża im sprostać nie mogłaby w świeżości. Jednak na całej tej tak uderzająco pięknej twarzy jakaś nieodgadniona żalność była rozlana, jakaś smętność taka, jakaś miękkość serca i duszy, że gdyby mi kto kazał wyobrazić sobie

⁵⁷ *in crudo* (łac.) – w stanie surowym

mdlejącego anioła i z wolna zlatującego na ziemię, tobym był Zosię pomyślał. Ubiór też jej był dziwnie odpowiedni naturze; miała na sobie jasnoniebieską suknię, delikatnego koloru, w górę' prawie do szyi dochodzącą, fałdowaną w szerokie fałdy aż do stanika, a w staniku, pod którym snadź żadnego nie było gorsetu, ledwie co przyciągniętą i ujętą paskiem także błękitnym. Na ramionach miała zarzucony kontusik biały z cienkiej wełnianej materii, białym jedwabiem podszyty, który białymi sznurami spiętym był pod szyją; u szyi śnieżnej jeden sznurek drobniutkich pereł, u których w środku uwiązany był krzyżyk złoty malutki i z perłami biegł między piersi; na głowie, gładko uczesanej, szeroko uplecione warkocze złożone były w wianek wielki dokoła, który się zdawał z czarnych róż uwity – z róż czarnych, do których wydania z siebie ziemia nasza nie dosyć ma szlachetności albo nie dosyć smutku... I nie rosną też one nigdzie oprócz w sercach żałobnych kochanków na ziemi i na grobach aniołów w niebie.

– Czy pan Marcin się z nami kawy napije, czy się przysiadzie do dziadunia do miodu? – zapytała pani stolnikowa.

– Ja, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem, budząc się nagle z zamyślenia – ja się kawy napiję z paniami, których zawsze jestem niez mordowanym i nieodstępnym sługą, a potem się do dziadunia i do miodu przysunę, bo już taka jest moja natura, że usłużę damom i wyczerpawszy przy nich moją niebogatą głowę z conceptów, idę do starych na nowo się zasilać mądrością.

– Otóż to jest zwyczaj godny naśladowania – odpowie pani Strzegocka, a podczas kiedy dziadunio już drugą lampeczkę miodu pociągał i zasłoniwszy się dłonią od światła, przypatrywał mi się z daleka, panny się przysiadły do stolika do swoich filiżanek, w których było mleczko, dla sławy tylko kawą zafarbowane albo dlatego, ażeby mieć asumpt⁵⁸ cukier rzucać do niego.

– Dwa grzyby w barszcz, mospanie Nieczujo – ozwie się z wolna staruszek – cóż poczniesz wtedy, kiedy się z sobą pobiją?

– W moim państwie, panie cześniku dobrodzieju, bić się nie wolno, każdy musi czynić to, co mu każe.

– Jakże pan skarbnikowicz tegoroczny zapust spędza? wszakże to już niedaleko Popielec? – zapytała panna Zuzanna, odejmując od ust filiżankę.

– Wcale niewesoło, moja mościa panno – odpowiedziałem – a prawdę mówiąc, jeszcze ani nogą nie ruszyłem w tym roku.

– Czy w Sanockiem nie tańczują? – zapytała znów ona z przekąsem.

– I owszem, może nawet więcej niż na Mazurach, co się tym dowodzi, że Sanoczanie, ile że na owsie chowani, o wiele lżejsi są od Mazurów i łatwiej ich kapela poruszy; ja jednak, opleśnawszy, że tak rzekę, po smutnej śmierci śp. mojego ojca, prawie nie byłem-w stanie się z domu wyruszyć i gdyby nie pan Konopka...

– O! już to pan Konopka ma wielki geniusz rozweselania...

– Osobliwie ciebie – rzeknie na to dziadunio, popatrzysz na Zuzię – bo kiedy tylko jest tu w Żwierniku, to się zawsze tak chichocze, że ja przy was i oka zamrużyć nie mogę.

Ja tymczasem spojrzałem na Zosię, która sucharek do ust przytuliwszy i białymi jak perły ząbkami go przycisnąwszy, ani go gryzła, ani od ust odejmowała, a zamyśliwszy się nie wiem o czym, swoje błękitne oczy tak wpatrzyła we mnie, że mnie aż za serce ścisnęło.

– Czemu to Zosia zawsze cicha i spokojna? – rzeknie znów dziadek.

– Bo Zosia tak lubi – odpowie starsza siostra – ja zaś przenoszę wesołość nad smutek, bo to niezdrowo.

– Prawdę masz! – rzeknie dziadek żwawo – na co się to frasować za młodu i w stanie panińskim? dość czasu będzie na to w rok po weselu, kiedy...

⁵⁸ asumpt (łac.) – powód, pretekst.

Ale pani stolnikowa przerwała mówiąc:

– Teraz pan skarbnikowicz zechce się przysunąć do dziadunia.

– Gotoweś z kawą, panie... jakże ci na imię? – zapytał dziadek.

– Jestem na usługi pana dobrodzieja – rzekłem i przysunąłem krzesło moje do dziadka, który chciał mi nalać lampkę, ale wzięwszy butelkę w rękę, przechylił ją, bryzgnął raz z prawej, raz z lewej, to znowu pod samą szklankę, a na koniec rzekłszy:

– Tak się starym dzieje, mosanie – i nic mi nie nalawszy, trzęsącą się ręką butelkę postawił na stole. Więc zacisnąwszy usta, iżbym się nie roześmiał, samem wziął butelkę i napełniłem lampkę, dziadek zaś tymczasem, porwawszy rękaw od kontusika Zosi, utarł nos w niego i najspokojniej go za swój pas zatknął, czego zamyślona Zosia cale nie uważała. Dopiero kiedy około Zuzinego ubioru chcąc coś poprawić, ruszyła się na swym krześle, jakżeż się oboje z dziadkiem nie zadziwili, kiedy ona ujrzała, że jej rękaw był za dziadkowym pasem, a dziadek, że mu chustka sama wyskoczyła zza pasa. Śmiech z tego zdarzenia, któremu panna Zuzanna głośnym dyszkantem prym dawała, trwał parę minut, po czym dziadek:

– Śmiecież się ze mnie – rzecze – że mam lat dziewięćdziesiąt; czemuż to mi się nikt nie śmiał w oczy, kiedy miał czterdzieści albo pięćdziesiąt? hej! toż byłbym mu gębę tak rozplatał, że już byłby się i na pogrzebie własnego ojca śmiać musiał, nie mając zębów czym pokryć... tak jak to zrobiłem jednemu Litwinowi, który ze mną służył w jednej chorągwi.

I wypróżnił staruszek lampkę swoją, którą ja z nową napełniłem butelki.

– Kto się dziś patrzy na mnie, przygarbionego dwoma mendlami lat, jak tu mówią Mazury – ciągnął dalej dziadek, wyciągając się i prostując – i na moją łysą głowę, i na ten włos rzadki, z którym by i wróble igrać dziś mogły bezpiecznie jak z martwą strzechą... kto by mnie wziął za rękę, w której już nic prócz żył i kości, i dotknął się twarzy mojej babkowatej jak grzybek... czy wierzyłyby ten, że ta ręka niegdy wór pszenicy brała jak jabłko za szypułkę, że ta głowa całej chorągwi rozkazywała na wojnach, że posłowała z oszmiańskiego powiatu na sejmach, że króla Leszczyńskiego odprowadzała het, „het! za morza, kiedy Sasowie przemogli... – i pociągnął znów szklankę miodu. – Nikt by nie wierzył, mosanie – mówił dziadek dalej, a głos jego za każdą szklanką miodu stawał się coraz silniejszym i wymowniejszym – nikt by mnie nie wierzył i ja się temu nie dziwię, bo i ja nie wszystkiemu dowierzałem, co mnie powiadano za młodu... a tymczasem, jak mnie tu widzisz przed sobą, tak ja na własne oczy króla Jana widziałem. Byłem dzieckiem natenczas, ale tak to pamiętam, jakby się wczoraj działo dopiero – i ja, mosanie, wraz z bracią szlachtą wojowałem przeciwko Augustowi II, któregośmy niechętnie królem obrali.

– Mości dobrodzieju! – rzekłem ja na to – lubo mój ojciec nieboszczyk także do tej samej należał partii i lubo także tak jak jegomość wyrażał się o nieboszczyku królu Augustie II, jednakże ja przyznaję otwarcie, iż gdybym był żył natenczas, to nigdy nie byłbym stanął po stronie tego, którego drapieżna Karola XII ręka gwałtownie nam narzuciła. Może to być prawdą, że król Leszczyński nieboszczyk, gdyby był osiadł na tronie, byłby daleko więcej dobrego zrobił dla narodu i niejedną piękną po sobie zostawił pamiątkę w tym kraju; jednakże, gdyby jeszcze dziesięć razy więcej wad miał w sobie nieboszczyk król August, to już to samo, że był wolnymi głosami obranym, prawowitym się stał i przeto naszym ręką był powierzony, już to samo byłoby dla mnie dostatecznym powodem, abym był ostatnią krwi kroplę wylał w jego obronie. Dla Leszczyńskiego zaś, jeżeli kto już dla tego samego nie utracił wszelkiego afektu, iż tenże za życia jeszcze prawowitego pana z swoją pretencją do tronu się był ogłosił, to go powinien był wtedy całkowicie utracić, kiedy tenże pretendent pod awanturnika Szweda i nieprzyjaciela całego narodu słowiańskiego się oddał protekcję i drapieżne jego głodnych rycerzów bandy naprowadził na owe ziemie, gdzie i noga taka stać była nie powinna. Zresztą i tego nie waham się wypowiedzieć, że nienawiść ową, którą niektórzy mieli i mają przeciwko Sasom, zawsze uważam sobie za jeden z takich przesądów,

które z prostej drogi poty nas sprowadzały na krzywe, aż póki nas na zupełne nie zawiodły bezdroże. Być może, że to pochodzi stąd, iż małym jeszcze będąc chłopięciem, do noszenia pomarańczowej czapki już się nazwyczałem; może stąd, iż pod panowaniem Sasów światło dzienne ujrzawszy, do nich za to i serce moje nagiąłem; ale jednak i to jest pewna, że mój ojciec nieboszczyk, lubo jako konfederat dzikowski pierwszy raz się wielkiemu pokazał światu i przez to na czas długi serce swoje od Sasów odwrócił, jednak przy schyłku swojego życia nie tylko że pomarańczową czapkę przywdział i byłby dał się w sztuki porąbać za Sasa, ale nieraz bijąc się w piersi, powtarzał, żeśmy nie umieli szanować tych panów i korzystać z ich panowania.

– Hm! – odrzekł starzec, popijając nektaru – młody jesteś, a dobrze powiadasz. Ale przez to mnie nie rozumiesz i rozumieć nie będziesz, aż póki włos tak nie pobieleje na twojej głowie, jak pobieleł na mojej. Jeżeli twój ojciec, jak powiadasz, przed śmiercią żałował tych dni, które dla jakiej sprawy w polu przepędził za młodu, to mu może trzeba powinszować żywota w niebie, ale nie zazdrościć jego dni ostatnich na ziemi. Ja może także inszą miałem opinię o Sasach, kiedy nadeszła moda noszenia czapek pomarańczowych, i może także co dla nich czyniłem, ale nie oblewałem przeto żalami mojej młodości. Młodzieńcowi bowiem żyć w nadziejach, mężom w czynach, a starcom snadź już tylko w wspomnieniach. Jeszcze ten, który ich ma wiele, i samych pięknych, i samych szczęśliwych, może pomiędzy nimi przerzucać i niektóre z nich ciskać na ofiarę dzisiejszym opiniom, które także są chwilowe, tak jak tamte były chwilowe, pod którymi stawały się jego czyny – bo nic nie masz wiecznego na tym świecie! Nic nie masz wiecznego – ot! ja, ja tylko lat dziewięćdziesiąt przeżyłem, a kiedy się dzisiaj po tej ziemi oglądnę, to żeby też jedna opinia, jedna nauka, jedno pokolenie, jedna rzecz jaka ziemską stała na tym punkcie, na którym stała, kiedym był pacholęciem! ani jedna! I zdaje mi się, że z tamtego wieku już tylko ja jeden zostałem się na tej ziemi z wiarą tylko w Boga na niebie, która jeszcze stoi niezachwiana jak dawniej, i z tą prawdą, że słońce stoi na jednym miejscu, którą i tak już może lada dzień kto obali. I myślisz ty, że to miła, że zabawna jest wędrowka po takiej drodze, na którą, gdy wstępowałeś, byłeś okolony milionami twoich rówieśnych, lecz po której idąc dalej, począłeś zaraz gubić tu jednego, tam dziesięciu, tam stu, a tam tysiąc od razu, a kiedy się w jej połowie obejrzałeś poza siebie, już i z was, wędrowników, nie było ani połowy. Ty byś może już wtenczas spoczął i pozostał z tamtymi, ale Pan Bóg ci kazał iść dalej, więc szedłeś. I idąc znowu gubiłeś twych towarzyszy, a gubiłeś ich teraz coraz więcej i gęściej i gromadka wasza się coraz zmniejszała, i zostało was tysiąc, potem stu, potem dziesięciu, potem dwóch, a na koniec i ten ostatni, westchnąwszy do Boga, upadł przy drogowskazie. I zostałeś już sam – sam jeden w świecie nowym dla ciebie i nieznanym, obojętnym, zimnym, uważającym ciebie za rzecz, za nic, za grób trochę się ruszający albo może nawet za zaporę, za zawadę, za upiora wałęsającego się pomiędzy żywymi. Pomędzy tobą a tym światem, w którym dziś żyjesz, nie ma już żadnych relacyj, żadnego powinowactwa; ty jemu na nic, on tobie już tylko na grób się przyda – z twoich towarzyszy, przyjaciół, sąsiadów już nie ma żadnego; twoja mądrość nieczytelna na dzisiaj księgą, twoje gadanie paplaniną papugi, ty sam już czujesz, że jesteś tylko lampą wyszczerbioną, okopconą i dogorywającą, na którą najszlachetniejsi jeszcze patrzą z litością i pożałowaniem i tylko lekkiej śmierci jej życzą... I w takim stanie ty masz twoje ostatnie skarby, tych kilka przypomnień z twojego najpiękniejszego życia, wyrzucać w błoto i sam deptać dlatego, że dzisiaj taka albo owaka roi się ludziom po głowach opinia? i tyż masz te twoje najdroższe młodych lat pamiątki potwarzać i rugować z twojego serca dlatego, że młokosi dzisiaj woleliby znowu Sasa niż Ciołka?⁵⁹ Hm! nigdy tego nie będzie! Niechaj sobie inni, mając lat sześćdziesiąt, czynią srogie za to wyrzuty, co czynili, kiedy mieli trzydzieści; niechaj drą swoją przeszłość i z każdym rokiem nowe rozpoczynają życie; niechaj

⁵⁹ Ciołek – herb rodziny Poniatowskich.

się kwapią do poddaństwa dla każdej nowej opinii, niech się wpraszą do służby do każdego tylko co z kolebki wychodzącego pokolenia i niechaj myślą, że uczciwie żyją na świecie, że starość ich będzie wspaniałą i spokojną świątynią, wystawioną u końca drogi żywota, że będzie ocieniona wyniosłymi uczynków ich drzewy, że w tej kaplicy obok konterfektu ich twarzy wisieć będzie długi łańcuch ich usiłowań, ich trosk, ich poświęceń; że do tej kaplicy będą przychodzić starzy na modlitwy, młodzieńcy po przykład, niewiasty z dziećmi dla przyglądania się w porozwieszanych na jej ścianach zwierciadłach; niechaj tak myślą, ale ja im powiadam, że służby ich późniejsze, ubiegające się o chłystków poklaski, nic nie będą warte wobec młodszego od nich świata; każdy rok ich starości będzie tylko nowym zawodem, a ostatnie słowo przed śmiercią ciężkim samemu sobie wyrzutem, że nic nie uczynili za życia. Jam raz tylko żył dobrze i pełno przez lat dziewięćdziesiąt; tym razem były wojny i praktyki czynione za królem Leszczyńskim, i dosyć mi na tym – a dwa tylko piękne mając wspomnienia z całych lat dziewięćdziesięciu, gdyby mi przyszło sto lat jeszcze tak przeżyć w bezczynnie, to wiecznie do nich bym tylko powracał i nigdy bym się nie znudził. Ale co tam powiadać młodemu o tym, któremu się zdaje, że na każdym jego uczynku całe państwo ustać by mogło? co opowiadać młodemu o tym, któremu się zdaje, że nic jeszcze nie było przed nim, nic nie masz dzisiaj krom niego i nic już może po nim nie będzie? co powiadać o tym, kiedy Pan Bóg człowieka tak stworzył, że mu się na nic cudze doświadczenia nie zdają, a kiedy zaczyna świat poznawać i dopiero by w to potrafił, jak na nim żyć trzeba, to mu się grób natenczas otwiera?... A jeszcze i to łaska Boża, bo azaż to mało jest takich, którzy, głupi się narodziwszy, umierają głupimi?...

Tu dziadek przestał i wychyliwszy lampkę miodu, począł żartować z pannami, przepowiadając im różne krotchwile, przy których, wypiwszy jeszcze drugą i trzecią szklanicę, powoli się w krzesło swoje coraz głębiej zasuwał, a zapadłszy w nie całkiem, zamilkł i niby usypiać się zdawał. Ale ja mu zasnąć nie dałem i rzekłem zaraz:

– Jest to zapewne wielka prawda, co jegomość powiadasz, ale snadź Pan Bóg wiedział, dlaczego to czyni, kiedy ją aż przed grobem każdemu objawia. Gdyby ludzie napróżd wiedzieli, jakie będą uczynków ich skutki, podobno mało który by co przedsiębrał na świecie.

Dziadek ruszył się w krzesło, tępym wzrokiem na mnie popatrzał, namyślił się chwilę i rzekł:

– I tu masz prawdę poniekąd, a może i całkowicie, ale jeszcze zawsze mnie nie rozumiesz. Za tym, że ktoś wie, że jego uczynki ledwie po połowie się zdadzą na co, wcale nie idzie, aby już nic zgoła nie robić. Mój Boże! przecież krom lat przeżytych w służbach Leszczyńskich, służyłem jeszcze lat kilka królowi chrześcijańskiemu⁶⁰, posłowałem na sejmikach, sprawowałem urząd w powiecie, a małoż to się kompromisów nasadziło, mało stron powaśnionych nagodziło, mało par naswatało, mało za innymi sąsiedzkimi sprawami najeżdżiło po świecie! ale przez to nie przywiązuje się do nich tej wagi, która się im należy, ale przez to nie poniewiera się młodości swej wyrzutami, i owej służby, w której najgorętszą się krew wypaliło, nie nazywa się czasem zmarnowanym i utraconym na próżno! Niepocziwą bym zresztą gębę miał, gdybym wiele o moich powiatowych służbach rozprawiał; zapłacono mnie za nie z góry, i to tak suto, jak tylko płacić umie szlachta oszmiańska. Najpocziwsza bo też to szlachta pod słońcem! – zawołał dziadek i wysunąwszy się znowu na przód krzesła, kazał sobie podać lampeczkę miodu, a kiedy mu ją podałem, wypił ją jednym oddechem i dziwnie mi się już zmienionym być zdawał. Twarz jego się zarumieniła, wzrok rozgorzał i zgoła krew się w nim tak ruszać poczęła, jak gdyby z trunkiem mocnym nowa dusza się w niego wlała. I tak było w istocie; dziewięćdziesięcioletnie to ciało tak już zdrewniało, krew stara tak przystygnięta była w tych wyschłych żyłach, a dusza ta tak się w głąb gdzieś zanurzyła i zbezwładniała, że tylko płomień mocnego trunku wlały w ciało

⁶⁰ król chrześcijański, właśc. król arcychrześcijański – tytuł króla francuskiego.

i wspomnienia młodości, poruszone w duszy, wywoływały życie w tym starcu i rozdmuchiwały w nim ową iskrę, która niegdyś może gorzała jak słońce, ale dzisiaj już gasła i popielata.

– Najpocziwsza jest szlachta oszmiańska! – powtórzył tedy dziadek i głosem czystym a mocnym, jakby dopiero miał lat pięćdziesiąt, zapytał:

– Byłeś kiedy w Oszmianie?

– Nie, nigdy nie byłem.

– Hm! to nigdzie nie byłeś. Powiadają, mosanie – ciągnął tedy dziadek z ferworem – że każdy szlachcic od Oszmiany jedną nogę ma w bucie, a drugą w łapciu chodzi, a ja powiadam, że nie masz szlachty jak tamta. Bo to, mosanie, złoto próbuje się w ogniu, oś na grudzie, koń po nocy, a człek w biedzie. Co mi za sztuka, mosanie, być komu przyjacielem i dbać o niego, kiedy z niego złoto kapie, wino się leje na jego stole, a sto pługów orze mu na polu? Ale niech no ci łokcie powyłożą z żupana, buty ziewać zaczną, a z domu twego tylko parę węglów zostanie, wtedy próbuj serc ludzkich, a czego doświadczysz, to już i w księgi pisz, a nie bój się, że świat okłamiesz... Otóż, kiedym miał lat dziesięć, ojciec mój nieboszczyk, powróciwszy z wojny ruskiej, zaraz mnie odumarł; macocha zaś moja nie miała nic pilniejszego, jak, zasiadłszy ojcowską wieś, mnie odesłać do Krakowa na Akademię. Słyszysz? od Oszmiany aż do Krakowa. Powiadali ludzie, że to się stało dlatego, abym nie patrzył na marnotrawstwo ojcowskiej szkatuły i na owe luszyki⁶¹, które się wyprawiać będą w domu moim i za mój grosz. Ja tymczasem na Akademii nauczyłem się, *primo*: że kiedy się nic nie jadło, to człowiek głodny; *secundo*: że kiedy biją, to boli; a *tertio*: że i szlacheckie dziecko pauprem⁶² może być i kolędować po domach z mieszczkańskimi synkami, i nie więcej znaczyć od łada szewczyka, a może i mniej, kiedy rękę ma słabszą; że może także o tym wyżyć na świecie, co mu gdzie z łaski rzucą do garnka, i wyspać się w sieni księżego pomieszkania na gołej podłodze, a rano wstawszy, tak dobrze księdzu buty oczyścić, jak każdy inny. Tego wszystkiego się tam nauczyłem i dobry mogłem być nawet z tej nauki egzamin zdać, bom ja praktykował przez siedem lat.

– Co też dziadunio gada? – odezwała się na to panna Zuzanna – gdzież może być, żeby dziadunio usługiwał księżom.

– He! – krzyknął pan cześnik i pociągnął teraz z mojej szklanki nektaru, nie tak dla odmiany, ile przez roztargnienie; pani stolnikowa zaś, która przez cały ten czas z wielką troskliwością i upodobaniem patrzyła na swego ojca, odezwała się do córki:

– Nie przerywaj dziadkowi. – A dziadek ciągnął dalej:

– Otóż, mosanie, przyszedłszy do rozumu, wymądrowałem sobie powoli, że głupstwo jest buty chędożyć księżom, mając wieś dobrą i dwór porządny, i uciekłszy ze szkół, prosto puściłem się ku Oszmianie. Jam wtedy prawdziwym był szlachcicem oszmiańskim, ba! nawet jeszcze lepszym, jak powiada przypowieść, bo nie jedna, ale obydwie nogi były u mnie bez butów, wždy mi nie podpadały dlatego. I owszem, zaledwie trzy mile uszedłem od Krakowa i wstąpiwszy do jakiegoś dworku, opowiedziałem się, ktom jest i za czym idę, zaraz mnie obuto i przetrzymano dni kilka. W drugim dworku darowano mnie hajdawery i trzymano przez tydzień, bom już był frant miejski, wyszlifowany, pokorny, a umiejący śpiewać kantyczki i pieśni nabożne, a kiedy kto chciał tego, to i światowe, bo i to umieją kalafaktory⁶³ i księży służkowie. W trzecim obleczono na mnie bieliznę i znowu trzymano, bo organista był umarł, a pani była nabożna i codziennie mszy świętej pragnąca, a jam umiał grać na organach; dalej darowano mi żupan i kazano dzieciom łątki⁶⁴ strugać, bo i to potrafiłem; gdzie indziej przyodziano mnie w kontusz i nie puszczono już dalej, bo zima nadeszła. Dosyć, że tak dwa

⁶¹ luszytyk (niem.) – biesiada, hulanka.

⁶² pauper (łac.) – ubogi uczeń, utrzymujący się z posług kościelnych i jałmużny.

⁶³ kalafaktor (łac.) – posługacz szkolny.

⁶⁴ łątka – tu: lalka.

lata blisko szedłem z Krakowa do Oszmiany; przecie na koniec przyszedłem. Otóż jednego dnia nad wieczorem pokazała mi się wieś ojcowiska pod lasem. Poznałem ją, bo tam był dworek drewniany jak śnieg bieluteńki, przed nim równie biały ganeczek o czterech słupach, na którego czele była przybita Matka Boska Ostrobramska, która miała łzy w oczach, a uśmiech na licu, i z tym uśmiechem patrzyła na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym we środku trzy lipy stały z darniowymi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dosyć tam było, a gołębie, siedząc trzema wieńcami na lipach, zlatywały do dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swoim przez płoty, którymi był ogrodzony dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły z daleka, fletnia się odzywała zza lasu, powietrze, pełne woni cudownej, rozścielało się dokoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na dwór i dziedziniec. O! poznałem tę wioskę, bo tak właśnie było, kiedy mnie wysyłano na Akademię dla wyuczenia się żebraniny i chędożenia butów z wysoką cholewą... Śpisz, Nieczujo?

–Boże uchowaj! mości dobrodzieju – odpowiedziałem – i owszem, słucham z wielką atencją.

– No! należy mi miodu, bo inaczej nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska; a nie śpij, bo przecie od tego herb wasz idzie, że jeden przodek twój pierwszy postąpił zbliżanie się nieprzyjaciół w nocy i pobudziwszy wszystkich, wziął nad nimi komendę; wtedy sprawiwszy chorągwie, tak mężnie czynił, że nieprzyjaciela pogromił na łeb, a co przy życiu zostało, to wziął w niewolę. Działo się to za króla Bolesława Krzywoustego, który im za to ziemi dał moc, na której założyli wieś Nieczułka i pisali się *comites*⁶⁵, i wielkie urzędy dzierżyli, i wojskom hetmanili ze sławą, ale teraz na psy zesłi, jak wszyscy Czuję i Nieczuje. O! wiem, wszystko wiem... a kiedy jeszcze jedną flaszkę wypiję, to ci będę takie rzeczy gadał, o jakich ani ty, ani twój ojciec, ani żaden dziad twój nie słyszał;

a czy mnie będziesz słuchał, czy nie, to mi jedno, bo i o tym wiedz, że ja nie dla ciebie gadam, jeno dla siebie. Czemuż mi nie nalewasz? he!

– Trudnoż lać, mości dobrodzieju – odpowiedziałem – kiedy...

Ale wtem sługa przyniósł parę nowych butelek, a podczas kiedy ja, nalewając, starałem się obawę moją o dziadka dać do poznania, pani stolnikowa rzekła do mnie półgłosem:

– Niech się pan skarbnikowicz nie obawia o mojego ojca; stary już bardzo i mocny trunek go rozgrzewa i rozwesela.

Potem znowu się cisza zrobiła; pani stolnikowa po staremu z wielkim upodobaniem i z miłym uśmiechem na twarzy wpatrzyła się w dziadka, Zuzia kręciła się na krześle i przygryzając wargi, ciągle coś poprawiała około stroju – Zosia, z kwiatkiem przy ustach, oczy swoje błękitne puściła gdzieś za myślą swoją w jakiś kraj nieznajomy i pewnie tak piękny, jak ona, ja zaś przysunąłem się do dziadka, który rzecz swoją tak dalek prowadził:

– Otóż, przyszedłszy do bramy, najpierw psy mnie macoszyne opadły; jeden szarpnął za hajdawery i wydarł z nich szmat sukna, drugi połę rozplątał u kontusza, trzeci za pas mnie chwycił u przodu, ale ten przecie psich zębów nie przyjął, bo był gęsty i srebro miał w sobie; jednak na tym nie przestała ta nadworna pani chorążyny milicja; rzucali się na mnie coraz z większym impetem i byliby pewnie powalili o ziemię, bo nikt nie wyszedł z poddasza, gdyby nie brytan stary ojcowski, który, wylazłszy z budy i powolnym krokiem wlokąc się ku bramie, przyszedł nareszcie do mnie i zaczął się łaścić około nóg moich... Milicja ucichła, a podczas gdy ludzie może się z okien patrzyli na owe hece, pies się zlitował nade mną i obronił! W ganku zdybałem jakiegoś jegomościa, który mnie spytał, ktom za jeden i czego chcę? – Piotrowicz jestem! – krzyknę – tej wsi sukcesor! – Zbladł jegomość i poszedł do izby,

⁶⁵ *comites* (łac.) – l. mnoga od *comes*, co najpierw oznaczało znaczniejszego rycerza, potem hrabiego.

mnie prosząc o cierpliwość, bo pani chora. Za niedługą chwilę jednak wyszedł i rzekł wielkim głosem: – Cha, cha, cha! Piotrowicz! a wżdy umarł Piotrowicz, pani chorążynej pasierb, na Akademii w Krakowie! – Nie umarł – rzekłem – ano żyw jest i stoi przed waszmością; proszę mnie wpuścić do pani. – Nie może być – odpowie on, który był gach oczywisty, intruz i diabeł sam – a pani chora jest i miałaby z tego zgryzotę. – A któżeś ty jest? – zawołałem na niego – a jakaż jest twoja sprawa w tym domu? – A tobież co do tego? – krzyknie on do mnie – włóczykiju, samozwańcze, gałganie! – Wtedy ja, mosanie, plunąwszy w garść, w łeb go raz i drugi, i trzeci, a kiedy padł, nuż go kolanami macać tędy owędy i pięścią biję, gdzie trafię. A śród tej roboty coś mnie chwyciło za kark, coś drugiego sypnęło mi parę razów w łeb, a nareszcie, powaliwszy mnie i dosadzając po drodze, wynieśli i wyrzucili za bramę... Zebrawszy się z ziemi, spojrzałem na dwór; cisza znów była jak gdyby nigdy nic, gołębie poleciały do swego gołębnika, dzieci poszły do piekarni, psy się pochowały do budy... tylko ja, pan tej wsi, ja nie miałem tam żadnego kąta na spoczynek i sen. Stałem tak jeszcze chwilę, patrzyłem, żali co się nie ruszy, żali kto nie wyjdzie, żali choć jedno serce się nie zlituje nade mną... nie! Tylko ów pies stary znów wyszedł do mnie, zaczął się łaścić, chodzić koło nóg moich, parę razy głowę chciał podnieść i popatrzeć mi w oczy, ale już nie mógł, bo mu zzeleźniał kark... więc tylko się otarł pyskiem o nogi moje, położył się na ziemi, westchnął kilka razy, jeszcze raz się wyciągnął i zdechł!... Śpisz, Nieczujo?

– Uchowaj Boże! mości dobrodzieju – odpowiedziałem – owszem, słucham z wielką atencją.

– No, nalejże mi miodu, bo inaczej nie skończę i nie będziesz wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska.

Nalawszy obydwie lampki i wypróżniwszy każdy swoją, dziadek tak dalej prowadził rzecz:

– Na czymże ja stanąłem?

– Na psie, mości dobrodzieju.

– Aha, na psie. Otóż, kiedy ten pies przy moich nogach zdechł i z nim zniknęła ostatnia dla mnie pozostałość po ojcu, ostatnie stworzenie, które dla mnie miało jeszcze kęs serca, rzekłem sobie: nie masz tu już co robić, panie Wicie; chodźmy precz. – I śród zapadającego zmroku szedłem wprost drożyną na zachód. Niebo się zaczerwieniło jeszcze i coraz ciemniało na jego kresie; zrazu snadno rozróżniałem wierzchołki drzew, potem coraz mniej i mniej, coraz ciemniej na niebie, coraz straszniej na ziemi, aż zrobiło się tak ciemno, jak w garnku. Firmament się obciągnął gęstymi chmurami, ostrość jakaś rozlała się po powietrzu, nareszcie błysnęło raz, drugi i dziesiąty, po czym straszne grzmoty zaczęły huczeć, jak gdyby jakie olbrzymie bryki biegały pędem po kamienistym sklepieniu. Straszno było... ale mnie nie; ja odmawiałem sobie wieczorne pacierze i przy świetle błyskawic postępowałem drogą do góry, rączo, żeby tylko jak najdalej nocować od tego domu, w którym nie było ani jednej łzy dla sieroty. Na koniec przyszedłem pod las; zmęczony byłem, guzy mnie poczęły dokuczać, wiatr jął przewiewać przez dziury kontusza, więc wypatrzywszy przy błyskawicy trochę gęstwiny, wlałem pod nią i ległem. Skończywszy modlitwy i ucałowawszy skaplerz święty, pozostały mnie po ojcu moim i przeze mnie ciągle na piersiach noszony, chciałem usnąć, ale błyskawice i myśli moje nie dały mi zawrzeć powieki. Więc myślałem. Myślałem, co począć teraz? Mógłbym się procesować, moja pani macocho, i wygrałbym pewnie. Nie mam ja grosza przy duszy, nie mam przyjaciół ani znajomych... ostatni, który mnie znał, był pies staruszek, a i ten zdechł przed godziną... ale ja mam metrykę w zanadrzu! ja mam twarz moją, a tam we dworze gdzieś wisi na ścianie konterfekt mojego ojca! ja mam czysty głos w sercu i Bóg się objawi w tym głosie, kiedy stanę przed sądem. I wygrałbym pewnie. Ale niech mnie Bóg broni od tego, abym miał nazwisko moje poniewierać po sądach... niechaj Bóg broni, aby dwoje ludzi, którzy to nazwisko odziedziczyli po moim ojcu, miało przeciwko sobie stawać do sprawy! I oto. Panie! ażebym kiedy nędzą lub głodem nie był pokuszony do tego czynu,

oto klękam przed Tobą i przysięgam Ci – niechaj się dzieje, co chce, niechaj najlichsze służby odprawiam dla zarobienia codziennej strawy, niechaj żebraczymi łachmany zaświecę przed światem, niechaj, jako Łazarz w Twym Piśmie, niemocą zdjęty i pod cudzym płótem się walający, lichej bogaczów załaknę jałmużny – przysięgam Ci, że kopcą tej wsi nie przestąpię, póki się pierwszy włos siwy nie pokaże na mojej głowie!... To wymówiwszy klęcząc i z podniesioną prawą ręką do góry, nagle mnie coś oświeciło tak jasno, żem cisnął. Zrywam się, patrzę: pożar. Piorun uderzył w dom mojej wioski... i widziałem jakby na dłoni owe trzy lipy rosochate, czarno umalowane na dnie z samego płomienia i dymu... widziałem ludzi, którzy się gromadzili pod tymi lipami i wyglądali jakby sami czarci, chodzący wśród gorejącego piekła... widziałem kłęby czarnego dymu, które z czerwonymi iskrami, falując nad domem, wzbijały się aż pod sam namiot boży... Panie! cóż mnie się działo natenczas!...

Tu dziadek przestał na chwilę i zamyśliwszy się, milczał. Zbudził się jednak niebawem, pytając:

– Śpisz, Niczujo?

– Uchowaj Boże! mości dobrodzieju – odpowiedziałem – i owszem, słucham z wielką atencją.

– He?! – spytał dziadek jeszcze w zamyśleniu.

– Słucham, mości dobrodzieju.

– Kata ty tam mnie słuchasz; dobrze gdzieś zerkasz oczyma za pannami albo może zgoła i na migi z nimi już gadasz, bo to u młodych jak prędko, tak i zaraz.

– Wolne żarty jegomości, ale nie może to być.

– Ej! co ty mi gadasz, co być może, a co nie może! wiem ja o tym dobrze.

Na to panny się trochę porumieniły, a pani stolnikowa, lubo widocznie nierada była temu dowcipowi staruszka, jednak z wyrozumiałością, a zawsze z wielkim upodobaniem patrzyła na niego i od razu to poznać było, że dziwnie piękna miłość i cześć jest u tej matrony dla ojca. Ja też poderwałem natychmiast:

– Ale to już mniejsza o to, byle jegomość był łaskaw dokończyć swojej historii, bo inaczej nie będę wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska.

– A to mnie bardzo coś na tym zależy, żebyś ty wiedział, jaką jest szlachta oszmiańska! – odpowiedział dziadek i począł coraz głębiej zapadać w krzesło i drzemać. Słaba już głowa była u tego starca, wszakże nie zasnął jeszcze z kretesem, i owszem, podczas kiedy żadne z nas ani słowa się nie ważyło wymówić, on, na pół śpiąco, a na pół pijano, następne ciągnął opowiadanie:

– Jaka jest szlachta oszmiańska! hm! drugiej takiej na pewno nie masz na świecie. Bo czy kto słyszał o tym prócz w bajkach, czy praktykował kto tego, aby się cały powiat hurmem zajął losem sieroty? żeby przez lat siedmnaście administrował fortunę kogoś takiego, o którym cały świat mówił, że już kości jego pogniły w grobie? żeby sierota, odtrącony od swojej wioski, z dworu swego wyrzucony za bramę i psami wyszczuty, w lat dwadzieścia wróciwszy, zastał wieś całą i nie ruszoną, dwór w niej tak odbudowany, że ani jedną belką się nie różnił od spalonego? Matkę Boską nawet tę samą, która w ogniu ocalała, nad gankiem i dwa worki gotowizny we skrzyni? Słyszał to kto kiedy w tych czasach?... Moja macocha żyła jeszcze trzy lata, a po trzech latach nie umarła, ale w Dzień Zaduszny ze swoim gachem, który był diabeł sam z Łysej Góry, pojechała precz... het! gdzieś do Niemiec. Tak powiadali ludzie. Kolega mój nawet, który służył ze mną królowi chrześcijańskiemu, a który jeździł był z Francji do swoich, powiadał mnie, że powracając sam na żywe oczy gdzieś ją widział w Niemcach. Karetą i czterema końmi karymi, z harbejtlowym obok siebie amantem, jechała na bal do miasteczka. Wszystka służba koło niej była czarno ubrana, w harbejtłach i kusych sukienkach – wszystko diabły zamorskie; polskich miała już dosyć. Na tę wiadomość ja jeszcze nie powracałem – nie mogłem – nie miałem Jeszcze włosów siwych na głowie, alem ich już zapragnął. Czy widziałeś, Niczujo, takiego kawalera, który by włosów siwych na

własnej głowie wyczekiwał jak zbawienia? he?... Ja dwadzieścia lat o nie Pana Boga w codziennych modlitwach prosiłem. I wysłuchał mnie. Wróciłem i stałem się od razu bogatym. Wieś po ojcowsku zagospodarowana i dwa worki dukatów, to wielka fortuna! Błogosławił mnie też Pan Bóg za moją nędzę w młodości... za przekleństwa macochy... za siedmioletnie pauprostwo... za guzy odebrane od gacha... za dwudziestoletnią poniewierkę po świecie... Wszystko mi się wróciło. Ożeniłem się. Byłem bardzo szczęśliwy. Miałem żonę kochającą, córkę pieśzotliwą, spokój był w kraju, dobra dola wokoło, ani jednego nieurodzaju, ani jednego pomoru, żebraka nawet trudno było gdzie dojrzeć pod one czasy. Byłem bardzo szczęśliwy i byłbym nim był do dziś dnia, ale znowu gach niepoczciwy!... znowu jeden dzień gromów i guzów – i wszystko przepadło! Działo się to...

– Może jegomość już spać się położy – przerwała pani stolnikowa, która zdawała mi się być pomieszana i jakby niecierpliwa, jakby nie chcąc, aby dziadek kończył, co zaczął, i dodała do mnie: – Dziadek już bałamuci. – Ale dziadek, jak gdyby nie słyszał ani słowa, ciągnął dalej:

– Działo się to w czerwcu, dnia dwudziestego siódmego, roku pańskiego tysiąc siedmset pięćdziesiąt i cztery... był wieczór natenczas, słońce zaszło już było... ziemia siniała... księżyc wyszedł na niebo i w lisią czapkę zawinięty, wróżył świętojanke... czeladka moja już spała... okna były pootwierane we dworku... bzy kwitły ostatnie i pierwsze róże się rozwijały... cisza była jak na cmentarzu... nagle!...

Wtem drzwi się otworzyły z łoskotem, wszyscyśmy się wstrzęśli jakby po strzale – pani stolnikowa zerwała się z kanapy i nazad usiadła – panny przytuliły się do niej – dziadek skoczył jak młody i lewą ręką chwycił się za róg od stolika, prawą przyłożył do czoła, spojrzał ku drzwiom i krzyknął: – Ignacy! – Zerwałem się też i ja w tym momencie, spojrzę ku drzwiom, ale nic nie było strasznego. Mnich franciszkan, ów sam Murdelio z krośnieńskiego klasztoru, wszedł całe pokornym krokiem i pochyliwszy głowę, rzekł cicho:

– *Laudetur Jesus Christus!*

– *In saecula saeculorum* – odpowiedziałem, a nim się to stało, już znowu wszystko było w swoim porządku; dziadek tylko, usiadłszy na powrót w swoje krzesło, chrapał cokolwiek. Myślałem nad tym, dlaczego się ci państwo tak polękali, ale zważywszy potem, że ono raptowne ruszenie klamki i mnie przeraziło, nic nie myślałem. Zacząłem też zaraz rozmawiać z księdzem, wszakże za moment dano znać, że wieczerza na stole. Wszyscy więc wyszli na środek sali, ja się zbliżyłem do panny Zuzanny i wypaliłem jej jeden komplement i drugi, chciałem i Zosi to samo uczynić, ale jakoś mi język nie folgował i mróz mi poszedł po całym ciele. Poszliśmy do drugiego apartamentu na wieczerzę, ale nimeśmy weszli, ja się ostałem przy drzwiach, aby to być ostatnim; wtedy pani stolnikowa wypuściła naprzód panny i mnicha, sama zaś, zatrzymawszy się przy mnie, rzekła do mnie półgłosem:

– Ja się spodziewam, że pan skarbnikowicz zabawi u nas dni kilka; dzisiaj damy mu apartament w sąsiedztwie dziadka, ale na jutro będą już opalone i przyrządzone pokoje gościnne. Proszę nas nie porzucać.

Ukloniłem się grzecznie, poddając się rozkazowi gospodyni, ale uważałem, że była jeszcze więcej bladą jak zwykle i pomieszana; po czym, przypatrzywszy się jeszcze, jak dziadka z krzesłem wynoszono do jego pokoju, weszliśmy do izby jadalnej. Stół podłużny stał na środku tej izby, nakryty na kilka osób więcej, niżeli nas było, co mnie jednakże nie dziwiło, bo zwyczaj ten chował się wtedy po wielu domach, a to na wypadek jakich gości niespodziewanych. Zasiadliśmy do wieczerzy tak, że pani stolnikowa i ja zajęliśmy jeden koniec stołu, panny przy nas, mnich zaś siedział na drugim końcu sam jeden, mało jadł, pił wiele i milczał. Milczenie też trwało długo i pomiędzy nami wszystkimi i na próżno pani stolnikowa starała się wzniecić jaką rozmowę; słowa jej się nie kleiły, a co powiedziała, nie miało wątku; tylko mnie, siedzącemu przy Zosi, jakoś się przecie udało, spytawszy ją o kwiatki i różne zagraniczne krzewy, które podtenczas już się były poczęły zagęszczać w

Polisce, dłuższy z nią dyskurs utrzymać, a niewinne dzieciątko to tak mnie wdzięcznie opowiadało figury i przymioty różnych kwiatów, chowających się w oranżerii żwiernickiej, i z taką lubością grało swoim dźwięcznym głosikiem, że aż się rozplywała dusza moja. Po wieczery, przesiedziawszy jeszcze jaką chwilę przy stole, rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę, na miły spoczynek.

Moja izba była w południowej części domu; troje drzwi w niej było, jedne wychodziły do antykamery, drugie do dziadka pokoju, trzecie do pokoju graniczącego ze salą; okno patrzyło na ogród. Kiedym wszedł do siebie, zastałem już tam mego Węgrzynka, który pościeliwszy mi łożę, siedział na stoliku pod piecem i drzemał. Rozebrawszy się i wypytawszy o wygodę, którą dają ludziom i koniom, i wyrozumiawszy, że uczciwą jest, wpędziłem go, sam czym prędzej przytulając się do poduszki; bo kiedy myśli mam wiele w głowie, to ona pierzana baba najlepszą mi jest powierniczką i najmądrzejszą rajczynią. I różne ważne myśli mi się poczęły zrazu, to ów mnich Murdelio, który mnie teraz coraz bliżej poczynął obchodzić, to ów staruszek niepospolity, którego mózg wyschnięty i serce zakrzepłe już tylko mocny trunek mógł w jakąkolwiek czynność wprowadzić, to na koniec Konopka, człek osobliwej skromności, który, mając wolny wybór pomiędzy groszem i dukatem, grosz wybrał i jeszcze drwił sobie z dukata, że delikatny. Jednak niedługo mogłem się nad tym namyślać, bo tuż stanęły nade mną błękitne oczy Zosi, tuż za oczyma biała twarz, jak lilia dopiero co rozwinięta, nad nią owe cudne warkoczki, które porównywałem do wieńca czarnych róż. Aby to lepiej widzieć, przymknąłem oczy, począłem marzyć... i to mi mignął rękaw Zosinego kontusza... to niebieska polista⁶⁶ sukienka... to oczu dwoje, to Zosia cała, która stanęła nade mną, w jednej ręce trzymając sznurek pereł maleńkich z krzyżykiem, a w drugiej z kolcami i liściem, świeżo co gdzieś zerwaną, różę czarną.

I podczas kiedy przed oczyma moimi robiło się coraz ciemniej, postać owa anielska występowała coraz jaśniej i zawiesiwszy się, jakby sen nieskończony, nad moim łożem, tylko co już nie przemówiła do mnie; nagle szmer jakiś dał się słyszeć w pokoju leżącym pomiędzy izbą moją a salą. Porwałem się, słucham: szept jakiś chrypliwy długie prawił kazanie, które chociaż często podnosiło się do ferworu, nierzadko przerywane było przerażającym każącego śmiechem, jednak całe mi było niezrozumiałe. Dopiero głos się odezwał kobiecy:

– Nigdy bym się na to zdecydować nie mogła, nigdy, nigdy.

Raczej wszystkie męczarnie!

– To będą – odpowiedział głos mocny.

– Raczej śmierć!

– Ho, ho! śmierć; ba! i ja bym ją może przyjął. Ale nie! niechaj żywot się wlecze, jak człek do końskiego ogona przypięty, niech się ciągnie jak rzemień tortury, niechaj codziennie nowa kropla krwi się zapieka przy sercu, co nocy nowy duch cię przestrasza, a co poranku budź się z nową łzą w oku, tak gorzką, jak pieprz, a tak palącą, jak iskra! Kiedy nie chcesz przyjąć tego, co zamiast zemsty sam ci dobrowolnie podaję, kiedy nie chcesz przyjąć miłości i poddaństwa mojego, kiedy nie chcesz wziąć całej magnackiej fortuny mojej dla dzieci twoich i mnie samego dla siebie, iżbym się stał sługą i niewolnikiem, iżbym odżył jak człowiek przy ludzkim życiu, iżbym uspokojony wewnątrz pogodził się z światem i z ludźmi i zyskał czas do przebłagania Boga za winy moje, których nie kto inny, jeno tyś się stała przyczyną – to żyj! żyj sto lat, żyj dwieście lat i cierp, cierp i doświadczy tego wszystkiego z mojej własnej ręki, czego ja doświadczyłem od ciebie! Żyj i cierp, a męki twoje niech się przedłużają na dzieci twoje, na wnuki i na dziesiąty płód twego pokolenia!

– Boże! miejże litość nade mną! cóżem ci winna!

– Nie winna! cha, cha, cha! a któż mnie raj pokazał na ziemi, a potem drzwi do piekieł otworzył? kto przyrzekał i zawiódł? kto na nowo głowę zapalił, a potem truciznami ją gasił,

⁶⁶ polista – mająca duże, sute poły.

żem owariował na nic, żem się na wieki już stał wyrzutkiem i trądem między ludzkością, że ja, pan pięćdziesięciu wsi, dzisiaj w habit się ubrał i jakby żebrak...

– Boże! cóżem winna! myślałam, że potrafię wymóc to na ojcu i sobie... jam nie miała i do dziś dnia jeszcze nie mam mej woli...

– Kłamiesz! – krzyknął głos mocny.

– Ach! to okropne! miejże przynajmniej wzgląd na dzieci moje... na ojca zgrzybiałego, któren już się tyle nacierpiął z twojej przyczyny...

– Milcz! dzieci twoje to trąd – stary to łotr!

– Panie!

– Milcz! mówię – ja nad starym jeszcze nie taką pomstę wezmę przed śmiercią! jużem mu pół serca wydarł spod żeber, jutro mu wydrę drugą połowę! a po śmierci! cha, cha, cha!... Córkę mi oddaj!

– Przestań! – zawołała niewiasta, nabierając mocy cokolwiek – przestań, bo chociaż słabą jestem... ale... albo na sługi zadzwonię. Czego chcesz w moim domu?

– Chcesz publiki? jam gotów.

Wtem dało się słyszeć dzwonięcie ręcznego dzwonka, który zaraz upadł na ziemię, potem huk wywróconego krzesła; zerwałem się więc z łóżka i wdziawszy prędko buty i kontusz, rzuciłem się do tych drzwi, porwałem za klamkę i przycisnąłem sobą, ale oparły się, były zamknięte. Jednak pomogło to, bo owo gadanie ustało zaraz i cisza była. Stałem tak jeszcze z jakie dwa pacierze, przykładałem ucho do klamki, ale już nic. Wyniosło się to, więc położyłem się, a przypomniawszy sobie, żem przez oczy Zosine o pacierzach wieczornych zapomniał, dopiero mi przyszła myśl, że ten gwar nie czynił kto inny, jeno jakieś dusze pokutujące, które pod owe czasy w każdym prawie znajdowały się domu, a które najłatwiejszy przystęp mają do człowieka zapominającego o Bogu. Więc uklękawszy przy łóżku, począłem pacierze, które, jak zwyczajnie, trwały pół godziny albo i więcej. Jednakże przez ten czas już nic się nie ruszało na żadnej stronie. Po czym, obejrzawszy pistolety i szablę, które leżały przy moim łożu, położyłem się, a sen mocny i odrętwiały objął zmęczone ciało moje.

III

Wstawszy rano i odmówiwszy pacierze, nie miałem nic pilniejszego, jak przypomnieć sobie wczorajsze wieczorne zdarzenie i nad nim pomyśleć. A ponieważ już Pan Bóg tak daje, że ludzie wierzący w duchy i nocne zjawiska tylko też w nocy w nie wierzą, mniej się ich obawiając do słońca, więc i ja po dniu nie bardzo jakoś przypuszczałem do siebie tę myśl, żeby owe wczorajsze głosy i rumory miały pochodzić od duchów. I kiedy pomyślałem w tym względzie o osobach żywych, które by to miały być, to najpierwej mi się przypomniał Murdelio, w niewieście zaś owej wprowadzie suponowałem panią stolnikową, ale rozumem tego dopuścić nie mogłem. Bądź co bądź, pierwsza rzecz, o którą zapytałem Węgrzynka, chodzącego około moich szat, była ta, w której izbie nocuje mnich franciszkan?

– On tu nie nocował, wielmożny panie – odpowiedział Węgrzynek.

– Jak to? więc nocą odjechał?

– Nie odjechał, on odszedł nocą do karczmy, bo tam furę miał.

– Biegajże – rzeknę – do karczmy i udawszy jak gdyby nigdy nic, popatrz, czy jest i czym się bawi, a kiedy go nie ma, to się dowiedz, kiedy odjechał, dokąd i jak często tu bywa?

Mighaza sprytny chłopiec był i dowcip miał do każdej kawalerskiej imprezy, a że szlachcic był i wbiłem to w niego, że powinien Panu Bogu umieć odwdziaczyć się za to, że

mu się dał w tak wdzięcznym stanie urodzić, więc też i pewnym mogłem być, że kiedy co podejmie, to raczej na miejscu położyć się da, niżeliby miał odejść z niczym lub zdradzić ufność w nim położoną. Przy swoich cnotach miał on jedną wadę, a nią było to, że bitwę namiętnie lubił i zgoła bez niej nie mógł żyć, i w tej materii niedoskonałym szlachcicem był, bo pomiędzy bronią a bronią różnicy nie chciał znać, a nawet, żeby prawdę powiedzieć, to u niego zawsze lepsza była pochwa żelazna albo drag jaki niżeli szlachetny kord, a już nad własną pięść nie było u niego nic. Z tej jego wady atoli miałem tę korzyść, że kiedym jego w podróży ze sobą miał, tom nigdy nie znał, co to czekać na coś na drodze, promu nie zastać na przewozie albo koni nie mieć gdzie postawić w gospodzie – w takich terminach zawsze Mighaza naprzód szedł i choćby przez piekło samo taki uczynił rum, że nie tylko ja, ale i kilku jeszcze za mną śmiało przejechać mogło. A chociaż nieraz się tak wydarzyło, że przenocowawszy w gospodzie, na drugi dzień go cale nie zastawałem w tym miejscu i dopiero gdzieś aż o milę drogi zdybywałem czekającego na mnie przy gościńcu, i lubo nieraz przychodziło mi płacić basarunki⁶⁷ gospodarzom, kowalom lub stróżom, jednak chętnie to czyniłem, bo za te nieprzyjemności sowicie od niego byłem wynagrodzony przywiązaniem i nie praktykowaną w dzisiejszych czasach wiernością. Kochałem go też nawzajem jak brata i szanowałem, a jeżeli go używał do lichej około butów posługi, to działo się to li w drodze; w domu on mnie wszystkim był: dworzaninem, marszałkiem, konsyliarzem, koniuszym, kasjerem, szatnym, i wszystkie te funkcje wypełniał jak potrzeba, żadnej się roboty nie kając oprócz gospodarstwa, do którego żadnego dowcipu nie miał, ale też i nie potrzebował go mieć, bo od czegoż był podstarości i dyspozytor?

Owóz za niedługą chwilę powrócił się ów Węgrzynek i przyniósł tę wiadomość, że mnich franciszkan jeszcze wczoraj odjechał; na zapytanie zaś, czy często tu bywa, odpowiedziano, że dopiero trzeci czy czwarty raz tu przyjechał, ale zapewne nie po kweście, bo nigdy nic nie wywozi.

Będąc tak mądrym po tej wiadomości, jak przed nią, ubrawszy się i dobrze obejrzawszy w zwierciadle, poszedłem gospodni oddać dzień dobry. Znalazłem ją już ubraną, siedzącą w jeszcze dalszym za jadalną izbą apartamencie, przy porannej modlitwie czytanej wraz z córkami z wielkiej nabożnej książki. Była jeszcze bledsza jak wczoraj i zmęczona, jednak nie dawała tego poznać po sobie – panienki wyglądały czerstwo i miło. Widać kochająca matka chowała przed nimi utrapienia swoje, jeżeli jakie miała. Skoro tylko wszedłem, przerwano modlitwę, a pani stolnikowa rzekła do mnie:

– Zastajesz nas, waszmość, przy służbie Bożej. Nie mamy kaplicy w domu, a do kościoła jeździć albo chodzić codziennie w zimie kobietom nie można. Więc oddajemy Mu hołd taki, na jaki nas stać, chociaż niemało z nas szydzą z tej okazji sąsiedzi; bo trzeba wiedzieć waszmości, że cały ten nasz powiat pilźnieński więcej podobno ma szlachty lutrów i kalwinów niż katolików. Wytępili ich trochę konfederaci, lecz dzisiaj mogą sobie rosnać jak chcą, bo już nie masz konfederatów.

– Wiadomo mi to, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem – że tu tyle ich się znajduje, tego brzydkiego nasienia, ale cóż robić? dziś już tylko modlitwa jedynym na nich lekarstwem, innego nie mamy. Ale właśnie używania tego skutecznego lekarstwa ja przerywać nie chcę; pozwoli zatem jejmość pani, że się do tej modlitwy przyłączę, bo lubo ja, nie chwaląc się, swoją już odprawiłem, jednak nigdy tego dość dla człowieka.

– Cieszy nas to mocno, mój mości panie – odpowiedziała pani stolnikowa – a kiedyś tak chętny, to chciejże być naszym lektorem, bo dotychczas tę funkcję odbywała Zosia, ale u kobiety głos słaby do chwały Bożej.

Wziąłem więc księgę i zasiadłszy przy stole, czytałem wyznaczone modlitwy; przyznać atoli muszę, iż snadź niewiele łask sobie uprosiłem u Boga tą robotą, bo raz na raz spoza

⁶⁷ basarunek (niem.) – odszkodowanie za pobicie.

kompaturek⁶⁸ rzucałem okiem na Zosię, która dziwnie piękną była przy tym nabożeństwie. Bo nawet i tak snadź niewiele piękniejszych rzeczy nachodzi się na tej ziemi, jako widok pięknej i niewinnej dziewczyny z oczyma podniesionymi do Boga.

Niebawem też i dziadek przyszedł ze swoim starożytnym skaplerzem w rękę i z swymi pacierzami na ustach, które basowym szeptem odmawiał. Ujrzawszy nas przy nabożeństwie, nie przerywając ani nam, ani sobie, usiadł tymczasem w kącie, ale skoro zmówił pacierze, znowuż milczkiem przeszedł izbę i przysunawszy się do mnie, usiadł wyteżając uszy, iżby dobrze słyszeć słowo Boże. Ja też czytałem, ile głosu mi stało w szyi. I wdzięcznie było widzieć, jako dom szlachecki stał się na czas domem Bożym.

Po skończonej modlitwie, powinszowawszy sobie dzień dobry, przeszliśmy wszyscy do jadalnego pokoju, gdzie już zastawione było śniadanie, składające się z kawy i z winnej polewki dla dziadka. Ja też przysiadłem się do winnej polewki, bom był do niej zwyczajny, i tak pijąc a przyjadając, przy grzecznej rozmowie o pogodzie i trochę o gospodarstwie, przeszła nam długa chwila. Dalej wstaliśmy od stołu i każdy poszedł, gdzie chciał; tedy ja do Zosi i zaraz:

– Moja mościa panno! – rzekłem – waćpanna jesteś tak gładka i wdzięczna, że snadź piękniejszej już nie masz na całej ziemi, kiedy mi się nie podarzyło widzieć ją albo choć o niej zasłyszec.

Zarumieniła się biedna Zosia aż poza uszy, jednak nie czekając odpowiedziała:

– Nie musiałeś waszmość daleko na tej ziemi być, kiedy piękniejszej nie widziałeś nade mnie.

– Nie ma co mówić – odpowiedziałem – że ani wiem, kędy Paryż leży, ani znam owe ziemie, które czarni pozasiadali Włosi, kościste Niemcy, bogaci w złoto Hiszpanie i różni inni Angielczykowie; jednak, ile jej jest między Białowieską Puszczą a Wisłą, a zarazem między Sanem a Ukrainą, tyle znam i niemało się po niej nadeptałem na konfederacji, a kiedy na takim wielkim obszarze nie znalazłem nic...

– Proszę, proszę – przerwała mi Zosia – to znów będzie jakiś komplement, na których wyszukiwanie próżno sobie waszmość czynisz fatygę, wmówić bowiem we mnie to, co nie jest, nie tak to łatwa rzecz.

– Chciałem tylko zakonfirmować⁶⁹ to, co się rzekło wyżej, ale kiedy pani mi tego zabraniasz, tedy milczę już i za wielką sobie przyjemność to milczenie policzam, niczego bowiem tak gorąco nie pragnę, jak pozostać panny Zofii najposłuszniejszym sługą.

— Pan skąrbnikowicz jesteś bardzo grzecznym – odpowiedziała

Zosia – więcej nawet, jak by tego pomiędzy nami jako powinowatymi potrzeba.

Wtem weszła pani stolnikowa do tego pokoju, Zosia do niej poskoczyła i całując ją w rękę, o coś zda mi się prosiła, ja zaś tymczasem przystąpiłem do Zuzi i z nią rozmawiałem. Ale niewielka to z nią była rozmowa, dlatego odwróciwszy się niebawem, znowu powróciłem do Zosi. Ale jakąż to w niej nagłą znalazłem zmianę! dopiero co tak wesoła i szczebiotliwa, siedziała teraz na malutkiej kanapce w rogu i główkę opuściwszy na piersi, z smutną minką i ledwie że nie ze łzami w oczach skubała koniec chusteczki. Przystąpiłem tedy do niej i rzekę:

– Czegóż panna Zofia posmutniała tak nagle?

– Ej! nic... jam nie posmutniała – odpowiedziała ona, podnosząc głowę i udając wesołą. – Ja też na to:

– Teraz może już przeminęło, ale dopiero co był jakiś frasunek u pani; widziałem to doskonale. Powiedzże mi pani, może ja co na to poradzę.

– Ej! nic, dzieciństwo – odpowiedziała Zosia, powstając z krzesła i idąc do okna.

– Przecież coś było – rzeknę – jeżeli mam cokolwiek łaski u pani, to mi pani to opowiesz.

⁶⁸ kompaturka – tekturowa oprawa książki.

⁶⁹ zakonfirmować (łac.) – potwierdzić.

– Ej! nic – rzecze znowu ona, ale już z uśmiechem – pan by się śmiał ze mnie, bo to dzieciństwo.

– Ale jak honor kocham, tak śmiać się nie będę, a jeżeli w tym co będzie śmiesznego, to się pośmiejemy oboje.

– To ja wiem – rzeknie ona – że do śmiechu o towarzysza nie trudno, ale kiedy płakać przychodzi, to już zawsze człowiek sam tylko musi.

– Ja, tak mi Panie Boże dopomóż, i płakać będę z panią, jeżeli tego będzie potrzeba; ale przecież mi, pani, opowiedz swój smutek.

Długo się wzbraniała Zosia opowiadać te swego serca skrytości, jednakże po statecznych prośbach moich i naleganiach opowiedziała mi tę arcyważną historię, która była następująca:

Przed kilkoma dniami dopowiedział jej był ogrodnik, że pomiędzy jej kwiatkami, które na osobności były ustawione w oranżerii, wielkie się stało nieszczęście, a mianowicie, że róża biała nagle i z niewiadomych przyczyn poczęła martwieć, że dwa goździki zeschnęły się całkowicie i że mysz się zakradła i poprzecinała u samego dołu powoje. Zosia chciała biec zaraz na ratunek swym kwiatkom, ale mama nie pozwoliła, bo odwilż była na dworze, a do oranżerii daleko. Noc bardzo niespokojnie przepędziwszy, Zosia na drugi dzień rano wykradła się chyłkiem i już była za sztachetami odgradzającymi dziedziniec od ogrodu, ale, na nieszczęście, mama właśnie w tej chwili wyglądała przez okno i zapukawszy w szybkę, odwołała Zosię z tej niepozwolonej podróży i nie tylko że się pogniewała, ale nawet za karę zasadziła do wyskubywania złota ze starego dziaduniowego pasa na całych dwie godziny. Było to już bardzo wielkie zmartwienie. Ale przecież noc była najgorsza. W niespokojności bowiem o te umierające kwiateczki, którym może można było przynieść ratunek, a którym mama kazała umierać bez miłosierdzia, pokazał się Zosi sen dziwny i bardzo okropny. A w śnie tym strasznym widziała ona najwyraźniej, że róża biała już całkiem umarła i leżała w trumnie na katafalku, koło niej dwa goździki nieboszczyki w trumienkach, a po czarnym pogrzebowym okirzu piał się powój zeschnięty. Biedne kwiatki! umarły. Po chwili przyszły też wielkie muchy i chrząszcze i założyły wieka na trumny. Po czym myszy je biorą na barki, zdejmują z katafalku i niosą na cmentarz – już je wzięły, stanęły, już idą. Przed konduktem leci banda pszczoł i komarów i gra marsz pogrzebowy. Za trumną idzie ze spuszczoną głową mąż róży umarłej, smutny, zapłakany tulipan. Za nim z dała cała kwiatków gromada. Więc lilie białe z twarzą piękną, lecz obojętną, dalej, trzymające się za ręce, czułe ciągnęły braciszki, dalej smutne, z rozczulonymi sercami fijołki, dalej róż kilka zwiniętych w pączkach i szczerze żałujących swej siostry; dalej perfumowane narcyzy w pudrowanych perukach i jak śnieg białych batystowych żabotach, niby eleganci idą także, ale więcej dla mody niżeli z współczucia; dalej dwie piwonie, przekupki, głośno bełkocące ze sobą, i cebule flakarki ciągną też za pogrzebem. Za nimi z końca wielką, gęstą gromadą ciągnie lud Boży kwiatkowego narodu, owóz owies i jęczmień, pszenica i żyto. Po obydwóch stronach konduktu, dwoma długimi szeregami, ze świecami w rękach i białymi kapturami na głowach, ciągną smutne stokrotki – to zakonnice. Z boku tylko jeszcze skaczą jaskry lamparty i pieczeniarze bławaty, a przy bramie cmentarza, na starych grobowych głazach, siedzą babki kościelne, cykorie. To był sen bardzo straszny, Zosia spłynęła we łzach podczas tego widzenia. Jednakże kiedy go mamie następnego dnia rano opowiedziała, to mama się roześmiała i przyrzekła, że w dzień pogody pozwoli Zosi pójść do oranżerii. Owóz dzisiaj dzień, lubo dość mroźny, jednakże bardzo piękny. Zosia, pamiętna obietnicy, jak w dym poszła do mamy z prośbą o pozwolenie odwiedzenia kwiateczków, ale znów na nieszczęście mama była w złym humorze i ofuknęła jeszcze Zosię za natarczywość. I nie jestże prawdziwa zgryzota? nie płakać tu nad tymi biednymi kwiatkami, które już naprawdę pomrzeć musiały i pewnie pomarły, bo ogrodnik po całych dniach pije i nie wieciec nawet, czy kazał tam w piecach zapalić?...

Wysłuchawszy tego opowiadania i ja też bez żadnej kwestii uznałem, że to jest niepospolita zgryzota i niemałe nieszczęście; jakoż zaraz z instancjami⁷⁰ pobiegłem do mamy i bez wszelkich trudności uzyskałem pozwolenie wyprowadzenia panien do oranżerii. Ale kiedy Zosia w jednym okamgnieniu stanęła już ubrana w berlaczach⁷¹, w futerku i w wutowanej kapuzie, nowa się nadarzyła przeszkoda. Zuzia w żaden sposób iść nie chce – a im więcej ją prosimy, tym też ona więcej się opiera, a nawet fuka na nas nie wiedząc dlaczego. Ja, dzieląc serdecznie całe ukontentowanie Zosi, aż zakipiałem cały na ten obrzydliwy upór niezdolnej dziewczyny i znienawidziłem ją od razu i podobno na zawsze, ale trudnoż było się gniewać. Prośbami tylko godziło nam się szturmować do tego niedobrego serca; jakoż i prośbami udało nam się przecie na koniec uczynić ją nam powolną i wyprowadzić do kwiatów. Dopieroż wesołość, szczebiotanie i serdeczna zabawa, a kiedyśmy się jeszcze nadto przekonali, że i owej róży nic nie jest, goździki żyją, i powoje w całości, tośmy jeszcze weselszej nabrali fantazji, a Zosia w nadmiarze ukontentowania opowiadała nam znowu wiele ciekawych rzeczy o życiu i o różnych szczęściach i nieszczęściach oranżeryjnych sierotek. Przy tej zabawie i rozmowie czułem wprawdzie, że tonę gdzieś w jakichś odmętach nie znanego mi dotąd uczucia, czułem, że i mnie obima jakiś łańcuch z prześlicznie woniejących liści i kwiatów, czułem zarazem i to, że ten łańcuch, lubo z tak wiotkiej uplecionej materii, jednak w razie potrzeby nie byłby do zerwania tak łatwym, jak liść albo kwiatek; uważałem nawet i to, że nierozumna jest dawać się wiązać do jakiegoś przedmiotu, nie będąc naprzód pewnym, żali to dobrze jest i żali to się zda na co: jednak odganiałem te wszystkie przeszkody i lałem z wielką fantazją w tę dla mnie nową, a tak pięknie się przedstawiającą krainę.

Serce ludzkie jest jakby kłębek szczerzego ognia w twardą korę zamknięty; pali on się tam wewnątrz, wywraca i iskrzy, i nie wydaje ze siebie ani płomienia, ani iskier, ni dymu, ale niechaj kto zwierzchnią naderdze korę, wtedy za nic miny podsadzone pod twierdzą, za nic ów wulkan ognisty, który ma być, powiadają, we Włoszech, za nic morze bezdenne, najwścieklejszymi rozburzone wichrami, za nic to wszystko przy ludzkim sercu! Bo kiedy miny i wulkan, i morze mają sobie ściśle od natury naznaczone granice, poza które ani jednego pyłku wyrzucić nie mogą: serce ludzkie nie ma żadnych granic, serce ma tylko tę, którą sobie samo nada, naturę. Jego płomienie i iskry jak daleko w swoim wzburzeniu sięgnąć zdołają, nikt przewidzieć, nikt naprzód oznaczyć nie może. Miłość jednego serca stawiała już całe państwa na nogi i utrwałała ich byt na długie czasy – obrażona duma jednego serca w proch już rzucała całe narody i przykrywała je gładem grobowym na wieki. Wiedziałem to wszystko, ale bez wahania się puszczałem serce moje na tę niebezpieczną drogę, na której niejeden dał już gardło swoje, inny więcej jak gardło, trzeci tylko spokój swej duszy, ale niejeden także dobił się szczęścia takiego, za które, jak mnie Bóg miły, warto było spokój tego nędznego i mojemu krajowi natenczas nie na wiele przydatnego żywota na szwank narazić.

Kilka godzin już było z południa, kiedy znać dano do obiadu. Taki był zwyczaj w Żwierniku. Było to niby z pańska, ale nic w tym osobliwego – i owszem, źle nawet, bo szlachcic siedzący na wsi, którego obowiązkiem jest gospodarstwa pilnować i roboty czy to w polu, czy w gumnie doglądać, powinien jeść wtedy, kiedy robotnicy odpoczywają; tak też bywało wszędzie dawnymi czasy i dobrze z tym było, ale odkąd moda francuska zawleczoną została i do nas, próżno to gadać o takich rzeczach. Mówże temu, który mody pilnuje, że mu robota niesporo idzie albo że go podkradają po kątach i że się trzeba samemu pilnować, kiedy on już świat wywrócił do góry nogami, a uczyniwszy dzień sobie z nocy, mówi, że na to ma sługi, aby go pilnowali. – „Kiedy kto jest panem – powiadał pan Parys z Igiozy – to nie powinien być ekonomem” – i dlatego kładł się o czwartej rano spać, a wstawał o drugiej z południa. Nie wiedział też nieborak niczego, co się działo na jego obejściu, ani nawet tego,

⁷⁰ instancja – tu: wstawiennictwo.

⁷¹ berlacze (niem.) – zimowe obuwie.

kiedy mu Igiogę i inne dobra zabierano na rzecz wierzycieli, bo wszystko działo się przed południem.

I my też snadź albo spaliśmy natenczas, albo zabawiali około peruk naszych, około żabotów i kolbertynek, kiedy nas za długi u Boga zaciągnięte zawołano do obrachunku... ale odkąd moda francuska i do nas zawleczoną została, próżno to gadać i o Parysowych, i o innych dawno już poronionych majątkach.

Kiedy ostatnią potrawę na stół dawano, dało się słyszeć trzaskanie z biczów przed gankiem.

– Zdaje się, że nam Pan Bóg dał gości – rzekła pani stolnikowa.

– Hę? – spytał dziadek.

– Goście przyjechali – powtórzyła pani Strzegocka głośno.

– A to dobrze – odpowiedział jegomość – może Konopka przyjechał.

– O! pewnie Konopka – rzekła Zosia wesoło – już go pięć dni nie było.

Zarumieniła się przy tych słowach panna Zuzanna, ale zaraz dodała:

– Jeżeli pan Konopka, toż z nim pewnie i pan staroście, tego już dwa tygodnie nie było.

Przyszła teraz na Zosię kolej zarumienienia się, a tymczasem rzeczywiście do jadalnego pokoju weszli Konopka i Lgocki.

– Proroczym duchem, jak widzę, ichmość panny natchnione – odezwałem się na to, kiedy Konopka przywitawszy tymczasem panie, zaraz rzecze do mnie:

– Otóż to świat się wywrócił do góry nogami, kiedy już družbowie pilniejsi od samychże narzeczonych.

Ja też, podając mu rękę przez stół, bośmy na przybycie tych gości cale nie powstawali, rzeknę:

– Jak się masz, Konopka! – Tymczasem Lgocki do mnie:

– Cołem, panie Niecuja.

– Czołem, panie Lgocki – odpowiedziałem.

– Cołem, cołem, ale skądże się waszmość tu wziąłeś?

Ja też na to:

– Drogą, drogą, tą samą, którą i waszmość tu przyjechałeś.

– Hi, hi, hi! Niecuja – szepnął sobie staroście pod nosem i wraz z Konopką usiadł do stołu. Nim się atoli dalsza poczęła rozmowa, panna Zuzanna, przy której usiadł był Lgocki, chciała sobie wody nalać do szklanki; staroście, jako grzeczny kawaler, porwawszy prędko za flaszkę przed jego talerzem stojącą, chciał prędko nalać, ale nad samą szklanką zetknął się z flaszką panny Zuzanny, i to tak mocno, że im obojgu flaszki z rąk powylatywały, szklankę sobą stłukły i potop wody po stole rozlały. Mruknął na to stary sługa, usługujący do stołu, ja też zaraz pochwyciłem sposobność i rzekłem:

– Hi, hi, hi! Lgocki.

Wyprowadziłem go tym z kłopotu, który tuż w trop idzie za każdą niezgrabnością, bo wszyscy się w głos roześmieli, więc i Lgocki miał dosyć czasu ochłonąć ze wstydu, i sługa pozabierać ze stołu czerepy. Ochłonawszy atoli, nie śmiał się już po staremu i po głupiemu staroście, ale natomiast rzekł do mnie:

– Czegóż waszmość się śmiejesz?

– Ot, tak sobie – odpowiedziałem.

– Może to ze mnie?

– A może! bo na koniec dlaczegóż się nie śmiać, kiedy kto nie do swoich rzeczy się bierze?

– A to jak?

– Ej! siła by o tym gadać i snadź lepiej by to na inną porę odłożyć, na ten raz wszakże muszę choć to waszmości powiedzieć, że się nie nazywam „Niecuja”, tylko „Nieczuja”, i nie lubię tego, kiedy kto moje nazwisko przekreca.

– A kiedy ja nie mogę wymówić.

– W takim wypadku może Demostenes waszmości posłużyć za przykład, ten bowiem nie mogąc słów należycie wymawiać, wkładał sobie kamień pod język i chodząc nad brzegami rzeki tak długo się ćwiczył w wymowie, póki się jej nie nauczył.

– A kiedy ja nie Demostenes.

– Kiedyś waszmość nie Demostenes, jak sam przyznajesz i jak to zresztą poznać nietrudno, to kto inny może waszmości posłużyć za przykład, *et quidem* zwierzęta, które w tym są mądrzejsze od nas ludzi rozumnych, że kiedy czego wymówić nie umieją, to milczą. Ale dajmy temu pokój, bo tym nie zabawimy dam, które tutaj przytomne.

Pani stolnikowa się trochę skrzywiła na to i Konopka na mnie kiwnął, iżbym dał pokój, ale dziadek, podniósłszy rękę do czoła, aby oczy zasłonić od światła, wpatrzył się we mnie i rzekł wesoło:

– Ale to ty masz rozum, Nieczujo, jak król Stanisław nieboszczyk, u którego zawsze na wszystko była racja w głowie; lubię takich, co to ząb za ząb, a oko za oko. Takimi byli wszyscy Nieczujowie, jak ich pamiętam, a że takimi od wieków i Piotrowicze, więc napijże się ze mną wina za to.

Napiliśmy się, o co mniejsza, ale to ważna była dla mnie, żem się od razu wyższym pokazał od mego adwersarza, okazał go w oczach mojej panienki śmiesznym i sponiewierał po trochę – wiedziałem bowiem, ile to ważyło dla mnie, bo któż nie wie, że kobiety raczej wszystko złe zniosą u swoich amantów niżeli to, kiedy dają drwić z siebie i poniewierać sobą lada komu. Nie jestem zresztą tak bardzo krwiożerczy i na ten raz dość mi było tryumfu; nie zaczepiałem już całe Lgockiego; czyniłem tylko tak, iż go odtąd stale uważałem za sprzęt nieżywy i tak traktowałem. I przyniosło to skutki dobre, bo Zosia, jeżeli dotąd serca nie miała dla niego, to odtąd już go i mieć nie mogła.

Po obiedzie, kiedy wszyscy przeszli do sali i pousiadali na miejscach zwyczajnych, a przed dziadkiem postawiono stoliczek ze szklankami i butelką wina, Konopka wziął mnie pod ramię i do drugiej izby zaprowadziwszy, rzekł do mnie:

– Wiedziałem, że cię tutaj zastanę.

– Widać stąd, żeś domyślny.

– I to racja, ale z tego, coś mówił przy stole, ja się jeszcze i czego więcej domyślam. – Ja też na to:

– Panie bracie! domyślać się wolno wszystkiego, ale nie idzie za tym, aby to wszystko zaraz i mówić wolno.

– Ou! bo się dąszasz zaraz, jakby cię tu jeść chciano. – Roześmiałem się na to i rzekłem:

– Bo też z wami inaczej nie można; chowacie pomiędzy sobą głupców, którzy niewinnych ludzi obrażają na gładkiej drodze, a i sami nawet nie bardzo dobre macie obyczaje. U was, jeżeli kto ma trochę większą nad innych fortunę, to już może być głupi jak but albo i zgoła niewart za hetkę pętelkę, wy go przecie nosicie na rękach i wozicie ze sobą jakby co osobliwego.

– Nie wiem, jakie tam mają rozумы w Sanockiem – odpowiedział na to Konopka – i jaki chowają obyczaj, ale u nas to niejeden i psa wozi ze sobą, kiedy mu jest zabawny, a nie tylko człowieka.

– Inna pies, a inna człowiek, to sam wiesz, a i to pewno wiesz, że kiedy się człowiek uda, to niech się i pies chowa.

– Ej! dałbyś pokój, wiem, o co idzie. Podobała ci się Zosia i nierad widzisz, żem tu Lgockiego przywiózł ze sobą; ale to próżny gniew, nie byłbym ja go przywiózł, to byłby i sam łatwo trafił, bo był tu nie raz i nie dwa. Jest to nawet materia, o której by nam właśnie potrzeba pogadać.

– Nie ma o czym gadać – odpowiedziałem – że mi się Zosia podobała, nie przeczę, a że się Lgocki o nią stara, wiem i cale mnie to nie zraża. Poprobujemy się z sobą, kto lepszy, i snadź nie będzie to nam szkodzić na zdrowiu, jak każda walka.

– Walka to zdrowa rzecz, ale jednakże nie każdemu służy. W tym razie nietrudno i bez walki odgadnąć, który z was lepszy, ale to nie mocniejszy, tylko szczęśliwszy odnosi.

– To się i w tym poprobujemy.

– Przegrasz.

– Mówisz z góry jak prorok, co mi dość dziwno, bo jeszcze nie słyszałem, aby jaki Konopka w którym bądź testamencie prorokiem był.

– Chciejże komu dobrze, on ci za to da po ziobrze; takie to czasy!

– Panie bracie, skończmy to, bo albo ty gadasz nic do rzeczy, albo ja już taką fantazję dzisiaj mam, że mi pieprz rośnie na języku, W każdym razie nie dogadamy się, odłóżmy zatem tę rzecz na wieczór albo na jutro.

– Nie może być, bo będzie za późno.

– A! jeżeli tak pilna – rzekłem niechętnie – tedy służę waszmości – i wzięwszy go pod ramię, zaprowadziłem się z nim pod okno, a działo się to w tym samym pokoju, w którym zeszłej nocy owe dusze mi się głosiły. Tam tedy stanąwszy, rzecze on do mnie:

– Panie bracie, jest taka rzecz. Uważam, że ci bardzo podobała się Zosia i że się tej serca twego sprawy od razu imasz na ostro. Miło by mnie było bardzo nazywać się tak zacnego kawalera szwagrem i bratem i pewnym być możesz, że w każdym innym razie za najświętszy obowiązek bym sobie miał ofiarować ci służby moje i pomoc braterską; tutaj atoli zachodzi ta okoliczność, że co najgoręcej pragnę, w żaden sposób przedsięwziąć nie mogę, z czego wytłumaczyć się przed tobą pod karą utracenia twojej przyjaźni muszę. Jest tedy tak: najprzód, że pan starosta Lgocki, ojciec Jędrusia, przed rozpoczęciem tej jego konkurencji w Żwierniku oddał mi go pod wyłączną opiekę i prosił, iżbym, jako znajomy i dobrze położony w tym domu, radził i pomagał jemu we wszystkim; wiedząc ja zaś, że Jędrus w gruncie ma serce dobre, a, co główniejsza, fortunę niepartykularną⁷², i że z tymi przymiotami doskonałym będzie mężem dla Zosi, przyrzekłem ojcu i jemu, iż mogą liczyć na mnie w każdym terminie. Po wtóre, zachodzi jeszcze ta okoliczność, iż Jędrus, konkurując tutaj już od jesieni, wspomagany przeze mnie i innych sąsiadów, a nawet przez jednego z możniejszych panów, nie wiem zresztą jak u panny, ale u matki położony jest tak dobrze, że podobno tylko jakieś nadzwyczajne wypadki mogłyby to zrządzić, żeby mu się nie dostała ta partia. Owoż tedy nie tylko miałem sobie za obowiązek przestrzec ciebie jako tak łaskawego na mnie i kochanego družbę mojego, żebyś sobie na próżno tą panną głowy i serca nie bałamucił, bo, jak mi Bóg miły, z tego nic być nie może – ale nawet powiedzieć ci, iż w razie, gdybyś już nie chciał na żaden sposób nawracać z tej, na którą wszedłeś, drogi i w konkurach persewerować⁷³, iżby cię moje zachowanie się w tej sprawie, które już nie może być inne, jak obojętne dla ciebie, a Jędrusiowi przychylnie, cale nie zadziwiło i do złych myśli o mnie nie prowadziło. Owoż co miałem powiedzieć.

Ja też natychmiast w ten sens:

– Panie bracie! czy przyjaciela, czy adwersarza mieć mi w waszmości, zawsze to tylko honor może być dla mnie, i to honor niepospolity, bo lubo przedwczorajszy dzień między nami był taki, że wypadało go koniecznie krwią trochę oplukać, jednak dzisiaj jawnie już widzę, żeś jest kawaler pięknego serca i umysłu takiego, jak przynależy. Za otwarte postąpienie twoje przeciwko mnie i pilność, z jaką dbasz o moją o tobie opinię, szczerze ci dziękuję; zaś co się tyczy dalszego mego postępowania w tym domu, to będzie ono zawisnąć od tego, jakie natchnienie położy Bóg w duszę moją; to ci tylko na teraz powiedzieć mogę i muszę, iż lubo za tym, że mi się Zosia podobała, czego nie taję, wcale jeszcze nie idzie,

⁷² niepartykularny (łac.) – niepodzielony na części.

⁷³ persewerować (łac.) – wytrwać, wytrzymać.

żebym miał zaraz konkurować o nią, to jednak, jeżeli już raz takie postanowienie uczynię, od niego mnie ani staroście, ani ty, ani wszyscy Mazurowie wąsami nie odstraszą; bo już taka jest moja natura, że kiedy piję, to do dna, kiedy biję, to na śmierć, kiedy komu służę, to całą duszą; więc i kiedy konkurować zacznę, to już pewno pierwszej nie ustane, póki albo mnie diabeł nie weźmie z kretelem, albo panna nie będzie moją. Ale co tam o takich rzeczach rozprawiać, które robić potrzeba! Przyszłość wszystko okaże, tymczasem zaś chodźmy do pań, bo dalej pomyślą, żeśmy na jaką konferencję, a nie z odwiedzinami w ich dom przyjechali. – I biorąc go pod ramię chciałem iść, ale on jeszcze:

– Tylko słówko... albo nie, chodźmy do pań. Zatrzymałem się tedy i rzekłem:

– Wiem, coś chciał powiedzieć.

– No, cóż takiego?

– „Chciałeś mnie pewno uważnym zrobić względem postępowania” nią mojego z Lgockim...

Uśmiechnął się na to Konopka, ja też dodałem:

– Znasz mnie już trochę, panie bracie, a ponieważ wiesz, że ludzie upartego ducha są jakby dzieci, które im więcej im się czego zabrania, tym goręcej się tego napierają, i tak dalej, i tak dalej, więc podobno najlepiej będzie, żebyśmy o tej materii więcej już z sobą nie mówili... nawet jeżeli wola, dajmy sobie parol na to.

– Jeżeli ci się tak podoba – rzekł na to dumnie pan Konopka – to ja nie mam nic przeciw temu. Ja o tej materii nic z tobą rozmawiać nie potrzebuję.

– A ja się będę starał, abym nie potrzebował rozmawiać o niej z tobą. Więc my dwaj o tym nigdy.

– Nigdy.

– Parol?

– Parol. A... a jakżeż będzie z druźbowaniem? – zapytał Konopka.

– Jak ty rozkażesz; mnie się zdaje, że to tylko szewcy tak czynią, że jeżeli się nie porozumieją w cechu, to już się kłócą ze sobą i w domu, i na ulicy, i w gospodzie, i na procesji; szlacheckiego zaś zakonu to *praedicatum*⁷⁴ jest, że jedno nieporozumienie, a nawet bitwa sama nie uwalnia nikogo od reszty, albo z dawna już przyjętych, albo świeżo co danym słowem oznaczonych obowiązków względem drugiego i drugich.

– Więc tamto *manet*?⁷⁵

– *Manet sine nulla exceptione*⁷⁶, chyba żeby niemożność.

– *Ultra posse nemo obligatur*⁷⁷ – dodał Konopka i z tym weszliśmy do sali. Tam zastaliśmy wszystkich siedzących i rozmawiających, pani stolnikowa po staremu na kanapie, panny przy krosienkach pod oknem, Lgocki przy nich, a dziadek w swoim głębokim krześle, przy którym stał stoliczek ze szklankami i na pół wypróżnioną butelką. Dziadek tedy do nas:

– No i cóż tam za sprawy tak pilne macie ze sobą, że nas zostawiacie samych? może konfederacja jaka? he?

– Gdzież tam, mości dobrodzieju! – odpowiedział Konopka – prędzej by konkurencja jaka, kontrowers⁷⁸, kontrybucja, a nawet i koniugacja niż konfederacja; ja przynajmniej już z daleka od wszelkiej konfederacji aż do samej śmierci, bo za jedną już mi, takie *ad intende*⁷⁹ dali nieboszczyk tatumio, że na samo jej przypomnienie włosy mi się jeżą do góry.

– No, nie ma to być tak rozumiano – odpowie dziadek – jeżeli dostałeś od ojca w gębę, to nie za konfederację, jeno za to, że ze szkół uciekłeś i bez jego pozwolenia, a z niczym, jako

⁷⁴ *praedicatum* (łac.) – właściwość.

⁷⁵ *manet* (łac.) – pozostaje.

⁷⁶ *Manet sine...* (łac.) – Pozostaje bez żadnego wyjątku.

⁷⁷ *Ultra posse...* (łac.) – Nikt nie jest obowiązany czynić więcej, niż może.

⁷⁸ kontrowers (łac.) – spór o granicę majątku.

⁷⁹ *ad intende* (łac.) – do zrozumienia, do zapamiętania; przestroga.

lichy woluntariusz⁸⁰, nie jako obywatel do niej poszedłeś, a i pomimo to jeszcze założę się, że niechby jeno, nie mówię formalne innotescencie⁸¹ albo uniwersały, ale byle pogłoska, to ani ludzkie oko by cię tu nie zajrzało.

– O! co pan Konopka, to może – odezwie się na to staroście, przysuwając się z krzesłem do Zosi – ale ja już się stąd ani ruszę.

– A czy waszmość już się kiedy ruszałeś? – spytałem ja.

– A czemuż by nie? służyłem psecie w pułku generała Bysewskiego.

– Wielki żołnierz musiał z waszmości być, jak to snadno widać po jego fantazji – rzekłem na to, trochę na przekór Konopce.

Konopka się też na to odwrócił, przygryzając wargę, a pani stolnikowa się także skrzywiła, ale Zosia się uśmiechnęła, co mnie bardzo pogładziło po sercu; tymczasem zaś dziadek zawezwał nas, iżbyśmy się przysiedli do niego, a do mnie rzekł:

– A ty, Nieczuja, ponalewaj nam wina.

Nalałem, podnieśliśmy szklanki i wypiwszy chórem za zdrowie dam, które z łaski swojej przy nas się nudzą, żaden z nas ust nie otworzył; my bowiem z Konopka zbiliśmy się wzajemnie z toru i wszelkiego do lekkiej konwersacji konceptu, Lgocki snadź nigdy nie był tym, który zabawić może rozmową, a kobiety podobno instynktem samym poznały, że jakiś kwas jest pomiędzy nami, i także się pokwasiły; dziadek tylko sam jeden, z duszą niedotkliwą na dzisiaj i żyjącą tylko w przeszłości, pozostał taki, jak zawsze, zimny, obojętny na wszystko, zwinięty w sobie i winem ustawicznie popijanym po trochę się rozgrzewający. On też był pierwszy, który, odjąwszy drżącą rękę ze szklanką od ust i oparłszy ją o węzeł litego pasa, począł w ten sens:

– Cóż to? czy klasztor myślicie zakładać, że takie *silentium*? co?

– Smutne czasy, smutna dusza, toż nie dziwno, że i usta u wszystkich zamknięte, mości dobrodzieju – odpowiedziałem. On zaś na to:

– Ot, gadasz! że czasy smutne, mosanie, tego nikt nie zaprzeczy, daleko zresztą szukać by tego, który temu winien. Smutne czasy, to prawda, ale nie przez siebie samych, tylko przez ludzi, którzy w nich żyją i są do niczego. Za mego życia były już czasy daleko smutniejsze; za Karola XII, któż nie pamięta, jak to było w ojczyźnie, ale nam, ludziom krew ze krwi i kość z kości, wcale smutno nie było, i owszem, było nam bardzo wesoło. Bo my sami byliśmy żywi, żwawi, pełni sił i nadziei. Głupi byliśmy, jak dziś o nas powiadają, grubi i w obyczajach surowi, ale... nalej mi wina.

Nalałem, a po chwili dziadek na nowo:

– Dzisiaj, mosanie, ludzie, osobliwie po miastach, okrutny rozum mają, gładcy są, fryzowani jak owieczki, pachną jak kwiatki, ale...

Wtem coś mocno zaturkotało przed gankiem, jakoż jednocześnie wszedł służący staruszek i zapowiedział, że jacyś dziwni panowie zajechali.

– Czemuż dziwni? – spytała pani stolnikowa.

– Bo jakoś dziwnie poubierani – odpowiedział famulus.

– Jeżeli jejmość dobrodziejka pozwolisz – rzekłem na to – to ja do nich wyglądnę.

– Bardzo panu wdzięczną będę – odpowiedziała pani na to, a ja wyszedłem.

Kiedym z antykamery przez okno wyglądnął, zajrzałem powóz wielki zielony, czterema chłopskimi końmi zaprzężony, około którego stały, to jeszcze doń po coś sięgały, trzy dość dziwne figury. Więc jeden z nich był to średniego wieku a słusznego wzrostu mężczyzna, w tabaczkowego koloru mundur, z aksamitnymi wyłogami i złotymi galonami ubrany; na głowie miał małą peruczkę z harcapem⁸², halsztuk⁸³ wysoko podcięty, zresztą pluderki

⁸⁰ woluntariusz (łac.) – ochotnik.

⁸¹ innotescencja (łac.) – oznajmienie, wezwanie .

⁸² harcap (niem.) – warkocz.

⁸³ halsztuk (niem.) – rodzaj szerokiego krawata.

wąziutki, pończochy, trzewiki z ogromnymi sprzączkami, cieniutką szpadę w skórzanej pochwie przy boku i w trzy rogi zastosowany kapelusz z kolorową kokardą pod pachą. Postawa jego była wzniosła i zdawała się dumną, twarz poważna, rysów pociągłych i na pozór przyjemnych – stał przy powozie i przez okulary, które ręką trzymał przy oczach, patrzył wprost na okolicę.

Drugi był wzrostem jeszcze wyższy, wiekiem już prawie starości sięgający, twarzy jeszcze pociągłej i brody nad wielką miarę długiej i graniastej, cery skórzanej, budowy ciała mocnej, suchej i kościstej. Ten miał wielką siwą perukę, z bardzo długim w czarną taftę owinionym harcapem na głowie; kapota na nim była czarnoszaraczkowa, długa poniżej kolan, halsztuk wielki włosienny, kamizelka czarna aksamitna, także pludry, czarne pończochy i trzewiki grube, jałowicze, bez wstążek i sprzączek. Ten trzymał w lewej ręce chustkę zatabaczoną niebieską i tabakierkę wielką, blaszaną, prawą zaś w nos ogromny pakował co siły proszek ów specjalny, który nazywają tabaką.

Trzeci, była to mała, jak cień tylko chuda, wygładzona, nędzna figurka. Ten miał twarz biedną, bladą i podsiniałą, oczy zielonego koloru tylko się na niej świeciły; peruki nie miał na głowie, tylko własne włosięta, długie a popielate, *per modum*⁸⁴ harcapa w tył związał i rzynkami zatłuszczonej tafty zsznurował; był na nim zresztą frak brązowego koloru, wytarty i około rękawów poszarpany, halsztuczek czarny aksamitny na szyi, ale tak wielki, że się cała broda z gębą aż po sam nos i uszy w niego chowała, kamizelka żółta i hajdawerki powyżej kostek, lubo zima była, przecie tylko lekkie nankinowe. Widać, gorąca dusza była w tym kawalerze. Stał on o parę kroków od tamtych, a z miną arcyusłużną i twarzą, wyszczerzonymi zębami o wewnętrznej wesołości świadcząca, na pół pochylony w ukłonie, czekał zapewne swoich panów czy przełożonych łaskawego skinienia.

Za powozem stał jeszcze wóz prosty, srodze wypakowany, na którym siedziało dwóch niby-żołnierzy i sługus jakiś.

Obaczywszy to i widząc zarazem, że ci przybyszowie tak sobie *lente*⁸⁵ przed gankiem cudzego domu poczynają i ani myślą się opowiadać, wyszedłem na ganek. Spojrzeli na mnie, potem po sobie, ale żaden z nich nic nie mówił; tedy ja do nich:

– Gospodyni tego domu zapytuje waszmościów, czym im służyć może?

Spojrzeli jeszcze raz na mnie i jeszcze raz po sobie, po czym ów w mundurze, który się zdawał z nich być najstarszym, zaszwargotał coś do mnie po niemiecku, ja też na to:

– Przepraszam, ale nieświadom jestem tego języka. Tedy on do tego mizernego, o którym wspominałem na ostatku, znowu coś swoim językiem. W tejże chwili przyskoczył ów do mnie w brązowym fraku i zacierając ręce, i skacząc, coś przedziuteńko powiedział, ale i z tego nie zrozumiałem więcej, jak tylko to, że ów mówiący do mnie jest Czech, bo mowa jego nie brzmiała tak, jak każda inna ludzka, jeno jakby kto racę wypuścił. – Krzprtrkrzsz! – Ani jednej samogłoski nie miał snadź w całej gębie. Dopieroż ów średni, a najśluszniejszy ze wszystkich, zażywszy pomaleńku, a dokumentnie tabaki, odezwał się:

– *Forsan dominatio vestra loquitur latine?*⁸⁶

– A! także gadaj! *loquor*⁸⁷, mości dobrodzieju. Zaraz też rozmówiliśmy się, a że się im prezentowałem, kto i jaki jestem, więc i oni zaraz mnie powiedzieli, że owo pierwszy z nich, ów mundurowy, jest to kapitan od inżynierii cesarskiej i nazywa się baron von Holmfels; drugi jakiś tam Niemiec, cywilny, nazwiskiem Streitenbach, a trzeci, ich pisarz czy aplikant, Czech rodem a Wlk nazwiskiem. Powiedzieli mi również, że jadą w Karpaty, gdzie pomiędzy Jasłem a Nowym Sączem mają jakieś drogowe czynności.

⁸⁴ *per modum* (łac.) – na kształt.

⁸⁵ *lente* (łac.) – ze spokojem, powoli.

⁸⁶ *Forsan dominatio...* (łac.) – Może waszmość pan mówi po łacinie?

⁸⁷ *loquor* (łac.) – mówię.

– A, toście się panowie niedobrze wybrali – rzekłem im na to – ponieważ nie masz tędy dróg sposobnych dla tak wielkich i ładownych wozów; ledwie się tu najdą *itinerą*, i to *periculosa*⁸⁸.

– *Periculosa?* – zawołał pan Streitenbach, przeciągając twarz jeszcze na pół łokcia.

– Nie *periculosa* dlatego – odpowiedziałem przestraszonemu Niemcowi – izby na nich bito lub obdzierano, ale dlatego, że są wąskie i wywrotne.

– A! to wiemy – odpowiedzieli – bośmy już ich praktykowali od rana; ale to już mniejsza o to, za kilka lat będą one insze w całym tym kraju.

– Więc o cóż chodzi waszmościom?

– Nam chodzi o to – odpowiedział z nich jeden – że od rana jedziemy i aniśmy koni nigdzie nie popasali, ani sami się pokarmili. Wstępowaliśmy już do kilku karczem, ale nigdzie nam nic nie dano, a do tego jeszcze we wszystkich tak brudno, że gdy by i co było w nich do jedzenia, tobyśmy się nie mogli odważyć wziąć w usta.

Mówili to z wielką grzecznością i nieśmiałością, co mnie dosyć dziwiło, bo ile o tych panach słyszałem, to nie zawsze i nie wszędzie grzecznie sobie poczynali; wszakże bądź co bądź, odpowiedziałem:

– Waćpanowie trafiliście do takiego domu, w którym są same kobiety, nie masz więc gospodarza, który by ich mógł przyjąć; jednakże odpoczynku i posiłku, jaki naprędce się znajdzie, nikt wam tu nie odmówi. Proszę za mną.

Spojrzeli znowu po mnie, znowu coś zaszwarzowali do siebie, po czym ten mundurowy rzekł do mnie z wielką grzecznością:

– Proszę pana na słówko.

Wziąłem go więc ze sobą i zaprowadziwszy do sieni, stanąłem gotowy do słuchania; rzekł tedy:

– Niech się panu to dziwno nie zdaje, że nam rozum nakazuje taką ostrożność, ale nim w ten dom wstąpimy, musimy się pana zapytać, czy osoby nasze tu będą bezpieczne? Nie idzie tu o mnie, bo ja jestem kawaler i żołnierz i ani na skryte postępowanie przeciwko sobie zasługuję, ani tak bardzo się boję; ale tamci panowie piórowi nie są usposobieni do bójki; nadto jeszcze, wyprawę tę lubo przedsięwzięłem z wyższego rozkazu, jednakże drogę obróciłem tędy już na moją własną odpowiedzialność i przyznam się panu, że mi się to całę inaczej wydawało, kiedy siedziałem w pokoju i wyprawę tę wytykałem na mapie. Nie dziw się pan więc, że tak jestem ostrożnym, a to o tyle bardziej, ile że panu wiadomo być musi, jaki wypadek stał się niedawno z dwoma kolegami naszymi w Sanockiem.

– A tak! – odrzekłem smutno i do głębi mej duszy wzruszony – wiadomo mi to, niestety! jednego pan Krajewski w Terce kazał za poły sukni gwoździami przybić do ściany, a drugiemu pan Bal dał kilkadziesiąt bizunów na progu.

– No, więc widzisz pan – rzecze mi baron Holmfels – więc czy będziemy tutaj bezpieczni?

– Mości panie – odpowiedziałem na to z niecierpliwością – za ten czas, którego waszmoście potrzebujecie do namysłu, nim w dom szlachecki na gościnę wstąpicie, myśmy czasu wojny dobywali fortecę, ale to nic, każdy naród ma swój obyczaj. Tymczasem mogę wam to zaręczyć, że w jakikolwiek dom w tym kraju zaproszeni wstąpicie, możecie być pewni, że wam i włos z głowy nie upadnie; nawet gdyby kto obcy napaść was chciał pod tą strzechą, to tylko po trupie gospodarza mógłby was dosięgnąć. Takie są prawa gościnności słowiańskiej, nigdy i nigdzie jeszcze aż po sam Kaukaz i lody Syberii nie przekroczone ani zdeptane!

– O tak! taki jest obyczaj słowiański! – odezwał się Czech ze dworu, który z lekka podsłuchiwał pod drzwiami.

– Proszę panów do izby.

⁸⁸ *itinerą*... (łac.) – dróżki, i to niebezpieczne.

Zabraliśmy się więc i poszliśmy. Kiedyśmy weszli, wiedę ja tych gości wprost przed kanapę, aby ich prezentować gospodyni; ale najpierwszy zaraz dziadek wstał, rękę po staremu przyłożył do czoła, spojrzął na nas i zaraz czapeczkę swoją wziął pod pachę i odszedł. Lgocki zaś, obaczywszy ich, parsknął od śmiechu mówiąc:

– Hi, hi, hi! Niemiec.

Pani stolnikowa się także nie lepiej znalazła, bo niebawem po prezentacji wyszła do innych pokojów; panienki, przypatrzwszy się cudzoziemcom i ich ubiorom, także się powysuwały, za nimi zaraz Konopka; Lgocki stał jeszcze jaką chwilę i oglądał harcapy z bliska i trzewiki, i sprzączki, ale i ten, parsknąwszy jeszcze kilka razy, odszedł; wszystkie więc obowiązki gospodarskie zostały się na mnie. Gniewało mnie to, ale zresztą trudnoż się było gniewać; lat temu już kilkadziesiąt i takie to jeszcze przesądne były natenczas zdania i uprzedzenia.

Uważali to nowo przybyli i pan Streitenbach grubo coś na to mrucał po niemiecku; nie rozumiałem go wprawdzie, ale wiem, że pewno komplementów nie gadał. Czech, który snadź strusi na wszystko miał żołądek, ośmielony i kontent, że stanął na szlifowanej posadzce, chodził od kąta do kąta i przypatrywał się obrazom i sprzętom, ale baron zafrasował się tym widocznie, jakoż po chwili rzekł do mnie z westchnieniem:

– Pan się zapewne wychowywał gdzie za granicą?

– Nie, panie – odpowiedziałem – nie tylko nie za granicą, ale – nawet ani w szkołach publicznych; wiek dziecinny i pacholęcy przepędziłem w domu mojego ojca. – Wszakże widząc, że pan baron z trudnością wysławia się po łacinie, spytałem go, azali nie zna francuskiego języka.

– I owszem – odpowiedział mi – mówię nim dosyć płynnie. Rozmawialiśmy tedy dalej już po francusku, a że jakoś zaraz przyszedliśmy w tej rozmowie na materię szlachectwa i opowiadaliśmy sobie, jak to z tym jest i na Niemczech, i w Polsce, toż i nietrudno było mi poznać, że mam do czynienia z człowiekiem dobrego rodu, starannego wychowania i pięknej głowy, co mi ciężar zastępowania gospodarza o wiele znośniejszym uczyniło. Niebawem zastawiono coś do jedzenia, jakieś mięsiwa, chleby i napoje; rzucili się na to tamci dwaj wygłodzeni z wielką fantazją, osobliwie Czech zmiatał potrawy pewno daleko zgrabniej, niżli spisywał *species facti*⁸⁹, baron tylko jakiś był smutny i tak mięsa, jako i słodczye kostniały mu w gardle. Widząc to rzekłem do niego:

– Waszmość panu przecie coś jeszcze innego oprócz tej podróży musi ciążyć na sercu, bo jużciż trudno przypuścić, żeby sama obawa jakiego napadu lub niespodziewanej awantury mogła mu napędzić tak octowego humoru, zwłaszcza że waszmość sam, jak powiadasz, nie tak bardzo się boisz...

– Pan masz słuszność – odpowiedział kapitan – sama podróż niniejsza nie jest mojego humoru przyczyną, ale ona otworzyła mi oczy na wiele innych rzeczy, o których przedtem dobre wprawdzie, ale nieprawdziwe miałem wyobrażenie.

– Nie wchodzę w to, co tam w rzeczy poruszyło w panu tego nielitościwego robaka, ale nietrudno mi się domyśleć, że waćpan znajdujesz się w położeniu tego, który z impetem i z wielką fantazją wszedł do zdobytej i wedle swego mniemania całkiem oczyszczonej fortecy, a tymczasem zastał tam nie tylko dość silną załogę, ale powietrze nawet zatrute.

– Ej! nie turbuj się waszmość o nas – rzecze Streitenbach – wiemy my, jak co zrobić. U nas dzisiaj jest taka siła ducha, że przed jej samej jednym tylko dmuchnięciem wszystko padać musi na ziemię.

– No! – rzekłem – ja bym sobie życzył, żebyś waszmość choć raz dmuchnął na mnie... albo wiecie co, jest was tu trzech, dmuchnijcie wszyscy trzej trzema duchami, a ja już sam jeden stanę li, z serpentyną albo i bez serpentyny!

– Ale to co innego.

⁸⁹ *species facti* (łac.) – stan sprawy.

– Ba! – zawołałem – ja rozumiem, że co innego... i rozumiem, że gdybyście tak czarownic dmuchać umieli, to bylibyście pewno dobrze dmuchali w Wiedniu, kiedy was bisurmaństwo przygniotło, ją zresztą i dzisiaj jechalibyście dalej i dmuchali przed siebie, a ani myśleli o jakim napadzie na was albo o jakiej awanturze.

– Otóż nie boimy się.

– Tutaj nie macie się bać czego, bom wam powiedział, że wam włos z głowy nie spadnie; ale tam dalej w górach zawsze radzę ostrożność, bo tu ludzie siły może w duchu nie mają, ale mają w rękach, i duchów się nic a nic nie boją, a broń Boże waszmość na nich dmuchać... teraz umysły podrażnione, mogłaby w rzeczy wypaść jakaś nieprzyjemność.

– Nie boimy się! – powtórzył pan Streitenbach, pociągając wielki haust wina.

– To chwała Bogu – rzekłem – ale i niebojów wilcy jadają.

– Nie zjedzą nas.

– Boską w tym wola.

– Nie Boska, ale nasza.

– Wasza? niechże i tak będzie! – odpowiedziałem i zakończyłem tę nudną dysputę z zarozumiałym na swego ducha Germanem, bo to wtedy jeszcze było tak, że człowiek by i sam za siebie nie ręczył; krew nie woda, a młody nie lubi być pobitym ani też przegadany. Niemiec by mnie był duchem swoim pobił, i pewno pobił, bo to o nich powiadają, że każdy z nich więcej ma w głowie nauki niż biskup jaki albo rabin co najuczestszy, a nużby mnie się było zachciało odbić się ręką i przykry by był się stał ewenement, o którym by może już dziś po kronikach pisano, za dowód barbarzyństwa naszego go stawiać.

Tymczasem zaczęło się zmierzchać po trochu; goście, pomimo ducha swego, ani myślą wyjeżdżać, tylko popijając wino, gadają a gadają. Już i Holmfels nawet przysiadł się bliżej i do wina, i do rozmowy się wmieszał. Kłopot z tym oczywisty. Musiałem wyjść do pani stolnikowej, iżby jej woli zasięgnąć, jak sobie postąpić w tym razie. Zostałem ją w trzecim pokoju od sali wraz z córkami i gośćmi i wesoło tam było pomiędzy nimi; dziadek tylko siedział w kącie w skórzanym krześle i opuściwszy głowę na piersi, zdał się martwym lub skamieniałym. Tylko com wszedł do pokoju, rzecze do mnie pani stolnikowa:

– Cóż tam goście?

– Nic – rzekłem – siedzą.

– Bardzo waszmości dziękuję, żeś mnie zastąpił w tym przykrym razie; rozumiem to, że gościnności nie można odmawiać nikomu, ale zawsze milej by mi było, gdyby już sobie odjechali.

– Łatwo to powiedzieć, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem – ale oni podobno troszeczkę się boją i ani myślą wyjeżdżać.

– Jakżeż? to będą nocować?

– Zapewne, że będą.

– No i cóż tu zrobić?

– Nic nie zrobić; zabierzcie się, asaństwo, i wyjdźcie do sali, jeden z tych Niemców jest kawaler i szlachcic, mówi po francusku i wcale do rzeczy jest, z tym sobie możecie panie rozmawiać, a tamtych drugich już ja biorę na siebie. Bo cóż robić przez cały wieczór?

– Co mówicie, panny? pójdziemy?

– Chodźmy, mamó; cóż w tym jest złego? – odpowiedziała Zuzia.

Wyszliśmy więc wszyscy prócz dziadka, który z Konopką wyniósł się do swego pokoju; tu zaś przyniesiono światła; pozbierano ze stołu i zaraz pan Holmfels przysiadł się do gospodyni domu i począł z nią grzeczną rozmowę. Zrazu szło jakoś nudno i cicho, ale że Holmfels był to kawaler światowy i ze wszystkimi trzema damami umiał utrzymać konwersację, więc się też niebawem ożywiło. Wkrótce baron siadł do klawicymbału i przygrywał różne piękne melodie; pokazało się też, że Czech, jako to u nich zwyczajem, umiał grać na skrzypcach, wyszukano mu więc tego instrumentu pomiędzy sługami; grali

tedy obadwa, wtórując sobie, myśmy słuchali, a nareszcie i Konopka, który także był muzykalny, zasiadł do klawicymbału; ja rozmawiałem ze Streitenbachem i dworowałem sobie z Czecha, na co się stary Niemiec uśmiechał i potakiwał; Holmfels zaś jak usiadł przy Zuzi, jak jej wziął prawić jakieś tam rzeczy, tak i przesiadł tam poty, póki całe grać nie przestano, a może i dłużej jeszcze siedział, czego ja już nie widziałem, bo pokazało się, że pan Streitenbach jest budowniczy z profesji i uczył się tego na akademiach, a że ja z dziecka prawie miałem wielkie zamiłowanie w tej sztuce, tedy nie zaniedbałem tej sposobności, aby się o wiele ciekawych, a u nas tylko ze słyszenia znajomych rzeczach zainformować. I tak się zagadałem z tym Niemcem, żem ani uważał, co się tam dalej działo w sali, aż mnie krzyk i szelest jakiś obudził. Spojrzę ja, aż tu widzę jako Czecha okrążyli i panny, i kawalerowie z wielkim hałasem i śmiechem. Przystąpiliśmy bliżej, a on im pokazuje jakieś sztuki łamane, to ze świecami, to z pierścionkami, to z innym rupieciami. Dopieroż biegać za nim, łapać go i śmiać się do rozpuku, przy czym już to Lgocki prym trzymał i najwięcej dokazywał. Nawet pani stolnikowa się z kanapy ruszyła i do gry tej wmieszała, i tak z owymi Niemcami, przed którymi zrazu wszyscy pouciekali, oswoili się wszyscy pomału, jakby z dawnymi znajomymi i sąsiadami, niektórzy nawet, jak Lgocki, aż konfraterni⁹⁰ nawet z nimi się nie kajali⁹¹. Wszakże, kiedy po ukończonej zabawie do wychodu się zabierali, nikt ich ani jednym słowem nie zatrzymywał, a wszyscy z wielką grzecnością dobrej nocy i szczęśliwej podróży życzyli.

Ja już musiałem mój gospodarski obowiązek do dna samego wypełnić i odprowadzić ich jeszcze do oficyn na nocleg, gdzie miał sposobność przypatrzeć się, z jakimi to wygodami ten naród jeździ, jako mają ze sobą i miednice do mycia się, i bety, i piernaty, i papiery, i pióra, i talerze, i imbryki, i Bóg nie wie co jeszcze, a na koniec i usłyszeć od barona najuroczystsze zapewnienie ich dla mnie wdzięczności, który rzekł do mnie te słowa:

– Miło mnie jest na koniec wyrazić panu najszczerze nasze podziękowanie za tak gościnne w tym domu przyjęcie, a o ile nic mnie nie zbije w tym przekonaniu, że gdyby nie nasze tak szczęśliwe się z panem tutaj spotkanie, toby nam było drzwi przed nosem zamknięto, o tyle proszę być pewnym, że ja przynajmniej za najszcześniejszą sobie poczytam tę chwilę, w której będę mógł panu greczność grzecnością odpłacić.

Tamci dwaj tylko, widać ludzie prości i grubi, lubo, jak sami mówili, wielkiego ducha, pożegnali się ze mną obojętnie i chłodno, greczność moją, ba! dobrodziejstwo, poczytując sobie za spełnioną powinność.

Na drugi dzień rano Niemcy odjechali, my zaś pozostali, zgromadziwszy się przy śniadaniu; z wczorajszej, tak niespodziewanej wizyty mieliśmy bujny przedmiot do konwersacji i jeżeli zabawny przepędziliśmy wieczór z nimi przytomnymi, to rano bez nich jeszcze był zabawniejszy, bo mnóstwo przypomnień i uwag nad tymi nowymi w kraju naszym figurami czynionych nieraz do chóralnego śmiechu pobudzić nas musiało. Zuzia tylko, która nie wiedzieć dlaczego ustawicznie w obronie Niemców stawała, i dziadek, który mi po kilka razy wyrzucał, jak mogłem cudzoziemców w dom wprowadzić i pozbawić go wieczoru, po którym on sobie tak wiele rozrywki obiecywał, nie podzielali ogólnej wesołości naszej. Dziadek nawet, rozegrzawszy się winną polewką i wpadłszy na dobry tor elokwencji, na poparcie swoich zarzutów niestworzone rzeczy nam plótł o tym narodzie, utrzymując, że tenże od Kościoła Bożego odstąpiwszy, diabłu duszę zapisał za to, żeby przez tę moc nadludzki rozum posiadał i całą ziemię pod swoje panowanie zagarnął.

– To, mosanie, są rzeczy – mówił dziadek – o których mało kto jeszcze wie na świecie, ale ja, który kraj ten cały stopa za stopą przeszedłem, wiem to doskonale, bo tam w każdej chacie o tym gadają. Duch ten, którym oni się tak chlubią nad inne narody, to nie jest żadna bajka, mosanie, bo tam jest duch w samej rzeczy, ale duch zły, czarny książę światów podziemnych,

⁹⁰ konfraternia (łac.) – bratanie się.

⁹¹ kajać się – tu: wstydzić się.

który się na miliony cząsteczek pokrajał i w tamtych ludzi powłaził; a kto by temu wiary dać nie chciał, ten niech się tylko nad tym zastanowi, że co tylko na zgubę i umartwienie biednych ludzi wynaleziono, to wszystko wyszło z tego ich ducha. Proch strzelny, druk, karty do grania i kości, wszystko to oni wymyślili, a wiele jeszcze innych rzeczy wymyślą na zgubę ciała i dusz ludzkich, to obaczycie.

Na próżno przekładałem dziadkowi, że ani proch, ani druk, jak skoro tylko tajemnica ich używania stała się pospólną całego człowieczeństwa własnością, nie są wynalazkami zgubnymi; na próżno zarzucałem, że obadwa te wynalazki nie mogą od złego ducha pochodzić, kiedy zły duch tym narodem aż czasu Lutra zawładnął, a one o wiele jeszcze przed Lutrem uczynionymi zostały – dziadek nie dał sobie ani co mówić o tym, ucinając spór tymi słowami:

– Ale co ty mi gadasz! Jeszcze ani ciebie, ani was wszystkich, jak tu jesteście, nie było na świecie, kiedy ja już byłem na Niemczech i to wszystko od katolików, którzy się tam jeszcze w sekrecie chowają, słowo w słowo słyszałem. Zresztą, co tam drogo argumentować; nie dosyć, że mi to od naocznego świadka wiadomo, jak moja macocha przez Niemców porwana, skoro tylko się nogą ziemi tamtejszej dotknęła, czarownicą się stała, ale idąc sam przez kraj ten, w którymkolwiek domu we czwartek na nocleg stanąłem, to wszędzie sam na własne oczy widziałem, jak gospodyni domu zaraz z wieczora nastawiała jakieś warzywo w kotle do ognia, a pies lub kot siadłszy koło kotła, warzechę w łapie trzymał i szumowiny zbierał. Po ugotowaniu tej strawy każda z nich na miotłę siadała i zaszwarzawszy słów kilka, z dymem przez komin ulatywała. Ba, i żeby to jeszcze – ciągnął dziadek dalej, popijając winną polewkę – na samych czarownicach się kończyło, nie byłoby to może tak bardzo dziwnym, bo i u nas tego nasienia nie ma; ale to tam, gdzie spojrzysz, wszędzie ludniej od samych duchów na ziemi niżeli od ludzi. Tam w ziemi mieszkają koboldy⁹², w drzewach drzewne, w wodzie wodne, w powietrzu powietrzne duchy. Więc elfy w postaci maluteńkich panienek z rozwiniętymi włosami, które za muchami i motylami latają; w wodzie nixy, wdzięczne panny żyjące, ale zimne jak lód, i kawalerowie wodni, piękni i w niczym od innych się nie różniący, tylko w tym, że włos u nich mokry i miasto ludzkich rybnie zęby mają w gębie – i jedne, i drudzy przychodzą często na tłoki⁹³ wiejskie albo na muzyki do karczem, a Niemcy tańczą z nimi brat za brat. Pokazywano mnie ich na własne oczy, nawet owych karzełków widziałem, którzy w skalnych szczelinach na polu i lasach albo pod podłogami w domach mieszkają i często do plewienia, do żniwa, a najczęściej do otrząsania owoców w sadach gospodarzom się wynajmują; na górze tej byłem, w której wnętrzu w wielkich wykutych salach cesarz ich, Karol Wielki, ze wszystkimi wojskami swoimi siedzi i czeka tam na jakiś dzień przeznaczony, w którym ma wyjść na wierzch i wszystek świat pobić... A ty mi pleciesz jakieś tam filozofie i negujesz to, co na własne oczy widziałem!... hm!... – skończył i popił winnej polewki.

Na takie *dictum*⁹⁴ nie miałem co odpowiedzieć, jakoż i Konopka dodał:

– Ale to nie ma wątpienia, we wszystkich niemieckich książkach stoi to jasno jak na dłoni.

– O! o! prawda, wszakże i ty byłeś na Niemczech – rzekł dziadek do Konopki – powiedzże sam, czy tak nie jest?

– Ale tak, tak – odpowiedział Konopka.

– No, więc czegoż potrzeba? Uśmiechnął się do mnie Konopka, ja też do niego i przestaliśmy mówić o tej materii, tymczasem zaś pani stolnikowa:

– Ale co tam, czy są duchy na Niemczech, czy ich nie masz, nas to mało obchodzi, tymczasem to dla nas ważniejsza, że ci, którzy tu byli wczoraj, to byli szczerzy ludzie z duszą i ciałem, a co najważniejsza, i z władzą nad nami. Ja też jeszcze raz grzecznie dziękuję panu

⁹² kobold – duch górski w postaci karła.

⁹³ tłoki – pastwiska.

⁹⁴ *dictum* (łac.) – powiedzenie.

skarbnikowiczowi, że mi ich gościnnie przyjął i zabawiał, bo kiedy już Pan Bóg tak dał, że losy w ich ręce złożone, to niechże nie myślą, że ja z nimi chcę wojny lub jakiej niezgody. Teraz zaś mówmy o tym, co nas najbliższej dotyczy.

– Słuchamy z uwagą – odpowiedziałem.

– Nie masz co długo słuchać – rzekła gospodyni – oto, aby się dzieci moje cokolwiek zabawiły, chcę na ostatni wtorek dać niewielką zabawę u siebie. Spodziewam się, że i pan skarbnikowicz zostanie.

– Najmilej mi będzie spełnić rozkaz jejmości dobrodziejki – odpowiedziałem – ale do ostatniego wtorku to jeszcze z półtora tygodnia.

– No i cóż to przeszkadza? w szlacheckim domu, a nawet w pokrewnym, dni kilkanaście posiedzieć, sądzę, że panu przykrości nie zrobi.

– Przykrości? – odpowiedziałem – na żaden wypadek, i owszem, przyjemność i miłą rozrywkę; ale z końmi i ludźmi...

– Ot, elegant! – zawołał dziadek – nie bój się, nie bój, spichrza całego nie wypróżnisz i wołów dla ciebie bić nie będą.

– Więc poddaję się z chęcią i gotowością woli asaństwa dobrodziejstwa – odpowiedziałem z ukłonem i sercem pełnym ukontentowania – ten tylko sobie wypraszam warunek, żebyście mnie państwo przez ten czas do jakiej roboty użyli, abym wam darmo chleba nie psował.

– Może i robota się znajdzie – odpowiedziała gospodyni – ot! rankami będziesz nam waszmość Pismo święte czytywał.

– Ze mną będziesz pijał miód po obiedzie – rzekł dziadek.

– Mnie pan skarbnikowicz będzie hafty do krosienek rysował – rzekła panna Zuzanna.

– Mnie zawczasu zatrzymasz izbę w oficynie, abym się miał gdzie przespać po balu – rzekł pan Konopka.

– I mnie także – dorzucił Lgocki, i tak wszyscy sobie coś dysponowali, jedna tylko Zosia niczego nie wymagała ode mnie, jak gdyby chciała mi dać do zrozumienia: a na mnie się będziesz patrzył tylko i to będzie dla ciebie robota, może nawet najcięższa ze wszystkich.

Kawalerowie zostali się jeszcze na obiedzie, po czym odjechali, zostawiając mnie samego z domownikami i obowiązkami świeżo co na mnie powkładanymi.

IV

Gdyby kto inny na moim miejscu został się był w Żwierniku i wiedział o tym, że mu się z dziewięćdziesięcioletnim dziadkiem, nie dosłyszającym i częściej nudnym niżeli zabawnym, z panią stolnikową zwyczajnie przez większą część dnia z niewiadomych przyczyn kwaśną i umartwioną, z Zuzią próżną i snadź komplementami czy kapryсами zepsutą panienką, a na koniec z piękną wprawdzie, bardzo piękną, ale niewielomówną i obojętną mu Zosią półtora tygodnia bez żadnej odmiany przepędzić przyjdzie, toby był zdesperował z kretešem, a może nawet, wielką etykietę odrzuciwszy na stronę, uciekł zawczasu. Ja atoli za te półtora tygodnia ledwie bym był nie oddał mojego udziału w najpiękniejszej, z pierwszym wojskiem całego świata stoczyć się mającej batalii. Bo i jakżeż to pełne niewypowiedzianego wdzięku, pełne nie znajomego mi dotąd szczęścia były wszystkie dni owe i wszystkie wieczory! Jakież to rajski świat się wtedy otwierał dla mnie co rana, jakich cudownych marzeń kraina mnie obejmowała co nocy! Jakimże to bogactwem najwdzięczniejszych uczuć przepełniało się serce, jakim czystym i jasnym płomieniem błyszczała dusza moja!... Boże! jakże wielkim Ty jesteś i jak pełną cudów jest wszędzie Twa ręka! jakież to raj Ty musisz dla sprawiedliwych mieć w niebie, kiedy już taki dajesz niektórym na ziemi! O, Ojczyźnie niebieski! jeżeli który z tych ziemskich płazów, którym Pismo podobieństwo Twoje przyznało, wątpił o Twojej nad tą

ziemią opiece, jeżeli który zachwiał się w wierze w cudotwórczość Twej dłoni, jeżeli który odrętwiał na sercu i zaparłszy się trwogi piekła, lekkomyślnie pogardził tym rajem niebieskim, który Ty wiecznie ukwiecasz i chowasz dla Twoich wybranych – jeżeli czyje serce, mówię, czy to ziemskimi cierpieniami zwarzone, czy pod gorącymi wichrami zarazy lub pokusami rozumu upadło i zwiędło, i jadem przesiąkło, i żółcią zalane milczy, kiedy rozum spienionymi wargami przeciwko Twojemu słowu się miota: – o Panie! Wróćże takiemu tylko trzy dni pierwszej wiosennej miłości, a w niej objawisz mu się w całej Twojej cudowności i mocy – wróć mu miłość czystą i nieskalaną, a dasz mu wiarę tak silną i wielką, jaką miał Syn Twój i owi, którzy za nią konali na krzyżach i w katakumbach.

Nie byłem nigdy dotknięty złym duchem niewiary, nie rozpadała się dusza moja pod ciosami zwątpienia, nie sięgałem nigdy jednookim rozumem moim w granice prawd nietykalnych, ale serce moje, choć młode, ukapało się już nieraz w krwi kipiącej bałwanach i w nich nieraz zakrzepło. Były czasy, kiedym wśród wojen strasznych i złowrogich, sam odarty i ranny, i głodem wymorzony, i tułający się nędznie, takim już był upadł na duchu, żem Cię, Boże, goręcej błagał o śmierć niż kto o zbawienie. Zapomniałem o ojcu natenczas, o rodzinie, o krewnych moich, o przyjaciółach. Tyś sam, Panie, może mi zniknął sprzed oczu natenczas! bo zwarzona dusza moja zamierała już wtedy w gasnącym ciele i ostatnimi drgając siłami, śniła tylko chleb dawno nie widziany i trupy wszędzie porozrzucane, wodę orzeźwiająca i krew zastygającą na ziemi.

Były czasy, w których dni i noce kłęczałem u trumny mojego rodzica, potem u grobu jego, sierota, opuszczony, nieznan, sam, ze łzami tylko i sercem pokrwawionym na tej zimnej, obojętnej, chciwej cudzego grosz?, cudzych boleści, cudzych łez chciwej ziemi!

I przyszły na koniec jeszcze czarniejsze chwile na sierotę. Wśród nich już ziemia znikła sprzed oczu moich... i tumanami wleczonymi za sobą cały świat mi zakryła. Nie wiedziałem już, żali żyję i czy ład mam przed sobą, czy morze, czy mgły, czy powietrze. Martwy byłem, głuchy i nieruchomy. Tylko czerwone płomienie były w ciemne oczy mej duszy, i to nie wiedziałem, czy biją od słońca dopalającego się już na niebie, czy od łun pożaru gasnącego na popiołach spalonej ziemi. Wszakże nie zaginałem jeszcze natenczas.

Ale tak bolesne wrażenia w samej młodości odebrane, owe cierpienia, które w miękkie jeszcze i niehartowne uderzyły serce, zostawiły ślad niezatarty po sobie. I jeżeli to, że wśród nich nie upadłem lub nie obłąkałem się na bezdrożach zwątpienia albo rozpaczy, że za przykładem innych sumienia mego nie oddałem w służbę chciwego władcy rozumu, mam do zawdzięczenia owej wierze świętej, dla której żytem, biłem się i konałem; to to, że mi się na nowo świat życia otworzył, że mi krwią świeżą zagrało serce, że otworzył oczy na wiosnę ziemi, uszy na śpiewanie słowików, duszę na cudze szczęście, że zgoła na nowo ku światu wyciągnął ramiona, to winien tylko owej pierwszej niepokalanej miłości, którą we mnie obudziła kobieta! O! gdybyż wiecznie w sercu ludzkim mogło trwać pierwszej miłości uczucie!

Owe półtora tygodnia, przez które bawiłem w Żwierniku, przeszły mi prędko i prawie niespostrzeżenie. Obudziwszy się z najpiękniejszych snów nocnych i odmówiwszy swoje osobne pacierze, szedłem codziennie rano do familijnego grona i odczytywałem mu modlitwy poranne i świętych żywoty; potem szliśmy do śniadania, przy którym dziadek, gęsto popijając winną polewkę, rozповідаł różne rzeczy o dawnych czasach. Starzec ten siwowłosy im więcej pił jakiegokolwiek gorącego napoju, tym trzeźwiejszym się stawał na umyśle, tym silniejszym pamięcią i żywszym na duszy. Trunek tylko czynił go żywszym, trunek rozwiązywał mu usta, podniecał dowcip i zapomniane wywoływał obrazy. Kiedy w wazie polewki szczerze dno się pokazywać zaczęło, to już jeno spisywać było wszystko, co z jego sinych ust wychodziło – spisywać i na wieczne czasy chować dla potomności. Ale nie z każdym to tak jest na tym świecie: bo podczas kiedy jeden dopiero po gąsiorze staje się mądrym, drugiemu gąsior całe odbiera rozum, jaki miał po trzeźwemu, a niejeden i po

trzeźwemu, i po pijanemu jak gąsior. Po śniadaniu, a przy dziadkowych powieściach, pani stolnikowa odchodziła do gospodarstwa, panny zaś zasiadały do jakichś robótek. Póki więc dziadek pił i rozprawiał, ja tylko półgębkiem mogłem z panienkami rozmawiać, ale gdy już ucichł i głowę zwiesiwszy na piersi, zwinął się jakby ślimak w swoją skorupę, myśmy zaczęli nasze swawole i śmiechy. Wtedy siadałem do stolika i rysowałem Zuzi kwiatki i szlaczki na szyjących się podszewkach, poszeweczkach, chustkach i innych bieliznach; Zosia trzymała mi przed oczyma wzory do tego i wskazywała, gdzie co dodać, a gdzie wypuścić; opowiadaliśmy sobie przy tym różne bajki lub powtarzali ploteczki, niewinnie sobie żartując z ludzi, ze świata i z siebie. Po obiedzie chadzaliśmy do oranżerii i mama nie broniła nam tego; tam pielęnowaliśmy kwiateczki, obrywali z nich liście zeschnięte, obcinali martwe gałązki, ustawiali doniczki w inny ład jako dawniej, radowali się wonią tam falującą i ciepłą, i ową wiosną, którą sztuka ludzka potrafiła sobie utworzyć wśród zimy. Śród kwiatów i krzewów zieleniejących się pysznie i rozwijających się w świeże pączki i liście i ja też ożywiałem się coraz więcej, a serce moje nastrojało się coraz wyżej, napełniało się wonią miłości i przepęniało nieraz, kiedy mu przyszło promień Zosinego oka trochę dłużej wytrzymać. Stałem się też tak miękkim, słodkim i ujmującym, że do tygodnia pozyskałem sobie dobrą przyjaźń u wszystkich; Zuzia nawet, która, jak się to później dowiedziałem, zrazu mnie nie lubiła, która mnie upornie i złośliwym przekąsem wypytywała o to, com to na ustroniu rozmawiał z Konopką, która mnie nawet otwarcie wyrzucała moje postępowanie ze starościcem, która na koniec nie żartem skłóciła się ze mną o Niemców, Zuzia nawet przyzwyczała się do mnie; Zosia tylko, więcej milcząca i zamyślona, oprócz wdzięcznego czasem spojrzenia nie udarowała mnie żadnym wyznaniem – ona z tymi dużymi, niebieskimi i jakby zza mgły lekko wyglądającymi oczyma, zdawała się być duszą gdzieś w innych dalekich światach i wtedy tylko przypominać sobie o ziemi, kiedy jej kwiatek przesunął się przed oczy albo smutek uderzył w serce. Wszakżeż ze słów kilku, ze spojrzeń kilku lub może li z samej fantazji mogłem mieć i czyniłem sobie nadzieję.

Nadzieję tylko? – powie może niejeden – to jeszcze wcale niedaleko. I prawda, że to młodemu sercu niedaleko iść po nadzieję; prawda, że owego czasu inni za półtora tygodnia już i na zapowiedzi dawali, prawda, że i mnie należało się śpieszyć, zwłaszcza że z przyczyny Lgockiego było *periculum in mora*⁹⁵; jednakże na to potrzeba mi się było rodzić albo na sto lat przedtem, albo być francuskim elegantem w peruce i z żabotami, im bowiem tylko udawało się tymi czasami podbijać serca kobiet w kilku godzinach. Więc do nadziei tylko dobiełem się przez półtora tygodnia i nią się poilem, kiedy nadszedł ostatni wtorek.

W domu pani Strzegockiej wszystko było na przyjęcie gotowe. Posadzka na nowo odszlifowana, wszystkie sprzęty odczyszczone i odświeżone, muzyka z Tamowa sprowadzona, potrawy zimne gotowe, wina, miody i inne napoje uporządkowane i osobnemu słudze pod klucz i pod dozór oddane. Wszakże do południa jeszcze nikogo nie było; po południu dopiero przyjechał Konopka ze starościcem, a niebawem za nimi pan Stojowski z Grudny, pan Lubieniecki i pan Kąkolnicki, jakiś tam wujaszek czy inny powinowaty Lgockiego, stary podłysawy kawaler, ale człek bogaty i gotowiznę, i obszerne ziemie posiadający za Wisłą. Za tymi zaś już sanie za saniami sypały się jakby z woru, a wszyscy z nich wysiadali przed oficyną dla przebrania się i przyglądzenia czupryny. Prosiła mnie nawet była pani stolnikowa, iżbym wszystkich zabawił w oficynie, gdzie na dwóch stronach było po trzy pokoje, i abym nie wchodził pierwej z gośćmi, aż póki się nie zmierzchnie i sala nie będzie oświetlona, żeby zaraz bez wszelkiej ceregieli grać zacząć i tańcować. Owóż tedy Konopka, skoro tylko zszedł z sani, zaraz mnie bierze na stronę i pyta:

– A cóż, panie bracie, jak tam rzeczy idą? Ja też na to:

– Jakie rzeczy?

⁹⁵ *periculum...* (łac.) – dosł.: niebezpieczeństwo w zwłocę (hasło alarmujące, wzywające do szybkiego działania).

– A z Zosią? bo jak mnie Bóg miły, lubom to ligockiemu pomagać obiecał, jednakże ty mnie jakoś lepiej do serca przypadłeś.

– Ej! Mazurze! – rzekłem – tak to u was dotrzymują parolu? – Uderzył się sam w głowę za to i odpowiedział:

– Tak mi daj Panie Boże zdrowie, żem zapomniał na wieki.

– Czyś zapomniał, czyś nie zapomniał, to wszystko jedno, zawsześ parolu nadłamał.

– No, no, nie wiem, gdzie toś się między takimi rygorystami wychował? – odpowiedział pan Konopka i pobiegł do pałacu. Jam się został ze starościcem, z którym potężnie się wynudziłem, bo mnie wypytywał o takie rzeczy, na które odpowiadać nie było warto; szczęściem, że mnie od dalszych z nim nudów wybawił Stojowski z Lubienieckim i owym trzecim towarzyszem. Szczerze się ze mną witali Mazurowie, jednak nie bez uśmiechu na twarzy, o który nie chciałem już ich wybadywać, bo nietrudno mi się było domyśleć, że każdy z nich, spojrzawszy na mnie, przypomniał sobie ową scenę przed gankiem w Koszycach i dlatego się uśmiechał. Stojowski był to człowiek rozumny, a nawet pełen różnych wiadomości i przyrodzonego dowcipu, więc mi miłą była z nim konwersacja, ale mi ją znowu przerwał Konopka, wpadając prędkim krokiem i prosząc mnie na ustęp. Wyszedłem z nim do trzeciego pokoju, gdzie mi też zaraz rzecze:

– Panie bracie, daliśmy sobie parol, abyśmy o twojej sprawie ze sobą nie gadali, ale o mojej sprawie przecieby nam wolno pomówić.

– Nie masz wątplenia – odpowiedziałem – słucham tedy, co każesz?

– Powiedz mi, z łaski swojej, co się tu stało podczas mojej niebytności?

– Cóż by się stało? nic zgoła, bo nie dosyć, że przez ten czas ani jednej obcej duszy nie było, ale nawet wszystkie te dni były tak jednostajne i tak w niczym się pomiędzy sobą nie różniące, że gdyby nie kalendarz, tobym myślał, że to tylko jeden upłynął.

– Przecie tu się coś stało.

– Ale ręczę ci, że, ile ja wiem, nic a nic zgoła.

– Skądże by nagle takie bałamuctwo?

– Jakież to bałamuctwo?

– Słuchajże, może mnie jakąś w tym podasz radę. Cała rzecz idzie o to, że mi znowu Zuzia coś zaczyna mataczyć.

– Jak to znowu? nic a nic nie rozumiem.

– Więc opowiem z początku. Rok już blisko, jak konkuruję o rękę panny Zuzanny i pomimo wszelkiej usilności mojej długo tak było, że sam nie wiedziałem, jak właściwie sprawa moja stoi. Panna Zuzanna jest kapryśna i co dzień co innego mi powiadała; matce zaś roją się jakieś familijne splendory po głowie i nie decydując nic sama, odwoływała się do swej córki. Znudzony tą niepewnością, jakoś koło Nowego Roku zrobiłem deklarację, ale że się dnia tego, na nieszczęście, nawinął Murdelio...

– Mój bracie – przerwałem w tym miejscu Konopce – powiedzże mi, kto jest właściwie ten wasz Murdelio?

– Murdelio?... – zapytał Konopka, zamyśliwszy się trochę – Murdelio, cóż? po prostu mnich, franciszkan z krośnieńskiego klasztoru, który miał dawnymi laty fortunę, tę podobno w części utracił, w części na klasztory zapisał i do zakonu wstąpił... a że jest człek rozumny i tak w duchowych, jako i świeckich rzeczach niepospolicie biegły, a do tego jeszcze z lat dawnych dziadkowi znajomy, więc ma pewne zachowanie w tym domu.

– Ej! panie Janie! – rzekłem mu na to – widzi mi się, że tu jakieś tajemnice zachodzą, które kryjówkę swoją mają pod tym mnisim habitem.

– Hm! nie mogę zaprzeczyć, że i mnie się to raz przywidywało, i wprawdzie dziadek, po kilka razy zapytywany przeze mnie, tylko ręką kiwał i odpowiadał: – Wiele by to dziś gadać o tym! – ale kiedy znalazłem sposobność rozmawiania z Murdelionem, a nawet przytomny byłem temu, kiedy on argumentował, dlaczego ślub mój z Zuzią odłożyć wypada, to mi

wszelkie podejrzenie odpadło, bo owa jego pokora, owa pobożność i można mówić, że prawie natchniona mądrość...

– No, no, rozumiem, więc cóż dalej z Zuzią?

– Owóż stało się tak, że mi matka i panna dały słowo i dziadek potwierdził; ślub jednak odłożono na czas niepewny, z czego wszystkiego, jak dotąd, ja byłem dość kontent, bo nic mi w tym tak bardzo pilnego, a przez ten czas zwłoki mam nadzieję wywindykowania⁹⁶ mojego familijnego majątku, dokąd by mi daleko milej było wprowadzić żonę niż na lichą dzierżawę. Wprawdzie po owej deklaracji Zuzia mi zaraz dodała: – Jak się pan chorążyc będzie sprawował dobrze, to ślub będzie prędzej, jak źle, to później albo może i nigdy – jednak ja sobie tych stów nie brałem tak bardzo do serca, bom się zawsze sprawował dobrze, i rzeczywiście tak było, że kiedym tu ostatnią razą był, to mi Zuzia pod sekretem przyrzekła, że o wiośnie zamienimy pierścionki. Tymczasem stało się tak, że za to ja jej znowu przyrzekłem, iż za cztery dni, to jest w niedzielę, przyjadę do Żwiernika. Przyjechać nie mogłem, bom miał termin na sądach w Krakowie, i dopiero wczoraj stamtąd wróciłem, ale zaraz napisałem do niej list z piękną ekskuzą – patrzajże, co mi odpisała.

To mówiąc, dobył list spod żupana i podał mi go do przeczytania. Wziąłem i czytałem, jak następuje:

„wielmożny mo Ścipanie! Do piro teraz widzę, yakiem do Brze zro Biła, czom Waszmość panu czałego słowa nie Darowała y czom ter Minu szlubne Go o znaczyć nie pozwoliła – Bo czy się je Szcze kiedy widzić bę Dziemy, czy ni, tę Waszmość przym ode-mnie na Ukę, że pirszym przy Miotem y napirszą Cnotą każdego kawaLera na czałym świe Cie yest to, czoby zawsze dotrzymywał Parolu. Beste go nic. Bonć Waszmość zdróf y niech ci pan buk niepa mięta ciężkie Łzy moje, co za to płaczę. Zuzanna”

Przeczytałem i długom się patrzył w ten smutny dokument, nic nie mówiąc; ale mi przerwał Konopka słowy:

– No i cóż ty na to?

– Chcesz mojej rady?

– I owszem, proszę o nią.

– Tańcuj więc całą noc dzisiaj, upij się na frasunek, a jutro jedź i niechaj tu noga twoja więcej nie postoi w Żwierniku.

Wpatrzył się na mnie Konopka wielkimi oczyma, a potem rzekł:

– Jak to rozumiesz?

– Jak powiedziałem.

– To chyba sobie dworować chcesz ze mnie?

– Broń Boże! a nawet to ci jeszcze dodam, iżbyś, jeżeli możesz, Lgockiego wyswatał z panną Zuzanną, będzie to bardzo dobrana para i będą bardzo ze sobą szczęśliwi.

– Panie Marcinie! nie spodziewałem się tego! – krzyknął obrażony Konopka i zarumienił się mocno. Żal mi się go zrobiło, rzekłem tedy natychmiast:

– Mój Konopka! jeżelim takiego tonu przybrał do mojej mowy, że ci się widział obrażającym, to przebacz, bo, jak mi Bóg miły, obrażać nie chciałem, w dowód czego powtórzę ci radę moją tymi słowy: porzuć tę konkurencję, bo to panna nie jest dla ciebie.

– Ale kiedy ja ją miłuję, kiedy ja chcę się z nią ożenić!

– A! jeżeli tak, to inna sprawa. Wola każdego człowieka jest jemu rajem.

– Bo uważasz mnie – ciągnął dalej zamyślony konkurent – nie dosyć jeszcze tego listu, ale teraz przybiegam do niej, a ona ani mówić nie chce ze mną, odwróciła się i odeszła. Mój Nieczuja, dowiedz się, co w tym jest.

– Jeżeli mi tylko powie, to z największą gotowością uczynię; ale co bądź będzie, porzuć to, kiedy się dobra pora wydarza.

⁹⁶ wywindykować – drogą prawną odzyskać swoją własność.

– Porzucić – przemówił do siebie w zamyśleniu Konopka, a wtem Stojowski wbiegł do nas i rzecze do mnie:

– Panie Nieczuja! kiedy gospodarujesz, to gospodarujże dobrze; pan starosta Łętowski przyjechał i chciałby się przebrać.

– W ten moment, mości dobrodzieju – odpowiedziałem i wybiegłem przyjmować gości i wydzielać im kąty do przebierania się, a że się już zmierzchać poczęło i wypadało mi jeszcze raz się gospodni zapytać, kiedy mam gości zaprosić na salę, więc pobiegłem do pałacu, aby się widzieć z panią stolnikową. Nie było tej na sali, nie było w pokoju panien, nie było w gaderobie, aż mi powiedziano, że jest w swojej sypialni, do której osobne drzwi i sionka prowadziły ze sieni. Skoczyłem tam i tylko co rękę miałem położyć na klamce, drzwi się otworzyły przede mną i jakby duch jaki lub nagle zakłęte zjawisko, wychodzący stamtąd przesunął się koło mnie Murdelio. Tuż za nim wyszła pani stolnikową i obaczywszy mnie, wzdygnęła się; była blada, oczy miała zapłakane. Ale zebrała się w okamgnieniu i zapytała:

– Czy zapalają już światła na sali?

– Nie uważałem, ale kiedyż tam gości wprowadzić?

– Jak tylko światła zapalą; ja już idę do sali.

Z tym powróciłem do moich gości. Gwar tam był wielki, jak zwyczajnie przed każdą zabawą, ci się ubierają, owi czupryny gładzą przed zwierciadłami, drudzy pasy zawiązują, inni różne miny stroją i już naprzód wybijają hołubce, a wszyscy gwarzą, żartują i hałasują. Jednak na czas wszyscy byli gotowi, a kiedy służa mi dała znać, że już światła się jarzą i panie zgromadziły się w sali, to wszyscy wysypaliśmy się hurmem i ani jeden nie został. Konopka tylko włókł się kwaśny i ostatni za nami, właśnie jakby popielec za zapustnym wtorkiem.

Z hukiem i z brzękiem weszliśmy do sali, Izba ta, lubo niczym nowym na tę fetę nie była przybrana, jednak wyglądała pięknie, a nawet paradnie. Jej wielkość niezwykajna, zwierciadłana posadzka, sprzęty karmazynowym adamaszkiem wybite, tegoż koloru makatami pokryte ściany, misterne gzymsy u góry, to wycinane w floresy, to figurami ozdobne, wielkie, od sufitu aż do posadzki sięgające, w brązowych ramach zwierciadła, pomiędzy tym wszystkim zaś ze trzydzieści dam wdzięcznych i milutkich panienek, w przepyszne stroje przybranych, a na to wszystko porozlewane fale kilkudziesięciu jarzących światel dały mi dopiero rozpoznać dlaczego to niektórzy ludzie tak tęsknią na zapust za miastem dich wyprawianymi balami.

Stroje mężczyzn były wprawdzie badzo wykwiłtne i; oprócz kilku batystowych paniczów lśniły wszędzie od śnieżnych jedwabów, karmazynu i złota, ale stroje dam i panienek jednak więcej na siebie wabiły oko. Długo by to trzeba dziś gadać, aby ubiór każdej z osobna opisać; dla mnie nawet całe to niepodobna, bo i czasu nie miałem tyle, iżbym każdą z osobna oglądał, i pamięci nigdy do tego nie miałem; jednakże jako córki domu były ubrane, koniecznie opowiem. Więc panna Zuzanna miała najpierw wielką napudrowaną fryzurę na głowie, której siwe kędziory zwieszały się aż na szyję, a na której wierzchu, nie wiem już czy komecik taki, czy kwiaty jakie, czy wstążki, dość, że coś było jaskrawego. Na sobie miała najpierw sukienkę jaskrawego koloru, niezmiernie rogówkami rozdętą, na niej zaś lewitkę cielistą, w wielkie niebieskie kwiaty, z ciężkiej jedwabnej materii, to jest niby drugą suknię, z tą od tamtej różnicą, iż ta była w przodu otwarta, a końce jej podniesione i przez otwory od kieszonek po bokach poprzeciągane. Zresztą, na rękach agażanty⁹⁷ z delikatnymi forbotami⁹⁸, przez które przebijały bogate i drogimi kamieniami błyszczące manele⁹⁹; na szyi sznur wielkich pereł, u których lśniła się spinka z brylantów i drobniutkich perełek, na piersiach

⁹⁷ agażant (fr.) – długi mankiet, rękawek.

⁹⁸ forbot (niem.) – koronka.

⁹⁹ manela (wł.) – bransoletka.

druga taka spinka; zgoła od stóp do głów pełno bogactwa i drogocennych specjałów. Zosia wszakże całe inaczej była ubrana; nie było na niej ani fryzury jak babilońska wieża wysokiej, ani pozłocistych kornetów, ani spinek podwójnych przez kieszenie poprzeciąganych; czarne błyszczące włosy w przesłicznych kędziorach spływające na szyję, biała jak śnieg pojedyncza sukienka, jasnoniebieską wstążką ujęta w pasie i żywą, pełną różą ozdobiona na piersiach, to był cały strój jej i cała wytworność. Ale niechaj w kącie idą wszelkie złotników i krawców powymyślane przybory, niech się schowają najmisterniejsze mody francuskiej specjały, jak ją sam Pan Bóg ubrał i ozdobił! I jeżeli pierwej nieraz drżałem jak listek przy zbliżaniu się do niej, jeżeli oddech zatrzymywałem w piersiach, kiedy ona mówiła, jeżeli mi się nieraz ciemno zrobiło w oczach od blasku jej wzroku, toż teraz spojrzawszy na nią i ogłuchłem, i ociemniałem, i oniemiałem, i skamieniałem jak Lotowa małżonka, żem przez długą chwilę ani wiedział, gdzie jestem, ani co się dzieje koło mnie.

Kiedym się zbudził spojrzał pomiędzy grona wystrojonych gości i na ich twarze westłem okraszone uśmiechem, na ich usta gwarzące głośno i żartobliwie na ich oczy uśmiechające się do zabawy, do tańca, a może i do niejednego szaleństwa, to się oczy moje odwróciły od biesiadników tych gwaru, a serce poszłoby było zamknąć się w jakiej samotnej izdebce, aby się.. tam ukołysało do snu i spokoju W samym sobie i przeróżnych uczuciach, które się w nim rodziły i krzyżowały; a kiedy jeszcze raz okiem rzuciłem na owo grono, i pomiędzy nim ujrzałem i panią stolnikową, którą dopiero co łzami zalaną widziałem, i Konopkę, który przed chwilą oniemiał był z umartwienia przy oknie, i wielu innych jeszcze, którzy to braci, to przyjaciół potracili w ostatniej wojnie, którym dwory poupadały w ruinę, żony i dzieci poumieraly może od grozy lub głodu, i na wszystkich tych twarzach śmiech jednakowy i we wszystkich oczach jednakową wesołość widziałem, toż pomyślałem sobie: pod tą skorupą wesołości ileż tu bólów tajemnych! ile zgryzot pod tymi lśniącymi jedwabiami, pod tym złotem, pod tymi klejnotami, ileż to może nędzy i ubóstwa, pod tymi uśmiechami, ile obłudy i fałszu, a pod owymi gładkimi słowy, które miodem z ust płyną, ile złości i nienawiści jest uchowanych! Takie to obrzydliwe teatrum zrobili ludzie z tego pięknego świata, o Boże! taką scenę uczynili sobie z niego i takim rozumem napełnili swe głowy, że ich życie stało się grą komediantów, ich przeznaczenie rolą wedle okoliczności zmienianą, ich sumienie gąbką, zarówno mleko i smołę w siebie wsiąkającą, a ich bożkiem moda i przyzwoitość! I cóż to jest ta przyzwoitość? kto i skąd ją przywiózł na naszą ziemię? kto jej nadał moc taką, że na jej rozkaz gorzkie łzy osychają, boleściami powykrzywiane wdzięcznie uśmiechają się twarze, zakrwawione w cierpieniach serca w głąb się chowają i milkną, oczy kłamią pokorę, usta cześć i szacunek, uszy głuchną, rozum ustaje, a prawda, owa prawda, która winna być jądrem wszechrzeczy i świata królową, prawda z czołem otwartym i piersią pancerną chowa się w najodleglejsze kąty i najciemniejsze szczeliny?

Takie i tym podobne myśli krzyżowały mi się przez głowę, kiedy nagle szmer się zrobił pomiędzy gośćmi i z drzwi przeciwległych krokiem powolnym i posuwistym wszedł dziadek do sali. Milczenie zamknęło wszystkim usta i na czas zgromadzenie przybrało pozór uroczysty. Dziadek tymczasem, w białym morowym żupanie, w ciemnokarmazynowym kontuszu, butach żółtych, pasie ciężkim złotolitym i bogatej spince pod szyją, posunął ku damom i uprzejmie je witał. Otoczyli go goście z uszanowaniem i każdy coś prawił, pewno komplimenta: jako jest zdrow, jak czerstwy, jak rumiane wygląda i tak dalej. On jednak zdawał się nie słuchać tego, bo niebawem z powagą ręką kiwnął na wszystko i dał znak kapeli, aby zagrała. W tymże momencie zagrano polskiego. Dziadek wziął panią starościcę i poszedł w pierwszą parę, za nim pani stolnikowa ze starostą, w trzeciej pan Stojowski z inną co poważniejszą damą, dalej cała gawiedź taneczników. Kiedy to obaczyłem dziadka świątecznie przystrojonego i tylu laty obciążonego, a przecie jeszcze przytomnie i z wielką rzeczy umiejętnością przewodniczącego tej narodowej zabawie, kiedym ujrzał tę białą, stuletnią głowę, idącą na czele, na każde jej skinienie posłusznej młodzieży, to mi się snadnie

przypomniały owe zamierzchłe wieki, w których, jako wieść niesie, na całej słowiańskiej ziemi tylko siwowłose starce tak w domu, jak i na polu przewodniczyli narodom. Nie znano naówczas jeszcze ani kłamstwa, ani obłudy, ani komplementów, ani innych misternego wynalazków rozumu, nie znano żadnych retorycznych szermierek ani wartości uzbieranego grosza, ani wściekłych za własnością pochuci – serce każde czuło po prostu, jego uczucia płynęły czysto i spokojnie, namiętności spały i nikt ich nie poruszał; młodzież milczała i pracowała, a tylko ten, którego głowa śnieżnym ubieliła się włosem, którego serce zahartowało się doświadczeniami i pracą, któremu Pan Bóg mozolnie uzbieraną, z mnogiej ilości lat złożoną, pozwolił dochować fortunę: ten był starszy nad innych, ten lepszy, ten magnat prawdziwy i znakomity. Przed takimi tylko magnatami kłaniały się rzesze, im tylko lud ustępował z drogi, im dawano pierwsze miejsca przy uroczystych obrzędach, im osobne ławy przy biesiadach, im cześć, im szacunek i posłuszeństwo. I piękne to były czasy wtedy, i cnotliwa ich prostota, i Bogu miła ich skromność! Dzisiaj gdzie one i co pozostawiły po sobie?... Oto zapadły w mgłami obciążoną niepamięć, a ich ostatnie cienie odbijały się jeszcze przy uroczystych biesiadach i stypach albo przypominają się ciemno w starych podaniach i opowieściach.

Po polonezie zagrano skoczego, a lubo piękne było towarzystwo i muzyka doskonale animowała¹⁰⁰, jednak leniwo się to jakoś wlokło z początku. Czy Mazurowie już stańcowani byli pod koniec zapust – czy już to u nich zwyczajem, a raczej naturą, że nie gorąco mają się zrazu? Dopiero kiedy dziadek, w drugiej zasiadłszy izbie i obstawiając się butelkami, to tego, to owego pociągnął i nalał mu kielich, dopiero wszczęła się ochota. Wypadało też i mnie, którego pani stolnikowa prosiła, iżbym dziadkowi w gospodarowaniu pomagał, wziąć flaszkę do ręki i animować. Ale z kielichem u nas trzeba ostrożnie, bo to rzecz zaraźliwa; byle drugi i trzeci, to już musi być i dziesiąty, i aż dwudziesty; miary nie masz w niczym pomiędzy nami, bo szlachta każdą miarą się brzydzi; więc i tam tak się stało. Ledwieśmy po parę kielichów wypili, już zaraz i fantazja, i pić, co kto może. Więc tam tańczą, a my tu pijemy, po chwili znowu tamci przychodzą pić, a my idziemy w taniec. Już i nie potrzeba było nikogo zapraszać ani siłować, każdy pił, nalewał, częstował. Ja też to widząc, nie bardzo się nastawiałem, bo nie godziło mi się miarki przebierać, i zrazu jakoś to uchodziło, ale spostrzegli się niebawem Mazury. Wezmą się więc niebawem do mnie mówiąc:

– Chyłkiem, chyłkiem, mości panie, wykradasz się od kielichów.

Ja też na to:

– Uchowaj Boże! nie nowina mi konfraternia z winem; piją U nas niezgorzej. – Mówią drudzy, którzy już trochę podpili:

– Gęba wielka u Sanoczanów, ale ledwie do gadania.

– Wedle okazji, mości dobrodzieju – odpowiedziałem – gdzie trzeba, to się gada, a jak trzeba, to się robi, a gębie sanockiej waść nie przyganiaj, bo kąsa.

– Zarazże i kąsać – krzyknie tam któryś – nie wiem, co wy tam z obcymi robicie, kiedy swoich kąsacie.

– Czasem nic, a czasem ich jadamy, także wedle okazji.

– No, nie zamawiaj, nie zamawiaj, panie bracie – rzeknie do mnie Stojowski, który przy dziadku siedział i z nim się zabawiał – tylko pij.

– Pij, Nieczujo! – krzyknie dziadek – niech no widzę, jakiś jest; *in vino veritas*¹⁰¹.

Dał mi więc Stojowski kielich i rzekł:

– Napijże się ze mną. – Wypiłem. Drugi też zawoła:

– I ze mną, panie bracie.

– Dobrze, panie bracie. – Krzyknął Konopka:

¹⁰⁰ animować (łac.) – ożywiać, wzruszać.

¹⁰¹ *in vino veritas* (łac.) – prawda w winie.

- I ze mną, panie Marcinie.
- Dobrze, panie Janie. – Za nim Lgocki:
- Jesce ze mną, panie. Niecujo.
- Iz waszmością, panie Lgocki.

Dalej też woła piąty i szósty i każdy mi spełna podaje. Wypiłem jeszcze kilka, ale dalej krzyknę:

– Ba! mości panowie! pofolgujcież mi trochę. Cenię sobie bardzo afekta waszmościów, ale *nec Hercules contra plures*¹⁰². Wy każdy za siebie, a ja za wszystkich.

– Aha! zmałał, zmałał – wołają.

– Nie zmałał – odpowiem – ale szlachcic to nie studnia, wiadro się w nim nie pomieści.

– *Ave Maria, Mater Dei*¹⁰³ – rzekł na to Stojowski, który to miał przy winie przysłowie – daleko to jeszcze do wiadra, panie bracie, ot! napij się jeszcze ze mną – i podał mi kielich. Odsapnąwszy wypiłem. Ale zaraz znów jakiś zawoła:

– A cóż to ma być Stojowski lepszego ode mnie! Pijże ze mną! – Nie ma co mówić, wypiłem. Takoz woła i trzeci, i znowu taż sama kolej, a trudno się było wymawiać, bo już w tym było punktum, żeby statecznie dotrzymać. I dotrzymałem, alem dokumentnie podciągnął, więcej nawet, niżby tego dla samej fantazji potrzeba, bo kielich był stateczny, a wypiłem ich kilkanaście; jakoż czułem już i ciepło po całym ciele i dusza zaczęła się rzucać we mnie, rada by jaki huczek zrobić; widząc tedy to i wiedząc, że za chwilę jeszcze gorzej będzie, rzeknę w glos:

– Mości panowie! dosyć tego będzie, chodźmy do tańca, bo to nasz obowiązek. – Na to dziadek:

– Jeszcze jeden ze mną.

– Z jegomościa choćby i dwa – odpowiedziałem i wypiłem, | alem się troszeczkę zatoczył; Mazury na to w śmiech – spojrzalem; na nich i dopiero poznałem, że to zmowa była na mnie. Chcieli mnie j zgoła zaraz i położyć. Może to sztuka Lgockiego, może Konopki, a może i wszystkich razem – myślałem sobie – ale już się stało. Czas płaci, czas traci; złapali mnie Mazurowie, ale może się to jakoś odplaci. Tak sobie mruczac pod nosem, zatoczyłem się jeszcze potężniej, zem aż siadł koło zwierciadła, a kiedym się łokciem oparł o jakiś stoliczek, różne rzeczy mi się poczęły marzyć po głowie: Zosia piękna, bardzo piękna... Lgocki się stara o nią, bogaty, hultaj, jak Żyd, dadzą mu ją, czy nie dadzą? co też Zosia myśli o tym?... i z tym zapytaniem, co też Zosia myśli o tym, strasznie mnie rozebrało około serca, bardzo pięknie mi się zrobiło w oczach, muzyka grała w uszach, Zosia całą moją objęła duszę – i troszeczkę przysnałem. Kiedym po małej chwilce oczy troszeczkę otworzył, siedziałem na tymże samym miejscu. Mazurowie się kręcili koło mnie i uśmiechając się, ruszali sumiastymi wąsami i potrzęsali głowami. W sali kapela grała i tańczowano. – Kiedy tańczują, to dobrze – pomyślałem sobie i znowu oczy zamknąłem. I teraz musiałem usnąć już dobrze, bo zaraz mi się Zosia pojawiła, usiadła koło mnie i położywszy mi rączkę na oczach, różne miłe psoty mnie wyrabiała: to mnie czuprynę jeżyła do góry, to mnie za wąs targała, to za nos ciągnęła, to za ucho kręciła, to mi nareszcie swoją błękitną wstążką głowę związała i kwiatki mi wkładała we włosy. Ale wśród tych psot, które coraz boleśniejnymi stawać się poczęły, nagle coś mnie niby ukłuło w rękę, zerwałem się i najpierw Lgockiego sobą powaliłem na ziemię, że aż się pod stół potoczył. Jakim to się sposobem stało, zrazu sobie nie umiałem wytłumaczyć, to jednak pewna, że w tym momencie ktoś mi coś zerwał z głowy; popatrzyłem do zwierciadła, ale nic nie miałem na głowie, tylko włosy trochę były zburzone. Począłem tedy czuprynę sobie poprawiać i wyloty układać, ale wtem pani stolnikowa weszła i tuż do mnie:

– Panie skarbnikowicz! tak to waszmość gospodarujesz? już przestają tańcować.

¹⁰² *nec Hercules...* (łac.) – nawet Herkules nie poradzi przeciwko wielu

¹⁰³ *Ave Maria, Mater Dei* (łac.) – Zdrowaś Mario, Matko Boga

– Jak to przestają? czemuż przestają? dlaczego przestają? zaraz ja to, pani dobrodziejko...
– i zarzuciwszy wyloty, wyszedłem do sali. W istocie taniec już osłabł, kawalerowie jedni pili, drudzy drzemali, panny i panie gromadziły-się kółkami po kątach i rozmawiały. Popatrzyłem na zegarek, siódma dopiero była, a ja już i tańcowałem, i upiłem się, i wyspałem się, i Lgockiego powaliłem na ziemię. Wróciłem się więc z progu do owej izby, w której pito, i zawołałem:

– Mości panowie, proszę do tańca! Poruszyli się wszyscy, a wtem Lgocki przystępuje do mnie i oddaje mi chustkę swoją własną, mówiąc:

– Waszmość zgubił.

Spojrzę na chustkę, na niej jeszcze znać, jako była na pasek zwinięta. Dopiero mi też rozświtało, że to nie Zosia mi owe figle stroiła i że nie wstażką obwiązywano mi głowę. Lgocki stał jeszcze przede mną, i cóż? za takie sztuki, to jeno zaraz było po staremu pięścią w łeb pana starościca i wzięwszy za kołnierz, wynieść za drzwi, jako nie umiejącego się znachodzić w statecznej kompanii, ale ja, nie chcąc burdy robić w uczciwym domu, wyrwałem mu tylko tę chustkę, wargi przygryzłem i zawołałem powtórnie:

– Proszę do tańca!

Zerwali się wszyscy, a dziadek do mnie:

– Napijże się.

– Napiję, czemu nie – i napiłem. Stojowski też sobie:

– I ze mną, panie bracie – przyjąłem kielich, ale rzekłem:

– Kiedy waszmość mleczaków wozicie ze sobą i przyjmujecie do kompanii, tobyście powinni pilnować, żeby błazeństwa nie robili.

– Jakże to, panie bracie? – rzeknie Stojowski słodko, bo miał tę naturę, że mu się serce w winie rozpływało. Ale ja zawsze po swojemu:

– Książki o tym pisać nie będę ani oracji nie powiem, ale com już powiedział, tego nie cofnę.

– *Ave Maria, Mater Dei* – znowu słodziuteńko Stojowski – Jak mnie Pan Bóg miły, tak nic a nic nie wiem.

– Żebyś wiele wiedział, nie byłbyś sprawiedliwym Mazurem – odpowiedziałem. On się zerwał i odchrząknął. Ja też zaraz wyszedłem do sali, za mną runęli drudzy, alem zawsze jeszcze był trochę pijany, lubo tylko tyle, że mi kipiała fantazja. Przyjdę tedy do Zosi i proszę ją w taniec. Z drugiej strony przyskakuje Lgocki, mówiąc:

– Ja prozę.

– Won! – krzyknąłem na niego, trzymając już Zosię za rękę. Przestraszyła się Zosia i nie wiem, czy z przestachu, czy umyślnie, ścisnęła mnie za rękę; Lgocki odskoczył i uciekł. Stałem tedy do tańca, a że to żadnego ze starszych nie było w kole, więc ja wziąłem prym i kazawszy grać krakowiaka, puściłem się, inni za mną. Gotowało mi się już koło serca, to owe Zosine uściśnienie ręki, to rankor¹⁰⁴ do Mazurów, to wino, więc po jednym przetańcowaniu stanąłem przed kapelą i dla ochoty zaśpiewałem starą jak świat piosneczkę:

*Mazurowie naszy od jaglanej kaszy
Słone wasy mają, w piwie je maczają.*

I poszedłem w taniec, drudzy za mną. Ale za drugim kołem już Stojowski stanął przed kapelą i że to umiał prędko wiersze robić, zaraz odśpiewał:

*Sanoczanie biali w winie je maczali,
Ale posiadali i pozasypiali.*

¹⁰⁴ rankor (łac.) – gniew, uraza.

Dobrze to odpowiedział Stojowski, bo nawet i owo „biali” dobrze kwadrowało do mnie, bom to wtedy jeszcze miał takie jasne włosy jak len. Rzekłem tedy sobie: – Panie Boże, chyba bym nie był sługą Twoim, żebyś mnie teraz opuścił! – i puściwszy się na nowo w taniec, przecie mi nie brakło konceptu, bo stanąwszy przed kapelą, odśpiewałem się gładko:

*Kiedy już zasnęli, kiedy w kącie siedli,
Nie budźcież ich ze snu, żeby was nie zjedli.*

I wywinąwszy się pięknie, puściłem się znowu naokoło. To moje odśpiewanie się zwróciło wszystkich gości uwagę; zrobiła się cisza jak mak siał, a Stojowski znowu stanął przed muzyką i odśpiewał się:

*Nie ma być nikomu dziwno ni zawodno,
Że kto owies jada, temu zawsze głodno.*

Już to dobrze było wypito do mnie, ba! nawet i do wszystkich Sanoczanów, którzy w górach siedzą i owies siewają; porwałem się tedy prędko i stanąwszy przed kapelą, całe na inną nutę huknąłem sobie:

*A ve Ma ri a, Ma ter De i,
Niechże ci się gęba sklei,
Niechże ci się skle i t a m e n¹⁰⁵,
Bo wam taki powiem A m e n,
Że go oko nie widziało
Ani ucho nie słyszało.
Na mazurskich piachach,
Na mazurskich piachach.*

Ledwie co skończył, a tu, miasto się gniewać, idą do mnie z winem, wołając i klaszcząc jakby na teatrum, ale się nie zatrzymał, ażeby przez to i tańca nie zatrzymać, i Stojowskiemu nie tamować drogi do odcięcia się; jakoż istotnie, pohulawszy dwa razy naokoło sali, stanął przed kapelą i na też samą nutę odparł mi tymi słowy:

*Gdzie jest owies, tam i g r a m e n¹⁰⁶,
A gdzie pacierz, tam i A m e n.
Wiedzą o tym i na piachach,
I jak byli już na strachach,
Tak i dziś się ich nie zląkną,
Dotrzymają, nie uklękną
I jeszcze odstraszą,
I jeszcze odstraszą.*

Dopieroż stanęliśmy i dopuściliśmy tamtych do siebie z winem, którzy już z nalany mi kielichami stali i zaraz zdrowia nasze podnosili wołając:

– Ichmość panów i braci naszych, Nieczui i Stojowskiego, pięknych kantorów naszych, przezdrowie!

Ja też zaraz odebrałem kielich i zawołałem:

¹⁰⁵ *tamen* (łac.) – przecież.

¹⁰⁶ *gramen* (łac.) – trawa.

– Ichmość panów i braci, jeszcze piękniejszych słuchaczy naszych, zdrowie!

Stojowski też do mnie:

– Panie bracie! lubo powinniśmy mieć ze sobą na pieńku, jednak niechaj się diabły biją pomiędzy sobą, a nie my; wypijże ze mną jeden. – Ja też na to:

– Nie jestem twojej maksymy; w piwku się nie kocham, wino piję i biję się z każdym, kiedy jest o co, a kiedy nie ma o co, to i dla fantazji, ale kiedy tak twoja wola, to dawaj! – I wypiliśmy. Potem po drugim i po trzecim napilem znów dobrze, kazałem tedy *de noviter* grać kapeli. Zagrała i poszliśmy znowu w taniec, a że to owi perukowi gaszkowie, których tam było kilku, nie tylko że sami wystąpili z krakowiaka, ale jeszcze chodzili sobie z lorynetkami pośrodku i nam zawadzali, więc zaśpiewałem do nich:

*Perukarze, olejkarze,
Eleganty, komedianty,
Na bok z nosem, miejskie franty!
Bo, broń Boże, animuszu,
To peruka przy kontuszu
Na ziem spadnie i nieładnie
Będzie z gołą głową,
Będzie z gołą głową!*

Odkoczyli na bok gaszkowie, śmiech powstał po sali, ale zaraz ktoś krzyknie z tańczących:

– Mości panowie! proszę po cztery pary, bo ciasno! Snadź już duszno zrobiło się wszystkim i wielka nastąpiła ochota. Więc zaraz wiele par ustąpiło i ja też także z Zosią usiadłem w kąciku, która tuż do mnie:

– Czy tutaj będziemy siedzieć?

– Tutaj, moja mościa panno – ażebyśmy razem byli, kiedy na nas kolej przyjdzie do tańca.

– Jeszcze będziemy tańcować? – spytała Zosia.

– Pewno że będziemy, wždy to dopiero początek.

– I śpiewać jeszcze będzie pan skarbnikowicz?

– Dlaczego by nie? kiedy pani rozkaże, to i karku kawałek nakręcę dla fantazji.

– Karku szkoda, ale niech pan jeszcze śpiewa, jak kolej przyjdzie, bo się pan dobrze odcina.

– Dziękuję pani tymczasem za komplement i śpiewać będę, ale gdybym wiedział, że moje piosneczki podobają się pani, tobym jeszcze nie takie wymyślił.

– O! bardzo mnie się podobają.

– Prawdę to panna Zofia mówi? – poderwałem prędko.

– Nic a nic nie dodaję.

– Hm! to mnie tym pani zaprowadzisz daleko, bo u mnie dziś serce bardzo wesołe. Więc żeby Lgocki był te piosenki śpiewał, także by się pannie Zofii podobały?

– Anibym go słuchała.

– Przecie to panią myślą swatać za niego.

– Niechże Pan Bóg zachowa! umarłabym od samego wstydu za takim mężem.

– Panno Zofio! – zawołałem wtedy z bijącym sercem – na co tu długo owijać w bawełnę! Żałuję, że się przed nią nie mogę zaraz rzucić na kolana, ale i tak przyjmij pani to zapewnienie, że największym szczęściem byłoby dla mnie zostać na zawsze jej najposłuszniejszym sługą i niewolnikiem.

Niespodziewanie trafiło to biedną Zofię, spłonęła też jak alkiermes¹⁰⁷ i umilkła tak nagle, jak gdyby skamieniała na miejscu. Twarz jej obrócona była ku sali, oczy w jeden punkt

¹⁰⁷ alkiermes (arab.) – czerwony barwnik z pewnego gatunku robaczeków.

wlepione, ręce złożone na przepasce u sukni – i trwało to tak jaką chwilę. Niebawem jednak rumieńce poczęły jej blednąć na twarzy i blednąć, i blednąć, i nareszcie stanęła tak blada, jak ściana; w oczach tylko, które się z wolna mgłą obciagały, dwie łzy stanęły, duże, czyste, jak dwa brylanty, i potoczyły się po policzkach; na koniec odetchnęła mocno, oczy nieznacznie otarła chusteczką i powróciła do siebie. Wtedy ja znowu półgębkiem:

– Panno Zofio! szczęście całego życia mojego jest w rękach pani.

– Ej! daj mi pan pokój, takeś mnie pan przestraszył.

– Nie bój się, pani – rzekłem na to łagodnie – gdybym aniołem był, nie mógłbym czyściejszego serca dla pani mieć, jak go mam jako człowiek.

– Nie umiem panu na to odpowiedzieć.

– Któż mi odpowie za panią? – zawołałem – powiedz mi, pani, a choćby mi po ten respons nieoceniony iść aż na kraj świata, choćby kołatać do drzwi papieżów i królów...

– Oj! nie tak daleko – odpowiedziała Zofia – wszystko jest w rękach mojej matki.

Hej! żeby mnie kto był na sto koni wsadził natenczas, a żeby mi korzec złota darował, żeby mnie królem najpiękniejszej krainy ogłosił, toby mi takiego ukontentowania nie sprawił i serca tak nie nastroił wysoko, jak to uczyniła Zosia tymi kilku powiedzianymi słowy. Toteż nawet w zapale wykrzyknąłem jakichś nierozważnych słów kilka, ale że mi Zosia zaraz powiedziała:

– Ej! panie Marcinie, będzie wielka plotka z tego na jutro! – więc umilkłem i rozmawiałem już cicho, ciszej nawet niż na spowiedzi. Przy takim spowiedniku, gdyby było przyszło i milczeć nareszcie, tobym sobie jeszcze i milczenie był poczytał za szczęście...

Więc my sobie tu rozmawiamy, a tam bez ustanku tańczą. Niebawem też przyszła i na nas kolej. Porwałem się rączo i z jeszcze lepszą fantazją wywijając moją panienką, wyśpiewywałem jeszcze cudne rzeczy i sam nawet nie wiem, skąd mi się brały, bo anim się rymotworstwa kiedykolwiek uczył, anim dwóch wierszy w moim życiu nie złożył. Ale szlachcic, który ma dobrą fantazję, kiedy w głowę naleje, wszystkim być może, a nawet poetą. Koniec końców, zem naśpiewałem jakie kilkadziesiąt piosneczek; Stojowski, który był sławny z tego, że w okamgnieniu wiersze robił, a nawet czasem, kiedy miał wenę po temu, to i od razu odpowiadał lub zgoła perorował wierszami, dobrze mi sukursował w tej robocie, a nawet często przemagał conceptami, „bo i Apollinowi nie zawsze odpowiadała lutnia” – jak mówi Kochanowski; inni też także śpiewali, co który umiał albo naprędce ułożył. Lgocki tylko chodził chmurno popod ściany i iskrzącym, ale zawsze mazgajowatym okiem na mnie spoglądał;

chciałem go rozruszać i na niego raz i drugi co zaśpiewałem, ale że mi się ani razu nie odciął i przekonałem się, że jest z tej strony bezbronny, więc dałem mu pokój. Wszakże po staremu bez jednego żołnierza wojna była i my bez Lgockiego bawiliśmy się doskonale, i tak nam pięknie i prędko czas zeszedł, że niepomałuśmy się zadziwili, kiedy ksiądz jakiś poważny czy kanonik jaki, czy proboszcz miejscowy, nagle wysunął się z kąta i do Stojowskiego powiedział:

– Dobijajcie waszmość czym prędzej, bo już tylko pół godziny zapust macie.

Spojrzałem na zegarek, istotnie pół do dwunastej już było; rzekłem tedy do Zosi:

– Otóż to w miłej kompanii czas, a przy miłej tanecznicy i taniec jak prędko mija. – A tu Stojowski do mnie:

– Kończmy, panie bracie.

– Jeszcze pół godziny mamy, po cóż to darowywać.

– Nie można – odpowiedział tenże – bo trzeba jeszcze po staremu zapust pożegnać, a post powitać.

– Jakże to?

– Zaraz zobaczysz – rzekł Stojowski i zniknął ze sali. Jeszcześmy tego tańca nie ukończyli, kiedy już w jednym kącie duży stółek drewniany postawiono i wielkim go

kobiercem, na ścianie po obudwóch stronach zawieszonym, okryto; czyniono tam jeszcze i inne jakieś przygotowania, których ja już, ile żem się z Zosią zagadał, nie uważałem i nie pamiętam. Tymczasem zaś ręczo podawano kielichy, pito, podawano drugim i do wypicia przymuszano, wymyślając różne dowcipne i śmieszne zdrowia, dla każdego kapela huczny wiwat przygrywała. Z boleścią serca musiałem i ja też Zosię porzucić, a do nich przystąpić i pić, co który zaintonował, i kto wie, czym by się to było skończyło, bo już i na kolanach pito przed damami, i ja już jeden taki kielich przed panią stolnikową, drugi przed Zosią wypilem, ano się jeszcze do trzeciego przed Zosią zabierałem, gdyby nie to, że nagle zawołano:

– Mości panowie! uciszcie się! – a któryś tam zaczął dzwonić łyżką w szklanke, niby dzwon naśladowując. Kiedym, zdrowie Zuzi wypiwszy, powstał i obejrzał się po sali, cisza była, a na owej niby to ambonie, powyżej pasa dywanem zakryty, stał już Stojowski w białą ubrany koszulę i pas swój lity na szyi zawieszony mając. Uciszyło się całkiem, a Stojowski zaczął w ten sens:

– W imię ojca Jowisza, jego sługi stokfisa, jego syna Plutusa i jego famulusa, którego imię zginęło w Rzymie, i wdzięcznej panny Afrodyty, dla której rozchorował się Bachus spity i po której słodczy łaknie dziś pieprzu i goryczy. I która to Afrodita, w wszelkie wdzięki obfita, ze swoją miłością stanęła mu już w gardle kością, że ten Bachus, niebożę, nadobnej Terpsychorze służyć już ani weź nie może i zaległ sobą czarne *mortis*¹⁰⁸ łoże. Z czego wszystkim niech będzie ta *in aeternum*¹⁰⁹ nauka: że co nadto, to nadto, jako pisze i dokumentnie probuje¹¹⁰ Anakreon, rycerz i nieporównany w tej materii poeta swojego czasu, w księdze siódmej, rozdziale jedenastym.

Próżno też Terpsychora, panienka urodziwa, tańców i luszyków chciwa, a w postach niecierpliwa, posłała mu swego doktora i przesłała mu swego amora, aby leżał jak pies przy jego łożu i podawał mu leki. Próżno to wszystko! nie będzie już nic z tego kaleki, bo już jest *moriturus*¹¹¹.

Umrze więc na tym łożu i zamkną mu się powieki, i pochowają go na rozdrożu, i grób mu wykopią głęboki, i głaz mu położą wysoki, i napis na nim wyryją taki: „Tu leżą Bachusa kości, który z miłości dostał mdłości, syt cukru i słodczy, wołał pieprzu i goryczy, nie dostał i – krom doktorskiego starania i ziół różnych podawania – umarł” – z czego znowu ta się wydobywa nauka, że *contra vim mortis non est medicamentum in hortis*¹¹², a gdzie śmierć zasiądzie łoże, tam i doktor nie pomoże; jako o tym pisze *proverbiorum*¹¹³ autor, dzisiaj już wiecznie w Bogu odpoczywający, Rysiński, w księdze swojej pierwszej i ostatniej, bez rozdziałów pisanej.

A kiedy jego znajomi przyjdą nawiedzić go *domi*, to w zimnym łożu jego nie zastaną dawnego przyjaciela swego ani kota, ani szczura, ani Rusina, ani Mazura, ani wilka, ani niedźwiedzia, ani szczupaka – jeno śledzia. Tego oto, którego tutaj mam honor prezentować waszmość państwu (to mówiąc, Stojowski podniósł prawą rękę do góry i pokazał wszystkim prawdziwego śledzia, uwiązane go na sznurku), a który jest Holender prawdziwy i nie przyjechał tutaj po to, jako niegdy jego bracia Holendrowie albo dzisiejsze Szwaby, aby nas uczyć chodzenia koło jarzyn albo zgoła rozumu, ale po to, aby był zjedzon z octem i z oliwą. I ażeby pokrył z czasem swoją solą i kwasem wszystkie frykasy, marcepany i inne nudności, które niejednemu z nas z zapust zostały w gardle i koła go jakby kości. Co z tłustym wtorkiem ma taki związek, jak babilońska wieża z piaskiem amorkiem i z Orderem

¹⁰⁸ *mortis* (łac.) – śmierci.

¹⁰⁹ *in aeternum* (łac.) – na wieczne czasy.

¹¹⁰ probować – tu: stwierdzać.

¹¹¹ *moriturus* (łac.) – umierający.

¹¹² *contra vim...* (łac.) – na śmierć nie ma lekarstwa.

¹¹³ *proverbiorum* (łac.) – przysłów.

Podwiązek – aż mijającym zapustem, jak czart z odpustem – aż przybywającym Popielcem, jak robiony kwiatek ze złotym cielcem.

Ale żeby w piśmie czy w oracji wszystko stanęło na racji, a periody miały wąż i koneksję i nie konały na apopleksję: na to potrzeba dar do tego mieć z nieba i zdrowe serce *in loco*¹¹⁴, i niepijane w duszy oko, i przyzwoity rozum we łbie, i jeździć na koniu o zdrowej nodze po murowanej drodze, ale nie po kałuży ślizgać się na kielbie! i nie posyłać po rytmy do Aten, aby nimi zadziwić głupi świat ten, ani po widok krwi i zgonu latać na brzegi Flegetonu, kiedy dość tego w miejscu przyzwoitym pomiędzy naszą pszenicą i żytem; ani też w rzymskie przybrawszy się togi, pleść, jak konają gdzieś pogańskie bogi; kiedy czas jest przed rozburzonym ukłęknać kościołem i o próg jego twardy grzesznym uderzyć czołem, i głowy posypać popiołem, i odmówić pacierze dawno już opóźnione za grzechy popełnione... a dalej już z głową wytrzeźwioną i zdrową czekać w pracy około roli i nie w lekach tego, co boli, aż nadejdą Wielkanoc i Święta Zielone.

Umarł tedy Bachus, nasz przyjaciel miły, a nimfy ciało jego w grobie położyły; ale że ten akt swego życia zmiany odbywał niebożętko po staremu pijany (tak jak, nie przymierzając, ja, tę mowę mając) – i wytrzeźwiwszy się, mógłby powstać z ziemnego przybytku i znów się zerwać do kielicha i zbytku; tedy mu Post Wielki, na wypadek wszelki, na ręce i nogi kładzie te kajdany, iż go chrzci krzyżem świętym i węzłem nierozciętym wiąże go z jego przyszłym panem, przytomnym tutaj księdzem plebanem. Siedźże teraz, poganinie, póki twój czas nie przeminie, i pokutuj przez trzy kwartały bez żadnej pociechy za wszystkie grzechy, które się tu na ziemi z twoich przyczyn stały. A my mu jeszcze raz zadzwońmy i gospodyni naszej się pokłońmy, i idźmy za nią, gdzie nas powiedzie, na postny barszczyk i na śledzie. Amen.

To powiedziawszy, zlaźł z ambony, a tu już krzyczą; – Wiwat, wiwat! kaznodzieja nasz! – i podają jeszcze ostatnie kielichy. Stojowski, zrzuciwszy ze siebie pas i koszulę, wszedł między nas i wypiliśmy jego zdrowie koleją, po czym poszliśmy do jadalnej izby, gdzie już był stół nakryty i postnymi potrawami zastawiony.

Po tej wieczerzy rozeszliśmy się wszyscy i podczas gdy jedni, którzy bliżej mieszkali, rozjeżdżali się do domów, inni układali się spać w oficynie, ja pobiegłem czym prędzej do łóżka, aby przytuliwszy głowę do poduszki, myśleć sobie samotnie o Zosi i o niespodziewanym szczęściu moim.

V

Następnego dnia rano jeszcze się był nie obudził, kiedy wbiegł do mnie Konopka i zamknawszy drzwi szczerze za sobą, z niecierpliwością zapytał:

– A cóż, panie bracie?

– Czy znowu? – odpowiedziałem – ej! toż to język nieposłuszny u tych Mazurów.

– Ale ani śni mi się o tym, jak ty z twoimi zamysłami stoisz; pytam się tylko o to, co ci odpowiedziała Zuzia?

Dopiero w tej chwili przypomniałem sobie, że mi ten nieszczęśliwy konkurent polecił, iżbym się wywiedział o przyczynie kaprysów Zuzi; rzeknę tedy:

– Jak mnie Bóg miły, panie Janie, że wczoraj miałem wieczór taki, żebym był i o generalskim rozkazie zapomniał, a nie dopiero o takiej drobnej przyjacielskiej posłudze.

– To bardzo smutno – rzecze zamyślony Konopka.

¹¹⁴ *in loco* (łac.) – w miejscu

– A cóż tam znowu w tym tak bardzo smutnego? Jedno wiesz sam, że ja tu w Żwierniku nie posiadam jeszcze u żadnej osoby takiego zaufania, żebym mógł liczyć na pewno, że się co dowiem, a po wtóre znów ja ci powiem, że od wczoraj do dzisiaj jeszcze żadna kłamka nie zaskoczyła, a com mógł uczynić wczoraj, to potrafię i dzisiaj.

– Jeżeliś łaskaw, to cię bardzo proszę, bp może mi to dziś potrzebniejsze niżeli wczoraj.

– Dlaczegoż to, panie bracie?

– Bom już gotów był twojej rady posłuchać, a teraz znowu się pokrzyżowało.

– Jakże to? nic nie rozumiem.

– Owoż tak. Kiedym wszedł wczoraj wieczór na salę i spojrział na Zuzię, że tak była wesoła i uśmiechająca się prawie jak nigdy, straszny mnie smutek ogarnął. Myślałem sobie: otóż to jest świat dzisiejszy, otóż to ludzie! Wiele to pomiędzy tymi czterema ścianami kłamstwa, wiele obłudy, wiele fałszywych komplementów, wiele zmyślonych uśmiechów, zgoła jakaż to maskarada! bobym był zaraz krzyż położył na to, że się tam Zuzi serce na kawałki krajało, a przecie się śmiała!

– Panie bracie! świadczę się Panem Bogiem, że mi o tejsze samej porze oko w oko te same myśli przychodziły do głowy.

– No, to tym bardziej! Otóż mówiłem sobie tak: dlaczegoż ty się śmiejesz? albo ci jest cale obojętny i sercu twojemu obcy, wtedy bądź mi zdrowa! odkochałaś się ty, odkocham i ja się. Albo się śmiejesz dlatego, abys się pastwiła nade mną i mściła się w sposób tak nieludzki za bagatelę, za głupstwo, za to, żem nie chciał przegrać procesu i kawałka fortuny mojej poświęcić dlatego, abym ci niebacznie danego i nie zastrzeżonego dotrzymał parolu i pojęczał jakie pot chwili przy twoich nogach, a wtedy, toś ty żona dla samego szatana, ale nie dla mnie. Takie *dilemma*¹¹⁵ postawiwszy, powiedziałem sobie:

bądźże zdrowa! miałbym siebie za cztery litery, jeżelibym słowo do ciebie przemówił. Ale że mi się srodze serce zakrwawiło od żalu i potrzeba mu było dać jakiegoś lekarstwa, aby z bólu nie pękło, więc poszedłem do onej izby, w której pito...

– I zryłeś się na frasunek jak bela.

– Nie, to tyś się zrył wtedy jak bela, ja piłem i piłem jak smok i pomimo najlepszej chęci mojej ani rusz upić się było, alem się za to rzucił w taniec z takim ferworem, żem hulał jak wściekły ze wszystkimi pannami, tylko z Zuzią ani jednego kroku. Com myślał wtedy, nie umiem na pewno powiedzieć; może gdyby była Zuzia na mnie mrugnęła i przeprosiła się ze mną, może bym jej był jeszcze do nóg upadł za to; ale, wyobraź sobie, wytrzymała tę całą manifestację Ode mnie z tymże samym uśmiechem, z jakimem ją zastał na sali, ba! przetrzymała mnie nawet, bo przecie ja już dalej nie mogłem ani pić, ani tańcować i tak się zatrąłem i osłabłem, żem ledwie mógł siedzieć na ławie, a ona tańcowała bez ustanku aż do tego momentu, w którym Stojowski począł swoje kazanie.

Spoczął trochę Konopka, a ja mu na to:

– Panie bracie – rzekłem – jakoś w tej historii jedno z drugim mi nie kwadruje. List, który mi wczoraj pokazywałeś, jawnie tego dowodzi, że lubo panna Zuzanna przed nami obydwoma otrzymała partię Niemców, jednak nie ma ona ani niemieckiego ducha, ani

niemieckiej wiedzy i że nie tylko druku nie wymyśli, ale nawet ani się pisać już nigdy nie nauczy, a tu mi znowu takie subtelne sztuki o niej powiadasz.

– A cóż to ma pisanie za styczość z rozumem albo ze subtelnością myśli? – odpowiedział Konopka. – Widać, że nie znasz kobiet, kochany Marcinie! mają one więcej rozumu i przyrodzonego dowcipu bez pisania niżeli my z naszym pismem i czytaniem. Ale zresztą, co o tym rozprawać! opowiadam ci fakta, które żadnemu nie ulegają wątpieniu.

– Mówże więc dalej.

¹¹⁵ *dilemma* (gr.) – sofizmat pozwalający na wybór między dwoma sądami sprzecznymi.

– Otóż tak trwało do samej północy. Lubo zwyciężony przez Zuzię, jednak rad byłem sobie, bo widziałem jawnie, jakby na dłoni, że czy tak, czy owak, zawsze to żoną nie dla mnie. Nie byłoby głupiemu wyjść ze sali i położyć się spać w kąciaku, a dzisiaj równo ze dniem wyjechać?

– No, albo cóż się stało?

– No, cóż się stało? poszedłem potem za wami do izby jadalnej i usiadłszy samotnie na rogu, patrzałem jeszcze zamyślony na tę, która mnie tak obalamuciła, którą tak srodze kochałem, dla której tyle trudów poświęciłem, tyle kosztów poniosłem, dla której byłbym w razie może i gardło dał moje, a która mnie tak okropnie zdradziła, moje ofiary podeptała, żebym też choć wiedział, dlaczego! Wtem, kiedy inni zajęci byli jedzeniem, przystępuje do mnie pani stolnikowa i rzecze: – Panie Janie! co waszmość wyrabiasz? – Zerwałem się z ławy i doprawdy nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Aż patrzę, a tu Zuzia tylko o krok jeden ode mnie, z twarzą jak zawsze obojętną, ale wypogodzoną i uśmiechającą. Jeszczem się raz dał zwyciężyć i głowę opuściwszy na dół, czekałem cierpliwie cięcia, które na moje utrapienie jeszcze miało we mnie uderzyć. I tak się stało w istocie, bo w tymże momencie odezwała się Zuzia: – Pan Konopka dzisiaj nie w swoim sosie. – Powiedzże sam, czy nie lepiej by mi było wtedy być na torturze?...

– Gorzej, panie bracie – odpowiedziałem.

– Ej! ty bo wszystko zbywasz krotoczwila! – odpowiedział Konopka z niechęcią.

– Jakżeż tu nie być krotoczwilnym – rzekłem na to – kiedym sobie w tej chwili przypomniał cię, jakoś mi przed dwoma tygodniami z przyczyny mojego postępowania ze starościcem dawał tak poważne nauki i wymawiał się z tego, że mi nie możesz służyć swoją protekcją, a teraz...

Odwrócił się Konopka i powstawszy z brzegu mojego łóżka, na którym siedział, przeszedł się po pokoju, ale niebawem rzekł:

– Tak to bywa na świecie: dzisiaj się jest na wozie, a jutro pod wozem. Takie to dziwne los z nami, biednymi ludźmi, stroi igraszki! Ale cóż robić? trudnoż mi się dziś wstydzic lub cale zapierać tego, co lubo ze zmianą okoliczności pokazało się za porywczym, jednak wyszło z dobrego serca i było pocziwym. Ty może szczęśliwszym będziesz w twojej imprezie.

– Może będę, a może i nie będę, to jednak ci powiem, iż gdyby ta, o której rękę ja bym się starał, taką mi się być pokazała, jak Zuzia tobie, tobym sobie wcale tego za wielkie nie uważał nieszczęście.

– Cóż byś począł?

– Panu Bogu bym podziękował, że mi się te tajemnice odkryły przed ślubem, a nie po ślubie.

– I wyrugowałbyś cały afekt ze serca?

– Nie potrzebowałbym go rugować, bo w tejże samej chwili, w której bym się przekonał, że osoba, dla której ja mam szczerzy sentyment, ponieważ tym pięknym mojego serca owocem, duma moja i ambicja nie dałaby ani mruknąć afektowi. Zresztą, czy to tak trudno tak marny przytłumić w sercu afekt, jaki miewamy do kobiet? Miewało się już daleko wspanialsze i nieporównanie silniejsze afekta i zawiedzione zostały, i zdeptane, i umilkły, a przecie jeszcze z nimi nie dał się człowiek podeptać i nie umilkł z kretesem.

Konopka tylko pokiwał głową i trwało pomiędzy nami milczenie przez czas jakiś. Ja bym był milczał i dalej, bo mi dobrze z tym było, ale on je przerwał i rzekł:

– Poczekaj, będziesz i ty miał niemałe opaly ze Zosią! Lgocki już prawie zwariował, obaczmy, jaki Kato z ciębie... ale prawda! nie mamy nic mówić o tym. Więc cię tylko proszę, gdybyś się mógł co od Zuzi dowiedzieć, dowiedz się i udziel mi.

– Ale z całego serca. Konopka jeszcze długo chodził po izbie i sapiąc mocno, na różne sposoby dubitował¹¹⁶ nad swoim położeniem i wszystko, co myślał, głośno wypowiadał; ja mu podsuwałem moją nieodmienną radę pod różnymi postaciami i byłbym go może do jakiego ostatecznego rezultatu doprowadził, gdyby nie to, że wśród tych oratorskich tergiwersacyj¹¹⁷ naszych wszedł Stojowski do naszej izby, wołając zaraz z progę:

– *Ave Maria, Mater Dei!* Waszmość jeszcze w łóżku, a tu już dziewiąta godzina i wszyscy wyjeżdżają do kościoła.

– Nie może być! – zawołałem, zrywając się na równe nogi – a! to by pięknie było, żebym nabożeństwo opuścił!

– Nabożeństwo nie jest tak bardzo pilne – odpowiedział Stojowski – ale jest tu inna historia, zwłoki nie cierpiąca, do której waszmość zapraszamy.

– Cóż to? – rzekłem – pewnie sprawa jaka.

– Pewno, że nie *consilium*¹¹⁸. Już mnie ta przyjaźń Łętowskiego drogo kosztuje!

– Cóż to, panie bracie? – zapytał Konopka.

– Lubieniecki, jako to zawsze niecierpliwy a względem wszystkich podejrzliwy, wyjechał przeciw Łętowskiemu z takimi zarzutami, że choćby tylko dlatego, że jest w naszej kompanii, nie wypadało mi im dać upaść na ziemię. – Na to Konopka:

– Co bym się tam brał do obrony cudzego honoru! niechaj każdy sam się broni, od tego ma głowę i ręce.

– Ale, proszę cię – zawoła Stojowski – już zostaw to mnie, do czego ja się mam brać, a do czego nie. Nie wiesz, o co idzie, i gadasz! osądźże ty, Nieczuja; rzecz była taka. – Ja też na to:

– A co mnie tam do tego, jaka rzecz była! Chcesz się bić z Lubienieckim, to za świadka i za pomocnika albo zastępcę służyć; chcesz się godzić i sądzić, to poszlij do trybunału po palestrantów i sędziów, bo to nie moja rzecz.

– Dobrze masz, zbieraj się i chodź.

Ubrałem się tedy w okamgnieniu i szablę wzięwszy, poszedłem. Po długich tergiwersacjach, w których tchórzem podszyty Łętowski, niby to przez wdzięczność dla Stojowskiego, tak wiele gadał, że o mało ja z nim do burdy nie przyszedłem, Stojowski z Lubienieckim wybili się, trochę się podrapawszy, co nie miało żadnego znaczenia i tylko mi kawał drogiego czasu ukradło, bo kiedym zaraz potem wsiadł na sanie i do kościoła pojechał, to jeszcze tylko zarwał tyle nabożeństwa, że mi ksiądz głowę popiołem posypał.

Po nabożeństwie powróciliśmy wszyscy do dworu, gdzie nas w izbie jadalnej postne oczekiwało śniadanie. Mało już gości było we środę w Żwierniku; jedni jeszcze wczoraj, drudzy dziś rano poodjeżdżali, inni już od kościoła poskręcali do domów. Przy śniadaniu dość smutno było i wcale niemówno; dziadek spał jeszcze, Zuzia się dąsała i smutno poglądała przed siebie, Konopka milczał i z oczyma wlepionymi w talerz tak właśnie wyglądał, jakby dziś po raz pierwszy był między ludźmi. Łętowski tylko, kontent, że kto inny wybił się za niego, jadł wiele i rezonował, jak wszyscy tchórze po skończonej batalii, ale nikt go nie słuchał. Ja się przysiadłem do Zosi, która mnie miłym powitała uśmiechem, i już tak jej asystowałem wyraźnie, jakbyśmy jutro mieli iść do ślubu. Lgockiego to widocznie gniewało, ale że już był przestraszony przeze mnie, więc ani razu mi w oczy nie spojrzął, tylko co chwila do swojego sąsiada coś szeptał, a nawet i temu dawał pokój, ile razy na niego spojrziałem. Wziąłem to sobie *ad notam*¹¹⁹ i postanowiłem w razie potrzeby korzystać z tego tchórzostwa jego.

¹¹⁶ dubitować (łac.) – tu: rozmyślać, rozważać.

¹¹⁷ tergiwersacja (łac.) – wykręt, spór.

¹¹⁸ *consilium* (łac.) – narada.

¹¹⁹ *ad notam* (łac.) – w pamięci; zapamiętałem sobie.

Po śniadaniu jeszcze cokolwiek gości odjechało, została tylko panienka jakaś, rówieśniczka Zosi z sąsiedztwa, Stojowski, Konopka, Lgocki i ja. Podczas kiedyśmy przechodzili do sali, uważałem to, że pani stolnikowa wzięła Konopkę ze sobą i wyniosła się z nim do dalszych pokoiów na jakąś konferencję, w jadalnej zaś izbie Zuzia się sama została. Korzystając tedy z tego momentu dla wywiązania się z obietnicy danej Konopce, przystąpiłem do niej i rzeknę:

– Waszmość panna tu sama tylko ze śledziami i butelkami?

– Sama.

– Cóż mi panna Zuzanna od dni kilku posmutniała widocznie i cóż to temu za przyczyna? Kto jest ten niegodziwy, kto zuchwalec taki, który się stał tego powodem?

– I cóż mu pan zrobisz?

– Powiedz no mi, pani, który to jest, zaraz my go tu ukarzymy przykładnie.

– Ej!... nikt... ot! tak; zła jestem i koniec.

– I koniec? – rzekłem – dajże mi pani rękę na to, że na tym już będzie koniec.

– O! jak to pan skarbnikowicz zaraz chwyta za słowo!

– Chwytam, ale to wszystko dla dobra pani, bo źle pani robisz, że się gniewasz i dąszasz, i poniewierając uczciwego człowieka, Pan Bóg wie za co, ściągasz przez to żarty i uszczypliwe przycinki nie tylko na niego, ale nawet i na siebie.

– A któż to może wiedzieć, co pomiędzy nami zachodzi?

– Nikt, tylko wójt i cała gromada.

– Ej! bo pan Konopka sam temu winien.

– Co też pani gadasz! a cóż on temu winien, że mu termin sądowy na ten dzień wyznaczono, na który się obiecał był do Żwiernika?

– Jużże i wszystko wypapla!

– Trudnoż, nie miał choć trochę rum¹²⁰ zrobić swojemu sercu, kiedyś go pani tak srodze przygniotła?

– Bo on mnie tak ciężko obraził.

– Ależ, moja mościa panno, to jest wielkie dzieciństwo. Zapomnij pani o tym i przeproś się z panem Konopka, bo to wielki grzech jest bałamucić kawalerów i poniewierać nimi za pomocą tego kawalka broni, który wam sami podają w ręce.

– Tyle też naszego panowania nad wami.

– I to nadto, moja mościa panno, bo gdybyśmy rozum mieli i tak sobie z wami postępowali, jak to czynili nasi nieśmiertelni ojcowie, tobyście ani tej jednej chwili panowania nie miały.

– Piękne maksymy mi pan skarbnikowicz ogłasza! teraz się wcale temu nie dziwię, co mi ów baron niemiecki tyle o barbarzyństwie mężczyzn w Polsce nagadał i co mi pan Rychter i wszyscy ci panowie, którzy francuskie suknie noszą, zawsze powiadają.

– Panno Zuzanno, wierz mi pani, że ja daleko lepiej tę materię rozumiem niż baron niemiecki i pan Rychter, i wszyscy ci panowie, którzy francuskie suknie noszą, i powiadam pani to, że u której kobiety objawia się chętką do *imperium* nad mężem lub amantem, u tej nie masz miłości, jest tylko próżność i może co jeszcze więcej, o czym raczej zamilczę. Że zaś tamci panowie tak przeciwko obyczajom polskich mężczyzn powstają i barbarzyństwem to nazywają, to temu jest bardzo prosta przyczyna: pan Holmfels jest Niemiec, w naszym kraju jest może rok albo dwa, ani słowa po polsku nie umie, naszych stosunków nie zna, więc jego zdanie o nas tyle jest warte, co zdanie jakiego Chińczyka, który co powie o Polakach, albo zdanie wróbla, który świegocze na dachu; pan Rychter jest luter, a jak pani wiadomo, ich religia całkiem inaczej mówi o sakramencie małżeństwa niż nasza, co się zaś tyczy francuskich elegantów, to chyba że panie same tego nie widzicie, że każdy z nich jest

¹²⁰ rum – tu: ulga.

najpróżniejszy pochlebca i frant, jakich mało, i nie tylko to, ale grzech śmiertelny by na siebie powiedział, gdyby tylko wiedział, że przez to zarobi sobie na wzgląd u kobiety.

– Toteż właśnie dlatego, że umięją się dla nas sakryfikować, zasługują na względy nasze.

– Tedy muszę jeszcze to pani powiedzieć, że żaden z takich elegantów nie stara się o względy na wieczne czasy, i gdyby wiedział, że takich dostąpi, toby uciekł przed nimi na kraniec świata; chodzi im tylko o względy chwilowe, o dorywcze zbałamucenie, o tryumf miłości własnej, a może i o krotchwilę jaką, której plan ma każdy z nich naprzód już w głowie, bo to są oszuści, bałamuty, awanturnik!!

– Choćby i tacy byli, to jeszcze lepsi są od was, bo grzeczniejsi.

– A! upadam do nóg waćpanny dobrodziejki! Nie zrozumiała panna Zuzanna tego wykrzykniku mojego i odpowiedziała mi na to:

– Jednak ja się znowu tak bardzo nie gniewam na pana Konopkę, żebym się z nim nie miała pogodzić, ale tak ciężkie obrazy nie tak łatwo się zapominają.

Wtem weszła pani stolnikowa z Konopką, mówiąc w mojej przytomności do Zuzi:

– Widzisz, na co to tego wszystkiego było! i jedno nic nie winno, i drugie niewiele, i zrobić wam z tego taką awanturę, że ażęście oczy obcych na siebie ściągnęli.

– Ja też tu właśnie pannie Zuzannie mówię lekkie kazanie na tę materię.

– Bardzo waszmości dziękuję – odpowiedziała pani stolnikowa. – Już to pan skarbnikowicz doskonale forytuje wszystkie sprawy, które pod swoją weźmie opiekę.

– Dajże Boże i swoją tak poforytować – odpowiedziałem i pocałowawszy panią stolnikowa w rękę za tak dobrą o mnie opinię, chciałem tuż za nią odchodzić, ale Konopką mnie z boku nieznacznie za połą pociągnął, więc zostałem. On też rzekł zaraz:

– Oto przy tym świadku panią przepraszam, jeżeli co przeciw niej zawinił.

– Ja się wcale nie gniewam – odpowiedziała Zuzia, ale zimno i obojętnie. Konopką ją pocałował w rękę i dodał:

– Niechże już będzie zgoda pomiędzy nami na wieki.

– I ja za tym jestem – odpowiedziała Zuzia zwyczajnym tonem, co mnie musiało na myśl przyprowadzić przysłowie, że wilk chowany a przyjaciel zjednany niewiele wari. Tymczasem znowu Konopką do Zuzi:

– Więc kiedy pani także za tym jesteś, czemu w głębi mojego serca wierzę, toż i aby czemu podobnemu nadal zapobiec, i aby się już dłużej tym nudnym oczekiwaniem nie męczyć, nie odwlekaj już pani nadal dnia połączenia się naszego i racz go teraz w łasce swojej oznaczyć.

– Jak to?... teraz? – spytała Zuzia.

– Albo cóż stoi na przeszkodzie?

– Jakżeż tak nagle?

– Boże mój – zawołał Konopką – toż to nagle? wszakże się to przeszło kwartał już wlecze.

– No, nie płaczże pan – odpowiedziała Zuzia – wyznaczę już i dzień ślubu, wyznaczę, tylko się z mamą poradzę.

Dziwno mnie się to jakoś wydało, że pani stolnikowa, taka mądra i poważna matrona, nieletniej Zuzi tak wszystko pozostawia do woli; bo lubo to już onego czasu niektórzy przynajmniej rodzice wiele folgowali w staroświeckiej autokracji nad dziećmi, jednakże posagi, wyprawy, wyznaczania terminów ślubu i inne takie rzeczy to na wieki wieków powinno zostać pod dyspozycją rodziców; ale nie było czasu w tej chwili zastanawiać się nad tym, bo już i rozmowa się nasza skończyła, i wszystko troje weszliśmy na powrót do sali. Tam zastałem Zosię siedzącą na kanapie w kąci, a Lgockiego tuż przy niej. Przystąpiłem tedy bliżej i spojrzałem na niego ostro, przygryzając wargi i ruszając wąsami. Bał się mnie widać jak cienia swego, bo zaraz oczy spuścił na ziemię, wstał i przeszedł się do drugiego kąta. Ja też zaraz miejsce jego zabrałem, a że się tak wydarzyło, że właśnie Stojowski w tym momencie jakieś facecje opowiadał paniom opodal od nas siedzącym i z wielką uwagą go

sluchajacym, wiec my tu mogliśmy sobie swobodnie rozmawiac. Jakoz zaraz rzekłem do Zosi:

- Jak się spało pannie Zofii tej nocy?
- Nie bardzo dobrze, bo mi się jakieś straszne mary pokazywały we śnie.
- A pamiętasz pani co z tego?
- Bardzo mało, tylko to wiem, że przez sen bardzo płakała i że potem umarła.
- Umarła? Jakżeż to było? przecie musisz pani jeszcze coś więcej z tego pamiętać.
- Ej! co tam! sen mara. Pan Bóg wiara; albo to jedno się śni człowiekowi w nocy, a czasem i na jawie różne dziwy się marzą – czy to zaraz wierzyć temu albo lękać się tego?
- Pani snom całkiem nie wierzy?
- Może to jest zabobon, ale przecie troszeczkę im wierzę, bo ja już sama tego doświadczała, że co mi się pokazało we śnie, to się potem stało na jawie. Ale to były same drobne rzeczy.
- Jeżeli takie, jak owa śmierć białej róży, to pewna, że drobne, ale i takie, kiedy się sprawdzają, to dziękuj pani Panu Bogu, bo widać, że posiadasz łaskę Jego.
- Tamto nie był sen sprawiedliwy – odpowiedziała z uśmiechem Zosia – a przynajmniej niecałkowity, bo mnie o wędzieniu tych kwiatów najprzód dopowiedział ogrodnik; ale mnie się często śni co takiego, o czym mnie nikt nic naprzód nie gada.
- A teje nocy cóż pani się śniło?
- Straszne rzeczy! i niech Bóg broni, żeby się kiedy sprawdziły; ale to nawet nie może być.
- Cóż to było takiego?
- Śniło mi się najpierwej, że wojsko jakieś czy konfederacja na dom nasz napadła i wszystko potłukli, pobili, porujnowali i mamę moją porwali, a ja się nóg mamy czepiłam i wlokłam się za nią, ale mnie odtrącili, a mamę wzięli, do jakiegoś wozu wrzucili i het gdzieś powieźli! To było bardzo straszno! Potem znowu śniło mnie się, że była w tym domu w dziadkowej wsi, o którym dziadunio zawsze opowiada, i dziadunio tam był, i siedział w ganku na krześle i drzemał; ale nam bardzo smutno było, bo ani mamy, ani Zuzi, ani nikogo znajomego nie było. Potem przyszedł do nas anioł jakiś z białymi skrzydłami i przyniósł mi bukiet z kwiatów pięknych i darował mi go. A potem mnie wziął ze sobą i zaprowadził mnie pod stary zamek jakiś i tamtędy poty mnie wodził i wodził, aż póki mi się głos mamy z tego zamku nie odezwał. Dalej co było, już nie pamiętam, tylko to sobie jeszcze przypominam, jakem leżała umarła na katafalku i świece się koło mnie świeciły, i kwiatów dużo było przy mnie, a ten anioł siedział na schodzie od katafalka i płakał. To bardzo smutno było.
- To prawda, że to bardzo smutno być musiało, ale co też się pani za dziwactwa poplotły.
- Zwyczajnie, jak we śnie. – Ja też na to:
- Sny pani dobrze pamiętasz, ale to, co na jawie się dzieje...
- Także dobrze pamiętam – odpowiedziała Zosia.
- Więc pani nie zapomniałaś o tym, cośmy wczoraj ze sobą mówili?
- Żywy rumieniec wystąpił na liliową twarz Zosi, zmieszała się troszkę, ale odpowiedziała:
 - Takeśmy wiele ze sobą mówili, że nie ręcę *za*. to, czym już czego nie zapomniała.
 - O wszystko tu nie chodzi, bo to nie ewangelia, co ja mówiłem, ale co pani mówiła, to dla mnie prawie więcej jak ewangelia.
- Na to jeszcze żywszy rumieniec na twarz Zosi wystąpił, zaczęła skubać koniec chusteczki, główkę opuściła i tylko szepczącym i prawie łkającym głosem odpowiedziała:
 - Ja nic nie mówiła.
- Ta odpowiedź mocno mnie pochwyliła za serce, prawie sam byłbym zapłakał, ale się otrząsał i rzekłem:
 - Czasem milczenie więcej waży niż słowa, ale przecieś pani słów kilka powiedziała.

– Com powiedziała, to pamiętam – znowu cichutkim głosem odpowiedziała Zosia. Ja też na to powtórzyłem jej własne słowa, mówiąc:

– „Wszystko jest w rękach mojej matki”.

– Tak jest.

– Więc ja zwlekać nie będę – rzekłem – i zaraz się udam po to najwyższe szczęście moje, którego, aby się godnym okazać, gotów jestem całe życie moje poświęcić. Ale gdyby, broń Boże, mama się sprzeciwiała na razie...

– Mama się nie sprzeciwi.

– Jednakże gdyby... nie zmienisz czas tego serca, które mnie taką napawa rozkoszą?

– Nigdy.

– Boże! całe życie moje Tobie za ziszczenie tych życzeń niewinnych.

To powiedziawszy wstałem, ale z sercem tak przepelnionym miłością i nadzieją, i Bóg wie jakich uczuć nadziemskich nawałą, żem się zdawał być nie człowiekiem z krwi i ciała złożonym, ale jakimś muzyckim naczyniem, jakąś harfą, w której wszystkie struny drżały i wydawały jakąś cudną, z nigdy nie słyszanych dźwięków złożoną melodię. Nie wiem nawet, co się tam dalej działo; podobno nas wkrótce proszono do obiadu, przy obiedzie pito coś wiele i ja piłem do każdego i z każdym, i nie upiłem się, ale ludzie mi się wydawali jak róże, zima jak wiosna, dziadek jak dwudziestoletni młodzieniec, Zuzia jakby anioł dobroci i rozumu, a Lgockiego byłbym i pocałował, gdyby mi się był z bliska nawinał. Po obiedzie też miałem fantazję jak nigdy, jeno mnie było krajać na kawałki i do ran przykładać; gdybym był wtedy szedł do szturm jakiej fortecy, byłbym był. pierwszy na murach – gdybym się był strzelał z kim z pistoletu, oko bym mu był wystrzelił – gdyby mi kto kazał mieć mowę, byłbym Cyclerona na dudka wystrychnął.

Przed wieczorem odjechał Stojowski, a Konopka i Lgocki jeszcze się pozostali. W wieczór bawiliśmy się gawędką, ale ja już jakby goździem przybił przy Zosi. Wesoło było, pomiędzy wczoraj poróżnioną parą złota zdawała się być zgoda, dziadek pił miód i prawił, co mu się podobało, Konopka go wyciągał na różne wspomnienia z lat dawnych, podrzucał żarty, ja mu w tym pomagałem. Zosia nawet odzywała się do nas i milutkie prawiała rzeczy – tylko Lgocki siedział jak mruk, ale tym nikomu nic nie zawadzał.

Przez cały dzień następny jeszcze Konopka ze starościcem bawili w Żwierniku – i Konopce się nie dziwiłem, ale czego Lgocki tam siedział, to mi nie wiadomo; chyba tylko po to, aby widzieć, jak go z każdą godziną coraz dalej ruguję i konkurencję dalszą niepodobną mu czynię. Było bowiem tak, że gdybym był sobie sam dysponował, jak się co ma składać i układać, tobym był nic lepszego dla siebie nie wymyślił. Konopka swoimi własnymi niepowodzeniami rozbrojony i przeto do mentorowania Lgockiemu w zalotach żadnej fantazji nie mający, a nadto jeszcze ostatnimi dniami więcej ku mnie nagięty; dziadek upodobał był sobie we mnie statecznie i co chwila dawał mi tego dowody; pani stolnikowa nie ustawała w pochwałach dla mnie i komplementach, zgoła wszystko już było tak dobrze, że nie widziałem na całym świecie nic pewniejszego jak to, że mi nawet deklaracji dokończyć nie dadzą, zezwalając od razu na wszystko. Szczęście też moje było prawie bez granic, niecierpliwość mnie tylko dręczyła, żeby to jak najprędzej ukończyć. Jednakże dla siedzenia Konopki i Lgockiego całe dwa dni jeszcze czekać musiałem. Przy ich wyjeździe nawet byłem w niejakim kłopotcie, bo nie udało mi się to jakoś gładko ukoloryzować, dlaczego jeszcze pozostają i wraz z nimi nie jadę; ale Konopka całe niechcący i już na wsiadanym wyrwał mnie z tego kłopotu, mówiąc do mnie:

– Kiedyż my się znów obaczymy?

– Nie umiem ci dnia powiedzieć – odpowiedziałem – ale na każdy wypadek, nim odjadę do domu, będę jeszcze w Koszycach.

– Wiesz co – rzecze on do mnie – zostań tu jeszcze przez dzisiaj, bo my musimy po drodze wstąpić do Gumnisk i potem nocować w Tarnowie, a jutro przyjedź do Koszyc, to mnie na pewno

zastaniesz.

– Zapewne tak będzie – odpowiedziałem; po czym pożegnali się ze wszystkimi i odjechali.

Pani stolnikowa wyszła zaraz do gospodarstwa, Zuzia też także się to do tego, to do owego pokoju przechodziła, więc ja tylko sam jeden z Zosią pozostawałem, dziadka przytomnego w to wcale nie licząc, bo ten, jak wiadomo, nie dosłyszał i można było sobie przy nim tak dobrze rozmawiać, jakby i bez niego. Mówię ja tedy do Zosi:

– Dzisiaj więc na każdy wypadek sprawa nasza się zdecyduje. Co pani rozumie o tym, jak to będzie?

– Ja nie mogę nic wiedzieć.

– Przecie, jak pani rozumie?

– Ja nie wiem, to od mamy zależy.

– Cóż panna Zuzanna mówi na to?

– Ona nic nie wie.

– Jak to? pani nie zwierzyła się siostrze?

– Ona mnie się także z niczym nie zwierza.

– To źle, będziemy mieli w niej adwersarza.

– Ej! to najmniejsza, wszystko to od mamy zależy.

– Przecie ja mam w Bogu tę nadzieję, że mama nic nie będzie miała przeciwko temu. – Na to Zosia:

– I mnie się tak zdaje, ale przecie ja się czegoś boję.

– Nie bój się pani, co tu straszno?

– Pewnie, że nic straszno, ale przecie. A kiedy pan skarbnikowicz pójdzie do mamy?

– Chodźby i zaraz, byle dobra sposobność.

– Niechże mi pan choć powie, kiedy to będzie.

– Powiem pani, i owszem – i potem rozmawialiśmy sobie w ten sens, pomimo całej pewności, jednak z bijącym sercem oboje, z jakimś rozdrażnieniem, z oczekiwaniem, z ustawicznym oglądaniem się, kędy się pani stolnikowa, kędy Zuzia obraca. I nie podarzyła się dobra sposobność aż do obiadu...

Po obiedzie dopiero, kiedy pani stolnikowa usiadła w przyległym pokoju do jakiejś roboty, Zuzia się zaś aż do garderoby do fabrykacji jakichś pomad i perfum wyniosła, podała mi Zosia rękę na szczęście, ja też poszedłem do matki i z bijącym sercem zacząłem z daleka taką rozmowę:

– Nim odjadę, wypadaloby, abym jejmość pani podziękował za tyle uprzejmości, których doświadczyłem w jej domu.

– Jakże? to już pan Marcin odjeżdża?

– Nie w tej chwili jeszcze, ale niebawem trzeba będzie się zabrać i po zabawach powrócić znowu do pracy swojej, którą tam może dobrze służy moi roznoszą.

– Ot, siedź pan, kiedy ci dobrze.

– Och, dobrze mi, dobrze – odpowiedziałem – ale właśnie dlatego, że mi tak bardzo dobrze, trzeba to dobre zakończyć, abym się w nim nie rozpląnął.

– Otóż to są ludzie na świecie! – rzekła pani Strzegocka – nigdy tym nie zadowoleni, co mają. Którym źle, wzdychają za dobrym i molestują Pana Boga o losu odmianę; którym zaś dobrze, nudzą się, że im dobrze, i radzi by znowu czego złego doczekać.

– Nie tak to się ma rzecz, pani dobrodziejko – odpowiedziałem – nigdy całkowite szczęście nikogo nie nudzi; tylko połowina powodzenia i niepewność o drugą połowę nabawia głowę i serce niepokojem.

– Zawsze to wyjdzie na moje – mówiła pani stolnikowa – bo któryż kiedy człowiek przyznał się do tego, że całkowite szczęście posiada? Ilekolwiek go ma, choćby „tego było najwięcej, choćby nawet aż nadto, to on zawsze jeszcze chce czegoś więcej, zawsze pragnie i mówi, że to, co dotychczas ma, to dopiero połowa.

– Bywa i to niekiedy pomiędzy tym nienasyconym rodzajem ludzkim, jednakże są położenia, w których nie tylko że się istotnie tylko połowę szczęścia posiada, ale jeszcze tę prawdę dowodzi się tym, że po prostu to, co się ma, bez tego, czego się pragnie, nie miałyby nigdy żadnego znaczenia ani żadnej wartości.

– Zapewne i takie mogą się zdarzać wypadki; jednak pan skarbnikowicz w nich pewno nie jesteś.

– Nie tylko że jestem – odpowiedziałem, powstając z krzeselka z mocno bijącym sercem – ale nawet właśnie w tej chwili dlatego prezentuję się jejmość pani, iżbym jej upadł do nóg i o zniszczenie drugiej połowy życzeń moich najuniżeniej prosił.

– Cóż to być może? – spytała stolnikowa, mocno zdziwiona – proszę, niech pan Marcin mówi śmiało, co tylko będzie w mojej mocy, ani chwili się nie powstrzymam, aby mu dopomóc.

– Nie idzie tu o pomoc żadną, mościa dobrodziejko – odpowiedziałem pokornie – ale o to, iż rozbudziwszy w sercu moim stateczny afekt ku nadobnej córce waćpani dobrodziejki, imć pannie Zofii...

– Jak to! kto! – zawołała z przerażeniem prawie matka, rzucając na ziemię robótkę i powstając z krzesła – panie skarbnikowiczu! to być nie może.

– Dlaczegoż to być nie może? – odpowiedziałem także przerażony tym niespodziewanym sprawy obrotem – panna Zofia posiada tyle znakomitych ciała i duszy przymiotów, tyle ujmującą...

– Ale to wszystko dobrze! ależ Zosia jest jeszcze takim dzieckiem, że ledwie za lat kilka by mogła... ale gdzież tam! co panu w głowie!

– Pani – zawołałem teraz drżącym, ale donośnym głosem i rzuciłem się do jej nóg jak długi – serce moje jest tak pełne miłości dla panny Zofii i wola moja w tym tak stateczna, iż gotów jestem nie rok, nie dwa, ale dziesięć czekać, jeżeli tylko...

– Ale gdzież tam! nigdy to być nie może! – rzekła, przerywając mi matka i odsuwając się ode mnie klęczącego na ziemi – nigdy! co panu w głowie?

Ta odpowiedź tak mnie niespodziewanie napadła i tak mnie przeraziła, jak jeszcze nigdy nic w życiu. Sam nie wiedziałem, co się ze mną działo. Drżałem cały, łzy mi się z oczu strumieniem puściły i całą twarz załały. Zerwałem się jednak z kolan i w tym momencie wyleciałem do sali. Drżąca jak liść, biała jak ściana i na pół umarła prawie stała Zosia pod oknem. Przybiegłem, porwałem ją za rękę i wpadłszy z nią do owego nieszczęśliwego pokoju, padliśmy do nóg matce oboje. Przez to gorzej się jeszcze stało, bo odskoczyła od nas jak oparzona, wołając:

– Boże, ale cóż to jest takiego? co wam się dzieje? skąd tak nagle takie afekta? Zosiu! wstawaj zaraz i ruszaj do twego pokoju!

Myśmy klęczeli, konwulsyjnie prawie trzymając się za ręce, oboje pochyleni, w ziemię patrzący, jakby już tak zamarli, jak skamienieli.

Na to wszedł dziadek.

– Cóż to znów za komedie wyprawia ten Nieczuja? – zapytał on.

– Komedie! – odpowiedziała z fokiem, z niechęcią, z drwinami, ze złością pani stolnikowa – oświadczył się o rękę Zosi!

– A to niechże Bóg błogosławi! – odpowiedział dziadek – człek tęgi i uczciwy, krew dobra, dłoń silna – i przystąpiwszy do nas, podniósł obiedwie ręce nad naszymi głowami, mówiąc jeszcze raz:

– Niech Bóg błogosławi!

Na to pani stolnikowa przyskoczyła już z pasją i porwawszy Zosię za rękę, prawie ją wyrzuciła za drzwi do dalszych pokojów i drzwi zatrzasnęła. Jam się zerwał i wyleciałem na dziedziniec.

– Hej! zaprzęgaj! pakuj! – wołałem do moich ludzi – niech tu piorun zabije taki dom przeklęty! – Po czym wpadłem do oficyn do mojej izby i zacząłem wszystkie graty moje, które na doręczu leżały, zbierać i rzucać do otworzonego i pod ścianą leżącego tłumoka.

Po chwili dziadek, po staremu schylony i o lasce opierający się, przyczłapał do mnie do oficyn, zaraz w progu mówiąc:

– Jakież bies cię opętał, Nieczujo, że takie komedie wyprawiasz?

– Nie bies, mości dobrodzieju, nie komedie! tylko to serce niesprawiedliwie pokrzwawione tak się rzuca we mnie. Na to on z wolna:

– Daj no pokój, nie rzucaj się darmo jak cyga¹²¹ i nie wymyślaj. *Nemo sapiens, nisi patiens*¹²² Siadaj no, pogadamy o tym ze sobą...

– Nie ma o czym gadać, łaskawy panie mój i dobrodzieju – odpowiedziałem, całując dziadka w ramię. – Wiem, że jegomość mi dobrze życzy i rad byś mi z duszy i z serca jak ojciec, i jeżeli czym jegomości obraził, to przepraszam. Krew u mnie nie woda i jak się rozgrzeje, to i diabeł jej nie ochłodzi, ale z babskim uporem nie ma rady. Nabawili mnie nieszczęścia na całe życie.

– Głośniej mów – zawołał dziadek – bo nic nie słyszę. I siadł. Więc powtórzyłem mu jeszcze raz, com już powiedział, i potem jeszcze gadałem, co mi fantazja na język przyniosła, bom się aż trząsał cały i diabli mnie brali. Dziadek siedział i milczał, ani jednym słówkiem moich wykrzykników nie przerywał, lubo każde słowo rozumieć musiał, bom mówił wielkim głosem i z wielkim ferworem; wysłuchawszy zaś, także mi nic nie odpowiedział, tylko na sługę zawołał i wina przynieść rozkazał. Nie wiem, gdzie to wino było, ale to wiem; że ledwie co to powiedział, już też zaraz wniesiono gąsior potężny i dwa kubki i koło dziadka postawiono. Rzekł też on zaraz do mnie:

– No! wysapałeś się już trochę? he! napijże się wina.

– I trucizny bym się teraz napił, nie tylko wina! – zawołałem – i snadź ona tylko jedna mogłaby być dobrym teraz lekarstwem dla mnie – i porwawszy gąsior w jedną, a kubek w drugą rękę, kilka kubków nalałem i wychyliłem jeden po drugim. Byłbym i zjadł to metalowe naczynie, tak się duch burzył we mnie. Dziadek przypatrywał się temu, po czym rzekł z wolna:

– Mosanie Nieczujo! żeś chłop setny do każdej imprezy, tom zaraz poznał po tobie; ale żeś przy tym i szczery wariat, o tym dopiero teraz się dowiaduję.

– Prawda to wszystko – odpowiedziałem – prawda i całe nie zaprzeczam; ale powiedzże mi jegomość, jak tu nie być wariatem, kiedy człowieka gorzej psa dzisiaj traktują! Gdzież ma szlachcic dzisiaj po żonę uderzyć, gdzie? do kramarza, do szewca czy do chłopa, kiedy mu jej w równym domu szlacheckim odmawiają?

– No! – rzekł dziadek – toż to fryc z ciebie, mospanie! a czy to przymus dać komu pannę? czy to nie wolna w tym wola każdego?

– Wolna wola, to prawda! ale kiedy panna chce tego, kiedy ja chcę, kiedy mam z łaski Boga fortunę, że ani grosza nie potrzebuję na wiano, kiedy ród mój tak dobry w Rzeczypospolitej, że go żaden senatorski nie przejdzie, kiedy nie masz żadnej, by najmniejszej plamki ni na mnie, ni na ojcach moich, ni na pradiadach, czego więc chcą ode mnie? czego chcą dla tej panny? cóż to znowu są ci Strzegoccy? czy to Radziwiłłowie, czy Sanguszkowie, czy Potoccy? dużoż tam buław, dużo miter, dużo wojewodów i kasztelanów?

– Dajże pokój i bredni nie pleć. Ani tu o mitry idzie, ani o buławy. Nie podoba się matce i koniec. O moją córkę nie taki pan konkurował, jak ty; pięćdziesiąt wsi miał, pieniędzy jak

¹²¹ cyga (węg.) – bąk, fryga.

¹²² *Nemo sapiens...* (łac.) – Nikt nie jest mądrym, jeśli nie jest cierpliwym.

prochu, z najpierwszymi domami skolidowane; księżniczka by była poszła za niego, gdyby był o nią wypalił! a ja szlachcic na jednej wsi, uparłem się i nie dałem! i poszedł z kwitkiem jak posłaniec ode drzwi, i odgrażał mi, i napadł na mnie, i *crimen*¹²³ popełnił, i Bóg nie wie co jeszcze, przecie panny nie dostał i na koniec on poszedł na psy, diabeł mu przetrzebił fortunę, diabeł i duszę zabierze, a jam cały i zdrów i przy skonaniu wszystkich przepraszać będę, a jego nie.

– Wszystko to być może – odpowiedziałem – ale przecie tam inne być musiały przyczyny, a nie prosty kaprys, jak tu.

– Żadne inne; wariat był taki, jak ty, obraził mnie, dom mój obraził, a takiemu dziecka nie odda nikt.

– Mój jegomość! – rzekłem na to ładnie i całując go w ramię – cóż takiego wariackiego jest we mnie? że się teraz obruszam, to jużem wariat, już szalony? Czy to człowiek jest drzewo, czy lód, czy nieruchomy głaz? Kiedyż się ruszy, jeśli nie wtenczas, kiedy go gnębią, kiedy go gniołają, kiedy najpocziwsze jego chęci w błoto rzucają i z nogami idą na niego?...

– No! – rzekł dziadek – ja to sam mówię, że to jeszcze niewiele. Człowiek ma krew i poruszać się musi; ale każda rzecz ma swoje granice i dlatego tobie radzę je mieć i zachować. Nie wszystko jest złe, co się takim na oko wydaje. I nie każda taka impreza już zgubiona, w której pierwszy krok niefortunnie wypadnie. I nie ten mąż tęgi i swojej sprawy dobry obrońca, który z wielkim impetem raz potrafi uderzyć, ale ten, który i raz, i drugi, i dziesiąty uderzy, i tyleż impetów nieprzyjacielskich” wytrzyma, *et in variis manebit invariis usque ad finem*¹²⁴.

– Tak to się gada, mości dobrodzieju – odpowiedziałem – dora to jest nauka, ale nie w małżeństwie; bo cóż komu z tego, że wytrzyma *ad finem* i dajmy nawet, że wygra, kiedy wtedy, gdy mu ów chleb podadzą, on już zębów nie będzie miał w gębie.

– Hę, hę! mosanie, daleko to jeszcze tobie do tego, żeby ci aż zębów zabrakło.

– Kto. tam wie, jak daleko? w różnych się bywa okazjach.

– No, ale nie o tym mowa. Głupstwo zrobił, żeś się rzucił przy kobietach jak fryga, co nigdy nie należy, a tyle bardziej, ile że wcale nie było do tego powodu.

– Boże! – zawołałem – a kiedyż większy powód do tego będzie?

– Głupstwo! nie było żadnego powodu. Stolnikowa ci dała rekuzę, bo tak się jej podobało. Musiała ona mieć swoją rację, bo to niegłupia kobieta. Ale tym się nie ma co tak bardzo frasować: co się nie dało zrobić dzisiaj, to się może da jutro, a nie jutro, to pojutrze. Pierwsze koty za płoty. Zresztą, może ona miała już inne aspekta¹²⁵, ale i to jeszcze nie śmierć dla waszeci. Od aspektu do efektu jeszcze sto mil i jedna. Panny nie taki towar pokupny, jak piękny. Są one, jak zagraniczne kwiaty w doniczkach, najdroższe, kiedy są w pączkach, tańsze już, ba! proszą się z nimi, kiedy rozkwitną, a gdy odkwitną, ledwie darmo kto bierze. Poczekaj! zje pies psa, jak barana nie ma. Zresztą, może i ja co znacę w tym domu, może i mnie wolno w czym *veto* założyć.

– Ba! – rzekłem – i ja to rozumiem, że cierpliwością wiele spraw się wygrywa na świecie, ale tutaj... tutaj właśnie cierpliwość zagubić mnie może.

– A to czemu? – zawołał dziadek.

– Czemu? bo kiedy ja się cierpliwością będę. uwodził, to tymczasem pannę Lgockiemu dadzą.

– Komu?

– Lgockiemu – rzekłem.

– A na świecie! – krzyknął dziadek – nigdy tego nie będzie. – Tedy ja skoczę do niego i złożywszy ręce:

¹²³ *crimen* (łac.) – zbrodnia.

¹²⁴ *et in variis...* (łac.) – i w zmiennych kolejach pozostanie niezmienny aż do końca

¹²⁵ aspekt (łac.) – widok, projekt

– Mój jegomość! – rzekłem – pomóżże mi waszmość w tym ciężkim dla mnie terminie, a wdzięczność moja dla niego niewyczerpaną będzie do ostatnich dni mego żywota.

– Głupstwo! – rzekł dziadek, popijając wina – ja wdzięczności twojej nie potrzebuję, bom ja obydwoma nogami już w grobie. Jak zechcesz, to pacierz odmówisz na moim grobie, ale i to niekoniecznie, bo co tam ważą przed Bogiem chłystków pacierze?

Wtem drzwi się otworzyły i ku wielkiemu zdziwieniu mojemu weszła pani stolnikowa. Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie to tak pomieszało, że stanąłem z oczyma spuszczoneymi ku ziemi i nie wiedziałem, co począć. Szczęściem zaczęła ona:

– Panie skarbnikowiczu! tylko pewne powinowactwo pomiędzy nami i szczególny charakter, którym sobie zjednałeś wszystkich, tutaj mnie przyprowadził. Przykro mi bardzo...

– Mościa dobrodziejko – rzekłem tedy, ujęty tym przemówieniem i całując ją w rękę – bardzo panią przepraszam, jeżeli w tej scenie, całkiem dla mnie niespodziewanej, czymkolwiek i kogokolwiek obraziłem w tym domu, ale Bóg mi jest świadkiem, że nie ja temu winien, tylko niegodziwa krew moja i duch ten porywczy, który może właśnie wtedy, kiedy by mi jak najzimniejszej rozwagi potrzeba, rzuca mną jak opętanym. Jeszcze raz się Bogiem zaświadczam...

– Wierzę już, wierzę – przerwała mi ona – ale natychmiast proszę i mnie wierzyć, że jeżeli się znalazła w tym przykrym położeniu, że musiała jego żądaniom odmówić, to wcale nie myślałam przez to ani waszmości przyjaźni dla nas lekce sobie ważyć, arii osobę jego kłaść niżej w zachowaniu moim od innych. I dlatego właśnie, że mi na tym zależy, aby z tej przyczyny nie było żadnej nieprzyjaźni pomiędzy nami i ażebyś waszmość nie z gniewem i bez pożegnania odjeżdżał ze Żwiernika, a na koniec w nadziei, że kiedy z uwagą się zastanowisz nad całą tą sprawą, całe mnie uniewinnisz, przyszłam tutaj, aby z waszmością pomówić słów kilka.

Ja też na to:

– Ja wcale odwołuję moje porywczyste postąpienie sobie w tym razie i jeszcze raz za nie przepraszam, ale wcale nie ma to być tak rozumiano, jakobym zarazem odwoływał moją o tej nieszczęśliwej rekuzie opinię. Przyznam się nawet jejmość pani, że na próżno sobie głowę łamię nad tym, jakie by być mogły właściwe tego kroku powody.

–O! są powody, są, panie skarbnikowiczu – odpowiedziała pani stolnikowa – i zapewne dość ważne, kiedy mnie aż przymusiły do zrobienia przykrości temu, którego, zaprawdę mówię, niemało sobie poważam i szacuję.

– Więc jeżeli łaska pani będzie – odpowiedziałem z grzecznością – to proszę o ich zakomunikowanie mi; może to co ulży mojemu sercu, może się który z nich da usunąć, a choćby zresztą i na nic się to nie przydało, toż wzajemne porozumienie się jak nigdzie, tak i tutaj, żadnej szkody przynieść nie może.

– Owóż o co i mnie chodzi – rzekła pani stolnikowa i usiadłszy blisko mnie, tak rzecz poczęła:

– Najpierwej trzeba waszmości wiedzieć, że Zosia jeszcze nie skończyła lat szesnastu i przy tym tak jest jeszcze dziecinną, tak nierozważną, że w żaden sposób i nikomu na świecie nie mogłabym jej z czystym sumieniem teraz oddać na żonę.

– To najmniejsza przeszkoda – przerwałem – bo kto ma dziś lat szesnaście, ten za rok będzie miał siedemnaście, a za dwa osiemnaście, a znowu z drugiej strony, kto ma szczery i nie zmyślony sentyment dla jakiej panienki, i sam ma lat dwadzieścia i kilka, i w żadnych skądinąd naglających nie znajduje się okolicznościach, ten i dwa, i trzy lata śmiało poczekać może, a nawet by to snadź z dobrym było dla stron obojga, bo czego by czas nie zniszczył, to by mogło być pewnym statecznej i nadal trwałości.

– Tak, ale ja znowu wiem z doświadczenia, że takie zawiązywanie sobie świata za młodu nie ślubem, ale słowem, nie zawsze szczęśliwe przynosi skutki, a niejedyn by może połowę życia dal był za to, gdyby mógł być uwolnionym od niebacznie danego słowa. Ale to

mniejsza, są jeszcze inne rzeczy daleko od tej ważniejsze. Nie wiem, czy panu wiadomo, jaki jest ród nasz i jakie przechodził koleje. Strzegoccy z dawien dawna na ogromnych siadywali fortunach. Znakomite w Rzeczypospolitej urzędy, świetne koligacje były prawie bez przerwy tej familii udziałem. Ojciec synowi, matka córce na śmiertelnych łóżach i w testamentach zachowywanie tych dóbr przekazywali; były nawet przepisywane przez przodków reguły, wedle których mają postępować następcy. Niestety chciało, że mój mąż, przez szczególne woli Bożej zrządzenie, znaczną część owych rodzinnych sukcesji uronił, ale też za to całe późniejsze życie jego było tylko niezmordowaną pracą ku odzyskaniu dawnego splendoru dążącą: odejmował on sobie od ust strawę, w płóciennym kubraku chodził, zdrowie swoje poświęcał na to, aby powiększyć fortunę i rodu znaczenie. To o Strzegockich. Piotrowicze zaś, ród mego ojca, jakim jest w rzeczy i czym dawniej był w Litwie, ba, w całej Polsce, nie potrzebuję długo rozprawiać. Dość powiedzieć, że herb ma Murdelio.

– Murdelio? – zapytałem trochę tym zdziwiony.

– Tak jest, panie, Murdelio. Herb to dawny, dawniejszy niż cała Polska. Czym tylko najpiękniejszym można ozdobić genealogię, to wszystko waszmość znajdziesz na naszym drzewie. Dziadowie nasi mieszkali po kilkaset wsi własnych i bywali skoligaceni z najpierwszymi domami za granicą. Synowiec mego ojca ma jeszcze do dziś dnia wsi kilkadziesiąt. Linia atoli nasza upadła. Dziad mój był rozrzutny i wiele utracił; ojca mego wypędzono sierotą z domu. Potrzebaż było jeszcze takiego nieszczęścia, że obadwa te rody, obadwa zrujnowane i podupadłe, przeze mnie i męża mego się połączyły. Ale taka była wola Boża; widać inaczej już być nie mogło. Mąż mój troszeczkę je podniósł – jednak nie idzie za tym, aby się jeszcze wyżej podnieść nie miały. I owszem, mój mąż, umierając, najwyraźniej mnie przykazał, abym obiedwie córki oddała do klasztoru, a majątek nietknięty przekazała synowi, Miałam jeszcze syna natenczas. Dzisiaj syn umarł małym chłopięciem – ale czy waszmość myślisz, że każda z mych córek nie jest gotową dzisiaj pójść do klasztoru, gdyby się drugiej świetne trafiło małżeństwo?...

Nie zdawało mi się, ażeby w tym, co pani stolnikowa mówiła, był jakikolwiek sens zdrowy, byłem tedy tak śmiały, że przerwałem, mówiąc:

– Przepraszam waszmość panią, że jej mowę przerywam, ale nie zdaje mi się, aby nawet przez najświetniejsze choćby obudwóch córek zameście cokolwiek zyskał splendor domu Strzegockich lub Piotrowiczów. Że ci, którzy synów mają, zdrowie i pracę swoją poświęcają na to, aby im znaczną pozostawić fortunę, to rozumiem, bo przez nich propaguje się dalej i na lepszą puszcza drogę ród i nazwisko; ale żeby jedną z córek na to zamykać w klasztorze, aby druga trochę lepiej za mąż poszła, albo zgoła obiedwie do przeciwnych im małżeństw niewolić dlatego, że ich parentela skądś tam się zza morza wywodzi i kiedyś tam, za Jagiełłów, miała jakie takie w Polsce znaczenie, to mi się wcale nie zdaje. I gdybym już żadnych innych nie miał na moją rację dowodów, to może i ten by wystarczył, że za kogo panna Strzegocka pójdzie, o tym ani będzie pisać historia, ani wywoływać będą po kraju, ani wróbel podobno nie zaświegocze na dachu! – Na to ona:

– Że waszmość grzecznym jesteś, o tym już się dowodnie przekonałam dziś rano, ale mniejsza o to! raczej panu odpowiem na jego argument, że sposób wetowania sobie strat poniesionych jest każdemu zostawiony do woli. Ród Strzegockich się kończy, to prawda, a więc kiedy się kończy, niechże ostatnie jego kądziele ozdobią się przynajmniej pięknymi nazwiskami. Takie jest moje postanowienie, do którego dążyć jest już tylko jedynym całego życia mego zadaniem; mam też nadzieję w Bogu, że spełnienia tych życzeń mi nie odmówi, bo są skromne i sprawiedliwe.

– Daj Boże! – odpowiedziałem – ale jmc pan Konopka...

– Otóż Zuzia – przerwała mi pani Strzegocka – że nie jest ładna, idzie za pana Konopkę, nic w tym osobliwego, ale i pan Konopka jest potomkiem dobrego i starożytnego rodu, przy tym kawaler piękny, mający zachowanie i posesjonat. Ale Zosia! czyż Zosia i dzisiaj

niegodna jest i najpierwszej w kraju partii? czyż nie mogę na to liczyć na pewno, że kiedy przyjdzie do lat swych i pokaże się światu, to będzie miała pomiędzy kim wybrać przynajmniej? Zresztą, krótko mówiąc, pan staroście Lgocki...

– Jak to – krzyknąłem nie mogąc się pohamować w oburzeniu – toż to Lgocki jest ten familiant, dla którego jejmość zabijasz dwie dusze? To Lgocki...

– Ależ panie skarbnikowiczu! czy pan wiesz, czym są Lgoccy?

– Mościa pani! – krzyknąłem – jeżeli tacy są, jak ten, to wiem doskonale! Niewarci wody wozic Nieczujom!

– Ależ panie Marcinie! przecież pan, który nawet nie masz dziedzictwa, nie zechcesz się równać...

– Więc to o to wam idzie! – zawołałem, łkając od żalu i wewnętrznego wzburzenia – o tych kilka worów pieniędzy! tacy to ludzie dziś na Mazurach, takie waszych znakomitych rodów potomstwo! bądźcie zdrowi! – wołałem – ale to wiedzcie, że żebym miał sam gardło dać w tej sprawie i żebym miał wszystkie wsie zadzierżawić naokoło Żwiernika i wartami obstawić wszystkie granice, to psu obcemu nie dam przystąpić do waszego dworu i każdego na drobne kawałki zasiekam, kto by śmiał się tylko przysuwać do Zosi, póki ona sama mi nie da odkosza!

To wymówiwszy, z pasją porwałem za czapkę i wyleciałem przed oficyny, a że mój skarbniczek stał już zaprzężony przed gankiem, więc wskoczyłem weń i kazałem ruszać z kopyta, wołając jeszcze w zaciekłości:

– Bodaj was zabito!...

TOM II

I

Wyjechawszy ze Żwiernika, lubo wiatr zimowy dął jak szalony i przez szubę niedźwiedzią przejmował mnie aż do kości i lubo Węgrzynek, któren siedział koło mnie w skarbniczku, ustawicznie mi coś brząkał pod nosem, długo jeszcze nie mogłem się opamiętać i przyjść do przytomności; wszakże ujechawszy tak z milę ku Tarnowu i przypomniawszy sobie, że tam ma dzisiaj nocować Konopka z owym w czepku urodzonym, a dla mnie tak niefortunnym Lgockim, kazałem stanąć koło najbliższej karczmy. Tam wypytałem się o drogę i wyrozumiawszy rzecz, puściłem się na prawo małymi i najniegodziwymi drogami prosto do Pilzna. Nie chciałem i nie mogłem się tą rażą widzieć z narzeczonym Zuzi – nie mógłby on być nie okazać pewnego tryumfu nade mną i pewnego lekceważenia mojego nieszczęścia – tego zaś nigdy, a tym więcej dzisiaj bym był nie mógł przenieść na siebie – byłoby przyszło, a przynajmniej przyjść mogło do burdy pomiędzy nami, do awantury, do bitwy może – i na cóż to tego?

Z wielką tedy biedą i zaledwie koło północy dobiełem się do Pilzna. Miasteczko to było o wiele natenczas od Tamowa większe i znaczniejsze, było ono bowiem przedtem stolicą pilźnieńskiego powiatu, należącego do województwa sandomierskiego; bywało tedy miejscem powiatowych sejmików i wszelkich innych zjazdów, siedzibą starosty grodzkiego, sądów ziemskich i grodzkich, i wszelkich magistratur miejskich; w nim na koniec obierały sobie *locum standi*¹²⁶ najczęściej i sądy podwojewódzkie, kiedy z tej strony Wisły miały co do czynienia, w nim wszelkie komisje i nadzwyczajne sądy komisarskie; w nim więc ześrodkowywała się wszelka rzecz publiczna, wszelki ruch i handel całego powiatu – podczas kiedy Tarnów bywał tylko prywatną, dawniej hrabiów Tarnowskich, później książąt Ostrowskich, a na koniec książąt Sanguszków własnością. W Pilźnie tedy, lubo mu już natenczas przez odcięcie go od województwa sandomierskiego i reszty Polski, przez zaprowadzenie w tych ziemiach rządów niemieckich, przez zniesienie sejmików i zjazdów i przez przeniesienie zeń sądów wiele ubyło ruchu i ludności, znać jeszcze było powiatową stolicę; było jeszcze w nim i szlachty procesowiczów tam zamieszkałych, i palestrantów,

¹²⁶ *locum standi* (łac.) – miejsce pobytu.

którzy sobie domy tam pozakupowali, bogatych mieszczan i kupców, i innych kapotowych cokolwiek, osobliwie też familij szlacheckich ziemiańskich, które, wystraszone ostatnią wojną, między murami tego miasteczka upragnione znalazły schronienie, mieszkało tam niemało – zgoła Pilzno było jeszcze naówczas miastem, w którym można było znaleźć i znajomych, i rozrywkę, i dobre wino, i dobrą kompanię. Ale ani mnie to w głowie było dnia tego. Ja szukałem tylko gospody, a w niej spokojnego kącika, a znalazłszy to oboje, rzuciłem się czym prędzej na łożę, aby zostać samotnie z moimi żalami, zgryzotami i modlitwami, ową jedyną pociechą we wszystkich frasunkach i dolegliwościach.

Różni też różne mają pod tym względem usposobienia – niektórzy, kiedy ich ból jaki i zgryzota przygniecie, szukają ulgi z zamkniętą powieką i znajdują ją we śnie; drudzy dostają wtedy głodu albo pragnienia i zaspokoiwszy to albo owo, stają się już całkiem nieczuli i wszelkim frasunkom nieprzystępni, inni, niecierpliwi, wpadają w pasję i w żądzę zemsty za swoje cierpienia, rzucają się z pięściami na naczynia, zwierzęta lub ludzi, a potłukwszy jedno lub drugie uspakajają umysł i serce i dobijają się spokoju – zgoła, każdy umie sobie w takim razie dać radę, aby się nie dać pogryźć tym rzeczom doczesnym. Ja atoli żadnym z takich przymiotów pochwalić się nie mogę, a kiedy na mnie przyjdzie zgryzota, to już musi odgryźć swoje od początku do końca i żaden lek rady jej nie da. Umysł mój wtedy upada, serce jakimiś wewnętrznymi zalewa się łzami, dusza pod gniojącym ją smutkiem ugina się i rada, zamknąwszy się w sobie, szuka pociechy w upływającym czasie, w modlitwach i rozmyślaniach. I bywa to czasem dobrym dla niej lekarstwem albo przynajmniej okolicznością łagodzącą jej cierpkość i rozpędzającą czarne chmury wiszące na jej horyzoncie.

Wiedząc to do siebie, rad byłem osobnej w gospodzie izdebce, rad samotności i ciszy, rad tej książce nabożnej, którą miałem w podróznym tłumoku. Po modlitwie chciałem rozmyślać nad Zosią, nad sobą samym i nad tym-wszystkim, co od niejakiego czasu stało się ze mną, ale nie mogłem – położenie moje było zanadto nowe i niespodziewane, zanadto okropne, abym w nim mógł spokojnie rozmyślać. Miłość moja, doświadczywszy tak ogromnej zapory, wzmogła się niewymownie i objęła całe jestestwo moje; żal i żaloba rozlały po mnie wszystkie swoje gorycze, wszystkie trucizny; duma obrażona dęła nieprzerwanie w swoją wrzaskliwą trąbę i podrzucała mną co chwila, uderzając potem w najboleśniejsze miejsca; upór, naglący mnie do przełamania tego złego, ambicja, popychająca do nieporzucania zaczętej drogi i dopięcia zamierzonego celu, bodła mnie także co chwila; zgoła jaka tylko żyłka była w mym ciele, jaka władza w mej duszy, wszystko to drżało, czyniąc swoją sprawę i krzyżując się boleśnie z innymi. I znowu byłem, jakby jakie muzyckie naczynie, jak owa harfa, do której porównywałem się przed trzema dniami, z tą tylko różnicą, że wtedy po jej stronach biegały różowe palce Zosinej rączki i miłości – dzisiaj pijane, zbuntowane, łachmanowate pospółstwo żądz i namiętności tłukło obrukanymi dłońmi w jej rozstrojone struny i samo narzędzie.

W takim stanie różne mi się krzyżowały myśli, różne uczucia; raz wyrzucałem sobie, że zanadto porywczo przystąpił do deklaracji; drugi raz żałowałem, że się dał unieść gniewowi i postąpił sobie z ubliżeniem przeciwko starszym, a przeto, że sobie zamknął drogę do wielu dalszych kroków, które przecie może jeszcze to złe odwrócić mogłyby; inny raz myślałem nad środkami ratunku i w tej nieszczęśliwej pozycji gniewałem się i kłałem bezbożnie na to, że nie jest tak bogaty, jak Lgocki, albo że nie urodził Tarnowskim lub Ossolińskim – jakże bym był szczęśliwym w tej chwili! jak szczęśliwą byłaby Zosia! I tak dalej plotły mi się niedorzeczności po głowie, jak to się zwyczajnie zdarza ludziom młodym i pełnym siły, kiedy ich jaki niespodziewany wypadek zbije z drogi naprzód ułożonej, na której rachunek wiele już sobie wybudowali nadziei. I nie dosyć było tego, że mnie męczył stan mój dzisiejszy, że mnie zabijały chwilowe i pogmatwane pomiędzy sobą uczucia i zgryzoty, ale jakżeż przeląknęłam się siebie, kiedym pomyślał nad tym, jakie to dni okropne przyjdzie mi spędzać w domu. Bo czy

to wyjechać mi gdzie w sąsiedztwo? czy sąsiada przyjąć u siebie? czy oddać się zatrudnieniu albo rozrywce z takim sercem rozbitym i z duszą tak pogniecioną? Jak tu oczy pokazać światu z rekuzą na łbie, z tryumfem takiego mazgaja nade mną? Jak tu przeżyć trzy dni, jak miesiąc bez wiadomości o Zosi? bez wywnętrzenia się przed kim? bez zrzucenia choć połowy tego smutku ze siebie, bez zasiągnięcia rady czyjej na te moje nieszczęścia? O! gdyby przyjaciel jaki, gdyby powiernik! na wagę złota bym go był wtedy zapłacił.

W tejże chwili przyszedł mi na myśl Murdelio. Mąż poważny i świątły, ma stosunki jakieś w tym domu, ważny nawet tam wiele, jak mi mówił Konopka... przybrał nazwisko takie w klasztorze, jak herb ma dziad Zosi... może to być właśnie woda na mój młyn, może mnie w czym oświeci, może da jaką radę... bo i czemuż by nie miał tego uczynić? będę go prosił, zaklinał, dam ofiary na klasztor krośnieński... czemuż by mi zgoła nie miał pomóc w tym razie? Rozumny jest, świątły, rozważny, musi też znać Lgockiego, a więc snadno pojmuje, jaki mąż z niego będzie... widzi on to pewno, jaką nedorzecznosc popełnia matka niewoląc Zosię do takiego małżeństwa... a zresztą, kiedy nie wie o tym, to ja mu wszystko rozpowiem, ze szczegółami wyłożę i będę go prosił, a kiedy tego będzie potrzeba, to i do nóg mu padnę, trzecią część fortuny, sto tysięcy, dam na klasztor krośnieński!... o! i pewno mi dopomoże! znał mego ojca... krewny jest Mężykówny... zawiezie mnie do Żwiernika... panią stolnikową przeprosi, przekona i wszystko dobrze będzie. Trzebaż jutro wstąpić do krośnieńskiego klasztoru.

W takich myślach biały dzień mnie zastał na łożu. Nie czekałem już snu, nie wymagałem go na próżno, tylko, zebrawszy się prędko, w dalszą ruszyłem podróż. Pilno mnie było do Krosna.

Tonącemu pomiędzy bałwanami morza nieraz bałwan wydaje się być deską lub czółnem; na widok nowej, jakiej takiej nadziei, która w jego oczach do wysokości okrętu wyrasta, rzuca się ten nieszczęśliwy z wściekłością ku przedmiotowi mniemanego ratunku, dosięga go żelaznymi oboma ramionami i znajduje pod nim tylko śmierć prędszą i pewniejszą. Ale choćby i tak było: dla Zosi choćby zginąć, i natychmiast!

Wyjechawszy rano, przed południem jeszcze stanąłem przed krośnieńskim klasztoru. Poważny ten przybytek Bogu oddanych ludzi, którego dawnymi czasy w Polsce doznawał nieodmiennej czci i nigdy nie ustającej pomocy u pobożnego narodu, a nad którym teraz wisiał groźny miecz Damoklesowy, powitał mnie zwyczajną swoją pokorą i otwartymi drzwiami dla wszystkich przechodniów. Przyszedłem tedy do furty i po staremu rzekłem wychodzącemu do mnie braciszkiowi:

– *Laudetur Jesus Christus!*

– *In saecula saeculorum* – odpowiedział tenże i zarazem zapytał: – Czego waszmość pan żąda?

– Nie żądam, ale proszę, ażeby się nie mógł widzieć z księdzem Murdelionem?

– Z Murdelionem? – powtórzył braciszek – nie masz go w domu dzisiaj, właśnie się go spodziewamy.

– Dokądże wyjechał?

– To mnie nie wiadomo, ale jeżeli waszmość panu co na tym zależy, to łatwo by się o tym dowiedzieć od księdza gwardiana. – Możnaż się widzieć z księdzem gwardianem?

– Można, i owszem, proszę wnijsć, ja waszmość zawiodę. Prowadził mnie tedy ów frater jakimiś długimi kurytarzami aż pod drzwi jednej celi, na które wskazując rzekł:

– Tutaj mieszka ksiądz gwardian.

Wszedłem. Wszedł naprzeciw mnie poważny przełożony klasztoru, oczekując zwyczajnego ode mnie powitania. Ja też, czyniąc zadość temu obyczajowi, dobyłem zarazem kilka dukatów z kieszeni i położywszy je na pobliskim stole, rzekłem:

– Jestem szlachcic z pobliskich okolic i proszę, aby ta uboga ofiara przyjęta była ode mnie na mszę świętą, na intencję odwrócenia tego złego, które mnie tymi dniami nawidziło.

Pokłonił mi się pięknie ksiądz gwardian i odpowiedział:

– Dziękujemy pokornie waszmość panu za wezwanie nas do tych modłów... Ale proszę, może waszmość pan raczy trochę odpocząć – i przysunąwszy stołek podał mi otwartą tabakierę rogową, którą dobył z rękawa.

– Ja tu właściwie prócz tego – rzekłem, siadając na stołek – miałem i inną intencję.

– Jakaż to? – rzecze gwardian – cieszyć nas będzie, jeżeli potrafimy usłużyć waszmości.

– Chciałem się widzieć z księdzem Murdelionem.

– To by była rzecz najłatwiejsza – odpowie przełożony klasztoru, zażywając tabaki – gdyby nie to, że dni kilka już temu, jak za sprawami naszego konwentu w dalszą trochę stronę wyjechał.

– Prędkoż wróci? – spytałem.

– Właściwie dzisiaj już się go spodziewamy; ja jednakże sędzę, że nie potrafi on się postawić w tym słowie i kilka dni jeszcze, a może nawet cały tydzień zabawi.

– To mnie żal bardzo – rzekłem na to mnichowi – koniecznie mi się potrzeba było z nim widzieć.

– Z duszy serca bym rad waszmości usłużyć, ale w tym razie już inaczej nie potrafię, jak tylko tak, żebyś waszmość, jeżeli masz jaką nagłą sprawę do niego, mnie ją zakomunikować raczył i zawierzył, że natychmiast po jego powrocie zdam ją jemu i sam już w tym będę, ażeby dopełniona została. A możesz to waszmość śmiało uczynić, bo wszakżeż i tak wszystko o mnie oprzeć się musi. – Ja też na to:

– Sprawy żadnej nie mam, ale jest taka rzecz. Podobało się Panu Bogu dotknąć mnie teraz wielkimi frasunkami; u człowieka młodego krew gorąca i niecierpliwość wielka, owóż rad bym choć na jaki czas mieć pobożnego człowieka w domu, abym z kim miał modlitwę odmówić i czasami pogadać, a że znam księdza Murdeliona i uważałem w nim przy niepospolitym rozumie i świątobliwości także i niepoślednią znajomość rzeczy światowych, co dla mnie jest najważniejsza, bo człek nie tylko pociechy łaknie, ale oraz i dobrej rady, więc jego właśnie chciałem do siebie zaprosić, pewny będąc tego, że jegomość dobrodziej, jako przełożony, nie będziesz miał nic przeciw temu.

– Nie tylko nie mogę nic mieć przeciw temu – odpowiedział mi na to gwardian poważnie – ale i owszem, chwali się to waszmości, że lubo tak młody i zapewne mało doświadczenia mający, jedyną ufność swoją pokładasz w Bogu, a pociechy i dobrej rady w dolegliwościach szukasz u wiernych sług Jego. Postępek taki zasługuje na pochwałę, a wierz mnie, waszmość, staremu, że kto w jakimkolwiek terminie czy to ulgi, czy pociechy, czy dobrego natchnienia szuka na tej drodze, ten w oczekiwaniach swoich zawiedziony nie będzie i prędzej czy później, czego uczciwie pragnie, niezawodnie dostąpi. Wszakże jeżeli o to chodzi, co mi waszmość powiadasz, to my i tu bez Murdeliona poradzimy sobie. W naszym klasztorze. Panu Bogu niech będzie chwała za to, znajdują się i mężowie uczeńsi, i pobożniejsi od Murdeliona, który, *intra parietes*¹²⁷ mówiąc, nie jest jeszcze księdzem i przy dzisiejszych okolicznościach snadź nieprędko nim będzie, ile ja tę rzecz rozumiem, cale do tego nie jest, do czego waszmość zażyć go pragniesz. Jego powołanie i funkcja, lubo może o wiele pożyteczniejszą jest dla nas niż drugich braci naszych, jednak całkiem jest inną... owóż w niniejszym razie każę ja księdzu Innocentemu wsiąść z waszmością na wózek; może on tam i parę tygodni zabawić, a proszę mi wierzyć, iż on daleko lepiej tę służbę około waszmości odprawi niż każdy inny.

– Dobra by i to była – odpowiedziałem na to – i wierzę, że ksiądz Innocenty sposobniejszy jest do tej funkcji niżeli Murdelio, ale nie potrzebuję powiadać jegomości, że nie zawsze to lekarstwo zbawia, które wedle reguł odpowiada chorobie, ano to prędzej, które odpowiada naturze chorego. Owóż więc może niesłusznie, ale już tak jest, że mam największe zaufanie

¹²⁷ *intra parietes* (łac.) – między nami, w czterech ścianach.

do Murdeliona i o niego proszę koniecznie, choćby i później cokolwiek. W tej też nadziei, że jegomość będziesz łaskaw po jego powrocie zaordynować go do mnie, ofiaruję piękną jałmużnę ze zbóż, wiktuałów, a może i bydła cokolwiek na wasz klasztor i odeszłą ją wraz z powracającym Murdelionem. Nazywam się Marcin Nieczuja i mieszkam w Bóbrce za Leskiem.

– Hm! – rzecze znów gwardian, z wolna zażywając tabaki – wspaniałomyślnie i godnie to jest ze strony waszmość pana, że przy zdarzonej sposobności nie zapominasz o ubogiej gromadce sług Bożych. Za ten dar hojny pamiętać będziemy o frasunkach waszmości, jakoż i nie zaniedbamy zanieść naszych pokornych modłów przed tron Najwyższego i ponawiać je od czasu do czasu, aż do szczęśliwej zmiany tego niewiadomego nam nieszczęścia... ale koniecznież to Murdeliona?

– Już koniecznie – odpowiedziałem – tego bowiem męża znam, nauczyłem się go zawczasu szanować, zawczasu jego argumentom wierzyć i ufać, że jakakolwiek mi poda radę, ta będzie dobrą i zbawienną. Ale dlaczegóż to waszmość dobrodziejowi tak to nie na rękę? czyż to on nie jest podwładny tak jako inny? czy nie musi wypełnić rozkazu?

– Tak... zapewne, że musi... ale widzisz, waszmość pan, on tu jest tak... on tu więcej niby to na dewocji niżeli w konwencie... jeszcze i ślubów nie złożył.

– Powiedzże mi waszmość, któż on jest z rodu i światowej niegdy pozycji?

Skreślił się gwardian na to zapytanie, lecz odpowiedział pokornie:

– To już zwyczajnie jest tajemnicą konwentu.

– To mniejsza z tym – rzekłem – proszę przysłać go do mnie, a będę pamiętał o krośnieńskim klasztorze i nadal.

To rzekłszy, pokłoniłem się i zabierałem się do wychodu, on zaś tymczasem:

– Może wielmożny pan pozwoli przekąskę... klasztorna wódeczka nie zawadzi na drogę.

– Nie, nie, dziękuję, czekam tylko na wóz i braciszka. Ściele się do nóg.

– Niechajże Pan Bóg prowadzi szczęśliwie – odpowiedział gwardian, a ja wyszedłem i zastawszy konie moje już zaprzężone, ruszyłem dalej.

I lubo mój zamiar dowiedzenia się, kim jest, a przynajmniej, kim był dawniej Murdelio, spełził na niczym, jednakże choć z nadzieją, że go będę miał w moim domu, stanąłem dnia drugiego u siebie.

Tam znalazłem wszystko w porządku i uczciwości, i bydło, i konie, i spiżarnię, i sprzęty, i zgoła dom cały. Jednak wszystko to mnie tak nie cieszyło, jak ten kącik spokojny i własny, w którym się zamknąć mogłem jak ów ślimak w skorupianym swym domku, sam, sam jeden tylko, z moimi wszystkimi myślami, z moimi wspomnieniami, z moją nieprzerwaną miłością dla Zosi, z moją nieuspokojoną tęsknotą; ale oraz i z ową nieocenioną władzą duszy, z której; jak rzeczne wody z swych źródeł, ustawicznie jedna z drugiej się wysnuwają nadzieje. I tak mi poczęły płynąć dni jeden za drugim, każdy z nich długi jak wieczność, każdy smutny jak kir żałobny, każdy zalany łzami, owiniony w westchnienia, każdy pokrajany niecierpliwością i targaniem się duszy mojej, która się gwałtem wypierała z tego nieznośnego więzienia. I były to bardzo smutne dni mego życia, niczym nie rozerwane, niczym nie umajone ani rozweselone. Nie miałem snu ani spokoju, ani chętki do pracy, ani do jadła, ani do napoju, próbowałem wszystkiego, aby się choć chwilowo rozerwać, ale nic się nie chwyciło ani rąk moich, ani głowy. Wychodziłem czasem do gospodarstwa, ale to mnie zaraz nudziło; wsiadałem na konia, ale zaledwie ujechałem kilkaset kroków, zaraz wracałem; począłem na nowo czytanie ksiąg świętych i śpiewu, ale i to mnie się prędko sprzykrzyło; w księgach nie znajdowałem pociechy, głos ludzki mnie raził i powypędzałem to z domu. Posłałem po mego podjezdka do Konopki, była to wielka dla mnie rozrywka; napisałem list do niego i spodziewałem się, że mi coś doniesie o Zosi. Przez te dni, kiedym się już spodziewał powrotu pachółka, co chwila wybiegałem za bramę, wyglądałem na drogę, wyczekiwałem go jak zbawienia, chociaż cóż on mi mógł przywieźć? I istotnie się tak stało; pachółek powrócił,

konia przyprowadził ze sobą i nie tylko od Zosi, ale nawet od Konopki nic mi nie przywiózł, bo go nie zastał w domu. Więc znowu ten sam smutek, taż niecierpliwość. I trwało to tak kilka tygodni.

Nareszcie dnia jednego wieczorem, kiedym siedział w kącie o zmroku i przypominał sobie owe szczęśliwe chwile, w których mi wolno było widzieć przynajmniej Zosię i z nią rozmawiać, i kiedym się nurzał tak w tym szczęściu minionym, żem zgoła o obecnym nieszczęściu zapomniał, dają mi znać, że ksiądz jakiś przyjechał przed ganek. Byłem pewny, że to Murdelio. Porwałem się i wybiegłem do sieni, jednak ku zdziwieniu mojemu obaczyłem cale nie tego, któregom się spodziewał. Jednak i tak dobrze: był to bowiem ów ksiądz misjonarz św. Wincentego a Paulo, którego zeszedł jesieni zdybałem był w Hoczwi na misji.

– Przepraszam waszmość dobrodzieja – rzekł ksiądz, przystępując do mnie – że ja tu tak śmiało zajeżdżam sobie do pańskiego dworu, ale i mam zaprosmy od pana, i trudno by to inaczej zrobić, kiedy mnie noc zapadła na drodze.

– Mości dobrodzieju – odpowiedziałem – nie tylko honor mi waszmość tym wyrządzasz, że raczysz nawiedzić ubogą strzechę moją, ale nawet i dobrodziejstwo, bo co w tej chwili, to wcale nie mógłbym mieć pożądansego gościa nad mojego kochanego misjonarza.

– Jakżeż zdrowie waszmości, które tak nadwerężone było przeszłego roku? – spytał mnie ksiądz, kiedymy weszli do pokoju.

– Zdrowie jak zdrowie – odpowiedziałem – Pan Bóg jakoś łaskaw; ale są inne zgryzoty, które dobierają się do żywego, i ot, prawdę powiedzieć, gdyby nie to. trochę ufności, którą człowiek jeszcze ma w Panu Bogu i łasce Jego, toby już przyszło zdesperować z kretelem.

– No, proszę, cóż to takiego? co to? proszę mi się trochę wypowiedzieć, panie Marcinie, trochę ulżyć swojemu sercu, trochę podysputować ze mną; może na to znajdziemy jaką radę, jakie lekarstwo, jaką ulgę przynajmniej. A możesz to waszmość uczynić śmiało i bezpiecznie; z czym się wygadasz przede mną, padnie jakby w grób zimny i przywalone będzie kamieniem ślubów klasztornych. Człowiek, który umarł dla świata, nie wygada się z niczym, a ponieważ żyje tylko na to, aby służył Bogu i usłużył ludziom w potrzebie, toż mu i nie tak trudno poświęcić się dla pomocy bliźniego. – Ja też na to:

– Bóg wam zapłać, dobrodzieju, za wasze dobre chęci dla mnie;

ale nie wiem, czy mi co pomożecie na to, bo to rzeczy światowe i ot, bodaj czy nie grzeszne.

– Nic to wszystko nie wadzi; jeżeli światowe, toż i my nie zza świata, a jeżeli, broń Boże, grzeszne, to już wcale do naszego autoramentu należą i nietrudno nam będzie dać na nie radę. Cóż to takiego?

– Ej! nie potraficie mi pomóc, księżo, ale mogę wam opowiedzieć; wszakże pierwej się trochę posilicie i wypoczniecie.

Jakoż natychmiast przeszliśmy do jadalnej izby, gdzie stół nakryto i wniesiono piwo grzane ze serem, potrawę z jaj i rybę, do których pożywania zasiedliśmy z księdzem obadwa, bo i mnie jakoś na widok obcej osoby trochę chęćka przyszła do jadła. Śród wieczery i po niej jeszcze długo opowiadałem gościowi memu tę nieszczęśliwą sprawę, przywodząc wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, prawie jak na spowiedzi. Słuchał on mnie cierpliwie i z wielką uwagą i nie przerywał mi, tylko wtedy, kiedy się chciał o czymś dokładnie dowiedzieć. A kiedym skończył właśnie na tym, jakom wstąpił po Murdeliona do krośnieńskiego klasztoru, rzekł on do mnie:

– Po Murdeliona?... Nie znam ci ja wprawdzie z bliska tego Murdeliona, ale nie zdaje mi się, ażeby to był człowiek do tego, żeby kogo uspokoił i jaką boleść uśmierzyć potrafił. Nie jest on zresztą księdzem, o ile z boku się mogłem dowiedzieć; ma to być pan jakiś albolu też szlachcic znakomity, którego przeszłe awanturnicze życie w mury klasztorne zaprowadziło; znaczy on wprawdzie wiele w krośnieńskim klasztorze i ma wielkie zachowanie u bractwa, ale to podobno nie rozumem przychodzi do tego, tylko groszem, którego dla konwentu nie

szczędzi. Myśl wszakże, którą waszmość miałeś, aby wziąć jaką świątobliwą osobę do siebie dla czytania wspólnie słowa Bożego, dla oderwania się od ziemskich frasunków, dla podniesienia ducha poważną i stateczną rozmową, jest bardzo chwalebna i gdybyś ją był przyprowadził do skutku, stałaby się niezawodnie dobrym dla niego lekarstwem; ale to do tego nie brać ci było kogo innego, jeno księdza Innocentego, franciszkanina z tego samego klasztoru, który już nieraz podobne służby odprawiał, którego znają po całej Polsce i zapraszają do oddalonych miejsc świętych na kazania i który jest człek wiekowy, doświadczony, świadomy świata i ludzi, i rzeczy światowych, i różnych pomiędzy ludźmi stosunków, a w naukach wszelkich jest jakby we własnym domu. Co się zaś tyczy owej miłości i konkurencji, której rekużę sobie waszmość uważasz za wielkie nieszczęście i bierzesz za powód do tak czarnego frasunku, to jest rzecz, o której wiele by mówić, a właściwie nie warto.

– Jak to! nie warto? – zawołałem.

– Nie warto, bo już się stała, zakończyła i dla waszmości przepadła.

– Jak to przepadła? otóż to konsolacja!¹²⁸

– Najlepsza, jaka być może w tym razie. *Una salus victis nullam sperem salutem*¹²⁹. Wyperswadować sobie z głowy to, co być nie może, i owoż zaraz spokój i duszy zbawienie od wszelakich frasobli-wości. Czy to ta jedna panna na świecie? czy to już stoi tak zapisano, że koniecznie tę musisz mieć za towarzyszkę swego żywota? Bo i na co ten upór? czy takie sprzeciwianie się woli Bożej i przeznaczeniu jest cnotą czy religią, czy heroizmem? ot! po prostu namiętność ziemską, podsycona uporem, a kierowana może jaką logiką, która niczym nie jest, jeno próżną mądrością ludzką i filozofią szatańską.

– Ej! toż to pleciesz duby smalone, szanowny misjonarzu! – rzeknę ja na to, przerywając mojemu mówcy – gdybym cię był nie słyszał przeszłego roku w Hoczwi mówiącego inaczej i nie wiedział o tym, żeś mąż niepospolicie bity w rzeczach duchownych, tobym po tym, co teraz mówisz, myślał, że ci zgoła klepki brakuje.

– Możesz sobie mówić, co chcesz – odpowiedział mi ksiądz cale spokojnie – nie będę się obruszał na to, bom nie jest młodzian porywczy ani ów szlachcic ambitny, któremu się zdaje, że za lada słowem przez kogo powiedzianym honor jego po kawałku odpada;

ani się będę dziwił słowem twoim gorącym, bo wiem, żeś jeszcze rozdrażniony i cały jak w ogniu, ale pomimo to trwać będę statecznie przy mojej opinii i wszelkimi siłami nastawać na to, ażebyś zmęźniał i stał się hartowniejszym od lichej rekuży.

– Dobrze tobie gadać, mój księże, a czy dostałeś kiedy rekużę?

– Co za pytanie! Ja sam nie dostałem, ale wiem doskonale, co jest rekuza, – Wiesz, ale nie czujesz. Nie ma z kim gadać.

Ksiądz atoli nie przestał na tym, a prawdę powiedziawszy, to dopiero teraz począł porządne kazanie. Mówił mi tedy, jako miłość dla kobiety dopiero wtedy ma prawo odwoływać się do Pana Boga, kiedy się stała miłością małżeńską i towarzyszą jej szacunek, poważanie, stateczność, poprzedza ją błogosławieństwo Boże, a idzie za nią przeznaczenie stania się węzłem rodziny, ogniwem społeczeństwa, kolebką ludzkości. Przeciwnie zaś, miłość inna, podniecona spojrzeniem, znikomą pięknnością ciała albo kilkoma słowy powiedzianymi w szale, nie jest miłością i srodze grzeszy ten, który ją wyprowadza z Boga albo z Bożego natchnienia; nie ma ona bowiem z niebem ani z czystym duchem ludzkim, który jest tchnieniem samego Boga, żadnej a żadnej styczności. Miłość taka jest produktem krwi ludzkiej, produktem nerwów albo rozpalonego mózgu, jest więc li tylko żądzą, namiętnością albo marnym upornym zachcieniem. Jest dzieckiem ziemi, robakiem wylęglym w ciele, pokusą i nagabaniem szatana. A że tak jest, dowodzi się tym, że miłość taka bywa

¹²⁸ konsolacja (łac.) – pocieszenie

¹²⁹ *Una salus...* (łac.) – Jedyne ratunek zwyciężonych – nie spodziewać się znikąd ratunku. (Wergili *Eneida* II, w. 354)

niespokojną, gwałtowną, rzucającą się w swoim pochodzie na różne bezdroża, nie przebierającą pomiędzy środkami do celu ją zawieść mającymi – miłość taka przywodzi człowieka do zapomnienia o Bogu, o cnocie i wszelkich innych, często nawet najświętszych obowiązkach względem rodziny, społeczeństwa i ojczyzny; opanowuje rozum, serce i wszelkie, choćby niegdy najstateczniejsze uczucia, przyprowadza ze sobą gniew, nienawiść, rozpacz, szaleństwo, a tak szatańską opętana czeredą, nieraz swój własny cel zmienia, nierzadko nawet sama znika z ludzkiego serca i zostawia po sobie inną jakąś namiętność, prowadzącą do nagiej zbrodni.

– Gdyby miłość taka – mówił dalej misjonarz – pochodziła od Boga lub z Bożego natchnienia, nie miałyby ona już w swoim zarodzie skłonności do żadnych wyskoków, a przychodząc na świat, nie odbywałaby wzrostu i mądrości swojej w towarzystwie jędz takich piekielnych i nie wlokłaby z sobą tak licznej czeredy żądz brudnych i pokus – i byłaby piękną jak tęcza siedmioma igrająca barwami, i spokojną jak kwiaty wychodzące ze ziemi do słońca, i wesołą jak dziecko bawiące się trawką zieloną i wiośniowymi kwiatami. Byłaby

mężną jak odwaga, stateczną jak wytrwałość, pokorną jak sama pokora, kochającą jak poświęcenie i zgoła wzniosłą jak każda cnota, źródło swoje mająca u Boga. I taka bywa miłość, ale aż wtedy, kiedy na nią spłynie błogosławieństwo Boże i kiedy Duch Święty ujmie ją za rękę i zaprowadzi w stateczne grono cnót rodzinnych i społecznych. Wszystko zaś, co wy, młodzi, nazywacie miłością, jest żądzą tylko, namiętnością, pochucią i niegodne nawet tego pięknego i szaczonego nazwiska miłości.

Mówili potem ksiądz dalej, wszędzie przywołując Pismo święte i różnych poważnych pisarzy opinię, że nie tylko jest błędem, jest grzechem dać się począć w swym sercu tak nędzemu afektowi, jakim jest miłość dla kobiety, ale dowodzi to nawet niepospolitej małości ducha, graniczącej bardzo blisko o bezduszną zwierzęcą, jeżeli kto temu afektowi daje się porwać i pod jego nagabaniem głowę i rozum utraci.

– Głupstwo jest wielkie – ciągnął zawsze z umiarkowaniem misjonarz – myśleć, że ten albo ów człowiek nie może już zażyć szczęścia z inną kobietą, tylko z tą, którą sobie w jednym swojego życia upodobał momencie. Tysiąc i milion jest jeszcze kobiet, i rozumniejszych, i lepszych, i piękniejszymi obdarzonych przymiotami niżeli ta jedna; tysiąc i milion takich, z którymi byłby szczęśliwszy niżeli z tą jedną. Dlaczegoż się dać opanowywać takiej bezrozumnej ślepcie? dlaczegoż bezzasadnym uporem zabijać sobie głowę? dlaczegoż nie ukołysać duszę i serce do snu na chwilę i dać jej czas do wytrzeźwienia się z tego miłosnego pijaństwa, tak jak usypiamy ciało, aby się wytrzeźwiło po upojeniu winem lub innymi trunkami?... Wszystkie dusze ludzkie są sobie pokrewne; pomiędzy wszystkimi jest jakiś węzeł niewidomy, jakaś wzajemna atrakcja, bo wszystkie wyszły z jednej kolebki, z łona samego Boga; ale nie powiązał je Bóg parami, nie pospokrewniał po dwoje w niebie na to, aby tu potem, szukając się wzajem, grały w ślepą babkę na ziemi! Nie masz przeznaczenia dla ludzi pod względem małżeńskim! Ale jest przeznaczenie takie, że jeżeliś jest praw w duszy twojej, masz serce czyste, obyczaj uczciwy i łagodny i jeżeli sobie dobierzesz żonę z chłodem i zastanowieniem, pilnie bacząc na to, iżby była dzieckiem uczciwych rodziców, wykształcenie miała odpowiednie twojemu, duszę piękną i uczciwą, była skromną, pracowitą, nabożną, to czy jej będzie imię Zosia, czy Zuzia i czy jej ród będzie szedł od Murdelionów czy Nałęczów, czy Ślepowronów, nie możesz z nią być nieszczęśliwy. Jeżeli potraficie statecznie ze sobą dzielić pracę, uciechy i dolegliwości, ustępować jedno drugiemu w uporze, błędy sobie z wyrozumiałością przebaczać, a w nieszczęściach znachodzić ulgę we wspólnej modlitwie, to nie możecie być nieszczęśliwi – a dopiero ta miłość, która wtedy pomiędzy wami wyrośnie, na wspólnym używaniu dóbr doczesnych się ugruntuje, wspólnymi cierpieniami się umocni, wspólnymi uciechami umai i we wspólnej modlitwie swoją nadziemską widzieć będzie koroną – ta miłość dopiero przekona ciebie, że prócz niej nie masz i nie było innej, która by godną była takiego imienia.

Ksiądz ten tak to mówił ładnie i tak mu się wszystko składało, takie mi zdrowe argumenta podkładał, że kiedy skończył, nie mogłem się dosyć nadziwić jego mądrości i prawie już przekonany byłem z kretesem. Kiedy więc umilkł i popatrzył mi w twarz, zapewne po to, aby obaczyć, jaki skutek jego mowa zrobiła na mnie, tom zrazu oczy spuścił ku ziemi, a potem zgoła odstąpiłem od niego i począłem przechodzić się po pokoju, zawsze w wielkim podziwieniu dla misjonarza mądrości i znajomości ludzkiego serca. I byłoby to bardzo dobrze i na moją chorobę niezawodnie skutecznie, gdyby tylko misjonarz był zarazem tą mową i pamięć Zosi zatarł był we mnie tak, żebym sobie już jej nigdy nie przypomniał. Ale kiedy po chwili śliczna dziewczeczka ta objawiła się duszy mojej, cała, tak jak ją znałem i na śmierć miłowałem, taka śliczna! a do tego smutna i zapłakana, i mnie kochająca, to rozum mój, przyjmujący prawdy misjonarza, ustał w swojej robocie, mróz mi poszedł po całym ciele, serce uderzyło gwałtownie, a ksiądz mi się wydał strasznie nudny i głupi. Rzuciłem też na niego tryumfującym wzrokiem, zaśmiałem się w duszy i pomyślałem sobie: dobrze mi tak, bo cóż to za koncept rady księdza zasięgać w miłości?

Ale wymowny ten nauczyciel praw Boskich i wielki znawca ludzkiego serca poznał za jednym rzutem oka, że lubo mnie od razu przekonał, jednak w tym momencie serce moje upomniało się już o swoje prawa; jakoż i rzekł natychmiast:

– Panie Marcinie! źle jest, bardzo źle z tobą. Padnij krzyżem i módl się, bo się Bóg twój odwrócił od ciebie. Ziemia wzięła górę nad niebem, ciało twoje nad duchem twoim. Szatan cię otoczył wszystkimi mamiłkami swojego państwa i już ci błyszczącą wstęgę

owinał około szyi, aby cię na niej zawiodł do wiecznej zguby. Módl się, módl się, bo zginiesz.

Jam stał i patrzył na tego księdza, którego twarz coraz więcej się rozżarzała, coraz wyrazistszej nabierała postaci; alem już był z tej strony, w którą on trafiał, zimny jak bryła lodu, nieporuszony jak głaz... Zosia w białej jak lilia sukience, niebieską w staniku przepaską szeleszczącą w powietrzu, z wędniejącą różą na piersiach unosiła się jakby anioł zbawienia nade mną.

Ksiądz mówił dalej i w coraz większy zapał wpadał, głos podnosił, ręce wyciągał – jam jeszcze służył długą chwilę i milczał. Ale na koniec zniecierpliwiło mnie to kazanie, więc się porwałem i rzekłem:

– Mości księżu! Waszmość jesteście bardzo rozumnym człowiekiem i pewno doskonale znasz sprawę ludzką, bom cię służył o nich mówiącego w hoczewskim kościele; służyłem bez uprzedzenia i zdumiewałem się tylko nad głęboką twoich opinii mądrością i nieporównaną twego języka wymową. Dzisiaj słucham cię może z jakimś uprzedzeniem o tej materii, o której mówimy, ale w tym nigdy mnie nie przekonasz, żeby miłość czysta i nieskalana była jakimkolwiek szataństwem. Słyszałem już kazania i biskupów, i archimandrytów, i kamedułów, i jezuitów, i innych zarliwych karcicieli wad ludzkich;

słyszałem księdza Marka, który tak dalece potępiał cielesność, że rozkazywał ludziom, iżby byli czystymi duchami; słyszałem księdza Barszczewskiego, także misjonarza, a sławnego na cały kraj rygorystę; księdza Dutkiewicza, eks-jezuitę, miałem nauczycielem przez lat kilkanaście – ale żaden z nich tego nie powiedział. I dobrze zrobił, że nie powiedział, bo byłby się, tak jak waszmość, ominął z rzeczywistością i prawdą. Byłby, wymagając od ludzi rzeczy niepodobnych i nadludzkich, przeciągnął tę strunę i byłaby pękła w jego ręku. A jemu ją tylko nakazano nastroić. Bo i cóż to jest miłość? Czyż to nie jest najpiękniejszy afekt ludzkiego serca? nie najzależniejszy to listek rozkwitującej się duszy ludzkiej? nie braterskaż to dłoń podana całej ludzkości za pośrednictwem kobiety? nie pierwszyż to, nie konieczny krok, zrobiony przez nie znanego dotąd światu młodzieńca na owej pięknej drodze, która go ma zaprowadzić pomiędzy ludzi, uczynić członkiem statecznej rodziny, osadzić na pewnym stanowisku w społeczeństwie, namaścić na ojca, na obywatela? Czymże grzeszy ta miłość, która z bijącym sercem zbliża się do uwielbianego przedmiotu, staje od niego o kilka kroków,

milczy i rumieni się lada chwila, i nie pragnie niczego więcej, jak tylko widzieć ją czasem, przejrzeć się w jej oczach, westchnąć za nią do Boga, za jej pokój, za szczęście, podać jej wodę, chustkę albo kwiatek, dotknąć się jej ręki!...

– Dosyć! – zawołał ksiądz – dotknąć się jej ręki! Tym grzeszy miłość.

– A cóż to za grzech? – zapytałem.

– Zaraz ci to wywiode. Waszmość powiadasz rzeczy ani dla mnie nowe, ani nie znane. I owszem, aż nadto dobrze znajomy mi język, którym mówią miłośnicy. Ale po porządku, po porządku. Najprzód tedy, *co* powiadasz, że ani biskupi, ani archimandryci, ani ksiądz Marek, ani ksiądz Barszczewski nie powiadali takich opinii, jak moja, to kłamiesz *brevi manu*¹³⁰. Każdy z nich, czy mówił, czy nie mówił o tej materii, to miał i musiał mieć tę samą, co ja o niej opinię, bo tak stoi napisano. Ksiądz Marek nawet całe nigdy o miłości nie gadał, bo jak wiadomo, teksta brał całe inne. Księdza Barszczewskiego, jeżeli kiedy słyszałeś, to go nie rozumiałeś, kiedy tak mówisz. Co zaś powiadasz, że przez zbytne naciąganie tylko zerwać można tę strunę, którą należało nastroić – to masz rację w połowie. Zerwać tylko można, ale ją też i zerwać należy! Zerwać tę strunę, która grać nie powinna i grać nigdy niezdolna w dźwięcznej cnót ludzkich harmonii! Miłość dla kobiety, miłość nie związana stulą i nie pobłogosławiona przez namiestnika Bożego, nie jest struną grającą. Jej głos jest chrypliwy, charczący i brzydki, a lubo w pierwszych dniach swego istnienia ma takie chwile, w których miłym odzywa się dźwiękiem, to jeśli i ten dźwięk nie jest ułudą, to trwa tak krótko i tak prędko głos swój odmienia, że go tylko tym prędeziej przytłumić należy. Miłość w dniach pierwszych podobną jest do małego tygrysiątka: śliczne ono jest i łaskawe, pokorne i wstydlive, gdy się narodzi, ale za trzy dni owce już zjada. I gdyby to wiedzieć, gdzie jest granica; gdyby wiedzieć, kiedy przychodzi ta chwila, w której zęby jej rosną, to może by ją można uczynić bezzębną i utrzymać we wstydlivości, w pokorze, i uczynić z niej kwiat i ozdobę ludzkości, ale kiedy, tego nikt nie wie i wiedzieć nie może! Dopiero, patrzysz, stoją niewiniątka jak trusie, z daleka od siebie, oczy opuszczone ku ziemi, rumieńce wstydu na twarzach, ani cienia złego tam nie ma... odwróciłeś się – oni już sobie w ramionach. Dowód tego, co mówię, jest właśnie na tobie. Z bijącym sercem zbliżasz się do uwielbianego przedmiotu, stajesz od niego o kilka kroków, rumienisz się lada chwila, nie pragniesz niczego więcej, jak tylko widzieć ją czasem, przejrzeć się w jej oczach, westchnąć za nią do Boga za jej spokój, podać jej wodę, chustkę albo kwiatek... to wszystko dobrze! ale ty chcesz już dotknąć jej ręki! a czegoż ty zechcesz za chwilę? a wiesz ty, czego ty jutro zapragniesz?

– Ależ bo...

– Z wolna! wiem, co chcesz mówić. Ależ bo tyś jest uczciwy człowiek i honorowy kawaler, ty masz duszę tak mocną, że nigdy byś się nie dopuścił żadnego haniebnego uczynku. Ja wierzę. Ja wierzę temu, lubo widoczna jest, że masz duszę dość słabą, kiedy miłości nie możesz w sobie utłumić; lubo widoczna jest, że kto jednej żądy się poddał, ten się podda i drugiej, i dziesiątej, i setnej... ale ja wierzę. Tyś jest uczciwy i honorowy kawaler, tyś jest mocny jak dąb i niewzruszony jak skała. Ty się oprzesz pokusom, ty zniesiesz wszystkie ciosy i przeciwności. Ale wiesz ty, kto i jaką jest ta druga osoba, którą stawiasz nad bezdenną przepaścią? wiesz ty, jaką jest ta głowa, którą obalamucasz, jakie to serce, w którym nie doświadczone dotąd rozniecasz płomień, jakie te oczy, przed którymi otwierasz światy dotąd nie znane a całkiem nowe? Któż będzie odpowiadać za tę głowę, jeżeli owariuje w gorączce, kto odpowiadać za serce, jeżeli zwiędnieje i umrze od samej tęsknoty i bólu; kto odpowiadać za oczy, jeżeli w tym świecie nowym śród mar i pokus błędną upatrzą drogę i poprowadzą na nią pijaną duszę, pokalają ją błotem i zgubią? I ty powiadasz, żeś jest uczciwy człowiek i honorowy kawaler? Toż to uczciwość jest, nie wiedząc naprzód, czy ci wolno będzie twój afekt sakramentalnym uwieńczyć związkami, czy rodzice nie będą mieli nic

¹³⁰ *brevi manu* (łac.) – po prostu, krótko mówiąc.

przeciw temu, czy inne nie staną na drodze- przeszkody, od bałamuctwa poczynąć, od rozbudzania afektu, od podnoszenia go do namiętności, od zwariowania już w pierwszym kroku? Nie mówię już, co poczniesz wtedy, kiedy związek nie przyjdzie do skutku, ale gdy przyjdzie, co będziecie dalej czynić, kiedyście tak poczęli? co będzie za lat kilka, gdy braknie karmy dla tych gwałtownych płomieni, gdy się wulkany wypalą i na ich miejscu same pozostaną popioły?... I dziwnaż to ma być komu, że się dzisiejszymi czasy małżonkowie już w rok nudzą po ślubie, że już w drugim się kłócą, a w trzecim wodzą za łby po sądach i przed opinię świata wytaczają domowe niesnaski? O, nie, mój bracie, niegłupi byli dziadowie nasi, że sami upatrywali małżonki dla synów. Niegłupi, że im pierwszy raz wzajemnie sobie w oczy popatrzeć dawali dopiero przy ślubnym ołtarzu. Niegłupi, że od razu dawali się wyburzyć i krwi, i żądom, i chuciom, a dopiero po uspokojeniu tychże dawali czas wolny i spokojny do zawiązywania się związkom duszy i serca. I zawiązywały się one pięknie i statecznie, i trwały do grobu. Niegłupi oni byli, bo budowali na przyszłość, i budowle ich były wielkie i wspaniałe, i wzniosłe, i trwały długo, i Pan Bóg im błogosławił. I kiedy w takich mieszkali budynkach, to sami byli wielcy i bezpieczni i nie mieli do nich przystępu ani nieprzyjaciele postronni, ani sto razy gorsi od tamtych nieprzyjaciele wewnątrz wylegli, jakimi są głupie i niewczesne afekta, jakimi są żądze, pochucie i namiętności, które wysilają rozum, palą serce i niszczą ciało przed czasem. A wy się ubieracie w peruki, w trzewiki, w batystowe koszule i wiatrem podszyte kubraki i szarpie was wtedy, kto nie chce, i pali was wszelki diabeł 'z całego świata, i rzucają wami wszelkie wściekłe pokusy; toteż was te pokusy rozepną i spalicie się sobą samymi na węgiel, i diabeł was weźmie z kretesem!

To rzekłszy, przysunął do siebie księgę, która koło niego na stole leżała, a w której były księzda Skargi *Kazania*, i nie dawszy mi ani słowa wymówić, otworzył ją i zaczął w niej czytać na głos. Prawdę mówiąc, nie bardzo ja uważałem, co on tam czytał z tej księgi, a lubo mowa jego słowo w słowo utkwiała mi w głowie, to jednak wtedy tylko owo miejsce najbardziej mnie zajmowało, w którym mi wyrzucał, że niebacznym niewinną Zosię naraził kto wie na jakie zgryzoty, na umartwienia, a może i na prześladowania. To mnie utkwilo w głowie, w sercu, zajęło całą duszę. Biedna Zosia! co ona myśli teraz? co robi? jakie jej położenie? jak postąpiła z nią matka? jak sobie poczyną z nią Zuzia, owa złośliwa, głupia, zepsuta Zuzia, która nawet u rodzonej siostry swojej nie zasłużyła sobie na ufność? Biedna Zosiu! jeżeli ci miłości twojej nie umieli przebaczyć, jeżeli ją zawsze jeszcze uważają za występki przeciwko ich domowej polityce, za targnięcie się na świetność ich rodu, za bunt przeciw zamysłom matki... jakże wiele ty cierpieć musisz! I kiedyż ty znajdujesz ulgę w twoich cierpieniach, gdzie pociechę na twoje smutki? Maszże ty kogo tam w całym domu, maszże choć jedno serce około siebie, któremu byś się zwierzyć, jedną duszę, do której byś się przytulić mogła? Biedna, wśród ludzi samotna, wśród tylu krewnych obca dziś Zosiu! Biednaś ty dzisiaj, bo minęły już dni twego szczęścia, minęły dni owe, w których mało wiedząc o świecie, mało się troszcząc o ludzi, cała żyłaś w twych kwiatkach, cała w snach twoich pięknych, których drobne przepowiednie ci się często ziszczały. I byłaś tak szczęśliwą, jak owe kwiatki, które rosły i kwitły pod ochroną opiekuńczej twej rączki, i jak owe róże i lilie, którym pozwalałaś kwitnąć i odkwitać dla siebie, i jak owe ptaszki, które wiosną wylatują do słońca i biją skrzydełkami z radości, a umęczonywszy się troszkę, usiadają na zielonej, chłodem objętej gałązce i poczynają śpiewać Panu Bogu, który je stworzył, słońcu, które je ogrzewa, i sobie. Wszystko to było kiedyś. Dzisiaj wiele się odmieniło, dzisiaj mniej już myślisz o kwiatkach, mniej o listkach uwiedzionych i świeżych, mniej łez miewasz w oczkach, mniej westchnień w piersi – ale za to łzy bywają większe i naglejsze, westchnienia głębsze i boleśniejsze, a nocne twej duszy widzenia ledwie bym się poważał odgadnąć. Zgoła wszystko się odmieniło; serce, serce tylko pozostało to samo. I jako pierwiej obejmowało róże i braciszki, jako drżało na wspomnienie uwiedzionego goździka, jako upadło z żalu nad usychającym powojem, tak teraz...

Teraz misjonarz czytał księdza Skargę, jam słuchał i myślał i obadwaśmy byli tak głęboko zatopieni każdy w swojej robocie, żeśmy się mimowolnie wstrzęśli obadwa, kiedy coś nagle zaturkotało przed gankiem.

– Cóż to jest? – rzekłem ja zdziwiony – któż to może być o tak późnej godzinie?

– Nie wiem – odpowiedział misjonarz – zapewne gość jakiś... ale to późna godzina.

Spojrzałem na zegar, było pół do jedenastej, i tak mnie to jakoś zbałamuciło, że nawet zaniedbał wyjść na ganek dla przywitania gościa. Ale wtem drzwi się otworzyły i wszedł cicho i spokojnie Murdelio, mówiąc we drzwiach:

– Pokój temu domowi i mieszkańcom jego!

– Na wieki wieków – odpowiedział misjonarz; ja zaś skoczyłem, witając:

– A! ojciec Murdelio! witajże waszmość w moim domu; wielkie to dla mnie ukontentowanie.

– Niepospolity honor to dla mnie – rzekł na to Murdelio, nisko schylając głowę i głosowi swojemu dając znamię uroczystej pokory – że, mnich ubogi i nic nie znaczący, sprawiam waszmości ukontentowanie. – Tymczasem misjonarz do niego:

– Jak się macie, ojcze?

– Dosyć dobrze, do usług waszmości – zawsze z pokorą i przy drzwiach odpowiedział Murdelio.

– Ależ proszę bliżej – rzekłem ja na to – może się czym posilicie, zmęczeni z drogi. Każę co zrobić ciepłego.

– Jak łaska waszmości.

Przywoławszy tedy sługę, rozporządzałem dla nowego gościa wieczerzę; tymczasem zaś mnisi obadwa rozmawiali ze sobą, ile zasłyszec mogłem, o zdrowiu i powodzeniu wzajemnych swych przełożonych. Gdy do nich powrócił, wycudziliśmy jeszcze słów kilka obojętnych o pogodzie i złych drogach, a kiedy stół nakrywano dla Murdeliona, misjonarz powstał i rzekł:

– Panowie jeszcze jaką chwilę pogawędzicie ze sobą, ja zaś muszę was przeprosić i udać się na spoczynek, a nawet pożegnać już łaskawego na mnie gospodarza, bo jutro o samym świcie muszę ruszać w dalszą drogę.

– Jak to! – rzekłem – to waszmość nie zabawisz u mnie przez jutro?

– Na żaden sposób nie mogę; jutro muszę być ze mszą w Hoczwi, czekać mnie będzie tam pan Osuchowski z ichmość panem Urbańskim, skąd mają mnie zabrać do siebie dla naradzenia się względem fundacji kościółka powstać mającego ze składek w jednym miejscu w tych górach.

– Trudnoż stawiać tamę tak świątobliwej podróży – odpowiedziałem misjonarzowi – toż przynajmniej wypraszam sobie łaskę, iżbyś jegomość nie zaniedbał wstąpić z powrotem.

– I tego nie mogę przyrzekać, bo nie wiem, kiedy mi wypadnie powracać, proszę atoli być pewnym, iż nigdy nie zapomnę o sercu tak prawym i tyle dla mnie przychylnym.

Śród tego czasu przyniesiono posiłek dla franciszkana, ja zaś wziąłem świecę do ręki i odprowadziłem kaznodzieję do odległego pokoju na nocleg. Żegnając się jeszcze raz z nim, serce mi się jakoś mimowolnie ścisnęło, rzekłem więc prawie ze łzami:

– Luboś jest tak zawziętym nieprzyjacielem tego uczucia, które mnie teraz całego zajmuje, jednak nie zapominaj o mnie czasem.

Tedy on rzekł głosem poważnym i z wzniesionymi jakby do błogosławieństwa rękami:

– Niech cię Bóg strzeże od wszystkiego złego na tej drodze, gdybyś jej nie miał porzucić; ale posłuchaj rady mojej i padnij jeszcze raz na kolana przed Bogiem, uczynź spowiedź, podwój i potrój naznaczoną pokutę, może się On zlituje nad tobą i oświeci twój duch. On jest wielki i mocny! przed Nim padają na twarz pierwsi mocarze świata, przed Nim wiją się w prochu całe narody, On z lwiej paszczy wybawił Daniela, On potopił faraonowe zastępy, On lud izraelski wyprowadził z niewoli, On Syna Swojego jedynego oddał na śmierć krzyżową

dla miłości swych ludów. On nie opuści tego, który się pod Jego odda opiekę. On też niech będzie w każdym razie pierwszą i ostatnią ucieczką twoją. Czego życzę z całego serca. Dobranoc!

– Dobranoc! – odpowiedziałem i odszedłem, ale te jego słowa, lubo były powiedziane takim głosem, że powinny były przejść przez samą rdzeń duszy, nie zrobiły żadnego wrażenia na mnie. Albowm już był syt pacierzów, albo było coś we mnie, jakieś nasienie złego, które się kajało słów Bożych i odpychało je ode mnie. Jam biegł do Murdeliona.

– Mości panie – rzekłem – przepraszam, żem go samego zostawił, ale inaczej uczynić nie pozwalał mi obowiązek gospodarza.

– Proszę, proszę – rzekł Murdelio – mnich ubogi niechaj waszmości panu żadnej w domu nie czyni dywersji; jest to sprzęt tylko, wyniesiony z domu Bożego na to, aby się kto na nim mógł pomodlić jak na klęczniku albo zasłonić się nim od jakich pokus, od nudów, od nie wiem czego tam jeszcze.

– Skromność to mówi z waszmości – rzekłem – i może sentencja ta ma gdzie swoją prawdę na świecie, w Polsce atoli nie da się jeszcze, chwała Bogu, zastosować do nikogo: mamy szczerze poszanowanie dla tego wszystkiego, co się o Kościół Boży ociera na ziemi, i daj Boże, abyśmy nigdy nie czynili inaczej.

– Panu Bogu niech będzie chwała... ale pierwiej do sprawy. Na rozkaz waszmości pana wysłano mnie tu z klasztoru z poleceniem odebrania łaskawie nam darowanej jałmużny; złożenia waszmości panu winnego podziękowania za jego szczodroblivość i zapewnienia go, że najświętszym obowiązkiem naszym będzie zanosić pokorne modły nasze do Najwyższego...

– Dziękuję, dziękuję – odpowiedziałem roztargniony i pomieszany tym, że mnich ten, którego już kilka razy widziałem i o którym już pewną wyrobiłem sobie opinię, dzisiaj całe mi się wydał inaczej. Tymczasem Murdelio mówił dalej:

– Waszmość pan także byłeś tak łaskaw zażądać mego przyjazdu do siebie, powiadałeś, że masz frasunki, że potrzebujesz rady, ulgi, pociechy. Wielki to zaszczyt dla mnie, ale nie daje dobrego świadectwa doświadczeniu waszmości. Ja nie jestem księdzem, nie jestem uczonym, a lubo doświadczenie moje może wiele innych przenosi, toż jeszcze nie idzie za tym, abym umiał drugim dać radę, przynieść jaką pociechę. Wiadomo bowiem być musi waszmości, że ci, którzy sobie umieją we wszystkim sami dać radę, nie potrzebują w żadnej porze swojego wieku chronić się w mury klasztorne.

– Nie idzie tu koniecznie o radę – odpowiedziałem, przysuwając gąsiorek z winem i nalewając dwie szklanek – bo nie wszędzie możliwą jest rada. Ot! ksiądz misjonarz, którego tu waszmość zastałeś, pewnie ma rozum niepospolity i w naukach nikt go prześcignąć nie zdoła, a przecie nie wynalazł żadnej rady na to złe, które mnie trapi. Niektóre położenia w życiu ludzkim są tak jak śmierć, na którą nie masz lekarstwa.

– Nieprawda! – zawołał mnich, ale to tak nagle i głośno, żem się aż cofnął i węża pokręcił do pokrycia przestachu; i tym mnie tak zbił z toru, żem zapomniał, com chciał powiedzieć i na czymem stanął. Przyszło więc do tego, żem go musiał zapytać:

– Dawno waszmość byłeś w Żwierniku?

– W Żwierniku?... – odpowiedział znowu pokornie Murdelio – ja tam bardzo rzadko bywam, i to tylko w sprawach naszego konwentu, którego wspaniałomyślną dobrodziejką jest od dawna familia Strzegockich.

– I zapewne waszmość szczęśliwie uskuteczniasz swe misje, bo jako uważałem, masz pewne zachowanie w tym domu.

– Tak, lubią mnie tam; pomiędzy naszymi rodami była niegdy bliska znajomość.

– Więc waszmość od lat niedawnych dopiero habit nosisz na sobie? byłeś dawniej szlachcicem, może zgoła żołnierzem?

– Szlachcicem byłem i jestem, żołnierzem byłem i jeszcze być mogę, a jak długo habit noszę na sobie, to nie należy do rzeczy. Ale jakież to waszmość masz frasunki, że aż na ich pogębienie potrzebujesz księdza czy mnicha? – zapytał Murdelio, całą gębą pociągając ze szklanki.

Prawdę mówiąc, w tej chwili niewielką już miałem ochotę spowiadać się przed tym człowiekiem, bo mnie jakoś obraził swoją, że tak powiem, dwoistością. Bo rzeczywiście nie zdawało mi się inaczej, tylko że dwóch ludzi, całkiem niepodobnych do siebie, siedzi w tym jednym człowieku: jeden mnich jakiś pokorny i uniżony, drugi jakiś rubacha i wielki gwałtownik, i że odzywając się raz jeden, a drugi raz drugi, obadwa się kłóca pomiędzy sobą, zdradzając jeden drugiego. Jednak już niepodobna mi było milczeć, rzekłem tedy:

– Ot! prawdziwe nieszczęście! rozgorzałem afektem do pewnej panienki, wybudowałem sobie najpiękniejszą nadzieję, zapewniłem się o wzajemności panny i kiedym z taką pewnością, jak na cztery tuzy, o jej rękę uderzył, dostałem rekuzę.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się wielkim głosem franciszkan – toż na rekuzę do mnie przychodzisz po radę! – i obracając tabakierkę w rękach, poszedł szerokim krokiem po izbie.

– Cóż w tym dziwnego? – rzekłem. – Waszmość zapewne nie wiesz, że tonący i brzytwy się chwyta.

– Ja nie wiem, czego tonący się chwyta? no! – odpowiedział Murdelio i w wielkim zamyśleniu przeszedłszy się kilka razy po izbie, nagle zapytał:

– O kogóż waszmość się starasz?

– O kogo ja się staram? – odpowiedziałem pomału i prawie pomimowolnie kłamiąc, dodałem: – O pewną panienkę na Rusi.

– Na Rusi? no i czemuż dać nie chcą?

– A Pan Bóg ich tam wiedzieć raczy, czemu właściwie dać nie chcą! ot, kaprysy matczyne i głupstwo wierutne. Panna piękna, ma jaki taki posąg, młoda jeszcze, ich ród kiedyś tam coś znaczyl w Rzeczypospolitej i zdaje im się, że kiedy córkę dadzą Nieczui, to całkiem upadną.

– No! to stara facecja. Maszże jaką nadzieję?

– Dotychczas żadnej.

– Jak to? zwątpiłeś?

– Prawie.

– To pluń i bądź kontent, że tak się stało.

– Nie mogę.

– Więc ją kochasz?

– Jak tylko można najwięcej.

– Jakże? i kochając nie masz żadnej nadziei?

– Nie umiem jej sobie wymyślić.

– Tępa głowa i licha fantazja albo... nie masz prawdziwej miłości.

– Wszystko jest, ile mi się zdaje, ale mnie okrutnie pogębila rekuza.

– O, tak, rekuza – odpowiedział Murdelio, wpadając w coraz głębsze zamyślenie.

– O! rekuza! – zawołałem też i ja sobie z westchnieniem, ale on na to już nic nie odpowiedział, tylko, zatopiwszy się w myślach, opuścił głowę na piersi, oczy wlepił w róg stołu, przy którym siedział, i zdawał się tak zastygać. Ja też nie przerywałem mu tego zamyślenia, i owszem, sam puściwszy wodze moim znów myślom i przypomnieniom, również z wlepionymi oczyma w drugi róg stołu, milczałem. I bylibyśmy tak, milcząc obadwa i obadwa uganiając po jakichś niewidomych światach wyobraźni albo przeszłości, przesiadzieli może do rana, ja przynajmniej pewnie bym był nie przerywał tej ciszy, która mi stokroć razy miłszą była nad gwar najweselszej kompanii, ale on nagle się zbudził i krzyknął mi w oczy:

– O kogóż się starasz?

– O pewną panienkę na Rusi – odpowiedziałem, budząc się z zamyślenia.

- Aha! a czemuż dać nie chcą?
- Powiedziałem już.
- Aha! za mała fortuna, za liche nazwisko. To rodzice, a panna?
- Całą duszą jest moja, to jest, była przynajmniej dotąd i pewnie zostanie, jeżeli jej nie przekabacą.
- O! niezawodnie przekabacą. Jestże drugi konkurent?
- Jest, ale wielki błazen i mazgaj.
- To właśnie najgorzej, bo tacy mają szczęście, a w konkurencjach, ba! może i wszędzie, lepszy hit szczęścia niż centnar rozumu. Ale zawsze próbuj, *tentare licet*¹³¹.
- Ba! *licet*, ale jak? *quomodo? quando? quibus auxiliis*¹³²
- *Omnibus modis, eo instante et sui ipsius auxilio*¹³³, innej rady dać nie potrafię.
- Ej, gdybyś chciał – rzeknę – tobyś potrafił, bo jak uważam, sam praktyk jesteś w tych rzeczach, może nawet, gdybyś mi tylko powiedział twojego życia historię, już byś mi podał niejedną doskonałą naukę.
- Bardzo to być może – odpowiedział Murdelio – ale ja nie myślę być alwarem¹³⁴ dla wąsatych młokosów.
- Przecie powiedz mi, waszmość, przez łaskę swoją, co za dziwną styczność to ma ze sobą, że wasze klasztorne nazwisko równo brzmi jak herb Piotrowiczów?
- Taką ma styczność – odpowiedział sucho franciszkan – że równo brzmi jak herb Piotrowiczów.
- Teraz już wiem doskonale, ale na to mi przecie waszmość odpowiesz, czy jesteś jaki krewny Strzegockich czy żaden?
- Strzegockich? żaden – odpowiedział Murdelio.
- A Piotrowiczów?
- Piotrowiczów? – powtórzył mnich zamyślony – tak... jakieś tam jest powinowactwo: ale cóż tobie na tym zależy?
- Bo ja jestem spokrewniony ze Strzegockimi.
- Ty? a to kędy? znałem twojego ojca, ale mi nigdy o tym nie wspominał... ale to już późna godzina, nie wiem, czy nie czas by już na spoczynek?
- To rzekłszy, popatrzył na zegarek. Było już po pierwszej z północy.
- Pierwsza – rzekł franciszkan – gdzie mi waszmość przeznaczyłeś kącik do przespania się?
- Tutaj właśnie w tej izbie.
- Więc dobranoc.
- Dobranoc – odpowiedziałem niechętnie i mówiąc sobie, jak to pomiędzy mnichem a mnichem, pomiędzy rozumem a rozumem jest zawsze, różnica, i dziwiąc się oraz mojemu szczęściu, z jakim na doradców w tej mojej nieszczęśliwej konkurencji trafiam, poszedłem do mojej izby i rzuciwszy się zaraz na łożo, oddałem się na pastwę najdziwaczniejszym snom i widzeniom.

¹³¹ *tentare licet* (łac.) – próbować wolno.

¹³² *quo modo?*... (łac.) – jakim sposobem? kiedy? z czyją pomocą?

¹³³ *Omnibus modis*... (łac.) – Wszystkimi sposobami, natychmiast i licząc wyłącznie na własną pomoc.

¹³⁴ alwar – tu: elementarz.

II

Nazajutrz rano słońce już było wysoko, kiedym się z tego snu ciężkiego obudził. Piekący ból w głowie i jakaś nieodgadniona niespokojność w sercu były to pierwsze dwie rzeczywistości, które zastąpiły miejsce mar nocnych. Jakie zaś były te mary nocne, trudno mi dzisiaj pamiętać, trudno opowiedzieć dokładnie; to tylko przypominam sobie, że przez całą noc tę misjonarz z Murdelionem ustawicznie się tłukli przede mną i o mnie. Działo się to w jakiejś dzikiej i dziwacznych chwastami zarośniętej krainie, po obu stronach jeżyły się czarne szkaradne skaliska, po których pełzały brzydkie gady i bestie, potok zmaconej wody płynął po prawej i jęczał bolesnym głosem, niosąc na swoich falach liście zwiędłe i pogruchotane gałęzie; wicher zimny dał bez pamięci, szamotał gałęziami, kręcił liściami i ciskał piaskiem do góry. Taką była ziemia w śnie moim, taką może bywa często w rzeczywistości. Przede mną, jak mówiłem, tłumili się oba mnisi, uderzając się wzajemnie w piersi pięściami, chwytając się za paski, zarzucając sobie na głowy kaptury; za nimi w dali, trzymając się rączką za gałąź drzewa, unosiła się w powietrzu prześliczna, w białej rozwianej szacie, z rozpuszczonymi kruczymi włosy, z zapłakanymi oczyma panienka. Nad tym wszystkim unosiło się ciemne niebios sklepienie nie obciążone żadnymi chmurami, wydęte jak bania, ciemne i gładkie, jakby było ze starego spiżu wykute; na jego najwyższym punkcie, prawie nad głowami mordujących się mnichów, tłumili się z sobą dwaj czarni ptacy, żuraw i orzeł ogromny, i wywracali się tam pod tą banią, i kaleczyli się wzajem dziobami, i drapali po głowach, a pomiędzy nimi od chwili do chwili pokazywał się biały gołabek i śnieżnym piórem swoim błyskał na tym tle ciemnym, jak nowy srebrnik na czarnym suknie. Walka toczona na ziemi zdawała się cień swój odbijać na niebie. Wizja ta powtarzała się kilka razy, zawsze ustępując miejsca innym, więcej straszonym, więcej nieodgadnionym. Promień słońca, który mnie w oczy uderzył, rozwiął z nich ostatnią, zostawił mi tylko ból głowy i niespokojność w sercu. Zajęty przypomnieniami snów moich, leżałem jeszcze w łóżku i ani myślałem powstawać, kiedy wszedł do mnie Murdelio.

– Waszmość śpisz jeszcze, a słońce już grzeje – rzekł on wchodząc.

– Nie śpię już – rzekłem – ale nie wstaję dlatego, że jakoś niezdrów jestem. Straszne sny miałem tej nocy.

– Cóż się śniło?

– Ot, tak zwyczajnie, niedorzeczności.

– Cóż przecie?

– Śniło mi się, żeś się waszmość bił na pięście z tym misjonarzem, który wczoraj był u mnie.

– Ja z misjonarzem!... gdyby się było waszmości śniło, że ja bił jego, to by było do rzeczy, ale ja z nim, i na pięście, to nie ma sensu.

– Może to i ma sens jakikolwiek, bo właśnie tak było w rzeczy, że nim waszmość przyjechałeś do Bóbrki, to on mi rad swoich udzielał w teje samej materii i były waszmościowym całkiem przeciwne.

– Cóż radził?

– Zapomnieć, póki czas jeszcze.

– I ja tak radzę.

– Jakże? to dziś znowu inaczej?

– Gdzież tam! zupełnie tak samo, jak wczoraj. Wszakże i wczoraj radziłem plunąć i dać pokój wszystkiemu, a dopiero kiedyś powiedział, że tak nie możesz, dopiero wtedy radziłem wszystko postawić na kartę.

– Prawda, przypominam sobie... ale z tymi waszymi radami to jest tak: cokolwiek mi który z was powie, to ja już sam pierwej wiedziałem i jeszcze zawsze na końcu nie wiem, co właściwie uczynić należy.

- Bo nie trzeba się radzić wielu, tylko jednego, albo, co najlepiej, nikogo.
- I to racja, ale zawsze jeszcze nie ta, dla której nie wiem, co robić.
- A któraż jest ta?
- Ta, że się boję wszystko postawić na kartę, bo przegrać nietrudno.
- Ba! a ty byś chciał grać i mieć pewność wygranej?
- Nie o to idzie, tylko o to, że tu by mi grać przyszło nie tylko o swoje szczęście albo nieszczęście, ale i o szczęście drugiej osoby. Zresztą, prawdę powiedzieć, obawiam się dawać pierwszy krok na jakiejś drodze stanowczej, bo dawszy go, trudno zgadnąć, gdzie i jak daleko się zajdzie. Wiem to z doświadczenia moich sąsiadów, którzy, będąc w tym położeniu, pozachodzili na takie drogi, na których znaleźć się kiedykolwiek nigdy się przedtem nie spodziewali. Pan Chojnacki kilkunastoletnią sławę swoją zagubił przez romans i kto wie jeszcze na czym się to zakończy. Pan Fredro lat dwadzieścia tułał się za granicą pomiędzy cudzoziemskie narody dla jakiejś Włoszki, z którą się nigdy nie ożenił...
- Pan Fredro? jaki pan Fredro?
- Podstoli pomorski, dziedzic Hoczwi, Łobozwi i innych wiosek.
- Jak to? to on tu mieszka w tych okolicach?
- Małą milę ode mnie. Czy waszmość znasz pana Fredra?
- Czy ja go znam? o, i jak jeszcze! byliśmy razem we Włoszech, rok siedzieliśmy w Neapolu, sekundowałem mu w kilku pojedynkach o też samą Włoszkę, o której mówisz, odprawionych; biłem się nawet za niego z Angielczykiem na szpady, kiedy był chory i stawić się nie mógł... Boże! Boże! gdzie to te czasy! – mówił w zamyśleniu Murdelio – byłem jeszcze pełen życia, pełen nadziei! Bardzo by mnie przyjemnie było widzieć się z panem Fredrem.
- Nic łatwiejszego – odpowiedziałem – za godzinę tam być możemy. Dziś niedziela, pewnie będzie u siebie.
- Dobrze! – zawołał mnich, ale w tejże chwili odparł – ale nie; nie! jakżeż? w habicie? nie, nigdy – i począł przechodzić się wielkim krokiem po izbie. Jednakże wkrótce, przystąpiwszy do mnie do łóżka, rzekł:
- Albo wiesz co, zdadzą się twoje suknie na mnie?
- Czemu nie? – rzekłem – wszakżem mało co mniejszy od waszeci.
- No to dobrze, zrobię sobie tę krotchwilę; ale dasz mnie parol kawalerski, że nikomu ani słowa nie wspomnisz o tym, że ja teraz w klasztorze.
- Ale ani mruknię.
- No, pamiętaj, bo złamanie mnie słowa to gardłem pachnie.
- Nie dlatego, że gardłem pachnie – odpowiedziałem – ale z natury rzeczy słowa nigdy nie łamię. Ale niechże wiem, ktoś jest za jeden w samej istocie?
- Jestem Piotrowicz, herbu Murdelio, obywatel od Oszmiany – rzekł mnich, przybierając postawę pańską i wyniosłą.
- Piotrowicz! – zawołałem, porywając się z łóżka – a toś ty...
- Cicho! nic o tym. Powiesz Fredrowi, żeś mnie zdybał w Lesku, gdzie przyjechał do wojewody wołyńskiego, nie zastałem go w domu, tyś zabrał tam ze mną znajomość, a żem znał twego ojca, żem krewny Mężykówny, pierwszej żony jego, przyjechałem do ciebie w gościnę.
- Dobrze, dobrze – odpowiedziałem – ale jeżeli tam będzie więcej szlachty?
- No to cóż z tego?
- To nic, prawda... ale misjonarz tam być może.
- Misjonarz? nie będzie go tam! – zawołał mocnym głosem Murdelio i dodał po chwili – a gdyby był, nie pozna mnie.
- Jak myślisz – odpowiedziałem na to; ale jeżeli mi się dotąd to i owo w wielkim nieładzie o tym człowieku kręciło po głowie, tom się już teraz obalamucił do reszty. Cóżkolwiek bądź,

nie czas było myśleć mi o tym. Zebrałem się, kazałem Węgrzynkowi otworzyć skrzynię jedną i drugą z sukniami, których miałem dosyć i swoich, i po ojcu, i przybrawszy Murdeliona w ubiór, jaki miałem najparadniejszy, wystroiłem tak mnicha, że jeno go było zaraz na senatorskie krzesło posadzić. I rzeczywiście, dziwnie wspaniała zrobiła się z niego figura. Jemu jednak w tych sukniach jakoś zdawało się być niewygodnie i podczas kiedy ja mu zrobiłem uwagę, że mu jeno wąsa brakuje do całkowitej przyzwoitości, rzekł mi:

– Nie brakuje, bo nie nosiłem go nigdy, ba, i kontusz brałem na siebie tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, toteż jakoś mi w nim nie na rękę. Nie masz jakiej sukni francuskiej?

– Uchowaj Boże! – rzekłem – nigdy żaden Nieczuja nie miał jej na swym grzbiecie!

– A nieprawda! – rzekł Murdelio – twój ojciec przecie służył w francuskim wojsku.

– No, to inna – odpowiedziałem – mój ojciec służył i w wojsku imperatorowej jejmości, ale i tu, i tam mundur tylko nosił, a nie suknie światowe, czyli cywilne. Tak sobie mówiąc, wsiedliśmy do kałamaszki i pojechali. O panu podstolim pomorskim miałem już nieraz sposobność wspominać. Był to kawaler znakomitego w Rzeczypospolitej rodu, około czterdziestu lat w wieku, wzrostem średni, chudy, ale kościsty, cokolwiek szpakowaty, zgrabny, ale ruchów powolnych, a w manierach pański i wyniosły. Za młodu, po powrocie swoim ze szkół z Warszawy i po śmierci swojego ojca, kiedy zasiadł gospodarować w Hoczwi i przyległej Łobozwi, mało po sąsiedztwach bywał, niewiele się szlachcie komunikował, a jeno z jw. Stadnickim i Bukowskim bliższe relacje miewał – znalazł był w zamku leskim, na którym jeszcze wtenczas jw. Stadnicka, po Stadnickim, wojewodzie wołyńskim, wdowa a matka dzisiejszej wojewodziny wołyńskiej, Ossolińskiej, mieszkała, niejaką Włoszkę, młodą i piękną, jak powiadano, z jakiejś znakomitej familii neapolitańskiej pochodzącą, którą jw. wojewodzina sama niegdy z Rzymu małym dziecięciem wywiozła i z wielkim respektem u siebie chowała. Do tej Włoszki zapaliło się serce podstolego, konkurował, chciał się żenić. Pani wojewodzina była bardzo za tym, Włoszka także, bo trudno było o lepszą partię dla sieroty; a lubo brat starszy podstolego, który wkrótce potem umarł, jego krewni i przyjaciele sprzeciwiali się temu, utrzymując, że się żeni z nieznaną osobą, że chociażby ród jej był nie wiedzieć jak znakomity, to skoro tylko jest włoski, już niewiele waży i łokciem a miarką trąci; jednak byłoby pewnie przyszło do tego, gdyby nie to nadzwyczajne zdarzenie, że wśród tych tergiwersacji nagle spadła jakaś wielka puścizna na Włoszkę, familia jej się tam gdzieś znalazła, przysłała kogoś tu po nią i na powrót do Italii zabrała. Wtedy pan Fredro, niewiele myśląc, dobra swoje dzierzawą puścił, naładował trzos dukatami i za swoją miłą popędził. Co się dalej działo, tego już nie wiem, to atoli było wiadomo wszystkim, że lat kilkanaście nie było go w kraju, po których przecie na koniec powrócił, w Hoczwi na nowo osiadł, ale odtąd mniej się jeszcze komunikował sąsiadom, tylko czarny kolor zawsze na sobie nosił, gości rad u siebie przyjmował, pił z nimi wiele, bił się w pałasze, harce na koniach wyprawiał, a kiedy się upił, to kpał burą szlachtę, która na to pozwoliła, i konie jej darowywał, które, były u niego tureckie i dziwnie piękną miały figurę. Podczas wojny konfederackiej poszedł był zrazu w pole, ale potem tę zabawkę porzucił i resztę rozruchów prawie nieprzerwanie przesiedział w Warszawie; po wejściu zaś cesarskich do tego kraju, znów w Hoczwi osiadł, czasem na zamku leskim bywał, ale zresztą w domu siedział, konwersując z najbliższym sąsiadem swoim, panem Balem, kasztelanikiem sanockim a Średniej Wsi właścicielem, i pana Osuchowskiego młodego, cześnikowicza bielskiego, za przyjaciela sobie mając. Zresztą, jako rzekłem, kogo mu Pan Bóg w dom przyniósł, tego rad przyjął, ale sam rzadko nawiedzał kogo, chyba by to aż polowanie, i to wielkie, potrafiło go gdzie wyciągnąć.

Kiedyśmy dla złych i marcowym powietrzem rozwilżonych dróg góralskich ledwie koło południa przyjechali do Hoczwi, gdzie jeszcze wtedy stał stary, piętrowy i niegdy obronny zamek nad rzeką Hoczewką, to lubo ledwie co się była suma skończyła w kościele, jużśmy

zastali karuzel w dziedzińcu. Pan Bal na kasztanowym ogierze, pan Urbański na siwym niewielkim turczynku sadzili jeden za drugim przez płot otarniony do ogrodu i z ogrodu na powrót w dziedziniec. Pod ścianą koło ganku stały jeszcze dwa konie osiodłane i przez kozaków trzymane, a w samym ganku stał sam pan podstoli, i to rozmawiał co z Osuchowskim obok siebie stojącym, to wołał, coś wielkim głosem do jeźdźców.

– Kogóż to mi przywozisz, mospanie Mieczują? – zapytał p. Fredro, kiedyśmy zajechali przed ganek.

– Poznajże sobie jw. pan sam, bo to dawny znajomy – odpowiedziałem, wyłaząc z kałamaszki.

– *Corpo di Bacco!*¹³⁵ to być nie może! – zawołał znowu pan Fredro, przypatrując się z bliska Murdelionowi, który zaraz rzeki:

– I może być, i jest w samej rzeczy.

– Piotrowicz! jak mnie Bóg miły, Piotrowicz!

– *Comment vous va, mon cher?*¹³⁶ – rzekł tenże, wchodząc po schodach na ganek i podając rękę gospodarzowi.

– *Tout à fait comme vous*¹³⁷, bo słyszałem o twoich Sukcesach – poderwał podstoli – a! niech ich diabeł porwie... no, ale skądże się nagle aż tutaj wzięłeś?

– Nie spodziewałeś się nigdy? co?

– *Jamais*¹³⁸, pierwej śmierci... ale proszę cię... – i wziął go pan podstoli pod ramię, a usiadłszy obadwa w kącie ganku, tak zaczęli kłapać ze sobą po francusku, że pytel młyński przy ich gębach byłby się wydał tylko dzwonem zwiastującym pożar na dalekim przedmieściu. Jednakże długo tak trwać nie mogło, bo to był marzec i działo się to w sanockich górach, gdzie o tej porze i pytel by zamarzał, i dzwon by skamieniał od samego zimna i wichru, który dał korytem Hoczewki jak orkan morski. Niebawem też i jeźdźce nasi pozsiadali z koni i przyznawszy sobie, że oba są lepsi, nie dosiadali już świeżych koni, tylko przyszli w ganek i witali się z nami. Więc i tamci panowie musieli powstać i resztę już puścić na polską manierę, zwłaszcza że pan Urbański ani w ząb po francusku; wypadło też pójść do sali, która była na dole i ze swymi marmurowymi drzwiami i futrynami u okien, jako też i inną sztukaterią i malaturą bardzo wyglądała wspaniale; owoż wszedłszy tam wypadało dla rozegrzania się gorzałki się napić, cośmy też zaraz, nie czekając, uczynili. Wypiwszy ową gorzałkę, kiedy kolej szła dalej, przystąpił do mnie pan Urbański i rzecze z cicha, wskazując na Murdeliona:

– Co to za figura?

– Gruby szlachcic od Oszmiany – odpowiedziałem.

– A jakże mu na imię?

– Piotrowicz.

– O, gruby! – odpowiedział Urbański na to – u mnie jest wyrostek Piotrowicz i biję go co dzień w gębę, bo ladaco.

– Cóż to ma jedno do drugiego? tego waszmość przez to nie uderzysz. – Na to on:

– Nie powiadaj dwa razy, bo to niewielka sztuka.

– Sztuka niewielka – rzekłem – bo i chłop to potrafi... ale grzecznym być wszędzie i zawsze, to sztuka.

– Co tam grzecznym! – zawoła pan Urbański. – Przeciem ja tu gospodarz.

– O cóż to idzie waszmości? – rzekłem mu na to – że ci się jmc pan Piotrowicz nie prezentował? wiedzże tedy o tym, że to już nie ta moda na świecie, co dawniej. Czy kto

¹³⁵ *Corpo di Bacco!* (wł.) – Na Bachusa!

¹³⁶ *Comment...* (fr.) poprawnie: *Comment allez-vous...* – Jak ci się powodzi, mój drogi?

¹³⁷ *Tout à fait...* (fr.) – Zupełnie tak samo, jak tobie.

¹³⁸ *Jamais* (fr.) – Nigdy.

młodszy, czy starszy, czy kto z tego lub owego powiatu, na to się nie uważa, a gospodarzem jest tylko ten, czyj jest dom i gościna.

– Co ty mi gadasz o modzie! nigdzie tego nie ma na świecie, żeby kto gdzie przyjeżdżał ze swoim prawem, jeno każdy do prawa, a u nas jest takie prawo, że się każdy obcy opowiada całej kompanii.

– To już znów wina pana Fredra, bo jako gospodarz powinien był swego gościa oznajomić z prawem, jakie obserwują w tej ziemi.

– No, no, z waszymi modami! jeszcze przyjdzie czas, że wam głów przemądrych nie stanie na ich wymyślanie... – rzekł pan Urbański i odszedł, mrużąc sobie pod nosem.

Tymczasem dano obiad. Zasiedliśmy. Niestety chciało, że miejsce Murdelionowi wypadło tuż koło Urbańskiego. Zrazu nic – jemy, pijemy, rozmawiamy; Murdelio opowiada różne cudzoziemskie historie, bywał długo w Paryżu, bywał na wielkich dworach, ba, nawet i na królewskich pokojach prezentować się nierządka rzecz była u niego, miał też co opowiadać. Ale że to już taką miał wadę z natury, że się zawsze do jednej osoby obracał i często zapytania wrzucał w swoją orację, więc co się do którego z nas zwróci i pytanie jakie uczyni, to my odpowiadamy; ale pan Urbański zawsze się w tym razie odwraca i zaczyna co mówić do drugiego sąsiada albo zgoła pomrukuje sobie pod nosem. I kto znał Urbańskiego, temu widoczna już była, że tylko małej okazji mu trzeba, aby wyjechał gwałtownie na Murdeliona, krew bowiem u niego bywała jak ukrop, chociaż zresztą baranek i serce u niego jak воск. Tedyż jeszcze przy zupie, przy sztukamięsie, przy jarzynie nic, jako tako; ale przy pieczystym, kiedy to poczną gęsto krażyć kielichy, a nalewają je winem szampańskim, co to się burzy i pieni już w kielichu, a nie dopiero w człowieku, zagadawszy Murdelio znów coś do pana Urbańskiego i widząc go znowu zachmurzonego i odwracającego się, rzecze na głos do pana Fredra:

– Czego ten szlachcic się tak na mnie buńdiuczy?

– A bodaj cię zabito! – krzyknie zaraz na to pan Urbański, zrywając się z krzesła i cale powstając od stołu – to najeżdżasz na cudzą ziemię, nikomu się nie powiadasz, po zamorsku szczekasz uczciwej szlachcie w oczy i jeszcze się dziwisz, że się kto na ciebie buńdiuczy! tfu! myśli, że twarz jak Niemiec wygolił i że trochę paple tą zamorszczyzną, to mu już wolno poniewierać wszystkimi! bodaj was powybijano do nogi! – To rzekłszy, wziął krzesło i przesiadł się koło Bala, na drugą stronę stołu. Murdelio się patrzył na rozgniewanego Urbańskiego i obydwoma rękami o stół oparty, słuchał i śmiał się, a potem rzekł do gospodarza:

– Kapitalny szlachcic, jak mi Bóg miły! Pan Fredro także się roześmiał, ale powiedział zaraz:

– A! zapomniałem waszmościów zaprezentować: pan Urbański, pan Piotrowicz.

Rzecz ta tymczasem zdawała się upadać, ba! nawet na stronę pana Urbańskiego się walić, który to uczył, lecz milczał i sapał tylko. Murdelio także milczał, ale widoczna było, że gwałt sobie czyni, bo wargi przygryzał aż do krwi i szczerwieniał na twarzy jak burak. Śród tego czasu pan Fredro kilka razy coś mówić począł, ale nikt mu nie odpowiadał. Wszyscy milczeli. Co trwało z pół *Zdrowaś Maria*. Ale kiedy pan Urbański jeszcze raz spojrział pochmurnie spod oka i fuknął przed siebie, wtedy Murdelio zaczerwienił się mocno od razu, nalał sobie szklanekę wina, wypił ją duszkiem i mówiąc:

– Nie, nie można! gdzie moja szabla? – porwał się od stołu i prędkim krokiem poszedł do kąta. Zerwał się i Urbański i pobiegł także za swoją szablą z wielkim pośpiechem. Gospodarz ani się ruszył od stołu, ale ja poskoczyłem i pochwycając Murdeliona, zawołałem:

– Za pozwoleniem! ja nie dozwolę tego! ja tu waszmości przywiozłem, ja za jego honor stanę do sprawy.

Ale nie było o czym mówić; Murdelio, kipiący cały i trzęsący się jak galareta, porwał mnie prawą ręką za kołnierz i odrzucił od siebie jak czapkę, wołając do Urbańskiego:

– Dobądź szabli i stawaj, bo rozetnę na dwoje! Nic nie przesadzę, jeżeli powiem, że nigdy nic podobnego na życiu nie widział, jak złość Murdeliona, a bywało się już przy różnych okazjach i zaglądało się już różnym diabłom dość z bliska w oczy. Trząśnięty on cały, jak liść pośród burzy, twarz nabiegła krwią tak dalece, że nie była czerwoną, lecz czarną jak sadza, usta mu się zapieniły jak dzikiej bestii, oczy powiększyły w czwórmasób, zaokrągliły, jak dwa kieszonkowe zegary, i kręciły się w powiekach jak dwa koła u wozu. Dość powiedzieć, całkiem obojętny tej sprawie, ja zbladłem jak trup i krew we mnie zastygła, widziałem już na katafalku pana Urbańskiego. Przeraziło to wszystkich; pan Urbański z kasztelanicem skoczyli do drugiego pokoju; pan Fredro, który był tak zimny zwyczajnie, że dla krotchwili bijał się w gołe pałasze, zerwał się z krzesła i porwał za jakąś serpentynę, pan Osuchowski się stołkiem zastawił. Tymczasem tamci już stali na placu. Co widząc Murdelio wskoczył zaraz do drugiego pokoju i bez żadnego gadania, bez sekundanta postawił się twarzą w twarz adwersarzowi. Wszystko się działo, jak orzech zgryzł. Więc pan Bal zaraz woła:

– Panie Marcinie, stawaj z tamtej strony! Wbiegłem, ale tu już krzyczy Murdelio:

– Zastaw się! – i w tymże momencie uderzył na Urbańskiego

Mam to przekonanie, lubo tego nikt dojrzeć nie mógł, że Urbański, skonfundowany tą niespodziewaną swego adwersarza gwałtownością, ba, zgoła wściekłością, ani miał do tego dość czasu, ani się rzeczywiście zastawił, ale już było za późno. Leżał on już srodze cięty przez całą głowę i z przerąbanym ciałem pomiędzy lewym ramieniem a szyją, aż do samego obojczyka. Krew się z niego lała jak z beczki, odszedł od przytomności. Obstąpiliśmy go, nalali w nos mocnej gorzałki, obłożyli rany śniegiem i lodem, a kiedy krew ustała i rany trochę pokrzepły, przenieśliśmy go na dywanie na górę do spokojnej izby; tymczasem zaś posłano pędem po felczera do Leska. Ale Murdelio w tym wszystkim nie brał żadnego udziału. Po bitwie obtarł pałasz ze krwi, schował go w pochwę i z krwią najzimniejszą, jak gdyby nic nigdy nie było, siadł z panem Fredrem na powrót do stołu, gdzie obadwaj, nową odkorkowawszy butelkę, nową też po francusku zaczęli rozmowę. My zaś tutaj poramy się z panem Urbańskim.

Kiedyśmy go już na górę wynieśli i przystojnie złożyli na łóżku, przystępuje do mnie pan Bal i rzecze srogim głosem:

– Kogo to waszmość przywiozłeś w dom pana Fredra?

– Nie mnie o to pytaj – odpowiedziałem rozdrażniony tym, co się stało – bom ja zdybał tego szlachcica w Lesku, dokąd dla odwiedzenia wojewody przyjechał, a że znał mego ojca, a nawet był powinowatym przez Mężykównę, tom go zaprosił do siebie i tu przywiozł za jego wolą; zresztą go nie znam, ale kiedy chcesz o nim co wiedzieć, to pytaj raczej samego gospodarza, który jeszcze przed laty żył z nim we Włoszech i jest z nim w przyjaźni.

– No, no – rzecze pan Bal – diabeł to sam jest *in persona*¹³⁹, ale nie szlachcic, Iskierski, a nie Piotrowicz.

– Ot, pleciesz waszmość trzy po trzy. – Na to on znowu:

– Ale co ty mnie gadasz! Znałem ja ludzi tysiące i Polaków, i Niemców, i Włochów, ale takiego anim jednego nie widział. To diabeł jest.

– Cóż tobie? – rzekłem – przecie nocował dziś u mnie i nic mi złego nie zrobił.

– Jeszcze czas na to; to diabeł jest. Widziałeś ty jego oczy? widziałeś, jak szczyrwieńcał cały, kiedy szabłę wziął w rękę?... a jaki strach po nas poszedł, kiedy ryknął: „Dobytaj szabli!” – Mnie, jak Pana Boga kocham, i nie wstydzę się tego powiedzieć, aż się wszystkić wnętrzości wtedy zatrzęsły, a włosy kołkiem stanęły, to czułem. A przecież to nie nowina mi widzieć człowieka ze szabłą, przecież się sam biłem tyle razy w pałasze, a podczas wojny! jednak nigdy tego strachu nie czułem, co teraz, lubo nawet nie mnie się ta sprawa tyczyła.

¹³⁹ *in persona* (fr.) – we własnej osobie

Albo to znowu: za jednym cięciem dwie rany i obiedwie takie głębokie i tak oddalone od siebie? toż to ludzka potencja?

– Musiało być dwa cięcia, panie bracie.

– Ale jedno, przysięgnę, że jedno; widziałem na własne oczy.

– To się szabla zsunęła, a to się nie trafia?

– A ucho? toż by był w takim razie ucho zaczepił – zarzucił mi pan Bal.

– Ot, przewiduje ci się – odpowiedziałem – już tu cudu nie ma żadnego; odskoczyła szabla od twardej głowy i ucho minęła, a na ramię upadła.

– I to nie może być, bo w tym wypadku rana w ramieniu nie byłaby tak głęboka, a tu ledwie że aż obojczyk nie jest przecięty.

– Ale ma rację pan Bal – odezwał się słabym głosem pan Urbański – coś nieludzkiego jest w tym człowieku. Nigdy mnie jeszcze od nikogo tak nie odrzuciło od razu, jak od niego, a także już ludzi widywałem niemało. I w rzeczy, to to była właściwa przyczyna, dla której nie chciałem mówić do niego i porwałem się był od stołu, bo na koniec co by mnie tam szkodziło, że się błazen jakiś nie opowiada?

– Nie mów, nie mów – rzecze do niego kasztelan – bo ci to szkodzi.

– Już tam mówcie sobie, co chcecie – rzekłem ja znowu – ale ja tu diabła nie widzę. – Na to znowu pan Bal:

– Bo cię już otumaniał, a my, ludzie świeży, to widzimy wszystko. Bo zresztą i to: gęba ogolona przy kontuszu i żupanie, co nigdy nie bywa; nosiło go gdzieś po świecie, po Francji, po Niemczech, po Włochach, na królewskich dworach się prezentował! cóż to? magnat on jest jaki czy książę, czy duk?¹⁴⁰ Kaduk¹⁴¹, mospanie, kaduk, i założę się z tobą, że go ani pacierz mówiącego obaczysz, ani kładącego krzyż święty, ani jakkolwiek rzecz chrześcijańską czyniącego, a gdyby przyszło się bliżej popatrzeć, to ręczę, że się tam ogon i pazury wynajdą.

Zaświerzbiał mnie język powiedzieć, że to jest mnich w rzeczy, że mieszka na miejscu świętym i że gęściej Panu Bogu służy niż każdy

z nas, i byłbym tym od razu pokonał podejrzenie tych ichmościów o diabelstwo; ale pamiętny Murdeliona pogróżki, rzekłem tylko:

– Nie oglądałem go z bliska i nie wiem, czy ma jakie znaki diabelskie na sobie, czy nie, ale jechałem z nim na jednym wozie i nic takiego mi w oczy nie wpadło. Zresztą, to mogę waszmościom powiedzieć... – i zaciąłem się, bo chciałem to na poparcie mojego zdania przytoczyć, że Murdelio zeszedł się u mnie z misjonarzem księdzem i całe się tak zachował jak inny człowiek, ale nie mogłem im tego powiedzieć, bo gdyby się kiedy później misjonarza o to spytali, toby się bałamuctwo zrobiło, kiedy on właściwie żadnego szlachcica Piotrowicza u mnie nie widział. To mi atoli przyprowadziło na myśl misjonarza; wszakże miał w Hoczwi być ze mszą, miał się widzieć z Urbańskim i Osuchowskim, miał konferować z nimi i inną szlachtą w materii wybudowania kościółka w jakiejś wsi w górach – byli tutaj, czy nie był? – Rzeknę tedy do Bala:

– Waszmość byliście na mszy świętej tu dzisiaj?

– Byliśmy.

– Któż ją miał?

– Proboszcz tutejszy.

– A kazanie?

– Nie było żadnego kazania – odpowiedział Osuchowski – miał je mieć ten misjonarz św. Wincentego a Paulo, który tu był przeszłej jesieni, a którego przecież znasz także, ale nie starczył się w słowie.

– Jak to? nie przyjechał tu rano? – zapytałem zdziwiony.

– Nie, albo czemu cię to tak dziwi? – Tedy już musiałem powiedzieć:

¹⁴⁰ duk (fr.) – książę, pan.

¹⁴¹ kaduk – tu: diabeł.

– Bo ten misjonarz był u mnie wczoraj wieczór, nocował i dzisiaj przed świtem tutaj wyjechał.

– Jak to! – zawołał pan Bal – przed świtem wyjechał i nie ma go do tej chwili? a wy żeście kiedy wyjechali?

– Około dziewiątej.

– No, to nie diabłaż ty wozisz ze sobą?

Mróz po mnie poszedł od pięt aż do karku, lubo właściwie i to jeszcze nic nie znaczyło, ale nie miałem już czego tam dosiadywać pomiędzy nimi; jednym słowem mogło się wszystko wydać, nie to, że Murdelio był diabeł, bo takiej rzeczy wiary dawać nie mogłem, ale to, że jest mnichem, czego nie zdradzać obowiązałem się słowem. Wyszędłem więc stamtąd. W sieni atoli zaraz mnie łapie Węgrzynek:

– Co tam?

– Nieszczęście, panie.

– Jakież? mów prędko.

– Tego księdza, co u nas był wczoraj, coś strąciło z wozem i z końmi ze skały w Myczkowcach.

– Wszelki duch chwali Pana Boga!... i zabił się?

– Nie, ale srodze stłuczony.

– A toż on jechał na Myczkowce, nie na Berezkę?

– Na Myczkowce, panie.

– Jakże wiesz o tym wszystkim?”

– Przecie przywieźli go tu na plebanię.

– Jest tutaj? – zawołałem i pobiegłem co tchu na plebanię. Koło kościoła po prawej stronie od wschodu stał domek niewielki drewniany, w którym mieszkał proboszcz hoczewski, starzec siwowłosy, kilkudziesięcioletni. Ze dworu do tego domku było kilkaset kroków, przebiegłem je jednak, żem ani spostrzegł się, kiedy – i wystraszony cały tym niespodziewanym nieszczęściem tak szanownego męża, byłbym z równym impetem wpadł i do izby, gdyby nie to, że nic nie widząc śród pośpiechu i zmroku, potknąłem się zaraz na pierwszym schodzie i jak długi grzmotnąłem sobą do sieni. Na ten rumor wyszedł pleban staruszek ze świecą w ręku, mówiąc statecznie:

– Co tu za hałas robicie? czy nie wiecie, że chory jest w domu?

– To ja, mości dobrodzieju – rzekłem wstawając z podłogi – przez pośpiech upadłem i takiego narobiłem hałasu.

– Któż to? – zapytał ksiądz, przyświecając mi łójówką do oczu.

– Ja, księżu proboszczu.

– Imć pan Nieczuja? a to chwała Bogu. Właśnie ksiądz misjonarz, dowiedziawszy się, że waszmość jesteś na zamku, żądał, aby tu zaprosić waszmości.

Z tym weszliśmy do pomieszkania.

Więc zaraz w pierwszej izbie w rogu, na ubogim tapczanie, na którym tylko słoma wytartym kilimkiem przykryta, leżał wybladły i cale do siebie niepodobny misjonarz. Twarz mu się przeciągnęła, oczy, tak pełne ognia, przygasły i przez połowę się zwarły, włosy się poburzyły, ręce obwisły. Przystąpiwszy więc cicho na palcach do tego łoża, stanąłem i patrząc ze szczerym żalem, milczałem.

– Jak to dobrze – rzekł on do mnie słabym głosem, który prawie przemocą wydobywał ze siebie – że waszmość tu przyjechałeś.

– Boże! – rzekłem – cóż to jest za nieszczęście!

– Nieszczęście – odpowiedział misjonarz.

– Cóż waszmości jest? – spytałem.

– Stłuczony – odpowiedział ksiądz znowu.

– Czemuż sobie co na to nie radzisz? jeżeli ran nie ma, to trzeba się wysmarować mydłem i spirytusem.

– Nie ma.

– Nie ma ran, więc smarować.

– Nie ma.

– Jak to? spirytusu nie ma?

– Nie ma – odpowiedział misjonarz przeciągle i poprawiając się trochę, dodał: – ja miałem kilka groszy i te mi się wysypały przy tym nieszczęściu, a księdza zastałem bez grosza.

– O biedniż wy, słudzy Boży! – zawołałem, dobywając kalety i oddając ją plebanowi – aż się serce kraje, jak mi Bóg miły! Ci, którzy we dnie i w nocy służą Panu Bogu i bliźnim swoim...

– Nie bluźnij – przerwał mi misjonarz. Urwałem więc tamto, a natomiast spytałem:

– No, ale powiedzże mi, waszmość, jak się to stało?

– Opóźniłem się trochę – odparł przeciągając chory – dzień już był, kiedym wyjeżdżał. Wyjechawszy na skałkę, nie wiem, co się tam stało, bo tam droga szeroka i gładka, ja też o nią bezpieczny, mówiłem modlitwy poranne i na nic nie uważałem; nagle wóz się wywrócił z impetem i wszystko upadło w przepaść do Sanu. Wóz poszedł na kawałki, konie obadwa się pozabijały, chłopu nic, a jam się srodze potłukł, bo to bardzo wysoko.

– Boże! Boże! cóż chłop powiada?

– Chłop powiada, że coś wóz podważyło i zrzuciło na dół, i koniecznie to utrzymuje, mówiąc, że choćby był i wywrócił, to jeszcze daleko było do brzegu. Ale to tylko ekskuza¹⁴²: jechał samym brzegiem, nie uważał na koła i albo brzeg się usunął, albo zgoła wywrócił.

– A kiedy to się stało?

– Ja nie wiem, bo mnie ledwie za dwie godziny stamtąd wynieśli, ale popatrz na mój zegarek, stanął, to pewnie o tej samej godzinie.

Popatrzyłem na zegarek, stał istotnie i pokazywał pół do dziewiątej.

– Dziwna rzecz! – rzekłem do siebie, była to bowiem właśnie ta chwila, w której Murdelio decydował się ze mną jechać do Hoczwi, a kiedy sobie przypomniałem, że właśnie wtedy mówił z taką pewnością, że misjonarza w Hoczwi nie będzie! – jakoż i to, co pan Bal utrzymywał koniecznie, to znowu mróz poszedł po mnie i lubo nie mogłem temu w żaden sposób dać wiary, żeby duch taki *in persona* mógł chodzić po ziemi, to jednak w kącik poszedłszy, przeżegnałem się skrycie. Krzyż święty nie wadzi. Po czym usiadłem koło chorego i pocieszałem biedaka, jak mogłem, co mi o tyle łatwiej przychodziło, ile że do zamku i tak lada chwila miał przybyć felczer 2 Leska, a może i nadworny lekarz wojewody, Gondoni. Po dopełnionym tym obowiązku chrześcijańskim, posiedziawszy jeszcze z jakie pół godziny przy chorym i bywszy przytomnym wysmarowaniu go mydłem i spirytusem, powróciłem do zamku na górę do drugiego chorego.

Pan Urbański miał się w tej chwili cokolwiek gorzej, jak to zwykle bywa u rannych, kiedy gorączka przychodzi. Wszakże nie było żadnego niebezpieczeństwa. Felczer już siedział przy chorym i zapewniał, że dobrze jest, a można mu było wierzyć na pewno, bo felczer w Sanockiem miewał naówczas daleko więcej praktyki i doświadczenia niżeli na wojnie. Nie było tygodnia, w którym by kilka kres nie zaszywał. Jednakże pan Bal, który już sam parę razy na samym sobie o zdadności tego felczera przekonania się miał sposobność, nie wierzył temu i w ustawicznej był o chorego obawie, co wciąż dawał do poznania różnymi gestami. Wziął mnie nawet na koniec na stronę i najwyraźniej powiedział:

– Nie będzie już nic z Urbańskiego.

¹⁴² ekskuza (fr.) – tu: wymówka.

– Co waszmość mówisz! – odpowiedziałem – nie dziwiłbym się komu innemu, ale ty, który sam trzy razy gęsciej raniony byłeś pod Chyrowem, który zresztą i w pojedynkach niemało już ran odniosłeś, jakże możesz mówić co podobnego? – On też na to:

– To prawda, ale to inna rzecz była.

– Czemu inna?

– Co innego rana od szlachcica albo zgoła od żołnierza, a co innego od... Panie Boże odpuść!

– W imię Ojca i Syna... nie może to być.

– A ja ci powiadam, że może. Szkoda, że to nie pora ci opowiedzieć, jako ja sam, jak mnie widzisz, zdybałem się z nim i na własne oczy jego widziałem; ale, ot, właśnie Urbański powiada, że to już drugi raz w. życiu z nim się spotyka.

– Kiedyż się spotkał po raz pierwszy?

– Na polowaniu. Jawił mu się w postaci odyńca, jego samego poranił, psiarczyka mu rozdarł na dwoje, a potem wylazł ze świni, przybrał własną swą postać, pokłonił się, zaśmiał się, aż cały las zdrzął, i smołą się rozlał na miejscu. Sam to Urbański powiada, dodając, że tamtemu właśnie tak oczy latały, jak temu; zresztą, śmiech ów kilka wsi okolicznych słyszało, a smołę na tym miejscu wszyscy widzieli, którzy na tym polowaniu byli. Ot! pytaj Osuchowskiego.

– Tak, tak, panie bracie – odezwał się w tej chwili Osuchowski – ja sam to widziałem.

– No! – rzekłem – to już rzecz dziwna, bo ja także coś się po świecie najeździłem i w różnych miejscach nabywałem, a krom tego – że mi raz podczas wojny w jednym zamku w Lubelskiem cały zamek w nocy zniknął sprzed oczu, tak że położywszy się wieczór w komnacie, znalazłem się rano na szczerym polu, i powiadano mi, że w tej okolicy cale żadnego zamku nawet nie było; krom tego, mówię, co tam Pan Bóg wie, czyją siłą się stało, nic mi się podobnego nie wydarzyło.

– Owóż przysła teraz kolej i na ciebie – rzecze pan Bal.

– Ej! śmieję się ja z tego, panie bracie; nie zjadł mnie diabeł ziemski, nie zje mnie i podziemny! – Na to znowu pan Bal:

– Kiedy się tak nie boisz, to chwała Bogu; ale zawsze o to cię proszę, wywieź stąd tego Piotrowicza, bo pan Urbański nie doczeka i rana.

– Śmieszna rzecz – rzekłem – co to ma jedno do drugiego?

– Ale ma, gardło daję; wywieź stąd Piotrowicza.

– Panie bracie – rzekłem tedy – żeby to, chowaj Boże, diabeł był i pana Urbańskiego z kretesem zgubić chciał, to byłby tylko dmuchnął na niego i jak świecę zgasił, ale nie bawiłby się tak, żeby go ranił, a potem te rany pogorszał.

– A! nie miał mocy do tego! – odpowiedział Osuchowski. – Ho, ho! panie bracie! żeby on ludzi tak gubić mógł, toby on już cały świat zgubił, który mu solą jest w oku; ale nie ma mocy do tego. Szkodzić tylko może i kusić, i zawsze to robi.

– Ba, i to jeszcze dodać – rzekł kasztelan – że choćby i tak od razu zgubić mógł, toby jeszcze żadnego tak nie zgubił, bo przecie męka ludzka to największa krotchwila dla niego. Ale, bądź co bądź, wywieź go stąd.

– Ale wywiozę, wywiozę, jeżeli tylko się da.

– Idź i rób, co chcesz, a koniecznie go wywieź, bo zgubisz człowieka.

Trudna była rada, zebrałem się i wyszedłem.

Tymczasem kiedy misjonarz ledwie oddychał, nieborak, z bólu na plebanii i smarował się spirytusem i mydłem, pan Urbański zaś piekł się w gorączce, złemu duchowi przypisując swoją niedolę, gospodarz hoczewskiego zamku z moim mniemanym diabłem byli sobie wesołej myśli. Jak po zranieniu Urbańskiego zasiedli do nie skończonego obiadu, takem ich teraz, lubo ciemny był wieczór, zastał na tymże samym miejscu. Prócz świec kilku

woskowych gorejących na stole i kilku nowo wypróżnionych butelek pod stołem, a chmur dymu tytoniowego w powietrzu, nie znalazłem żadnej w tej izbie odmiany.

Kiedym wszedł, rzecze do mnie pan Fredro:

– No i cóż tam pan Urbański?

– Gorączkę ma, ale, da Pan Bóg, zdrów będzie.

– Co by mii było! – odezwie się na to Murdelio – szlachecki łeb twardy, nie pryśnie tak od pałasza, jak garnek.

– Chwalaż Bogu – rzekłem – bo już teraz byłby się targował z świętym Piotrem o wnijsicie.

– Albo tańcował z diabłami po piekle. Szlachcic to jakiś niedobry, widzi mi się – rzekł surowym głosem Murdelio. Ja też zaraz na to:

– A przepraszam! jest to jeden z najgodniejszych obywateli tej ziemi.

– Ot, gadasz! – rzecze na to pan Fredro – szlachcic taki sam, jak i drugi; jest was sto tysięcy czy wiele tam, bo już nie wiem, ale wszystko jednego gniazda, rodem kurki czubate.

– Jest nas milion, rachując lekko – odpowiedziałem – nie sto

tysięcy; ale to zresztą prawda: szlachta wszystka do siebie podobna, bo inaczej nie byłiby zakonem takim, jakim są i jakim im Pan Bóg być przykazał; ale zawsze pomiędzy człowiekiem a człowiekiem jest pewna różnica. – Na to on znowu:

– Ale, mój Nieczuja, nie gadajże takich rzeczy, bo to nieprawda. Ja się założę z tobą, że czy któren z was od Oszmiany, czy od Żuław, czy od Kudaku, kubek w kubek jednaki. Są pewne rzeczy, które każdy z was zrobi, są inne, których żaden nie zrobi.

– Ale, mój Fredro! – odpowiedziałem porywczo – nie traktuj-że znów całą szlachtę przez drugą osobę, bo kiedy już taki ma być każdy, jakimi wszystkich powiadasz, toż i czy który miał jednego senatora więcej czy mniej albo zgoła żadnego w rodzie, nie powinno to robić różnicy.

– O! nie tak! – poderwał Murdelio – co krew senatorska, to nie prosta szlachecka. Senatorowie także są szlachtą, ale mają się tak do ogółu jak pszenica wybrana do nie wybieranej.

– Chwalaż Bogu, że nie jak pszenica do owsa – poderwałem.

– Może i tak.

– Diabelska to mądrość – odpowiedziałem tedy. – Rozumiem ja to dobrze, że który szlachcic własną pracą i czynem sam się wyniesie nad innych, ten godzien tego, aby go wszyscy wynieśli; głupi by był Nieczuja, gdyby się Czarnieckiemu powiadał równym, głupi Piotrowicz, gdyby się miał za jedno z Zamojskim, głupi podstoli, gdyby się kładł obok kasztelana lwowskiego; dlatego też i senator dzisiejszy lepszy od niesenatora, bo pracuje więcej i na większym warsztacie dla kraju – ale żeby syn jego był w czym lepszy ode mnie, tego mi nikt nie dowiedzie.

– Dobry z ciebie orator – rzecze na to podstoli – gdybyś tak zagadał do małej szlachty przed sejmikiem, toby cię na rękach obnieśli; ale że tu małej szlachty nie ma... ej! co tam! ot, siadaj tu, masz szklanke, nalej sobie, pij i słuchaj. Bardzo ciekawe rzeczy opowiada Piotrowicz. No pijże! wino doskonałe, sam je muszę pochwalić; ja piję dzisiaj jak but dziurawy, ażeby mi choć zaszumiało. – Na to ja:

– Nie wiem – rzekłem – czyby nam już nie czas do domu, dalej i późno będzie.

– Cicho! – zawołał gospodarz – mój Piotrowicz, powiadajże dalej.

– Nie pamiętam już nawet, gdzie przestał.

– Bodaj ciebie, Nieczuja! pozbawiłeś mnie arcyciekawej historii, która mnie więcej obchodziła niż moja własna.

– Dlaczegoż już pozbawiłem, wszakże Piotrowicz może ją opowiedzieć z początku.

– Na cóż z początku? gdzie stanął? – zapytał Murdelio, popijając ogromną szklanke wina i zapalając lulkę, którą nigdzie indziej, ale tutaj palił zapamiętałe. Pan Fredro także

namiętnie lubił dym tytoniowy i tak go wiele używał, że kiedy szedł między damy, to aż się zagranicznymi wódkami polewać musiał; więc na odwrót Murdelionowi puścił chmurę dymu prosto do twarzy i rzekł:

– *Nici mia comu si fa?*¹⁴³

– A! – rzekł Murdelio, popijając znowu szklanicę, ale to tak nagle, że ani kiedykolwiek widział, żeby kto takie miał gardło – otóż lubo jej śpiewałem: *Pri un quardo in muriro*¹⁴⁴, to jednak tego tak nie rozumiałem i na tym się nie skończyło,

– Cha, cha, cha! to się rozumie! – zawołał pan podstoli.

– Z wielkimi tedy trudnościami i za wielkimi prośbami przyszło na koniec do tego, że jednego wieczora, kiedy mąż miał być na komedii i potem, jak mówiła, długo w noc po zwyczaju bawić się u swojej amantki, ja dostałem pozwolenie przyjścia ubocznymi od ogrodu drzwiczkami do jej gabinetu, jakoż i w rzeczy przysłała mi klucz od tych drzwiczek. Wyobraź sobie, z jaką niecierpliwością wyglądałem oznaczonej godziny. Bo to pół roku na tę duszę czekałem.

– Jak to na duszę? – zawołałem z przestraczem.

– E! co się odzywasz – rzecze pan Fredro – kiedy tego nie rozumiesz.

Murdelio opowiadał dalej, ale ja już oka z niego nie spuściłem i tak uważałem pilnie, że gdyby był po turecku mówił, a nie po polsku, tobym był przecież każde słowo spamiętał.

– Na koniec nadeszła przecie ta upragniona godzina. Wziąłem parę pistoletów małych do kieszeni, sztylet wsunąłem za rękaw i poszedłem. Otworzywszy drzwiczki własnoręcznie i wszedłszy do gabinetu, znalazłem ją stojącą przy stoliku pod oknem, z wlepionymi oczyma w otwierające się drzwiczki, ale drżącą jak liść i białą jak marmur. – Idź, idź, na miłość Boga! – wołała ona – mnie się zdaje, że on za chwilę nadejdzie. – Niech nadejdzie – odpowiedziałem – pomszczę się wtedy twojej krzywdy i tego srogiego ucisku, który już od roku znosić musisz od niego – i wydobywszy z kieszeni pistolety, pokazałem jej je. – Na Boga! – zawołała ona – to jest okropnie! – Ledwie co to wymówiła, tymiż samymi drzwiczkami, którymi ja wszedłem, a które zapomniałem zamknąć za sobą, wchodzi ogromne Włoszysko, czarny jak diabeł i ogromny jak diabeł. – Tuś mi! – krzyknie do mnie z roziskrzonymi oczyma – żyły będę pruć z ciebie, smażyć w oliwie wrzącej będę was oboje! – Nie będziesz – zawołałem, odskakując od niego na kilka kroków i wymierzywszy mu w łeb pistolet, wypaliłem. Skutek wiadomy, bo jak wiesz, nigdy nie chybiam. Czaszka Włocha rozbryzgnęła się w kilka części, a mózg z krwią pomieszany obryzgał marmury i kotarę na przeciwległej stronie. Wtedy... proszę cię, co to jest kobieta... wtedy ona ryknęła płaczem jak żubr w Białowieży i rzuciła się na ciało męża i zaczęła je ścisnąć i całować po rękach, i zawodzić na czym świat stoi. Szkoda, że nie było tam Petrarki albo jakiego innego poety, bo byłby to pięknie opisał i potem śpiewał łagodnym lazzaronom¹⁴⁵ na wąskich uliczkach.

– No i cóż potem? – zapytał podstoli.

– Potem rzecz już zwyczajna. Wziąłem trupa i wrzuciłem w stary rozwalony komin, który przypierał do bocznej galerii, a którego dół był zasypany gruzem i zarośnięty chwastami i bluszczem; ją zaś zostawiłem, aby się wypłakała. Na drugi dzień z południa za pomocą pieniędzy rozgłosiło się po Neapolu, że *conte*¹⁴⁶ się rozbił z łódką na morzu na drodze do Sorrento – rybacy, którzy się na deskach wyratowali od śmierci i szczęśliwie dobili do brzegu, zmoczeni jeszcze i śmiertelnie wybladli, dali znać o tym fatalnym wypadku żonie i zeznanie swoje potwierdzili sądownie. Żona przywdziała żałobę i za dwa tygodnie zjechała się ze mną we Florencji. Ale nudna baba, nie umiała się szanować...

– I cóż się z nią stało?

¹⁴³ *Nici mia...* (dialekt południowowłoski) – I jak to będzie, moja Nid?

¹⁴⁴ *Pri un...* (dialekt południowowłoski) – Za jedno spojrzenie poświęcę życie.

¹⁴⁵ *lazzaroni* (wł.) – żebracy, włóczędzy uliczni we Włoszech.

¹⁴⁶ *conte* (wł.) – hrabia.

- Porzuciłem ją, a właściwie uciekła ode mnie z jakimś Grekiem do Stambułu.
- Cha, cha, cha! – zaśmiał się pan podstoli – tak to, tak to kobiety!
- Murdelio tylko zgrzytnął zębami i zawołał:
- Wszystkie bym je wygubił.
- Prócz jednej – dodał na to podstoli.
- Dzisiaj jeszcze prócz jednej – odpowiedział Murdelio – ale tę niebawem może sam zgubię.
- Hej! – krzyknie tedy podstoli do wchodzącego na ten odgłos kamerdynera – jak to służysz, gałganie? pić nam dawajcie!
- W tejsze chwili przyniesiono kosz nowych butelek, odkorkowywano jedną po drugiej i dopiero zaczęła się ochota na dobre. Murdelio pił jak suseł i śmiało to mogę powiedzieć, że lubo wielkie gardło w Sanockiem nie nowina, jednak się nic podobnego pomiędzy nami nie nachodziło. Wyraźnie wydawało się, że te szklanki leją się w studnię, a nie w człowieka. Ale widać taka była u niego już od młodości natura, bo tuż rzekł pan podstoli:
- Kto by ciebie nie znał, ten by myślał, żeś diabeł sam, a nie szlachcic, że tak pijesz dokumentnie, ale kto cię znał dawniej i wie, że wszystko, jak to mówią Włosi, robisz *con amore*¹⁴⁷, ten się cale temu nie dziwi. Hej! hej! gdzie to te czasy, kiedy człowiek był młody i kochał się jak kot, i zawsze do wszystkiego był gotów od razu!
- Otóż to jest! – zawołał Murdelio – szczęśliwy ten, który się wykochał za młodu. Starzejąc się, wywołuje swojej młodości wspomnienia i nie psując sobie nimi krwi ani zdrowia, wolnym krokiem chodząc koło swoich zatrudnień, z wolna postępuje do grobu. Ale komu się miłość przewlokła aż do siwizny, w kim za młodu nie wygorzały wulkany...
- Na tego miejscu ja bym być pragnął – poderwał pan Fredro.
- No, dajże rękę – rzecze Murdelio – ja się mieniam natychmiast. – Na to znowu podstoli:
- Gdybym wiedział, że mnie nie podchodzisz i że zyskam co na tej miańbie¹⁴⁸, dalibóg, zaraz bym się zamieniał.
- Ba! – rzecze Murdelio – a gdybym ja wiedział, że stracę, tobym nie był taki naiwny, żebym proponował zamianę.
- Tak i ja myślę, a nawet wiem doskonale, bo bawiąc z tobą przez lat parę we Włoszech, sam to widziałem, żeś na zrywaniu róż i fiołków twojej młodości nie trawił.
- No, jużci, trudno zaprzeczyć, żeś świat poznał za młodu, wcześniej może niż każdy z was, ale sprawy serca żadnej nie miałem, aż...
- Aż... no, proszę ciebie, powiadaj dalej – mówił pan Fredro – bo tyleśmy sobie już wzajemnie naopowiadali, że grzech by był śmiertelny, gdybyś o sprawie twojego serca, która jest najważniejsza, milczał.
- Jeżeli i mnie wolno podnieść głos w tym miejscu – odezwał się i ja na to – to i ja proszę, abyś nam opowiedział tę ciekawą historię.
- Ma rację Nieczuja – dodał znowu pan Fredro – ot! wiesz co! kto wie, czyje jutro; głupie to życie na świecie, niewarte nawet ani wspomnienia miłości! albo raczej, jedno jej przypomnienie więcej warte niż całe życie; ot! opowiedz nam swoją miłość.
- Na te słowa Murdelio wstał z krzesła i odszedł od stoła, mówiąc:
- O! nic z tego nie będzie.
- Ej! – zawołał podstoli – jak mnie kochasz, to powiesz.
- Powiedz, powiedz – dodałem ja z mojej strony – jeden się przy tym zabawi, drugi się może czego nauczy.
- Nauczysz? cha, cha, cha! – zaśmiał się pan podstoli.

¹⁴⁷ *con amore* (wł.) – z przejęciem.

¹⁴⁸ miańba – zamiana.

– A! bo to także amator – rzekł mu na to, pokazując na mnie, Murdelio – kocha się jak który z nas niegdy i chciałby z naszych doświadczeń korzystać. Ale i to mu snadź nie pomoże, bo już dobry zrobił początek.

– No, jak to? – zapytał podstoli.

– Wziął rekuzę i wariuje na piękne.

– Miły kolego – rzekł do mnie pan Fredro, głaszcząc mnie po głowie; ale dodał do Murdeliona – to on nam także swoje opowie, ale teraz siadaj ty i swoje powiadaj.

– To niepodobna – rzecze tamten na to – miłość moja to życie moje. Musiałbym od kolebki zaczynać, a końca i tak byście się nie dowiedzieli, bo go sam nie wiem jeszcze.

– To napijże się i powiadaj choć to, co wiesz, jak mnie kochasz.

– Może co powiem, bo kiedy krotochwila, to niechajże będzie dobra! – rzekł Murdelio i połknął szklanicę wina.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł Bal, wiodąc ze sobą czarno ubranego i siwą, napiętrzoną peruką potrząsającego doktora Gondoniego.

– *Ah! signore* Gondoni! – zawołał pan Fredro – jakaż to dla nas surpryza!¹⁴⁹ – a do mnie mruknął: – bodaj go diabeł wziął, jaką nam przerwał zabawę.

– A! to waszmość przy winie! – rzekł Gondoni po włosku, kłapiąc ręką w ogromną blaszaną tabakierkę i uśmiechając się jak szczur do słoniny, bo ze swoim szpiczastym nosem całe do tego zwierzątka zdawał mi się podobnym – pięknie! pięknie!

I zaczęła się zaraz dysputa we włoskim języku, którą Murdelio równie przeważnie i płynnie prowadził, jak w polskim. Tymczasem pan Bal stanął koło mnie i okrutnie ciekawie wpatrzył się w Murdeliona. Co widząc, rzekłem do niego półgłosem:

– Co to takiego?

– Słyszysz ty, jak on mówi po włosku?

– Mówi dobrze, bo długo bawił w tym kraju.

– I ty powiadasz, że to nie diabeł?

– Cha, cha, cha! to znów dlatego diabłem ma być, że mówi po włosku? przecież on równie dobrze mówi po francusku i po niemiecku...

– W imię Ojca i Syna! jak mnie Bóg miły, to on.

– Nie umiem ci na to nic odpowiedzieć.

– A ja się założę, że ma rożki na głowie.

– Dobrze, ja się zakładam, ale kto go pomaca?

– O, ja nie! – protestował się Bal.

– No, to nie ma zakładu.

– Ale krzyż mu zrobię na plecach święconą kredą.

– Dobrze – rzekłem – ale gdzież kreda?

– Ja ją mam przy sobie, bo nigdy bez niej nie jeżdżę.

– Więc idź i zrób.

Poszedł tedy Bal na drugą stronę stołu i podczas kiedy Murdelio, ze stojącymi Gondonim i Fredrem rozmawiając, stał obrócony plecyma do okna, ten mu zaszedł z tyłu i przystąpiwszy do niego, rękę z kredką podniósł mu do kołnierza. W tym atoli momencie Murdelio się ruszył, a Bal z okropnym krzykiem: – Aj, aj, aj! Jezus Maria! – upadł jak długi na ziemię. Wszyscy się zerwali, Murdelio także się obrócił, mówiąc nachylony ku wstającemu: – Co jest waszmości? – ale gdzie tam! kasztelanie się zerwał i jak oparzony uciekł, kulejąc, do sieni, kredkę zostawiwszy na ziemi. Nikt nie wiedział, co to się stało; ja wybiegłem za Balem i dowiedziałem się już na pewno, że Murdelio jest diabeł, bo w tejże samej chwili, kiedy Bal mu przykładał kredkę do kontusza, ten go tak silnie na nogę nadeptał, aż paść musiał na ziemię. Mnie się ta rzecz wydała dość naturalną: przy żywej gestykulacji, którą miał we

¹⁴⁹ surpryza (fr.) – niespodzianka

zwyczaju Murdelio, nic dziwnego, że się raptem cofnął; że trafił na nogę Bala, przypadek, a że bolało, toż trudno miało nie boleć, kiedy następujący był chłop duży i mężny i miał ciężkie klasztorne buty na nogach, a nastąpiony żółte kordebanowe¹⁵⁰. Ale na upór lekarstwa nie ma: Bal nie tylko mi się nie dał przekonać, ale mi nawet but swój pokazywał, na którym się smoła piekielna ostała. Z nabitą tym diabelstwem głową powróciłem do sali; zaraz mnie tedy pytają:

– Co jest panu Balowi?

– Piotrowicz mu niechcący nastąpił na nogę – odpowiedziałem.

– He, he, he! – zaśmiał się na to Murdelio, podnosząc głowę i wyszczerzając dwa rzędy białych jak mleko zębów, ale taki to był śmiech jakiś dziki, taki jakiś zwierzęcy, że chcąc nie chcąc, mróz mi poszedł po całym ciele. Zaraz też Gondoni, kończąc dysputę, rzekł do nas:

– Nie przeszkadzam panom, nie przeszkadzam. Pan Urbański się ma wprawdzie niedobrze, bo przyznam się panom, że takiej rany jeszcze nie widziałem; czym to i jak to było cięte, Bóg raczy wiedzieć.

Tu znowu tak samo się roześmiał Murdelio.

– Ale zdrów będzie, zdrów będzie – dodał Włoch. – Dobranoc panom, dobranoc, powolne służby moje polecam – i wyszedł. Myśmy zaś znowu we trzech, tak jako przedtem, zostali. Więc zasiadając na nowo, rzekł zaraz pan Fredro:

– No, powiadajże teraz, bom bardzo ciekawy. Już nam nic nie przeszkodzi.

Ja już milczałem.

– Należże mi wina – rzekł z sardonicznym uśmiechem Murdelio.

Tymczasem słudzy weszli i połowę stołu odjęli, tak że jeno mały kwadratowy pozostał, ale i na nim, i pod nim butelki jak przedtem, obrusa nie zdjęto, a podczas kiedy my z gospodarzem każdy z swojej strony przysunęliśmy się bliżej do stołu, Murdelio lulkę zapalił, szklanicę wychylił i zaczął w ten sens:

III

– O rodzinie mojej – tak opowiadał Murdelio – nie potrzebuję wam wiele powiadać. Pradziad mój był ekonomem, dziad zrobił fortunę i siadł na urzędach, ojciec już miał wszystko, czego potrzeba. Ożeniwszy się i osiadłszy na znakomitym majątku, zajął się wyjaśnianiem naszego rodu. Herb nasz stał mu się dobrą do tego wskazówką. Toteż za jego pomocą nie tylko się cała przeszłość nasza wyjaśniła, ale nawet okazało nam się prawo do znakomitej puścizny, istniejącej w sumach gotowych, lokowanych w Hiszpanii i od lat stu podobno sukcesora czekających. Mozolnym staraniem i niesłychanym kosztem ojciec mój podniósł te sumy i pozakupowałszy wiele ziem, majątek swój o wiele powiększył i zaokrąglił. Pięćdziesiąt wsi się zrobiło, lasy, jeziora, wody i wspaniały zamek w ich środku. Kiedy się to już stało i w ład przyprowadziło, i mój ojciec, chyląc się ku starości, tylko tym jednym się cieszył, że ród swój do pięknej przyprowadził pozycji i mnie, jedynekowi, doskonale jej utrzymania zostawia środki, zjawia się krewniak nasz jakiś daleki, który się powiada stryjeczno-stryjecznym rodzica bratem i żąda połowy hiszpańskiej sukcesji. Szlachcic ten miał wioskę niedaleko Oszmiany, więc tylko o dwie mil drogi od mego ojca i ani znał nas pierwej, ani się do nas przyznawał. Wpadło to w oko mojemu ojcu i szlachcicowi fałsz zadał. Szlachcic nie poszedł zwyczajną drogą, nie udał się do praw i palestry, ale za fałsz zadany sobie w oczy, mego ojca wyzwał i z nim się wyrąbał. Potem dobył, papiery, jedność naszych rodów, które się w pradziadzie schodziły, dokumentnie wykazał i rzekłszy mojemu

¹⁵⁰ kordebanowe buty – buty z miękkiej skóry koziej, wyprawianej w Kordobie (Hiszpania).

ojcu: – Bodaj diabeł wlaź w tę fortunę i rozniósł ją na cztery wiatry! – wsiadł na koń i odjechał.

Wypadek ten wzruszył mojego ojca; postanowił więc, ile możliwości, te pretensje braterskie zaspokoić, bo był człowiek uczciwy i prawy. Ale przy uczciwości był zarazem i skąpy, ziarnko do ziarnka składający i z zebranych chyba tylko dla mnie jednego co ruszyć lubiący. Majątek swój zresztą, z wielką skrzętnością i pracą oczyszczony i zaokrąglony, uważał za taką całość, że grzechem śmiertelnym byłoby mu się zdawało każde choćby najmniejsze jej naruszenie; a kiedy sobie jeszcze to przywiódł na pamięć, że ten majątek jest właśnie jedyną naszego nazwiska i jego” świetności podporą, to prędzej by własną rękę był odżałował niż jedną wieś utraconą. A tu by na brata było przypadało dziesięć wsi najmniej. Długo tedy sumienie ze skąpstwem toczyło walkę w tym starcu i na koniec pierwsze wprawdzie przeważało, ale drugie po swojej klęsce jeszcze przynajmniej jak najmniejszą stratę dla siebie wytargować umiało. Ojciec bowiem zdobył się na to, że kilka tysięcy dukatów wraz z grzecznym listem, utyskującym na ciężkie czasy, nieurodzaje, powodzie, ale za to złote góry na przyszłość obiecującym, posłał swojemu bratu. Szlachcic atoli, mając głowę nabitą hiszpańskimi sumami i prócz tego ambitny z natury, nie tylko że pieniędzy nie przyjął, ale omal że jeszcze dworzanina nie wytłukł. Zgryzło to mego ojca; spowiadał się, pacierze mówił, pielgrzymkę do Ostrej Bramy odprawił i powróciwszy, obłożnie zaniemógł. Choroba wzmagała się coraz bardziej, siły ciała opadały, walka wewnętrzna trawiła go widocznie. Nareszcie dnia jednego, czując się o wiele jeszcze słabszym, rzekł do swojego Gintowta Litwina, który był jego plenipotentem i najzaufańszym powiernikiem: – Nie, tak nie będzie. Nie potrafiłbym skonać. Weź, wasze, papier i pióro i uczyn w moim imieniu zapis na pana Wita... tych trzech wiosek, z którymi graniczy. – Gintowt siadł i pisał, mój ojciec z łóżka pomagał mu w koncepcie, ale płakał ze żalu. Dokument jednak wystawiony, podpisami i rodowitą pieczęcią zaopatrzony, odesłano zaraz konnym na przeznaczone miejsce. Mój ojciec trochę się uspokoił, a nawet rozweselił. Nad wieczorem atoli posłaniec powrócił i ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu, zamiast podziękowania dla brata i uspokojenia dla ojca, przywiózł tylko kawałki podartego przez pana Wita dokumentu. To mego ojca dobiło – wieczorem zaniemógł gorzej, koło północy już był konający.

Ja miałem natenczas lat blisko dwanaście. Edukowano mnie z wielką pracą i wielkim nakładem i z tej przyczyny dziwnie dwór nasz wyglądał. Nie było sukni w Europie, w której by ktoś nie chodził na naszym dworze, nie było mowy w Europie, którą by tam nie mówiono. Dwóch Francuzów, jeden Niemiec, jeden Anglik, trzech Włochów niby to przy mnie było. Hiszpan nawet jeden, który niegdy z owymi sumami z Madrytu przyjechał, ostał się na zamku i obiecując mojemu ojcu, że mnie marynarki nauczy, ostał się na zawsze. Wszystko to chodziło w krótkich sukniach, trzewikach i pończochach, w większych i mniejszych perukach, w długich lokach, w aksamitach, w kolbertynach, w kryzach, przy szpadach i Bóg nie wie w czym jeszcze. Podług nich ubierali się i inni dworzanie, sługi nawet przystrajano z cudzoziemska, tylko mój ojciec i Gintowt stary chodzili po dawnemu i ze łbami wygolonymi. Dziwno się to może wydawać będzie komu, że mój ojciec, chociaż był skąpy, tyle obcych ludzi utrzymywał na swojej kuchni i lafie¹⁵¹, dziwno się to nawet wydawało sąsiadom, ale tak było w rzeczy. Mój ojciec sam odebrał mizerne wychowanie za młodu i zajęty jedynie tylko robieniem fortuny, o niewiele je podniósł w późniejszym życiu; dopiero kiedy po znacznym powiększeniu tej fortuny i po rumorze, który się z przyczyny owych sum hiszpańskich rozległ o moim ojcu po Rzeczypospolitej, uwaga publiczna się na niego zwróciła; dopiero kiedy przez znaczny urząd, na którym natychmiast zasiadł, wszedł w bliższe z wielkim światem stosunki, dopiero wtedy niewychowanie swoje poprawił, ale poznał, że ono jest konieczne na świecie i że bardzo źle jest bez niego. Od tego złego, którego sam doświadczył, postanowił

¹⁵¹ lafa – żołd, pensja.

mnie wszelkimi siłami ochronić, a że był człek namiętny i czegokolwiek się chwycił, to już niespracowanie robił i wyciągał do ostatniej ostateczności, więc i do wychowania mego wziął się z taką energią, że dziesięć razy więcej sił i środków do tego użył, niż było potrzeba. Do skutecznienia niektórych rzeczy nigdy nadto sił użyć nie można, nigdy nadto energii, ale do innych tylko w miarę, w czas i w miejsce użyta siła cel swój może osiągnąć. Kto by chciał wóz ruszyć z miejsca i naokoło niego kilkanaście koni nasilał, ten go raczej rozerwie, ale pewnie nie ruszy. Tak było i ze mną. Każdy z tych cudzoziemców czegoś mnie uczył, każdy do mnie swym własnym przemawiał językiem, ale jam się niczego zgoła, ani nawet języków, od nich nie nauczył. Geografia i historia, astronomia i alchemia, prawo i języki: francuski, włoski, niemiecki, angielski, hiszpański i polski, tak się to wszystko pomieszało w głowie, wyobrażenia o Bogu, o religii, o ludziach, o obowiązkach człowieka i obywatela tak się pokrzyżowały, uczucia nawet moje dziecinne, które ze szczerem nie wyniszczwały, tak się powikłały i zdenaturalizowały, że ksiądz staruszek, zamkowy kapelan, który mnie miał religii nauczać co rana, często moimi obiekcjami zbity z tropu, zamiast mi dawać lekcje, tylko Ewangelię czytał nade mną. Na tym punkcie stało moje usposobienie, kiedy mnie obudzono i powiedziano, że ojciec jest konający. Francuz mnie wyrwał z łóżka i zaprowadził do konającego, który leżał wysoko podniesiony na poduszkach, mówił jeszcze, ale już ruszać się nie mógł. Powiedziano mu, że ja jestem przy łożu. Wtedy, obróciwszy głowę cokolwiek, do mnie chrypliwym, urywanym głosem wymówił te słowa: – Synu! zostawiam ci wszystko. Do skończenia świata nie powinniście już wychodzić z senatu. Rób wszystko, co możesz, na co siły twoje wystarczą, tak jak ja całe życie moje... ale... – tutaj się trochę zakrztusił i umilkł na chwilę, lecz potem znowu: – ale... zaspokój jakim sposobem pana Wita pretensje. Może darujesz co jego dzieciom. Ale... to sobie pamiętaj... on ma córkę jedynaczkę... kiedy się z gniewu wy sapie, a ambicja mu nic od ciebie przyjmować nie pozwoli, jednakże żal mu się zrobi schedy... on ci córkę podstawić będzie. Niech cię Bóg broni! pod błogosławieństwem... zakazuję!... – Tu się mocno zakrztusił, głowa pomiędzy poduszki upadła i skonał. W tym momencie grzmieć zaczęło na dworze, ale to tak strasznie, że aż zamek drżał cały, wicher się zerwał okropny i stracił pół dachu ze zamku, szyby powybił, narożną wieżę, w której była kaplica, do połowy obalił; nagle błysnęło kilka razy i piorun uderzył w oborę, a zapaliwszy ją, strasznym światłem cały zamek oświecił. W przerażeniu i strachu wszyscy wybiegli ze zamku ratować, gasić, rozrywać, ja tylko jeden zostałem siedzący na skrzyni, która była przy łożu mojego ojca, i ksiądz, staruszek, który klęknął na środku izby, mówiąc: – Przekleństwo pana Wita się sprawdza, zły duch włazi pomiędzy te mury.

Po pogrzebie mojego ojca wszystko się zaraz zmieniło w zamku. Nie mówię już zewnątrz, bo tam były już tylko zgliszcza i ruiny, ale i wewnątrz. Nic tej dawnej ciszy, tego ładu, tego porządku. Każdy robił, co mu się podobało, jadł i pił, kiedy chciał, chodził po wszystkich pokojach; guwernerowie moi wyprawiali sobie uczy, z miast przywozili do tych uczt kobiety, jeździli na koniach, w karetach, poczwórnymi cugami. Gintowt stary chodził tylko po dziedzińcu z kańczugiem za pasem, wąsami ruszał i mrucał. Aż jednego dnia złapał mojego Francuza statystę¹⁵² w jakiejś szkodzie czy na innym jakimś uczynku i sypnął mu z jakie sto kańczugów na progu. Drugiego dnia Niemcowi dał pięścią w gębę i wytargał jak psa za uszy.

Trzeciego dnia Włocha zamknął do lochu o chlebie i wodzie. Czwartego dnia Hiszpan, obawiając się zapewne losu swoich kolegów, nocą sam uciekł. Ale piątego dnia rano znaleziono Gintowta nieżywego w łóżku. Po Gintowcie drugi Francuz rząd objął w zamku. Po kilku miesiącach objął administrację majątku. W rok potem zawiózł mnie do Paryża, sam dojeżdżał do dóbr moich, ale mnie przez trzy lata trzymał bez przerwy w Paryżu. Miałem już lat szesnaście. Nauczyłem się też był czegokolwiek, bo mnie Francuz dobrze pilnował i złotem płacił nauczycieli. Jednak umiałem się im wykraść, aby wybiec do miasta; Francuza

¹⁵² statysta – tu: nauczyciel zagadnień politycznych i państwowych.

nawet oszukiwać umiałem, gdy mi było potrzeba nie nocować u siebie. Wziął mnie potem Francuz do Anglii i trzymał rok cały w Londynie. Tam odprawiłem pierwszy mój pojedynek i bardzo mi to posłużyło. Zabiwszy bowiem mego adwersarza na miejscu, poczułem się, że i jam jest człowiek i także coś mogę; jakoż i bić się nauczyłem na przyszłość. Po roku pobytu mego w Anglii Francuz, który zawsze miał przemożny wpływ na mnie i po prostu trzymał mnie za łeb, wywiózł mnie do Italii. Hej! tam to życie! Od firmamentu począwszy aż do owych suterenów, w których nieraz umówione miewałem schadzki, wszystko mi było rajem, wszystko mlekiem i miodem. Krótko mówiąc, żyłem jak nikt lepiej, nikt przyjemniej, nikt zwawiej na świecie. Żyłem każdym nerwem, każdym organem ciała i duszy, każdym oddechem. Ale po trzech latach – miałem już dosyć. Świat zewnętrzny mnie znudził. Jednego wieczora, mając wychodzić dla zejścia się z najpiękniejszą kobietą Florencji, przyszła mi myśl nie pójść. Drugiego wieczora zapytałem się siebie: co też jest we mnie? po co żyję na świecie? – Trzeciego wieczora: czym jest świat? czym ja w nim jestem? czy też ja nie mam jakich obowiązków dla niego? czy nie godziłoby się tym ludziom, którzy mnie tak pieczą i tak mi dogadzają, coś dać za to od siebie? – Czwartego dnia wpadło mi na myśl, że będąc w Anglii, widziałem samych Anglików, we Francji Francuzów, we Włoszech Włochów: dlaczegóż ja, Polak, siedzę we Włoszech, a nie w mojej ojczyźnie, w Polsce? – U innych ludzi moment takiego zastanowienia się nad sobą bywa zwyczajnie przejściem na dobrą drogę, u mnie stał się on dopiero przejściem do złego; a zresztą!... bo diabeł wie zresztą, co jest złe, a co dobre na świecie! ale gdzież tam, i diabeł sam tego nie wie! Krótko mówiąc, zastanowiłem się jeszcze nad sobą i znalazłem najpierw to, że całkiem już nie umiałem po polsku, bo myśli mi się nawet układały w głowie takim językiem, w jakim kraju bawiłem; a po wtóre, że byłem całkiem inny jak wszyscy ludzie. W Anglii, we Francji, we Włoszech, gdzie ich tylko widziałem, każdy z nich coś umiał, każdy czymś się zatrudniał; ja nic nie umiałem i do niczego nie byłem sposobny; na koniec pomyślałem: cóż będę robił w Polsce? Francuz mi powiadał, że tam nie masz ani miast wielkich, ani zabaw publicznych, ani karnawału, ani morza; że tam kraj barbarzyński, zimny, wietrzny, ludzie mieszkają w chałupach, dzikie bestie chodzą po drogach;

powiadał mi, że tam kobiety brzydkie i brudne, nie masz wina ani muzyki, ani śpiewu, ani zgoła niczego, co jest we Francji i Włoszech. Przecie mi serce uderzyło do Polski. Całą noc spać nie mogłem i tylko o niej myślałem, a na drugi dzień rano wypowiedziałem służbę Francuzowi. Zrazu Francuz ofuknął się na mnie i powiedział, że na podróż do domu nie może mi w żaden sposób zezwolić, ale kiedym mu dziesięć razy mocniej odfuknął i krzyknął w oczy, że ja pan, a on sługa! – umilkł i wziął się do argumentów. Jaką ty bronią, taką i ja; ty grzecznie i ja grzecznie, ale kiedy mi na koniec zadał kwestię, co będę robił w Polsce i z czego tam żyć będę? – wyrzuciłem go za drzwi. W godzinę potem pocztowe konie niosły mnie już do Polski.

Przyjechawszy do domu, doprawdy nie wiedziałem, co począć. Najpierw trudno mi się było z kimkolwiek rozmówić. Po wtóre nie znałem się ani weź na administracji, ani na gospodarstwie. Gintowt stary był w grobie, a drugiego Gintowta nie było. Zamek stał jeszcze, ale jedna połowa rozsypała się w gruzy i chwastami zarosła; w drugiej wilgoć ściany pojadła, sprzęty pozabierano, piece porozwalano, z okien szyby, z posadzek powydzierano kamienie. W kilku wsiach gospodarstwa żadnego nie było, role stały odłogiem, na łąkach cudze bydło się pasło; inne folwarki były w dzierzawach albo zastawach, ale anim się mógł dowiedzieć, kto je powypuszczał, kto tenuty¹⁵³ odbierał. Nie mogąc sobie atoli sam dać w tym radę, znalazłem sobie jakiegoś Gintowta, który za zapłatą podjął się wszystko przyprowadzić do ładu. Więc on gospodarstwo, ja zaś zamek wziąłem pod moją opiekę. Do roku byliśmy obadwa gotowi; ja połowę zamku zostawiłem w ruinie, tylko ją więcej bluszczem, różami i

¹⁵³ tenuta – czynsz dzierżawny.

inną krzewiną obsadzić kazałem; drugą zaś wyrestaurowałem niewiele zewnątrz, ale wewnątrz jak tylko można było najpyszniej, sprowadzając do tego wszelki materiał z Niemiec i Francji. On zaś pokończył rachunki i także ta sama ewidencja pokazała się u niego, co u mnie: połowa majątku pozostała w ruinie. Półtora miliona długu wpakował mi Francuz na dobra! wszystko, przez dzierżawne i zastawne kontrakty, które na lat kilkanaście w różnych czasach porobił i na które naprzód pozabierał pieniądze. Był to ciężar niemały i rzecz dla mnie nieznośna. Postanowiłem kark temu ukreć. Przez mojego Gintowta udałem się z tym do sądów. Nic nie pomogło – głębszych sędziów nie widziałem na świecie – wszystkie procesa przegrałem. Gintowt poradził pojechać do Warszawy i udać się z tym do króla. Pojechałem, prezentowałem się panu. August III był wtedy na tronie. Przyjął mnie grzecznie, uprzejmie jak wszyscy królowie na całym świecie. Mówił ze mną po niemiecku, chwalił moją układność, obyczaj, wymowę, kazał mi bywać na pokojach, zaprosił do swego towarzystwa strzeleckiego, które codziennie przez cały miesiąc maj od godziny czwartej do szóstej po południu odbywało swoje ćwiczenia; kazał się rozpatrywać w krajowych sprawach publicznych, obiecał powołać kiedyś do jakiegoś urzędu, ale na moich dzierżawców nie dał mi żadnej rady. Jednak ja sobie sam poradziłem. Zaciągnąłem jeszcze milion długu i powróciłem do domu. Zaraz też dwór urządziłem inaczej. Wziąłem trochę szlachty drobnej na kuchnię i lafę i uzbroiłem sobie pięćdziesiąt kozaków jak diabłów. Z tą szlachtą i kozakami przyjechałem do każdego dzierżawcy lub zastawnika i pytałem: – Na ile lat masz kontrakt? ile lat trzymasz? ile lat ci pozostaje? – to wyrozumiawszy, mówiłem: – Tyle a tyle ci się jeszcze należy, tu masz, ruszaj do licha. – Był taki, co wziął pieniądze i poszedł; który zaś nie chciał i malował sobie jakieś pretensje, tego za łeb, na wóz z żoną, z dziećmi, z bagażami i kozacy odstawili go za granicę dóbr moich. Było pisku i krzyku dosyć, jednego nawet, który się porwał na mnie, powiesić kazałem na wierzbie, dwaj dostali po sto bizunów, ale też do dwóch tygodni ani jednego dzierżawcy nie miałem. Wkrótce wydano mi kilka procesów, zaczęły mi się palić dworki po folwarkach. Procesy powygrywałem, bo już umiałem sobie z tym dać radę, a palić mnie także przestali, bom trzech włóczęgów, którychem nocą, na czele moich kozaków patrolując, na moich gruntach połapał, przy rozstajnych drogach popowieszał. Te atoli nocne i dzienne wycieczki moje, jakoż i owe doraźne egzekucje zwróciły na mnie uwagę sąsiadów moich.

Różne wieści porozchodziły się o mnie, niestworzone rzeczy bajano;

najpowszechniej atoli utrzymywano, że diabłu duszę zapisał albo że zgoła sam diabeł *in persona*, i to diabeł wenecki; a poszło to zdaje mi się stąd, że się z włoska ubierał i we włoskich sukniach na koniu po okolicy jeździł, kozakami dowodząc.

Takie życie czynne i ruchliwe, zatrudnianie się administracją i nadzorowanie gospodarstwa całkiem inaczej mnie usposobiły: podróże moje i wszystkie zagraniczne praktyki jak sen przeminęły, zacząłem myśleć nad sobą, nad ludźmi, nad światem. Późnymi wieczorami, kiedy już wszystko ucichło dokoła, wychodziłem na wierzch ruin powalonej połowy zamku, tam przy narożnej a ocalonej od zniszczenia galerii na głazie siadywałem i słuchałem wołania sowy i głośniego śmiechu puszczyka – i to mnie bardzo bawiło. Różne myśli mi wtedy przychodziły do głowy, a wszystkie opierały się na tym, czym jestem, i szły tam, czym bym ja też mógł zostać na świecie. Widziałem króla w Warszawie i to mi się bardzo podobało. Ma on wojsko, może się bić, kiedy mu się podoba, kraje zdobywać, ludzi gubić albo z prochu podnosić – czemuż ja bym nie miał być królem? ale jak by to zrobić? Trzeba by kraj jaki zdobyć i opanować. Odtąd przez kilka dni wertowałem mapy i szukałem na nich jakiego kraju, który by mnie się podobał. – Później przyszła mi myśl, że na co mnie szukać kraju gdzieś daleko, kiedy kraj jest koło mnie? Zbiorę sobie trzysta lub więcej kozaków, wezmę drugie tyle szlachty na jurgielt¹⁵⁴ i wieś po wsi będę poty najeżdżał i zabierał, póki sobie

¹⁵⁴ jurgielt (niem.) – żołąd.

całego kraju nie zrobię. Wszakże to wszystko jedno, czy cudze kraje, czy prowincje, czy wioski najeżdzać? Później mi przyszło na myśl, że na co mnie szukać nowych sposobów zabierania wsi, kiedy mam jeden gotowy? Jakim przyszedłem do tych, które mam teraz, takim przyjdę do innych. I długo, bardzo długo myślałem, jakim to ja sposobem przyszedłem do tego, który mam teraz, majątku, aż nareszcie przypomniałem sobie, że to ja miałem kiedyś ojca... Wtedy dopiero przyszły na myśl wszystkie chwile w domu rodzicielskim spędzone... przypomniały mi się owe sumy hiszpańskie, pana Wita pretensje, choroba, śmierć mego ojca, jego słowa ostatnie... I dlaczegoż to mi zakazywał ojciec żenić się z córką pana Wita? Pan Wit musi być bardzo tęgi człowiek, kiedy tak tęgi pokazał charakter, warto go poznać. Jego córka może być także całkiem niepospolita panienka – i dlaczegoż bym ja się nie miał z nią ożenić, kiedy by mnie się podobała? Zakaz to jest ciężar i rzecz nieznośna. Aż mi się duszno zrobiło na samą myśl tę, że mam jakiś zakaz na karku. Wsiadłem więc zaraz na koń i pojechałem do pana Wita.

Pan Wit mieszkał o dwie mile ode mnie – za godzinę tam byłem. Wszedłem do dworku, zastałem go siedzącego na zydlu i szlifującego szabelkę. Był to starzec już siwy, miał lat siedemdziesiąt. Kiedym wszedł do izby, wstał do mnie i spytał: – Kto waszmość jesteś? – Ja?... ja jestem Piotrowicz, jakiś krewny waszmości; przyjechałem tutaj, żeby was poznać. A gdzie córka waszmości? – A cóż tobie do mojej córki! – zawołał stary – ruszaj precz, ty diable wenecki; czego mącisz spokój mego domu? – Na to roześmiałem się jemu w oczy; bo mnie zabawiła ta poufałość chudego szlachcica ze mną, co mi się jeszcze nie trafiło, odkąd powróciłem do Polski; więc poklepałem go po ramieniu i rzekłem: –No, no, nie gniewaj się na mnie, mój staruszk, a pokaż córkę twoją. – Jeszczem tych słów nie skończył, kiedy jakąś piorunową siłą wyrzucony, ujrzałem się nagle za drzwiami. Taki niespodziewany obrót sprawy i mojej osoby całkiem mnie skonfundował. Stałem w sieni i nie wiedziałem, co robić. Wielką miałem ochotę przywołać kozaków i szlachcica powiesić. Ale się jeszcze namyślałem. Wtem z bocznych drzwiczek wyglądnęła do mnie twarz jakiejś prześlicznej panienki. Twarz ściągnęła, cera porcelanowa, oczy prześliczne, rzęsy cudowne, włos ciemny, długi, szklący jak heban. Domyślałem się, że to jest córka pana Wita. – Pani! – rzekłem tedy, zwracając się do niej – otóż jaka kontuzja spotkała mnie tu dla pani. – Dla mnie? – spytała ona – a toż jakim sposobem? – Przyjechałem tutaj, aby upaść do nóg stryjowi jegomości i pannie, i z wszelką atencją starać się o jej przyjaźń dla mnie, a tymczasem pan stryj zagniewany. – Ej! to być nie może! – odpowiedziała z żalem panienka; ale w tymże momencie coś się ruszyło w tym pokoju, w którym był ojciec. Kto raz zadrzał ze strachu, dla tego już nie ma ratunku; prędzej zginie ze strachu, niż się na jeden krok odważny zdobędzie. Na sam szmer już uciekłem, dopadłem konia i popędziłem do domu. Było to pierwsze tchórzostwo w moim życiu, ale też mam nadzieję, że i ostatnie. Jeżelibym jeszcze raz kiedy zląkł się w jakim terminie stanowczym, to już mnie diabeł weźmie z kretesem. Bo to ja z ludźmi nie żartowałem i myślę, że oni ze mną żartować nie będą.

Powróciwszy do domu, już o niczym nie myślałem, tylko o tej prześlicznej panience. Diabeł zaczął palić we mnie, poprzysiągłem sobie, choćby za cenę połowy życia, dostać ją koniecznie. Dnie i noce myślałem nad tym i li tylko nad tym. Zesmutniałem, umilkłem. Miałem wprawdzie środek prosty pod ręką: napaść na dom szlachcica, jego zabić, a córkę zabrać do domu. Ale ja chciałem, żeby mnie ta dziewczyna kochała; w takim zaś wypadku mogłaby mnie znienawidzić, bo to kobiety kapryśne. Więc jeszcze myślałem. Postrzegł Gintowt tę zmianę we mnie. Przyszedł, pytał, co mi jest, czemu taki smutny, tak zamyślony? Powiedziałem. Tedy on na to: – Panie! na cóż to tego? na co tu gwałtów, napadów, wiolencji?¹⁵⁵ na co się narażać na grzywny i więzę, jeżeli nie na stracenie szyi, kiedy oni sami panu z pocałowaniem ręki dadzą tę pannę? Tylko to trzeba robić rozumnie i z wolna. – Zróbże to – rzekłem Gintowtowi – dostaniesz folwark w dożywocie. – I co mógł,

¹⁵⁵ wiolencja (łac.) – przemoc, gwałt.

zrobił w rzeczy ten Gintowt. Pojechał on najpierw na jakiś odpust czy jarmark, tam się zeszedł z panem Witem i przy lampie wina czy miodu gadu, gadu z nim o pszenicy i życie. Drugi raz już o gospodarstwie, więc o moich folwarkach, o doskonałym w nim rządzie i o wielkich z nich intratach. Trzeci raz o mojej osobie, jako ktoś przez zazdrość najgłupsze plotki puszcza w kurs o mnie, jako w tym wszystkim nie masz prawdy ani joty, jakom ja jest człowiek najlepszy i rozumny, i gładki, i jako najgorętszym mojego serca życzeniem byłoby stateczną z panem stryjem znajomość zabrać, i w ten jedyny sposób, jaki jeszcze pozostał, trafić, aby dawne familijne nieporozumienia zatrzeć i na wieki zagładzić. Czwarty raz szlachcic już Gintowta zaprosił do siebie – a za kilka tygodni powiedział mu otwarcie: – Niechże pan Ignacy przyjedzie do mnie; obaczę go bliżej, poznamy się, a z czasem to się to może i robi.

Tedy za radą Gintowta przebrałem się w kontusz i żupan, który na mnie ciążył i gniótł mnie jak pancerz; włożyłem w hajdawery takie wielkie, żebym mieszkać mógł być w nich i podzielić je na pokoje; włożyłem czapkę futrzaną na głowę, uzbroiłem się w cierpliwość i pokorę, wsiałem na koń i pojechałem do pana Wita. Wszedłszy do izby, stanąłem przy drzwiach i pokłoniwszy się panu stryjowi do kolan, przepraszałem za to, że obyczajami zagranicznymi zepsuty, za moją pierwszą bytnością u niego nie umiałem się znaleźć, tak jak na przyzwoitego młodzieńca w kraju przystało. Pan Wit się na mnie popatrzył, rozparł się w boki, nadął się jak pęcherz i powiedział mi srogie kazanie. Ale ja już byłem najpokorniejszym sługą stryjaszka dobrodzieja. Przyszła panna, zarumieniła się, niewiele mówiła, ale była śliczna jak anioł. Bawiłem się tam przez dwie godzin i musiałem się nieźle sprawować, bo stryjaszek dobrodziej rzekł mi przy pożegnaniu: – Widzisz waść, mosanie! i ja umiem po francusku i po niemiecku, umiem po łacinie, czego ty nie umiesz, mam to samo nazwisko i ten klejnot, co ty, i fortuna moja mi tak dobrze, a może jeszcze lepiej wystarcza, jak tobie; mam nadto jeszcze siwiznę i niemałe zasługi w swoim, ba, i w obcych krajach, czego ty nie masz i może zgoła nigdy mieć nie-będziesz – a przecie ludźmi uczciwymi nie pomiatam i znam respekt dla starszych! – To rzekłszy, pożegnał mnie.

Odtąd bywałem tam często, prawie dwa razy na tydzień. A trzeba wam wiedzieć, że ja dotychczas nigdzie nie bywałem i z nikim nie żyłem; wieść więc o moim bywaniu u pana Wita runęła piorunem na okolicę; powiedziano, że konkuruję o jego córkę, że się już żenię. To mnie gniewało. Postanowiłem koniec położyć tym plotkom. A ponieważ uważałem, że mi panna nie krzywa, jako że i pan Wit dosyć skłoniony ku mnie, więc kazałem sześć koni założyć do karety, wziąłem Gintowta i dwudziestu kozaków ze sobą i pojechałem z przedsięwzięciem zrobienia deklaracji i wzięcia ślubu natychmiast. Kiedym wszedł do izby, pyta mnie stary: – Dlaczegoż waść tak paradnie? – Ponieważ ja nie umiałem jeszcze dobrze po polsku ani się znałem na dziwnie pięknych retoryki polskiej figurach, więc Gintowt, poczawszy od tego, jak Pan Bóg rodzaj ludzki w arce Noego od potopu wybawił, uciął mowę sążniste i skończył na tym, że ja proszę o rękę pana Wita córeczki. Pan Wit tego pięknie wysłuchał, wąs poprawił, czuprynę pogładził, lewą rękę za pas włożył a prawą, gestykulując do mnie i do pana Gintowta, odciął znowu kubek w kubek takuteńką orację i ani jednego słowa nie został mi dłużen. Bardzo to ładny obyczaj. Treść atoli tej mowy była taka, że lubo on wcale nie miałby nic przeciw temu mariażowi, i owszem, widzi w nim palec Boży, który zagładzą familijne krzywdy i niezgody, jednakże za mało jeszcze zna kawalera, żeby mógł dziecko swoje powierzyć. Niech kawaler prócz panem stara się być także sąsiadem i obywatelem, niechaj mnie słucha, niech mi się aplikuje¹⁵⁶, niechaj bywa w moim domu, aby się dzieci przyzwyczyły do siebie, to się to może z czasem i robi. – Pan Gintowt wyraził panu stryjowi moją niecierpliwość, moją bytność u króla, jego łaski i tak dalej, ale pan stryj

¹⁵⁶ aplikować (łac.) – tu: zasługiwać się, nadskakiwać

odpowiedział na to, że od jego dekretu nie ma żadnej apelacji, bo on jest sam grodem i ziemstwem, i trybunałem, i królem w tej sprawie.

Kiedyśmy odjeżdżali, powiedziałem Gintowtowi: – Ej! co tam będę się dał za nos wodzić szlachcicowi! zajazd zrobię i pannę zabiorę. – Gintowt radził cierpliwość i prosił o zwłokę jeszcze na kilka miesięcy. Przystałem. Bywałem znów w domu pana Wita. Aplikowałem mu się, ale jednakże więcej pannie, która już swojej miłości nie tała przede mną. I trwało to znów kilka miesięcy; pan Wit stawał się coraz nudniejszy, coraz więcej wymagający, począł mnie egzaminować o moje interesa, o gospodarstwo, o inne sprawy, począł dawać rady swoje, ba! dyspozycje... a ja się ciągle aplikowałem. Ale na koniec i sam diabeł utraci cierpliwość! Jednego wieczora wypaliłem mu taką replikę, że szlachcic zgłupiał z kretesem. – Bunt, mospanie! bunt przeciwko mnie podnosisz! – zawołał on do mnie – tą rażą daruję, ale na drugi raz... to pamiętaj! – Na drugi raz ja już buntu nie podnosiłem, ale stała się rzecz taka. Kiedym tam przyjeżdżał, bywało zwykle, że najpierw ze starym rozmawiał z jaką godzinę, potem zaś szedłem do panny i siedziałem tam do wieczora. Stary wtedy czytywał gazetę albo do gospodarstwa wychodził i do córki prawie nigdy nie zaglądał, bo tam była jakaś szlachcianka, która sprawowała urząd ochmistrzyni i posiadała zupełne zaufanie u niego. Ochmistrzyni atoli, co nie zrobiła za dukata, to zrobiła za dwa, co nie za dwa, to za dziesięć, co nie za dziesięć, to za sto, dosyć że nigdy tam nie było ochmistrzyni. Otóż jednego dnia siedzę ja na kanapie i trzymając pannę na kolanach, w twarz ją całuję, ale jakim Piotrowicz, tak nie w żadnej złej myśli, tylko tak dla zabawki; wtem wchodzi stary. Panna struchlała na miejscu, ale jam się roześmiał w głos. Nie za całowanie, ale za śmiech ten, stary zrobił scenę gwałtowną. Kpał mnie jak żaka, jak szewca, jak hultaja na koniec. Tego już było mi nadto. Rzuciłem się na niego, chciałem go porwać, związać, wziąć w jasyr do siebie i dopiero traktować o wykupno albo zamianę jeńca, ale zwinny szlachcic odskoczył i w tym momencie taki mi wyciął policzek, że upadłem na ziemię. Zebrawszy się, chciałem porwać za broń, ale nie miałem pałasza przy boku. W tejże chwili otworzyły się drzwi z łoskotem i wpadło kilku drągów do izby. – A to co będzie? – zawołałem z wściekłością do starca. – Dostaniesz sto bizunów! – zawołał tenże. – Mości panie! – krzyknąłem – taki to sposób wetowania krzywdy u polskiego szlachcica! takie poszanowanie gościnności w tym kraju! – A ty, jakże gościnność szanujesz! – odrzknął starzec – ruszajże sobie do milion diabłów i niech tu noga twoja więcej nie postoi, bo nie sto bizunów ci dać, ale powiesić cię każę na suchej wierzbie! – Ja przecież nie dowierzałem tej kapitulacji, tylko czym prędzej obróciwszy się twarzą do okna, skoczyłem przez nie w ogródek, z ogródka pod bramę, gdzie mój koń stał przy kozaku... i uciekłem do domu. I z tego zrobiła się plotka, bo ci drągale powiedzieli, że nie skoczyłem przez okno, tylko w kącie izby, tam w myszą dziurę wpadłem, z której za mną tylko kłęb dymu ze smoły i siarki wyleciał i rozszedł się po izbie... i cała okolica uwierzyła tej baśni!

Wróciwszy do zamku, nie było już dla mnie ani snu, ani nocy, ani jadła, ani napoju. Wszystko się gotowało we mnie, drżałem, trząsałem się cały. Duma obrażona warczała we mnie jak pies rozdrażniony, złość się pienila, miłość się wzmogła i targała całym wnętrzem mej duszy. Postanowiłem mścić się na starcu, mścić piekielnie i do śmierci; postanowiłem pannę zabrać, osiąść, zadośćuczynić mym żądom i przez córkę mścić się jeszcze na ojcu. Jednakże w tym delirium gorączki, żądz, zemsty, złości miałem chwile, w których cichy, nie znany mi dotąd, spokojny głos serca odzywał się we mnie. Chciałem wtedy upaść do nóg obrażonemu i rozgniewanemu starcowi, pokornie prosić o rękę panny, ożenić się z nią, pogasić w sobie wszelkie gwałtowne ognie, poprzytłumiać szaleństwa, osiąść w domu, oddać się pracy, służbie jakiej dla kraju i stać się takim człowiekiem, jak inni, jak wszyscy. Był to głos, który dawał jawne świadectwo słabości ducha mojego, był mi przeto nudny, nieznośny, ale zarazem tyle silny jeszcze, że pomimo wszystkich planów moich ukartowanej już zemsty, musiałem przynajmniej spróbować jemu zadośćuczynić.

W tym celu i duchu napisałem list do pana Wita i odesłałem go przez dworzanina. Pan Wit list odebrał, potem ławę kazał położyć na ziemi, dworzanina na ławę, list na dworzaninie, a na liście odpisał wymowną stoma bizunami odpowiedź.

Po odebraniu tej odpowiedzi w jednym okamgnieniu już byłem na koniu i na czele uzbrojonych pięćdziesięciu kozaków. O zachodzie słońca popędziłem do wsi pana Wita. Kozaków zostawiwszy

opodał, sam podjechałem o kilkadziesiąt kroków pod bramę. Trząsałem się cały, wnętrzności darły się we mnie, paliło mi się w mózgu, iskry z dymem wylatywały mi z gęby i nozdrzów. Czulem, że diabeł z całą swoją mocą był we mnie. Gdybym był zaraz uderzył, byłbym mur chiński w gruzy powalił, ale ja chciałem dwór jeszcze obaczyć, jego gładkim widokiem się jeszcze rozjrzeć, abym tym silniej i zapalczywiej uderzył i tym większą potem miał radość, patrząc na jego ruinę. Patrzałem więc. I z szatańskim w mej duszy uśmiechem patrzałem na ów dworek drewniany, jak śnieg bieluteńki, z równie białym ganeczkiem o czterech słupach, na którego czole przybita była Matka Boska Ostrobramska, która ze łzami w oczach i z uśmiechem na licu patrzała na zielony, przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym w środku trzy lipy stały z darniowymi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dość tam było, a gołębie, siedząc trzema wieńcami na lipach, zlatywały na dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciami swoim przez płoty, którymi był ogrodzony dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły z daleka, fletnia się odzywała zza lasu, powietrze pełne woni cudownej rozścielało się dookoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na dwór i dziedziniec. Cha, cha, cha! jak to pięknie było! istna bukolika¹⁵⁷!... Stałem na koniu, za krzakami bzu i iwiny¹⁵⁸ schowany, i patrzyłem, i cieszyłem się, że tu jest tyle szczęścia, tyle spokoju, tyle niewinnej piękności... i szatan cieszył się we mnie, że to wszystko jest w moim ręku, że nad tym wszystkim wisi zemsta moja i że za chwilę z tego wszystkiego nie będzie tylko to, co ja zechcę... kropla krwi i garść popiołu!... Kiedy tak myślę i różne ognie warzą się w mojej głowie i sercu i kiedy już tylko co mam uderzyć, dał się słyszeć dzwonek z niedalekiego kościółka, wołający na *Anioł Pański*. Zaśmiałem się. Zdawało mi się bowiem, jakby który z moich kozaków zakradł się do dzwonnicy i sygnaturkę dla konających poruszył. Niebawem jednak ruch się zrobił we dworku, ruch niewielki w dziedzińcu. Gromadka ludzi różnej płci i różnego wieku, pomiędzy nią dzieci nawet, a na ich czele pan Wit z córeczką, wyszła w dziedziniec i uklękawszy przed gankiem i obrazem, poczęła się modlić z wielką pokorą. Na ten widok coś mnie zapiekło w sercu, mróz poszedł po ciele. Oniemiałem, ręce i nogi poczęły mi drętwieć, namiętności kładły się jedna po drugiej. A kiedy drugi raz tenże sam dzwonek się odezwał, mimowolnie skrzyłem koniem i w milczeniu odjechałem ku moim kozakom. Milcząc, ze spuszczoną głową i nie wiem o czym myśląc, przejechałem pomimo nich i puściłem się stępą drogą ku zamkowi wiodącą. Nie wiem, jak długo tak zamysłony jechałem, jednakże wkrótce coś mnie znowu piknęło, obudziłem się i zaśmiałem się sobie w oczy i ze siebie. Potem wpakowałem koniowi ostrogę, zmieniłem front i kopnąłem się całym pędem na powrót do pana Wita. Z całą bandą moją stanąłem przed bramą. Teraz już wszystko wyglądało inaczej... był już wieczór natenczas... słońce już zaszło było... ziemia siniała... księżyc wyszedł na niebo i w lisią czapkę zawinięty, wróżył świętojanke... czeladka wszystka już spała... okna były pootwierane w dworku... cisza była jak na cmentarzu. Popatrzyłem jeszcze raz na ten dworek i szepnąwszy kozakom: – Starca i pannę żywcem na koń i do zamku! – uderzyłem i obskoczyłem dom cały. Co się tam gdzie działo po innych stronach, tego nie wiem; jam skoczył do pokoju, w którym spała panna. Znalazłem ją rozebraną, przestraszoną,

¹⁵⁷ bukolika (gr.) – tu: sielanka.

¹⁵⁸ iwina – rodzaj wierzby.

klęczącą na łóżku ze złożonymi rękami. Kiedym wpadł do drzwi, całkiem czarno ubrany i z ogromnym czarnym piórem u kapelusza, nie wiem, czy mnie poznała, czy nie, ale krzyknęła, padła i omdlała. Wtedy porwałem ją wpół, wskoczyłem na koń i popędziłem do zamku. W godzinę byłem już w domu. Panna moja przyszła do zmysłów, drżała jeszcze od strachu i przerażenia i długo milczała. Jednak w kilka godzin przemówiła, uspokoiła się trochę, dopytywała się o ojca, modliła się wiele i ustawicznie. Po północy kozactwo moje wróciło. Zapewniali mnie wszyscy, że żaden z nich ojca ani widział na oko i że krom trochę rabunku, nic się nikomu nie stało złego. To pannę uspokoiło jeszcze więcej, jednak nie mogła się ani patrzeć na mnie; o dawnej miłości swojej milczała, ciągle się troskała o ojca, ciągle jeszcze modliła. Ja ją wszelkimi sposobami pocieszałem i uspokajałem, przyrzekałem, że wszystko dla niej i jej ojca uczynię, że ją zrobię samowładną i nieograniczoną panią nad zamkiem, nad majątkiem moim, nade mną samym, i byłbym tego niezawodnie dotrzymał, bo krom niej nie było już nic innego w całym sercu i duszy mojej. Ona mnie słuchała, wierzyła i nie dowierzała, i wśród oddawanych mi pieśczęt nieraz wzdygała się przede mną. Jam zapomniał o świecie całym i od stóp do głów stałem się cały miłością.

Tak trwało dni kilkanaście. Śród nich atoli z przyczyny tego wypadku taki się rumor zrobił pomiędzy szlachtą okoliczną, że kilku dworzan moich, których dla szpiegostwa wyprawilem w sąsiedztwa, coraz więcej zatrważające przywozili mi wieści. Szlachta się burzyła, odkazywała, psy na mnie wieszała, zbierała się i nad czymś radziła. Powiadano, że pan Wit chodzi od dworku do dworku, od zaścianku do zaścianku, że błaga, prosi, zaklina, beczki z winem i miodem stawia po miejscach publicznych i krucjatę na mnie zbiera. Jednego wieczora nawet dano mi znać, że już zamierzają napaść na zamek;

postawiłem załogę pod bronią, sam całą noc czuwałem, ale nic nie było. Dnia następnego Gintowt, który przez cały ten czas milczał, przyszedł do mnie i żądał rozmowy na osobności. Kiedysmy byli sami, rzekł mi: – Pan popełniłeś zbrodnię, *vim publicam, crimen*¹⁵⁹. Przyszedłem tedy ostrzec pana, iżbyś rzecz tę w dobry sposób zakończył i przebłagać się starał słusznie zagniewanego ojca, a ostrzegam pana nie tylko dlatego, że sprawka ta gardłem pachnie, ale i dlatego, że jeśli pan się w niej w jak najkrótszym czasie nie oczyścisz, to ani jeden uczciwy człowiek nie zostanie na pańskim dworze. – Ja Gintowta za takie gadanie wyrzuciłem za drzwi, ale pomimo to słowa jego dobrze mi uwięzły w pamięci. Jakoż tego wieczora, znudzony jeszcze naleganiami panny, abym jej ojca jeżeli nie przywiózł do zamku, to przynajmniej odszukał koniecznie, i zachęcony jej obietnicami, że w takim razie uspokoi się całkiem i moją zostanie na wieki, wzięwszy kilku kozaków ze sobą, wyjechałem do dworku pana Wita. Dworek był, ale pana Wita nie było. Pytałem tam, pytałem wszędzie po drodze, nikt mi nic nie odpowiadał. Późnym wieczorem powróciłem do domu... i cóż powiecie na to?

Wjeżdżam do zamku i już na samym wstępie uderza mnie to, że jakaś niezwykajna cisza w dziedzińcu. Pytam, wołam, nigdzie nie masz nikogo. Z bijącym sercem i trzęsącymi od złości wargami zeskakuję z konia, wpadam do zamku, przebiegam wszystkie pokoje... nigdzie żywej istoty. Cisza, milczenie, pustka, jakby tu dzuma dopiero była i wszyscy na nią wymarli. Nie może mi się pomieścić w głowie, co to jest, jestem jak głupi, jak zaczarowany, snem. mi się to wszystko wydaje. Wypadam na dziedziniec, przebiegam wszystkie kąty, wszystkie oficyny, gumna, stodoły, ogród, piwnice, ruiny... wszędzie też sama cisza, też sama głuchota i nigdzie ani żywej duszy. Kozacy, którzy jeździli ze mną na tę wycieczkę, powrócili i także nie mniej zdziwieni poglądają po sobie, lecz milczą. W wściekłości prawie rzuciłem się na nich, pytając, co to? Długo nic nie mówili, aż kiedym jednemu pistolet wymierzył do piersi, zawołał: – Powiem, panie. – Mówże! – krzyknąłem. – Pewnie pan Gintowt wykradł pannę – mówił kozak – i trochę kozaków zabrał z sobą, bo już od kilku dni nas burzył. – Gintowt? –

¹⁵⁹ *vim...* (łac.) – gwałt publiczny, przestępstwo.

krzyknąłem z wściekłością– o! poczekajże, wraży synu! kruki się twoim ścierwem napasą!... – I do północy rzecz się wyjaśniła. Istotnie tak było. Gintowt spisał moich kozaków przeciwko mnie i pannę wykradłszy, uciekł. Reszta kozaków i innej służby, która mi wierna została, spostrzegłszy, co się stało, wsiadła na koń i popędziła za nimi, ale na próżno. Sto szlachty czekało na granicy wsi moich i porwawszy Gintowta z panną pomiędzy siebie, stawili czoło zamkowej pogoni. Pogoń ta uderzyła na nich, ale bez skutku; kilku z nich padło na miejscu, kilkunastu zaś rannych i reszta zdrowych powróciło po północy do domu i o tym wypadku szczegółową mi zdało relację. Takim sposobem tyle usiłowań moich poszło na nic z kretesem!...

Ten cios zadany już ugruntowanej miłości, a nade wszystko dumie i ambicji mojej, wzburzył mnie całego i rozburzył na chwilę. Przez kilka dni byłem jak wariat. Dostawałem najprawdziwszych napadów furii, wściekłości, diabelstwa. Wtedy wybijałem szyby u okien, druzgotałem sprzęty, strzelałem w łby koniom, chciałem nawet siebie zabić na koniec. Za odebranie panny mojej i możliwość pomszczenia się na jej ojcu, na Gintowcie i szlachcie okolicznej, za wycięcie w pień owych szlacheckich zaścianków, którzy w największej części składali pana Wita krucjatę, byłbym zaraz był dał życie i duszę diabłu samemu w ręce. Wychodziłem w tym celu nocą na wierzch ruin zamkowych, do piwnic, na góry oddalone i łyse, do czarownic, do trupiarni, pod szubienice, wołałem go i zaklinałem – ale go nigdzie nie było. Przekląłem nareszcie siebie, że jest tak ubogi i słaby, że sobie sam nie mogę dać rady, i upadłszy na ziemię, krew mnie zalała.

Jak długo leżałem chory, kto mi usługiwał, kto chodził przez ten cały czas koło mnie, nie wiem; wychorowałem się jednak i w kilka tygodni, lubo jeszcze z łoża powstawać nie mogłem, miałem się już o wiele lepiej i byłem całkiem przytomny.

Wtedy przyjechał do mnie jeden ze znakomitej szlachty z Warszawy, którego podczas mojej w stolicy bytności poznałem. Szlachcic ten mówił bardzo wiele, zawile i długo, z czego jednak to wyrozumieć zdołałem: że wiadomość o mnie i o moich uczynkach rozniosła się po całym kraju i doszła do uszu króla, który jest tym oburzony i na przykładne ukaranie mnie konieczne nastaje; że pozew o gwałt publiczny i najechanie domu szlachcica, jako też i o owe dawniejsze moje egzekucje bez sądu, już jest wniesiony; że sprawa ta przez całe obywatelstwo gwałtownie na zgubę moją popieraną będzie i że ani włosa nie chybi, tylko szyję dać przyjdzie. Jednakże w razie takim, gdybym się przed rozpoczęciem tej sprawy zawczasu wynieść chciał za granicę, nie miałbym się czego obawiać – wszystkie trybunały i w ogóle całe sądownictwo jest w ręku partii, która ma potężną Familię na swoim czele – partia ta zaś nie da mi ani jednego włosa strącić z głowy, jeżeli akces¹⁶⁰ do niej uczynię. – Tak mówił szlachcic. A wiedziałem, że prawdę mówi, i wiedziałem to, że partia taka, partia po prostu Familii w rzeczy istnieje w kraju, że partia ta jest silną. – W toż mi graj! – rzekłem sobie. Dałem więc rękę szlachcicowi, że wyjadę – on mnie – że mi ani włos z głowy nie spadnie – wydałem jemu plenipotencję do administrowania dóbr moich – i wyjechałem do Włoch. Wszystko to uczyniłem w nadziei powetowania krzywd moich – powetowania krzywd i wzięcia pomsty nad szlachtą, rozbestwioną na mnie niewinnie, i nad owym starcem piekielnego umysłu, który jeszcze w dzień śmierci mojego ojca zaklął fortunę moją, ażeby w nią diabeł wlaź i rozniósł ją na cztery wiatry! Ale... do dziś dnia nie dał mi Pan Bóg dokonać tej sprawiedliwej zemsty mojej – i może... ej! co tam! wy już śpicie podobno! – zawołał Murdelio, przerywając swoje opowiadanie.

Myśmy nie spali, lecz milczeli.

– Śpicie już? – spytał on znowu.

– Ależ dlaczegóż byśmy spać mieli? cale nie śpimy – odpowiedział pan Fredro – ale powiadaj dalej. Więc to wtenczas zdybaliśmy się we Włoszech?

– Wtenczas! – odpowiedział Murdelio – wtenczas! – i wypił kilka szklanek wina od razu.

¹⁶⁰ akces (łac.) – przystąpienie do czegoś.

– Hej – zawołał gospodarz – wina! Kiedy przyniesiono wino, poczęliśmy pić *de noviter repertis*¹⁶¹, wymyślając różne zdrowia, to takie, to owakie. I ja piłem równo z nimi, ale mi jakoś nie smakowało, piłem, ale mogę powiedzieć, że mi każda kropla krwi w gardle stawała, kłując mnie jak kość albo piekąc jak ogień. Po chwili Murdelio się znów zaczerwienił i na nowo nabrał ferworu; jakoż, podżegnięty przez gospodarza, mówił tak dalej, urywając już atoli lada chwila i popijając całymi szklankami.

– Jakim byłem przez cały pierwszy rok mego pobytu we Włoszech, nie potrzebuję ci tego opowiadać. Krwi by się nikt był we mnie nie dorznął. Drugiego roku dowiedziałem się, że panna moja w kilka tygodni po ucieczce ode mnie poszła za męża za jakiegoś chudego szlachcica, stolnika rzeczyckiego, i że w siedm miesięcy po ślubie powiła córeczkę. Jedno mnie rozjątrzyło na nowo, drugie pocieszyło cokolwiek. W trzy lata dano mnie znać, że już sprawa moja zagładzona zupełnie. Dotrzymano mnie słowa, wróciłem, i ja też dotrzymałem swojego. Przystąpiłem do partii Familii i przez lat kilka dobrze się zabawiałem. Zrywać sejmiki, pić i agitować ze szlachtą, trząść trybunałami i całym sądownictwem po kraju, cha, cha, cha! to przepyszna rozrywka! Ani na wagę złota nigdzie by jej nie można dostać podtenczas w całej Europie. Kiedy mnie Londyn i Paryż, i Rzym, i Neapol już aż do czczości znudziły swoimi redutami, karnawałami, kobietami, dworami, Polska niespodziewanie przygotowała mi taką zabawę. Hulałem sobie tak przez lat pięć z górą. Porobiłem znajomości po całym kraju, wielu pozyskałem przyjaciół, niektórym znakomite oddałem usługi, niektórym stałem się zgoła niezbędnym. Ale dla moich zamiarów nic nie zrobiłem. Trochę szlachcie łbów natargałem, jednego nawet ścięto za moim powodem, ale nic zresztą. Stolnik rzeczycki, za którego poszła była moja panienska, mieszkał przez cały ten czas na Wołyniu i zapewne tam byli szczęśliwi. Nie chciałem im zresztą przeszkadzać, a lubo mnie piekło nieraz we wnętrzu, jednak ciężki już byłem, postarzałem się trochę, na koniec może i sposobności do tego nie było, a może mnie jeszcze jakie inne natenczas zajmowały widoki...

Ale po upływie onych pięciu lat z górą dowiaduję się nagle, że stolnik, zostawiwszy jeszcze drugą córeczkę prócz tamtej, umarł na apopleksję podobno. Wiadomość ta zbiła mnie z tropu. Odpadła mi chęć do burmistrzowania po sejmikach i zjazdach, odpadła ochota do pijatyki i hulanki po dworach, posmutniałem, różne myśli napełniały mi głowę, różne uczucia serce; pojechałem do domu, osiadłem na moim zamku i rok tam cały siedziałem. Śród tego czasu wielka we mnie zaszła odmiana. Wszystkie namiętności, wszystkie ognie pokładły się we mnie. Zapomniałem o zemście nad tym krajem, który mi tyle przyniósł nieszczęścia, nad szlachtą, która nie wiedzieć za co tak mnie nienawidziła i głównie do wydarcia panny niegdy się przyczyniła, nad owym starcem kamiennym, którego przekleństwo ciążyło nade mną. Całą duszę moją zajęła teraz spokojna, lecz silna miłość dla stolnikowej; zapragnąłem widzieć ją koniecznie, jej córkę obaczyć i byłbym oddał wszystko, gdyby ona była oddała mi teraz swoją rękę i ze mną zamieszkała do śmierci. Począłem myśleć nad tym. W tym celu też niebawem kazałem odszukać Gintowta i napisałem list do niego, że mu wszystko zapominam, przebaczam, byle przyjechał do mnie i pomógł mi do wstąpienia na dobrą drogę. Gintowt odpisał mi, że on by mnie się gołą ręką nie dotknął, a kto się mną opiekował dotąd, niech się ten opiekuje i nadal. To mnie zrazu oburzyło, ale po dokładniejszym namyśle jeszcze w głębszy pograżyło smutek i w czarniejszą zgryzotę. I jadły mnie te smutki znów jaki miesiąc. Nareszcie postanowiłem, bądź co bądź, jakiś koniec uczynić. Pojechałem na Wołyń. Przebrałem się znowu w kontusz i żupan, przybrałem zmyślane nazwisko i zasiadłem u znajomego szlachcica, w sąsiedztwie tej wsi, w której stolnikowa z panem Witem mieszkała. Intrygami zrobiłem to, że stolnikowa przyjechała do tego domu z wizytą – intrygami i to, że ją na chwilę zostawiono sam na sam w sali. Wszedłem tam. Była piękną jak anioł, piękniejszą może niż dawniej. Ale jak tylko mnie poznała, wydała krzyk okropny i zemdłała.

¹⁶¹ *de noviter...* (łac.) – tu: z powodu nowo otwartych (beczek).

Otrzeźwiłem ją i uklękawszy przed nią, prawie jednym oddechem wypowiedziałem jej wszystko, co miałem i mogłem końcem dopięcia mojego zamiaru powiedzieć. Nie uwierzyła mi. Ponowiłem zaklęcia, zaostrzyłem przysięgi. Wtedy zmiękła, mówiła ze mną długo, przyrzekła o tym mówić z swym ojcem i rozeszliśmy się. Przez cały tydzień, przez który wyczekiwałem jej odpowiedzi, raj miałem w myślach, raj w sercu, raj w całej duszy mojej. Dnia ósmego dostałem list od niej, w którym mnie zaklinała na wszystkie świętości i obowiązki, abym natychmiast z tego miejsca odjechał, że ona wszystko już zrobi sama i o wszystkim mnie do domu doniesie, żebym tylko był cierpliwy i nie poczynił żadnych kroków gwałtownych. Odpisałem zaraz i przysiągłem najuroczyściej, że natychmiast odjadę, że najspokojniej będę w domu wyczekiwał jej doniesienia, że żadnego, a żadnego kroku nie pocznę i dodałem niebacznie: choćby rok, choćby dwa, choćby nawet lat dziesięć. Na drugi dzień wyjechałem do siebie. I zacząłem wieść życie porządne, pracowite, gospodarstwu i nadwierzonym sprawom majątkowym oddane. W miesiąc odebrałem list od niej, w którym pisze, że ojciec jest twardy i nieubłagany, że ani sobie mówić nie daje o mnie, ale żebym był przeto spokojnym i cierpliwym; że ona ma jeszcze całą i pełną nadzieję i że o naszej wspólnej przyszłości ani na jedną chwilę nie zapomni. Wszystko było kłamstwo i oszukaństwo! bo ani jednego słowa nie mówiła o mnie. Ale ja o tym nie wiedziałem i to mnie jeszcze pokrzepiło i poprawiło. Oddałem się z większą jeszcze usilnością pracy, gospodarstwu, domowi. Począłem na nowo robić znajomości ze sąsiadami; twardo szło zrazu, bardzo twardo, ale kielich pełny i stół otwarty przecie niejednego mi gościa przyciągnął. Przynajmniej ci, którzy byli stronnikami Familii, nie wahali się mnie nawidzić. W dwa miesiące dostałem list drugi, nareszcie i trzeci od stolnikowej; obadwa były takie same, jak pierwszy, obadwa z bojaźni przed mniemaną gwałtownością moją obiecujące złote góry na przyszłość – jednak nie zrażało mnie to, postanowiłem już czekać. Śród tego czekania jednak widziałem jawnie, że tylko to jedno mogłoby tego starca nakłonić ku mnie, gdyby poprawiona reputacja moja na drodze publicznej doszła do jego uszu. Potrzeba było to zrobić. Otworzyłem tedy na ścieżaj wrota mojego zamku, począłem dawać obiady, wymyślać zabawy, polowania i różne hece i zapraszałem na to szlachtę z bliskich i dalekich okolic. Jednak to mi się nie udało. Co należało do mojej partii albo co było lada jakie, to bywało u mnie tłumami – innych atoli niepodobna mi było przywabić. Omijali mnie jakby dżumę. To mnie gniewało i na nowo jątrzyło; jednak tłumilem w sobie mocą wszelką namiętność, a raczej rzuciłem się do innego środka. Około tego czasu książę Karol Radziwiłł, jeszcze miecznik litewski, zgromadził był swoją, tyle sławną potem po świecie, bandę albeńską¹⁶². Banda ta, lubo także nie lada jakie gwałty i roznoszone pomiędzy szlachtę niepokoje były jej codzienną zabawką, miała jednak pewne znaczenie i sympatię w kraju. Postanowiłem przystąpić do niej i odznaczywszy się przy niej jakimiś świetnymi czynami, zmienić o sobie opinię w świecie i dopchać ją do uszów pana Wita. Napisałem więc do księcia, deklarując mój akces. Banda ta ani jej hetman nie wdawali się w pisma, ale odpowiedzieli mojemu dworzaninowi, że przeciw diabłom weneckim chętnie wojować będą, ale sukursu od nich nie przyjmują. Ta odpowiedź, której się wcale nie spodziewałem, wprawiła mnie w wściekłość; zapomniałem o stolnikowej, o miłości mojej, o szczęściu przyszłym, o nadziejach, o wszystkim. Zemsty! zemsty pragnąłem jak hiena trupów i kości. Ale kiedy już co nie idzie, to już całkiem nie idzie! Chciałem zbuntować tę szlachtę, która u mnie bywała, i uderzyć na Albę, ale nikt nie miał odwagi występywać przeciwko księciu; i nie dość na tym, że do mnie przystąpić nikt nie chciał, ale jeszcze na nowo wszyscy ode mnie odskoczyli i na nowo jakieś piekielne plotki porozsiewali o mnie. Zostałem znowu sam... ale srodze ciężką była mi ta samotność moja! Zrazu burzyły się we mnie znów wszystkie namiętności, wszystkie pożądliwości, wszystkie złe i dobre pochucie i przez czas jakiś byłem jak wóz długimi podróżami skołatany, przez kilkanaście szalonych

¹⁶² Alba – folwark ks. Karola Radziwiłła pod Nieświeżem.

koni po kamienistej drodze ciągniony; ale wkrótce konie się zasapały, spieniły, wóz stanął i zastrzegł¹⁶³ w błocie. Wtedy zaciałem zęby i strawiłem w sobie wszystko, co mnie kiedykolwiek dotknęło. Od stolnikowej długo nie odbierałem listu – na koniec dowiedziałem się, że wraz z ojcem i dziećmi gdzieś wyjechała. Na tę wiadomość łzy mi się już tylko puściły z oczu – płakałem. Potem żółć się we mnie wylała, chorowałem, a po chorobie zapomniałem o wszystkim... Wyjechałem po raz trzeci do Włoch. Bawiłem tam znowu lat kilka. Nareszcie król umarł. Nastąpiło bezkrólewie. Powróciłem do kraju. Osadziliśmy tego na tronie, któregośmy chcieli, bez sprzeczki, bez sporu, bez krwi rozlewu. Mruczano wprawdzie na nas trochę po kątach, aleśmy samym spojrzeniem gęby im zamykali. Ja już osiadłem na wieczne czasy na moim zamku i siedziałem na nim spokojnie. Teraz tylko chwilami, kiedy sobie przypomnę szlachtę moją lub stolnikową, wylatuję ze zamku, ale to na czas krótki, na chwilę tylko. Nie masz sprawiedliwości na ziemi! tam, tam dopiero! – wołał zaczerwieniony Murdelio i oczyma iskrzący – tam! – ale pomiarkowawszy się, dodał łagodnie – tam będzie kara dla złych, a dla dobrych nagroda.

Myśmy słuchali obadwa z panem Fredrem tej diabelskiej spowiedzi i obadwaśmy, jakby niemi, milczeli. Byliśmy pijani potężnie, a mnie osobliwie dziwnie się kręciło po głowie; różne mi się myśli snuły, różne obrazy i przypomnienia, ale to powtarzałem sobie nieraz, a przynajmniej teraz to mówię: że kiedy się społeczeństwo rozprzęga, takie rodzi potwory.

Tymczasem, klasnąwszy w dłonie, pan Fredro:

– Hej! – krzyknął – pić nam dawajcie! – a do Murdeliona łagodnie: – No i jakżeż? i już całkiem nie myślisz o twojej podczaszynej czy stolnikowej?

– Jeszcze dziesięć lat nie minęło – odpowiedział Piotrowicz.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się pan podstoli – to już niebawem będzie miała wnuczeta.

Murdelio na to tylko zgrzytnął zębami jak zwierz i nic nie odpowiedział, a tymczasem wniesiono wino. Więc piliśmy znowu. Pan Fredro się chwalił tym winem i prawda, strzelały butelki, pienity się szklanki, wabiło ono do siebie misternie, ale ja już nie mogłem. Łałem w siebie, ale tylko przez przymus. Murdelio gadał coś dalej, coraz głośniejsze, coraz dobitniej, ale ja już kiwałem się tylko na stołku i mimowolnie drzemałem.

Aż nareszcie opowiadający coś krzyknął głośniejsze, z całej siły w stół pięścią uderzył, jam spadł ze stołka na ziemię, a na mnie szklanki, butelki i wina strumienie, które, lejąc się po mnie, piekły mnie i parzyły jak wrząca smoła lub kruszec jaki roztopiony do płynu. Co się koło mnie zresztą działo – nie wiem, bo leżąc popieczony na ziemi, nic nie widziałem; to tylko pomnę, że się zaraz po upadnięciu moim śmiech taki głośny rozległ po całej izbie, że się aż dom zatrzęsł cały i podłoga zadrżała pode mną. Po chwili diabeł sam *in persona* przyszedł do mnie, a wzięwszy mnie pod pachę, rozpuścił ogon i skrzydła i uleciał ze mną w powietrze. Niosąc mnie i gniotąc Nielitościwie po żebrach, i wyrzucając nosem i gębą kłęby dymów siarczanych i smolnych, świstał tak przeraźliwie, że aż ciemność owej otchłani, którą szła ta wędrówka, rozstępowała się przed nim. Wtedy to gdzieś daleko pod sobą widziałem ziemię piękną i zieloną, na niej niebieskie wstęgi wód i lasami zjeżonych gór brunatne pasma, na niej wsie spokojne, okolone sadami, święte kościoły, starymi ocienione drzewami, brudne miasta, przykryte mgłami dymów i kurzu... i wszystko to zmieniało się przed moimi oczyma co chwila, i przesuwało się tylko jakby malowana wstęga pode mną, bom ja leciał jak wichler stepowy, bez pamięci, bez końca...

¹⁶³ zastrzęgnąć – ugrzęznąć.

IV

Kiedym śród tych dziwnych wydarzeń na powrót przyszedł do przytomności, dzień już był biały, ja leżałem w łóżku, a mój Węgrzynek stał nieporuszony nade mną.

– Co się dzieje? – zawołałem przecierając obydwoma rękami sklezione oczy.

– Nic, panie, wszystko dobrze – odpowiedział sługa.

– Gdzież jestem?

– U siebie w łóżku; niech pan będzie spokojny. Dopiero odetchnawszy z pełnej piersi i obejrawszy się dobrze, przekonałem się w rzeczy, że jestem w domu u siebie i leżę na moim własnym łóżku. Uspokojony tedy cokolwiek, spytałem znowu:

– Jakże ja się tutaj dostałem?

– Nic, panie, wczoraj pan sobie trochę pozwolił i upadł pan przy stoliku koło tamtych panów na ziemię; ja przybiegłem, chciałem pana rozebrać i położyć na łóżko, ale że tamten pan, co to z mnicha się przerobił na pana i pojechał z nami do Hoczwi, chciał koniecznie zaraz odjeżdżać, więc złożyliśmy pana na skarbniczek i przywieźli nocą do domu.

– To mnie przecie diabeł nie niósł pod pachą ponad ziemię! Panu Bogu niech będzie chwała! A gdzież tamten pan jest? śpi jeszcze?

– O, gdzież tam, panie! już i miejsce po nim zastygło.

– Jak to! odjechał?

– Odjechał, panie. Spał może ze dwie godzin, potem godzinę rozmawiał z karczmareczką, która tu wczoraj wieczór przyjechała z Tamowa, przebrał się i odjechał.

– Z jakąż znowu karczmareczką?

– Owa karczmareczka – odpowiedział Węgrzynek – u której my stanęli noclegiem w Tarnowie wtedy, kiedy to się tam szlachta pobiła z żołnierzami; przyjechała tutaj wieczorem i czeka, póki się jegomość nie zbudzi.

– Cóż to może być takiego? – zapytałem się siebie półgłosem, ale z bijącym i niespokojnym sercem, jakby mnie co złego napotkać miało. Rzekłem więc do Węgrzynka:

– Dawajcie mi suknie, niech się prędko ubiorę, a ty idź, powiedz tej karczmareczce, żeby tu przysłała.

Jeszcze się ubierałem, kiedy w rzeczy samej weszła też karczmareczka, w której gospodzie, podczas mojej drugiej w Tarnowie bytności, przez strzał z pistoletu uspokoiłem burdę – weszła, mówię, też karczmareczka i pokłoniwszy się pięknie, rzekła:

– Całuję nóżki jegomości.

– Jak się masz, duszeczko? – odpowiedziałem – miło mnie bardzo cieszyć się twoim widokiem pod moją własną strzechą, jednakże spytać muszę, co cię tu przypędziło do mnie tak daleko i po takich złych drogach?

– Nic tak nagłego – odparła ta piękna niewiasta z filuternym uśmiechem na ustach – tak, wolna wola moja.

– Wolna i nie przymuszona? – rzekłem żartując – to bardzo ładnie; ale czy nie będzie to co szkodzić nietkniętej reputacji twojej, kiedy się o tym dowiedzą w Tarnowie?

– Wielmożny pan sobie żartuje; widać, że zdrów jest i nic mu nie braknie.

– Braknie albo nie braknie – opowiedziałem – ale jakżeż tu nie żartować, kiedy z tym Węgrzynkiem już sobie rady dać nie można. Dalej i po gazetach zaczną pisać o tym, jaki to srogi bałamut.

Powiedziałem to w tym domniemaniu, że przyjazd karczmareczki do Bóbrki nie gdzie indziej miał swą przyczynę, jeno w bałamuctwie mojego Węgrzynka, który sławnym był z tego, że dziewczęta za nim szalały, a to do tego stopnia, że prawie żadna moja dalsza z nim podróż nie obchodziła się bez tego, żeby jakaś nieszczęśliwa ofiara, jeżeli nie osobiście za nim przywędrowała do Bóbrki, to przynajmniej przez listy albo przez posłance do niego się nie zgłaszała. Była to wielka niecnota w tym kawalerze i zapewne godna tego, żebym go już

dla niej samej nie cierpiał u siebie, ale zważywszy sobie jego cnót siedmdziesiąt z tą jedną niecnotą, a nade wszystko mając to na pamięci, że każdy sam za swoje grzechy odpowiadać będzie kiedyś przy ryczałtowym rachunku, poprzeształam zrazu na napomnieniach – a nareszcie i tych zaniechałem, widząc, że one nie tylko nie skutkują, ale mu jeszcze tę zabawkę, czyniąc ją już podwójnie zakazanym owocem, tylko tym czynią łakomszą. Obaczywszy więc teraz ową karczmareczkę we dworze, musiał mi koniecznie przyjść na myśl Węgrzynek; jakoż raz jeszcze sobie zażartowałem, mówiąc:

– Niech go kat pali, tego Węgrzynka! co?

– Wielmożny pan sobie żartuje – rzekła znów z flegmą a filuternie karczmarka – a tam może kto płacze za jegomościa.

– Jak to? za mną? – spytałem zadziwiony, bo mi na wieki wywietrzało z pamięci, że przede mną stojąca niewiasta była nie-gdy służebną w Żwierniku i że mogła wiedzieć o moich afektach, zgola nawet o całym procederze tej sprawy. Tymczasem ona znów z wolna:

– Może bym się była pokłoniła jegomości od kogo, ale kiedy jegomość tak pusty, to widać już i zapomniał, co się działo niedawno.

– Nie może być! – zawołałem uradowany – może mnie co przywozisz z Żwiernika? mówże prędko, za jedno słowo ocukruję cię całą.

– Panna Zofia kazała się kłaniać.

– Panna Zofia! – krzyknąłem w szale niewypowiedzianej radości i porwawszy karczmareczkę, posadziłem ją na kanapie, a sam, przysunąwszy sobie blisko niej krzesło, wołałem bez pamięci: – Mówże prędko, jak się ma panna Zofia? kiedyś tam była? kto cię tu przysłał? co mówi matka?...

Ale ona, powstawszy z kanapy i wydobywszy maleńki listek zza gorsecika, oddała mi go, mówiąc:

– Kiedy tak, to czytajże sobie jegomość.

Wyrwałem czym prędzej z rąk jej ten listek i pobiegłszy do okna, rozpieczętowałem i czytałem po raz pierwszy tak łakomie, że nic a nic nie rozumiał. Dopiero przeczytawszy go po raz drugi i trzeci, dziwnie mi się zakłębiło w sercu i w oczach, szalona radość i najgłębsza boleść opanowały mnie zarazem, w jednym też momencie i roześmiałem się z pełnej piersi, i rzewnymi zalałem się łzami. Zosia bowiem pisała w ten sens:

„Wielce mnie miły Mości Panie Skarbnikowiczu! Nie umiem sobie sama tego wytłumaczyć, dlaczego tak naganny krok czynię, że bez wiedzy mamy piszę do Pana, ale to już inaczej nie może być. Po kilka razy sama sobie wytrącałam pióro z ręki i darłam list rozpoczęty; ale jakaś moc niewidoma przecie mnie przewyciężyła na koniec, że go dokończyć musiała. Może już tak Bóg chce, żebyś Waszmość koniecznie wiedział, co się tu dzieje. Wiedz Pan tedy, że z powodu tego nieszczęścia, które się tutaj stało, mama bardzo cierpi i posmutniała, dziadek także bardzo jest fraszobliwy. Zuzia się śmieje, a jmc pan Lgocki ma na przyszły tydzień przyjechać po ostatnie słowo... Matka Najświętsza, do której zawsze, jak się wszyscy spać pokładną, ze łzami się modłę, prawdziwy cud swój pokaże nade mną, jeżeli mnie da zdrowo przenieść to wszystko, co się wciąż dzieje koło mnie i co się jeszcze dziać będzie. Nie ma już szczęścia dla mnie na świecie; niechże choć wiem, co się dzieje z Waszmością. Śniło mi się, że Waszmość bardzo jesteś zmartwiony; niespokojną jestem o niego, bo życzę mu z całego serca, abyś żył sto lat i był bardzo szczęśliwy, tylko mi napisz dwa słowa.

Zofia”

Karczmareczka widząc mnie płaczącego, rzekła z troskliwością:

– Czegóż jegomość płacze? czy tam stoi w liście co tak bardzo smutnego?

– Nic – rzekłem, tuląc się we łzach – pewno, że nic wesołego. Biedna Zosia!

– Oj, biedna, panie! Koniecznie ją chcą wydać za tego starościeca, a tu darmo. Niebożátko po całych nocach płacze i ma rację, bo do czego to podobne małżeństwo z takim, z przeproszeniem jegomości, mazgajem, co jeno ludzie naśmiewają się z niego. Boże! ani do tańca, ani do różańca; ja bym sama nie poszła za niego. Nie wiem nawet, co się przyśniło pani stolnikowej z takim panem młodym.

– Ot! przyśniło jej się – odpowiedziałem – myśli, że już wygrała, kiedy jej zięć będzie miał o parę tysięcy więcej majątku niż inny.

– Boże! Boże! – zawołała karczmareczka, biorąc się oburącz za głowę – ta czegóż oni chcą od jegomości; przecież tu, chwała Bogu, i fortuna, i taki dostatek, że jeno chyba ptasiego mleka brakuje. I w Żwierniku więcej niczego nie ma.

– Widzisz! – rzekłem i otworzywszy żelazem okutą skrzynię, w której było kilkanaście worków pieniędzy – patrz! i tu jeszcze się najdzie.

– Jezus Maria! – zawołała karczmareczka – i jeszcze nie chcą jegomości!

– A nie chcą.

– Powariowali, jak Pana Boga kocham.

– A powariowali – odpowiedziałem – ale powiedzże mi, jest jaka rada na to? co myśli panna Zofia?

– Panna Zofia, nieboga, smutna bardzo i wciąż płacze. Przysłała po mnie ukradkiem do Tarnowa, bo ja to jeszcze od dziecka znam tę panienkę, przecie tyle lat byłam w tym domu, bo i prawdę powiedzieć, wychowałam się we Żwierniku. Otóż przysłała po mnie Zosia i powiada mnie: – Kasiu, zrób ty mnie to a to. – I dlaczegóż bym była nie miała zrobić? pojechać kilkanaście mil niewielka rzecz. Mąż i tak siedzi, nie sprzeciwi się temu – i pojechałam. Na odjezdnym mówiła mi Zosia: – Tylko, na miłość Boga, zaklinam cię, przekonaj się pierwej, co myśli o mnie pan skarbnikowicz; listu mu nie dawaj na żaden sposób, aż póki nie będziesz wiedziała na pewno, że tęskni za mną; ale kiedy się z nim rozgadasz, to powiedz jemu, że choćby mnie zabili, ja za Lgockiego nie pójdę. – Zresztą nie wiem nic, bo prawdę powiedzieć, to i nie było czasu długo rozmawiać; zawsze to ten, to ów przejdzie i przeszkodzi. Tyleśmy tylko ze sobą gadały, co w oranżerii.

– Dziękuję ci bardzo, moja droga, za te najmiłsze dla mnie nowiny i bądź pewna, że czy mnie Pan Bóg da kiedy dopiąć mojego zamiaru, czy nie, o tobie nigdy nie zapomnę, a kiedy już tak wszystkie, i moje, i Zosine wiesz tajemnice i kiedy od tak dawna poufała jesteś z domem żwiernickim, powiedzże mi, jak ty rozumiesz, co tu począć w tym razie? Czy podług twego rozumienia jest jaka droga, którą byśmy mogli panią stolnikową ku sobie nakłonić, czy nie? Bo ja przyznam ci się, że lubobym Pan Bóg nie wie co nie dał za to, lubobym zaraz i połowę życia poświęcić gotów, jednak od dnia tej nieszczęśliwej rekuzy tak ogłupiałem, że ani jednej myśli w ład przyprowadzić nie mogę.

– A cóż ja mogę wiedzieć, panie? przecie jegomość ma lepszy rozum ode mnie.

– Ba, rozum! człowiek ma rozum wtedy, kiedy ma szczęście, ale jak nieszczęście, to i największy rozum cudzych rad łaknie. Słuchaj, ty masz także rozum, jak widzę, i wiesz pewno niejedną rzecz; czy nie można by czego dokazać przez Zuzię?

– Ej! szkoda mówić, panie; to takie niedobre pannisko, że prędzej co komu złego zrobi, niż pomoże.

– A stary jegomość?

– Ta! stary jegomość jedno, drugie słowo by mógł dorzucić, ale przecie nie to się dzieje, co on chce, tylko to, co pani.

– A któż by? no, może jaki sąsiad albo sąsiadka mogłaby co wymóc na samej pani? bo, jak mi Bóg miły, tak bez cudzej pomocy ja sam ani kroku już nie zrobię. Krew się zagotowała we mnie i takem wyjechał z Żwiernika, że gdzieżby mnie tam teraz oczy pokazać samemu?

– Hm! – rzekła karczmareczka, uśmiechając się do mnie. – Jegomość się mnie radzi, a dalibóg, że jegomość tylko żartuje ze mnie. Wie jegomość dobrze, kędy najlepsza droga.

– Jak to, duszeczko? jak ciebie kocham, tak nic a nic nie wiem.
 – A cóż tu robił ten mnich u jegomości?
 – Jaki mnich? – zapytałem.
 – O! o! jużci dopiero co przed godziną odjechał.
 – Murdelio? – zapytałem zdziwiony – a cóż on może?
 – Oj! dużo może! – odpowiedziała karczmareczka – dla siebie może nie wszystko, ale dla innych u pani stolnikowej wszystko.
 – Nie rozumiem ciebie; powiedzże mi, co wiesz o tym Murdelionie?
 – Ej! na co tam jegomości wiedzieć! to tylko jegomości powiadam, że kiedy by on chciał, to zaraz by to zrobił, żeby Zosię dali jegomości.
 – Ale powiedzże mi, co wiesz o nim?
 – Nikt nic nie wie, ale ja wiem wszystko. Albom to raz podsłuchiwała pode drzwiami, kiedy, bywało, po całych godzinach rozmawia z panią stolnikową w osobnym pokoju? Nikt nic nie wie, ale ja wiem; to jest przebrany kochanek pani stolnikowej, pan wielki, aż gdzieś het z Litwy czy stamtąd, skąd jest stary jegomość. On się starał dawnymi czasy o panią stolnikową, kiedy jeszcze była panną, i już miało przyjść do tego, ale nadeszła wojna, on poszedł do żołnierzy, potem pojechał z wojną w dalekie kraje, a kiedy wrócił, to już zastał panią stolnikową zamężną. Przymusili ją pójść za stolnika; tak mnie to stary furman powiadał, który tu z państwem przyjechał aż z tamtych krajów. Otóż Murdelio, kiedy z wojny powrócił i zastał panią już zamężną, to bardzo desperował i pani także dnie i noce płakała, bo i ona była jego wołała niż tamtego. Ale cóż, kiedy już ręce były stułą związane? Przecie Murdelio, kochając panią, chciał koniecznie co na to poradzić i może byłby co poradził, gdyby był z Bogiem zaczął; ale on diabłu duszę zapisał i z jego namowy męża pani zabił. Potem chciał się z panią żenić, ale już pani nie chciała. Otóż on za swój grzech teraz pokutuje, a jak go odpokutuje, to się z panią ożeni. I pani jakoś teraz już nie bardzo ma ochotę iść za niego; podobno go się boi, ale przecie pani go kocha jeszcze. Pani by wszystko dla niego zrobiła, tylko iść nie chce za niego, a on nieraz tak prosi, tak ją po rękach całuje, klęka przed nią, dalibóg, panie, on klęka przed nią, sama to przez dziurkę od klucza widziałam. Ale na co jej tego? kiedy on już diabłu duszę zapisał, a kiedy by pani poszła za niego, to i jej dusza pewno by przepadła... i ona pewno nie pójdzie za niego; ale żeby jej tylko słówko powiedział, to Zosię zaraz by panu dała.

Kiedy ta karczmareczka mówiła, ja się przechodziłem po izbie i słuchałem jej pilnie, gdy atoli skończyła, ja stanąłem i rzekłem:

– Moja droga! i ja także cokolwiek wiem o tej historii, bo i ja podsłuchiwałem pod drzwiami pani stolnikowej, a lubo ta rzecz ma się wcale inaczej, niż ty powiadasz, to jednak proszę cię i zaklinam na wszystko, żebyś o tym nikomu ani jednego słowa nie wspominała. To, co pani stolnikową dziś cierpi, czy to wskutego dziwnego tylko przypadku, czy wskutek własnej słabości, której opanować nie umie, powinno zostać tajemnicą na wieki. Ja sam nawet, choćby nie dla niej, to dla siebie i Zosi, jestem koniecznie za tym, żeby to się nie rozsiewało, bo chociaż wiadomość moja o tym nigdy na nic mi się nie przyda, bo takiego środka do dopięcia mojego celu nigdy nie użyję, toż gdyby się ona rozniosła pomiędzy ludzi, mogłaby mi bardzo szkodzić. Dlatego też i to powiadam tobie, że projektu, który mi podajesz, cale nie uskutecznię. Jeżeli jest w tym wola Boża, ażeby Zosia była moją, to się to stanie bez cudzej pomocy. Gorzki by mi był dar ten, który by mi przyszło przyjąć z ręki Murdeliona.

– Ja nie widzę nic w tym złego – rzekła mi na to karczmareczka – jeżeli jegomość Murdeliona użyjesz za swata; człowiek sobie radzi, jak może.

– Zostawże już to mnie, moja kochana – odpowiedziałem i urwałem rozmowę. Po chwili jednak, poczawszy na nowo, obradziłem się z karczmareczką, że bądź co bądź później uczynić wypadnie, teraz przynajmniej należy chwycić za to, co sam los szczęśliwy podaje, i z Zosią stałe utrzymać relacje. Wielka to będzie dla nas obojga ulga i pociecha. Ale ponieważ

ona mi powiedziała, że na żaden sposób często do Bóbrki przyjeżdżać nie będzie mogła, bo jej mąż jeszcze ciągle siedzi w kałauzie, a nawet już raz powiadano, że go wieszać będą, więc zdecydowałem się pod jej opiekę oddać mojego Węgrzynka, którego ona obiecała tak wprowadzić¹⁶⁴ w Żwierniku, żeby mógł, przez nikogo nie postrzeżony, tylko przez wtajemniczyć się w to mającego ogrodnika tamtejszego sukursowany, listy od Zosi odbierać, mnie przywozić i nawzajem jej moje doręczać. Tymczasem zaś, odpisawszy list Zosi, w którym jej wypisałem wszystkie moje afekta i na wszystko najświętsze zakląłem, aby tylko czas jakiś wytrzymała, oddałem go karczmareczce, naładowałem jej wóz leguminami, wędlinami i Węgrzynkiem, dodałem do tego jeszcze kilkanaście dukatów i wyprawiłem z Panem Bogiem do Tarnowa. Sam zaś zostałem znowu smutny i srodze rozmiłowany, o tyle jednak miałem się lepiej, o ile mi wiadomość od Zosi przyniosła ulgi i nadziei.

Tego dnia po obiedzie przysłał pan podstoli kozaka do mnie z zapytaniem, jak się mam i czym zdrów dobrze, zapraszając mnie oraz, iżbym chorego Urbańskiego odwiedził. Ale ja, zapewniwszy się od kozaka, że pan Urbański ma się o wiele lepiej, kazałem powiedzieć, że jestem niezdrów i że kilka dni muszę pozostać w domu. Chciałem być sam z moimi myślami tylko i z listem Zosi, którego, po kilka razy do dnia odczytywany przez mnie, wielką mi sprawiał pociechę, a nieraz nawet taką uludę, jakbym zgoła z samą Zosią rozmawiał. I to mi było najmilej.

Tak w różnych myślach i przypomnieniach minęło mi znowu dni kilka. Ale jeżeli przypomniała te, im częściej je przywoływałem przed oczy mej duszy, tym mi się stawały miłszymi, toż myśli moje tylko coraz to czarniejszy wlokły za sobą smutek. Bo i jakżeż nie było mnie być smutnym natenczas?... czyż listy Zosi nie były tylko chwilową i nader kruchą pociechą? czyż wykryte przez matkę, co się lada chwila stać mogło, nie pogorszyłyby całej tej sprawy i nie przyćmiły jeszcze bardziej wszelkich naszych nadziei? Czyż miałem jaką pewną postępowania drogę nadal wytkniętą? czy mogłem liczyć na czyją pomoc? czy mogłem liczyć na pomoc Boską, nie pomagając sam sobie? O! smutny, bardzo smutny był stan mój natenczas, tym smutniejszy, ile że to wiedziałem do siebie, że z namysłem jeszcze żadnego przedsięwzięcia nie doprowadziłem do skutku. Byłem młody i czerstwy i Pan Bóg rzucił młodość moją w takie czasy, w których wiele było do czynienia... i nie mogę powiedzieć, jak tylko to, że wiele rzeczy się już do tego czasu było zrobiło, za które czy to obywatelstwo, czy przełożeni moi otwarcie wypowiedzieli mi wdzięczność, jednakże nic pewniejszego nad to, że żadnego z owych wielu przedsięwzięć nie podejmowałem inaczej, tylko tak, jak Bóg dał, zaraz z pierwszego natchnienia. I udały się wszystkie. Co atoli i kiedykolwiek tylko przedsiębrałem, a od razu mi się nie udało, to pewnie już nigdy nie przyszło do skutku. Cudze rady, cudze doświadczenia nigdy mi się na nic nie zdały. I byli to przymiot tylko mój osobisty, nie chcę tutaj rozstrzygać: to jednak wiem z doświadczenia, że jest to przymiot oplakany. Bo czyż nie płakać nad tymi, których szczęście i powodzenie stoi zawsze tylko na jednej chwili? Czyż nie płakać nad tymi, którzy zresztą zawsze cudzej potrzebują porady i cudzego rozumu? Nędzne takich jest życie, nędzniejsze jeszcze przeznaczenie. Z olbrzymimi fortunami pójdą w niedostatek i nędzę! i nie pozostanie im nic, tylko ta okruszyna z każdym dniem bardziej wędniejącego serca, którym, płacząc nad swoim głupstwem i niedolą, zaledwie litość potrafią obudzić dla siebie u bliźnich.

Ale cóż było robić! wiedziałem to i wahałem się długo, jednakże dnia jednego pojechałem do pana Błońskiego, do Bereski, na radę. On to był, który za najmądrzejszego uchodził w całej ziemi sanockiej, on, który w najzażyłszej przyjaźni żył z moim ojcem, on na koniec, który mi ranne ożenienie poradził; niechże mi teraz poradzi, co począć z rannym sercem i ranną miłością. Ale jeżeli to lichy rozum jest, który cudzej potrzebuje porady, toż nierównie lichszy jest ten, który w miłości idzie się radzić ludzi starych, którzy już dawno zapomnieli co

¹⁶⁴ wprowadzić (łac.) – wprowadzić.

miłość. Pan Błoński nie tylko mi nic nie poradził, ale jeszcze, pomimo całego rozumu swojego, ani zrozumieć nie mógł, czego ja właściwie chcę jeszcze w tej sprawie.

– Dostałeś rekuzę – mówił on – panna jest obiecana innemu, czegoż ty jeszcze chcesz?

– Panny! – odpowiedziałem niecierpliwie.

– To panien trzysta masz koło siebie.

– Ale ja tamtej chcę panny.

– No to śmieszna, kochany Marcinie, jesteś jak dziecko, któremu się szybki z okna albo gwiazdki z nieba zapragnie. Czy nie wiesz, co to „nie można”? Owe szaleństwa za kobietami, owe wzdychające miłości zostaw już Francuzom i Włochom. To ich rzemiosło. Polakom, których umysł z natury stateczny i których serce do wyższych daleko rzeczy niż marna kobieta wzniesione, taka rozrywka nie przystoi, ale może być, bardzo wierzę, ale na to jest rada. Wytchnij trochę, popracuj, zabaw się książkami, wzmocnij i otrzeźwij umysł jaką poważną nauką, a kiedy cię to trochę umęczy i znów wyjedziesz pomiędzy ludzi, to ci się znowu inna podoba panna.

Niechętny i kwaśny wyjechałem z Bereski, przyznam się nawet, że obwiniłem pana Błońskiego o stronność i sobkostwo w tej radzie, bo sam miał córkę na wydaniu. Tak to dobrze powiada przysłowie: *cum bonis bonus eris, cum malis perverteris*¹⁶⁵, co się także tak da zastosować, że kiedy człowiekowi jedna zła myśl wlezie w głowę, to już same niepoczciwości ciągną za nią szeregiem.

Powróciwszy do domu, zastałem Węgrzynka, który już wrócił się z swojej podróży i przywiózł mi nowy listek od Zosi. To lepsza dla mnie była rada, skuteczniejsze lekarstwo. Jednakże nie ze wszystkim, ale przecie. Zosia mi pisze, że mój list odebrała, że Panu Bogu najpierwej, potem zaś mnie dziękuje za tę jedyną w jej utrapieniach pociechę. Pisze dalej, że najszczęśliwszą by była, gdyby ją tylko tak zostawiono, jak jest, żeby tylko mogła żyć ze swoimi kwiatkami i o mnie sobie przypominać czasem. Wspomina na koniec, że Lgocki był w Żwierniku ze Stojowskim i swoim wujem, panem Kąkolnickim, że zajechali parady, koni nie kazali wyprzęgać, że dwie godzin rozmawiali z mamą w osobnym pokoju i potem odjechali, ale ona nie wie, o czym tam mówili, bo mama jej nic dotychczas jeszcze nie powiadała. „I chwała Bogu! – dodaje Zosia – bodajby mnie już i nigdy mama o tym nic nie mówiła”.

Wyczytawszy to i pocieszywszy się tą nową od Zosi wiadomością, głęboko się zamyśliłem. Co być może za przyczyna, że Lgocki tak nagle odjechał? Dostałże on rekuzę? o! gdyby to było! ale to niepodobna. Wzięłże całe słowo od matki? czemuż by o tym Zosia już nie wiedziała? przecieżby ją matka chociażby tylko dla formy była o jej wolę pytała. Więc i to być nie może. A cóż jest w istocie? I tak filując¹⁶⁶ sobie: czarno czy biało? przechodziłem się z jakie dwie godzin po izbie. Jednakże nic nie wyfilowawszy pewnego, wpadłem na tę myśl prostą, że daleko lepiej się o tym z pewnego źródła dowiedzieć. Napisałem więc zaraz list powtórnym do Zosi i Węgrzynkowi kazałem się zabierać na popołudniu w nową podróż do Żwiernika. Wypytawszy go jednak o wszystkie szczegóły i wyrozumiawszy, że się doskonale zaprzyjaźnił z tamtejszym ogrodnikiem, że przebrał się w inną odzież, wąż i włosy podstrzygłszy, udaje się tam za brata pani ogrodnikowej i że tym sposobem może, jak długo sobie zechce, siedzieć w Żwierniku, rozkazałem mu wziąć parę koni i wózek i postawić go w karczmie we wsi Żwiernikowi sąsiedniej, aby, wzięwszy list lub wiadomość od Zosi, nie potrzebował już czasu tracić na najem podwojów, tylko swoją ruszał co prędzej na dzień i noc. Do listu i pieniędzy na drogę dodałem jeszcze:

– Mój Janczi, spraw się dobrze a ostrożnie.

¹⁶⁵ *cum bonis...* (łac.) – z dobrymi będziesz dobry, ze złymi popsujesz się.

¹⁶⁶ filować (fr.) – tu: wahać się w decyzji, rozważać.

– Niech się pan nie turbuje, niewiele tam ostrożności potrzeba, bo żebym chciał, tobym i w biały dzień szedł na pokoje, i list od panny odebrał: kto by mi co zrobił? na cały dom tylko stary jegomość i stary sługa.

– Nie bądź głupcem! – niknąłem mu na to – i nie powiadaj lada czego. Jaki zuch! w biały dzień iść na pokoje. Rób tak jak każę; główna to, żeby się nikt nie dowiedział, bo jak tylko cokolwiek zmiarkują, to wszystko przepadło.

– Ej! ja wiem, panie, tylko tak mówię na przykład.

– Już, proszę cię, przykładów żadnych nie mów i eksperymentów nie rób, tylko idź za tą drogą, którą już znalazłeś i która dobrą jest. Nade wszystko cię zaś obliguję¹⁶⁷ i proszę, zapomnij już na teraz o honorze twoim i o wszystkich, choćby najpiękniejszych dziewczętach; zostaw to już na drugi raz, bo przez takie konszachty najprędzej się sekreta wydają.

– Już niech pan będzie spokojny, wszystko będzie dobrze. To rzekłszy, siadł i odjechał. Ja zaś, zadowolony tym, com uczynił, uspokoiłem się cokolwiek i tego dnia zamyślałem na parę godzin wyjechać do Hoczwi, aby i panu podstolemu złożyć moje uszanowanie, i panu Urbańskiemu choremu oddać bratnią i powinna przysługę, a mianowicie, ażeby się trochę rozerwać i świeższym odetchnąć powietrzem. Już wszystko ku temu rozporządziłem celowi, już konie stały zaprzężone przed gankiem, już ja byłem ubrany i tylko co miałem wsiadać, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł do izby cale nie spodziewany teraz Murdelio. Dwa razy nieprzyjemną była mi w tej chwili ta wizyta; raz, że już był wybrany sam z domu wyjeżdżać, a po wtóre, że mnie już całkowicie odrzuciło od tego człowieka. W diabłów po ziemi chodzących nie wierzę, ale zły człowiek gorszy i obrzydliwszy, i straszniejszy dla mnie niż diabeł. Tymczasem rzekł on po staremu pokornie:

– Pokój temu domowi.

– Na wieki wieków – odpowiedziałem obojętnie i zaraz dodałem – jakże tam waszmości powitano w klasztorze bez przyrzeczonej ode mnie jałmużny, którą wziąć zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – odpowiedział Murdelio – jeno umyślnie nie brałem, bom jej jeszcze nie był zasłużył.

– Jakże to? a teraz już zasłużona?

– Zaraz to obaczmy – odpowiedział Murdelio i dobywszy z rękawa tabakierki, podał mi tabaki.

Mnie się jakoś dziwnie zrobiło w tej chwili i serce mi gwałtownie bić zaczęło; zdawało mi się bowiem, wstyd się przyznać do tak grubej omyłki, ale zdawało mi się, że Murdelio, jako to człowiek impetyk i na gorąco biorący się do wszystkiego, zawezwany przeze mnie z klasztoru dla dania mi rady na moje frasunki, domyśliwszy się ich albo zgoła dowiedziawszy się o nich, zaraz też na nie poradził... zdawało mi się, że umyślnie dlatego tak niespodziewanie zniknął był dnia onego z Bóbrki, że poleciał do Żwiernika, że... wszystko już zrobił. Więc podczas kiedy on z tabakierą otwartą siadał w krzesło koło stolika i ja także niedaleko niego usiadłem, milcząc i patrząc mu w oczy. Ale twarz moja musiała się znacznie zmienić w tej chwili, bo tuż rzekł do mnie Murdelio:

– Czegóż się waszmość tak mienisz?

– Mówże – rzekłem do niego – co jest, bo mi serce pęknie.

– Nic jeszcze nie jest – odpowiedział on – ale dobrze będzie. Jam zapomniał o wszystkim i rzuciłem mu się na szyję, wołając:

– O zbawco mój! kimkolwiek jesteś, człkiem czy szatanem, niech ci Bóg nagrodzi!... Tylko, na miłość Boga, mów, mów prędko, co się stało?

– Pomału! – rzekł Murdelio z wielką flegmą i mocno mi się patrząc w oczy – tylko pomału; nic się jeszcze nie stało, ale wszystko się stać może i stanie się, co zechcemy.

¹⁶⁷ obligować (łac.) – zobowiązywać.

Tu urwał i nastąpiła długa chwila milczenia. Jam siedział jak na węglach, ale nie śmiałem nic mówić. Przez tę chwilę srogi człek ten, z wolna obracając tabakierę w rękach, patrzył mi ciągle w oczy i męczył mnie bez miłosierdzia; jednakże w końcu rzekł:

– Więc ty konkurujesz na Rusi?

Jam spuścił oczy ku ziemi. A on znowu:

– Widzisz, na co to tego. Nigdy kłamstwo się długo nie ukryje ani też nieufność może kiedykolwiek dobre przynieść owoce. Zawezwałeś mnie aż z klasztoru na radę, ale zawezwałeś mnie na to, aby mnie okłamać. Gdybyś mi był od razu powiedział tak, jak jest rzecz, dotychczas może by było już wszystko zrobione...

Jam wprawdzie powiedział karczmareczce, że nigdy Murdeliona do pomocy w tej imprezie nie wezwę, i Bóg mi jest świadkiem, że takie miałem przedsięwzięcie... ale w sprawach serca jakże człowiek jest słaby!... W onej chwili jam nie wzywał, alem prosił, błagał, zaklinał Murdeliona, ażeby, jeżeli może, pomógł mi w tej sprawie. On mnie słuchał i po swojemu, zimnym okiem, patrząc na mnie, nic mi nie przerywał, nic nie odpowiadał, aż kiedym skończył, rzekł znowu swoje:

– Powoli wszystko się zrobi, ale powoli i z namysłem, statecznie, porządnie, dokumentnie! Ostatni to czyn, który przedsięwzięję w tym życiu, niechże się za niego nie powstydzę przed światem.

Tu znowu urwał i milczał przez chwilę, a potem dalej:

– Zosia jest doskonałą partią dla ciebie i ty dla niej jak trzeba. Głupia jest stolnikowa, kiedy nie zezwala na ten mariaż. Gdyby Zosia była moją córką albo gdybyś się był starał o Zuzię, już byście dawno byli po ślubie. Prawdać to, że ród Piotrowiczów nie na to rośnie i mnoży się na ziemi, aby pospolitej szlachcie dostarczał małżonek, ale i Nieczujowie także coś znaczą. Niewiele Nieczujów jest na świecie, a zresztą Zosia to Strzegocka. Upór babski twardać to rzecz na tym świecie, twardsza nieraz jak *vir tenax propositi*¹⁶⁸, jak go nazywali Rzymianie – o! – ja wiem, co to upór babski!... ale i na to najdzie się lekarstwo. – Ja też na to:

– Ślicznie mówisz, jak mi Bóg miły, ale powiedzże już raz, jakie to lekarstwo?

– Powoli! – znów po swojemu odpowiedział Murdelio i zażywszy tabaki, zaczął mnie opowiadać starą bajkę o zającu i żółwiu, co mnie niesłychanie znudziło; znudziło tym więcej, ile że mi się wydawało, jak gdyby miał jeszcze wiele rzeczy albo przynajmniej coś bardzo ważnego do powiedzenia i dla niewiadomych mnie przyczyn sam z tym się ociągał. Po bajce milczał znów jaką chwilę, potem zaś spytał:

– Jakąż jest twoja fortuna? tylko mów prawdę co do joty.

– Fortuna moja – rzekłem – gotowizna wraz z sumą zastawną lokowaną u wojewody wynosi trzykroć sto tysięcy, ale przecież prócz tego jest i gospodarstwo jakieś, i inwentarze, że ich w całej okolicy nie masz piękniejszych, i sprzęt jaki taki, i srebra cokolwiek...

– A bydło, a konie? – zapytał Murdelio.

– Bydła jest dosyć, ale co koni, to chyba tylko u pana Fredra najdzie się więcej i może lepsze, ale zresztą zakład stawię, że tu nikt w górach w koniach mi nie dotrzyma. Przecież to w tym momencie stoi ich trzydzieści i siedem takich na stajni, że choćby i zaraz zaprzęgać albo kulbaczyć i ruszać.

– Trzydzieści siedem koni, no... – powtórzył Murdelio – wszystko jest jak potrzeba. A Zosia jakże? pewno to wiesz, że ma skłonność do ciebie i bez wielkiego przymusu odda ci rękę?

– A jakżeż nie! – zawołałem – przecież listy mam od niej.

– Listy masz? cóż pisze?

– Tu masz, czytaj! – odpowiedziałem, dobywając dwa listy z zanadrza i oddając je jemu. Ale on ręką kiwnął mówiąc:

– A co mnie tam do tego, co ona pisze do ciebie! No, rzecz skończona. Zosia będzie twoją.

¹⁶⁸ *vir...* (łac.) – mąż stały w (swym) postanowieniu.

Komu się zdarzyło być w podobnym, jak moje było natenczas, położeniu, kto sobie tylko wyobrazić potrafi, co to znaczy po świeżo odebranej stanowczej rekuzie, po skłóceniu się z rodzicami panny w sposób tak gwałtowny, po utraceniu prawie wszystkich nadziei nagle usłyszeć słowa takie od kogoś, o którym się wie albo wierzy, że wszystko może i wszystko potrafi, ten się wcale dziwować nie będzie, że i ja się wtenczas Murdelionowi rzuciłem na szyję, nie wydając z siebie żadnego innego głosu prócz okrzyków tryumfu i podziękowania. On atoli był wciąż jeszcze zimny i jakby martwy i nie oddając mi uścisków, odsunął mnie lekko od siebie mówiąc:

– Powoli! dopiero to niewód zarzucony, jeszcze w nim ryby nie masz, a głupi, kto ryby łowi przed niewodem. Zosię dostaniesz – powiedziałem raz i słowa mego nie cofam. Ale jeszcze to wiele będziemy gadać o tym. Bo to, uważasz mnie, ręka rękę myje, a nic nie masz darmo na świecie. Zrobię ja coś dla ciebie, zrobisz ty dla mnie. *Clara pacta claros faciunt amicos*¹⁶⁹.

– Ale zrobię, dlaczegóż by nie, tylko powiedz, co każesz.

– Zrobisz, ja wiem, że zrobisz, bo we wszystkim twoja własna korzyść będzie. Powiem ci tedy krótko a węzłowato, bo na co tu długich tergiwersacyj? historia mojego życia jest ci już wiadoma... Bywało różnie na tym świecie. Zrobiło się niejedno dobre, ale też i grzechów coś cięży na barkach. Niejedna dusza poszła na najgorsze drogi przeze mnie, niejedno dziecko osierociało, niejedna rodzina poszła z torbami na wieczny głód i nędzę. Od niejakiego czasu nic nie zrobiłem złego nikomu, ale też za to im więcej się latami oddalam od zbrodni moich, tym cięższe i nudniejsze mi życie, tym więcej mar dręczących kładzie się ze mną na nocny spoczynek, tym więcej snów okropnych wstaje ze mną co rano. Nieraz przez całe noce oka nie zmruję, przez całe dni nie mam pokarmu na ustach i błędząc długimi wieczorami samotnie po polach klasztornych, wlokę za sobą jakieś straszne wyblakłych cieniów gromady, które mnie szarpia, gadają do mnie, zatrzymują na drodze. Ten mnie ciągnie za poję i potrzęsając mi brudnymi łachmanami w oczy, woła: – Zagrabiłeś fortunę moją, daj mi jeść, bo umrę z głodu! – drugi mnie chwyta za rękę, mówiąc: – Panie! gdzie siostra? – inny: – Panie! gdzie oblubienica moja? – ówdzie dziatek drobnutkich gromadka chwyta mnie za nogi płacząc i jęcząc pokarmu! – po lewej stronie na trzech suchych wierzbach skrzypią na wicherze trzy kościotrupy wisielców, a klekocąc do mnie kośćciami i kłapiąc zębami, wołają: – Przyprawdź nam księdza, poginęliśmy bez spowiedzi! – po prawej ciągną niedobitki jakiejś gromady orężnej, odarci i ranni, z opuszczonymi szablami, z poobwiązywanyimi głowami, i mówią chórem: – Poraniłeś nas, dobij nas! – Czasem mi się zdaje, że się ziemia otwiera przede mną i chce mnie pochłonać – inny raz, że mnie już pogrzebanego wyrzuciła ze swoich wnętrzności i że się moim trupem karmią drapieżne ptastwo i dzikie zwierzęta, włócząc kości moje przez wszystkie one pola, na których z szablą stawałem bić się dla zemsty prywatnej lub krotochwili. Biedny jestem, nędzny, umęczony. Inni ludzie, kiedy już przestępują próg męskiego wieku, zbierają pierwsze kłosa dawno poczynionych zasiewów, znajdują szczęście i pociechę w kochającej żonie, w dorastających dzieciach, a sowitą nagrodę za trudy i dolegliwości żywota dają im pięknej ich wiosennej młodości wspomnienia. U mnie pierwszymi kłosami żniwa są noce bezsenne i strasznymi zaludnione marami; żoną moją – burzące się we mnie sumienie; dziećmi – urągania i szyderstwa otaczających mnie ludzi; a na wspomnienia młodości sam sobie ręką muszę zakrywać oczy. I próżno dzisiaj zamknąłem się żywcem w murowanym grobowcu; próżno otoczyłem się ludźmi, których dusza spokojna i czysta jak kropla krynicznej wody i serce jak łza wyplakana przed Bogiem; próżno z nimi się wiąże rozmowami moimi, sprawami i życiem, próżno na modlitwach i służbach kościelnych długie trawię godziny; próżno się spowiadam, ciało i krew Pańską przyjmuje, nabożeństwa urządzam, sypię pieniądze na domy Boże i litościwe uczynki – spokoju duszy i utraconej wiary niczym okupić nie mogę. Księża odpuścili mi dawno – ale czuję to w głębi serca, że mi

¹⁶⁹ *Clara pacta...* (łac.) – Szczere układy czynią szczerych przyjaciół.

Bóg nie odpuścił i na tej drodze nigdy mi nie odpuści. Jest coś, co mnie wiąże z całym dawnym żywotem moim, z całą przeszłością moją, i to tylko jedno zbawić mnie może!...

Tu Murdelio przerwał na chwilę i kręcąc swoją tabakierę w rękach, patrzył wprost przed siebie, aż zaczął znowu:

– Ale jeżeli w życiu moim tyle znajduje się złego, a mianowicie, jeżeli w czym uchybił jako obywatel i dłużnik mojego kraju... to temu nikt nie winien, jeno stolnikowa. Nigdy byłbym nie poszedł tymi drogami, gdyby nie ona. Może była we mnie krew zanadto gorąca za młodu, może z przyczyny danego mi wychowania dziwne we mnie się wyrobiło sumienie, ale to wszystko nic jeszcze! Krew by się była wyburzyła sama ze siebie, a sumienie przecie kiedyś byłoby się odezwało swoim przyrodzonym głosem, tak jak się dzisiaj odzywa. Ale ona! ona miłością swoją obalamuciła mi serce, obietnicami głowę, zem się zaszalał, zatumanił, zem wszystko, cały świat stracił sprzed oczu, a widział tylko ją i życie z nią, i niczego nie pragnął więcej, tylko siebie i fortunę moją, i wszystko podesłać pod niewdzięczne jej nogi. Gdyby mnie była wtedy, kiedy została wdową, stanowczo odepchnęła od siebie i powiedziała, że mnie nienawidzi, że mnie widzieć nie chce na oczy, to byłbym się wściekł może z rozpaczy, ale przecie z czasem byłbym tak człowiekiem, jak inni! Bo czy to jedno przeboleło się już w tym życiu?!... A ona wciąż nadziejami łudziła i pisała listy za listami, i przysięgała, że ojca ku mnie nakłoni, i zaklinała, ażebym był cierpliwy i czekał! Być może, że ona to czyniła tylko z obawy o siebie i ojca, abym ich drugi raz nie najechał, z obawy o mnie, abym sobie w łeb nie strzelił z rozpaczy – o! bo ona wiedziała, jakie serce mam dla niej i czym ona jest dla mnie! Być może, że to była obawa, ale czegoż w tych listach stoją gorące zapewnienia miłości, wynurzenia tęsknoty, żalu, przysięgi na zawsze i do śmierci?... O! ja mam wszystkie te listy! Ja je mam i noszę je tu na piersiach, i z nimi chodzę, i śpię, i modłę się, i nimi owe duchy błakające się przy mnie żegnam i odstraszam. Ale nie, wyrazy te w listach nie stały darmo – ona mnie kocha od pierwszego widzenia, kochała zawsze i kocha dziś jeszcze. I to jest owa nitka wiążąca mnie z moją przeszłością. Póki tej nitki nie rozerwę na zawsze albo jakimś mocniejszym węzłem nie powiążę na nowo i na wieki, poty nie będzie spokoju w mej duszy. Rozerwać jej nie mogę, trzeba ją związać koniecznie!

– Ale to jest kobieta uparta! – ciągnął po krótkim wytchnieniu Murdelio – nabożna, bogobojna, trwożliwa. Może by zaraz w rok po śmierci stolnika była oddała mi rękę, ale jej ktoś powiedział, zem ja diabłu duszę zapisał, aby się od moich nieprzyjaciół ochronić – odtąd nic jej już ku mnie nakłonić nie zdoła. Myślałem, że wstąpienie moje do klasztoru, ocieranie się o ołtarze i księży, zachowanie, jakie u świątobliwych ludzi zyskałem, odwiedzie ją od tej opinii; ale gdzież tam! gorzej jeszcze. Jej się zdaje, zem się przed diabłem schronił do klasztoru. I na próżno nieraz całymi godzinami u nóg jej leżę, łzami oblewam ręce jej i nogi, tarzam się w prochu przed nią jak robak, jak płaz najnędzniejszy; na próżno klnę duszę i ciało moje, że będę najłagodniejszym dla niej mężem, że ja obsypię bogactwami i wszelkimi rozkoszami świata, że na koniec całą fortunę moją dzieciom jej oddam – ona jest jak gład niewzruszona. – Może jeszcze mam serce dla ciebie – powiedziała mi niedawno – ale raczej zniosę wszystkie męczarnie, raczej śmierć, niżbym miała oddać ci rękę. Tyś jest zły duch i potępiony. – Ale żebym miał świat cały do góry nogami wywrócić, dusza ta, o której wiem, że mi poślubioną była tam gdzieś za światami, choćby na jeden dzień tylko przed śmiercią, musi być moją! I będzie.

Tak mówił Murdelio. Ja zaś, mając już wyjaśnioną tę całą historię, która, nie mówię już, dziwną w sobie, ale dziwnie zdawała się, być powiązaną z moimi własnymi losami, i mając czas do odetchnienia i namysłu, rzekłem na to:

– Kochany panie! Waćpan jesteś tak zły człowiek i taka czarna przeszłość ciąży nad twoją głową, że nie tylko nie zdarzyło mi się podobnego *subiectum*¹⁷⁰ spotkać na życiu, ale nawet

¹⁷⁰ *subiectum* (łac.) – indywidualność, jednostka.

nie mógłbym być wierzyć temu, że się co podobnego naleźć może na naszej ziemi. Nie dziwuję się też wcale, że świat widzi w tobie samego diabła, bo iście diabelska dusza jest w tobie. Wiedząc, jaki jesteś, nie powinienem się ciebie ani ręką dotykać, ani słowa nawet przemówić do ciebie. Ale jam znowu ani taki rygorysta, ani taki bojaźliwy o swoje sumienie i choćbyś ty i diabłem samym był, i nie wiedzieć jak mistycznie mnie pętał, to mnie nie opętasz. Dobrych nauczycieli miałem za młodu i nauka ich w głowie, a wiara święta tak głęboko u mnie jest w sercu, że Panie Boże mi pomóż! cale się nie obawiam o siebie. Dlatego mówić będą z tobą otwarcie, a najprzód powiadam ci to, jeżeli to prawda wszystko, co powiadasz, i jeżeli tak prawda, jak ja sobie tę całą rzecz zresztą wyobrażam, to ja wierzę temu, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby się dla ciebie stać zbawieniem. Syt już jesteś łotrostwa, krew młoda wyburzyła się w tobie; za młodu wychowany lada jako, żadnego uczciwego nie doznałeś uczucia, to jedno silnie zapanowało nad tobą i to jedno, dobrze prowadzone, mogłoby z ciebie zrobić człowieka. Wierzę temu, bo bywały już przykłady, że i najzakamieniali zbrodniarze, jakimś jednym czystym powodowani uczuciem, nawracali się na drogę cnoty i stawali się nie tylko uczciwymi ludźmi, ale nawet wzniosłym przykładem i wzorem dla drugich, a niektórzy z nich, uznani za to przez Kościół święty, błyszczą dzisiaj jako najwspanialsze ozdoby całego człowieczeństwa. Daleko to zapewne do tego, tak jak do każdej wielkiej rzeczy, i aby tylko poprawy i oczyszczenia z takich ciężkich grzechów dostąpić, potrzeba już szczególnej łaski Bożej, o czym u ciebie, dzisiaj przynajmniej, ani mowy być nie może. – Jednakże, bądź co bądź, ja w to wierzę, że ożenienie się twoje ze stolnikową mogłoby ciebie na dobrą naprowadzić drogę. Ale widać, że albo Pan Bóg już cale o tobie zapomniał, albo Opatrzność zupełnie innymi drogami nad tobą się ulitować zamyśla, bo gdyby Pan Bóg chciał tego, to pewno by już dawno tak był natchnął panią stolnikową, że do tego czasu już byś był i zapomniał, kiedyś się ożenił. Zresztą gdyby i tak było, gdyby i była w tym wola Boża, to zawsze jeszcze nie rozumiem, jakim sposobem to uskutecznić zamyślasz; chyba że znowu zbrodnię jaką masz za rękawem, co, pomimo całej twojej poprawy, jeszcze zawsze być może.

– Hm! – rzekł na to po niejkiej chwili Murdelio – ty nie wierzysz w moją poprawę, a przecież w tej chwili masz najjawniejszy jej dowód. Powiedziałeś mi *Pater noster*¹⁷¹, jak ksiądz na spowiedzi; pomieszałeś mnie z błotem, podeptałeś mnie tak, jak jeszcze nikt w życiu; gdyby o mnie to był kto dawniej powiedział za oczyma, co ty dziś w oczy, to już by się dotychczas był kapał we krwi swojej po uszy; a ja nic na to, a ja słucham ciebie pokornie jak żak profesora i kładąc uszy po sobie biję się jeno w piersi i modłę się po cichu. – Ja też na to:

– Ej! nie bardzo ty taki pokorny, jak się wydajesz; nie masz jeszcze ani tygodnia, jak za nic, ale to, jak mnie Bóg miły, za nic posiekałeś pana Urbańskiego na kwaśne jabłko.

– Na kwaśne jabłko, powiadasz? bodaj ciebie! ot, kreseczka mu się mała dostała, której do dzisiaj pewno i znaku już nie ma.

– Aha! nie ma! jeszcze i z łóżka nie wstawał.

– No! mój kochany! toż znowu trudno. Nikt się na to nie bije, żeby drugiego pogłaskał, tylko żeby go wybił.

– Ej! to tam mniejsza zresztą i o to nie chodzi; w pojedynku kto kogo rani czy zgoła zabije, za to nie odpowiada, bo przecie i swojej głowy nadstawia. Nie ma co o tym mówić; ale do rzeczy, do rzeczy. Więc jakież to masz plany względem skłonienia stolnikowej do swoich zamiarów?

– Owóż więc – rzekł Murdelio, zażywając tabaki – tylko słuchaj mnie uważnie, bierz rzeczy, jak są, a nie gorąco, boś, widzę, porywczy i przy zarozumiałości na swoją cnotę, z którą zresztą diabeł tam wie, jak stoi w rzeczy, masz jeszcze skłonność do kaznodziejstwa, a to nudna rzecz na dzisiejsze czasy. Więc jedna jest tylko droga i tej się chwycić należy.

¹⁷¹ *Pater noster* (łac.) – tu: kazanie.

– A tą drogą jest?

– Wykraść stolnikową i zabrać do siebie. Jam osłupiał, Murdelio ciągnął dalej:

– Wykraść, czyli zabrać gwałtem, to jedno. I niech ci się nie zdaje, że to będzie coś złego lub zgoła zbrodnia nowa; ja wiem pewnie, że ona tylko czeka na to i pragnie, abym to zrobił. Dobrowolnie pójść za mnie nie może, nie dlatego, że jej powiedziałem, żeś diabeł, bo u kobiety miłość jest wszystkim, nie tak jak u nas zabawką tylko lub krotoczwila! ja to wiem dobrze. Więc nie dla diabelstwa mojego dobrowolnie nie pójdzie za mnie, ale dlatego, że ojca swojego kocha, a on by umarł raczej, niżby miał córkę oddać mi za żonę. Ty nie masz wyobrażenia, jak ona do tego starca jest przywiązana! Ale kiedy ją gwałtem zabiorę i kilka tygodni tylko potrzymam na moim zamku, to obaczysz, że wszystko dobrze będzie. Jej ani na myśl nie przyjdzie opierać się woli mojej, a ojciec... ojciec udobrucha się prędko. I będziemy bardzo szczęśliwi! Fortuna jest w doskonałym porządku, zamek wyrestaurowany i urządzony po pańsku, ba! po królewsku; dostatek we wszystko jakby w raj, ja ją otoczę sług tysiącami, złotem obję jeszcze jej komnaty, wschodnimi kobiercami powyściełam posadzki, z Gdańska posprowadzam karety, starcowi dam magnackie wygody i dzień, i noc czuwać będę nad tym, aby mu każdą chwilę tych ostatnich dni jego umaić, osłodzić, ozłocić. A kiedy już miły spokój zawita w mej duszy i stałe szczęście zamieszka w domu moim, wtedy wymuruję klasztor wielki w mych dobrach, sprowadzę z Krosna franciszkanów, nadam im kilka intratnych wiosek i tak przy zatrudnieniu codziennym, przy pracy około roli, przy staraniach moich około codziennego szczęścia drogich mi osób i przy modlitwach pobożnych ojców za duszę moją, mam nadzieję, że się Pan Bóg zlituje nade mną i da mi dostąpić owego spokoju w chwili skonania, do jakiego wszyscy na ziemi wzdychamy. – Cóż ty na to, panie Marcynie?

Jam się przechodził po izbie i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wielka walka toczyła się we mnie. Głowa moja uznawała słuszość argumentów Murdelionowych, ale serce odtrącało je, samo nie wiedząc, dlaczego. Byłem przekonany, że tak jest i tak się stanie, jak on powiadał; otwartość i szczerłość w przyznaniu się do win wszystkich, do grzechów całego życia bardzo za nim mówiła; ale zawsze owo wykradanie stolnikowej przeciwko jej woli oburzało mnie i obrzydzało mi tak tę całą sprawę, że wolałbym być nigdy nic o niej nie słyszeć. Zbrodnię zbrodnią naprawiać nie jest to ani rzecz uczciwa, ani jakimkolwiek prawem pozwolona. Bo gdzież rękojmia, że stolnikowa tylko tego czeka? gdzie pewność, że starzec nie skona w samą chwilę zniknięcia córki?... Ale Murdelio był to człek bity we wszystkich rzeczach. Poznał on zaraz, że moja o tej sprawie opinia chwieje się we mnie, więc aby szala jego zamiarom przeciwna nie opadła do ziemi, nie tracił ani chwili czasu i począł w swoją szalę nowe ciężarki dorzucać.

– Bo uważasz mnie – mówił on dalej – że stolnikowa w duszy pragnie tego, abym ją wykradł, nie masz żadnego wątpienia. Ja mam listy od niej, które jasno tego dowodzą, ja ci opowiem najświeższe między mną a nią sceny... sceny...

– Hola! – zawołałem – ja sam jedną pamiętam. I dopiero mi się przypomniała owa nocna scena, którą przez drzwi słyszałem, kiedym po raz pierwszy nocował w Żwierniku. Ta chwila przypomnienia była chwilą łaski Bożej nade mną. Człowiek jest słaby, a milion razy słabszy, kiedy mu miłość zawiązała oczy i całe wyłącznie dla siebie zabrała serce. Kto wie, co by się było stało i do czego pomiędzy nami przyjść mogło! Bóg mi świadkiem, że tak gorąco pragnąłem wieczną przysięgą powiązać się z najdroższą mi Zosią, i także Bóg świadek, że pokusy tego szatana takie były łudzące, że gdybym był natenczas upadł pod nimi, to dzisiaj jeszcze, jak jestem stary i na sercu zakrzepły, całe bym się sobie nie dziwił. Ale Pan Bóg zawczasu wejrzał łaskawie na sługę swego i nie dał go na pastwę nieprzyjacielowi ludzkiego rodu.

Od owej tedy chwili, kiedym zawołał „hola”!, czułem to w sobie, że na mnie jakaś moc wyższa spłynęła; jakoż zaraz inne zająłem stanowisko w tej walce, nie pytając wcale na to,

jakie ono będzie, żołnierskie czy kaznodziejskie, byleby bitwę z niego można wygrać na pewno. Owóż na moje nagłe „hola” równie nagle zawołał on obrzydły kusiciel:

– Jaką scenę pamiętasz?

– Już ci tę scenę, kiedyś stolnikowej mękami groził, kiedyś o panu Wicie mówił, że łotr, kiedy dzwonek upadł ze stołu, kiedy krzesło się wywróciło...

– Ja nic o tym nie wiem – odpowiedział najspokojniej Murdelio – mnie tam nie było.

– Ale cóż ty mnie gadasz! poznałem twój głos, poznałem głos stolnikowej, przecie stałem w drugim pokoju pod drzwiami.

– Ale co tobie jest, Nieczujo! Jak Pana Boga żywego kocham, że mnie przy żadnej takiej scenie nie było – mówił kusiciel, składając się jak wąż, który Ewie podawał jabłko w raju – gdzieżbym ja stolnikowa straszył jakimi mękami! Być może, że przy jakiej dłuższej z nią rozmowie wybuchnąłem trochę goręcej, zem rozpaczałem, zaklinałem, groziłem, że siebie zamęcę, że się zabiję; to wszystko być może, bo człowiek nie jest z lodu, a i najcierpliwszy na koniec cierpliwość utraci, ale żebym jej czymkolwiek groził, to nigdy być nie może. Byłeś rozespany, przesłyszało ci się i koniec. – Ja też na to statecznie:

– Ale już ty mnie nigdy w tym nie przekonasz, żeby mnie się co przesłyszało. Ja mam uszy i oczy na swoim miejscu, a edukowałem je w polu, na wojnie, gdzie każde niedosłyszenie grozi śmiercią, a przesłyszenie wiecznym wstydem u całej chorągwi, a czasami i gardłem. No, ale prowadźże twoją sprawę dalej, urwałeś w samym środku. Chcesz wykradać stolnikową, wypowiadałeś się przede mną jakby przed księdzem, obiecujesz mi wyrobić możliwość ożenienia się z Zofią, powiadasz, że nawzajem czegoś zażadasz ode mnie? Czegóż ty żadasz ode mnie?

Powiadają, że diabła nikt w sprycie nie przejdzie; i prawda to i nieprawda. Nieprawda, bo już wiele rzeczy mu się nie udało na świecie, a od niejednej duszy nie tylko że haniebnie odsądzony został jak kot od mleka, ale nieraz jeszcze i z bizunami na plecach powędrował nazad do piekła; prawda zaś, bo zaledwie mnie Pan Bóg natchnął dobrą myślą i uczciwą fantazją, już Murdelio zaraz to poznał i zręcznego dał kominka. Więc kiedy ja go pytam na serio a prosto w oczy, czego on żąda ode mnie, on mnie dalejże wypłatać androny, jako Zosia jest piękna, jak stateczna, jako ja z nią będę szczęśliwy i tak dalej. Ale ja nic; nie tędy, którądy ty chcesz, jeno którądy ja chcę. Rzeknę tedy:

– Ej! wiem ja to wszystko lepiej od ciebie; ale gadaj no, czego ty żadasz ode mnie?

On nic. Umilkł, jakby go kto zaklął w drzewo lub w kamień. Tedy ja po nim:

– A toż ty tu po to przyszedłeś, łotrze jeden, abyś w tę kałużę, w którąś sam wlałeś, i mnie za sobą pociągnął? to mnie do współnictwa w łajdactwach twoich chcesz namówić? to nabroiwszy sam po szyję i naładowawszy na siebie zbrodni aż po sam kołnierz, mną się chcesz dzisiaj przed światem zastawić? to tumaniąc mnie Zosią i pomocą twoją, chcesz, abym dał koni moich i ludzi, i sam abym poszedł i pomógł tobie do umęczenia niewinnej i tak już nieszczęśliwej kobiety? Za kogo ty mnie masz, łotrze jeden, za kogo mnie masz, gadaj zaraz!

– Co to jest! – krzyknął na to, prędko powstając z krzesła Murdelio. – Waćpan się zapominasz, mospanie Nieczujo! ja waćpana miałem za uczciwego człowieka i spuściłem się przed nim z tajemnic, o których, jak mnie Bóg miły...

– Co się ty będziesz Bogiem zastawiał, diable jeden! – zawołałem na połowę z udanym, a na połowę z prawdziwym ferworem – hej! jest tam który! ja cię tu zaraz nauczę, jak to sedukować¹⁷² sług Bożych i poniewierać szlacheckim potomstwem! – i udałem, jak gdybym chciał do drzwi iść i wołać na sługi. Ale wtem on, cofając się ku drzwiom i mnie do nich przystęp tamując:

– Mospanie Nieczujo! – krzyknął – waćpan się zapominasz! ja się zwykłem krwawo mścić każdej krzywdy.

¹⁷² sedukować (łac.) – podejść, oszukać.

Lecz jeszcze i tych słów nie domówił, kiedy już sobą tak silnie we drzwi uderzył, że się te otworzyły na ścieżaj i w tymże momencie rzucił się do sieni, i jakby go nigdy nie było, zniknął.

Ja zaś, Panu Bogu szczerze dziękując za to, że mnie tak szczęśliwie i bez popełnienia jakiegoś gwałtu na gościu moim dał wyjść z tak niebezpiecznej pokusy, ofiarowałem już i resztę dnia tego na wieczną chwałę Temu, który nigdy nie odmawia swojej opieki wszystkim sobie wiernym sierotom na tym padole płaczu, a którego Imię święte niechaj będzie pochwalone na wieki.

V

– Boże! kto Ciebie nie widzi w pierwszych słowach Księgi Rodzaju, kiedy, uniesiony w powietrzu nad zakłóconych żywiołów bezładem, wyrzekasz Twoje wszechmocne „Stań się” i rozstępują się przed Tobą i ogień, i woda, i powietrze, i ziemia; kto Cię nie widzi w krzu gorejącym na górze Synaj, kiedy upadającemu przed Tobą w proch Mojżeszowi ognistym palcem na kamiennych tablicach piszesz Twoich dziesięcioro przykazań; kto Cię nie widzi na czarnymi chmurami otoczonej Golgocie, w Synu Twoim, który cierniową umęczony koroną, na drzewie krzyżowym rozpięty, z przebaczeniem na ustach dla swych prześladowców i katów, a oczyma i duchem obrócony do nieba, z niewinnością baranka kona, biorąc na siebie brzemień grzechów całego świata; kto Cię nie widzi w owych lampach odwiecznych, którymi dniem i nocą wszechświatom przyświecasz, w drzeniach ziemi ponocnych, w błyskawicach olśniewających źrenicę, w strasznych gromach, bijących w rozgorzałą spiekami ziemię, w prześlicznych tęczach, siedmioma igrających barwami, w zorzach rannych, wieczornych, które bladawymi promieniami do pół niebios sięgają; kto Cię nie czuje na błękitnych niwach, na wielkich stepach, gdzie” tak tęskno duszy, gdzie tak niemo i pusto, i głucho i słyhać tylko w górze szum niezrozumianej pomiędzy wichrami rozmowy; kto Cię nie czuje w wielkich i wspaniałych świątyniach w chwili uderzenia organów, na wielkich smętarzach, gdzie groby ustępują grobom, trumny trumnom, kości kościom; na rumach¹⁷³ miast wielkich, które dziś witają przechodnia tylko kilkoma chwiejącymi się kolumnami i garścią mchem zarośniętych kamieni, których wielkość, dawna żyje już tylko w pieśniach uciekających w góry i lasy przed powodzią nowego świata i w nie dokończonych powieściach, tulących się do starych zamków i grodów; kto Ciebie, Boże! nie widzi w milionach stworzeń, od słonia aż do drobnego robaczka, rozsypanych po ziemi, rozpuszczonych po powietrzu, zanurzonych w wodzie; kto Cię nie widzi w jasnej zieleni wiosny, w jaskrawych barwach lata, w urodzajach jesieni, w trupiej martwocie zimy; kto Cię nie czuje w uderzeniach krwi własnej, w tęsknocie duszy, w uczuciach i natchnieniach młodości – ten jeszcze Cię znajdzie w własnych pocziwych uczynkach. I może Ty nigdzie się większym i nigdy jaśniej nie objawiasz człowiekowi, jak w owym zadowoleniu i owej niemej, nieopowiedzianej radości, która obejmuje serce jego po każdym tryumfie cnoty, po każdym uczciwości zwycięstwie. Dlatego życzę waszmości szczęścia, panie Marcinie, i szczerze cieszę się z tego, żeś się wczoraj nie dał temu złemu człowiekowi uwikłać w one szatańskie sidła, które na ciebie zastawił.

Tak mówił do mnie mój ksiądz misjonarz dnia następnego rano, kiedyśmy po mszy świętej, którą on czytał, a do której ja mu służyłem, wyszli z kościoła i na chwilę zatrzymali się w bramie. I w istocie dnia tego, zaraz po owym wystraszeniu Murdeliona z mojego domu, czułem się tak swobodnym, tak lekkim na duszy, jak gdybym nie tylko jakiegoś pobożnego dokonał czynu, ale zgoła jak gdybym żadnych nie miał na sercu frasunków. A tymczasem w

¹⁷³ rummy – gruzy

tym sercu były wciąż jeszcze i frasunki, i niepokoje; bo któż i kiedy, który pierwszą miłością objęty, miłość tę musi tłumić i zamykać w sobie, nie doznawał frasunków i niepokojów? Więc były one i we mnie, ale ksiądz misjonarz, który wyleczony ze swego pobicia i z gór powracający, iście jak gdyby przez Boga zesłany, dnia tego świtem zawitał do mnie, pobożnością i mądrością swoją tak je zaklął we mnie, że ani się odezwać nie śmiały.

Widząc tak dobre skutki na sobie z obcowania mojego z tym zakonnikiem, zapraszałem i prosiłem go usilnie, ażeby choć jaki tydzień zabawił u mnie, ale żadnym sposobem tego dokazać nie mogłem. Ksiądz ten zawsze tak wiele i tak różnych spraw miał do załatwienia i tak ich ważnością był zajęty, że u niego wszystkie dni, ba! nawet godziny, były już naprzód obliczone. Jakie to sprawy były i czy się wszystkie tyczyły jego misjonarskiego powołania albo przynajmniej kościoła, nie umiem z pewnością powiedzieć, bo nie był on z tych ludzi, którzy swoimi czynnościami się chwala i zarazem je wszystkim opowiadają – to jednak pewno, że go wszędzie było pełno: dziś poleciał nocą do Lwowa, za kilka dni spowiadał i miał głośne kazanie w Kalwarii pod Przemyślem, nazajutrz cały dzień albo dwa dni bawił w jakim małym miasteczku i chrzcząc mieszczanom dzieci, spowiadając i każąc, nawidzał ich domy i dawał im jakieś nauki; ledwie tydzień przemiął, on już wraca z Krakowa; wstępuje do dworów szlacheckich i tutaj będąc na imieninach, ówdzie na stypie, a tam na weselu, tu wyprosił jakiś obraz do ołtarza, tam wyrobił grację¹⁷⁴ dla jakiegoś staruszka dworzanina lub wdowy obarczonej dziećmi, a gdzie indziej jakieś inne jałmużny lub składki na cele pobożne albo obywatelskie. Czyniąc tak wiele i skutecznie, nigdy nie powiadał w niedzielę, czego mu Pan Bóg dokonać pozwolił w sobotę, ale śpiesząc się zawsze, nieraz się z tym wymówił,

że na poniedziałek ma konferencję ze szlachtą, na wtorek jakąś obradę z księżmi, a na środę musi być w tym lub w owym miasteczku, gdzie na poczcie czekają na niego listy i skąd musi wyprawić posłance albo piśmienne wysyłać ekspedycje. Więc żadne moje prośby ani nalegania, ani obietnice nie mogły go nakłonić do pozostania u mnie, a kiedy ja, gorąco jego dłuższej gościny u mnie pragnący, niekrótką orację mu powiedziałem *pro domo sua*¹⁷⁵, on mnie cierpliwie wysłuchał i rzekł na koniec:

– Już to daremnie waszmość się silisz na to, aby mnie u siebie zatrzymać; Bóg świadek duszy mojej, jak bym to chętnie uczynił, choćby tylko dla samego spoczynku, ale co nie można, to nie można. Człowiek nie do spoczynku stworzony! Jechać muszę, a odjeżdżam nie ze smutkiem, tylko z ukontentowaniem, bo mojego przyjaciela zostawiam na dobrej drodze. Czy to wszystko prawda, co Murdelio o sobie powiadał, nie wiem, bo różnych dróg szatan próbuje ku uwiedzeniu człowieka; ale tego możesz być pewnym, że gdyby tylko dziesiąta część tego prawdą była, to będzie dosyć, aby go dłużej nie cierpiano w klasztorze. Już to moja w tym głowa. Co się zaś tyczy panny, bądź całe spokojny i nie turbuj sobie na próżno tym głowy; bywa to czasem, że uczciwe uczynki Pan Bóg natychmiast wynagradza i jeżeli jest Jego w tym wola, to i bez twoich turbacyj i trosków stanie się pewno. Tak pisze Pismo, tak powiada i on autor wielki, któremu sam Bóg posyłał natchnienie, mówiąc:

*Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek więcej troszcze, niżli trzeba.*

Tak mnie uspokoiwszy i pokrzepiwszy na duszy, mój ksiądz misjonarz wsiadł na swój wózek i odjechał. Ofiarowałem mu kałamaszkę i moje konie, jako wygodniejszy sprzęt do odbywania podróży, ale nie przyjął, mówiąc, że mu się nie godzi wymyślać i kontent jest bardzo, kiedy ma chłopską podwodę; bo wszakże gorzej i niewygodniej byłoby mu

¹⁷⁴ gracja (łac.) – chleb łaskawy, wysłużony po latach pracy.

¹⁷⁵ *pro domo sua* (łac.) – w mej własnej sprawie.

podróżować piechotą, a i to przecie praktykowało się nieraz i praktykuje bez żadnej skargi, ba, i bez myśli nawet, że to jest niewygodnie. Taka to skromność była w tym człowieku.

Ja zaś, zostawszy sam, lubo mnie nieraz tęsknota ścisłała za serce, a Zosieńka co chwila stawała przed oczyma, byłem jednak dobrej myśli i wcale spokojnie wyczekiwałem powrotu mojego Węgrzynka. Spokojnie, mówię, bo i wzmocniony byłem dusznie przez misjonarza i pewny byłem, że Węgrzynek prędzej później przecie z pewną wiadomością od Zosi powróci, boć to jasną mu dałem na drogę naukę. Ale minął dzień jeden i drugi, i trzeci, ba! i czwarty, i piąty, i tydzień nareszcie, a jego jak nie ma, tak nie ma. Zacząłem pomału zapominać misjonarskie nauki, a drażniony próżnym wyczekiwaniem, zwłaszcza gdy dzień ósmy i dziewiąty bez wiadomości o nim przeminał, zacząłem na dobre się niecierpliwić. Ale cóż i kiedy pomogła komu niecierpliwość? Minął dzień jedenasty i dwunasty tak samo, moja niecierpliwość wzrosła do wysokiego stopnia, postanowiłem już tylko dzień jeden czekać, a dalej już ruszać sam przeciw niemu, aż tu dnia trzynastego, a było to właśnie w samą niedzielę, kiedy się ubierałem rano, aby pójść na mszę świętą, nie wiem jakim sposobem włożyłem żupan na wywrót na siebie. Rzecz też do mnie wyrostek Serebnicki (szlacheckie dziecko ze Serebnicy, a syn owego to Serebnickiego, któremu byłem wziął z sobą do konfederacji, kiedym za trzecim nawrotem do niej się wybrał):

– Chowajże Boże dziś od jakiego nieszczęścia!

– Ot! nie pleć lada czego i nie wywołuj wilka z lasu – odpowiedział mi na to, bo całe mi się żadne nie przywidywało nieszczęście.

Jakoż i zupełnie spokojnie zeszłem na mszę świętą i jeszcze spokojniej powróciłem. Po obiedzie różnymi myślami, które to w samotności zwykle gromadami cisną się do głowy, zajęty, przechodziłem się po pokoju i już zaczynałem smutnieć sobie po trochu, kiedy na dobrych parę godzin przed zmrokiem przyjechał pan Fredro z panem Balem do mnie. Kontent byłem nareszcie z tego i wybiegłem do nich na ganek, a tu zaraz pan podstoli obaczywszy mnie i jeszcze prawie nie wyłażąc z powozu, rzecze wesoło:

– Mospanie! bardzo to niepięknie dla ciebie, że kłamiesz.

– A to kiedy się stało? – zapytałem zdziwiony, bo niczym się tak nie brzydę, jak kłamstwem i jeszcze mnie podobno nikt na nim nie złapał. Ale on na to:

– Bodajby i niedawno: powiedziałeś kozakowi, żeś chory, a ono widzę ciebie jakby lwa zdrowego i czerwonego. – Tedy ja:

– Możem ja i nie bardzo pokłamał, bo jeszcze to niekoniecznie jest zdrów ten człowiek, który czerwono wygląda, owóz i lew, choćby najbardziej zachorzał, zawsze jeszcze jako lew patrzy i umrze, i po śmierci jeszcze każdy po nim pozna, że lwem był za życia.

– Nie chwał no ty się tak bardzo tą lwią naturą – rzecze znowu pan Fredro – bo i lwów bieda biją, a to o tyle mocniej, o ile więcej zapominają, że im lwami być przynależy.

– Otóż to jest! – zawołałem ja na to – lwem się urodzić, to nic nie kosztuje, bo to dar Boski i rodzicielski; ale lwem się utrzymać ledwie dziesiąty potrafi.

– Tak, tak, panie bracie – odpowiedział pan podstoli, kończąc i biorąc mnie pod rękę, aby ze sieni przejść do pokojów – tak, panie bracie; i ja byłem lwem kiedyś, i ot! głupstwo, włoska mysz mnie ugryzła i na nic zeszedłem.

Z tym weszliśmy do izby. Więc ja najpierw przeprosiłem moich gości, że muszę wyjść na chwilę, i zaraz wybiegłem, aby rozporządzić jakie takie przyjęcie. Jakoż w niedługiej chwili zastawiono przednie wino węgierskie, jeszcze chowu nieboszczyka mojego ojca, piernik prawdziwy toruński, małdrzyki¹⁷⁶, kawał marcepana dziwnie pięknie upieczonego a sprowadzonego aż z Przemyśla, i innych jeszcze specjałów po trochu, aby się panowie nie krzywili na moje przyjęcie. Piwnica po moim ojcu została się tak doskonała, jak mało gdzie w okolicy; było też w niej wino szampańskie, ale nie dawałem go zaraz, aby też nie myśleli, że

¹⁷⁶ małdrzyki – okrągłe placuszki z serem, smażone na maśle.

ich aż winem targowym przyjmować muszę, swego nie mając. Warto zresztą było im co dobrego zastawić, bo znawcy byli; jakoż zaraz pan podstoli, pokosztowawszy tego wina, rzekł do mnie:

– Teraz wcale się nie dziwuję, dlaczego nieboszczyka skarbnika, którego przyjaźnią szczyliłem się od młodości, wszędzie brano na sędziego do winnych procesów, że mu aż nawet tytuł winnego sędziego przyczepiono w obywatelstwie! Ale, proszę cię, gdzie było to wino, kiedyśmy na święty Marcin byli u ciebie w Rabach?

– Nie podawałem go tam – odpowiedział na to z uśmiechem – bo, między nami mówiąc, wiele górskiego tałatajstwa się najechało; ot, tak między sobą, to co innego; ale wypijcie jeno to, to może jeszcze i lepsze się najdzie.

Oni też pili i smakowali sobie w tym moim winku, co mnie bardzo cieszyło. Spytałem też nareszcie:

– Jakże się ma pan Urbański?

– Lepiej, lepiej, chwala Bogu – odpowiedział pan Bal – chciał już z nami tu jechać.

– Widzisz, panie kasztelanicu – rzekłem do niego – że nie diabeł to był ów Piotrowicz.

– Nie idzie za tym – rzecze znów on – widziałem ci ja takich, którzy już zgoła w jego szponach byli, a przecie jeszcze zdrowo i cało powrócili do domu i żyli po kilkadziesiąt lat.

– Już ja temu nie wierzę i dla przekonania ciebie gotów bym każdą próbę z nim zrobić, którą byś wymyślił.

– Ot! – rzekł na to podstoli – ja go znam daleko dawniej niż wy obadawa i powiadam, że to człowiek wcale taki, jak inny. Trochę więcej namiętności, trochę diabelskiego rozumu i nieszczęśliwa miłość, która obraziła i serce jego, i zanadto wygórowaną ambicję, i owóz wszystko, co go od zwyczajnych ludzi odróżnia. Prawdą jest, że są w nim między innymi przymioty takie, które trącą diabelstwem i lada jurysta zaraz by nam powiedział, którego paragraf na to przeznaczają *poenam colli*¹⁷⁷, ale to jeszcze nie dowodzi, że tak jest wedle sumienia. Jeżeli zaś ten człowiek was tak bardzo zadziwia, to tylko dowodzi, żeście nie byli za granicą, że niewiele jeszcze świata” znacie i że z waszą uczciwością jest jeszcze jako tako. Ale co się zgoła szczerzego diabła tyczy... ha! zresztą, nie wiem, ja przynajmniej w żadnych diabłów nie wierzę.

– A ja wierzę – odpowiedział stanowczo pan Bal – i nie rozumiem, dlaczego bym miał nie wierzyć, kiedy od niepamiętnych czasów, cały świat katolicki w nich wierzy i ustawicznie swoją wiarę faktami potwierdzającą się widzi. – Na to podstoli:

– Tobie się nie dziwuję, bo tyś sam teraz świeży fakt znalazł: stanąłeś za plecyma Piotrowicza i nadeptał ci na nogę.

– Śmieję się, śmieję – odpowie na to kasztelanie – a ja ci sto wypadków opowiem takich, gdzie wiarogodni i starzy ludzie naoczni świadkami byli.

– Proszę cię – odparł na to podstoli – jeżeliś mi przyjacielem, to nie będziesz już nic gadał o diabłach; są to rzeczy tak bezrozumne w sobie, że już w cywilizowanej Europie nikt nawet o nich nie myśli; tylko jeszcze w kochanej Polonii najpocześniejsza pod słońcem szlachta nie tylko że rozmowę taką ze specjał sobie uważa, ale nawet wiarę w diabły i duchy ma sobie za jakiś artykuł religijny.

– Prawdę mówi pan podstoli – rzekłem ja na to – w rzeczach każdej wiary, nie mówię już samej religii, wszystkie rozumowania nie są na swoim miejscu.

– Oczywiście – rzekł na to pan Fredro – w rzeczach wiary nie masz rozumowania. Kto rozumuje, ten już nie wierzy. Ale w rzeczach miłości i nadziei dużo się da powiedzieć, i to bez żadnej szkody. Jakżeż tedy u ciebie, panie Marcinie? czy zawsze jeszcze *status quo*¹⁷⁸, czy jest jaka odmiana? – Ja też na to:

¹⁷⁷ *poenam colli* (łac.) – karę gardłową.

¹⁷⁸ *status quo* (łac.) – ten sam stan rzeczy.

– I u mnie odmiana, i tu, widzę, na stole jest trochę odmiana; zaraz wam będę służył.

To rzekłszy, porwałem klucze i pobiegłem do piwnicy, ale tą rażą przyniosłem jeszcze lepszego wina, którego skoro tylko pokosztował pan podstoli, zaraz zawołał:

– To w tobie diabeł siedzi, mospanie, ale nie w Piotrowiczu!

Skąd ty masz takie wino? Jak mnie Bóg miły, tak u Ossolińskiego, gdzie każdą beczkę i butelkę tak znam, jak u siebie, nie masz takiego kordiału.

– Wolne żarty! panie podstoli dobrodzieju, ale snadź znajdzie się tam trochę lepsze, chociaż i u mnie jest jeszcze jedno, przy którym i to jakby cienkusz tylko wygląda.

– A! panie Marcinie! – zawołał pan Bal – bierzesz nas na tortury! Chyba że chcesz, żebyśmy nigdy nie wyjechali od ciebie.

– Bodajbyście i nie wyjechali! – rzekłem, całując Bala po obu stronach twarzy, na co pan Fredro uśmiechnął się trochę i rzekł:

– Niechże wam Bóg sekunduje! Z czego ta szlachta nasza porobione ma serca, dalibóg, nikt nie odgadnie. Dostyc się nadeptałem po cudzych krajach i ziemiach, i grodach, i miastach i zawsze to sobie powiadam, że nasza *cara patria*¹⁷⁹ ledwie by na pastwisko być mogła dla tamtych; ale co się tyczy przyjaźni i gościnności, toby tamtym wszystkim długo się uczyć u naszej szlachty...

– I snadź nigdy się nie nauczyć – dodał pan Bal. – Chodziłem ja między Niemce i inne Angielczyki, byłem nawet w Szwajcarii, gdzie to lody wieczne na górach, a na dołach pomarańcze i lemony¹⁸⁰, potrafiłem także o Włochy, gdzie znowu tak gorąco, że aż człowiek topnieje – ale niechże nie będę Balem, jeżeli tam co widział z tych cudów, o których wy powiadacie. Ot! zwyczajne bajki i koniec.

– Nie gadajże tak, proszę ciebie – odpowiedział podstoli, uśmiechając się dobrodusznie, co było już znakiem bardzo dobrego humoru – tyś był za granicą, to prawda, aleś tam był dla potrzeby; przeszedłeś przez Niemcy, nie umiejac ani jednego słowa po niemiecku...

– Przecie mnie rozumieli – przerwał pan Bal.

– Oni ciebie rozumieli, aleś ty ich nie rozumiał.

– Dlaczego by nie! i ja ich rozumiałem. Do pół Niemiec wszędzie gadają po polsku, w drugiej zaś połowie choć nie gadają, to przecie rozumieją. Ja ani jednego słowa nie umiem powiedzieć z niemiecka, a przecie nigdzie ani głodu, ani pragnienia nie zaznał.

– Poczcwiwy kasztelanie – rzekł na to pan Fredro – ale na cudzych krajach nic a nic się nie rozumie.

I takeśmy się zabawiali stateczną rozmową, od jednej do drugiej przeskakując materii, i bardzo nam przyjemnie czas schodził, bo już to, prawdę mówiąc, nie masz podobno nic na świecie nad dobrą kompanię. A lubo pan Fredro ani na jedną chwilę nie zapomniał o tym, że się w starych papierach trochę więcej czego nachodzi o jego niżeli o naszych antenatach i z tej przyczyny nawet, jeżeli kogo po przyjacielsku brał pod ramię, nigdy nie zaniedbywał łokciem go drapnąć po żebrach, to jednak nie wiem, jak komu, ale mnie to nic nie wadziło. Trąci mnie Fredro, trąc ja pospolitszego od siebie szlacheica, temten znowu trąci zagonowego, zagonowy potraći mieszczuka, mieszczuk potraći chłopą, a i chłop jeszcze, kiedy mu przyjdzie ta fantazja, potraći Żyda lub innego jakiego hultaja i tak wciąż idzie na tym Bożym świecie, i nierozumny by był ten, kto by się gniewał za to. Lecz kiedy sobie tak rozmawiamy, ja gościom moim coraz lepsze wino zastawiam i czym mogę im służyć, oni zaś ustawicznie się sadzą na pochwały i komplimenta dla mojej piwnicy; nagle nowy turkot nowych gości zapowiedział przed gankiem.

– Widzisz – zawołał na to zaraz pan Fredro – szlachta dobre wino zwąchała i ciągnie do niego jak mucha do miodu.

¹⁷⁹ *cara patria* (łac.) – droga ojczyzna

¹⁸⁰ lemons (wł.) – cytryna

Tymczasem zaś drzwi się otworzyły z łoskotem i wpadł ni mniej, ni więcej, tylko Stojowski, Lgocki staroście i ów bogaty wuj jego, którego poznałem był w Żwierniku, imię pan Kąkolnicki. Ucieszony tak niespodziewanym darem Bożym, skoczyłem do nich, witając i całując się z nimi serdecznie, oni też ze mną nie mniej kordialnie, osobliwie też pan Stojowski, z którym już mnie, jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej wzajemne poszanowanie wiązało; a podczas kiedy ja się tu cieszę z moimi gośćmi i witam ich, stołki im do stolika przystawiam i, jak mogę, sadowię i raczę, rzecze pan Fredro, który się wcale z miejsca swego nie ruszał:

- Panie Stojowski, widzę, mnie nie poznałeś – a pan Bal dodał zaraz:
- Ani mnie także.

Stanął tedy Stojowski, przypatrując się im obudwom, pocierał sobie czoło, mówiąc:

– Przysięgnę na to, że was znam obudwóch, zdybywaliśmy się gdzieś podczas wojny, ale żeby mnie kto zabił... otóż to pamięć przekłeta!

Ale kiedy ja pomogłem, skoczyli zaraz serdecznie do siebie, witając się wzajem i jakieś dawne, to szkolne z Warszawy, to wojenne skądinąd czasy sobie przypominając. Ja też tymczasem witałem się z panem Kąkolnickim, powiadając mu kilka stów grzecznych, jak na gospodarza przystało. Jednakże wkrótce ta urywana rozmowa ustała, a nie minęło i pół godziny, kiedy przeniósłszy się z gośćmi do wielkiej sali i naniósłszy doskonałego wina pod dostatek, bawiliśmy się doskonale, będąc sobie wesołej myśli i najlepszej swady. Lgocki tylko jeden, jako zwyczajnie niewiele miał do gadania, milczał i teraz, i chmurno jakoś na mnie spoglądał. Nie miałem atoli czasu ani ochoty uważać na to, a lubo nieraz mnie ta myśl zalatywała, że ta niespodziewana wizyta Mazurów u mnie ma zapewne ważniejsze niż zwyczajne wizytowe powody i że snadź nie o kogo innego tu chodzić będzie, jeno o tego biednego starościca, toż jednak obowiązek gospodarza nie pozwalał mi myśli moich odrywać od chwili obecnej i moich gości, a wszelkie deliberacje rozkazywał zostawiać na później. Jednakże później rzecz cała wytoczyła się na stół, a to w ten sposób.

Pijemy, rozmawiamy, to siedząc, to chodząc, ten z tym, a tamten z owym. Stojowski zaś najwięcej już ze mną. Nareszcie wziął mnie pod ramię i zaprowadziwszy do drugiej izby, rzekł mi:

- Kochany panie Marcinie, mamy tu do ciebie prośbę jedną.
- Może sprawa jaka – odpowiedziałem – jeżeli tak jest, to mów śmiało i bez ogródki, u mnie serce nie bardzo płochliwe.
- Nie jest to sprawa – rzecze on – tylko prośba, której pewno odmówić nie zechcesz; jednak przyznam ci się, że sam nie wiem, od czego zacząć. – Ja też na to:
- Kiedy nie wiesz, od czego zacząć, to niechże się bez początku obejdzie, wal prosto *in medias res*¹⁸¹: ze mną wiele ceremonii nie trzeba.
- Hm! bo widzisz... jest to zawsze delikatna materia. Lgoccy prosili mnie na mediatora...¹⁸²
- Lgoccy? – zawołałem – czegoż mogą chcieć Lgoccy ode mnie?
- Siadajże, proszę ciebie, opowiem ci całą rzecz.
- Mów bez ogródki.
- Owóż taka jest rzecz. Wiadomo ci jest, że Lgocki młody, którego znasz, a który tutaj jest ze mną, stara się od dawna o pannę Zofię Strzegocką. Zaszalał się nieborak do tego stopnia, że już wariuje na czysto.
- Nie dziwię się wcale, bo jest też za czym.

Na te słowa moje Stojowski się popatrzył na mnie z uwagą, jakby chciał z twarzy mojej odgadnąć, co one znaczą, a potem rzekł:

¹⁸¹ *in medias res* (łac.) – w sedno sprawy

¹⁸² mediator (łac.) – pośrednik

– Może jest za czym, ale nie ma dla czego. Rzecz się bowiem tak ma, że i matka panny, i dziadek wcale nie mają nic przeciw temu mariażowi.

– Jak to! i dziadek – zapytałem obcesem. Zmieszał się trochę mediator, ale po chwili odpowiedział stanowczo:

– I dziadek. Sam z nim mówiłem; protestował się wprawdzie z początku, zarzucał wiele rzeczy Lgockiemu, ale na koniec dał się przekonać.

– To, widzę, dołki kopiecie pode mną! – zawołałem, srodze się popatrzawszy na niego. Ale on na to łagodnie:

– Kiedy tak, to już nie ma dalej co mówić.

– Mów, mów, niechaj wiem przynajmniej, o co wam chodzi.

– Dobrze, ja będę mówił, ale muszę cię najpierw uprzedzić, iż ja całkiem obojętny jestem obrotowi tej sprawy. Prosił mnie Lgoccy, abym starościca deklarował...

– Jak to, to już się i zdeklarował?! – zawołałem znów niecierpliwie.

Na to Stojowski odsunął się ode mnie i przeszedłszy się parę razy po izbie, zajął w okno i rzekł:

– Piękne dni teraz mamy, da Bóg doczekać, będziemy rychłą wiosną mieli w tym roku.

– Mój Stojowski! – zawołałem natenczas – nie rób ze mną komedii; to tobie komedia, a mnie serce się krwawi z niespokojności i bólu. Mów, co się stało i czego chcecie ode mnie?

– Nic się nie stało i już niczego nie chcemy. Ja sobie tę rzecz całkiem wyobrażałem inaczej. A zresztą, gniewasz się, rzucasz sobą, a my tu właśnie nie po gniew i burdę jaką przyjechali, tylko po zgodę i piękne porozumienie się z tobą.

– Mówże prędko, proszę cię, już będę milczał jak kamień. Zaczął więc znowu łagodnie.

– Słuchajże tylko pięknie i cierpliwie. Otóż przed kilkoma dniami pojechałem ze starościcem do Źwiernika i deklarowałem go pani stolnikowej. Mówiliśmy długo i szeroko. Pani stolnikowa oświadczyła nam, iż nie tylko nic nie ma przeciw temu, ażeby Zosia oddała rękę starościcowi, ale i owszem, będzie sobie to mieć za szczęście i spełnienie najgorętszych jej życzeń. – Jednakże – mówiła nam pani Strzegocka – zachodzi tu jedna okoliczność, która mnie wielce martwi i niepokoi, a którą chciałabym mieć koniecznie załatwioną przed daniem całego słowa. Oto imć pan Nieczuja, krewny naszego domu i z wielu względów bardzo szanowany kawaler, niedawnymi czasy także się deklarował o rękę Zosi. Są pewne względy, które mnie nie kazały przyzwolić na to małżeństwo; jakoż odmówiłam panu Nieczui. On atoli, lubo starałam się odmowę moją w jak najgrzeczniejszy sposób ułożyć, przyjął ją z niechęcią, z wielkim gniewem i z przekleństwem prawie na dom nasz i całą rodzinę ze Źwiernika odjechał i dotąd się nie pokazał. Ja zanadto považam sobie pana Nieczuję, zanadto z wielką przyjaźnią jestem dla niego, zanadto zresztą dbam o przyszłe szczęście i spokój mojej córki, ażebym gniewowi takiemu na mnie i na całą moją rodzinę mogła dać żywić się dłużej albo żebym przed ułagodzeniem go nie omijała rzeczy takich, które by go jeszcze mogły rozżarzać. Może ja tu oględność moją za daleko posuwam i może to wszystko wcale jest niepotrzebnym, ale to trudno; byłam sama świadkiem, jakie okropne skutki nieoględna rekuza sprawiła w pewnym domu w dawnym naszym sąsiedztwie i po prostu się boję. Nie mam tedy nic przeciw panu Lgockiemu – mówiła pani stolnikowa – i owszem, zezwalam; ale pierwszej całego słowa mojego nie dam, póki waszmość nie postaracie się o to, aby jmć pan Nieczuja zdjął przekleństwa i groźby swoje ze mnie i domu mojego.

Zatrzymał się w tym miejscu Stojowski, a ja, który przez cały ten czas nawet oddech zatrzymywałem w piersiach, zaczerpnąłem cokolwiek powietrza i odetchnąłem. Jawno mi już teraz było, że doskonałą prawdę mówił Stojowski; jawno i to, dla czego stolnikowa wymaga ode mnie słowa na to, że żadnego nie będę miał gniewu dla niej ani dla Zosi; pamięć Murdeliona i jego gniewu stała jej żywo przed oczyma... obawiała się znaleźć drugą taką samą dozę diabelskiego specjału we mnie... ale nie bójcie się! pomyślałem: nie podług wyjątków należy sądzić ludzi na świecie, nie podług tych, którzy się wyszczególniają i

wynoszą nad ogół!... Ja się nie gniewam. Jam niczym nie wystąpił nad masę, jam tylko jest zwyczajną i równą innym częścią milionowego ogółu, ja żadnego wywyższenia nie pragnę; ja żyję w kąciku i postępując wedle odwiecznych praw Boskich i obyczajów ludzkich, które mam przekazane od ojców, nie chcę niczego więcej, tylko być zawsze tym, czym byli oni. I byle tylko nikt wyższych praw sobie nie rościł nade mnie, byłem ja został po staremu *omnibus par, nemini inferior*¹⁸³, to więcej niczego nie zapragnę i do wywyższenia albo wyszczególnienia się nie użyję ani gniewu, ani złości, ani gwałtu, ani żadnego innego nadzwyczajnego środka; a jeżeli mi Bóg dał jakowe cnoty lub zdolności, to i te niechaj się spalą na ołtarzu wspólnego dobra, wraz z milionami cnót innych mojego zakonu, przez nikogo nie znane i nie nagrodzone, tylko Twoim oczom widome, o Panie wielki! abyś mi je policzyć mógł kiedyś, kiedy z otwartym całego życia mojego sumieniem stanąć mi przyjdzie przed Tobą. Ja się nie gniewam i nie gniewałem się nigdy, a jeżeli dnia jednego jakich cierpkich słów kilka wyleciało z ust moich przeciwko bezbronnej kobiecie, przeciwko matce tej niewinnej istoty, która mi się stała wszystkim na świecie, to była to raczej gorąca skarga na los mnie przeciwny, niżeli zła chęć jaka dla domu tego, pod którego dachem szukałem szczęścia na całe życie. I było to w samej rzeczy. Od dnia, w którym z taką furią wyjechałem był ze Żwiernika, daleko więcej myślałem nad tym, jak by stolnikowa na nowo dla siebie przebłagać, jak by jej gniew słuszny i sprawiedliwy zdjąć ze siebie samego, niżeli żeby sobie gniew jaki na nią żywić lub rozżarzać. *Vana zresztą sine viribus ira*¹⁸⁴ i cóż by mnie było po moim gniewie?... dla mnie matka tej, którą kochałem nad życie, była osobą świętą i nietykalną i gdyby mi przyszło było iść na wieczną nędzę lub śmierć z jej przyczyny, to jeszcze nie byłbym nigdy potrafił trzeźwymi usty rzucić złe słowo na nią, a nie dopiero podjąć jaki niegodziwy uczynek. O! tak było, i pewnie tak było! – jam w niczym nie był podobny do Murdeliona. Ale... – myślałem długo i z nateżeniem... – ale cóż za odpowiedź dać Stojowskiemu? Wyprzeć się by najmniejszego na dom Strzegockich gniewu, znaczyło to po prostu błogosławić Lgockiemu do ołtarza ze Zosią; przyznać się do gniewu, którego ani cienia nie było w mym sercu? – jak to uczynić? Ale rozum, ów niezmordowany rachmistrz duszy człowieczej, ów nieubłagany nieprzyjaciel wszelkich odpowiedzi stanowczych, czegoż to nie doradzi? Rzekłem tedy do Stojowskiego:

– Cóż Zosia na to?

– Zosia jest jeszcze dzieckiem prawie – odpowiedział mediator – nie może ona w tak ważnej rzeczy mieć swojej opinii.

– Jak to! – zawołałem – toż nawet tutaj swojej opinii mieć nie będzie, gdzie o nią samą idzie, gdzie idzie o jej szczęście doczesne, o jej życie całe, o jej jedyne i wszystko na świecie? O świat! o ludzie! – zawołałem z żalem i ze łzami w oczach zacząłem chodzić po izbie. Stojowski stał oparty o krawędź stołu i nie przerywając mi wcale, patrzył, ile mi się zdawało, ze szczerym współczuciem na mnie. Milczenie to trwało długą chwilę; ja ustawicznie chodziłem po izbie i im więcej się przewycieżałem, aby się w żalu utulić, tym mocniej mi się serce ściszało i tym obfitsze łzy wyciskały mi się z oczu. Już i rozum, który znów swoją podsuwał radę, umilknąć musiał przed nawałą uczucia. Aby jednak to jakoś zakończyć nareszcie, stanąłem i łkającym głosem spytałem Stojowskiego:

– Czegoż wy chcecie ode mnie?

To pytanie moje przyniosło najlepszy skutek. Skoczył on bowiem zaraz do mnie i także ze łzami w oczach porwał mnie za rękę, a ściskając ją mocno, rzekł:

– Przebacz mi, panie bracie! poznałem cię inszym, a widzę cię wcale inszym. Gdybym był o tym pierwej wiedział, co teraz widzę, nie byłbym się nigdy podjął tego orędownictwa. Kto

¹⁸³ *omnibus...* (łac.) – równy wszystkim, nie niższy od nikogo

¹⁸⁴ *Vana sine...* (łac.) – próżny bez siły gniew

by nie szanował praw serca, tego najprzedniejszego klejnotu w człowieku, ten niewart nazwiska człowieka. Przebac mi, panie bracie!

– Nie gniewam się nic a nic i na nikogo się nie gniewam – odpowiedziałem, ściskając mu rękę z afektem – ale własną ręką swego serca zabijać nie będę. Dziękuję tobie, że mnie rozumiesz, i Bóg jest świadkiem moim, co myślę, ale nikomu nic odpowiadać nie będę. Niech sobie robią, co chcą.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy z sobą w tej izbie, wypowiadając sobie wzajemne sentymenty; a właśnie kiedy świece przynoszono do sali, poobcierawszy się z łez i odetchnąwszy po kilka razy, powróciliśmy do reszty kompanii. Tam, nie wiem z jakiego powodu, ale zapewne wskutek jakiegoś źle wyrozumianego gestu Stojowskiego albo wskutek fałszywie wyczytanego którejs z naszych twarzy wyrazu, ledwie com wszedł, zaraz ów drugi Lgockiego towarzysz, pan Kąkolnicki, przybliżył się do mnie i wyciągnąwszy obiedwie ręce, rzekł:

– W imieniu Lgockich i całego pani stolnikowej domu bardzo dziękujemy waszmości; nigdy nawet nie spodziewaliśmy się inaczej.

– Za cóż to mi waszmość dziękujesz? – zapytałem zdziwiony, cofając się przed nie należącym roi się komplementem.

– A dziękujemy waszmości, żeś był tak łaskaw...

– Ale, przepraszam – zawołałem – ja wcale nie byłem łaskaw.

– Jak to! – zawołał znów on, odskoczywszy – czy być może?

– Może i jest! – odpowiedziałem. On też na to z nieukontentowaniem:

– A to osobliwa! nigdy nie myślałem, żeby się znalazł kto taki.

– Mości panie! – przerwałem mu – czy moje uczynki się panu osobliwe wydają czy nieosobliwe, to mi jedno! zresztą muszę waszmość uważnym uczynić na to, że tu wcale nie miejsce po temu, aby dysputować o tym, chyba że chcecie prywatne sprawy koniecznie na widok publiczny wywlekać.

– Ta sprawa – rzecze on – gdyby się i przed całą Europą wywlokła, nic nam pewnie pod żadnym względem nie zaszkodzi.

– Może i zaszkodzi.

– Nie zaszkodzi!

– Ale powiadam, że zaszkodzi.

– Zaszkodzi, ale nie nam.

– Otóż wam właśnie zaszkodzi, bo wyście niedorzeczność zrobili, nie ja.

– Jakąż to niedorzeczność?

– Toż to dorzecznie jest – zawołałem – przyjeżdżać do konkurenta po to, aby swojej panie pozwolił iść za innego?

– Cha, cha, cha! otóż to osobliwa! – zawołał pan Fredro, a Stojowski w tejże chwili usiadł przy nim na kanapie, dając oczywiście tym do poznania, że od wszystkiego ręce umywa. Tymczasem zaś Lgocki wstał z krzesła i stanął po stronie Kąkolnickiego, który tuż rzekł:

– Przepraszam waszmość pana, nie ten jest niedorzeczny, który łagodnie prosi o to, iżby mu nie przeszkadzano w konkurach, ale ten właśnie, który się sroży na próżno i upiera przy tym, co być nie może. – A ja mu na to:

– Co mi waszmość gadasz trzy po trzy? sameś głupstwo zrobił i teraz składasz je na drugiego! Co waszmość wiesz, co być może, a co nie może!

– Wiem bardzo dobrze – rzekł on – waszmość tej panny nigdy nie dostaniesz; tak już jest zapisano.

– A żeby tam było i na kamieniu ryto, to ja wam powiadam, że wy jej nie dostaniecie!

– Otóż dostaniemy! – zawołał Lgocki – pani stolnikowa dała nam słowo.

– Nieprawda! – krzyknę – nie dała!

– Dała słowo! – zawołał znów Lgocki – i żebyś wiedział, Niecuja, zebym cię zaraz zabił, kiedy byś chciał temu pseskadzać!

– Pójdiesz ty z twoim zabijaniem! – krzyknąłem na niego – patrzajże, jaki mi heros! – A wtem pan Bal wstał z kanapy i stanawszy po mojej stronie, rzecze grubym głosem:

– Hola, mości panowie! o co to chodzi?

– O co chodzi, to chodzi! – krzyknie na to Lgocki już w pasji – co wasmości do tego?

– Co mnie do tego? – zawołał Bal – to będziecie na cudzy dom najeżdżać i burdy w nim robić! Otóż ja wam powiadam, że panny nie dostaniecie i że pan Nieczuja dostać ją musi! Co to myślicie? To jest sprawa dziś całej ziemi. Obraziliście nas tu wszystkich, bo tu nie pojedynkiem, mospanie, tu wszyscy za jednego i jeden za wszystkich.

– Nie damy się napadać – krzyknął znów Lgocki – tu się z nami wybijcie! – i dodał z płaczem: – Niechże mnie już zaraz zabiją!

– Tu się z nami wybijcie! – powtórzył z ferworem Kąkolnicki i poczęli się brać za szable. Pan Bal też zaraz dobył karabeli i kiedy ja, pośród krzyku i zamieszania porwawszy jakąś serpentynę z kąta, tuż chcę stawać do bitwy, woła Bal już rozogniony: – Tu stawaj, po prawej! – Przeskoczyłem na prawą stronę i za jedną sekundę byłibyśmy już jak Bóg w niebie uderzyli, ale wtem otworzyły się drzwi z łoskotem i w tymże samym momencie, kiedy w sieni dawał się słyszeć głos kobiety wołającej: – Dlaboga! gdzie pan? gdzie pan? – wpadła owa znajoma nam karczmarka do sali i rzuciwszy się najpierw pomiędzy nas, a potem mnie do nóg, zawołała:

– Ach, panie, co się tam stało w Żwierniku!

– Co się stało? – krzyknąłem przerażony i pałasz upuszczając ku ziemi.

– Ach! panie! – odpowiedziała ona, nie mogąc mówić dalej, bo była nadzwyczajnie zmęczoną i prawie omdlewającą.

Pan Fredro i Stojowski, którzy dotychczas nieruchomie siedzieli na kanapie, zerwali się i przybiegli do nas; myśmy także, pospuszczawszy pałasze, skupili się razem i okrążywszy tę młodą niewiastkę, wypytywali:

– Co, co tam się stało?

– Pozaprzeszłej nocy... panie... – mówiła ona drżącym i przerywanym głosem – napadł ktoś zbrojnie na dwór żwiernicki.

– Napadł! – krzyknęliśmy obadwa z Lgockim prawie jednocześnie – i cóż uczynił?

– Napadł... i porwawszy panią stolnikowa, wywiózł ją gdzieś het!... Bóg wie dokąd.

– Boże! a Zosia? – zawołałem, bledniejąc cały i drżąc po wszystkim ciele.

– Wszyscy reszta zostali.

– Hej! zaprzęgać mi czym prędzej do wózka – zawołałem, wybiegając do sieni.

– I nam zaprzęgać! i nam zaprzęgać! – wołali inni i już się robił gwar i zamieszanie. Lgocki tylko jeszcze rzucił mi się na szyję, wołając: – Psebac, panie Niecuja! ratuj Zosię, ja dam milion pieniędzy! – Kąkolnicki zaś, kręcąc się tędy owędy, mówił sobie pod nosem: – Tu nie ma co robić, trzeba stolnikowa ratować! – Stojowski rwie mnie w tę stronę. Bal w drugą, inny w inną; ale ja już nie wiedziałem, gdzie jest i co się dzieje ze mną, więc taże, biegnąc od kąta do kąta, zawołałem jeszcze podstarościego i krzyknawszy mu w ucho: – Kołkiem, waszeć, w moim pokoju – wskoczyłem ja z Lgockim w jeden wózek, Stojowski z Kąkolnickim na drugi i ruszaliśmy nocą i cwałem do Żwiernika.

A działo się to w dniach pierwszych miesiąca kwietnia; ziemia się rozmarzała, śniegi topniały ustawicznie, pora była dżdżysta i wielka roska¹⁸⁵ po drogach, więc łamały nam się w tej podróży koła U wozów, wylatywały szprychy, odpadały i gubiły się lusznie, grzęźliśmy w wielu miejscach; pomimo to jednak dnia następnego po południu pokazała nam się wieś

¹⁸⁵ roskał – roztopy

Żwiernik pomiędzy dwoma podłużnymi piaszczystymi garbami, nad jakąś małą rzeczka w dole wyciągniętą, i taka cicha, taka spokojna, jak zawsze, i jakby o niczym nie wiedząca. Nareszcie i dwór nam się pokazał ze swoimi białymi zabudowaniami, malowanymi dachami i gładkim przed sobą dziedzińcem, ale i na nim jeszcze nie widzieliśmy żadnych śladów zajazdu lub gwałtu. Dopiero w środek wjechawszy, ujrzeliśmy trochę niezwyčajnego ruchu około domu; dwa wozy naładowane i uprężone stały przed gankiem, sługi się tu i owdzie kręciły, gromadka chłopków stała z pospuszczanymi głowami przed oficyną i gwarzyła pomiędzy sobą, a dziadek o lasce oparty stał w ganku i orzeźwiony czy ważnością wypadku, czy jakiejś sprawy przedsiębrać się mającej, głośne wydawał rozkazy i rozporządzał. Mąż ten w ową chwilę odmłodził był o połowę lat swoich, a ponieważ ślady setnego wieku i strupieszalności prawie grobowej wciąż na nim widne były, więc wydał mi się na razie, jakby jaki od wieków już w trumnie spoczywający praojciec, który, nową zbudzony wojną, wyszedł z grobu na chwilę.

Kiedyśmy zajechali w dziedzińiec i dla owych wozów ładowanych, zastępujących nam miejsce zajezdne, opodal stanęli od ganku, starzec przyłożył dłoń wyciągniętą do czoła i mocnym głosem zapytał:

– Czy Nieczuja przyjechał?

– Nieczuja, panie cześniku, Nieczuja! – zawołałem, wyskakując z wózka, a przybiegłszy do starca, rzuciłem mu się w ramiona i popłakaliśmy się obadwa.

– Wiedziałem, że mi nie odmówisz pomocy – rzekł pan cześnik po chwili, wypuszczając mnie z swojego objęcia i łzy ocierając. – Kiedyż posłaniec przyjechał?

– Posłaniec? – zapytałem zdziwiony – ja żadnego nie widziałem posłańca. Przypadkiem tylko się dowiedziałem.

– Przypadkiem? no! wszystko jedno. Wiesz, co się stało. Ja dziś wyjeżdżam, będziesz mi towarzyszył?

– Ale z całego serca, mości dobrodzieju, wszakże po to tu przyjechałem.

– Ale bo to sto mil drogi – rzekł starzec.

– A gdyby i tysiąc! – rzekłem w zapale – i gdyby przez ogień i piekło, pewnie się nie ustraszę i możesz jegomość liczyć na mnie jakby na syna.

– Niechże ci Bóg nagrodzi, kochany Marcinie – rzeki starzec, nachylając się ku mnie i całując w głowę – znam się na ludziach i wiem, czego w kim szukać.

To mówiąc, pan cześnik wziął mnie pod ramię i nie witając sięcale z tamtymi, prowadził mnie do pokojów. Tamci jednak postępowali za nami. Ale ledwie cośmy weszli w próg sali, natychmiast Zosia, która, zawinięta i już do podróży ubrana, ze spuszczoną główką siedziała pod oknem, ujrzawszy nas, zerwała się nagle i jakby strzała wypuszczona z łuku skoczyła ku mnie i z głośnym krzykiem: – Pan Marcin! – rzuciła mi się na piersi. Była to scena, jakiej nigdy już potem nie doświadczyłem w życiu. Sam nie wiem, co się działo ze mną natenczas, ale to pewna, że jakie tylko uczucia i ile tylko miałem ich w sercu, wszystkie się w duszę moją wylały. Mógłbym był i śmiać się, i płakać, i iść na armaty, i rzucić się na kolana przed Boga, i skonać nawet bez smutku i żalu w onej chwili. I wszystkich to rozczuliło. Ledwie co bowiem Zosia, spostrzegłszy swoją nieuważną prędkość, odstała ode mnie, zaraz mnie dziadek znów porwał w ramiona, z drugiej strony Stojowski całą twarz mi obcałował i łzami obmazał, Lgocki, głośno płaczący, rzucił się na kolana przede mną, Kąkolnicki z przyjacielskim współczuciem ścisnął mnie za rękę. Zuzia tylko jedna, siedząca na kanapie, po tej scenie całkiem zimnym i lodowatym głosem rzekła do mnie:

– Jak się ma pan skarbnikowicz?

Ale ja już nie uważałem na to ani odpowiadałem, tylko wyrwawszy się z onych przyjacielskich uścisków, w też pędy pobiegłem za Zosią, która, wstydem zarumieniona, zaraz się wysunęła do przyległego pokoju. Tam, przystąpiwszy do niej i ścisnąjąc ją za obydwie ręce, rzekłem z przepelnionego serca:

– Zosiu! najdroższa nad wszystko na świecie!... jakiegoż to potrzeba było nieszczęścia, abyśmy się znów widzieć mogli! – Na to ona ze łzami i głosem cichym a łkającym:

– Nie opuszczaj pan nas, biedne sieroty!

– O! nie opuszczę was już ani krokiem, a ciebie, daj Boże, aż do śmierci.

Zosia mnie na to ścisnęła za rękę i tuż chciała coś mówić, ale w tejże chwili wszedł dziadek, mówiąc głośno: – Mój Nieczuja, daj już teraz pokój karesom, będziesz miał dosyć czasu na to i potem. Chodź no ze mną, wszakże mamy co z sobą pomówić.

Na ten głos niespodziewany Zosia odskoczyła ode mnie, jakby ptaszek po strzale; ja zaś wziąłem pod ramię starca i przeszliśmy do dalszego pokoju, gdzie on, usiadłszy w krzesło, najpierw rzekł do mnie:

– Dobry chłop z ciebie, ale jeszcze pstro w głowie.

– Panie dobrodzieju – odpowiedziałem ja na to– Bóg świadkiem moim, że mi się serce kraje na wspomnienie tego nieszczęścia, które was nawidziło, ale radość i smutek w tej chwili pomieszały się we mnie, że sam nie wiem, któremu się oddać najpierwej.

– Nic w tym nowego – odparł pan cześnik – na to człowiek ma serce, aby czuł wszystko, co go z bliska dotyka. Ale znów na to ma rozum i sumienie, aby nie trawił darmo czasu nad bezużytecznymi żałami, tylko aby przysposabiał środki ratunku. Więc wiesz, co się stało?

– Wiem, panie.

– Wykradzono córkę moją, porwano ją gwałtem, po zbójceku. I wiesz, kto to zrobił?

– Nie wiem na pewno, ale się domyślam; podobno Murdelio.

– Tak jest, on! Ignacy, ten diabeł wcielony, który, zakochawszy się w niej za młodu i dostawszy rekuzę, poprzysiął mi zemstę wieczystą i teraz ją wykonywa! Spodziewałem się tego, ale nie mogłem temu zapobiec. Trudnoż, miałem nadworną utrzymywać milicję;

aby dom pilnować od niego; trudno uciekać było przed nim za granicę, kiedy by to się na nic nie zdało; trudno rozprawiać mi się z nim dzisiaj na rękę, kiedym już stary i zakrzepły.

– Ja się z nim rozprawiłem po trochę przed kilkoma dniami– rzekłem na to dziadkowi – ale cóż to pomogło!

– Jak to? ty z nim? a gdzież to było?

Opowiedziałem tedy dziadkowi wizytę Murdeliona u mnie i wszystko, co się stało.

– O! nieszczęśliwy! – rzekł on na to – toż to dlatego on się w zimie na to odważył.

– Ha! być może! ale cóżem ja temu winien?

– Tyś nie winien – rzekł dziadek – i nikt z nas nie winien. Ale niechże się ma na bacności ten, który winien! Ja wiem, gdzie go szukać, a kiedy znajde!... stary jestem i obydwoma nogami stoję już w grobie!... ale kiedy go znajde!... – wołał dziadek, trzęsąc się cały i zaciśniętą pięść prawą podnosząc do góry, ale ja go wstrzymałem, mówiąc:

– Niech się jegomość nie irytuje; przy Boskiej pomocy wszystko się to robi, jak przynależy, a chybaby już żadnej cnoty w ludziach nie było, żeby nam nie pomóżono w tym razie.

– Daj no pokój! – przerwał mi starzec, uspokajający się już cokolwiek – wiem ja, co liczyć na kogo. Szlachta oszmiańska była mi ojcem niegdy i opiekunem opuszczonej fortuny; potrafi ona być mi dziś bratem i pomocnikiem. Więc słuchaj mnie, wasze. Córkę moją wykradł Ignacy i zawiózł ją precz do siebie, aż na swój zamek. Pan Strzemeski, który trzyma Strzegocice od mojej córki, pędził za nim zaraz nazajutrz i nie dopędził go wprawdzie, ale po drodze odpytał. Bryką i wozem, zaprzężonymi po cztery konie, popędził on przez Pilzno ku Mielcowi. Na razie można mu było zabiec drogę i odbić, bo nie miał, tylko pięciu ludzi trochę uzbrojonych przy sobie, ale dzisiaj już nie ma co myśleć o tym. Musi on być już gdzieś koło Lublina, bo to psimi drogami popędziło to lichy. Nie ma więc innej rady, tylko trzeba jechać za nim. Ja tam mam wioskę w jego sąsiedztwie, mam ludzi przychylnych, całą szlachtę znajomą i kochającą, jest więc *punctum* oparcia się. Ale ja nie pojedę tędy, bom ja już stary i słaby, i niezaradny w podróży; ja pojedę za gościńcem na Kraków, na Warszawę, na Grodno.

Przyjadę o kilka dni później wprawdzie, ale tym pewniej, a przez ten czas mam nadzieję, że ja tam Pan Bóg będzie miał w swojej opiece. Zresztą, jedzie Zosia ze mną, jakże mi się puszczać na małe drogi?

– A panna Zuzanna?

– Panna Zuzanna zostaje z panią Strzemeską na gospodarstwie w Żwierniku. Nie bardzo tego potrzeba, bo któż wie, kiedy powrócimy, ja pewno już nigdy, ale kiedy jechać nie chce, to cóż jej zrobić?

– Pewna to – rzekłem – że trudno przymusu używać, ale widzi mi się, że kiedy państwo wyjeżdżacie, to już lepiej by, ile możliwości, zabrać się ze wszystkim. Kto wie, jak tam długo posiedzieć wypadnie? a jeżeli tu chodzi o jmc pana Konopkę, toż przecie konkurent...

– Ale gdzie tam! Konopka sam chce jechać z nami, ona nie chce. Niechże sobie siedzi. Więc słuchajże. Kiedyś tak dobry, że się ofiarujesz jechać z nami, to jedź. My dziś wyjeżdżamy na noc do Koszyc, do Konopki, gdzie on już dziś rano wyjechał, aby nam nocleg przyrządzić, jutro bowiem zawczasu chcemy być w Krakowie i zapewne cały dzień tam zabawimy; więc ty jedź z nami do Tarnowa, stamtąd sobie wyslij kogo do domu, abyś jakoś na ten czas gospodarstwem zarządził i przez to straty jakiejś nie cierpiał, a potem nas dopędzisz gdziekolwiek na drodze albo i w samym Krakowie.

– Hm! Boże mój! – rzekłem na to – ja tu ani koni nie mam takich ze sobą, ani powozu, ani Węgrzynka... a! no! jakoś to będzie;

niech jegomość będzie spokojny.

To rzekłszy, wybiegłem do Zosi spytać się o mojego Węgrzynka. Ale ku wielkiemu zdziwieniu dowiedziałem się, że był, ale dwa dni jeszcze przed owym pani stolnikowej nieszczęściem wziął kartkę wieczorem i miał zaraz odjeżdżać. Więc ja, niezadowolony tą wiadomością, a wiedząc o tym, że ogrodnik miał być wtajemniczony w tę całą sprawę, pobiegłem do niego, ale i tam jeszcze nie dowiedziałem się nic takiego, co by mnie choć na domysł jego dotychczasowego zniknięcia naprowadzić było mogło. Ogródnik bowiem tylko potwierdził to, co mi powiedziała Zosia, dodając, że ile jemu się zdaje, pan Mighaza musiał pojechać na Tarnów, bo się bardzo uskarżał na małe drogi, że były złe i bardzo błotniste. Tak tedy, pozbawiony najwierniejszego sługi mojego i nie mając nawet czasu do namyślenia się nad sposobami odszukania, musiałem pobiec na powrót do dziadka, którego już ubranego w szubę i żegnającego się z domownikami zastałem w ganku.

– Mój Nieczuja – rzecze on do mnie – wszystko już gotowe, jeno na ciebie czekamy.

– Jam także gotów – odpowiedziałem, bo moje konie już także zaprzęgnięte stały przed oficyną.

– Niechże Zosia jedzie sama z służebną, a ja siądę do twego wózka; będziemy z sobą rozmawiać przez drogę.

Tak tedy Zosię wsadziliśmy do powozu, a sami, pożegnawszy się z Zuzią i z panią Strzemeską, pozostającą z łaski swojej na gospodarstwie w Żwierniku, i oddawszy dom ten nieszczęśliwy Panu Bogu w opiekę, ruszyliśmy w drogę. Tamci trzej panowie, smutni i cale skonsternowani, to pani stolnikowej nieszczęściem, to zimnym i obojętnym ich przyjęciem przez dziadka, wlekli się jakie pół mili za nami, a nareszcie, znudzeni powolnością podróży naszej, minęli nas i zniknęli nam z oczu.

Ja zaś, wrzeszcząc przez całą drogę każde słowo dziadkowi w ucho, że aż mi gardło ochrypło, tak się z nim umówiłem, aby kontynuując swoją podróż, cale się nie zatrzymywał przeze mnie i nie uważał na to, gdzie i kiedy z nimi się zjadę.

– Że się z wami zjadę – powiadałem dziadkowi – to pewna, ale teraz nie umiem miejsca oznaczyć, bo przyznam się jegomości, że bez koni i sługi, a nawet bez potrzebnych do tego pieniędzy, że nie wspomnę już o pozostawionym tak na Bożą opiekę gospodarstwie, w tak daleką podróż puszczać się nie mogę, tym też bardziej, że mając całą prawie fortunę w domu i w gotowiznie, kiedy by jeszcze i tego chciało nieszczęście, mógłbym z Oszmiany wrócić do

czterech węglów i wiekuiestej golizny. Jedź zatem, jegomość, spokojnie i bez żadnej przerwy, a ja czy dzień, czy dwa dni jeszcze się zabawię w Tarnowie, to zawsze was na gościńcu między Krakowem a Warszawą dogonię.

Tak powiedziałem dziadkowi, ale kiedy mi się przyszło z nim, a osobliwie z najdroższą i przez łzy na mnie patrzącą Zosią pożegnać w Tarnowie, to mi się strasznie duszno zrobiło około serca, bo mnie z jednej strony miłość, z drugiej obowiązek kawalerski, a z trzeciej obowiązek dla mojej fortuny w takie wzięły obroty i na tak niebezpieczny szanć wystawiły sumienie moje, że trzeba było prawdziwej łaski Bożej, abym cały wyszedł z tej fatalnej okazji.

Jednakże za pierwszym postępując natchnieniem i cale nie czekając na to, czy mi się gdzieś przypadkowo nie wynajdzie w Tarnowie Węgrzynek, zaraz tej nocy jeszcze pchnąłem Żydka najętego konnym wózkiem do siebie z takim do podstarościego rozkazem, aby mi natychmiast na dzień i noc przysyłał cztery konie, pakowny karabon, sukni i bielizny, co trzeba, i szkatułkę podrózną, w której było tysiąc czerwonych złotych. To uczyniwszy, trochę spokojniejszy położyłem się spać w lichej, jak zwyczajnie u nas, gospodzie.

VI

Owóz wyprawiwszy onego Żydka do Bóbrki i cale uspokojony tym zaradzeniem sobie a pewny, że już bez żadnej przeszkody będę mógł przedsięwziąć ona, tyle dla mnę ważną i obiecującą podróż na Litwę, wstawszy drugiego dnia rano, znalazłem się rzeźwym i silnym, i w dobrej fantazji. Więc ubrawszy się prędko, zarzuciłem na siebie szubę i zamiast szabli, na którą u nas już niechętnym okiem patrzano po miastach, wzięwszy tylko dobrze okuty czekanik do ręki, szedłem na mszę św. do Franciszkańskiego kościoła.

A działo się to jakoś dni kilka po środopociu i wszędzie po kościołach odprawiały się nabożeństwa piękne i stateczne. W Franciszkańskim kościele, lubo tak rano, ludu już było pełno, ciężko się nawet było przecisnąć, a nie tak dla natłoku, jak dla towarzystwa kapników, czyli biczowników, którzy o tej porze właśnie przyszli byli z procesją do kościoła i swoją nabożną praktykę odbywali.

Kapnicy było to towarzystwo ludzi pobożnych, złożone zwyczajnie z mieszczan bogobojnych, szlachty po miasteczkach osiadłej albo innego gatunku subiektów, których światowego znaczenia trudno zresztą oznaczyć dokładnie, bo nie opowiadając się nikomu, tylko pomiędzy sobą się znali i twarzy swojej nigdy nie pokazywali. Zawiazywali się oni, jak w jakim mieście, albo zwyczajnie raz tylko do roku, i to w ostatnią zapustną niedzielę, właśnie przed poczęciem czterdziestogodzinnego nabożeństwa; przez cały Post Wielki praktykę czynili, a po rezurekcji znowu się rozwiązywali, żegnając się, komu by Bóg dał doczekać, znowu aż do przyszłego roku. Zakon ten ile ze świeckich ludzi i na pewien czas tylko złożony a żadnym dożywotnim ślubem nie związany, nie miał też żadnych innych ani względem świata, ani Kościoła obowiązków, tylko te, które sam włożył na siebie. Toż praktyka tych kapników ograniczała się tylko na codziennym nabożeństwie, społem i wzajemnym sobie biczowaniu, skąd ich także w niektórych miejscach biczownikami zwano. A robili to tak: rano zawsze przed nabożeństwem schodzili się wszyscy u swego starszego, tam rozbierali się z szat wierzchnich i koszul i brali na siebie długie płócienne, szarego koloru wory, które były rozprute na plecach, a rozpory te poprzykrywane kapkami tak, że za pociągnięciem sznurka z łatwością się otwierały, nagie plecy odsłaniając do biczowania. Na głowach mieli długie, spiczaste, także płócienne kaptury, które całą głowę zakrywały i tylko na oczy miały z przodu powycinane otwory, zresztą opasywali się w stanach szarymi także

sznurkami, z ogórkami¹⁸⁶ na kształt mnisich, poświęcanymi albo o jaki obraz cudowny pocieranymi. Każdy z tych kapników niósł w lewej ręce świecę woskową i książkę do nabożeństwa, który czytać umiał, a który nie, to różaniec; w prawej każdy miał dyscyplinę z opiekany na końcach rzemykami, które często jeszcze były opatrzone drutami albo metalowymi gwiazdami, aby ciało do krwi szarpały. Wychodząc z domu swego starszego, szli procesją ordynkiem: więc naprzód starszy z krzyżem drewnianym w obydwóch rękach, potem bractwo parami, a na koniec dwóch jeszcze także kapników, ale już niby to marszałków, bo ci mieli potężne laski w rękach, którymi pewne naprzód umówione znaki dawali, bo mówić żadnemu nic wolno nie było. W takiej procesji przychodzili do kościoła i w takim porządku stali, klęczeli i krzyżem leżeli pomiędzy ławkami wzdłuż nawy. Przeszedłszy, za danym znakiem przez marszałków, zaraz krzyżem się kładli, a powstawszy, znowu za danym znakiem, obnażali sobie plecy i biczowali się wzajem, niektórzy przy biciu dodając słowa: *ad majorem Dei gloriam*¹⁸⁷: albo inne jakieś formułki, których słów ani całkowicie dosłyszeć, ani spamiętać mogłem. Sroga ta ceremonia do skończenia mszy św. powtarzała się kilkanaście razy, przy czym każdemu z nich dostawało się po jakie kilkadziesiąt doskonałych dyscyplin, niektórzy zaś już w połowie tego czasu byli tak zbici, że im się aż skóra porozpadała na plecach, a przy końcu krew z nich pluskała na ziemię, a nawet i na lud obok klęczący lub personatów miejskich w ławach siedzących. Ja pierwszy raz wtedy widziałem i ten zakon, i jego praktykę i nie wiem, jak komu, ale mnie się nie zdawała ona być czysto *ad majorem Dei gloriam*, tylko także cokolwiek *ad sui ipsius*, to jest tych praktykarzy *augendam famam*¹⁸⁸, bo czegoż to czynić publicznie w kościele? Dobrze też mówił szlachcic obok mnie tamże klęczący:

– Gdyby tak na mnie, mości dobrodzieju, to ja bym nie pozwolił z domu Pańskiego robić *teatrum* dla takich scen barbarzyńskich. Kiedy szewców skóra świerzbi, to niech sobie dadzą i po tysiąc bizunów, ale w domu, w kąciuku, ale niech nie straszą kobiet i dzieci po kościołach. Moja żona na widok tej krwi zasłabła tu przeszłego tygodnia i do dziś dnia się jeszcze z tego obaczyć nie może.

Tak więc daleko więcej czasu strawiwszy na przypatrywaniu się obrzędom owych kapników i na przysłuchiwaniu się opowiadaniom szlachcica niż na przyzwoitej, dla której tam poszedłem, modlitwie, wyszedłem z kościoła, a przeszedłszy ulicami na rynek, zmierzałem prosto do pańskiego domu, to jest do onej gospody, na której moja najpocziwsza karczmarzka siedziała. Suponowałem, że już musiała powrócić z Bóbrki i że z nią sobie jeszcze co porozmawiam, że się co przecie dowiem o moim Węgrzynku, o czym wszystkim przedwczoraj w Bóbrce ani wspominać nawet nie miałem czasu ni pamięci.

Aliści ledwie co pominąłem kościół famy i wszedłem w ulicę ku pańskiemu domowi wiodącą, zastępuje mnie drogę jakiś hultaj niby z mieszczańska, a niby już z niemiecka ubrany, mówiąc srogim głosem:

– Aha! tuś mi ptaszku! poczekaj, już mi nie ujdiesz teraz z ręki!

– Cóż to? – rzekłem, zadziwiony taką bezczelną napaścią wśród dnia białego – rozbój w samym środku miasta?

– Na rozboja rozbój! – zawołał on, podczas kiedy ludzie zaczęli się pomału gromadzić około nas – to ludzi będziesz strzelał jak ptaki? ha!

Dopiero mi się przypomniała owa burda u karczmarzeczki, u której strzelałem był z pistoletu. Na to przypomnienie włosy mi kołkiem stanęły na głowie i Strach mnie zdjął wielkooki; jednakże zebrawszy się prędko:

– Ruszaj – krzyknąłem – jam tu pierwszy raz w mieście i nie strzelałem do nikogo! – To rzekłszy, chciałem iść dalej, ale on, hultaj, tuż rękę wyciągnął do mojej szyi, wołając:

¹⁸⁶ ogórki – sznur z węzłami, jakim opasują się mnisi niektórych zakonów

¹⁸⁷ *ad majorem...* (łac.) – dla większej chwały Boga

¹⁸⁸ *ad sui... augendam...* (łac.) – dla zwiększenia swej własnej sławy

– Stój! ani kroku ciebie nie puszcze, pójdiesz na odwach! Wtedy odskoczyłem od niego i kiedy go to wytnę w łeb czekanikiem, padł. Ja też w nogi i byłbym uszedł jak Bóg na niebie, ale już się tumult taki zrobił na ulicy, że ani rusz przepchnąć się było. On też, hultaj, źle trafiony przeze mnie, lubo upadł, jednak nie stracił przytomności, tylko wołając:

– Gwałtu! ratujcie! brata mi zabił! poznałem go! on białowłosy – tarzał się po ziemi i krzyczał. Toteż na ten tumult i hałas, co się, wszystko działo prawie w oczach odwachu, zaraz na raus¹⁸⁹ zawołano, dobosze uderzyli larum¹⁹⁰, a ront¹⁹¹ z pięciu żołnierzy, wybiegłszy z odwachu, oświecony przez najpocześniejszy lud miejski, o co rzecz chodzi, i na mój trop naprowadzony, dopadł mnie zaraz i obkoczywszy, porwał i zaprowadził na odwach. Ledwie tam wszedł, zaraz mnie znowu obkoczyli oficerowie, sierżanci i inni, oglądając mnie, długo coś po swojemu szwargotali. Jam się po kilka razy do nich odzywał to tym, to owym językiem, mówiąc, że jest Człek spokojny, że nic nikomu nie winien, żeby mnie wypuszczono – ale mnie nikt nie słuchał, a z owego szwargotu to tylko wyrozumiałem, że zaraz komenderowano i rozesłano ronty na wszystkie strony miasta, była bowiem ta supozycja, że jakiś napad jest zamierzony na miasto, którego przeze mnie wydał się przedwcześnie.

To wyrozumiawszy, bardzo mi się smutno zrobiło na sercu, bo widziałem już jakąś długą i fatalną historię przed sobą, która kto wie kiedy i jaki koniec wziąć może, a powiadając sobie w cichości tę naukę, że nigdy żadna rzecz lekkomyślna bez gorzkich owoców się nie obejdzie, zamyśliłem się srodze. Ale nie dano mi długo rozmyślać: zaraz bowiem przystąpił do mnie jakiś żołnierz i zabrawszy z sobą, przeprowadził przez kurytarzyk, drzwi jedne żelazne na wielką kłódkę zamknięte otworzył i wtrącił do paskudnego kałauzu.

Boże! kiedy to stojąc na progu, przypatrzyłem się tej izbie, jako była prawie na pół w ziemi, jako jej ściany były brudne i wilgotne, podłoga zabłocona, proste tapczany wokoło i waziutkie ciemne okienko, opatrzone kratami i żelaznymi siatkami, westchnąłem tylko i pomyślałem: gdzie się było, to było, ale tu się jeszcze nie było.

W izbie tej, która była duża, jakby jaka sala zamkowa, a do której trzeba było zstępować po kilku schodkach, jak powiedziałem, dość ciemno było: więc dopiero po rozpatrzeniu się chwilowym dojrzałem, że nie sam przynajmniej będę w niej siedział, mam i kompanię. W odległym kącie bowiem, przy stołku drewnianym, służbę stolika odprawiającym, siedziało cztery jakieś figury, które grały w kości, a tak były zagrane, że ich nawet wejściem moim od tej gry nie oderwał. Pragnąc jednak zaraz z kolegami zabrać znajomość, przystąpiłem bliżej, ale jakież było zdziwienie moje, kiedy pierwszy, który się z nich zerwał z siedzenia i do mnie przyskoczył, był mój własny Węgrzynek, Janczi Mighaza de Isztvanferet.

– O, wierny sodalisie! – zawołałem do niego – toż i tutaj mnie nie opuszczasz! – Janczi stał i milcząc, oczy opuścił ku ziemi.

– No, mówże, błaznie – rzekłem do niego – jakim prawem się tutaj dostałeś?

– Jam nic nie winien – rzekł on nieśmiało – wstąpiłem do Tamowa, bo mnie panna Zofia kazała wstąpić do karczmarki i powiedzieć, żeby zaraz do Żwiernika jechała. Ona też zaraz pojechała, a ja zostałem jeszcze, bo noc ciemna była. Tymczasem wieczorem w szynkowni jacyś tam ludzie pili, następowali na mnie, trochę się z nimi pobiliśmy, ront nas wszystkich zabrał i tutaj zamknął. Tamtych nazajutrz wypuszczono, a na mnie powiadają, że ja tu człowieka jakiegoś ustrzelił w zapusty.

– Hm! tak powiadają? któż to mówi?

– Panowie jacyś, którzy tam siedzą w kancelarii, ale ja się wyświadczam, ot, tym gospodarzem, który także tu siedzi.

¹⁸⁹ na raus (niem.) – na wyjście

¹⁹⁰ larum – alarm, wrzawa

¹⁹¹ ront – patrol wojskowy utrzymujący porządek

– Jako? więc i on gospodarz tu siedzi?

– A ot! – rzekł Węgrzynek, pokazując mi personę *quaestionis*¹⁹², który zaraz przystąpił do mnie, mówiąc:

– Toż i jegomości tutaj przymknęli; szkoda, szkoda! ale to nic nie wadzi, kiedy nas więcej będzie, to nas prędzej wypuszczą.

– Bodajbyś diabła zjadł – rzekłem – z takim argumentem! – a Węgrzynka wziąłem na stronę dla dowiedzenia się od niego na razie, jak, kiedy i o co go pytało na śledztwie?

I dowiedziałem się rzecz krótką: przedwczoraj stawał przed komisją i przyznał, że tego wieczora, kiedy burda była, był ze mną w onej gospodzie, przyznał, żeśmy uspokajali tę burdę, płosząc kijami i wyrzucając z gospody bijących się, ale że żaden z nas palnej broni nie używał w tej akcji ani do nikogo nie strzelał, statecznie twierdził.

– Wszystko nic, panie – dodał na końcu Węgrzynek – nic nam nie będzie; tylko o to mnie chodzi, żeby mnie na tortury nie brali, bo to człowiek do tego nie zwyczajny, to nie ciężko się z czym wygadać.

– Ej! tak źle nie będzie – odpowiedziałem – trwaj tylko statecznie przy tym, coś już powiedział, bo i ja tak powiadać będę, kiedy mnie pytać będą. Zresztą, idź do swojej kompanii i staraj się to samo wmawiać w gospodarza, aby on nam nie bruździł i co na nas nie gadał, a mnie zostaw na chwilę w spokoju, niech no się jeszcze nad wszystkim doskonale namyśle.

– O gospodarza – odpowiedział Węgrzynek – niech jegomość będzie spokojny, on nic nie wie, jak się to stało, bo on przecie podczas tego wszystkiego leżał pod żłobem i dopiero się zjawił, kiedy już było po wszystkim. A tu proszę jegomości – dodał Janczi – jest listek od panny Zofii – i dobywszy zapieczętowany karteluszek z kieszeni, oddał mi go.

Tak to Pan Bóg i w największym utrapieniu jeszcze umie wynaleźć dla człowieka ulgę i pociechę, a nie masz podobno tak ciemnej jamy ani tak głębokiej jaskini, żeby tam promień łaski Jego nie doszedł. Czego doświadczać przez całe życie, doświadczyłem i wtenczas, bo dotknięty całe niespodziewanym nieszczęściem i zamknięty w nieznanym i tak daleko odległym od siebie mieście, znalazłem i sługę swego przy sobie, i współobwinionego gospodarza pod ręką, i nawet pismo najukochańszej istoty, które było prawdziwym skarbem dla mnie w tej chwili.

Kto nie był nigdy więzionym, próżno temu opisywać uczucia i myśli, które pod ziemię spuszczają się do człowieka; zresztą i nie na wiele by się to komu przydało, bo jak każde nieszczęście, tak i to podobno każdy człowiek wedle swojego usposobienia, a każdy inaczej czuje i przyjmuje. Miałem sposobność przekonać się o tym w moim późniejszym życiu, kiedy mi się zdarzało z wielu rozmawiać ludźmi, którzy dla różnych powodów i w różnych miejscach odsiadawali! ba! kiedy i sam jeszcze raz później zamknięty siedziałem, ale gdzie? – oto aż na brytańskich wyspach w angielskiej fortecy. Tak to los ludźmi dziwnie pomiatał mojego czasu.

Ale powracając do rzeczy, to sobie powiadam i drugim po mnie, za krwawym doświadczeniem osobiście nabytą, a nie z żadnych piśmideł wyczytaną pozostawiam naukę, że kto ma czystą i niezachwianą wiarę w sercu i w każdej chwili wolny i wyrzutami sumienia nie zaparty regres¹⁹³ do Boga, ten każde nieszczęście łatwo przeniesie na sobie i podczas kiedy inni upadać będą pod lada groźną chmurką, on żyw zostanie pod ognistymi gromami.

Zamknięcie mnie wtenczas do kałauzu i w aspekcie przedstawiające się obwinienie o zabicie człowieka – pod rządem racjonalnym, surowym i całe innymi, jak w dawnej Rzeczypospolitej, prawami, a do tego jeszcze w chwili, kiedy stała przede mną droga otwarta do tyle upragnionego szczęścia – nie było to niepowodzenie chwilowe albo kapryśna losu

¹⁹² *quaestionis* (łac.) – o której mowa

¹⁹³ regres – tu: powrót, dostęp

zawistnego chmura, ale był to cios srogi, pod którym i upaść całkowicie, i zdesperować na wieki nie powinno być rzeczą dziwną ani też niezwykłą. Jednak się nie upadło. Zrazu, trudnoż nam to zaprzeczać, wielkie niecierpliwości mnie opanowały; rzuciłem się i targała się we mnie dusza jak w opętanej, pierwszej nocy nachylałem się nawet ku projektowi Węgrzynka, aby kratę wyłamać i uciec albo wybić się z tej jaskini; ale dnia drugiego, uspokoiwszy się i umitygowawszy modlitwami, mówionymi i czytanyymi z książki nabożnej, którą miałem ze sobą, całkiem inne myśli mnie nawiedziły. Sam się tego nie spodziewałem po sobie, żebym ja, w którym natenczas jeszcze krew kipiała jakby w ogniu, który na wojnach podjazdowych pierwszą odebrał edukację, postępowanie prędkie i porywcze drugą w sobie uczyniłem naturą, który, panie Boże! zapomnij mi to przy ostatecznym rachunku, w młodości mojej li przez samą porywczosć niemało niewinnych ludzi nakreskowałem, który na koniec tak się po szatańsku targałem po owej nieszczęśliwej rekuzie – żebym ja, mówię, zamknięty między czterema ścianami, choć jedną dobę mógł wysiedzieć spokojnie. A przecież tak było w istocie – bo i zwykle tak bywa, że im kto zuchwalszy w małych nieszczęściach, tym pokorniejszym bywa w większych.

Siedziałem tedy dzień jeden, drugi, i trzeci jak najpokorniej, a to tym więcej, ile że w głębi mojego serca przecież poczuwałem się, jeżeli nie do okrągłego grzechu, to przynajmniej do karogodnej lekkomyślności, wskutek której wmieszałem się w ową burdę fatalną. Więc podczas kiedy tam po prowincji przyspieszonym pędem rozlatuje się wieść o moim uwięzieniu, pobiciu, zabiciu i Bóg nie wie czym jeszcze, a to do tego stopnia, że, jak mi to później opowiadano, w Sanockiem aż rozgłoszono o mnie, że zgoła w sto szabel napadł na miasto Tarnów – ja tu najwięcej kłopotuję się o to, że mój wózek z końmi zostawił w gospodzie, bez grosza pieniędzy i bez żadnej dyspozycji. Więc czwartego dnia rano powiedziałem klucznikowi kałauzowemu, iżby powiedział swoim starszym, żeby raz jakiś koniec ze mną zrobili; ale klucznik, który był człek pochmurny, służbę swoją pilnie czyniący, a w żadne rozmowy się nie wdający, bo to takich zawsze obierają za dozorców więzień, ręką tylko kiwnął na moje zagadnienie, mruzczał sobie pod nosem, że to dopiero początek. To mnie znowu zafrasowało i mogę powiedzieć, że nawet pognębiło, bo jakież to się przede mną otwierały widoki? Jednakże Pan Bóg jakoś łaskaw, tego dnia jeszcze zesłał mi niejaką pociechę, a to w ten sposób.

Karczmarczka, jako to zawsze sprytna i przytomna, przekupiwszy stojącego pod oknami kałauzu na warcie, późnym wieczorem wsuwając przez wydartą siatkę jakieś wiktuaty mężowi, powiedziała mi: że konie moje z wózkiem zabrali jacyś ludzie przeze mnie poszkodowani, a mianowicie tenże sam hultaj, który mnie napadł na ulicy, a który powiada się bratem niegdy niby to przeze mnie ustrzelonego, a przed kilkoma dniami z ran umarłego żołnierza. Dalej donosiła mnie, że dyspozytor mój przyjechał już z Bóbrki z czterema końmi i karabonem i że przywiózł ze sobą szkatułkę z pieniędzmi, które jej dał do schowania – zresztą, że o moim zamknięciu cały powiat już jest powiadomiony, że wysłano o tym wiadomość w Sanockie, że wczoraj się tu kupa szlachty zjechała, że chodzili do prefekta i do plackomendanta i że lubo ona nie wie, co tam prawili, jednak żebym się nic a nic nie frasował, że wszystko dobrze będzie.

– Ale Zosia, Zosia, na miłość Boga! – zawołałem do karczmarczki – ona nic nie wie, ona umrze z niespokojności widząc, że ich nie dopędzam na drodze.

– Ha! na to już ja nie poradzę! – odpowiedziała karczmarczka i oddając mi karteluszek zwinięty, dodała: – To od pana Konopki, a schowaj jegomość dobrze, żeby kto nie pojął.

– Przyjdźże tu jutro – rzekłem – to dam odpowiedź na wszystko, a miej tam już opiekę nad moimi końmi i ludźmi, osobliwie też nad szkatułką; a jeżeli się o nią obawiasz, to oddaj ją panu Konopce lub Stojowskiemu, lub nareszcie Lgockiemu.

– Dobrze, panie, ale pana Lgockiego nie ma; on zaraz tego dnia, kiedy jegomością zamknęli, pojechał za panną Zofią.

– Tam do diabła! – rzekłem – cóż to będzie z tego? Zofia mnie widzieć nie będzie, Lgocki jej nagada, zem ją porzucił, zem się przeniewierzył, ona mu gotowa uwierzyć... Panie! ratujże mnie, sługę Twojego.

Kiedy się na powrót odwróciłem do okna, karczmareczki już w nim nie było. Więc ja do karteczki, ale ani sposobu – noc ciemna choć oko wykol, a o świecy ani pomyśleć. Była to jedna z przyjemności więziennych, których miliony ma dla człowieka ta jama beze-cna, a które, aby wszystkie opisać. Bóg wie wiele czasu by trzeba. Krótko mówiąc, ta marna kartka tyle mnie niespokojności nabawiła i tyle różnych, a tak dziwacznych myśli naprowadziła na moją głowę, zem przez noc całą ani oka nie zmrużył, wciąż jeno rozmyślając nad tym, o czym by mnie mógł donosić Konopka? A tymczasem to wszystko silenie się i łamanie sobie głowy nad odgadnięciem tego, co mi nie było wiadomym, musiało być bezowocnym; Pan Bóg dopiero, przysyłając świt dzienny, którego odbłask i do mojej kaźni się zakradł, poradził tej niecierpliwości, pasującej się ze snem i wyczerpującej siły moje.

Wstawszy tedy rano i stanąwszy pod oknem, wyczytałem z onej karteczki te słowa:

„Kochany bracie! Nieszczęście twoje wszystkich nas tu obeszło., Przyjechaliśmy tu, do Tamowa, byliśmy u prefekta i u plackomendanta, ale ani mowy nie ma z tymi panami. Powiadają oni, że to jest *crimen*, za które podług ich paragrafów trzeba dać gardło; bo zarazem o *vim publicam* i *perduellionem*¹⁹⁴ będziesz winiony i prawami, jak mówią, przekonany. Ale nie frasuj się jeszcze, *prima regula juris est fortiter negare*¹⁹⁵”.

– Bądźże zdrów, panie Nieczujo! – rzekłem do siebie z ciężkim westchnieniem, wyczytawszy tę kartkę – *vis publica, perduellio, crimen*, gardłowa sprawa! Pięknie zakończysz chwałę twojego rodu, panie Marcinie na Nieczułkach i Nieczujowie. Nieczujo Śląski! którego przodkowie pisali się *Comites et Senatores*¹⁹⁶, którego imię zapisane jest na wszystkich polach sławniej szych, którego żaden przodek może jeszcze ani jednego wiardunka¹⁹⁷ nie zapłacił na grzywny, który jesteś ostatni tak znakomitego w Rzeczypospolitej rodu, pięknie skończysz, panie Marcinie!

To mówiąc, rzuciłem się przy tapczanie moim na kolana i modliłem się gorąco z jaką godzinę. Po modlitwie trochę lżej mi się uczyniło na sercu, tak lżej, że mógłbym lekko głowę położyć na klocu, ale nie tak lżej, jak to bywa, kiedy jaki sposób ratowania się zaświta w głowie albo w sercu pewna zabłyśnie nadzieja. Widząc mnie tak zafrasowanym, Węgrzynek przystąpił do mnie, pytając:

– Co jegomości?

– Ej! daj mi pokój! – odpowiedziałem – ot! przyszła wiadomość, że nas obojdwóch lada dzień obwieszą.

– Chryste Panie! – krzyknął na to Mighaza – a to czegoż tu siedzieć, uciekajmy, panie, zaraz tej nocy.

Dopiero opowiedziałem mu całą sprawę, tak jak się miała; po czym on znowu:

– Ale co tam czekać na rezurekcję! nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje. Na co nam cudze łaski? Ja dziś wszystko sporządzę;

cygan, który tam siedzi w kącie, ma piłeczkę przy sobie, przetrznie się krata i wszyscy uciekniemy.

– A żołnierz? – rzekłem – a odwach cały? przecież to wszystko nie śpi w nocy.

– Gdzie tam, panie! śpią jak zabici.

¹⁹⁴ *perduellio* (łac.) – zdrada państwa, obraza majestatu.

¹⁹⁵ *prima regula...* (łac.) – pierwszym przepisem prawa jest dzielnie zaprzeczać.

¹⁹⁶ *Comites et Senatores* (łac.) – członkowie drużyny królewskiej i senatorowie.

¹⁹⁷ wiardunek – dawna moneta polska.

Dobrze to powiadał Węgrzynek, ale przecie mnie jakoś nie kwadrowała ta planta¹⁹⁸. To uciekanie, lubo może rzeczywiście środek na razie najlepszy, jednak jakoś mnie nie przemawiało do serca; wybić

się lub zapłacić, oto były rzeczy, które byłbym podjął natychmiast, ale uciekać na żaden sposób. Zresztą, zapewnił mnie przecie Konopka, że pamiętają o mnie i że mi włos z głowy nie spadnie; więc wierzyłem temu słowu kawalerskiemu i odmówiłem, ba! odprosiłem Węgrzynka od tego projektu, obiecując jednak, iż sam się do niego przychylę, jeżeli się rzeczywiście przekonam na śledztwie, że jest aktualne niebezpieczeństwo o szyję!

Tegoż dnia zaraz zaprowadzono mnie na śledztwo. Praktyka ta odbywała się w dużej sali ratusznej, na piętrze, prawie nad naszym kałauzem; a było tam wszystko tak po formie, że aż dreszcz przejmowała od samej ciszy i powagi, jak to pospolicie bywa u Niemców. Więc na środku stał stół ogromny, zielonym suknem przykryty, na nim krucyfiks, dwie świece woskowe, na nim księgi ogromne w wielką skórę oprawne, stosy papierów, kałamarze, pióra, nożyce, pieczęcie. Za stołem, wprost naprzeciw drzwi siedziało trzy figury, wszystkie z niemiecka przybrane; więc we środku jakiś najstarszy, w ogromnej pudrowanej peruce, w okularach na nosie i w sukni czarnej aksamitnej; przy nim po lewej drugi taki sam, troszkę mniejszy, po prawej zaś jakiś wojskowy, pewno major albo sędzia pułkowy, wszystko po swojemu ubrane, a na twarzach wygolone jak dłoń. Przy końcu stoła po prawej siedział pisarz nad papierami, Czech, ale także z niemiecka ubrany; po lewej zaś, trochę opodal od stołu, dwóch waszeciów Polaków, pewno na świadków zaproszonych, z których w jednym zaraz poznałem owego starszego patrona, który był przy tej fatalnej burdzie – i to mnie trochę pomieszało.

Kiedym wszedł, pokłoniłem się, oni mnie się odклонili kiwając głowami, tymczasem zaś sługa podał mi stółek, na którym naprzeciw onego stołu trochę opodal usiadłem.

Najpierw tedy zaczął się długi certament¹⁹⁹, jakiego mamy używać do rozmowy języka? Z nich żaden nie umiał ani słowa po polsku, ja ani w ząb po niemiecku; Czech umiał wprawdzie siedm języków, ale wszystkie po czesku; frasunek tedy pomiędzy nimi był wielki, bo ja się zaparłem każdego innego języka; ale kiedy mi powiedziano, że to nic nie pomoże, bo oni użyją tłumacza, co tylko sprawę moją odwlecze, więc rad nierad zgodziłem się na język łaciński, który oni wszyscy umieli.

Dopieroż kiedy to się zaczęła wypytywania: jak się zowie? a ile mam lat? jakie familijne koneksje? gdzie chodził do szkół? Czegom się uczył? com robił w każdym roku mojego życia? jaką mam fortunę! itd. Boże! jeszcze nigdy nie był na takiej spowiedzi; a trwało to wszystko z jakie dwie godzin, bo każde słowo moje powtarzali, a potem pisali, czytali i znów poprawiali, żem się nadziwić nie mógł cierpliwości tych ludzi, której by między naszymi za żadne skarby świata nie znalazł.

Książka ta, w którą moje wszystkie odpowiedzi zapisywano, nazywała się *protocollon*, a pytania, które mnie dotychczas dawano, *generalia*²⁰⁰; po których skończonych przeszliśmy *ad specialia*²⁰¹. Tu jeszcze gorzej, bo jak mnie zaczęto wybadywać: a czym był tego dnia w Tarnowie? a po com tam przyjechał? a jakie konie, jakich ludzi, jaką broń miałem ze sobą? itd., to na mnie aż poty były od samego siedzenia. A im nic: tabakę sobie zażywają, szwargoczą pomiędzy sobą i swoje robią, jak gdyby to była rzecz najzabawniejsza. Tedy mówi mnie starszy sędzia:

– Waćpan powiadasz, żeś żadnej palnej broni nie miał ze sobą, a tymczasem tu się inaczej pokazuje; zeznania bowiem jmc panów tego a tego, zacnych a wiarygodnych mieszczan tutejszych, uczynione w numerze tym a tym, pod datą tą a tą, świadczą dowodnie, że waćpan

¹⁹⁸ nie kwadrowała planta – nie odpowiadał Plan.

¹⁹⁹ certament (łac.) – sprzeczka, spór.

²⁰⁰ *generalia* (łac.) – ogólne.

²⁰¹ *ad specialia* (łac.) – do szczegółowych.

miał parę kulami nabitych pistoletów ze sobą, z których z jednym wybiegł ze swojej kwatery i wystrzelił pomiędzy bijących się między sobą tych a tych, wskutek którego to strzału człowiek ten a ten raniony został w pierś i z tej rany tam odniesionej umarł w szpitalu, dnia tego a tego. – Ja też na to, powstawszy z stołka:

– Mości panowie! – rzekę – macie przed sobą człowieka, który nieświadom ani waszego języka, ani praw, ani zwyczajów. Widzę, że mnie obwiniacie o występki, na który u was pewno, jeśli nie główna, to inna jakaś ciężkaznaczona jest kara. Żem w tej sprawie nic a nic nie jest winien, przyszłość pewno pokaże; ale gdybym był nawet co winien, godziż to się sądzić mnie podług praw cudzych, których ja nie znam, a więc do których i postępowania mojego stosować nie mogłem? godziż to się, kiedy już być inaczej nie może, sądząc mnie podług praw mnie nie znanych, nie dodać mi nawet obrońcy żadnego, który by za mnie odpowiadał i jako przynależy, mnie bronił? Ja apeluję do sumienia waszmościów; samiz osądźcie, czyli to, czego żądam, nie jest słuszne i sprawiedliwe?

– Mości panie! – odpowiedział z nich jeden – próżno waszmość zamiast odpowiadać na nasze pytania, nam zadajesz pytania;

próżno apelujesz do naszego sumienia; my bowiem, jako nie sądzymy nic wedle naszego sumienia, tylko wedle kodeksów i do nich poczynionych a przez jejmość cesarzową-królową aprobowanych komentarzów, tak i od waćpana żadnych przeciwko nam ani prawom naszym obiekcyj, tylko odpowiedzi oczekujemy i żądamy.

– Kiedy tak, to słuchajcie i piszcie. Przyjechałem do onej gospody wieczorem, położyłem się spać w osobnej izbie na drugiej stronie, w nocy zostałem obudzony przez hałas wszczęty w izbie szynkowej; nie ubrany i z gołymi rękami wybiegłem do sieni, a widząc, że mój Węgrzynek wali krzesłem z góry w kupę bijących i tarzających się po ziemi całkiem mi nie znanych subiektów, pragnąc także miłego pokoju na noc, przyszedłem jemu w pomoc i powyrzuciłem tych ludzi za okno. Więcej nic nie wiem i nic nie powiem; teraz mnie sądźcie z praw czy z komentarzów, to mi jest jedno, ale krzywda albo krew moja na czyją głowę upadnie, temu, zaprawdę powiadam wam, srodze ciężko będzie ją nosić!

Myślałem, że t^o słowa moje zrobią pewien efekt na tych ludziach, ale gdzież tam! żeby też się który ruszył albo co odpowiedział! Zażyli sobie tabaczki, poszwargotali to, owo, zapisali moją odpowiedź rzetelnie i znowu rzekł z nich jeden:

– Teraz, nim przystąpimy do roztrząśnienia szczegółów i skonfrontowania zeznań świadków, musimy panu jeszcze powiedzieć ryczałtowo, iż wedle praw naszych, które od dnia tego i tego, roku tego i tego, bez żadnych wymówek i wyjątków są w tym kraju obowiązujące, waćpan jesteś obwiniony *primo* o *vim publicam*, boś napadł na ludzi wprawdzie pomiędzy sobą się sprzeczekających, ale ciebie nie napastujących; *secundo* o zabicie człowieka, boś ranę zadał kulą z pistoletu, wskutek której śmierć nastąpiła; a *tertio* o *perduellionem*, boś w tym człowieku zabił wiernego sługę cesarzowej-królowej, której ludzi, jako jej wiemy i zaprzysięgły poddany, winieneś nie zabijać, ale i owszem, wspierać i wspomagać we wszystkim i na każdym miejscu. – Ja też na to:

– Miałem wprawdzie już nic nie odpowiadać, ale na takie *dictum triplex*²⁰² powiem jeszcze słów kilka na moją obronę. Więc *quoad primum*²⁰³, zaraz się panowie mylicie, mówiąc, żem popełnił *vim publicam*: ażaż bowiem może być kiedykolwiek gwałt jaki spełniony przez dwóch na kilkunastu? i czy można sumiennie to nazwać gwałtem, kiedy kto pijanych hałaburdników z lekka bierze na ręce i na dwór transportuje? O zabiciu człowieka ani mowy tu być nie może, bom całkiem i zupełnie nie strzelał; a kiedy o zabiciu mowy być nie może, *perduellio* samo przez się upada.

Dopieroż kiedy to głos zabierze on perukarz mniejszy, a kiedy zaczną mądrze a uczenie wywodzić, co jest *vis publica*, co zabójstwo, a co zdrada główna, i jak zaczną się powoływać

²⁰² *dictum triplex* (łac.) – potrójne powiedzenie.

²⁰³ *quoad primum* (łac.) – co do pierwszego.

to na paragrafy tej albo owej księgi, to kodeksów, to statutów całkowitych i dodatkowych, to ustaw różnych, przepisów i komentarzów, tak nie wyszła i jedna godzina, jak dowiódł jak na dłoni: zem i gwałt popełnił publiczny, i zabił, i zdradę główną uczynił przeciwko państwu i cesarzowej-królowej.

I nie było co robić. Jam nie był legistą²⁰⁴, ba! nawet nigdy w mym życiu żadnych nie praktykowałem procesów, a jeżeli się znało cokolwiek praw i konstytucyj, to tylko polskich; o niemieckich ani ze słyszenia nic nie wiedziałem – więc o odpowiadaniu na taką orację ani pomyśleć nie mogłem. Zmęczony tedy już kilkogodzinną tą inkwizycją, ledwie się jeszcze zdobyłem na marnych słów kilka, mówiąc:

– Bardzo to gładko i uczenie waszmość panowie wywodzicie winę i karygodność moja; pewną nawet, jako widzę, jest rzeczą, że z taką głową i wymową pierwszemu lepszemu na ulicy pojmanemu człowiekowi można by dowieść winę wszystkich zbrodni, jakie tylko się praktykują na świecie. I będzie to pewno rzecz mądra i misterna, i zrozumiała dla wszystkich, ale nie dla nas. Dlatego też jeszcze raz to waszmość panom powtarzam, iż com miał do powiedzenia, tom powiedział, i dalej już ani bronić się, ani też argumentami szermować się z waszmościami nie będę. Wyście w prawach ćwiczeni, ja nie;

wyście mądrzy, ja głupi, i na tym polu rejteruję przed wami i marną moją językową broń składam; ale protestuję się jeszcze raz jawnie i statecznie, jakom ani śmierci tego człowieka ani gwałtu publicznego, ani żadnej zdrady nie winien. Wy mnie sądzicie i kiedy tak rozumiecie, to zmażcie się krwią moją, ale pomnijcie na to, że po tym sądzie nastąpi jeszcze kiedyś sąd inny, na którym i ja stanę i pewno mi argumentów nie braknie!

Oni słuchali tego, com mówił, ale śród tego czasu już książki swoje składali i z miejsc powstawali; rzekł tedy on starszy do mnie:

– Waćpanu także, jak uważam, na argumentach nie braknie, szkoda tylko, że sensu nie mają i nie należą do rzeczy. Jednakże przyjdzie czas, w którym i waćpan, lubo, jak mówisz, prawa nie umiesz, przecie będziesz podług praw odpowiadał; teraz zaś wrócisz do twojego więzienia, a kiedy cię zawołają, przyjdiesz znów do komisji.

– Jak to? – rzekłem – długoż to się będą wlokły te śledztwa? Oni patrzyli po sobie niby z zadziwieniem, młodszy zaś odpowiedział:

– Kochany panie, to jest dopiero początek; my pana badamy tylko dlatego, ażeby się przekonać, czyli jest rzeczywiście i pewne podejrzenie i do jakich sądów mamy pana odesłać. Ale zresztą to samo z siebie wynika, że sprawa ta będzie traktowana kryminalnie, a nim przez wszystkie instancje przejdzie, zapewne z rok się przewlecze.

– Upadam do nóg waszmościów! – odpowiedziałem głośno i wyszedłem, ale idąc przez kurytarz, powiedziałem sobie w duchu: – Kto mnie za rok tutaj obaczy, temu nie konia z rzędem, ale dam całe stado moje.

Powróciwszy do mojego więzienia, dokąd mnie dwóch żołnierzy piechoty z bagnetami odprowadziło, zaraz mnie opadli koledzy, pytając: – A co tam? a jak tam? o co pytano? co powiadano? itd. Ale gdzie mnie się tam chciało co gadać? we mnie by się i krwi był wtedy nie dorznął, tak mnie się ciężko zrobiło na sercu; gdzież mi tam do rozmowy? jeszcze z kim, z tałałajstwem. Ale Węgrzynka ciekawość przecie musiałem zaspokoić. Znowuż on tedy kratę przerzynać i uciekać koniecznie. Ale ja zawsze jeszcze nie.

– Poczekaj – mówiłem – na co ten pośpiech? wszakże nam cały rok obiecują siedzenia; będzie jeszcze dość czasu i do namyślenia się, i do wymyślenia dobrego planu, i do wykonania go. Zresztą, może też Bóg da, że się co zmieni? Wiesz, co pisał Konopka; rezurekcja nie tak daleko, nie masz ani trzech niedziel do niej. Obaczymy.

Ale u mego Węgrzynka krew to nie woda, ba, i umysł nie lodowaty, więc nie dosyć, że Mighaza mojej perswazji nie akceptował, ale jeszcze się zżymać począł, ba, fukać na mnie.

²⁰⁴ legista – prawnik, znawca prawa.

Inną rażą wiem, co bym mu był odpowiedział na takie zachowanie się przeciw panu, ale w więzieniu diable człowiek maleje; toteż i jam tak zmałał, że zamiast dać w kark zuchwalcowi, jeszcze się przed nim składał i tłumaczył, jak żak przed dyrektorem. On też, widząc, że ja mięknę i pokornieję przed nim, dalejże na mnie! Ba! ale bo i ja nie z kamienia, więc na niego – dosyć że zaczęła pomiędzy nami powstawać sprzeczka, która kto wie na czym by się była skończyła, gdyby nie to, że nagle pośród ciszy więziennej, przerywanej tylko naszymi półgębkiem wprawdzie, »ale zawsze porywczo wymawianymi słowami, dał się słyszeć jakiś ruch w kurytarzu.

W naszej kaźni było ciemno choć oko wykol, bo więźniom światła nie dają; więc naprzód ujrzeliśmy tylko dwa jasne pasy światła, przebijające się przez górną i dolną szparę pomiędzy drzwiami i odrzwiami, i kręcenie kluczków w kłódkach dało się słyszeć, ale niebawem wszedł klucznik nasz z latarką w rękę i przystąpiwszy do mnie, zdziwionego tym jego o niezwykłej porze zjawieniem się, powiedział, iż pewien pan chce się widzieć ze mną i pyta, azali wejść może.

– Któż to jest ten pan? – zapytałem klucznika.

– Zaraz go pan obaczysz – odpowiedział tenże, a w tejże chwili wpadł z niezwykłą swoim ziomkom szybkością znajomy mi ze Żwiernika baron von Holmfels.

Wpadłszy tak, jednym pędem prawie przyskoczył do mnie, wołając z francuska:

– Ach! panie Nieczuja! panie Nieczuja! co się to dzieje z waszmością?

– Ot! widzisz pan, co się dzieje! – odpowiedziałem z rozczuleniem i chciałem dalej rozwodzić moje jeremiady, ale on mnie wziął pod ramię i zaprowadziwszy się ze mną w ką, jął najpierw wypytywać, co to i jak to, zaręczając mi z góry, iż przyjaźń, której on doświadczył ode mnie w Żwierniku, a która świeżo tkwi w jego pamięci, przywiodła go do mnie; jakoż i ta przyjaźń wkłada na niego obowiązek wywdzięczenia mi się teraz tym wszystkim, co tylko w jego będzie mocy; powiadał dalej, że nic jeszcze o mojej sprawie nie wie i nic wiedzieć nie może, bo dopiero co zlaźł z wozu, powróciwszy z swojej górskiej podróży; dlatego zaklinał mnie na wszystko najświętsze, abym mu nagą prawdę objawił we wszystkim i objaśnił go o każdym najdrobniejszym szczególe, bo tylko w takim razie może mi, jeżeli nie pomóc stanowczo, to przynajmniej objaśnić mi o wszystkich możliwych mojej sprawie obrotach, co na wszelki wypadek tylko korzyść przynieść mi może.

Przyznam się, iż lubo baron po kilka razy dawał mi święte słowo kawalerskie, iż co bądź usłyszysz ode mnie, w tajemnicy dochowa na wieki, i pomimo tego uczucia, które koniecznie kazało dawać wiarę słowom żołnierza i kawalera, jakaś nieufność, jakieś podejrzenie po kilka razy odzywało się we mnie. Nuż wypowiedzi mi i poleci z językiem do sądu, nuż zdradzi?... dopiero by człowiek przepadł bez ratunku. Ale tak ginąć czy owak, wszystko to jedno; niechże choć nieufnością nie grzeszę! I zasiadłszy z nim na tapczanie, opowiedziałem mu wszystko.

– Hm!... – rzekł on, wysłuchawszy mnie pięknie i cierpliwie – już to niedobrze wróży dla waszmości, że ta sprawa sama z siebie zanadto jest jasną.

– Jak to jasną? – spytałem.

– Jasną, bo to, że waszmość, a nie kto inny, strzelałeś do żołnierza, prawie samo z siebie wychodzi i pewno to nie uszło baczności inkwizytorów; a wiesz, że we wszystkich sądach to jest najgorsza dla obwinionego, jeżeli sędzia z samego opowiedzenia faktu już poweźmie wewnętrzne przekonanie o winie; zaraz to inaczej w takim razie idzie mu inkwizycja i rzadko kiedy w takiej sprawie braknie mu prawnych dowodów. Ale nie tędy droga ratowania waszmości. Powtarzam, że nic nie wiem jeszcze o tej sprawie z tamtej strony, ale już naprzód tak mi się zdaje, że kiedy nieszczęście tak chciało, żeś się dostał w ręce urzędu, to, jeżeli z politycznych powodów nie wypłynie jaki dla ciebie ratunek, w prawie zawsze tylko zgubę dla siebie znaleźć możesz. Źle jest, panie Nieczujo! – dodał pan Holmfels z westchnieniem – ale nie trzeba się jeszcze frasować.

- Ba! – rzekłem – nie frasować się! toż to gardło nie bagatela.
- Eh! – odpowiedział baron – o gardle tu nie ma mowy. Cesarzowa-królowa dekretu śmierci za taką rzecz nie podpisze; mnie się zdaje nawet, że po przeprowadzonym procesie, jakakolwiek kara dla ciebie wypadnie, każdą daruje. Nie jest bowiem intencją tej pani w nowym kraju rozpoczynać rządy od surowości i to jest, co ci niezawodnie ratunek przyniesie. Zresztą, obaczmy jeszcze za dni kilka, niech no jeszcze się z tamtymi panami obaczę i pogadam.
- Proszę pana – rzekłem na to – a czy nie mógłbym się tą drogą ratować, żeby zapłacić rodzinę zmarłego kaprala i żeby ona odstąpiła od oskarżenia?
- Według naszych praw to nie można i na nic by się nie zdało.
- Więc gdzież ratunek? bo ja, przyznam się panu, że jeżeli mi przyjdzie rok posiedzieć w kałauzie, to moja głowa już niewiele znaczyć będzie, i całe dbać o nią nie będę.
- Cierpliwości tylko, cierpliwości! – rzekł na to Holmfels – ja tu znowu będę u pana za dni kilka i dam wiadomość o wszystkim, a wtedy, mając pewne *data*²⁰⁵ o tym, co jest, będziemy mogli się naradzić nad tym, co począć na przyszłość.
- Panie drogi – rzekłem ja znowu jemu – kiedyż już tak grzeczny jesteś, że się moją sprawą interesujesz, to ci i to powiem, że ja przecież. Panu Bogu niech będzie chwała za to, nie jestem już tak całkiem zdesperowany, boć na najgorszy wypadek człowiek jeszcze i sam w sobie znajdzie jakiś ratunek.
- Jakież to? – spytał baron.
- Uciec stąd *brevi manu*²⁰⁶.
- Uciec? o! tym się nie ludź, bo stąd nie uciekniesz. Jakżeż? kraty potrójne w oknie, mury grube, drzwi żelazne, odwach pod nosem, szyldwachy naokoło, to niepodobna!
- Przepiłuję kratę i wyjdę oknem.
- Daj pokój, na miłość Boga, daj pokój! bo choćby ci się tu udało niepostrzeżenie przepiłować kratę, to ani kroku nie zrobisz za oknem; żołnierz zaraz wystrzeli.
- Ba! wystrzeli, ale czy trafi?
- To prawda, że może nie trafić po nocy, ale zrobi się zaraz hałas, tumult i złapią cię w mieście.
- Złapią albo i nie złapią, bo i na to jest głowa, przecieby się to jakoś do tego przygotowało.
- Ale dobrze, dobrze, wierzę, że ucieczka udać się może; jednakże zmiłuj się, nie czyn tego, przynajmniej poty, póki ja z wiadomościami nie wrócę. Kto wie, może to tylko postrach na ciebie i na szlachtę waszą, może to wszystko nic nie jest i lada dzień oni sami cię puszcza. Bo za to ci ręczę, że pewno zaraz na drugi dzień po twoim uwięzieniu wiadomość o tym posłano do Wiednia, a lubo tutaj robią teraz śledztwa z tobą i protokoły piszą, to jednak to wszystko nic nie znaczy i aż dopiero dyspozycja stamtąd los twój rozstrzygnie.
- Musiałem tedy dać słowo Holmfelsowi, że żadnego kroku samoistnie nie zrobię poty, póki on się drugi raz u mnie nie zjawi; przez przezorność jednak wymówiłem sobie, żeby to zjawienie się jego nie później nastąpiło jak za dni ośm. Po czym, odłożywszy tę sprawę na Stronę, rozmawialiśmy o owym fatalnym pani stolnikowej wypadku, który nie tylko rozgłosił się, już był po całej okolicy, ale stał się nawet powodem najgłupszych w świecie plotek i domysłów. Przy rozmowie o tym Holmfels wypytywał mnie dokładniej o tę rodzinę, o jej pochodzenie, znaczenie i majątkowe stosunki, często przy tym napomykając o Zuzi, z czego ja asumpt biorąc, zażartowałem sobie, że mu się pewno Zuzia podobała. A on na to:
- I owszem, nie wypieram się, bardzo mi się podobała.
- Wybicie sobie zawczasu to upodobanie, bo to towar zakazany.
- Jak to? – zapytał baron.

²⁰⁵ *data* (łac.) – dane

²⁰⁶ *brevi manu* (łac.) – natychmiast (dosł.: od ręki)

– Zakazany jest – odpowiedziałem – bo panna Zuzanna już jest zaręczoną Konopce.

– Co to ma do tego? – rzekł Niemiec wesoło – nie z takich więzów wyrwali przodkowie nasi, dawni ritterowie i gaugrafy²⁰⁷ kochanki swoje, dlaczegóż byśmy także nie mieli w to potrafić?... Ale ja ani myślę o tym; upodobanie nie jest jeszcze miłością, a miłość nie zawsze za pragnieniem ożenienia się, toteż nie ma i o czym gadać.

To mówiąc, baron spojrział na swój kieszonkowy zegarek, a obaczywszy, że już było po dziesiątej godzinie, porwał się nagle i powtórzywszy mi jeszcze zapewnienie, że w jak najkrótszym czasie mnie nawidzi, milczkiem wysunął się z kaźni.

Ledwie co drzwi za nim zamknięto, zaraz się do mnie przysunął Węgrzynek, pytając: –Kto to i po co przychodził? – I lubo należało dać w gębę chłopu za dawną krnąbrność, a terażniejszą ciekawość, jednakże będąc sam głęboko przeświadczony o słabości ludzkiej i powodowany rozsądkiem, nie uczyniłem tego; przeciwnie, nawet korzystałem z tej sposobności i czyniąc mu rychłego oswobodzenia nadzieję, ugłaskałem i umitygowałem go całkiem. Ale cóż mi to pomogło? Prawdać, że siedząc w więzieniu, jeśli się ma nieprzyjaciela w towarzyszcu, ma się podwójne więzienie, ale przyjaciel-towarzysz na ono pierwsze nie pomoże. Stan tedy mój i dalsze po Holmfelsowej wizycie powodzenie, wcale nie było lepsze ani szczęśliwsze jak przedtem; i owszem, zawieszony pomiędzy bardzo smutną przyszłością i bardzo słabymi nadziejami, które jakoby bańka mydlana o lada słomkę się mogły rozprysnąć, bardzo smutne dnie miałem, jeszcze smutniejsze wieczory, a noce to już prawdziwie męczeńskie. Bo jeszczeż we dnie, to częste otwieranie kaźni, to widok przez kratę na rynek i przekupki, przez całe ranki swarzące się z sobą, to nareszcie życie moich kolegów, spychane bez myśli z dnia na dzień, z godziny na godzinę, a wypełnione ustawiczną grą w kości o nic i ustawicznymi kłótniami także o nic, jeżeli mnie nie bawiło, to przynajmniej rozrywało i zabierało resztę godzin od czytanej modlitwy pozostających, wieczorami, chcąc nie chcąc, musiałem słuchać różnych bajek dziwaczych, które moi towarzysze, na tapczanach się wyciągnawszy, do snu sobie opowiadali; ale noc gdy nadeszła, gdy już wszyscy umilkli i taka ciemność i cisza rozlegała się wokoło mnie, że kaźnia moja zdawała mi się być tylko wielkim grobem, a ja w nim pochowany, umarły dla świata i ludzi, ale przecie żyw w sobie i mający w głowie cały świat zdarzeń i myśli, w sercu cały chór uczuć i całą zdolność i pragnienie do życia, wtedy walka żądz młodych z żelazną koniecznością rozpoczynała swe igry; i to było prawdziwym dla ducha i serca mojego męczeństwem.

Ludzie, których życie całe winęło się jakby nić jedwabna z kłębka przyszłości, nawijając się tym samym torem na cewkę, rzuconą gdzieś w bezdeń niepamięci i przeszłości; ludzie, którzy dnie pacholące spędzili na ławach szkolnych lub na swawoli pod okiem rodziców; młodość po trochę przy chorągwi, czasem w jakich bitwach niewielkich i wielkim czy niewielkim, a zawsze jednakim świecie; którzy potem wybrali sobie żonę, według nich jedną i jedyną między tysiącami, ale w rzeczy taką samą i niczym się nie różniącą od milionów, i z tą żoną i dziećmi dorastających gronem resztę życia przeżyli w codziennej pracy około roli, codziennej modlitwie do Boga i cowieczornej u domowego komina gawędce; i już to był wielki fest u nich, kiedy gość się pojawił, wielka niezwykłość, kiedy coroczne święta nadeszły, wielkie użycie, kiedy sobie mogli powiadać, jako córki powydają za mężów bogatych, jako z chłopców poczynią wielkich rycerzy lub senatorów, a i to jeszcze przyjęli za wielkie szczęście, kiedy na koniec dziewczki swoje powydawali za pospolitą szlachtę, a pomiędzy synów podzieliwszy niebogata fortunę, przy nich siedli na starość i ssąc grzanki, moczony w piwie, martwym wzrokiem poglądali na taką kolej życia swych dzieci, jaką sami przeżyli, z jednej strony, a z drugiej w co dzień to szerzej rozwierające się deski przygotowanej dla siebie trumny... ludzie ci, mówię, którym los zawistny ledwie kiedy przeskoczył drogę, których świat gwarny i wiecznie pasujący się z sobą, jakby jakie rośliny

²⁰⁷ ritterowie i gaugrafy (niem.) – rycerze i starostowie

lub kwiatki, mijat tylko z daleka, nie trącając o nich swą pierś, nie gniojąc ich swym brzemieniem, nie wyrzucając ich swoim wirem do słońca i nad słońca – nie znają też z całego świata nic więcej oprócz tej jednej pomiędzy miliony dróg i gościńców snującej się ścieżki, którą oni swoją wędrówkę odbyli od kolebki do grobu. Ale spytaj się innych, których są także tysiące; spytaj się takich, nad których kolebką już zawisła brunatna gwiazda, gorejąca jakimś nieodgadnionym ogniem niespokoju i nigdy nie ugaszonego pragnienia; których młodość nie upłynęła pomiędzy zabawami i lekką dla honoru łada gdzie służbą; którzy żony szukali, ale nie znaleźli albo się na niej zawiedli, albo im ją Bóg zabrał w kilka chwil po ślubie, którym potem już nie wystarczyła owa rola, rodząca co roku zboża i jarzyny, ani ów domek drewniany, zewnątrz okolony sadami, a wewnątrz opatrzonej kominem, których gość nie zabawił, sąsiad nie rozerwał, nie uspokoiły modlitwy ni groby wielkanocne, ni wigilijne jasełka, a którzy nie umieli ani strat wielkich dwiema odkropić łzami, ani wielkich boleści jednym ukoić westchnieniem, ani wielkiej tęsknoty łada jaką utulić nadzieją i rzucili się potem w świat gwarny i ludny, i rzeczywisty i otworzyli pierś swoją na jego groty, głowę podali na strzały, serce na trucizny, sięgając tylko ręką po to, co miało im przynieść zdrowie i pociechę, i którym od tej chwili los zawistny nie przeszkakiwał, jako onym, tam i sam drogi, ale wzięwszy ich pod ramię, wiódł ich już tak życie całe; na których wozie, jakby pijanych weselników gromady, poczęły się wozić odtąd wszystkie nieszczęścia i cierpienia, więc czarne zgryzoty i próżne żale, i zapoznania doświadczone od innych, i pogardy, i gody wychudłe jak deski, a wyżółkniałe jak liście jesienne, i nędze z poczerniałymi usty i łachmanowatymi szatami; takich się pytaj, a ci tobie powiedzą, ile dróg jest i gościńców na tej ziemi, którymi ludzie żywot swój wiodą, ile manowców, po których błądzą, ile głów wielkich bez serca, ile serc pięknych bez głowy, ile stąd cierpień, ile zawodów, ile czynów, leżących bez ducha na ziemi, ile myśli bez ciała w powietrzu, ile stąd światów rozmaitych w tym jednym świecie!

I jam może także należał do tych, których błędna gwiazda wodziła krzyżowymi drogami; i jam może miał lata takie, w których mi jako listkowi, miotanemu różnymi wichrami i burzą, przyszło nieraz padać na miasta i sioła, na łąki umajone kwiatami i w kałuże, brudnym zieleniejące się błotem; więc i ja bym może niejedno umiał Opowiedzieć tym, którzy zimnych rzeczy słuchają przy ciepłym kominie; ale spomiedzy tego wszystkiego, co by się o tym dało powiedzieć, na dzisiaj to jeno rzecz przyjdzie: że jeżeli w tym świecie osobne są światy myśli i uczuć, rzeczywistości i ułudy, które się w nim kręcą i koło niego jako gwiazdki około słońca, to z tych wszystkich najobszerniejszym, najgłębszym i najrozmaitszym w sobie jest świat ludzkich cierpień i bólów!

O! ten świat cierpień i bólów! Ileż to razy ja w nim nie byłem! którymiż to weń nie wstępowałem drzwiami!

Lecz dajmy pokój tym łzom i tym żalom! Nie masz tych serc na świecie, które by godnie czuć i szanować umiały swoich bliźnich cierpienia; nie masz tych głów, które by bez podejrzeń i lekceważenia pojmować chciały czyste uczucia miłości! A otwierać serce swoje przed zepsutą słuchaczów zgrają, wylewać uczucia swoje przed szydlerczo uśmiechające się twarze, czyż opłaci się opowiadającemu? czy się zda na to słuchaczom?... Rzeczy, liczb, faktów pragnie świat dzisiejszy, rzeczy łaknie, przesycone czczymi marzeniami, pokolenie mych wnuków, a więc do rzeczy. Com czuł, com myślał, com cierpiał w onym więzieniu z przyczyny nieutulonej w żalu miłości mojej; ile razy rzucałem się na kolana przed Boga samego, ile łez gorących przed nim wylałem, ile modłów posłałem do niego, ile zaklęć i ślubów, aby mnie tylko pół roku jeszcze życia na wolnym świecie dozwolił, abym stolnikową wydarł z rąk gwałtownika i pomścił się na nim za tyle cierpień i bólów, i sromu, których stał się powodem, a potem, abym zaraz umarł spokojnie w jej oczach... to niechaj będzie tylko dziś przypomniane tej, której pamięć i w stuletnim starcu jeszcze nie zamarła, a

która, królując dziś z aniołami w niebie, z otwartymi ramionami czeka tam na mnie i na chwilę wiecznego połączenia się ze mną.

Po wizycie Holmfelsowej cztery dni spełna byłem bez żadnej wiadomości ze świata. Cztery dni w więzieniu, to cztery lata! – ale i to minęło. Czwartego dnia wieczorem karczmareczka przecie jakoś trafiła na żołnierza miększego serca, który ją późnym wieczorem dopuścił do okna. Wiadomości od niej były nic, a przynajmniej niewiele znaczące. Konie moje i ludzie stali w jej gospodzie i sprawowali się dobrze. Konopka był znowu u niej i kazał mi powiedzieć, iżbym pamiętał o tym, co mi pisał w karteczce; o dziadku i Zosi nie było żadnej relacji. I owoż wszystko, z tym tylko dodatkiem, że mi znowu oddała listek, który, jak powiadała, ksiądz jakiś przysyłał dla mnie.

Nie potrzeba mi sobie było długo głowę łamać nad tym, jaki to ksiądz pisał do mnie, bo któryż by to inny mógł być, jak nie mój najpocziwszy misjonarz, który dowiedziawszy się o moim nieszczęściu i różne słysząc plotki i domysły, sam przybiegł do Tamowa, iżby jeżeli można, widzieć się ze mną; jeżeli zaś nie, to przynajmniej na miejscu przekonać się, co jest w istocie. Jednakże listu jego po starym dniu tego odczytać nie mogłem, bo znowu ciemno było jak w garnku. Dopiero na drugi dzień przekonałem się, że domysł mój był prawdziwy. Ksiądz wyrażał żal swój nade mną i dawał mi niektóre doskonałe nauki, a nawet tak doskonałe, że się aż dziwić musiał, skąd on wiedział, czego mi trzeba, kiedy sam nigdy w więzieniu nie siedział. Na końcu listu było zgrabne napomknienie, iż się tu zapoznał z Konopką i z inną bardzo dobrze usposobioną szlachką.

– Więc koniecznie klin ten drugim musi wybity być klinem? Więc za jednym gwałtem koniecznie musi pójść drugi? za małą i przez jednego tylko popełnioną lekkomyślność nastąpić ma większa? – mówiłem sobie po przeczytaniu tej kartki i bardzo się zamyśliłem. Ale czy ci, którzy uwolnią jednego, nie wepchną na miejsce jego kilkunastu lub kilkudziesięciu? a tamci, czyż nie więcej wari na świecie niżeli ja jeden? Prawdać, że ja przez uwolnienie moje i poświęcenie się zaraz duszą i ciałem dla Zosi przyniosę ratunek, muszę go przynieść dla całej familii; ale z tamtych może niejedyn ma kochającą żonę, dziatki niemowlęta, sieroty cudze na swojej opiece? Uczciwież to z mojej strony przyjmować takie oswobodzenie, które szkodami swymi dziesięćkroć może przeniesie korzyści?... Nie! nigdy tego nie dopuszczę – powiedziałem sobie na razie.

Ale cóż to nie może owa żądza ratowania siebie i konserwowania życia, którą Pan Bóg włożył w serce każdego człowieka, a która w niejednym tak daleko przeszła oznaczone dla siebie granice, że zamiast cnotą dla pojedynczych staje się srogim przeciwko ogółowi występkiem? Co nie może owa bezecna żądza, która prawidłami rycerskich zakonów długo powstrzymywana na wodzy, nowymi czasy tak wybujała pomiędzy ludźmi, iż stawszy się w rzeczy niczym innym, jak tylko usystematyzowanym sobkostwem pod nazwiskiem rozumu i niezbędnego w dzisiejszym życiu wyrachowania, stała się gorszą od wszystkich egipskich plagą dla całej ludzkości? Cóż nie może ta żądza w słabym i co krok padającym człowieku?... Wstyd mi to przyznać, ale tak było w rzeczy, że i jam pod nią upadł na parę godzin, a jeżeli nie upadł, to się chwiać począł przynajmniej. O, Zosiu! wszystko to było dla ciebie.

Jednakże to przynajmniej niechaj będzie na obronę moją, że nic statecznego nie postanowił, zwlekając rzecz i decyzję do obiecanego powtórnego przybycia barona. Tymczasem Węgrzynek, który jako człek prosty znowu dla innych przyczyn nad obcy ratunek własną pomoc przynosił, dostawszy na to wyraźne już pozwolenie, zaczął wraz z Cyganem co dzień po trochę przepiłowywać kratę.

Trzeciego dnia od otrzymania karteczki od misjonarza, a siódmego od pierwszej wizyty barona, w samą obiadową godzinę, kiedy zwyczajnie ani jednego urzędnika nie było w ratuszu, kawaler²⁰⁸ ten stawiał się istotnie przede mną. Były to czasy, w których jeszcze

²⁰⁸ kawaler (fr.) – szlachcic, pan

kawaler, jakiegokolwiek by był narodu, nigdy się nie mylił, a co powiedział, bywało świętym i nie złamanym, jakby najuroczystsza przysięga. Nie wątpiłem też ani razu, a przynajmniej nie chciałem wątpić, że Holmfels punktualnie postawi się w słowie, jakoż zaręczenie o tym zaraz przy powitaniu mu wypowiedziałem. On mi za to podziękował grzecznie i uprzejmie, ale jakoś kwaśną miał minę. Rzeknę tedy:

– Po fizjonomii waszmości uważam, że nie z najlepszymi nowinami przychodzisz, ale jednakże, bądź co bądź jest, powiedz otwarcie i śmieie; dobić mnie jeszcze nie dobijesz, a złego nie pomnożysz.

– Istotnie – odpowiedział on smutno – że nie jest bardzo dobrze. Nie jest tak źle, jak sam sobie wystawiałeś, ale i nie jest tak dobrze, jak ja się spodziewałem.

– Więc cóż jest? mów bez ogródki.

– Proces przeciwko tobie jest wytoczony po wszelkiej formie. Obwiniają cię o zamieszanie publicznego spokoju, o zabicie, a właściwie o śmiertelne ranienie człowieka. Kara śmierci za to na żaden sposób przysądzoną być nie może ani nawet w pierwszej instancji, ale oprócz tego ta sprawa całkiem inny obrót weźmie. Posyłano bowiem wiadomość o niej sztafetami do Wiednia zaraz za pojmaniem twojego sługi, a stamtąd przyszedł taki rozkaz: żeby ciebie zaraz aresztowano, aby surowo postępowano z tobą, aby badano i sądzono podług praw i po formie, a kiedy wyrok przedłożony zostanie do najwyższego potwierdzenia, to cesarzowa-królowa nie odmówi swej łaski. Jest tedy tak, że pewnie i niezawodnie nic ci nie będzie, ale zostaniesz przeniesiony do kryminalnego więzienia i posiedzisz wraz z sługą twoim najmniej rok albo półtora.

– To niepodobna! – odpowiedziałem żałośnie – za trzy miesiące wyniesiono by mnie stąd nieżywego.

– Ha! to jest smutno – rzekł na to Holmfels – ale na to nie ma już rady. Gdybym był tu pierwszego dnia zaraz, kiedy ciebie ujęto, to może byłbym w inny sposób poradził, ale dziś już za późno.

– No, więc wszystko przepadło! trzebaż samemu co myśleć o sobie. Cóż powiadasz na to? uciec, a przynajmniej próbować uciec mogę każdej chwili.

– To już przechodzi zakres tego, co zrobić mogę – odpowiedział Holmfels, porywając się z miejsca – życzę tylko z całego serca, żebyś jak najprędzej powrócił do tego świata, którego serca tak sobie umiesz podbijać.

I zabierał się do wychodu. Ja też, szanując w nim człowieka mającego dawniejsze obowiązki nad świeżą przyjaźń, podziękowałem mu i za to, co mi wyświadczył, a zaręczając mu pamięć moją i wdzięczność dożywotną, pożegnałem się z wychodzącym.

Z wielu tedy łódek, które się nam, tonącym w tej otchłani, pojawiały z początku, pozostała tylko ucieczka. Czekać tedy nam wypadało i czynić przygotowania, a do Wielkiej Soboty mieliśmy jeszcze pięć dni. Opowiedziałem Węgrzynkowi rzecz całą i ułożyliśmy plan taki: iżby najpierw codziennie, osobliwie rano, kiedy gwar był na rynku, kratę piłować i do soboty przerznąć ją o tyle, żeby za uderzeniem ręki z łatwością wylecieć mogła, dalej, żeby z wszelką ostrożnością czekać soboty, gdyby zaś sobota omyliła, w niedzielę uciekać oknem, w piątku, tak, jakeśmy byli.

Na tych przygotowaniach i oczekiwaniach czas nam zszedł do piątku i do piątku byliśmy wszyscy jeszcze jako tako, jak zwyczajnie, kiedy chwila stanowcza albo zapowiedziane niebezpieczeństwo jest jeszcze daleko, lecz gdy minął wieczór piątkowy, a z nim razem i chwila, w której karczmareczka z ostatnią wiadomością jeszcze przybyć miała i nie przybyła, to w sobotę rano wszystkim nam się jakoś dziwno zrobiło. Nie mogę powiedzieć, żeby to była bojaźń albo rozpacz, ale jakieś zbezwdanie, które częstokroć ludzi bojaźliwych przed bitwą na przykład porywa; ale było to jakieś dziwne usposobienie, którego prawie opowiedzieć nie można. Zawieszenie owe pomiędzy szczęściem i nieszczęściem, pomiędzy

życiem a śmiercią jakoś tak dziwnie nas usposobiło, żeśmy przez cały dzień drżeli jak liście. Cygan tylko jeden był wesół i spokojny i ciągle nam powtarzał:

– Nie ma się czego bać, panie! ja już siedm razy uciekał i zawsze dobrze mi poszło.

Człowiek w nieszczęściu ma zawsze pewną determinację, a w Bogu nadzieję, że i odwagi nie braknie, kiedy jej przez całe życie nie brakło, ale zawsze była jakaś obawa we mnie. Toteż od południa, nastroiwszy sobie dębową lisztwę, od tapczana oddartą, cały czas już wisiałem u kraty. Aż mnie piersi zaboląły, tak ich sobie nagniótłem o przymurek u okna, ale przecie wytrzymałem i dobrze się stało, bo na godzinę przed zmrokiem przyszedł mój misjonarz wolnym krokiem popod moje okno i ujrawszy twarz moją za kratą, pokrzepił słowem. pociechy.

Jakoż i na godzinę jeszcze przed zmrokiem wszedł klucznik do naszej kaźni, wnosząc wodę i pytając, azali kto czego nie żąda, bo on już dzisiaj nie przyjdzie, chcąc także pójść na nabożeństwo.

I jedno, i drugie dobre było dla nas i odpowiedzieliśmy klucznikowi, że żaden z nas niczego nie potrzebuje, tylko go prosimy, aby się i za nas pomodlił. I zostaliśmy w dalszej niecierpliwości.

Kiedy się zmierzchać zaczęło, wiele ludu zgromadziło się na mieście. Wojsko wyciągnęło się długą linią na rynku i przed farnym kościołem, aleśmy go nie widzieli, bo nasze okno patrzyło na południową stronę, a kościół famy stoi w rogu między północą i zachodem. Dobry zmrok był już, kiedy zaczęto bić w dzwony i kilka salw dano. Po chwili rynek był już napchany ludem i przy świecach i pochodniach zaczęły się procesje. Myśmy się także modlili i pewnie goręcej jak cały lud tamten, ale tak już byliśmy rozdrażnieni i taka w nas była determinacja, że Węgrzynek rzekł do mnie:

– Panie, tu nie ma co czekać. Krata przepiłowana, warty zajęte. – Dalej w imię Boże! – uciekajmy!

I ja na to przystałem. Nie będę wam opowiadał, jakimi drogami dostaliśmy się na ulicę, dość że wsunawszy się po ciemku pomiędzy tłumy, wygniótłem się na rynek, gdzie znowu tłum, i tak przeciskając się nie poznany, wpadłem w ulicę pańskiego domu, gdzie mnie zaraz we drzwiach karczmareczka opadła, wołając:

– Panie! gdzie mój mąż? gdzie mąż?

– Jest, jest, jest – odpowiedziałem, chociaż w rzeczy nawet nie wiedziałem, co się z nim stało, i pobiegłem do sieni, w której pośrodku stały moje cztery konie, zaprzężone do karabonu, a przy nim o lusznie oparty ksiądz misjonarz z moją szkatułką w rękę.

– Widzisz – rzecze on do mnie, rzucając mi się w ramiona. – Ale tu nie masz czasu do stracenia, siadaj zaraz i jedź, jedź, gdzie chcesz, byle nie do domu.

– Niech ci Bóg zapłaci! pozdrów mi wszystkich i uściskaj ode mnie! – odpowiedziałem ze łzami księdzu i wskoczyłem na wóz, a podczas kiedy wsiadałem, z drugiej strony wskoczył mój Węgrzynek, którego nawet nie wiem, skąd się wziął i kiedy przybiegł.

Woźnica konie zaciął i w ciemną noc ruszyliśmy na dół na prawo gościńcem, mniejsza o to, dokąd, byle precz z tego fatalnego miejsca.

VII

Wyjechawszy z onej gospody o dobrym zmroku, jechałem wprost gościńcem ku Wojniczowi i pewno już z jaką milę upaliłem podolską, zanim odgłosy rezurekcyjnych salw i dzwonów przestały mi szumieć w uszach, a dopiero widok miasteczka Wojnicza, o półtorej mili odległego od Tarnowa, obudził we mnie zupełną przytomność. Stanąwszy tedy na środku gościńca, uczyniłem z moimi sługami wielką naradę, jak jechać, gdzie i którądy? – i

zgodziliśmy się wszyscy trzej na to, żeby jechać bez wypoczynku i wprost za Wisłę. O to tylko chodziło, którędy? Ale i na to znaleźliśmy dobrą odpowiedź zaraz w pierwszej gospodzie; jakoż z niej wzięwszy sobie przewodnika, puściliśmy się ku Wiśle, a mianowicie ku Ujściu Solnemu i Opatowcowi, na całą noc.

Kto zna tutejsze okolice i gościńce, temu się może dziwnym wydawać będzie, dlaczego ja wtedy sprzed Wojnicza nie jechałem wprost dalej gościńcem ku Krakowu, ale w nocy puściłem się na małe i nieznajome mi drogi; ale kto słuchał dawniejszych moich opowiadań, ten sobie przypomni, iż miałem siostrę rodzoną, Jadwigę – rokiem starszą ode mnie, a już przed laty dziesięciu wydaną za imć pana Krzysztofa Michałowskiego, herbu Poraj, stolnikowicza sandomirskiego, i mieszkającą na swoich własnych wioskach w Sandomirskim – i temu zboczeniu mojemu całe się dziwić nie będzie.

Pomiędzy siostrą moją a mną w wieku naszym dzieciennym i pacholęcym była wielka przyjaźń i miłość, a to do tego stopnia, że nie tylko to wyrobiłem u mego ojca, iż ją po zamęściu wraz z zięciem blisko rok jeszcze przytrzymał w Bóbrce, ale kiedy przyszło do pożegnania, przyrzekliśmy sobie najuroczyściej, iż koniecznie z czasem tak się z naszymi majątkami uregulujemy, żebyśmy kopcami granicznymi przytykali do siebie. Ale, jak to zwyczajnie bywa na świecie, póki człek młody, to nie dosyć że mu niezliczone mnóstwo najpiękniejszych rzeczy roi się po głowie, ale jeszcze zdaje mu się, że co tylko pomyśli za młodu, to to niezawodnie kiedyś wykona. I powiedz ty nawet młodemu, że tylko połowa jego planów olbrzymich jest czczym snem i marzeniem, których za lat kilka sam się wyprze albo zapomni, to się jeszcze obruszy na ciebie i powie, że go nie znasz i żeś mu jest nieprzyjaciół – a tymczasem, któż nie wie, jaki by to piękny był świat ten, gdyby tylko setna część snów młodzieńczych w rzeczywistość się zamieniła!

Takim też snem młodzieńczym, który snem tylko pozostał na wieki, był i ów plan nasz zbliżenia się z siostrą w sąsiedztwie. Po jej wyjechaniu od nas ze swoim mężem mój ojciec sam rządził przeznaczoną dla mnie połową fortuny i nie pozwalał się wtrącać do niczego. W cztery lata potem wybuchła wojna, w której i ja, zrazu dla zabawki, potem już z obowiązku, służyłem. Śród wojny zaszła śmierć mego ojca – fortuna się została na Boskiej opiece i tak rok cały przetrwała. Po wojnie łątało się dziury w sercu i w fortunie znowu przez rok okrągły, do tego jeszcze kordon mnie odgrodził od siostry, a kiedy potem zapłonęła we mnie owa nieszczęśliwa żądza dziedzictwa, dalibóg, że lubo jeszcze nie byłem stary i pewnie tak samo siostrę kochałem, jak dawniej, jednak już nowsze sny i marzenia tak wyrugowały dawniejsze, że te ostatnie ani mi na myśl nie przyszły.

Jednak teraz była rzecz inna. Począłem miłość i konkurencję, o czym jeszcze nic a nic nie wiedziała Jadwisia; przeszedłem świeżo takie terminy, które mnie w jednym momencie uczyniły wygnańcem i Bóg wie na jaki los całe życie moje podały; jechałem prosto gdzieś daleko i jeżeli także na niebezpieczne okazje, to przynajmniej ze stałą determinacją, choćby życie położyć dla Zosi – więc choć teraz najpierwszym i obowiązkiem, i serca mojego pragnieniem było widzieć się przedtem z Jadwisia.

Z Opatowca tedy, dokąd się szczęśliwie przeprawiłem przez Wisłę, prowadziłem podróż moją wprost dalej i dnia drugiego stanąłem w Nieczujowych wioskach. Tam jednak już mi Pan Bóg tak nie poszczęścił, jak się tego spodziewałem; siostrę bowiem zastałem słabą na ciele i srodze posmuconą na duszy z powodu utraty ulubionego dziecięcia. Więc zamiast co miałem się przed nią wypowiadać ze wszystkich moich smutków i miłości, zamiast w jednej rzeczy rady od niej zasięgnąć, w drugiej pomocy lub pociechy, to musiałem z bólem serca wszystko swoje starannie taić przed nią i jeszcze się zdobywać na słowa pociechy. Szwagrowi tylko, który był mąż cnót niepospolitych i dziwnie wzniosłego serca kawaler, opowiedziałem wszystko co do joty. Zafrasował on się tym niepomału i rzekł mi:

– Wiele tu tego złego jest, panie bracie, więcej nawet niżeli, jak uważam, sam sobie liczysz. Bo i konkurencję taką trzeba prawie na równi kłaść z nieszczęściem, i lekkość umysłu

twego nie brać za szczęście; o procesie tarnowskim to już nie ma co i powiadać. Chwała Bogu, żeś osobę twoją przynajmniej zeń wyratował, ale przyszłość twoja i fortuna uwięzła przy nim na długo, kto wie, może i na wieki.

– Jak to rozumiesz? – zapytałem.

– Całkiem po prostu – odpowiedział pan Michałowski – nie ma ciebie, to mogą zabrać twoją fortunę, bo kto wie, jakie tam prawa. Ale ja cię tak nie zostawię; kiedy cię głos serca woła za Zosią, to jedź już z Panem Bogiem za nią, ale ja zaraz jutro pojedę do Bóbrki. Tego tak nie można zostawić, bo kiedy nieszczęście zechce, to wszystko możesz utracić, a tak, na razie przynajmniej, choć gotowiznę ci uratuję i przecie coś zrobię około twojej sprawy, a kiedy nie, to choć się dowiem o wszystkim.

Nie chciałem zrazu przyjmować tej od niego posługi, bo miał swoje gospodarstwo niemałe i, co gorsza, żonę słabą w domu, ale zważywszy, że siostra moja nie była tak bardzo słabą» a mnie tu w złym razie mogły grozić niemałe rzeczy, przyjąłem jego ofiarę z wielką wdzięcznością. Zwłaszcza kiedy, jak zwyczajnie, przyszło do tego, że moja siostra tego dnia jeszcze o wszystkim się dowiedziała, to już ani mowy być o tym nie mogło, żebym tak został bez ratunku; ona bowiem, spłakawszy się nade mną jak dziecko, determinowała się raczej sama wstać z łóżka i pojechać do Bóbrki, niżeli mnie tak na los szczęścia zostawić. Zostało tedy przy tym, że Michałowski miał zaraz nazajutrz wyjeżdżać do mnie, i umówiliśmy się tak, iż on o wszystkim, co zrobi lub o czym się dowie, donosić będzie żonie, ona zaś mnie pocztą lub gdyby tego potrzeba było, to i umyślnym posłańcem wprost do Oszmiany. Tak więc dnia następnego, rzewnymi żegnając się łzami, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, nie wiedząc wcale, kiedy i w jakich losach nam się Pan Bóg znowu widzieć dozwoli.

Podróży mojej dalszej opowiadać nie będę, nic bowiem w niej nie zdarzyło mi się osobliwego i chybaby to tylko do osobliwości policzyć, iż spod Sandomierza dnia trzynastego przed wieczorem znalazłem się około Oszmiany i słońce jeszcze miało z godzinę biec ku zachodowi, kiedy ja już z pagórka o kilka staj tylko przed sobą ujrzałem wieś dziadkową. Z bijącym sercem i wielką niespokojnością zbliżałem się do niej, ale i ja mogę powiedzieć o sobie, że poznałem ją zaraz! Dworek drewniany z ganeczkiem o czterech słupach, na którego czele przybitą była Matka Boska Ostrobramska ze łzami w oczach i uśmiechem na licu, z dziedzińcem gładkim przed sobą, wysokimi okolonym płotami, przez które bez turecki przechylał swoje gałęzie, a w którego środku stały trzy lipy rosochate, niegdy piorunowym ogniem osmalone; dworek ten, mówię, o Którym tyle słyszałem i od dziadka, i od Murdeliona, jakże by mi się był nie miał zaraz ze wszystkim przypomnieć? Nie wyglądał wprawdzie teraz ani on, ani jego okolica tak, jak wtedy, kiedy dziadka wypędziła z domu owa bezecna macocha lub kiedy Murdelio, ujrzawszy przed gankiem modlącą się sług Witowych gromadkę, tak był tym widokiem pochwycony, choć za diabelskie swe serce, że konia odwrócił i swego zbójckiego zamiaru zaniechał, ani też tak, kiedy po świetle księżycowym krwawy ów napad w rzeczy wykonał; bo teraz była to dopiero połowa maja i ledwie pierwsza zieleń okrywała ziemię i drzewa, na łąkach jeszcze wody tu i ówdzie stały i podrywało się z nich ptastwo błotne, szukające żeru albo noclegu; pługi krajały ziemię skrzątnie, rozsypawszy się po niej jak stado mrówek naokoło, skowronek jeszcze śpiewał swoje pierwsze piosenki, a słowik dopiero lutnię swą stroił; jednak, mając ów bór po lewej, w którym niegdy modlącego się łzami krwawymi dziadka olśnił pożar macoszynego domu, i mając wszystkie słyszane opowiadania świeżo przywołane w pamięci – smutno się zamyśliłem.

Konie moje, długą sforsowane podróżą, noga z nogi wlokły karabon po błocie, woźnica kiwał się na kozłach i drzymał. Węgrzynek, jako sławny między gawiedzią geograf, ciekawie się rozpatrywał wokoło, a ja myślałem o owym domku drewnianym i sobie. O, nędzny domku! ty, który już tyle razy na przemian byłeś świadkiem i cnót wielkich, i zbrodni, który chowałeś w sobie i anioły, i gady, który między twoimi ścianami mieściłeś bezecna babę z

obrzydliwymi gachami i dawałeś na twej podłodze rozpustne za sieroce pieniądze luszyki, który patrzałeś na najszlachetniejszego z młodzieńców, obłożonego we własnym domu guzami, wyrzuconego za bramę, wyszczonego psami, a przecie nie mającego jeszcze złej myśli w sercu i poświęcającego wszystko dla pamięci swojego ojca i czci niepokalanego imienia, który byłeś świadkiem starodawnej cnoty sąsiedzkiej, opiekującej się skrzętnie sierocym groszem przez lat kilkanaście, który potem obejmowałaś w swych ścianach tyloletnie szczęście domowe i jakby łąza czyste pożycie stolnikowej rodziców, który wśród tego czasu wypiaśtowałaś śliczną jakby anioł i dobrą jak anioł panienkę, a która jednak była złą gwiazdą, prowadzącą za sobą tyle złości i zbrodni, i krwi niewinnie rozlanej, i niespokoju, i zmartwień, i nieszczęść dosięgających biczem swoim aż serca następujących pokoleń, który na koniec sam świadkiem byłeś i zgody, i niezgody jednego z potomków imienia, ich rzucania się sobie w ramiona, a potem na siebie, ich grózb i wyrzutów, i przekleństw, i napadów!... domku lichy i niepokazny, cóż ty masz dla mnie w zanadrzu? co tam dla mnie chowasz pomiędzy twoimi ścianami? jaka z kolei chmura zawisnie teraz nad dachem twoim, czy biała i przezroczysta, złotymi wesołego słońca obwiedziona brzegami, czy czarna, groźna i nowymi gromami ciężarna?

Takimi myślami zajęty, zajechałem przed ganek. Zrazu wydawało mi -się, że cały ten dom jest pusty i że w nim nie masz nikogo, tak jakoś cicho było na dziedzińcu; ale kiedy się obejrzałem i wzrok rzuciłem na okno, serce mi tak uderzyło, że aż wykrzyknąłem z radości. Zosia była w okienku i wyglądała w dziedziniec na drogę. Poznawszy mnie, pędem strzały zniknęła w oknie i wybiegła do sieni, ja też nieleniwo zeskoczyłem z wozu i w jednym okamgnieniu znaleźliśmy się razem na ganku, a ja, drżący cały, ze łzami w oczach ścisnąłem już tę bielutką rączkę, której wtenczas może więcej jak nieba na wieczne posiadanie pragnąłem.

Milczenie wtórujące temu uściśnieniu trwało dość długo; ja przynajmniej, lubo przez drogę miliony wiadomości dla Zosi zbierałem, teraz, jak mi Bóg miły, nie umiałem ani słowa powiedzieć, ale ona, zasłaniając chusteczką oczy dwiema ślicznymi łzami ozdobione, rzekła najprzód półgłosem:

- Myśmy myśleli, że pana Marcina gdzieś na drodze zabito.
- Dziękuję wam za tę myśl – odpowiedziałem – bo prawda, że chyba tylko śmierć lub więzienie mogło mnie w tej podróży zatrzymać.
- Więzienie? Boże! – zawołała Zosia – któż waszmości śmiał więzić?
- Był taki, co śmiał, ale to potem opowiem. Cóż tu się dzieje? mama?...
- Mama jest na zamku Piotrowiczowym – odpowiedziała Zosia z westchnieniem.
- Jest? chwałaż Bogu i za to – odpowiedziałem – już my ją stamtąd dobędziemy.
- Daj Boże! – rzekła Zosia – i teraz wierzę, że mama nazad do nas powróci, kiedy waszmość przyjechał. Ale chodźmy do dziadka, on się bardzo ucieszy pana Marcina przybyciem.

To mówiąc, otworzyliśmy drzwi po prawej stronie, wiodące do izby dość dużej, w której przy jednej ścianie siedział dziadek w poręczowym krześle; przy nim stoliczek mały po staremu z butelkami miodu czy wina, a za stolikiem drugi szlachcic, także już podeszłego wieku, ale nieznamy. Wszedłszy, przyskoczyłem do dziadka, witając się szczerze i serdecznie. A on też do mnie także od serca:

- Jak się masz, Niczujo? Widoczny to cud Boży, żeś tu przyjechał, bo pewno w niemałych być musiały obrotach; już ja myślałem, że cię zgoła zabito.
- Dziękuję jegomości za tę dobrą o mnie opinię – odpowie
- działem starcowi, całując go w ramię – zabić mnie, nie zabito, ale mnie uwięziono.

– Uwięziono? jakże? to waszmość był pod kondemnatą²⁰⁹? – zapytał on szlachcic siedzący przy dziadku i pijący miód z kubka.

– Pod kondemnatą? uchowaj Boże! – odpowiedziałem – dopiero miano wypisać dekret na mnie, ale uciekłem przecie. Na to dziadek:

– Siadaj no, siadaj, Nieczujo, i powiadaj, co tam z tobą wyrabiali i za co, bo to doprawdy ciekawe rzeczy.

– Dobrze – odpowiedziałem – siądę i opowiem od deski do deski, ale pierwej nie, póki mi jegomość nie powiesz, co się tu dzieje;

bo juźci to ciekawsza, a nade wszystko ważniejsza.

Westchnął starzec na to i rzekł:

– Co się dzieje! źle jest, bo gdyby było dobrze, tobyś był moją córkę już tutaj obaczył. Ale w Bogu nadzieja: w Bogu i w imć panach sąsiadach – dodał dziadek – którzy nas przecie nie opuszczą.

– W Bogu, w Bogu tylko, panie cześniku dobrodzieju – rzekł na to szlachcic – bo my, chociaż całym powiatem staniemy przy waszmości, to jednak tylko nasz obowiązek zrobimy, tak jak się już raz zrobili, kiedyśmy po raz pierwszy córkę jegomości z tego przekłętogo zamku dobyli. Ale jak się to pierwszy raz dało zrobić z łatwością, tak i teraz się zrobi; bo czy to się nie ma dosyć siły na to? czy się to nie zna każdej dziury w tym zamku?...

Ja się na to popatrzyłem na tego szlachcica, ciekawy, kto by to był, który tak zna wszystkie dziury w Piotrowiczowym zamku, co spostrzegłszy, dziadek rzekł zaraz, wskazując ręką na niego:

– To jest jmć pan Gintowt, teraz cześnik wendeński, a niegdy plenipotent pana Ignacego, ten sam, który...

– Wiem, wiem – przerwałem dziadkowi – który niegdy pół załogi zamkowej spisał przeciw Murdelionowi i panią stolnikową wywiózł, aby ją oddać ojcu.

– Tak jest, ten sam – rzekł pan Gintowt, ściskając mi rękę – wtedy był młody, a dziś już stary i siwy, jednak i dziś jeszcze, da Bóg, z równym szczęściem będzie głównym motorem takiejże samej imprezy.

– Daj że Boże! – odpowiedziałem na to – tylko że to dziś trzeba będzie podobno bić z wierzchu na zamek, nie tak jak pierwej, wymknąć się tylko ze środka.

– Nic to nie wadzi, i to się potrafi. Na przyszły wtorek mamy tu sejmik powiatowy w Oszmianie i ja tam będę, a jaką szlachtę i ile jej stamtąd przywiozę, to waszmość obaczysz i sam osądzisz, czy można z nią bić na zamek czy nie.

– Ślicznie to waszmość mówisz – odpowiedziałem – czy tylko zechcą przyjechać?

– Ja bo waszmości nie koncept z głowy powiadam, tylko rzecz dokumentną; przecie to już jest udeterminowane²¹⁰.

Dopiero dowiedziałem się całej rzeczy, która była następująca. Murdelio, porwawszy stolnikową z Żwiernika, jak i kiedy z nią dojechał do swego zamku, tego nikt wtedy nie wiedział i do dziś dnia nikt nie wie, powiadam to, bo mi rozum tak mówić każe;

jednakże stał się przy tym porwaniu jeden szczegół dziwny i nieodgadniony, który swojego czasu potwierdzony był świadectwami dwóch prawie całkowitych powiatów, to jest: pilźnieńskiego i oszmiańskiego, a pomimo to jednak dzisiaj u nikogo by wiary nie znalazł. Szczegół ten zasadzał się na tym, że zaraz następnego dnia po owej fatalnej nocy, w której Murdelio porwał stolnikową w Żwierniku, wieść się rozeszła po powiecie oszmiańskim nie o tym, że Piotrowicz porwał panią Strzegocką z jej domu, ale o tym, że ją już przywiózł do siebie, a nawet byli tacy, którzy go dnia tego rankiem widzieli wjeżdżającego dwiema

²⁰⁹ być pod kondemnatą (łac.) – mieć wyrok sądowy

²¹⁰ udeterminowane (łac.) – postanowione

brykami w zamkową bramę. A przecież to była przestrzeń mil stu dwudziestu! – kiedy mi to opowiadano, na żaden sposób nie chciałem wierzyć i mówiłem Gintowtowi do oczu:

– Ale już mówcie wy sobie, co chcecie, ja w żaden sposób nie uwierzę. Człowiek tego żadną siłą zrobić by nie potrafił, a chociaż niemało ludzie gadają o tym, że żywe diabły chodzą po ziemi i niektórym ludziom nawet w ich sprawach dopomagają, to już daremna, ale póki ja co takiego na własne oczy nie ujrzę, poty też nie uwierzę. Prawda, że nie mówię już nadzwyczajne, ale nawet i zwyczajne rzeczy tego Piotrowicza dużo diabelstwem trąca; nie zaprę się nawet tego, że i mnie samemu o nim nieraz się co takiego przywidywało, że doprawdy trudno to sobie po prostu wytłumaczyć, ale czy to jednego człowieka nie rozumie w tym życiu, a przecie zaraz nie nazywa diabelstwem?

Na to Gintowt:

– I dobrze waszmość w tej materii mówisz, i niedobrze; bo chociaż to nie bardzo się chce wierzyć w diabły człowiekowi takiemu, który ich nigdy nie widział, toż jednak jakże znów nie wierzyć, kiedy w nich wierzy cała Litwa? Pana Piotrowicza, o którym mowa, ja sam znam tak blisko, jak mało który z sąsiadów, bo. Panie Boże mi odpuść, służyłem u niego lat kilka; lecz co się tyczy diabelstwa jego, to, Bogiem a prawdą, sumiennie nie mógłbym ani tak, ani owak zaświadczyć. Widziałem ci ja niejedną taką rzecz po nim, przed którą się ludzie żegnają, i jam się żegnał, ale zawsze daleki byłem od tego, żeby aż diabła w nim widzieć; i jeżeli przyszło do tego, że jego służbę samowolnie porzucił, to nie inny był powód temu, jeno ten, że się o jego szkaradnej nieuczciwości przeświadczył. Wiele by to dziś gadać o tym i daleko by sięgać potrzeba, żeby życie tego człowieka doskonale wyświecić, ale ilekolek bym nagadał, to zawsze bym w tej rzeczy tak rozumiał, jako i dziś powiadam, a to: że ani ci, którzy go szczerym diabłem być powiadają, ani owi, którzy go tylko bardzo złym człowiekiem być mienią, nie mają racji, bo któż zaprzeczy, że można nie być diabłem, a jednak mieć pomoc diabelską?... Ale co się tyczy tego teraźniejszego jego przybycia tutaj, to wierz sobie, waszmość, lub nie wierz, a ja ci to jeszcze powtarzam, że o samym śródpościu, w dzień św. Pankracego Wyznawcy, byłem tu u pana Żaby w sąsiedztwie i właśnie siedzieliśmy sobie przy piwku marcowym, rozmawiając to o tym, to o owym, kiedy wpadli do niego pan Kasper Magnuski i Jur z Borowiczek i powiedzieli nam, że diabeł wenecki ukraść panią Strzegocką mężowi gdzieś na Mazurach i dziś o świcie przywiózł ją na swój zamek. Jeszcześmy się sprzeczali o to, że pani Strzegocką nie ma już męża, bo ja sam byłem na nieboszczyka stolnika pogrzebie, czego wszystkiego świadkiem był pan Żaba, który, kiedy mnie wiary nie ma, sam to waszmości przytwierdzi, a zresztą i wszystka szlachta z okolicy, bo tegoż dnia jeszcze wiadomość ta rozeszła się na pięć mil naokoło.

Tak mówił Gintowt, a tymczasem rzecz znowu była pewna i przez cały pilźnieński powiat potwierdzona, że Murdelio panią stolnikową ukraść w samą wigilię św. Pankracego Wyznawcy, sto dwadzieścia mil z czubem upalił jednej nocy ten diabeł wenecki!

Ale powracając do rzeczy, opowiadam dalej, iż skoro tylko wieść o tym czynie Piotrowiczowym rozeszła się po okolicy, to tak szlachtę tamtejszą, wedle świadectwa dziadkowego, najpocziwszą pod słońcem, oburzyło, że aż chciała hurmem na zamek uderzyć. Ale jak to u nas. bywa zwyczajnie: zrazu huk wielki, wrzawa i odgrazanie się takie srogie, że kto by myślał, że to już koniec świata, a ono właśnie wtedy, kiedy krzyk najgłośniejszy, serca już stygnąć poczynają. I tak z onego napadu zamierzonego w pierwszym impencie ledwie pamiątka groźby została. Jednakże szlachta, pomimo to, że się wyburzyła od razu, niedługo potem dała dowód tego, że w tej sprawie przynajmniej i na zimno nie myślała inaczej, jak na gorąco; bo skoro dziadek pojawił się w wiosce swojej, zaraz też wszyscy sąsiedzi przyjechali, nie tylko z oświadczeniami dawnej i do dziś dnia niewygasłej dla niego przyjaźni i nad teraźniejszym jego nieszczęściem kompasji²¹¹, ale nawet z uroczystym

²¹¹ kompasja (łac.) – współczucie

zapewnieniem, że panią Strzegocką wydobędą z zamku, a Murdeliona rozsieczą za wstyd i hańbę wyrządzoną wszystkim. Gdyby kto inny był w miejscu dziadka albo gdyby pan cześnik jeszcze teraz miał być tę krew i fantazję, jaką miał, kiedy służywał w chorągwi i za sieniawszczykami uganiał po Rusi, toby był dotychczas umiał już ukuć co z tego żelaza, które mu samo podawało się w kleszcze; a ja, kiedym przyjechał, byłbym już zastał stolnikową u ojca, a z Piotrowiczego zamku ledwie gruzy i zgliszczka, ale nie darmo to mówią, że starość, nie radość: dziadek do dziś dnia nic jeszcze nie zrobił. A boćwinkowie²¹², lubo lud setny, bo znam ich, gdyż z nimi służyłem, jednakże bez przynuki²¹³ sami nic nie zrobili. Oni, wyspoczywawszy się przez lat parę po wojnie ostatniej, której mało doznali złych skutków, dziś radzi byli, że ich co nowego zbudziło ze snu; więc zamiast rzecz tak małą od razu zacząć i zakończyć, zabawiali się tą nowiną i różnymi dla niej wykuwanymi planami, przygotowując się na ten lichy zajazd, jakby na wielką wojnę. Więc najpierw urządzili pomiędzy sobą kolej, po której co dwóch co nocy przyjeżdżało do dworu pana Wita i tam trzymali niby to szyldwach na wypadek jakiego niebezpieczeństwa; inni śród tego czasu robili podjazdy pod zamek, bawiąc się po żołniersku chwytnością wieści o sile i innych zasobach nieprzyjaciela; pan Gintowt siedział wciąż u pana cześnika i odbierając codziennie raporta, a właściwie li plotki, trutynował²¹⁴ je ze staruszką i ze wspólnych narad wynikające codziennie wydawał rozkazy; młodzież zaś inna, owi to młokosikowie, którzy nigdy w życiu na żadnej nie byli potrzebie i sposobiąc się do lada burdy powiatowej, zazwyczaj okrutnie srogie miny robią, wiele krzyczą, latają i po żołniersku się prężąc, wielką okazują służbistość, aż póki im dobrze kto skóry nie nagarbuje i nie poznają sami, że bitwa to nie zabawka, a harcowanie na pięknym koniku, to jeszcze nie służba – ta młodzież, jako zwykle, to na koniach, to wozikami, tak latała po całej okolicy, że kto obcy byłby przysięgał na to, że tam się przygotowuje wielka wojna. Tymczasem zaś Murdelio, jako opowiadały wieści, trzymając stolnikową pod dobrą strażą, zamek, jak mógł, opatrywał, swoich ludzi uzbrajał i przez powierników wysyłanych na okolicę tak różną hołotę i tak wiele jej zbierał, że już do dwóchset głów samego teraz nowo uformowanego wojska liczono na tym diabelskim zamku. Ale jak i gdzie tam panią stolnikową trzymano na zamku i jak się z nią obchodzono, o tym na próżno starano się dowiedzieć.

Więc kiedy tak siedząc przy miodzie, obadwaj staruszkowie opowiadają mi te wszystkie szczegóły, rzeknę ja do nich:

– Bardzo to wszystko ładnie, co mi tu waszmość opowiadacie; ładnie, że sąsiadów ta sprawa tak żywo obeszła, ładnie, że po kolei strzegą jegomościnego dworku, ładnie, że się przygotowują i obiecują na zamek uderzyć, tylko to jedno nieładnie, że właściwie dotychczas nic jeszcze nie zrobili; bo czy to taka, czy siaka impreza, to nigdy nie rozumiem takiej polityki, żeby dla kilku przysposobić się mających szabel lub koni dawać czas nieprzyjacielowi do wzmocnienia się i przygotowania.

Gintowt słuchał i wpatrywał się we mnie, gdym mówił, a kiedym skończył, spytał mnie z wolna:

– Waszmość służył gdzie w wojsku? – Ja też na to:

– Służyłem, i to nie tylko w wojsku, ale we wojnie, a co mówię, te z doświadczenia.

– No, to waszmość czynił swoją praktykę z Mazurami i z nimi może wiesz, jak poczynać, ale u nas inaczej.

– Prawdę to jegomość mówisz, że u was inaczej, ale ja bo wiem, jak i tutaj, bo i z wami się służywało, i dlatego właśnie to mówię.

²¹² boćwinek – przezwisko litewskiego hreczkosieja

²¹³ przynuka (ros.) – przynaglanie, zachęta

²¹⁴ trutynować (łac.) – rozważać

– Jak to? – rzekł na to Gintowt – to waszmość o Litwinach powiadasz, że kiedy im się co odwlecze, to i uciecze?

– Ja tego nie powiadam już całkiem na pewno, jeno tak suponuję, a i to nie bez pewnego powodu, bo stołowicka potrzeba stoi mi jakby dziś przed oczyma.

Tu jmc pan Gintowt, niebieską kwiecistą chustką nos utarłszy i pociągnawszy pół kubka miodu, zaczął *per longum et latum*²¹⁵ opowiadać stołowicką potrzebę. Zosia siedziała w tymże samym pokoju pod oknem, a ja, nie widziawszy jej sześć tygodni, ledwie się z nią był przywitał! Gadał więc Gintowt swoją rzecz bez przestanku, a mowa jego podobną była chodowi wyuczonego konia, który równym stępem czesze milę, dwie albo i dziesięć; ale ja już i uchem, i okiem, i duszą całą byłem przy Zosi i czekałem tylko sposobnej chwili, aby się od rozgadanych starców oderwać. Jednakże ani myśleć było mi o tym, bo lubo stary ten konfederat zrazu ciął swoją sztukę, nie oglądając się wcale na usposobienie słuchaczy, toż jednak później, kiedy przyszedł z kolei na takie fakta, którymi moją opinię przerobić miał nadzieję, z pospolitego szlachcica stał się niepospolity a umiętny orator. I nie przestawał on już natenczas na samym opowiadaniu, ale w swojej zelozji²¹⁶ pragnął zarazem, aby, co powie, było potwierdzonym przeze mnie. Rzuczał mnie więc ustawicznie pytania albo do połowy tylko doprowadzone periody, których dokończenia wyczekiwał ode mnie, a kiedy widział, że mu odpowiadam ni to, ni owo, to mnie brał za rękę, szarpał za frędzle u pasa albo za połę żupana, a kiedy i to nie pomogło, to wstawał i położywszy ciężką, kościstą rękę na moim ramieniu, podniesionym głosem i w samo ucho rzucał mi swoje nieodwołalne sentencje. Jakem się kręcił na stołku, z jaką grzecznością kiwałem na wszystko, a przy tym ile cierpiałem natenczas, opowiadać nie będę, bo komuż dziś nie są znane smętne kochanków cierpienia! – Ale pan Gintowt był już stary i nie znał się na miłości, więc ani nadziei nie było, aby się zlitował nade mną i z swoich objęć oratorskich mnie puścił;

musiałem tedy cierpieć i słuchać, ale byłbym był Pan Bóg wie co dał za to, gdyby mu kto był przerwał tę arcywymowną obronę. Jakoż wysłuchał Bóg prośby mojej, bo kiedy jmc pan cześnik wendeński, przyjawszy z rąk dziadka świeżo napełniony kubeczek miodu i wypróżniwszy go do połowy, szeroko odetchnął piersiami, ażeby zrekapitulowawszy²¹⁷ wszystkie motywa, ostatecznym do mnie wystrzelić argumentem – drzwi się otworzyły z łoskotem i dwóch młodych Litwinów, na których kolej owej niby to służby przypadła tej nocy, weszło do izby. Pan Gintowt, chcąc nie chcąc, musiał przerwać swoją orację, a podczas kiedy dziadek powiadał mi nowo przybyłych nazwiska i tytuły i nawzajem im moje, wniesiono nowy zasilek miodu, do którego zasiadłszy, oczywiście nowa musiała się zacząć rozmowa. Jeden z tych bardzo młodziutki, ale zadzierzysty kawaler, właśnie jeden z takich, o których dopiero co wspomniałem, że okrutnie bębnią słowami przed lada jaką praktyką, był do tego jeszcze jakiś daleki powinowaty dziadka przez nieboszczkę panią cześnikową, toteż, pociągnawszy zaraz ze dwie szklanice, kiedy to pocznie bić na zamek Murdeliona, to aż włosy na głowie powstawały od samego słuchania.

– Ho, ho! mospanie! – gadał on młodziak, na nieszczęście obracając się do mnie – waszmość ani wyobrażenia nie masz, jaką my kurtę wykroimy temu diabłu weneckiemu! Ja sam mam więcej trzydziestu ludzi zebranych z sąsiedzkiego zaścianku i czekam jeno na wtorek. Ale to nic jeszcze! przyjedź no, waszmość, na wtorek do Oszmiany, mamy tam sędziów obierać, ale kat ich będzie obierał! Od pana Żaby przyjdzie tam sześć beczek miodu, od pana Zembrzuskiego pięć, od Jokity trzy miodu, a jedna gorzałki, jegomość pan cześnik dobrodziej ma już cały wóz z jadłem i napojami nagotowany, ba, i ode mnie pójdzie furka z wędliną, kołdunami i beczką wina, co mi mama podarowała. Otóż, kiedy to wszystko

²¹⁵ *per longum...* (łac.) – długo i szeroko

²¹⁶ zelozja (gr.) – gorliwość, fanatyzm

²¹⁷ rekapitulować (łac.) – streszczać, powtarzać

zajedzie, a kiedy to stanie, ot! pan Gintowt dobrodziej, pan Magnuski orator, Demostenes z Zalasówki, i Seneka Giambutowicz z gębami, a Jur z Borowiczek i my za nim.

– Ba! Jur z Borowiczek! – poderwał drugi Litwin dyżurny – pewno, że kiedy ten się weźmie do czego, to tam nie ma już co poprawiać.

– Ba! to nie nowina! – odpowie znów młodzik – dlatego też ja najpierwej jemu rzecz zakomunikowałem! Zrazu nie chciał i ociągał się, powiadając: – A co mnie do tego, że kto babę wykradł Mazurom! to niech się Mazury pilnują! a zresztą wartoż to wojować o starą babę, jeszcze do tego z diabłem? Bo to przecie stolnikowa, kiedy szła za męża, to ja jeszcze szabli udźwignąć nie mogłem, i teraz się będę bił o nią, żeby mnie wzięli na języki i gadali, co im się podoba! Nie chcę, dajcie mnie pokój! mnie Piotrowicz nic nie zawinił. – A ja jemu na to: – Ale mój Jurciu! co tobie do tego, czy to o młodą czy o starą rzecz idzie! co ci na tym? wszakże kiedy panią stolnikowa odbijać będziesz, to nie dla siebie, ani sam pójdziesz na tę wyprawę, jeno pójdziemy wszyscy! a zważaj sobie to, że jakoś nieładnie by było, żeby przy takiej imprezie Jura z Borowiczek nie było! Zważże i to – powiedziałem – że lubo nam bardzo wiele na tobie zależy, to jednak, czy ty pójdziesz czy nie pójdziesz, zawsze się ruszymy i pociągniemy pięknie, a kiedy ciągnąć będziemy, to jużci nie bez tego, żeby ten lub ów nie zapytał: – A gdzież nasz Jur z Borowiczek, co nas wodzi po wszystkie czasy, że go nie widać na przedzie?... – Wstyd mi będzie powiedzieć, ale trudnoż zmilczeć, że Jur siedzi za piecem.

Kiedy tak opowiadał młodzik, w pierwsze wybierający się pole, jako doświadczonego wszystkich zajazdów przywódcę z wielką pracą dla tej sprawy kaptował, Gintowt siedział milczący i popijając miodek powoli, chmurzył się coraz bardziej i słuchał, a kiedy tamten, wyrecytowawszy i wszystkie swoje, i owego Jura przy onym kaptowaniu mówione słowa, na tym zakończył, że przecie nareszcie Jura do tej sprawy namówił, Gintowt pociągnął jeszcze raz miodek i rzekł:

– Dziwujże się tu czemu, mospaneńku, kiedy taka młodzież się rodzi! Toż to ja sam w mojej osobie, jako już powiadałem, siedziałem już z panem Żabą w jego domu przy piwku marcowym, kiedy wpadli pan Kasper Magnuski i tenże sam Jur z Borowiczek i pierwsi przywieźli nam wiadomość o wykradzeniu pani stolnikowej i osadzeniu jej na zamku Piotrowiczowym – i sam w mojej osobie słyszałem, jako Jur, opowiedziawszy zdarzenie, rzekł do mnie w te słowa:

– Cóż, panie Bartłomieju? nie porać to do zajazdów i ma już człek tego dosyć, ale tu trudno! hańba to wyrządzona całej okolicy; trza snadź będzie uderzyć na to gniazdo diabelskie – a ten tu młokosik, który pewno aż w jakie kilka dni potem dowiedział się o tej rzeczy, powiada mnie w żywe oczy, że on Jura skaptował! Tfe! A myszy, żeby do waszego domu wlażyły, tobyście ich szukali! A z muchami wam wojować po ścianach! Tfu!

– Ale, panie cześniku dobrodzieju! – poderwał znów młodzieniaszek – ja nie powiadam, żeby Jur z Borowiczek nie pierwiej ode mnie wiedział o tej rzeczy, ale że z początku inaczej o niej rozumiał niż teraz, to pewna! Przecież ja powiadałem wyraźnie...

– Ale co ty powiadałeś – zawołał Gintowt – co ty masz do powiadania! ty nawet gęby nie powinieś otworzyć, aby mówić o Jurze. Byłeś ty takim towarzyszem albeńskim, którego cała Alba nosiła na rękach; byłeś nie sługą, ale przyjacielem księcia pana; byłeś w jakich kilkuset potrzebach, a zawsze w największym ogniu; służyłeś pięć lat krwawym trudem, brałeś niedźwiedzie oszczepem, szukałeś niebezpieczeństw na własną rękę po Węgrzech, po Multanach, po Tureczyźnie, odprawiłeś z jakie dwadzieścia zajazdów, ze sto pojedynków? he?... Otóż kiedy to wszystko odprawisz, to wtedy będziesz mówił o Jurze jak o twym równym.

Zmieszał się tym trochę młokosik; ja myślałem, że już zgoła uderzy się w piersi i umilknie, ale gdzie tam! ledwie co przebrzmiał głos Gintowtowy, on się znowu poderwał i dalejże w argumenta, usiłując, jeżeli już nie dowieść koniecznie, że w rzeczy on Jura skaptował, to

przynajmniej siebie z zarzutów obronić. A podczas kiedy Gintowt rad nierad na każdy argument odpowiadać musiał i stąd się rozpoczęła wielka między starością i młodością dysputa, ja, jako nie mogący stawać ani z tej, ani z owej strony i przez nikogo już nie nagabywany, pochwyciłem tę porę, aby od nich uciec, a zbliżyć się do Zosi.

Ale Zosi już nie było w tej izbie. Serce niewinne i tkliwe, a do tego różnymi uczuciami ścięśnione, nie może znieść gwaru i krzykliwej rozmowy, niemych świadków nawet nie lubi i najswobodniej mu w samotności. Więc kiedy w pierwszej izbie wojennymi planami zajęci mężowie wadzą się z sobą o Jura z Borowiczek, a potem znowu w nie mniej gwarliwej dyspacie układają środki zjednania szlachty, porządek zajazdu i rodzaj zdobycia zamku; w drugiej izbie, przy maleńkim stoliku, na którym smutny płonie kaganek, siedzi Zosia nad książką nabożną i modli się Panu Bogu gorąco, aby dobył matkę z więzienia i oddał sierotom. Opodal od stołu na drewnianym zydelku, pod ścianą, cała cieniem zakryta, siedzi staruszka ochmistrzyni, ta sama, która niegdy ochmistrzowała stolnikowej za czasów jej panieństwa i pochyliwszy głowę na piersi, a ręce złożony jak do pacierza, wtórzy w duchu modlitwom sieroty, wzbijającym się, jakby promień jakiej zabłąkanej gwiazdy, wprost na łono samego Boga.

Kiedym próg przestępując, obaczył tak cichą, a jednak tak uroczystą z Panem Bogiem rozmowę, przystanąłem na progu i chciałem, przypatrzawszy się tylko cokolwiek, nazad do pierwszej izby powrócić; ale Zosia mnie natychmiast ujrzała i prawie mimowolnie rzekła:

– Panie Marcinie.

Przystąpiłem bliżej, ale już po raz drugi nie wiedząc, od czego zacząć ową rozmowę, w której tysiące rzeczy miałem do powiedzenia, usiadłem tylko koło niej i milczałem. Na to ona znów do mnie, ale bardzo smutnym głosem:

– Panie Marcinie! czy wróci mama do nas, czy już nigdy nie wróci?

– O! wróci, jak Bóg na niebie, tak wróci!.

– Och! Boże! – zawołała ona na to ze łzami i oparłszy główkę o ręce położone na stole, płakała.

Płacz ten, którego pewnie tyle ważył u Boga, co najgorętsza modlitwa, trwał długą chwilę, przez którą ja, także ze sercem ścięśnionym i złożonymi rękami, siedziałem smutny i milczący. Nareszcie Zosia podniosła głowę, twarz łzami zalaną otarła i rzekła do mnie:

– Panie Marcinie, pilnujże, waszmość, już tę szlachtę, żeby zrobili, co obiecują, bo oni będą krzyczeć, hałasować, odgrażać się, a na koniec rozjadą się i nic nie zrobią.

– Niech się panna Zofia już spuści na mnie – odpowiedziałem – ja wyrozumiałem rzecz jak należy i miarkuję sobie, co mi potrzeba, a kiedy bym i dziś się przekonał, że oni sami nic nie zrobią, to już ja wiem, gdzie czego szukać. Niech panna Zofia będzie spokojna; pani matkę uważam za moją własną.

– Niechże Bóg to waszmości stokrotnie nagrodzi! – odpowiedziała Zofia. – Kiedy pan przyjechałeś, to ja wierzę, że i mama powróci.

Przycisnąłem usta moje do jej maluczkiej rączki, a ona do mnie:

– Ale cóż to się tam z panem działo w Tarnowie? Na to pytanie musiałem odpowiedzieć obszernie; poprawiwszy się więc na zydlu, opowiadałem jej zdarzenie za zdarzeniem, szczegół za szczegółem, tak jak się działo w istocie. Zofia słuchała mnie z wielkim zajęciem i wielką uwagą, a żywe współczucie malowało się na jej twarzy. Kiedym przyszedł do tego dnia, w którym ów baron niemiecki mnie po raz pierwszy nawiedził, przerwała mi Zofia, mówiąc:

– I Holmfels waszmości wydobył?

– Nie, nie wydobył – odpowiedziałem – bo nie mógł, ale jednakże dał mi dowód takiej przyjaźni, że wielkie ukontentowanie byłoby to dla mnie, gdybym mu się mógł za to wywdzięczyc.

– A wie pan – rzekła Zosia – że temu baronowi Zuzia się bardzo podobała? Co jej nie gadał wtedy!

– To wiem – rzekłem – bo on mi to sam powiadał, ale mu doradziłem, aby sobie to wybił z głowy, bo jej ani się śni o nim.

– A nie! – zawołała Zosia – on jej się może jeszcze więcej podobał!

– Jakżeż? – rzekłem oburzony – to jest po zaręczynach z Konopką i tamtemu ledwie głowa nie pęknie od samych jej grymasów, a teraz jej się znów baron podobał?

– O! o! jej się co chwila kto inny podoba; to nic nowego.

– Życzę ja szczęścia panu Konopce, ale mu go nie zazdroszczę. Po czym dalej opowiadałem moje fatalizmy aż do samego końca, których wysłuchawszy, Zosia pięknie rzekła do mnie:

– Chwałaż Bogu, że panu Marcinowi przynajmniej z więzienia umknąć się udało; żebyż choć się na tym już zakończyło.

– A! ja też tak sprawy nie zostawiłem...

Wtem dał się słyszeć z drugiego pokoju głos dziadka wołającego Zosię do siebie. Ona też porwała się z miejsca i powiedziawszy do mnie:

– Zostań pan tu, ja tu zaraz powrócę – wybiegła do dziadka. Tymczasem staruszka ochmistrzyni przysunęła się do mnie i popatrzawszy mi w oczy, spytała:

– To to jespian konkurujesz o pannę Zofię?

– A... niby to ja – odpowiedziałem cał nie przygotowany na takie pytanie.

– To jespian z Mazurów? – spytała znów ochmistrzyni.

– Nie tak z samych Mazurów, jak z ziemi sanockiej, która do województwa ruskiego należy.

– Aha, z sanockiej... a długo to już trwają te waścine amory? To mi już nadto było, jakoż po tym pytaniu rzuciłem się trochę;

jednakże zauważywszy, że słowo starej ochmistrzyni czasem niemało waży w całym domu, starałem się być grzeczny i odpowiedziałem:

– O amorach nic nie wiem, a o względy i łaskę u panny Zofii i całego domu staram się od połowy zapust.

– Aha! aha! to wszystko dobrze; jespian jesteś niczego familii, znałam kilku Nieczujów, znałam i ojca waścinego, kiedy wzięwszy słowo od panny Mężykówny, przyjeżdżał tu do mojej siostry, pani starościny Trockiej, prosić o błogosławieństwo. Tęgi to był człowiek swojego czasu... i jespian, widzę, niczego kawaler, służywał w wojsku, jak słyszę, ma niczego fortunę, rozamorował się podobno w Zosi na umór, przeleciawszy za nią z półtora mil aż z Mazurów, i wszystko to dobrze... ale na co to takich amarów? znowu będzie jakie nieszczęście.

– Z mojej przyczyny, moja mościwa pani, pewno żadnego nie będzie...

– Tak, tak, nie będzie. Tak to było i z Hanią, a terażniejszą Strzegocką! Com się nagadała, com się naprosiła, co naperswadowała, przepowiadając, że to człek taki a taki, że się chował za morzem, Bóg wie pomiędzy jakimi ludźmi, że nabrał obyczajów nieludzkich, że tu przyjechał i ludzi napada, drugich rozbija, kilku nawet powiesił, że, jak mówili domownicy, z jakimiś nieczystymi duchami ma konfraternię, że go aż diabłem nazywają weneckim – nie i nie, choćby mnie zabić miano, kocham i kocham na śmierć i na wieki. I otóż masz „kocham”!

– Ha! tak to, tak, mościa pani – rzekłem ja na to staruszce – miłość u kobiety, to nie zabawka, ale rdzeń i miazga całego życia; bij i zabij, a prędzej podobno duszę wypędzisz z ciała niż miłość zakorzenioną z serca.

– Nie ma co mówić, trafia to się u kobiet, ale też to źle jest i niedorzecznie. Bo przecież i ja jestem kobietą, i ja swego czasu wiedziałam, co miłość, ale to dawniej nie tak bywało; nie nazywano tego nawet miłością, tylko, jak należy, afektem. Ja też mówiłam Hani: – Co ci zależy na tym Piotrowiczu? czy koniecznie ten już najlepszy? moja Haniu, mało ty jeszcze

znasz tego świata, a kiedy go więcej poznasz, to się snadnie przekonasz, że jeden mężczyzna, tak jak i drugi, a wszyscy takuteńcy jak jeden.

– Nie, nie i nie! ja tylko tego. – Przy takich afektach panny, a tak uporczywym amancie, bo to, jespian, nie znasz pana Ignacego, co to za gwałtowny jest człowiek, dziwnoż to, że te amory za daleko się posunęły? Ja, Panie Boże mnie skarż, jeżeli choć się domyślać mogła... aż tu jednego wieczora, bach! pan Wit wszedł znienacka do alkierzyka Hani i na własne oczy obaczył, jak pan Ignacy Hanię w gębę całował. No, nie taka to wielka zbrodnia, ale u starego, co to, bywało, dawniej cały dom przed nim chodził jak klawisze, zaraz to była już Sodoma. Co się tu działo wtenczas, niechże i piekło się schowa, bo i stary nie w zimnej wodzie kąpany... Ja jeno uklękałam przed obrazem Matki Najświętszej, prosząc, żeby mnie tylko nie zabił... chociaż to ja mu dość bliska, bo przecież nieboszczka matka jego a moja matka były sobie przyrodnie... ale przeszło to jakoś. Wpadł jeno do mnie i z największą pasją a z ściśnionymi pięściami powiedział mi w oczy: – Do samej śmierci jejmości tego nie zapomnę! – Nie wiemże, jak tam jest, czy zapomniał czy nie? nie powiadał co jespianowi?

– Nic, mościa pani, nic mi o tym nie wspominał pan cześnik.

– Hm! to źle – mówiła dalej ochmistrzyni – bo to, widzi jespian, człowiek dziś, jutro, a. Panie Boże mnie skarż, jeżeli przy skonaniu mi jaki inny grzech na sumieniu zacieży prócz tego. A za grzech sobie to mam, żem za mało oka miała na Hanię, chociaż Panem Bogiem się świadczę, że i sto ócz byłoby nie pomogło. Bo przecież potem porwał ją z domu rodzicielskiego, wywiózł na swój zamek, ojcu tyle tym zadał frasunku, że myślałam, że umrze stary od samych łez i żałości... ba! i odbili ją nazad, i poszła za męża, i mąż ją odumarł, a kiedy jej potem za jakiegoś kaduka przebrany pojawił się pan Ignacy, to tak na nowo wariować poczęła, że aż ją stary wywieźć musiał na Mazury. Więc co by tam było moje pilnowanie pomogło?... Ale stary tego nie wiedział i wierzyć temu nie chciał, kiedym mu to powiadała, i całą winę złożył był na mnie. Nie wiemże, jak teraz? toć to i to wykradzenie terażniejsze... hm! nie chcę zresztą sądzić... ale... hm! a nie mógłby jespian tak z daleka dowiedzieć się od pana Wita?...

– Cóż? czy jejmości jeszcze ona dawną winę pamięta?

– To to – odpowiedziała staruszka – bardzo bym chciała wiedzieć... może by jeszcze... hm! bo jak tu z braterskim gniewem na sobie pokazać się przed Panem Bogiem? – I ocierała łzy biedna ochmistrzyni. Ja też perswadowałam:

– Ej! nie płacz jejmość, uspokój się, już ja to biorę na siebie, że pan Wit sam jejmości powie do oczu, że jej nic nie pamięta.

– Nie chcę, nie chcę tego! niechaj Bóg broni – zawołała ona na to – ja bym umarła ze wstydu na samo to wspomnienie. Niech jespianowi powie, że mi zapomniał.

– Dobrze, dobrze, to on mnie powie.

– Niechże ci Bóg nagrodi. A za to przyjmże tę radę ode mnie, że niedobrze sobie amarami głowę nabijać, bo wiem ja coś i o waszeci. Siła mi tu Zosia nagadała różnych rzeczy, a dalibóg, że to niedobrze. Zawsze będą jakie nieszczęścia, bo podobno jest i drugi konkurent? Słuchaj waść... sfolguj trochę, jeżeli mnie dobrze życzysz.

– Ja jejmości życzę jak najlepiej, ale jakim Nieczuja, tak nie rozumiem, w czym mam folgować.

– Sfolguj trochę w afektach, bo to dziewczę w tobie tak rozszalone, że doprawdy przyjdzie do jakiego nieszczęścia.

– Ale do jakiegoż nieszczęścia, moja jejmość kochana? Prawdą jest, że ja mam afekt dla panny Zofii, i jeżeli ona go ma także dla mnie, to chwała Bogu! ale żeby przyjść miało do jakiego nieszczęścia, to żadną miarą nie może być, bo ja przecież, nie chwalcę się, mam i głowę, i serce na swoim miejscu. Zresztą, nie widzę nawet, jakie by powody ku temu mogły być, bo wątpię, żeby mi po drugi raz jeszcze odmawiać chciano.

– O tym ja nie wiem – odpowiedziała staruszka – czy jespána już przyjmą czy nie przyjmą, bo w konkurach dopiero wtedy jest pewność, kiedy państwo młodzi wracają od ołtarza; dlatego też sfolguj i sobie, i Zosi w tych afektach, bo na zły wypadek znowu będzie jakie nieszczęście. – Ja też na to:

– Jejmość pani, jak widzę, tak przestraszona jesteś nieszczęśliwym losem pani stolnikowej, że już dziś w każdym kawalerze widzisz Piotrowicza, a w każdym konkurach gwałty tylko i nieszczęścia. A tymczasem w całym świecie co roku mnóstwo ludzi się żeni, a o gwałcie jakim lub wykradzeniu ledwie raz da się słyszeć przez całe życie.

Wtem wbiegła Zosia do tegoż pokoju, ale zarazem dał się słyszeć głos dziadka, wołający:

– Mospanie Nieczuja!

Rad nierad litościwie tylko spojrzenie rzuciłem na Zosię i musiałem przejść do pierwszej izby, ale zamiast dowiedzieć się, czego chciał dziadek ode mnie, musiałem usiąść i słuchać, jako jmc pan Gintowt, wygrawszy z młodzienaszkiem oratorski spór o pierwszeństwo skaptowania Jura z Borowiczek dla przedsięwziąć się mającej sprawy, otrębywał zwycięstwo swoje w ten sens:

– *Ergo*²¹⁸ nie ty, mospaneńku, który się zrazu niebacznie tym przechwalałeś, ale ja, jako mnie tu waszmość widzicie, doprowadziłem i Jura, i Demostenesa do tego, że nie, mówię, przystąpili do tej sprawy, bo oni by to byli i bez namowy uczynili, ale że ją wzięli za swoją. I stanie się tak, jak potrzeba, co jest *conclusum*²¹⁹ pewnie i nieodmiennie. We wtorek wszyscy pojedziemy do Oszmiany, a my, którzy już jesteśmy zmówieni, będziemy się mieć na oku; ale nie będziemy wyborom przeszkadzać, tak jak to waść mówisz, mospaneńku, i owszem, funkcję naszą zrobimy; po wyborach dopiero uczynimy tak, jakieśmy się umówili, a o czym waszmości, chociaż się pierwszym tej sprawy promotorem powiadasz, ani się śni, mospaneńku! Wtedy całą kupą zjedziemy się tutaj, pokłoniwszy się panu

cześnikowi, przekąsimy co z łaski jego i ruszamy; a jakie przy zdobywaniu tego diabelskiego zamku dzieć się będą sztuki, o tym się waszmość możesz dowiedzieć od tych, którzy was barabański²²⁰ mają pd nosem, ale nie mleko, tak jak ty, mospaneńku!

To mówiąc, pan Gintowt wsa sumiastego całą garścią pokręcił i powstał, jakoż i wszyscy powstałi, zegnając i rozchodząc się zaraz, my na spoczynek, a dwaj dyżurni do przygotowanej dla nich kordegardy²²¹.

I tak się skończył pierwszy dzień mego pobytu między szlachtą oszmiańską.

VIII

W dniach następnych aż do samego wtorku nie zaszło ani w domu dziadkowym, ani w okolicy nic nadzwyczajnego.

O prawdziwym losie pani stolnikowej ani też o tym, co myśli i jak się na przyjęcie gości przygotowuje Murdelio, nie można się było nic pewnego dowiedzieć. Zamek ten był pod tamte czasy tak groźnym i strasznym dla wszystkich, że za żadne skarby świata nie można było ani jednego sługę namówić, aby podszedł pod jego mury i starał się stamtąd przynieść jaką wiadomość. Szlachta zaś, nie mniej przesądna od pospolitych ludzi, także nie zdobyła się na taką przysługę. Jeden tylko Węgrzynek ofiarował mi się sam z własnej chęci z tym, że się chce zwerbować do Murdeliona, a pobywwszy tam kilka dni i dowiedziawszy się o wszystkim

²¹⁸ *Ergo* (łac.) – więc.

²¹⁹ *conclusum* (łac.) – postanowione.

²²⁰ barabański albo bałabański – junacki, sumiasty.

²²¹ kordegarda (fr.) – izba dla straży.

naocznie, uciec do nas na powrót; ale na to już ja nie pozwoliłem i miałem pewne do tego powody. Zamek bowiem ten, lubo niegdy warowny, jak każdy inny dwór murowany w Polsce dawnymi czasy, jednak nie był fortecą; nie mogło więc tam w nim nic się najdować, o czym powzięta wiadomość dawałaby już zwycięstwo; znał go zresztą pan Gintowt i wewnątrz, i zewnątrz, jak własną kieszeń, i podejmował się prowadzenia – a strata tego wiernego sługi, która przy jego porywczosci łatwo nastąpić mogła, nie mogłaby mi być nigdy niczym wynagrodzoną. Wszakżeż na koniec i bez tego wszystkiego można było być pewnym, że Murdelio nie wysypia się spokojnie w swoich złoconych komnatach i że budzony przypomnieniami zbrodni całego życia, dobrze się obwarowuje przeciw jakiegokolwiek napaści, której się pewno spodziewa. Jakoż o tym, że pogruchotane murzyska, o których naprawieniu w tak nagłym terminie ani pomyśleć nie może, mocną osadził załogą, że dużo hultajstwa nałapał i ciągle jeszcze łapie, że nawet armatami dwie jeszcze od zniszczenia ocalone baszty opatrzył, pewne były wieści w okolicy.

Zosia smutną była przez cały ten czas, jednakże, jak mi to sama powiadała, o wiele jeszcze weselszą i spokojniejszą niż przedtem, w czym ja, przypisując to sobie i mojemu przybyciu, wielką nachodziłem pociechę.

Ochmistrzyni modliła się tylko ustawicznie to przed tym, to przed owym obrazem, prosząc Pana Boga o powrót Hani do domu, a widząc w szczęśliwym córki do ojca powrocie tym większą pewność, że jej zapomnianym zostanie ów jakiś grzech dawny, podwajała gorącość swych modłów.

Dziadek zaś... o! z jakimże poszanowaniem i zadziwieniem patrzyłem na tego dziadka i jak gorąco przy tym modliłem się Panu Bogu, aby, jeżeli mi to jest przeznaczone, takiej dał dożyć starości!

Wprawdzie los tego człowieka przed grobem nie był do pozazdrosczenia ze wszystkim, bo kiedy komu przeznaczono jest cierpieć, a te cierpienia przyjdą nań z powodu własnego dziecięcia, toć to nie jest dola, której by można zapragnąć, ale kto zna to życie ludzkie i widzi niczym nie przyćmionymi oczyma, jako ono w swych splotach same ciernie i głogi prowadzi, a kwiatków tak mało, że ledwie jaki silny Usteczek uchowa się cało i zielono, ten też wie dobrze, jak wielkiej łaski Bożej doświadczył ten, który przy czułym i nieskażonym sercu zdołał wyrobić w sobie ową potężną siłę rozumu i wiary, która go czyni wyższym i mocniejszym nad te wszystkie światowe dole i nieszczęścia. Człowiek taki podobien jest owemu najwyższemu pagórkowi Krępaku, który, głową patrząc w słońce i jego oddychając promieniami, czuje, lecz zarazem i niewzruszenie spogląda na to, jako w kadłub jego i serce biją ziemskie fale i niepogody.

A takim mężem błogosławionym był dziadek. Przez całe życie jego, i teraz jeszcze w dniach przedgrobowych, były w niego i burze, i gromy i czuł on je sercem ojca i obywatela i rozumiał całą moc i naturę, i stuletnimi łzami je skraplał, i nieraz po kilka godzin wieczornych nad nimi tak głęboko rozmyślał, żeby go i wystrzałem wtedy z tego snu nie obudził – ale duch jego, unoszący się pamięcią i doświadczeniami nad tyle światów i pokoleń, niósł się i teraz zawsze tak wysoko, że nie było choćby jak rozumnego człowieka, któren by się zakiem nie czuł przy tym duchowym olbrzymie.

Miewał ci on wprawdzie chwile, w których, czy to kolejną rzeczy żył tylko ziemi, czy tak całkowicie oddany niebu, że zapomniał o sobie, nie obznajomionym z nim z bliska wydawał się dziecinnym lub też dziecinniałym, jakby mu życie było li zabawką, a nieszczęścia li żartobliwą swawolnego losu igraszka; ale i te jeszcze chwile świadczyły tylko o onej duszy milionami nieszczęść zahartowanej, która, podniesiona ponad poziom pospolitych dusz ludzkich, bliżej dotykała się nieba niż ziemi.

Mnie przynajmniej mąż ten stuletni, czy to wieczorami siedział przy miodzie z Gintowtem i szlachtą dyżurną i żartobliwym tonem opowiadał im rzeczy stare i już chyba tylko w starych księgach litewskich najść się mogące, czy zasiadłszy w domowym kole, zastanawiał się nad

losem swej córki i całej rodziny, czy, siedzący przed obrazem Boga ukrzyżowanego, mówił swoje milczące modlitwy, czy z czapeczką na głowie, a oparty na grubej trzcinie, przechodził się po ogrodzie pomiędzy ogromnymi a niegdy przez siebie samego posadzonymi drzewy – mnie zawsze ten mąż stuletni taką cześć wpajał ku sobie i tak potężnie działał na mój umysł młodzieńczy, że raz mi się zdawało widzieć promienną koronę koło jego głowy, drugi raz widziałem w nim nie tego, który niebawem ma wniknąć na wieczny odpoczynek do trumny, ale tego, który już mnogie lata tam odpoczywał i dziś, obudzony, wyszedł spod kościelnego sklepu na chwilę, aby się ważnemu w swojej rodzinie zajść mającemu przypatrzeć zdarzeniu; inny raz znowu zdał mi się jednym z tych duchów białych, mieszkających po starych zamkach, którzy w wigilię każdego nieszczęścia pokazują się na krużgankach, na basztach narożnych lub w alejach wysadzonych lipami... idą oni powolnym krokiem i milczą, wionie od nich tylko chłód wilgotny, grobowy i drżą z przerażenia natenczas pognuśniałe serca ich wnuków.

Jednakże pomimo owej wyniosłej siły duszy, która dziadkowi dozwalała panować nad nieszczęściami doczesnymi, im więcej się zbliżała ta chwila stanowcza, która miała rozstrzygać o losie całej Strzegockich i Piotrowiczów rodziny, i on miewał chwile, w których zdawał się być niespokojnym. Zapadał on wtedy w smutne milczenie i jeżeli sam nigdy wiele się nie rozgadywał ani o swojej córce, ani o Murdelionie, ani o dawniejszych pomiędzy nimi stosunkach, to wtedy nawet imię jednego lub drugiej, choćby najobojętniej przez kogoś wymówione, zdawało się go razić tak bardzo, że zwyczajnie głowę odwracał, albo, niby to z kubka pijąc, twarz swoją zasłaniał, albo zgoła umyślnie kilka słów takich wrzucał, które rozmowę na inny zwracały przedmiot. Dojmowali go ten wypadek tak bardzo, czy wstydził go się przed światem, czy miał gniew jaki na córkę, tego nie mogłem odgadnąć.

I tak mijały dni jeden za drugim, i tak minał czas aż do wtorku.

Gintowt w poniedziałek jeszcze odjechał wprost do Oszmiany, aby być tam zawczasu i najprzód przygotować, co trzeba. I ja chciałem z nim jechać, bo i ciekawy byłby był dla mnie sejmik litewski, i suponowałem, że mogąc tam niejednego znajomego znaleźć, mógłbym być może co pomóc, ale Gintowt tego nie dozwolił, mówiąc:

– Siedz, waszmość, tutaj, kiedy ci dobrze, ja wszystko sam zrobię.

Śród takich okoliczności i usposobień nadszedł nareszcie wtorek. W dworku pana Wita już od samego świtu panuje ruch nadzwyczajny. Wymiatają i wyprzątają próżne o tym czasie szopy i stodoły, i ubierają jak mogą, na przyjęcie gości, obwieszają kilimkami ściany, zastawiają stoły i nakrywają, wnoszą ławy i całe beczki z trunkami, przy czym mój Węgrzynek główną trzyma komendę. W kuchni i w piekarni w miasteczkach ponajmywani kucharze siekają zrazy, przyprawiają bigosy, pieką kury, kapłony, gęsi i całe cielęta. Inni odgotowują wędliny, kielbasy i inne mięsiwa, inni pieką chleb biały, pirogi i różne pieczywa, a wszyscy sadzą się na to, aby jedzenie było smaczne i dostatnie, a niekoniecznie wykwintne. Nad tym wszystkim dozór i komendę wziął na siebie jmc pan Kościuszkiewicz, dzierżawca dziadkowej wioski, człek stary, lecz sprytny i dużo po świecie obywały. A tu i tam wszystko idzie tak ładem i prędko, że jeszcze i południa nie było, kiedy już wszystko stanęło gotowe, choćby i na przyjęcie całych dwóch chorągwi komputowego wojska²²². Ale to jeszcze nie zaraz mieli nadjechać oczekiwani goście. Gintowt powiadał, że nie myśli wyborom przeszkadzać, a lubo ja w moim przekonaniu wątpiłem bardzo, ażeby kiedy projekt zajazdu już był rzucony pomiędzy szlachtę, materia wyborów choć przez godzinę mogła się utrzymać na ustach, to jednak nie mogło się stać tak prędko; bo gdzie są Demostenesy i Senekowie, a każdy z nich z naprzód już wymyślonej oracji ani jednego słowa podarować nie zechce, tam pół dnia ledwie można liczyć za jedną chwilę. Więc zawsze ledwie o zmroku można się było spodziewać ich przyjazdu, jakoż to samo utrzymywał i dziadek, który siedząc przy stole

²²² wojsko komputowe – wojsko stałe, utrzymywane ze skarbu państwa.

kamiennym, stojącym pomiędzy lipami na środku dziedzińca, patrzył na gąsior kowieńskiego miodu postawiony na stole, ale go nie pił. Kiedym ja się koło stołu nawinał, on, ręką oczy zasłoniwszy od słońca, spojrzął na mnie i zawołał:

– Nieczuja!

– Służę jegomości! – odpowiedziałem, przystępując do niego bliżej, a on do mnie:

– Siadaj tu przy mnie i napij się miodu, bo mi tak smutno samemu.

– I owszem – odpowiedziałem – jak jegomość rozkaże. I usiadłem do miodu, lubo niechętnie w tej chwili podawałem usta trunkowi, bo to był dzień gorący i parny, a ja jak na to wziąłem był ciężki lamowy żupan na siebie, który zwykle ubierałem natenczas, kiedy się w jakiej bitwie być spodziewałem; lama ta bowiem była tak gęsto grubymi nitkami srebra przetykana, że, cięcia szabli nie przepuszczając, mogła stanąć za dobrą koszulkę. Żupan ten miałem po moim ojcu, a nosił go jeszcze dziad mój nieboszczyk i w co piękniejszych bitwach zażywał; znać nawet na nim było na kilku miejscach cięcia nieprzyjacielskiego żelaza, w kształcie fałdów na wieki wieków zagiętych; jakoż i żupan ten znano swojego czasu powszechnie, przynajmniej w całej sanockiej ziemi i pogranicznych, a skuteczność jego tak nie podpadała żadnemu zwątpieniu, że kiedy mnie kto wyzywał na rękę, albo ja kogo, co się. Panie Boże mi odpuść, młodszymi, ba, i późniejszymi laty nierzadko trafiało, to zawsze sobie wymawiano, abym do bitwy nie brał tego żupana na siebie. Więc duszno mi było pod taką suknią już z wierzchu, a cóż dopiero w dzień parny lać jeszcze ogień wewnątrz siebie! Ale dziadek kazał pić z sobą, więc nalałem sobie kubek miodu, siadłem podłe niego i piłem. Wtedy on do mnie:

– Co rozumiesz o dzisiejszej imprezie?

– Nie wiem jeszcze, co mam rozumieć – odpowiedziałem – bom nie oglądał jeszcze tych ludzi, z którymi mamy uderzyć na zamek.

– Nie ma co oglądać – rzekł dziadek – to szlachta oszmiańska.

– Ja nie wątpię, że dobra, ale zawsze to, kiedy człowiek oglądnie, to nie zawadzi. Najwięcej boję się tego, żeby sobie nadto nie podciągnęli w Oszmianie, bo jak jeszcze tutaj doleją, to gotowi nam wstydu narobić albo rzecz całą zepsuć na zawsze.

– Wstydu! Wstydu! – zawołał dziadek – szlachta oszmiańska nikomu wstydu nie robi, ale też i tego nie zmażę, który kto sobie sam zrobił. Bo powiedzże sam, czy można było większego wstydu, większej hańby dożyć na starość, jak ja jej dożyłem?... O! zanadto ja ojcem dobrym byłem dla niej! zanadto!... Trzeba mi było po staremu: żywisz w sercu afekt przeciwny woli rodzicielskiej, żyć przestajesz dla świata. Klasztor był jedynym lekarstwem! Byłbym nie miał córki, to prawda, ale byłbym umarł spokojny i czysty stanął przed Bogiem. Dzisiaj, któż wie, jak to było i jak jest w rzeczy? dzisiaj, co gadają po całej Litwie, a co już nie gadali za pierwszą razą! i czy wini kto stolnikową?... Dzieckiem była – powiadają – dzieckiem, kobietą; ona nie winna, ale on winien, on, ojciec! I cała hańba i wstyd, i paskudztwo to na mnie. A ja mam dziewięćdziesiąt trzy lat i hańby nie znałem przez całe życie!... Aż dopiero u grobu... Więc cóż mi z tego, że oni tu przyjadą? Ja wiem, cały powiat się zwali i pojada, i rozniosą zamek ten lichy na proch, i żaden opór nic nie pomoże, bo diabeł odstąpi, gdzie kuso; ale cóż mnie już z tego?... po kogo oni pojada do zamku? kogo mi stamtąd przywiozą?

I zadumał się stary. Ja też wziąłem za słowo i perswadowałem dziadkowi, jak mogłem. Wprawdzie i w moich oczach stolnikową nie była bez winy; bo jużciż, nie rzecz jest dwom panom służyć, nie rzecz i woli ojca chcieć dogodzić, który Murdeliona nienawidził, i Murdelionowi, który się żenić chciał koniecznie i zawsze; nie rzecz igrzać sercem i afektami, choćby nawet niedobrego człowieka, jednakże zawsze, że aż do takich skutków przyszło, winny tu podobno więcej były okoliczności niż ona, a gdyby i ona sama winną była, toż jej wina pochodziła li ze słabości serca i umysłu, co kobietom przecie się winno przebaczać. Więc nietrudna to była perswazja, a niemało się znalazło powodów i do uniewinnienia

stolnikowej, i do wystawienia samej rzeczy w tak bardzo złym świetle; ale nie staremu to umysłowi co wyperswadować albo inne o raz już pojętej rzeczy nadać wyobrażenie! Toteż i dziadek słuchał i słuchał cierpliwie, lecz wysłuchawszy, rzekł swoje:

– Mój Nieczuja! ty mi powiadasz rzeczy takie, które ja bym także potrafił powiedzieć. Mój rozum wprawdzie już stary i, zapewne, że nie taki obrotny, jak twój, kiedy młody; nie jest on w stanie co moment nowe wynachodzić argumenta, nie jest w stanie lekko i bez namysłu co chwila przerzucać się na inną ścieżkę, co chwila w innej się zakrzepiać krynicy, bo już stary, zakrzepły, zakamieniały, ale za to droga, którą on postępuje, ręczę tobie, że to bity gościniec. Dlatego wierz mnie, że to wstyd i hańba wieczysta!... Niektórzy ludzie, którzy długo żyją na świecie i mieli dość czasu dać się z każdej strony poznać swoim sąsiadom i ziomkom i nabyli dobrej sławy u nich, i ta sława ich niewzruszona stoi już lata i lat dziesiątki, tych dobrego imienia pewno że nie tak łatwo lada plotka się chwyci, lada potwarz splugawi, lada drobne zdarzenie nabawi wstydu – ale wiesz ty, że jeżeli niemałą sztuką jest umieć żyć na tym świecie, toż nierównie większą jest umieć umrzeć w samą porę. Ja tego nie umiałem i dlatego jeszcze raz powtarzam, że wstyd i hańba wieczysta!... A kiedy nie wierzysz, to posłuchaj, co będą gadać Litwini. Bo to u Mazurów świat inny i głowa inna, a niejedno złe, które tam już od dawna stało się ciałem i zamieszkało, tutaj jeszcze za dziw nad dziwami uchodzi. I u was to może byłoby nic, ale u nas wstyd i hańba wieczysta!... Ty bo może nie wiesz wszystkiego – dodał dziadek po chwili – i dlatego tobie rzecz ta inaczej się wydaje; ty może nie wiesz... – tu urwał dziadek i poglądnawszy na mnie z góry, nagle zapytał:

– Czy zawsze stały jesteś w afektach dla Zosi?

– Zawsze i do śmierci, mój kochany jegomość, i mam nadzieję...

– No! więc ja ci to dawno już miałem powiedzieć, bo i należało się: więc wiesz ty, że Zuzia?...

– Wiem, wiem, panie dobrodzieju; ale tylko szczególnym przypadkiem dowiedziałem się o tym.

– Ty przypadkiem – rzekł dziadek – a inni na prostej drodze. Więc widzisz, jakkolwiek bądź to się stało, winna ona czy nie winna, nie wstyd to i hańba wieczysta? Ja przed tą hańbą porzuciłem najukochańszą mi Litwę i uciekłem na Wołyń, i diabeł mnie tam wynalazł, i wygnał mnie stamtąd; z Wołynia uciekłem na Mazury, a w Mazurach nie tylko mnie stara hańba znalazła, ale jeszcze nową przyprowadziła ze sobą i tak zamiast jednej aż przez dwie takie jędze wiedziony, powróciłem do ojczyzny mojej, do Litwy, która już zapomniała była o hańbie mojej, a pamiętała tylko starego Wita, który z chwałą reprezentował ją po cudzych wojnach, który przez lat tyle cześnikował swojemu powiatowi, który sto spraw osądził, sto procesów wydarł sądom, stu nieprzyjaciół, zwaśnionych na wieki, pogodził ze sobą!... I myślałem, że jeżeli mi kiedy Bóg da wrócić na Litwę, to mnie szlachta powita jak ojca, jako towarzysza swych ojców i dziadów, i myślałem, że moje dobre imię, na które przez lat kilkadziesiąt krwawym trudem pracowałem, będzie już dzisiaj wyższe nad niepoczciwe języki i złośliwe rozумы i że choć teraz przed grobem zabłyśnie w należącej się jemu chwale. Myślałem, że choć jak ona lampa, która przez cały ciąg swego żywota, to tak, to owak świeciła, jednak przed zgaśnięciem jasnymi na wszystkie ściany zabłyśła promieniami... myślałem, że i ja tak zabłyśnę... I prawda, wielu tu znalazłem przyjaciół, wiele czci, wiele poszanowania, wiele gotowości do pomożenia mi w tym nieszczęściu – ale dlaczego oni to czynią? Z litości! A czyż nie nędza to ostatnia, kto aż litości doświadczać musi?... Słuchaj mnie, Nieczujo! Gdyby nie ona, gdyby nie to dziecko, które pomimo to wszystko, kocham jak dziecko jedyne, ja bym im za tę litość!... ale tak... co ma robić dziś stary? Kilka godzin codziennie z Bogiem, kilka ze samym sobą, a zresztą już tylko pić, pić i upić się, i przez oczy mgłą obciążnięte patrzeć się na tych ludzi, którzy nigdy sprawiedliwymi nie byli w sądach i nigdy nimi nie będą. Pij, Nieczujo!

Ja piłem, ale dziwnie mi się jakoś zrobiło na sercu i duszy. Słowa one dziadkowe, które mi jawnie wypowiedziały, jakim okiem pogląda szlachta na stolnikową, na matkę najukochańszej mej Zosi, jakby gwóźdź rozpalony zawierciły mi w mózgu. Wstyd i hańba wieczysta! jakimże okiem będzie poglądać na mnie ta szlachta oszmiańska? jakim okiem współziemianie i sąsiedzi, którzy się pewnie o wszystkim dowiedzą?... I lubo pewnie tak gorąco kochałem Zosię, jak tylko który ze śmiertelnych kochać może kobietę, i lubo wiedziałem w głębi, że cóż to dziecko winno obyczajom swej matki? jednakże tak się wtedy zachwiałem, że byłbym się miał za najszcześniejszego, gdyby mnie kto był nagle w rok miniony przerzucił. Myśl ta tak mi zajęła duszę, jakiś żal łzawy tak mi osmucił serce, że siedząc koło dziadka, głowę opuściłem na piersi i nie wiem jak długo tak przesiedziałem. Jaki był stan mój przez ten czas zamyślenia się mego, nie umiem opowiedzieć dokładnie, bo ani toczyła się jakakolwiek walka we mnie, ani układałem sobie cokolwiek na przyszłość, ani się spowiadałem przed sobą z przeszłości, ani wiem nawet dobrze, co czułem; to tylko pomnę, że byłem cały ciężkim objęty smutkiem; gorzką jakąś napojony trucizną i jakby z nóg powalony. I byłbym tak siedział kto wie jak długo, bo już kilka godzin minęło, już i słońce się nachyliło, już i dziadek, wygadawszy się do woli, odszedł ode mnie – a ja jeszcze siedziałem i byłbym wdzięczny ludziom, gdyby mnie byli nie obudzili i gdybym był mógł z tego smutku i z tej chwilowej przejść do wiecznej martwoty.

Ale nie dano jeszcze żadnemu człowiekowi umrzeć wtedy, kiedy sam pragnął śmierci, i mnie też nie dano; Zosia, widząc mnie tak samotnie zadumanego pod lipą, zbliżyła się do stołu i oparłszy się on, rzekła do mnie:

– Biedny pan Marcin! czegóż tak zamyślony! pewnie o mamie mojej nieszczęśliwej.

Zbudziłem się. Lecz popatrzawszy na nią, tak mnie ten widok ścisnął za serce, że zawołałem tylko: – Zosia! – i łzy mi się strumieniami puściły z oczu. Widząc łzy moje i ona się rozplakała jak dziecko i usiadłszy na drugim końcu ławy, wciąż płakała. I płakaliśmy oboje, ale z dwóch całych różnych od siebie źródeł płynęły łzy nasze! a lubo ja o przyczynie jej łez zaraz się dowiedziałem, przyczyna moich została dla niej tajemnicą na wieki.

Śród tej sceny dał się nagle słyszeć tętent kopyt końskich z daleka i w tymże momencie krzyk na dziedzińcu:

– Jadą już, jadą!

Zerwałem się z ławy, łzy chustką otarłem, Zosia spłoszona pobiegła do domku, a nim ja kilka kroków dałem naprzód, aby zza lip popatrzeć w pole, już też wjechało w bramę kilkunastu jezdnych i stanęli w dziedzińcu.

Widok ludzi zbrojnych i koni, nie wiem jak na kim, ale na mnie zawsze czynił dobre, mogę nawet powiedzieć, że wesołe wrażenie. Zaraz więc stałem się inszym i nie było ani śladu łez na mej twarzy, ani. pamiętki smutku na sercu, a kiedy Gintowt, który pierwszy zsiadł z konia, przystąpił do mnie z powitaniem i nieznaczną pochwałą swojego dzieła, ja witałem się już z nim ochoczo, jak gdyby mi przez cały ten czas serce drżało od niecierpliwości widzenia jego i przybyłych z nim towarzyszy.

Drugi szlachcic, który równocześnie z Gintowtem zeskoczył z konia, był to chłop duży i prawie głową mnie przenoszący. Pomimo wzrostu swego, który także do niepospolitości należał, wpadł on mnie i z innej przyczyny natychmiast w oko, a to po prostu z swojej doskonałej żołnierskiej postawy i ubioru. Mąż ten miał krótką, ze zielonego sukna na węgierską modę uszytą kurtkę na sobie, na głowie czapkę rogatą ciemnego koloru, na nogach buty jałowicze, cholewami powyżej kolan sięgające; do tej pojedynczości ubioru łączył on odpowiednią pojedynczość w uzbrojeniu: miał bowiem tylko potężną szablę na skórzanym pasie przy boku i parę pistoletów lekkich za pasem. Kto znał szlachtę tamtego czasu i widywał ją w różnych okazjach, ten wie bardzo dobrze, jak złe wyobrażenie ona miała o moderunku wojennym. Dawnymi laty, kiedy szlachcic wyjeżdżał na wojnę, to nie wspominam już o tym, że brał na siebie co najlepszy żupan i kontusz z wylotami, które nieraz

w ucieczce, zaczepiwszy się o drzewo, zsadzały go z konia, ale to główna, że uzbrajał się od stóp do głów, a pałasz, strzelba, nóż wielki lub kordelas przy torbie i trzy pary pistoletów na jednym szlachcicu z pospolitego ruszenia obaczyć, była to rzecz zwyczajna. Starzy żołnierze, którzy czy to w swoim, czy w cudzoziemskim wojsku czas dłuższy służyli i nauczyli się z doświadczenia, że nie ilość, tylko gatunek broni, a głównie serce stanowi żołnierza, naśmiewali się z tak objuczonych wojaków, a mój ojciec nieboszczyk nawet mawiał, że im więcej który broni zawiesza na sobie, tym ci pewno tchórz większy; jednakże nic to nie pomagało, a moda ta, która niby we krwi szlacheckiej już być się zdawała, uchowała się aż do ostatnich czasów. Później dopiero dowódcy, sami zawsze ubierając się w kurty węgierskie i uzbrajając się tylko pałaszem i jedną parą pistoletów, zaprowadzili także ten obyczaj i między szlachtę i na ten pojedynczy ubiór i uzbrojenie się tak nastawili, że u nas weszło to było w przekonanie, że po ubiorze i uzbrojeniu się poznasz zaraz gatunek i serce żołnierza. Owóż, gdy obaczyłem tego szlachcica, że także był po naszymu ubrany, zaraz mi się przypomniały dawne czasy i nie gadawszy z nim ani słowa, czułem już instynktowo, że się zdybał ze swoim. Jakoż nie omyliłem się: był to bowiem ów z opowiadania innych już mnie znajomy Jur z Borowiczek. Kiedy mi to Gintowt powiedział, nastroiłem się zaraz i podając rękę Jurowi, rzekłem do niego:

– Tyle mi tu już pięknych i dobrych rzeczy nagadano o wasz-mość panu i bracie, że za jeden z najpiękniejszych dni mego życia uważam sobie ten, w którym los fortuny podaje mi sposobność poznania waszmości; to mnie tylko jedno zadziwia i zaraz zasmuca, że chodząc prawie jednymi drogami, nie zdybaliśmy się nigdy dotychczas.

– Nic w tym dziwnego – odpowiedział mi Jur na to, ściskając mnie rękę – jeżeliśmy się nie zdybali, kraj to wielki i ludzi w nim siła; ja sobie przecie przypominam nazwisko waszmości, ano nie wiem, byli to brat waszmości albo waszmość sam, który przed bitwą widawską przywiózł depesze naszemu Niemcowi?

Niemcem nazywano Zarembę, że się nosił z niemiecka; a ja rzeczywiście te depesze wozilem, więc odpowiedziałem:

– Ja to sam, panie bracie, wozilem te depesze, ale i to mnie jeszcze nie naprowadza na przypomnienie sobie waszmości, lubo przecież potem i w bitwie widawskiej partycypowałem, i po bitwie jeszcze dni kilka tam bawiłem.

– A wiem, wiem – rzekł Jur z Borowiczek. – Owoż nie dziwno, że waszmość za swoich kilka dni nie poznałeś wszystkich, którzy tam byli, i nie dziwno, że ja waszmości nazwisko pamiętam, bo przed bitwą, kiedy oficer z depeszami przyjedzie, toć o nim wiedzą w całym obozie.

– Tak, tak, panie bracie – odpowiedziałem – no, ale jak to! góra z górą się nie zejdzie, a tu, gdzie Widawa, a gdzie Oszmiana, i tam bywszy razem, nie znając się, tu dopiero się poznajemy.

Wtem tamci posiadali z koni i po jednemu poczęli się zbliżać do nas, a podczas gdy Gintowt powiadał mi niektórych, co przedniejszych, nazwiska i zapoznawał mnie z nimi, w bramę wwalila się druga także jezdnych komenda, niebawem też trzecia, i czwarta, a wszystko z wielkim brzękiem i hałasem; dalej to po jednemu, to po trzech, to po pięciu wjeżdżali a wjeżdżali, a nie minęło i pół godziny od przyjazdu Gintowta i Jura z Borowiczek, kiedy już cały dziedziniec od ganku aż do bramy tak był napelniony ludźmi i końmi, jakby plac obozowy.

Śród tego zbierania się ja porzuciłem mojego Jura, a poszedłem bliżej trochę oglądać ową, tak zachwalaną mi szlachtę oszmiańską. Ale nie obaczyłem tam nic nadzwyczajnego. Wiele było ludzi pięknych i koni jak trzeba; ale też hołoty nabiegło niemało, osobliwie też owych zagonowych, których lada kubkiem i do piekła by zwabił, a na których patrząc, przypominało mi się owo przysłowie, które powiada: że szlachcic od Oszmiany jedną nogę tylko ma w bucie, a drugą w łapciu chodzi. Uzbrojenie też tego całego tłumu było, jako i ludzie, różne, i

rozmaite: jedni z nich po staremu byli zbrojni od stóp do głowy; na jednym człowieku i pałasz, i nóż, i strzelba lub garłacz, i pistoletów dwie pary, a trzecia przy kułbace, drugi ledwie miał dwoje broni, a niejeden był taki, który miał szablę bez pochwy lub goły rapir u boku, albo pistolet jeden wielki na temlaku²²³, ale i ten taki, że zjadłby diabła, kto by z niego wystrzelił.

Kiedy się to wszystko zjechało w dziedziniec i rozłożyło po wszystkich kątach, a jak zwyczajnie, ten poprawiał kułbakę na komu, ów ostrzył szablę, ci stare wystrzelili naboje, inni broń czyścili, ci skałki krzesali, ci nabijali na nowo i w całym dziedzińcu rumor był wielki i rozgardiasz – przez Gintowta z jednej, a przez Zosię z drugiej strony prowadzony pod ramię, wyszedł dziadek w dziedziniec.

Dziwny to i rozrzewniający był widok, kiedy starzec ten blisko stuletni stanął przed zgromadzającą się koło niego szlachtą i zdjawszy czapkę z pokorą z białej jak mleko głowy, przez łzy cisnące mu się do gardła nie mógł zrazu ani słowa przemówić i tylko ręką witał przybyłych.

Obaczywszy dziadka, niektóra szlachta, już na sejmiku podpojona po trochę, zaczęła krzyczeć:

– Wiwat! pan cześnik dobrodziej! wiwat! patriarcha nasz! – i różne inne rzeczy, ale wnet sykaniem drugich uspokojeni, umilkli i nastąpiła cisza tak poważna, jakby w obozie, kiedy ksiądz czyta mszę pod namiotem.

Śród tej ciszy dziadek, zawsze stojąc na miejscu, a na miejscu wyższym cokolwiek, bo dziedziniec był pochyły od ganku do bramy, odchrząknął raz i drugi i starym chropowatym głosem, odpoczywając za każdym punktem, przemówił w ten sens:

– Mnie wielce mości panowie i bracia! Nie spodziewałem się nigdy, abym, będąc okolicznościami zmuszony wyjechać z ukochanej mojej Litwy, kiedykolwiek jeszcze do niej powrócił. Grób dla mnie wykopany już był na Mazurach. Dzisiaj atoli inaczej Bóg wszechmogący rozrządził, a ja, zostawiwszy grób mój na kałużę dla wody cmentarnej, stoję oto przed waszmość panami i bracią i pokłon im szczery spod ubogiej strzechy mojej wynoszę. Jako ojciec nieszczęśliwej i czy to od szatana niewinnie prześladowanej, czy od Pana Boga sprawiedliwie karanej córki, powiadam to otwarcie, iż wolałbym, aby kości moje już dawno były pogniły w grobie, niżbym miał dożyć tak fatalnego terminu, jakim jest dzień dzisiejszy – jako obywatel i sąsiad zaś nie mogłem się doczekać dnia szczęśliwszego przed grobem, jako ten, w którym dostojne obywatelstwo naraz zgromadzone przed sobą widzę. A lubo, w którąkolwiek stronę tego przezacnego zgromadzenia oczyma rzucę, ani jednego z moich dawnych przyjaciół i towarzyszy dopatrzeć nie mogę, bo ci dawno już śpią po cmentarzach, toż jednak i to nad wszelkie wyrażenie wielkim ukontentowaniem jest dla mnie, że mi Pan Bóg pozwala widzieć ich synów i wnuków. Jakoż w tym razie, kiedy ja sobie czynię tę słodką iluzję, że z dawno już pomarłymi, dla których dotąd niespożyty afekt gore w moim sercu, w tym momencie rozmawiam, toż i wam, mości panowie i bracia, niechaj się tak wydaje, że nie z dalekich stron żywy z żywego kraju przybyłem, ale że wyszedłem z grobów i wam synom i wnukom przynoszę pozdrowienia od moich ukochanych kolegów, a waszych ojców i dziadów!...

Tu się dziadek zatrzymał, a podczas gdy w kilku miejscach dało się słyszeć głośnie szlochanie, on kilka razy odetchnął i tak rzecz swą dokończył:

– Mości panowie i bracia! Żeście tutaj w tak znakomitej liczbie i tak pięknej postaci przybyli, ani wam za to dziękuję, ani was czczymi słowy o wykonanie przedsięwziętego zamiaru proszę, bo jako sąsiad wasz i przyjaciel, który trzy pokolenia przeżył w tym osmiańskim powiecie, wiem to dowodnie, że jako uczynkami waszymi nie kieruje żadna stronność ani prywata, tak znowu wiem z drugiej strony, że za cnoty wasze nagrody nie wyglądacie skądinąd, jeno tu, od własnego sumienia waszego, a tam od Tego, który was

²²³ temlak – pasek u rękojeści, za który można zawiesić broń (pistolet lub szablę) na ręce.

wszystkich stworzył i który tylko sam jeden jest w stanie obywatelskie cnoty i zasługi wynagradzać wedle wartości. Ale oto jest biedna, opuszczona sierota – to mówiąc, dziadek wziął obok siebie stojącą Zosię za rękę i podprowadził ją o krok naprzód – która jak wiotki powój o samej wiośnie została się sama, opuszczona i nieszczęściami przygnieciona do ziemi, a podczas gdy główkę wychyliwszy do słońca, szuka drzewa mocnego, o które by się mogła obwinać, znalazła tylko starego dębu pień spróchniały, który lubo musi służyć jej za podpórę, jednakże raczej sam się powali i ją swym ciężarem przygniecie, niżby miał jej dać ulgę i opiekę. Ta sierota, mości panowie!... rzuca się przed wami na dziecięce kolana...

Tu się Zosia rzuciła na kolana i ręce złożyła, ale dziadkowi tak gwałtownie łyzy się puściły z oczu, że już nie mógł nic dalej mówić. Szlachta też, jedna szlochając w głos jak pacholeta, inni łyzy ocierając, okrążyli go ciasniejszym kołem i całując w ramiona, w ręce, a niektórzy w róg granatowego żupana, wołali: – Daj pokój, bo rozplyniemy we łzach i żalości! – Inni zaś:

- Daj pokój, wszystko zrobimy!
- To ojciec nasz, to patriarcha!
- Z ojcami naszymi służywał!
- Naszych dziadów pogrzebał!
- Niech siada, niech siada, bo osłabnie!
- Żeby diabli pilnowali tego zamku, to go dobędziem!
- Mury na kawałki rozszarpiem!
- I miejsce zaorzem!
- Żeby ani ślad nie pozostał!
- A córkę mu tu na rękach przyniesiem!
- A tego łotra, co nam taki wstyd i hańbę...
- Na suchej wierzbie powiesim!

I poczęli brwi marszczyć, wąsami ruszać, że aż strach był patrzeć po tej garstce wojaków. Tymczasem dziadka posadzono na ławie pomiędzy lipami, co przedniejsi go obsiedli i obstąpili, zaręczając, że mu córkę przed północą przyniosą; inni przystępowali do Zosi kojąc jej łyzy i szlochania, prawiąc grzeczności i przysięgając, że życie swoje położą za matkę dla sieroty. W dziedzińcu zaś zrobił się wielki gwar i zamieszanie; jedni beczki z trunkami wytaczają z stodoły, nalewają i piją: – Na szczęśliwe powrócenie stolnikowej! – Na śmierć diabłu weneckiemu! – Na powalenie w gruzy przekłętego zamczyska! – Inni wynoszą jadła i pieczywa i rozkrawując je w powietrzu, podają drugim, inni jeszcze broń gładzą, ostrzą pałasze, kulbaczą konie; inni, jako Demostenes z Zalasówki, człek mały, pękaty i łysy, a prawie obdarty w ubiorze, jako Seneka Giembutowicz, chudy, wysoki, i zezowaty, powyłazili jeden na beczkę dnem wywróconą do góry, drugi na stos belek leżących pod szopą, i ogromadziwszy koło siebie po garstce słuchaczy, perorują z wielkim ferworem i dobitną gestykulacją. A muszą ci prawić coś nieźle, bo zyskują aplauzy i w dziedzińcu krzyk się wzmaga coraz groźniejszy i donośniejszy.

Ja byłem i tu, i tam, temu podawałem wino, tamtemu miód, trzeciemu jadło, tamtego perory słuhałem przez chwilę, temu komplement powiedziałem od dziadka, a onemu pochwaliłem broń albo konia, wszędzie starając się o to, ażeby nadto wielki ferwor umitygować, ale ducha dobrego ustalić i utrzymać. Przy tej robocie nie tylko to miałem na celu, aby dziadka w obowiązku gospodarskim wyręczyć, ale zarazem i to, żeby się z tymi ludźmi choć cokolwiek obeznać i wśród aktu samego wiedzieć, gdzie się po co rzucić i kogo do czego użyć; bo naprawdę powiedzieć, ja sobie zdobycia tego zamku nie uważałem za rzecz tak małą. Murdelio był człek niegłupi i do tego takiej ideterminacji, jak mało kto; a z takimi ludźmi, zwłaszcza w chwilach stanowczych, niełatwa jest sprawa. Przypomniawszy zaś sobie, że na wiadomość o oburzeniu się całego powiatu na niego i rozpacz go mogła owoładnąć, można było i o zwycięstwie powątpiewać. Ja przynajmniej tak tę rzecz rozumiałem i w tym celu kręciłem się między szlachtą i wyrozumiewałem, co mogłem, a lubo w niedługiej chwili

już mi się wiele rzeczy wyjaśniło, to jednak jakoś jeszcze niekontent byłem i sam nie wiedząc, czego, jednak czegoś szukałem. Aż dopiero gdy już wszystkich co celniejszych poprzehodziłem z osobna, pokazało mi się jawnie, że to, czego szukałem i znaleźć nie mogłem, był Jur z Borowiczek. Oglądnałem się jeszcze raz i rzeczywiście nigdzie go ujrzyć nie mogłem i dziwno mi było, że on, pierwszy junak oszmiańskiego powiatu, na którego jakby na cztery tuzy liczono, w którego ręce już naprzód składano komendę, nie mówię, zniknął z placu, ale odsunął się w kąt w takiej chwili, w której przytomność zaufanego wodza wiele działa na podkomendnych. Ja już w moim życiu widziałem i bardzo wielkich junaków w stanowczej chwili znikających z placu. Więc tym większa chęć mnie wzięła koniecznie odszukać Jura z Borowiczek i obaczyć, co on też robi. Jakoż po niedługiej chwili znalazłem go wewnątrz stodoły, siedzącego w kącie na ławie, opartego plecyma o wiązkę słomy i głęboko zadumanego. Przystąpiłem tedy do niego i rzekłem:

– Cóż waszmość tak samotnie? i od kolegów z dala, i od posiłków z dala, a przecież to noc przed nami i podróż dwumilowa, i robota może nielekka.

– Głodny nie jestem – odpowiedział mi na to Jur z Borowiczek – a choćbym nawet i głodny był, to wolę głód przenieść, niż słuchać tego nieznośnego gwaru, który mnie dzisiaj tak razi, jakby mnie kto nożami krajał.

Niewiele to jest junaków na świecie, którzy gwaru nie lubią, i owszem, jest to ich żywioł właściwy, jako woda dla ryby lub powietrze dla ptastwa; więc ta odpowiedź jego zajęła moją uwagę, a że dopiero co słońce zaszło było i jeszcze najmniej z godzinę należało się z wyruszeniem zatrzymać, więc usiadłem koło niego mówiąc:

– Dziwi mnie to niepomąlu, że waszmość, który, jak mi tu powiadają, wzrosłeś wśród gwarów wojennych, myśliwskich i zajazdowych, dzisiaj go znieść nie możesz.

– Otóż to może najgorzej – rzekł on na to – że co przypomina! Nie będziesz bowiem waszmość rozumiał, że ja mam nerwy słabe i dla nich znieść nie mogę, że kilkunastu, szlachty krzyka sobie przy kubkach i szablicami pobrzękuje; ano to mnie jest nieznośne, że dla prywaty się tu zlecieli, jako muchy do miodu, i krzyczą, a junakują tak srodze, jakby już z parę światów zburzyli w swym życiu i teraz znów szli na jeden. To mnie jest przykro i za to mnie serce boli! Prozopopeja²²⁴ wielka, a rzeczy ani krzty.

– To masz prawdę! – zawołałem na to Jurowi. – Jąc niedawno żyję na tym świecie i więcej może lat stoi przede mną niż za mną, ale przecież coś jeszcze dawniejszego świata zarwałem. Inny świat, inni ludzie. Z czynów pozostały wspomnienia, z mężów hałaśliwi żakowie, z czynnego ducha, jak to dobrze waszmość powiadasz, czcza tylko prozopopeja! Tak to jest u was, tak u nas, tak podobno i w całym świecie.

– Mój Boże! – rzekł na to Jur smutno, opierając na łokciu głowę – gdzież to dawnymi czasy!... gdzież to dawnymi czasy, gdzie to słyszano, żeby dla lichego zajazdu takie robić hałasy, takie robić konspiracje, żeby o tym, nim się jeszcze rzecz zrobi, już po całym kraju słyszano? gdzie kto to widział, żeby dla lichego zajazdu aż sejmik zrywano?... ale co mi tam na tym! ja już swoje wygrałem.

Odetchnął na chwilę Jur z Borowiczek, jak gdyby wyczekiwał ode mnie odpowiedzi, ale ja już nic nie odpowiadałem; mnie się już serce pławiło we łzach gorących, bo mnie w najślabszą uderzył stronę. On zaś ciągnął dalej:

– Ba!... ale co tam waszmości!... Wpadła w oko podwika, zaproszyło się serce, to i szczęście będzie, i spokój, i życie jakie takie, kiedy pójdzie po rękę. Ale mnie inna... nie ma już dla mnie szczęścia i spokoju na świecie!

– Czemuż to, panie bracie? wszakże i waszmość możesz sobie upodobać w jakiej kobiecie i z nią się ożenić, a lubo czasy teraz smutne na świecie i dajmy, że coraz będą smutniejsze, toż przy kochającej żonie, w gronie dzieci wesołych, na własnej roli, pod własną strzechą,

²²⁴ Prozopopeja (gr.) – tu: napuszona gadanina.

przecie jeszcze jakoś żyć można, a czas wolny od pracy niechaj zapełnią pięknej młodości wspomnienia... toż i to jeszcze nie jest dola ostatnia! – On zaś na to:

– Pięknie to waszmość mówisz, panie bracie, ale nie dadzą mi rady te słowa. Widziało się już bowiem i piękne rączki, i zgrabne nóżki, i oczek strzelistych niemało; ale zaprawdę powiadam tobie, że mąż, który się urodził w tych strasznych czasach i ma serce czujące i duszę, temu nie będą w głowie marne domowego szczęścia rozrywki ani go zwabiają pięknych dziewcząt oczęta, ni kochającej żony co dzień jednakowe umizgi, ani wrzaskliwych dzieciak pieszczoty... ale co mi tam na tym!

Wtem hałas i krzyki, wzmagające się coraz bardziej w dziedzińcu, zamieniły się nagle w jeden krzyk wrzaskliwy i przeciągły... na ten wrzask Jur z Borowiczek porwał się ze swego siedzenia i poprawiając pas skórzany, który nosił po kurcie, rzekł do mnie:

– Aha! już po biesiadzie! chodźmyż i my; czas już wsiadać na konie, a tu nim wyruszymy, trzeba jeszcze jakoś sprawić tych ludzi, bo lubo ja nie myślę, żeby tam przyszło do bitwy, jednakże bez ładu trudno i marsz zrobić lada jaki.

– Jak to waszmość rozumiesz, że tam do bitwy nie przyjdzie? ja rozumiem przeciwnie, że bitwa będzie, i to bitwa niemała, chyba że waszmość nie znasz jmc pana Piotrowicza.

– Ja go nie znam? – odparł Jur na to – a któż go zna lepiej? ale właśnie dlatego, że go znam, suponuję, że do bitwy nie przyjdzie. Zebrał on tam trochę hołoty, ale to wszystko hołota nie tylko bez broni, ale nawet bez ubioru; zamek nie opatrzony i o obronie z murów ani myśleć nie może, a do tego Piotrowicz to tchórz koronny, jak każdy łotr z obciążonym sumieniem. Na bezbronnych napadać, kobiety i dzieci straszyć po nocach, włóczęgów wieszać, o! do tego diabelska u niego odwaga, ale bronią na broń, piersią na pierś, nie widziałem go, aby kiedy uderzył.

– Otóż teraz waszmości powiem, że go nie znasz zupełnie. Ja nie tylko znam jego życie, które pełne jest jawnych dowodów odwagi, ale nawet sam go widziałem, kiedy bronią na broń i piersią o pierś uderzył, i to powiadam, że diabelska w nim odwaga. Diabelska, mospanie! bo nie wstydzę się i tego powiedzieć, że nawet ja sam, który wiele o sobie trzymam, gdy pałasz mam w ręku, jednak nie przysięgałbym na to, że mu cięcie wytrzymam.

– To być może – odpowiedział Jur na to – boć nawet mówią, że sam diabeł w nim siedzi, ale ja bo i diabłu stanę głowa na głowę! a wiesz waszmość, dlaczego?

– Nie, nie wiem.

– Bo mam czyste sumienie – odpowiedział Jur z Borowiczek i z tym wyszliśmy na dziedziniec.

A dziedziniec aż chodził wokoło od samego gwaru, pobrząku i różnej swawoli, którą drudzy, popiwszy się do szaleństwa, dokazywali. Kiedyśmy weszli pomiędzy nich, a ja się rozpatrzyłem bliżej we-wszystkim, co się działo, a już zmrok był zupełny i księżyc jeszcze ani myślał wychodzić na niebo, bo działo się to w dzień, dwa dni po pełni, że i nie mogłem dojrzeć wszystkiego: – Żle – pomyślałem – szlachta pijana jak susły. – A do tego stopnia pijana, że nie tylko się tak głośno całowali, jakby kto strzelał z batogów, ale drudzy się aż z koni ściągali z swawoli, inni nawet po ziemi tarzali. Szklanka, dwie, trzy zresztą dla fantazji i dobrego humoru, to jest rzecz niezła i owszem, skuteczna, ale spić się jak beły w takiej chwili, kiedy się komuś przyszło na pomoc i ma los jego rozstrzygać, to diabła warta taka robotka. Jakoż zaraz podybawszy Gintowta, rzekłem do niego:

– Panie cześniku dobrodzieju, czy nie nadtoście tym ludziom w szyję nalali?

– Jak to, na czczo? – rzekł Gintowt, patrząc mnie się prosto w oczy i pokręcając siwawych wąsów.

– Ja mówię, czy nie nadto?

– Nic nadto, w samo prawie – odpowiedział pan cześnik, ale odchodząc, tak potężnie się kiwnął na stronę, iż ani chwili nie wątpiłem, że i on ma w samo prawie.

Wtem przystąpił do mnie Jur znowu, który już tymczasem cały dziedziniec był obszedł i rzecze:

– No! panie bracie, teraz my się napijmy po kropli, bo już czas wielki.

– Dobrze – rzekłem – ale coś im tu zanadto ponalewali.

– Nic nie szkodzi, przecie to półtorej mili drogi. Podał nam też zaraz pan Kościuszkiewicz dwie butelki dobrego wina, które wypiwszy sobie z Jurem w ręce, rzuciliśmy na ziemię; on zaś wystąpiwszy na stół kamienny, już nie smutnym, ale donośnym i czystym jak dzwon głosem zawołał:

– Panowie! czas wsiadać! Niech Żyje pan Wit! Niech przepadnie na wieki wstyd i hańba oszmiańskiego powiatu!

– Wiwat! – krzyknęli wszyscy jednym głosem, a lubo z tych i owych kątów dały się słyszeć głosy:

– Kto krzyczy?

– Diabeł wenecki.

– Jur z Borowiczek.

– Jaki mi do komendy!

– Panie Seneka, czy wsiadać?

– Panie Gintowt! a jak tam? ty prowadź!

– Czekaj no! jeszcze słowo!

– Hej, niech go diabli!

– Ani kosteczki zeń nie zostanie – i Bóg nie wie co jeszcze, to jednak ani jedno *Ave* nie przeminęło, kiedy już wszyscy siedzieli na koniach, a Jur na siwym ogromnym ogierze szalał tędy owędy, prosząc do porządku waszmość panów braci i dobrodziejów.

Moje konie dwa osiodłane i całkiem gotowe stały przy stodole na stronie i trzymał je tam Węgrzynek, więc ja też zbliżyłem się do nich i kiedym właśnie myślał nad tym, czy mam Zosi jeszcze ucałować rączki przed odjazdem, czy uniknąć łez i czułości, bez pożegnania odjechać, rzecze do mnie Węgrzynek:

– Panna stoi ze starym jegomościa w ganku i prosi, aby pan się z nią widział koniecznie.

Odwróciłem się więc od koni i poszedłem w ganek, a stary do mnie:

– Mój Nieczujo! zniknąłeś gdzieś jak kamfora; czy nie myślisz się nawet pożegnać?

– Wszakżeż da Bóg za kilka godzin znowu się powitamy.

– Patrzajże – rzecze stary – to on naprawdę myślał bez pożegnania odjechać. A przecież to wojna, mosanie! kto wie co komu jest zapisano, a i tak jeszcze chciałem ci co powiedzieć. Komendę wziął Jur z Borowiczek z Gintowtem, to dobrze, bo to ludzie jak mur, ale szlachta się trochę popiła, uważaj tam z łaski swojej... żeby się ta hołota gdzie nie pogubiła po drodze. Oj! bo to widzę i na oszmiańską już termin przyszedł.

– Ale niech no jegomość już się spuści ha nas; choćby we trzech uderzymy i panią stolnikową na rękach tu przyniesiemy.

– Mój Nieczujo! – zawołał dziadek rozczulony i nachylając się ku mnie – rób, jak możesz. Niech cię Bóg prowadzi, mój synu!

Słowa: „mój synu!” zaraz mnie pochwyciły za serce, rzuciłem się więc do nóg dziadkowi i łązy mi się w oczach zakręciły; do tegoż Zosia jeszcze, rozplakawszy się także i chusteczkę trzymając przed oczyma, wyłkała do mnie:

– Panie Marcinie! powróć nam mamę, a za niewolnicę pójde do niego do śmierci!

Na te słowa, kiedy to ryknę sobie w głos basem, a Zosia dyszkantem, szczęście, że panowie bracia nie bardzo byli posłuszni Jurowej komendzie i stąd był gwar wielki jeszcze i hałas, bo mój płacz pewno . by był przez wszystkich słyszany. Ale tak, sam własnym głosem ocucony, zebrałem się i ścisnąwszy jeszcze Zosię za rączkę, skoczyłem na koń i wraz z Węgrzynkiem pomieszałem się ze sprawiającą się w krótkie szeregi szlachtą.

Kiedyśmy wyjechali i zaraz za bramą sprawili się na drogę, zrazu tylko krzaczyskami i karłowatą brzezina otoczona, zaraz też księżyc pełny dobył się na niebo, ale taki był krwawy, tak czerwony, że zawiesiwszy się nad czarnymi borami, wyglądał jakby słońce wypalone i gasnące nad Litwą. Potem wyjechał on wyżej i jeszcze wyżej, a tak wyjaśniał i wybielał, że rozlane po sobie światło jego odbijając, ziemia zdawała się kobiercem zielonym w srebrne dzianym desenie. Na koniec wyszedł na sam środek niebieskiego sklepienia i lejąc coraz obfitsze białego światła powodzie, zdało się, że stanął tak i czekać będzie, póki nie powrócimy z wyprawy.

A my, sprawiwszy się w takie szeregi, jakie się na niewielkiej drodze pomieścić mogły, ciągniemy sobie truchtem dalej i dalej. Na przedzie jedzie starszyzna, więc Gintowt, więc Żaba i innych kilku jeszcze siwowłosych, których nazwiska, ile że litewskie, więc dziwne a krótkie, dawno mi już wyleciały z pamięci.

Za nimi w pierwszych szeregach posuwa się szlachta co przedniejsza, a po skrzydłach młodzież, która ognistsza i rada by już prędko z bliska obaczyć, jako smakuje bitwa; dalej pospolita szlachta z zagonów, a na koniec tałałajstwo na chudych szkapach, lada jako okulbaczonych, wszyscy pijani serdecznie, gwarzący głośno, odgrażający się srodze i z pachółkami a gawiedzią w czambuł zmieszani.

Ja, jako obcy pomiędzy nimi, żeby mnie kto nie posądził o chęć burmistrzowania na cudzej ziemi, jechałem z Węgrzynkiem moim na samym końcu, ale dwóch stajań nie zrobiłem, kiedy do mnie przygalopował Jur z Borowiczek z drugim jeszcze jakimś młokosikiem, którzy to lubią się wieszać przy starszych, aby nic jeszcze nie uczyniwszy i żadnego dowodu ani ręki, ani głowy nie dawszy, zaraz już coś więcej znaczyć nad innych, i obadwa stanęli przy mnie.

– Kto tu się wlecze na szarym końcu? – rzecze Jur dojeżdżając do mnie i opatrując mnie bliżej.

– To ja, panie bracie – odpowiedziałem – nie chcę się naprzód wysuwać przed bitwą, żeby mnie Litwini nie posądzali o co, bo i tak już słyszy się niejedno i puszcza pomimo ucha, a jak przyjdzie do bitwy, to już ja się znajdę na przedzie.

– Masz waszmość prawdę: w ogniu pierwszy, w odwrocie ostatni, oto żołnierz jak trzeba, a tymczasem ja tu z waszmością pojedę.

– Proszę, proszę – rzekłem – jeżeli waszmość dla mojej kompanii, to nie przyjmuję tej grzeczności; waszmość tam potrzebniejszy na przedzie. – A on na to:

– Rad bym mówić, że dla kompanii, ale tak nie jest, bo tu moje właściwe miejsce.

– A to na co?

– Na co? niebawem to waszmość obaczysz.

Ledwie co tych słów dopowiedział, kiedy dwóch waszeciów z szarego końca, już od niejkiej chwili pozostając po trochę, skreśliło nagle na lewo i zniknęło między jelnikiem. W tymże momencie spał Jur konia i krzyknawszy: – Oho! już? – skoczył za nimi i zaraz im drogę zajechał. Myśmy posunęli się za nim.

– Panowie bracia! – wołał on do tych dwóch zatrzymanych przez siebie – *fugas chrustas*?²²⁵ fe! to nieładnie.

– My nic... my tego... ja tylko tal?... – jękali oni jeden za drugim, zmieszawszy się setnie.

– No, ja widzę, że to nic, że waszmość tylko tak – odpowiedział Jur na to – ale jednakże to nieładnie; niech no waszmość się nazad wsuną w szeregi, bo my, nim uderzymy na zamek, to pierwej przecie staniemy i obliczymy się, a pan Gintowt ma wszystkich spisanych.

– Co u diabła! popisał nas? – rzekł jeden.

– Ba! popisał, panie bracie, chyba wracajmy – odpowiedział drugi i zwróciwszy konie wjechali obadwa do szeregu, mrużąc sobie coś z litewska pod nosem.

²²⁵ *fugas chrustas* – zwrot makaroniczny w znaczeniu: uciekać w krzaki.

– Będzie tu tego więcej – rzekł do mnie Jur, kiedyśmy już dawnym ładem postępowali dalej.

Jakoż zaraz się to potwierdziło, bo znowu niebawem dwóch wymknęło się w jelnik, a kiedyśmy ich zgonili, pokazało się, że obadwa byli szczerzy boćwinkowie spod samej Oszmiany. Jednakże nie mogę powiedzieć, żeby dużo było tego gubienia się po drodze, bo koniec końców tylko trzech nam uciekło.

Zegarek mój kieszonkowy pokazywał jedenastą godzinę, kiedy Jur rzecze do mnie:

– Kiedy wyjedziemy za las, popatrz waszmość na lewo, obaczysz zamek Murdeliona.

I w samej rzeczy ledwieśmy wyjechali za las, zaraz się tak przecudny a dziwny przed naszymi oczyma roztoczył widok, że go podobno do śmierci nie zapomnę. Widok ten oto poczynął się piękną równiną, która był tak lekką a białą mgłą nakrytą, jak gdyby ją kto delikatnym nakrył muślinem. Mgła ta im dalej, tym się wydawała gęściejszą i bielszą i tym podnosiła się wyżej, a na koniec tak wysoko, że aż sobą zakrywała ostatni kres nieba; a wsiąkając w delikatne swe fałdy srebrne światło księżyca, dozwalała zarazem przez siebie widzieć rój gwiazdek bladawych, niby w niej utopionych i konających. Na takim tle cudnym po lewej stronie nad wzgórzem rysował się zamek czarny, którego jednakże wierzchnie tylko mury i niewysokie zębate a krzewami zarośnięte już baszty widne były naszemu oku; reszta zamku także była w mgle zatopiona. Na tych murach i basztach widać było wyraźnie jakichś ludzi kręcących się tam i sam, którzy tym dziwniej nam wyglądali, ile że niektórzy z nich trzymali jakieś lonty zapalone albo latarnie w rękach i z nimi się snuli. Zresztą jeszcze tylko w kilku oknach zamkowych widać było światło jaskrawsze, niżej mgła grubsza niczego już dojrzeć nie dozwalała.

Ujrawszy to, zatrzymałem konia i przypatrywałem się temu dziwnemu widowisku, a im dłużej się przypatrywałem, tym dziwniejsze mi się naciskały myśli i uczucia, bo to, co widziałem, kazało mi się w tym miejscu domyślać raczej jakiegoś zaczarowanego dobrych duchów mieszkania niżeli diabelskiego siedliska. Ale niebawem wyprowadzony zostałem z błędu, bo w tejsze chwili krzyk głośny dał się słyszeć na murach, czerwone światełko mignęło jaśniej na jednej baszcie, trzy strzały działowe zatrzęsły ziemią i powietrzem, trzy kule zaświstały około nas, a jedna z nich o kilka kroków tylko ode mnie roztrzaskała wraz z koniem owego młokosika, który dobrowolnie adiutantował Jurowi.

Takie przywitanie, przez najbojaźliwszych nawet niespodziewane, zrobiło efekt należyty.

I warto było widzieć Jura z Borowiczek natenczas, jako z dobytą szablą rzucił się przed front pierwszych szeregów; warto było widzieć Gintowta starego, który, odmłodniawszy o lat dwadzieścia, stał na przedzie jak rycerz prawdziwy; ba! warto bo i było wiedzieć on hufiec cały, który, pozbywszy się trzech tchórzów ze swoich szeregów, na odgłos strzałów zatrząsł się cały i dobywszy jednocześnie szabel, stanął nie tylko gotowy, ale pojedynczymi końmi nawet naprzód wysadzał i rwał się, jak gdyby każde mrugnięcie oka było dla niego godziną.

Kiedy się słyszeć dały one trzy strzały działowe i jednym z nich ustrzelony został on młody Litwinek, skoczył Jur na koniu przed front hufcu i dobywszy szabli, wielkim głosem zawołał:

– Krew już płynie! po żołniersku ten diabeł nas wita, odpowiedzmyż mu po żołniersku! – Gintowt zaś z swojej strony zawtórzył:

– Pomnijcie na to, że ja tam każdą dziurę znam w zamku;

kiedy uderzycie, wprost za mną, z przyzwoitym impetem, ani włos z głowy żadnemu z nas nie upadnie!...

I coś tam jeszcze podobno perorował pan Gintowt, a tymczasem Jur z Borowiczek i jeszcze kilku innych co przedniejszych, a żołnierki z lat dawnych świadomych, rzucili się to na lewe skrzydło, to na prawe, to na tył, aby w szyk bojowy posprawić szeregi.

Ja z Węgrzynkiem i onym nieboszczykiem rozerwanym na dwoje stałem zrazu z tyłu za całym hufcem, ale gdym usłyszał odgłosy komendy, rzekłem do Węgrzynka:

– Janczi! pamiętajże sprawić się dobrze, bo zuch jesteś w gospodach i dobrze się sprawujesz z hołotą, ale to wszystko za nic, kiedy rzecz pokpisz ze szlachtą.

– Wielmożny panie! – rzecze on na to – mnie aż dusza się śmieje. Wszystko dobrze będzie.

– Pamiętajże – rzekłem jeszcze – trzymać się mnie niedaleko, a przy pierwszym szturmie nie wrywaj się bardzo naprzód, bo pocztowym to nie przystoi. Potem już bij, gdzie się podoba. No! w imię Boże!

Zaszwargotał coś jeszcze mój Janczi z węgierska i wjechawszy w kupę, wwierciliśmy się tak, że ja stanąłem w pierwszym, on zaś tuż za mną w drugim szeregu.

Szeregi już były sprawione, tylko jeszcze ten i ów się poprawiał na siodle, tamten pistolety dobywał, drugi się modlił po cichu, a inny nawet szkaplerz poświęcony całował; więc Gintowt stary, obwiązawszy prawą rękę paskiem św. Franciszka od omdlenia i kurczów dla wiekowych ludzi skutecznym, podniósł w niej szablę do góry i odrzuciwszy pierwej Jurowi słów parę, chciał już podobno w imię Boże zawołać, ale w tymże momencie znowu także trzy strzały działowe zagrzmiały z murów – jednakże tym razem nic nam nie zaszkodziły, tylko mowę Gintowtowi przerwały. Lecz gdy te strzały przebrzmiały, a Jur z Borowiczek stał już na prawym skrzydle nie opodał ode mnie, Gintowt jeszcze parę kroków ku szeregom postąpił i głośno zawołał:

– W imię Ojca i Syna, i Przenajświętszej Matki Ostrobramskiej, dalej, panowie bracia! – Po tych słowach on sam zwrócił konia i skoczył pierwszy, my zaś wszyscy z okrzykiem: „Jezus, Maria, Józef, skoczyliśmy za nim i zaraz pędem z kopyta.

Zamek ów od nas nie był dalej na trzy stajań; fosy wokoło niego były pozarastane, mury porozwalane i tylko gdzieniegdzie krokwiemi albo belkami naprędce pozakładane, ale luki wszystkie były wielkimi kupami ludzi poobsadzone, o czym my jednak nic a nic nie wiedzieli. I kiedyśmy z miejsca ruszyli, to lubo szeregi nasze były wyciągnięte prosto jak linie, w stu krokach wszystkie się rozerwały i zrobiło się tak, że Gintowt po staremu dźgał naprzód, za nim zaraz Jur z Borowiczek, za Jurem ja z drugim jakimś szlachcicem, a za nami dopiero reszta gnała, co konie mogły wyskoczyć. Ale i tym porządkiem nie bieглиśmy dalej, jak drugie sto kroków, bo w trzecich stu wszystkich nas naczelnym przesadził mój Janczi – i z takim impetem uderzył w to miejsce, gdzie snadź dawniej brama bywała, ale teraz kilka drzew tylko leżało i tłum ludzi zbrojnych stał z wystawionymi przeciwko nam spisami, że sam, prawda, wywrócił się z koniem przez drzewa, ale nam taki rum zrobił, że przez cały dziedziniec nabity hołotą przejechaliśmy jakby tylko przez łąkę i znaleźliśmy się pod samymi drzwiami zamkowymi. Tam się znalazłszy, za przykładem Gintowta zaraz zeskokczyliśmy z koni i walimy prosto po wschodach kamiennych na górę. Jak się to działo, Bóg raczy wiedzieć, bo, prawdę mówiąc, ja przynajmniej w takich imprezach jeszcze nie bywałem, tym bardziej też tutaj, nie znając ani miejscowości, ani ukrytych Gintowta planów, o które nawet pytać nie było czasu, szedłem jak ślepy lub pijany; jednakże, znalazłszy się na wschodach i obaczywszy, że nas tylko pięciu tam było, reszta zaś wszystka pozostała na dole, a może i za murami, rzeknę prędko do Jura:

– Panie bracie! pięciu nas tylko, odcięto nas!

– Nie odcięto, znam ja swych ludzi! – odpowiedział Jur i wtem wpadliśmy do sieni pierwszego piętra. Tam zaraz na Gintowta, który szedł pierwszy, uderzyła kupa zbrojnych. Gintowt się odciął i zaraz natarł, tuż za nim Jur rzucił się jakby lew rozdrażniony, a potem tuż my, kiedy ich weźmiemy na szable, to jakby orzech zgryzł, kilku położyło się zaraz, a reszta jak wymiótł. Murdeliona jednak pomiędzy nimi nie było.

– Gdzież ten diabeł wenecki! – zawołał Jur na to, gdyśmy w sieniach ostali sami.

– Do tych drzwi walmy! – zawołał Gintowt, pokazując drzwi jedne na lewo.

. Wtem huk straszny się rozległ po całym zamku, wszystkie mury zadrżały, aż podłoga pod nami zadygotała. Był to ostatni strzał działowy wydany z baszty zamkowej, ale już to był jęk śmiertelny tego diabelskiego zamczyska – bo nie zważając nic na to, w tejże chwili rzuciliśmy

się na drzwi pokazane nam przez Gintowta i uderzyliśmy w nie ramionami. Drzwi tylko trzasnęły kilka razy pod naszym naciskiem, ale też i natychmiast pękły i rozdarły się w kilka części, wpadły do izby. W pierwszej izbie nie znaleźliśmy nikogo, tylko światło uderzyło nas w oczy; ale równo z łoskotem, który za naszym wpadnięciem rozległ się po salach zamkowych, w drugiej czy w trzeciej izbie dał się słyszeć strzał z pistoletu i zaraz za nim krzyk gwałtowny kobiecy, rozdzierający serce. Na to poskoczyliśmy jeszcze rącej do drugiej izby, ale i w tej nie było nikogo, tylko światła i światła; przy drzwiach do trzeciej dopiero jakiś chłop zbrojny zastąpił nam drogę – ten od Jura rozplatan na miejscu. Po tym trupie przebiegliśmy dalej do sali wielkiej, wysokiej, z wąskimi gotyckimi oknami, z mnóstwem różnych drzwi i krużganków, ale i tu nie było nikogo, ale że drzwi było kilka, więc Gintowt znowu rzucił się naprzód i wpadłszy razem z nami w małe rogowe drzwiczki, wwiódł nas do niewielkiego pokoju, w którym już miało się oko na czym zatrzymać. Na ziemi bowiem wyciągnięta jak długa leżała, zda się już nieżywa, niewiasta, koło niej z rozpięzchnionymi włosami, z krwią nabiegłymi oczyma, z twarzą prawie tak czarną, jak węgiel, pomieszany, chwiejący się, we francuskie czy włoskie koloru czarnego suknie ubrany, on sam, Murdelio. U nóg jego na ziemi, niedaleko od tej kobiety, leżała szabla bez pochwy i pistolet pewno po strzale porzucony przez niego; on zaś sam trzymał drugi pistolet i ze wzrokiem utkwionym w ową kobietę, zdawał się być w onym fatalnym momencie, w którym człowiek, spełniwszy czyn rozpaczy i widząc, że i ten nie zdał się na nic, traci głowę i zmysły. Jednakże gdyśmy wpadli, porwał się i wymierzywszy do nas z pistoletu, wystrzelił, ale już spudłował. Na to Jur rzucił się na niego, a jako już rozbrojonego, puściwszy szablę swoją na temlak, ręką pochwycił za kark i podniósłszy go w powietrze, zawołał:

– Rozćwiertować tego diabła!

Ale ledwie tych słów domówił, Murdelio się zwinął jak wąż. Jura ukąsił w rękę do samej kości i wyrwawszy mu się z garści, z sztyletem błyszczącym jak szkło, który nie wiem, czy miał za rękawem, czy dobył zza pasa, rzucił się na nas. Nasza wina była, żeśmy nie byli przytomni, z czego on korzystając, najpierw mnie, który już z opuszczoną szablą stałem o parę kroków, pchnął tak silnie w pierś poniżej prawego ramienia, że mi i pierś przebił aż do samej łopatki, i zaraz powalił o ziemię; potem Gintowta srodze drasnął po twarzy i także powalił, a przez powalonych skoczywszy, w drzwiach zniknął. A wszystko to stało się tak nagle, że kiedy tamci dwaj szlachta za uciekającym z pistoletów strzelili, to jeno drzwiczki kulami potrzaskali.

Co się dalej działo, tego już dokładnie opowiedzieć nie umiem, bo mnie za moment gęba napęliła się krwią i odszedłem od przytomności. To tylko dla zaokrąglenia rzeczy dopowiem, że ona niewiasta, którąśmy na ziemi leżącą znaleźli i zabita być rozumieli, była to pani stolnikowa, ale ani nawet draśnięta nie była, tylko tak od przestachu przy pierwszym Murdeliona strzale omdlała. Zaś czy ten strzał Murdelio puścił do niej, czy przez prędkość do nas, jeszcze natenczas w pierwszej izbie dopiero będącym, nigdy się od niej nie można było dowiedzieć.

Szlachta nasza, powstrzymana przez ową hołotę w dziedzińcu, biła się doskonale, ale hołota nicpotem, jednakże naszych liczono na czterech zabitych i kilkunastu ranionych, pomiędzy tymi i Węgrzynka mego, który tak był skłuty i potłuczony, że jego powrót do zdrowia i do dawnej fantazji za cud Pana Boga trzeba było uważać – hołoty zaś nasieczono bez liku.

Murdeliona, po zniknięciu jego z onej izby narożnej, ludzkie oko już nie widziało: przechowali on się gdzie w jakiejś piwnicy, dostali się jakim podziemnym wychodem na czyste pole, a nawet czy kiedykolwiek potem jeszcze się na swym zamku pokazał, pozostało zagadką na wieki, a zarazem i źródłem do wielu baśni i plotek, które do dziś dnia opowiadają sobie w tych okolicach.

My zaś wszyscy, a mianowicie pani stolnikowa, wystraszona, milcząca i blada, jakby ją z trumny wyjęto, ja, srodze ranny i osłabiony, Gintowt z rozplataną ręką i wąsem odciętym i reszta pokaleczonych, powsadzani na wozy i otoczeni mało co przetrzebionym hufcem naszym na koniach, jeszcze wśród ciemnej nocy wyruszyliśmy z zamkowego dziedzińca, a właśnie słońce poranne pierwszymi promieniami swymi złociło jasnozielone łąki i pola i tysiącami tęczyowych blasków igrało w każdej kropelce rosy, kiedyśmy stanęli przed obrazem Matki Najświętszej Ostrobramskiej, wiszącej nad gankiem dziadkowego dworku, i tam witani byli łzami i mdłościami, i okrzykami radości, pomieszanymi ze sobą.

IX

Już to był miesiąc sierpień na niebie i na ziemi. Słońce letnie, puszczając swoje ogniste promienie pionowo na ziemię, powyciskało ostatnie soki z krzewów i roślin; zboża, jedne już żółte, stały w półkolkach na polu, drugie dojrzewały co dzień, co godzina, co chwila; sady, obrodziwszy obficie, gięły się pod ciężarami owoców i roznosiły ciężką woń po powietrzu, jarzyny już schnąć zaczynały po ogrodach; czerniał groch niedawno jeszcze zielony i upadał do ziemi, kurczyły i otwierały się same od siebie strączki różnobarwnej fasoli, obwijała się włóknem i uwiędłe puszczała liście wysmukła kukurydza i tylko burak jeden, poczerwieniawszy na liściu jakby pijanica na twarzy, chwiał się na wietrze, lecz potężnie trzymał się ziemi. Już ptastwo błotne, wzmógłszy się we dwójnasób młodym pokoleniem i oblawszy²²⁶ się pięknie, wabiło do siebie myśliwych; już po odlocie dudka i rybitwy, niby przedniej straży wędrowników powietrznych, bociany poczęły się zbierać na niskich łąkach na swoje sejmy, aby się o podróży naradzić, już po otawiskach²²⁷ całe noce ze spętanymi końmi trawiły komuchy, ba, już i pługi poczęły coraz gęściej pokazywać się na polu, aby św. Bartłomiej zastał pokrajaną już ziemię i przyjął w opiekę swoją pierwszy zasiew ozimy – a ja jeszcze ani jednego kroku nie dałem z łóżka.

Rana, którą mi w dzień zajazdu zadał był Murdelio, lubo była ostrym i nieszerokim uczyniona żelazem, w żaden sposób zupełnie się nie dawała zagoić; lekarze aż zachodzili w głowy i nie mogąc dać sobie rady, powiadali, że sztylet musiał być zatruty. Jednakże niebezpieczeństwa nie było: w sierpniu już nawet obiecywali mi oni na pierwsze dni września wyzdrowienie zupełne. Ja też na nich znowu nie nalegałem tak bardzo, słabość ta bowiem przy niewielkich. boleściach, a ustawicznym siedzeniu Zosi przy moim łóżku nie tylko nie była mi nadto przykrą, ale owszem, była ona i będzie jedną z najpiękniejszych chwil mego życia. Tym ci przyjemniejsze były one chwile mego w domu dziadkowym leżenia, ile że pocziwe Litwiny, przekonawszy się z łaski swojej podczas zajazdu dowodnie, że nie jestem niegodnym ich przyjaźni i życzliwości, nie zaniedbywali mnie, ile możliwości, jak najczęściej nawiedzać, a że to u nich umysł także wesoły i do swawoli skory, a dziadek miał dawną pod spichrzem piwnicę, którą teraz dla panów braci na ścieżaj otworzył, więc i nieraz tak było, że w moim domu, i to przy moim łóżku, gwar był jak przy szynkwasio – albo kiedym był dobrej myśli, Węgrzynkowi mojemu, który pomimo ran kilkunastu i ciężkiego pobicia dawno już był wyzdrowiał, za siebie je spełniać kazałem. I nie krzywiła się szlachta na to, bo wiedziała dobrze, że Węgrzynek jest szlachcic, a choćby nim nie był, toż fantazja jego, z którą nad wszystkich pierwszy na zamek Murdeliona uderzył, wartą była szlachectwa.

²²⁶ oblać się – tu: obrosnąć tłuszczem.

²²⁷ otawisko – łąka, na której rośnie otawa, tj. trawa wyrastająca po pierwszych sianokosach.

Zabawom onym, które się w moim odbywały pokoju, dziadek towarzyszył statecznie i pił równo z drugimi, a może i lepiej, a kiedy wpadł w dobry humor, to powiadał szlachcie o ich ojcach i dziadach rzeczy takie, że go słuchali jak gdyby wieszczka lub proroka.

Gintowt stary z czerwoną przez twarz pręgą i poniewolnie podciętymi wąsami ledwie nie codziennie do nas przyjeżdżał, a przywożąc ze sobą prawie zawsze takich, którzy przy zajeździe nie byli, codziennie tymi samymi słowy opowiadał im szeroko i długo głębokość i dowcip onych przez niego samego wymyślonych i wykonanych planów, których skutkiem było ubieżenie diabelskiego zamczyska i wydobyć ze szponów szatańskich pani stolnikowej dobrodziejki, której rączki całował.

Ale pani stolnikowa nieczęsto pokazywała się u mnie, daleko mniej jeszcze gościom, a będąc ustawicznie smutną i często płaczącą, niemało nanudziła się dziadka, aby z Litwy wyjeżdżał i nie powracać już do Żwiernika, tylko teraz znów na Wołyniu zamieszkać, we wsi onej, którą tam miała. Dziadek protestował się przeciw temu, a nawet, kiedy tego potrzeba była, mawiał do niej surowo i ostro:

– Dajże mnie pokój z tym twoim wyjazdem! Pan Bóg przez dobroć swoją najwyższą prawie cudem mnie wrócił na Litwę i pewnie nie po co innego, tylko po to, ażebym kości moje położył przy ojcach, a ona mnie każe wlec się aż gdzieś na Wołyń!

I w ogóle można powiedzieć, że po powrocie stolnikowej ze Zamku, dziadek cał inaczej się z nią obchodził niż przedtem; czemu tak było i co się tam zresztą działo w sercu tej kobiety, gdzie były jej uczucia, gdzie myśli – nikt się nie dowiedział ni teraz, ni potem.

Ja do mojej siostry wśród słabości pisałem po kilka razy, a pisałem w ten sposób, że Zosia przez łaskę swoją trzymała pióro, ja zaś jej dyktowałem, a na końcu, jako prawą ręką władać nie mogący, kładłem krzyż święty miasto mego podpisu – siostra zaś do mnie tylko jeden list napisała, w którym mi donosiła, że jej mąż jeszcze z Mazurów nie wrócił, bo mu moje sprawy bardzo idą oporem, a nawet kto wie czy tak nie wypadnie, że będzie musiał sam jechać do Wiednia, aby się osobiście rzucić do nóg cesarzowej-królowej i puszczenie w niepamięć mojego obwinienia uprosić.

Ze Żwiernika pisano nam kilka razy, jednakże niewiele wyrozumieć mogliśmy z Zuzinych listów; zdawało się nam nawet, że nie było potrzeby łamania sobie głowy nad jej bazgraniną, bo cóż ona nam mogła donosić? tego jednego jej tylko zapomnieć nie mogłem, że w żadnym liście ani słowa nie wspominała o mnie, a natomiast w każdym dopytywała się o Lgockiego, czy już jest u nas i czy stateczny jest w swych sentymentach. A tymczasem o Lgockim i słuch zaginał; po wyjeździe swoim z Tarnowa przepadł jak kamień w wodzie i nikt nie wiedział nic o nim ani tam, ani tutaj.

I tak w zupełnej prawie nieświadomości tego, co się tam działo w domach i rodzinach naszych, spędzaliśmy dnie jeden za drugim, przyjmując u siebie życzliwych dla nas Litwinów, słuchając ich gawęd i plotek okolicznych i niewiele myśląc o jutrze.

Aż dopiero jakoś w ostatnich dniach sierpnia, kiedy ja już, zagoiwszy ranę moją zupełnie, tylko osłabiony jeszcze cokolwiek, mogłem przechodzić się po pokoju, a nawet we dnie pogodne przechodziłem się po dziedzińcu – dnia jednego po południu, kiedy wszyscy z całym domem i kilkoma gośćmi zasiedliśmy w ganku i odzuwaliśmy tylko po kilka razy już wymłócone opowiadania i przypomnienia, nowy gość nam zajechał w dziedziniec. Wjeżdżającego dopiero w bramę uznaliśmy jednogłośnie za kogoś obcego i ze stron dalszych przybywającego, bo jeszcze przed bramą przystawał i fernalów jadących w pole o coś rozpytywał, a kiedy przed ganek zajechał, sprawdziło się nasze domniemywanie jasno i dowodnie, bo to był szwagier mój, Michałowski.

Skoczyłem tedy do niego, witając serdecznie, a on mnie aż ze łzami. Prezentowałem go potem dziadkowi, Zosi i gościom, jakoż wszyscy okazali mu cześć należną i życzliwość, jedni dla mnie, drudzy dla niego samego, bo przy wcale jeszcze młodym wieku dziwnie wielka powaga była w tym mężu i taka jakaś umiejętność niewolenia ludzi dla siebie, że niektórych

jednym wejrzeniem, innych kilkoma obojętnymi słowy czynił sobie przyjaciółmi na wieki. Jedna tylko stolnikowa, kiedy go zaraz zaprowadził do jej pokoju, nie wiem dlaczego, witała go obojętnie i zimno, a nawet zdawało mi się, że podczas prezentacji taki się wyraz wymalował na jej twarzy, jak gdyby zgoła niechętna była jego przybyciu. Jakoż potwierdziło to się niebawem, bo kiedyśmy u niej usiedli, aby kilka słów z nią wymienić, rzekła ona do niego:

– Wielka przyjaźń musi wiązać waszmość z panem Nieczują, kiedy aż o tyle mil przybyłeś, ażeby go nawidzić.

Michałowski dał jej zaraz delikatnie do poznania niedorzeczność takiej uwagi, mówiąc z wolna a wyraźnie:

– Jestem rodzonym szwagrem pana Marcina. Po tej odpowiedzi i kilku innych jeszcze cał obojętnych słowach zrobiło się jeszcze gorzej, bo pani stolnikowa spytała go:

– Waszmość pan jechałeś tu na Warszawę i Grodno?

– Tak jest, pani dobrodziejko – odpowiedział Michałowski, a ona na to:

– A nie słyszałeś pan co na drodze o j mc panu Lgockim, który się tutaj do nas puścił z Mazurów i do dziś dnia go nie masz?

– Ja całkiem nie znam pana Lgockiego – odpowiedział mój szwagier, znacząco spojierając na mnie – i nic o nim nie słyszałem.

A mnie aż się oddech zaparł na takie zapytanie; jawno mi bowiem już było, że nie posiadam łaski u matki Zosinej. Gorzej nawet, bo czyż to dobre i czułe serce być mogło, które nie знаło się do wdzięczności za tyle moich poświęceń? I smutno mnie się zrobiło w onej chwili, byłbym płakał z żalu. Jakoż poznał to zaraz Michałowski, co się działo we mnie, i urwał natychmiast rozmowę, a ekskuzując się tym, że ma ze mną o wielu ważnych rzeczach do pomówienia, powstał i wyprowadził się ze mną do izby osobnej, na drugą stronę. Tam wszedłszy, rzekł zaraz do mnie:

– Cóż to jest za kobieta? jak mnie Bóg miły, ja tego nic a nic nie rozumiem.

– Panie bracie – rzekłem ja na to – o tym będziemy rozmawiać później i zapewne szeroko i długo; ale teraz musisz mnie opowiedzieć, co się tam ze mną dzieje w Tarnowie i w Bóbrce, bo już ginę z niecierpliwości. Po twojej minie uważam, że coś nie bardzo dobrze.

– I owszem – rzekł on stanowczo – jak po nieszczęściu, to bardzo dobrze. Proces twój całkiem załatwiony; możesz choćby i dziś wracać do domu.

– Jakże to? jakim sposobem? któż głównie pomógł?

– Pan Bóg pomógł, jak zawsze – odpowiedział Michałowski. – Słuchajże, to ci powiem. Przyjechawszy do Tarnowa, zaraz odszukałem Konopkę i Stojowskiego, od nich bowiem chciałem się najpierw dowiedzieć, azali twojej ucieczki z kałauzu nie ma jakich złych skutków, ale prócz tych, którzy tę rzecz podejmowali, nikt nawet właściwie nie wie, co to i jak to było. Dostyc, że co się tyczy tego aktu, władza tarnowska sama nie wie, co ma rozumieć i kogo o to oskarżać, i dlatego nic poczynać nie może.

– Tak to się stało! – zawołałem uradowany – niechże Panu Bogu będzie chwała za to na wieki; bo, przyznam się, że mnie to daleko więcej niepokoiło niż obawa o siebie samego. Kiedy człowiek wpadnie w jakie nieszczęście i przyjdzie mu cierpieć czy to z przypadku, czy z własnej przyczyny, to mniejsza o to! póki sam cierpi, wszystko się jakoś przeniesie; ale chcący czy niechcący wtrącić drugich w nieszczęście i widzieć lub wiedzieć o tym, że gdyby nie ja, to oni byliby spokojni i szczęśliwi, i nienaruszeni, to by było bardzo boleśnie. Chwałaż Bogu jeszcze raz, że się tak stało, ale powiadajże dalej.

– Otóż, uspokoiwszy się z ust Konopki i Stojowskiego o to, co nie tylko ważnym było w sobie, ale stanowczy wpływ wywierać mogło na twoją sprawę, długo rozpatrywałem i ich, i inną szlachtę tamtejszą, która wszystka dobrze ci życzy, jak stoi twój proces i co by w nim z twojej strony uczynić można. Ale to wszystko było daremne, nikt nic nie wiedział, nikt też żadnej rady dać nie umiał. Tedy wypytywaliśmy oficerów tamtejszej załogi, co oni rozumieją

o tej rzeczy. Oni zaś powiadali, że po twojej ucieczce już wszystko przepadło, a nawet, że z tego kontenci są twoi sędziowie, bo podobno się pośpieszyli cokolwiek i bez wyższego rozkazu rozpoczęli śledztwo z tobą; jakoż jeszcze przed twoją ucieczką mieli być w kłopotcie z przyczyny niepotrzebnej swej gorliwości... Nie zdało mi się to podobnym do prawdy i bądź co bądź postanowiłem sam pójść do prefekta i plackomendanta. Ale tymczasem nawinął mi się ów baron Holmfels, o którym mi powiadałeś, że cię nawidzał w więzieniu, a który, mówiąc nawiasem, co drugi dzień prawie bywa w Strzegocicach i formalnie konkuruje o pannę Zuzannę...

– Jak to? a Konopka?

– O! Konopka już dawno zrezygnował!... ale słuchajże dalej. Więc ów Holmfels, człek światowy i grzeczny, a tobie bardzo życzliwy, pogadawszy ze mną jaką godzinę, także mnie doradził, żebym sam szedł do prefekta. Więc poszedłem. Prefekt przyjął mnie uprzejmie, prosił siedzieć, nagadał mi dużo ładnych rzeczy, ale co się tyczy ciebie, powiedział mi te słowa: – Kiedy pan Nieczuja zemknał, to dobrze dla niego, ale na żaden sposób nie może być koniec na tym, bo my go musimy poszukać sądownie, a kiedy go dostaniemy, to proces pójdzie swoją drogą. Miło by mnie było, gdybym mógł panu o tej sprawie inną dać wiadomość, ale na nieszczęście, nic ja tu sam nie decyduję, tylko litera prawa. – Pytałem go tedy, ażaliby nie dobrze było, gdybym się udał o łaskę do tronu? odpowiedział, że łaska od tronu nie może nastąpić pierwej, póki nie będzie osądzony i kara nie będzie oznaczona, bo tak cóż ma darować cesarzowa-królowa? Poszedłem potem do plackomendanta, a ten mi to samo powiedział, tylko na końcu dodał: – Ot! niech pan Nieczuja wróci do siebie na wieś i cicho siedzi, kto go tam będzie niepokoił? – Kiedym to powiedział Holmfelsowi, rzekł tenże: – Wszystko to być może, jednak ja nie radzę powracać. Co się zaś tyczy łaski, to fałsz jest, co mówi prefekt. Prawda, że cesarzowa-królowa nie może przebaczyć, nie wiedząc, co ma przebaczyć; ale może wydać rozkaz do urzędu, ażeby rzecz ta była puszczoną w zapomnienie. Tu już coś przyszło z Wiednia względem tej sprawy; dzisiaj mi o tym powiadano, ale nie mogłem się jeszcze dowiedzieć, co właściwie. Słuchaj, waszmość: jedź teraz do Bóbrki i opatrz tam gospodarstwo pana Marcina; ja tu tymczasem się dowiem o wszystkich szczegółach tego procesu, a kiedy wrócisz, podamy prośbę do tronu, a ja wskażę drogę do skutecznych instancyj. A choćby ci przyszło i samemu pojechać do Wiednia, to i to niewielka już rzecz. Już my to jakoś zrobimy. – Tedy usłuchałem Holmfelsa i pojechałem do Bóbrki, a kiedym powrócił, cała rzecz już była gotowa. Baron dał mi odpis wiedeńskiego rozkazu, w którym wyraźnie stoi, żeby rzecz ta była puszczone w niepamięć – i oto go masz.

To mówiąc, Michałowski dobył papier z zanadza i oddał mnie w ręce. Rozwinąłem go prędko, aby przeczytać, ale powstrzymałem się jeszcze prędzej, dekret ten bowiem był po niemiecku napisany. Tedy i bez czytania dokumentu rzuciłem się jemu w ramiona, dziękując serdecznie za tyle trudów, które poniósł dla mojej sprawy. On atoli, oddawszy mnie moje uściśnienia po bratersku, rzekł zaraz:

– Dał nam Pan Bóg wybrnąć z jednego nieszczęścia, niechże jego imię święte będzie pochwalone na wieki! Ale zamiast zbyt unosić się radością, podobno lepiej będzie zawczasu pomyśleć, jak by przebrnąć przez drugie?

– Cóż to jest? – rzekłem przerażony – jakież to nam drugie zagraża nieszczęście?

– Powiedziałem tobie jeszcze u siebie w domu – rzekł na to Krzysztof – że konkur taki, jaki ty rozpocząłeś i teraz kontynuujesz, należy uważać za małe nieszczęście. Teraz, oglądawszy tych ludzi z bliska, a nadto nasłuchawszy się na noclegu dosyć powieści o pani Strzegockiej, nie tylko nie zmieniam mojej dawniejszej opinii, ale może bym jeszcze do niej co dodać potrafił. Wprawdzie ja sąd mój o niej wydaję tylko ze słów kilkunastu z nią wymienionych, ale żebym jeszcze i tysiąc najśłodszych o niej usłyszał, to gorycz pierwszych zawsze podobno czuć będę. Zosi twojej nie znam; na oko zdaje się to być ciche i potulne dziecko i pewno tak jest w istocie, chociaż to po niedobrych rodzicach zwykle niedobre

bywają dzieci. Ale, bądź jak bądź, rzeczy tej tak na wieki zostawić nie można; dałeś dowody dostateczne, żeś im jest przyjacielem i że gotów jesteś życie poświęcić dla Zosi; ozdrowiałeś zupełnie; coż myślisz dalej?

To zagadnienie Michałowskiego niemały klin mi zabiło w głowę, mogę nawet powiedzieć, że wstrzęsło mną całym tak gwałtownie, jak gdyby mi w myślach spokojnych zagrożonemu nagle kto z pistoletu wystrzelił za uchem. Są bowiem chwile w życiu ludzkim, których, lubo nie dają ani wielkich rozkoszy, ani szczęścia stałego, przerwanie lub strata sprawia jednak ból i zgryzotę. Chwile takie unoszą ze sobą zwyczajnie godziny, dni i tygodnie bez żadnej korzyści, bez żadnej czynności, bo człowiek, nie chcąc sobie przypominać przeszłości, a bojąc się myśleć o niewiadomej i może daleko boleśniejszej jeszcze przyszłości, o niczym nie myśli i nic nie czyni, czas swój umyślnie rozkrawując na jak najdrobniejsze cząsteczki i starając się żyć każdą sekundą terażniejszości, ale właśnie dlatego są one ludzkiemu sercu tak drogie, a obawa o ich utratę o wiele przenosi jeszcze obawę istotnego i stanowczego nieszczęścia. Nie przeczę tego, że w podobnym położeniu może mogą się znajdować tylko charaktery słabsze i mało mające determinacji, ale przeto nie zaprę się tego, że i ja natenczas w takim znajdowałem się położeniu. O przeszłości mojej, miłości i konkurencji niechętnie i z przymusem tylko myślałem, przyszłości mojej także nierad przywoływałem przed umysł, bo była niepewną, a choćby i najszcześniejszą, to zawsze jeszcze nie taką, jak ją sobie niegdy wyobrażałem; w terażniejszości zaś żyłem mile i rozkosznie, bo podzieliwszy sobie czas między swobodne ze słusznymi sąsiadami gawędki i milionowe, jak samo niebo czyste, miłości Zosinej dowody, miałem jeszcze nad sobą Boga, do którego śmiało zwracać mogłem moje modły, a w sobie sumienie niczym nie skażone i tak spokojne, jak powierzchnia wodnej głębin, kiedy nią żaden wiatr nie porusza. Taką terażniejszość rad bym był przedłużyć na wieczność i wcale nie myślałem, co mam dalej poczynać, a kiedy widział, że pani stolnikowa zaczyna jawnie występować z jakąś niechęcią ku mnie, to nawet obawiałem się każdego przypomnienia tego, że nim się przyszłość moja udecyduje, będę musiał los mój pod jej wolę z pokorą poddać; więc kiedy mnie Michałowski powiedział, że tak dłużej już zostać nie mogę i spytał, co myślę dalej? to mnie dreszcz przeszła od stóp aż do czupryny, wstrząsnęłam się, ale nic nie odpowiedziałem. On zaś, przeszedłszy się parę razy po izbie, mówił dalej:

– Hm! ty milczysz i ani myślisz mi odpowiedzieć na moje pytanie. Ja się temu nie dziwię i zdaje mi się, że cię rozumiem zupełnie. Położenie twoje, lubo dziś jest szczęśliwe, bo posiadasz wzajemność Zosi, która jest szczęściem dla ciebie, jednak nie jest godne zazdrości. Człowiek głupi, byłby najszcześniejszy na twoim miejscu, ale ty masz rozum i widzisz aż nadto jasno, że dobra fantazja i poczciwość twoja, z którymi się wybrałeś i przez połowę już przeszedłeś tę drogę, powinny cię były zawieść całkiem gdzie indziej, niż cię zawiodły. Pomijam już wcale twoje utarczki z tym diabelskim człowiekiem, które, jeżeli Bóg łaskaw na ciebie, całkiem już się skończyły; pomijam różne przykre i fatalne terminy, przez które brnąć musiałeś w tej drodze; pomijam to na koniec, że cię los zagnał do takiej rodziny, nad którą zdają się wisieć jakieś same nieszczęścia i niezwykłości; pomijam to wszystko, chociaż wiem, że cię to mało dojmuje i Bóg nie wie czego nie dałbyś za to, gdyby być mogło inaczej; jednakże tego pominąć nie mogę, że stolnikowa sama jest po prostu dla ciebie trucizną. Ja i to wiem dobrze, że ty, jeżeli dzisiaj na twojej drodze nie postępujesz dalej, czynisz to dlatego, żeś już utracił zupełnie ufność i cześć, i szacunek dla pani Strzegockiej i podczas kiedy z wielką przykrością tylko otwierałbyś po raz drugi przed nią twe serce, obawiasz się jeszcze daleko większej przykrości, bo odpowiedzi odmownej, a przeto niemałego na teraz dla ciebie nieszczęścia. Ale, mój Marcinie! bądź jak bądź jest, tak dłużej pozostać nie może. Kto chce być mężem takim, jakimi bywali ojcowie nasi, nie dość dla niego, jeżeli jest trwały w przedsięwzięciu, ale musi mieć także odwagę zawodom i cierpieniom serca zaglądnąć w oczy i znieść je mężnie, kiedy tego potrzeba; zaskorupianie się w terażniejszości przed niepewną

przyszłością, to przymiot niewieściuchów i niedołęgów. Tymi słowami nie chcę bynajmniej tobie przymawiać, bo znam cię innym, ale dążę do tego i niewzruszenie stać będę na tym, ażebyś zaraz się decydował i powtórną deklarację uczynił. To jest, coś powinien, co musisz zrobić najdalej do dni kilku. Nie taję tego przed tobą, iż twoja Zosia podobała mi się dosyć z wejrzenia; przypomina ona Jadwisię w owej chwili, kiedyś się starał o nią, przechodząc także niemałe duszy i serca tortury, i mam w Bogu nadzieję, iż pożycie z nią nagrodziłoby ci dostatecznie wczorajsze i dzisiejsze frasunki, ale i tego nie taję, iż tak rozumiem, że jesteśmy w wigilii drugiej dla ciebie rekuzy. Wszakże tak czy owak koniec raz zrobić potrzeba.

– Kochany bracie – rzekłem ja na to po chwili – nie będę z tobą sporu poczyniał o to, czy we wszystkim tym, coś dopiero powiedział, masz prawdę czy nie masz; krótko ci powiem, że niektóre rzeczy sądzisz sprawiedliwie, niektóre zaś widzisz całkiem opacznie, ale o to nie mogę cię nie zapytać, dlaczego właściwie tak naglisz z tym oświadczeniem? czy mnie tam co gore w Bóbrce? czy mnie wypędzają stąd z domu? czy na mnie krzywo spoglądają Litwini? czy na koniec psuję tym sprawę moją, że się pieszcę szczęśliwymi momentami spokoju, których wyczekiwałem tak długo? doprawdy, że nie rozumiem.

– Dlaczego tak nagle z oświadczeniem, to jest rzecz bardzo prosta – rzekł Michałowski. – Nie lubię wszelkiego kunktatorstwa²²⁸ i to jest pierwsza. Po wtóre w Bóbrce gore, i bardzo gore, bo jak tu jeszcze do zimy posiedzisz, to cię tam rozniosą do szcztu; po trzecie, że cię nie wypędzą stąd z domu, to prawda, ale lada chwila cokolwiek bądź napędzić cię może; po czwarte, czy krzywo na ciebie poglądają Litwini, o tym milczę, ale miałbym wiele powiedzieć, bo przecie jadę Litwą mil kilkanaście i nasłuchałem się niemało o Piotrowiczach i Strzegockich; a na koniec, czy co psujesz czy nie tym twoim zwlekaniem, to ci powiem, że właściwie nie psujesz, ale podajesz czas i sposobność przypadkom, które wszystko są w stanie zepsuć na tym świecie. Zresztą, jestem tego zdania, że powtórną od stolnikowej dostaniesz rekuzę i że ani dziadek, ani sąsiedzi za tobą nie staną, a choć staną, to uporu kobiety nie złamią, a w takim zaś razie ja bym chciał być przy tobie i dlatego do deklaracji cię ciągnę.

– Kochany Krzysztofie – odezwę się na to – wpadasz w ferwor, a wcale niepotrzebnie; dwa razy niepotrzebnie; raz dlatego, że czy teraz, czy potem, ja zawsze deklarację uczynię na koniec, a po wtóre, że rekuzy już nie dostanę. Pani stolnikowa może być, że w tym momencie ma jakąś niechęć do mnie, ale to nie jest upór, tylko kaprys kobiecy, i to chwilowy, za parę dni już ani śladu zeń nie zostanie. Bo nie wdając się zresztą w żadne wnioski szczegółowe, to tylko racz sam rozstrzygnąć, czy podobna jest, aby ktoś, który swój spokój, fortunę i życie bez wahania się na szwank narażał...

– Ależ zmiłuj się! – przerwie mi Krzysztof – czyż to jest godny rozumnego człowieka argument? czy godzi się tam sądzić z samego podobieństwa, gdzie są pewne *data* i fakta?... – I tak dalej perswadował mi Krzysztof, zawsze ^zmierzając do tego, iżbym już dłużej tak nie siedział, jak ptak na gałęzi, tylko abym się decydował, deklarował i los mój rozstrzygnął. Dlaczego on tak naglił na mnie natenczas, do dziś dnia mi jest nie wiadomo, bo konkurencja moją i wszelkie z domem Strzegockich stosunki była to materia, której i potem prawie nigdyśmy nie tykali; wtedy atoli zdawało mi się, że Michałowskiemu tak od razu nie podobał się dom ten, że nawet byłby wolał, aby mnie jeszcze raz odmówiono i abym przecierpiał takie nieszczęście, niż abym się wiecznym węzłem wiązał z taką rodziną. Ja zaś, lubo może także już teraz niejednym szczegół taki dojrzałem, na który oczy musiałem zamykać, jednakże tak statecznym przywiązaniem przyłgnałem do Zosi, że gdyby i dziesięcioro tyle złego było mi się zjawiało w tym związku, ile go było w istocie, to byłbym się już z drogi mojej nie cofnął. Cofać się nie kazał mi i Michałowski, o to tylko chodziło pomiędzy nami, że on chciał, abym deklarację uczynił zaraz, ja zaś, wlaższy już raz na drogę kunktatorską, a do tego nie będąc

²²⁸ kunktatorstwo (łac.) – zwlekanie, ociąganie się.

pewnym w rzeczy, jak sobie pocznie w tym razie matka, całe jeszcze nie miałem ochoty do tego. Spieraliśmy się tedy o to długo i szeroko, ale na koniec, chcąc nie chcąc, ja ustąpić musiałem i przyzwoliłem na zrobienie oświadczenia najdalej do dni kilku, a już z ^chęcią ofiarowanie się Krzysztofa, iż on będzie mi w tym pośredniczył.

Dnie następne mijały nam, jak zwyczajnie, na gawędce, na opowiadaniach dziadkowych i Gintowtowych.

Jednakże materia ta, która nie dlatego, że się w niej mógł popisywać, ale że się przy niej wiele mógł dowiedzieć o Litwie, bardzo była zajęła Michałowskiego, wkrótce się wyczerpała, a orator polityczny, zeszedłszy z trybuny, zaczął mnie znowu męczyć swoją deklaracją. Wszakże pomimo uporczywych nalegań jego udało mi się tę stanowczą chwilę, która im więcej się do niej zbliżałem, tym mi się wydawała straszniejszą, odwlekać jeszcze przez dni kilka. A kiedy ja tak odwlekam i jakby dziecko nierozumnie cieszę się z tego, że mi mój opiekun rad nierad folgować musi, Michałowski aż sypiać nie może po nocach od samej niecierpliwości, jednakże stara się to ukryć przede mną i pomimo to, to dziadka pozyskuje dla siebie i dla mnie, to panią Strzegocką obserwuje z bliska i przy każdej sposobności wybadywa ją w jej opiniach o mnie, o Lgockim, o Zuzi i o wszystkich sprawach domowych. Śród tego czasu atoli nagle staje się dziwna odmiana. Dnia jednego Michałowski, zapytany przeze mnie o jakiś szczegół w sprawie tej deklaracji, nic mi nie odpowiada; drugiego dnia w rozmowie ze mną widocznie tego przedmiotu unika, a trzeciego dnia w wieczór, kiedyśmy się sami znaleźli w izbie, która była naszą wspólną sypialnią, rzecze do mnie te słowa:

– Wiesz co, kochany bracie, dawno już nie byłem w tym położeniu, co dzisiaj.

– Jakież to położenie? – zapytałem ciekawie.

– Muszę renegować moją własną opinię.

– Jeszcze przez to nic nie wiem. – A on na to:

– Niedawno nagliłem na ciebie wszelkimi siłami, ażebyś się deklarował bezzwłocznie, a teraz...

– Cóż teraz?

– Teraz nie tylko nie naglę, ale po rozpatrzeniu się dokładniejszym w tych rzeczach, sam jestem tego zdania, ażeby się jeszcze powstrzymać.

– Czemuż to? – zapytałem przerażony tą zmianą jego zdania,

– Widzę jawnie, że dostaniesz rekuzę. Mówiłem wiele ze stolnikową i myślałem zrazu, że to jest jakaś dziwna kobieta, ale teraz poznałem dowodnie, że nie masz w niej nic dziwnego. Kobieta to jak wszystkie inne na świecie, tylko upór w niej wielki i nieprzełamany. Ale to właśnie najgorzej dla ciebie.

– Więc cóż? mówże jasno, co jest?

– Cóż jest, któż to wiedzieć może, kto opowiedzieć dokładnie? ale że cię nienawidzi, to więcej jak pewna.

– Nienawidzi mnie! – za cóż to, mój Boże!

– Za co? – rzekł Michałowski – za Murdeliona... nie ma o czym mówić. Ona go jeszcze kocha!

– A mnie nienawidzi! – odpowiedziałem ja w pół do siebie i na, tym się nasza rozmowa skończyła.

Skutkiem tej rozmowy było oczywiście to, żeśmy już obadwa z Michałowskim nie tykali tego przedmiotu. Co było dalej czynić, jak się kierować, jakim sposobem pozyskać choćby tylko obojętność pani Strzegockiej, na to już ani Michałowski nie umiał dać rady. Nie wybierał on się wprawdzie do domu, bo mu żal było mnie samego zostawiać; ale też i siedzenie jego odtąd już niewielką rokowało mi pomoc, kiedy już i jego umysł wpadł w pewną niemoc i nie umiał nic nowego wymyśleć. I tak siedzieliśmy znowu dalej, pędząc dni na coraz obojętniejszych gawędkach i dłuższych ziewaniach. Zosia tylko jedna dziwnie zaczęła się mienić, smutniała coraz bardziej widocznie, nieraz długo patrzyła mi w oczy, jak

gdyby chciała odgadnąć, co się dzieje w mej duszy, nieraz z łzami błędzącymi w jej oczach umyślnie mojej unikała rozmowy. Ja wiedziałem, co to ma znaczyć: ona nie umiała pojąć, dlaczego ja, kiedy czas i okoliczności po temu, nie kończę już moich tak długo i tak boleśnie się odwołujących zamiarów i myślała może, że już ostygam dla niej, że się przeniewierzył moim tylokrotnym przysięgom, że czekam tylko sposobności, aby zerwać to wszystko i uciec haniebnie; ja to wiedziałem wszystko i wszelkimi sposobami starałem się ją przekonać, że się w niczym nie zmienił i że zgoła ten sam jest, którym był od początku, ale wypowiadać się z wszystkiego, co się działo w mej duszy, nie mogłem mieć i nie miałem odwagi.

Ale podczas gdy rzecz ta tak się dziwnie odwleka, a my, zamiast z czasem zbliżać się do jej końca, przynajmniej wedle rozumienia naszego, ciągle się od niej oddalamy, dziwne zachodzą zdarzenia.

Więc najpierw dnia jednego przychodzi wiadomość, że przed kilkoma dniami całkiem nagle i niespodziewanie pojawił się nieznajomy pan jakiś w Strzegocicach u państwa Strzemeskich, u których pozostawiona była starsza siostra Zosina; że pan ten powiadał się ojcem rodzonym Zuzi, że miał z nią długą w osobnej izbie rozmowę i że zaraz potem wyjechał. Powiadano dalej, że ten pan w kilka dni potem z jakimś Niemcem przyjechał, Niemca tego Zuzi deklarował, że go Zuzia przyjęła, pierścionek z nim zamieniła, a na drugi dzień, że się odbył ślub państwa młodych w źwiernickim kościele.

Wiadomość ta, którą nam przywiózł szlachcic pewien, wilkomierzanin, powracający od swych krewnych z Mazurów, wielkie, zrobiła zamieszanie w dziadkowym dworze. Wszyscy o niej gadali, i ten, i ów, i dziesiąty, ale każdy się inaczej domyślał i po swojemu wykładał. Dziadek powiadał, że to zgoła nieprawda; pani stolnikowa wtórowała dziadkowi, ale z krwią zimną i obojętną. Gintowt i inni szeptali z cicha, że to Murdelio diabła przywiózł ze sobą i z córką go swoją ożenił; ale ja rzecz tę rozumiałem inaczej i lubo nic nie mówiłem, jednak prawdę odgadłem.

Przy zajęciu się wszystkich tą wiadomością nie zapomniano i o tym, iżby się jakoś przecie na pewno dowiedzieć, co tam jest w rzeczy. Ale jak to zwyczajnie w takich razach u szlachty bywało, namyślano się długo i na samym przebieraniu pomiędzy środkami strawiono dni kilka. Ta niezaradność zniecierpliwiła mnie do tego stopnia, że postanowiłem na koniec sam do Żwiernika pojechać i przywieźć prawdziwą relację – i zakomunikowałem tę myśl Krzysztofowi. Krzysztof, który po tej wiadomości o wiele jeszcze skwaśniał i stetryczał, pochwalił mi ją i doradził, iżbym to zrobił, kazał mi tylko pogadać pierwej o tym z panią Strzegocką i niby to aż skutek jej prośby o to tam jechać. Zgodziłem się na to i poszedłem zaraz do jej pokoju. A szedłem z miną dobrą i tak pewny tego, że z wdzięcznością przyjęta zostanie moja ofiara i że choć raz trafię w przekonanie tej nienawistnej mnie damy, że mi się aż serce rozradowało. Wchodząc tedy i zastawszy ją, jak zwyczajnie, haftującą coś w krosnach, mówię zaraz:

– Cóż tedy państwo uradziliście względem posłania kogoś do Żwiernika?

Pani stolnikowa na to popatrzyła się na mnie tak dziwnym wzrokiem, jak gdyby mnie strofować chciała za moją śmiałość i odrzekła:

– Niceśmy nie uradzili, bo nic nie potrzeba.

– Jak to nic nie potrzeba? – odpowiedziałem z równym zdziwieniem – ja bym sądził, że tej rzeczy tak pozostawić nie można.

– Ale to wszystko nieprawda – rzekła pani Strzegocką – wszakżeż już tyle lat, jak ojciec Zuzin umarł; czyż to z grobów powstają umarli? doprawdy, że nie wiem, co wam wszystkim jest, że wierzycie tym baśniom.

– My nie wierzymy temu – rzekłem na to – żeby pan stolnik nieboszczyk sam istotnie się jawił w Strzegocicach; ale mógł się tam zjawić awanturnik jaki, których teraz niemało, i ten mógł czy to dla zysku, czy w innych celach jakich podobnego oszustwa się dopuścić.

– Ale gdzież tam! ręczę, że nie ma nic na tym.

– Ja bym przecież sądził, że należałoby się przekonać o tym, bo to w każdej plotce bywa zwyczajnie pół prawdy. – A ona na to:

– Już ja się nie zgadzam na takie zdanie. Znam plotki, w których ani jednego słowa prawdy nie ma.

– Jakkolwiek bądź jest, jeżeliby moja chęć dobra odrzuconą nie była, to ja bym chętnie sam pojechał.

– A... jeżeli waszmość jedziesz – odpowiedziała na to z flegmą pani Strzegocką – i zechcesz po drodze wstąpić do Żwiernika, to i owszem, prosimy, abyś nam stamtąd napisał.

Po takiej odpowiedzi każdy się łatwo domyśli, jakie uczucie mną zawładnęło. Smutny i tak zbity z tropu, jakby mnie kto połał ukropem, wyszedłem z pani stolnikowej pokoju.

O miłości! ileż to i najdrażliwsze serce znieść nie potrafi dla ciebie!

Michałowskiemu nie potrzebowałem powiadać, jaki obrót wzięła ta moja rozmowa, bo ten tylko spojrział mi w twarz i zaraz poznał, co było. Jakoż wziął mnie za rękę i rzekł tylko te słowa:

– Kochany bracie, żal mnie ciebie od serca! Kiedyśmy się spać kładli, Michałowski mi mówił:

– Smutno mi to bardzo, że te twoje sprawy tak nieszczęśliwy obrót biorą; Bóg mi świadkiem, że gotów jestem połowę mojego szczęścia odstąpić, aby ci twoje zapewnić; ale cóż ja pomogę? Nic nie wysiedzę, nic nie wygadam i snadź już tylko jeden czas albo jaka szczęśliwa okoliczność może rzecz tę pomyślnie zakończyć, a to już trzeci tydzień mija, jak ja tu wysiaduję.

Widziałem ja, do czego zmierzała ta mowa, i wiedziałem, że ma słuszność pan Krzysztof, bo zostawił gospodarstwo, dom, żonę i dzieci o sto mil od siebie; rzekłem tedy:

– Kochany Krzysztofie, jedź ty, jedź z Panem Bogiem; ty mi tu nic nie pomożesz, a tam w domu kto wie co się dzieje? Dziękuję ci za tyle trudów, które poniosłeś dla mnie w Tarnowie i Bóbrce, a kiedy bym widział, żeś mi tu potrzebny, to ja nie będę się wahał napisać do ciebie.

– Pojadę – rzekł Michałowski – muszę pojechać; jutro się wybiorę.

Tymczasem dnia drugiego ledwie co Michałowski wyjechał, zaraz z południa zajeżdża przed ganek bryka końmi zaprzężona, niemiłosiernie wypakowana, a w niej Kąkolnicki, ów znajomy nam wuj mego współzawodnika, starościca Lgockiego. Przyjazd jego o sto mil i w takich okolicznościach niemile mnie przeraził, a kiedy do tego jeszcze pani stolnikowa gościa tego przyjęła z niezwykłą grzecznością i uprzejmością, tom już był tak znudzony i tak mnie chęć do wszystkiego, a nawet do życia odpadła, że mi nawet rozmowa z Zosią tylko jakiś żal i boleść sprawiała.

Do wieczora atoli postać rzeczy się całkiem zmieniła. Kąkolnicki nie przyjechał ani promować konkurencję Lgockiego, ani go deklarować, ale przyjechał go szukać; staroście bowiem, jak wyjechał w dni kilka po moim uwięzieniu na Litwę, tak i przepadł jak kamień w wodzie. Krewni jego zrazu byli spokojni i wyczekiwali wiadomości od niego, ale gdy ta nie nadchodziła, a miast niej poczęły roznosić się różne wieści: to, że zajechał aż gdzieś w Żuławy i tam jako konfederat pojmany i do pruskich fortec odstawiony; to, że od rozbójników w Górach Świętokrzyskich zabity; to, że przy napadzie na zamek Murdelionów usieczony – krewni jego się zaniepokoiłi do ostatka i pana Kąkolnickiego za nim wysłali. Wiadomość ta niedobłą była dla pana Lgockiego i jego krewnych, ale dla mnie nie zawierała nic złego, powiem nawet prawdę, że mnie w dobry humor wprowadziła. Niedobrze to jest cieszyć się z cudzej szkody, ale trudnoż naturę ludzką odmienić. Gniewało mnie to cokolwiek, że pani Strzegocka więcej rada była panu Kąkolnickiemu niż każdemu innemu, że się do znudzenia dopytywała o Lgockiego i wszystkie o nim krążące wieści; ale koniec końców wolałem to, niż gdyby sam staroście przyjechał. Ale nie dosyć na tym. Pan Kąkolnicki potwierdził także wiadomość o Zuzi, którą każdemu komunikował z osobna. I pokazało się, że nie kto inny, tylko Murdelio, świeckiego pana postać na siebie przybrawszy, przyjechał był do Strzegocic,

powiedział się ojcem Zuzi i zyskał u niej wiarę całkowitą. Przywiózł potem ze sobą barona Holmfelsa, ożenił go z nią i uczynił im zapis znaczny na swoim majątku. Państwo młodzi po ślubie zamieszkali w Tarnowie, Murdelio zaś po raz setny zniknął bez wieści, dając znowu powód do najróżniejszych o sobie pogłosek.

Potwierdzenie się tego wypadku, jakie uczyniło wrażenie na wszystkich, nie będę już opowiadał obszernie, a nadmieniwszy to jeszcze, że we dwa dni potem w samej rzeczy list przyszedł od Zuzi, przepraszający matkę, że dla nagłości nie miała czasu naprzód prosić o błogosławieństwo, dodam tylko, iż to wszystko znowu mnie dobrze usposobiło, i to tak dobrze, że postanowiłem bezzwłocznie przystąpić do deklaracji.

Jakoż zaraz dnia następnego po wyjeździe pana Kąkolnickiego z dziadkowego dworu, wypatrzywszy chwilę, w której pani stolnikowa sama się znajdowała w apartamentach, wszedłem do niej i począłem w ten sens:

– Niechaj to waszmość pani całe nie będzie dziwno, że na tej drodze, na której mi się raz powinęła noga, po raz drugi jeszcze swego szczęścia próbować przychodzę. I nie tylko nie ma mi to być policzonym za złe, ale owszem, krok ten sam winien dać mi świadectwo, że tylko szczerzy i niczym nie zwyciężony afekt dla panny Zofii jest jego powodem. Ile zaś afekt ten jest statecznym i od wszelkiej rachuby dalekim, mam tę nadzieję, że zaświadczy samo sprawowanie się moje, serdecznym przywiązaniem dla całego domu i wszelkich spraw waszmość dobrodziejstwa tchnące i pomimo wielu przykrości, w niczym do dziś dnia nie odmienione. Nie chępiąc się wcale żadnymi zasługami moimi, mogę mieć jednakże, jak mi się zdaje, śmiałość rachowania na pewne względy, tak u waszmości dobrodziejki, jako i u całego jej domu, a nie będąc w niczym gorszym choćby i od najlepszych obywateli i czując się wcale w przyzwoitej i stosownej do tego pozycji, rzucam się jeszcze raz do nóg waszmości pani i najpokorniej upraszam, iżby mi wolno było stanąć nareszcie u celu najgorętszych mych życzeń i dozgonnym węzłem połączyć się z tą, dla której dawno już ślubowałem całe szczęście mojego życia.

Pani stolnikowa, lubo podczas mowy mojej różnie się mieniła na twarzy, wysłuchiwała mnie jednak cierpliwie, a kiedy skończyłem, odpowiedziała:

– Hm!... wiedziałam naprzód, że się to tak skończy... ale, doprawdy, nie wiem, czy waszmość serca nie masz, czy rozumu na koniec nie masz, że nie wiesz, co być może, a co nie może. Ja waszmości bardzo wdzięczną jestem za to wszystko, co nazywasz poświęceniem się czy przywiązaniem dla domu mego i dla mnie; ja mu tego nie zapomnę do śmierci... pewnie mu nie zapomnę... i wdzięczną będę w każdy podobny sposób... ale tej pretensji, żeby przywiązanie do domu ręką córki wynagradzać... nie! ja tego nie pojmuję.

– Mościa pani! – rzekłem ja na to dosyć porywczo – ja się nie mam za żadnego mędrca nadzwyczajnego, ale nigdy jeszcze nie dostrzegłem tego na sobie, iżbym rzeczy proste pojmował inaczej, jak je pojmuje świat cały. Konkurencja moja, lubo przez niezwykajne przechodzi koleje, jest rzeczą prostą i tak, jak ja ją rozumiem, rozumieją wszyscy; ale postępowania waszmość pani ze mną i sam Salomon, gdyby wstał z grobu, wytłumaczyć by nie potrafił!

– Jeżeli waszmość przyszedłeś po to do mnie, ażebyś mi niegrzeczności gadał, to raczej skończmy rozmowę – rzekła pani Strzegocka i powstawszy z krzesła, chciała wyjść z tego pokoju. Ale ja nie dopuściłem do tego, wołając w głos:

– Pani! tego jest nadto! ja się staram już przeszło pół roku o rękę Zosi, pozyskałem sobie jej wzajemność, dałem niezaprzeczone dowody mojego przywiązania nie tylko dla niej, ale i dla samej pani...

– Dla mnie! – zawołała Zosina matka – któż dał dowody przywiązania? waszmość? jmc pan Gintowt? Jur z Borowiczek? owa szlachta oszmiańska? kto was prosił o takiego przywiązania dowody? Otóż wam powiem, że nie przywiązania dowody, ale zbezczęściliście

mnie, zhańbili wobec całego świata! Nie cierpię was, nienawidzę, nie chcę widzieć na oczy!... – wołała pani stolnikowa, zakrywając chustką splakane oczy. Tedy ja na to łagodnie:

– Nie chcę ja sądzić w tej sprawie, bo na to, jako widzę, trzeba by znać wszystkie ludzkie serca na wylot. Pomimo to jednak trwam statecznie przy mojej prośbie...

– Nie dam córki waszmości! – przerwała mi pani Strzegocka. – Gdybym cię na śmiertelnym łożu konającego widziała z miłości, jeszcze by mnie to nie wzruszyło! – Śród tych słów drzwi się otworzyły i powolnym krokiem wsunął się dziadek do izby, a widząc córkę zapłakaną i wołającą do mnie coś w gniewie, spytał z wolna:

– Cóż to się dzieje?

– Panie! – zawołałam ja na to, składając ręce do niego – ty umiesz czytać w ludzkich sercach, ty dobrze czytałeś w moim! Ty sądz, ty rozstrzygaj!

– O cóż to chodzi? – zapytał pan Wit.

– Deklaruję się po raz wtóry o rękę Zosi i po raz wtóry dostaję rekuzę.

– Rekuzę? – rzekł dziadek – któż śmie dawać rekuzę, kiedy ja już dawno przyrzekłem?

Na te słowa Zosia, która, zapewne swoim wybornym instynktem wiedzona, podsłuchiwała pod oknem lub drzwiami, ze łzami w oczach i drżąc cała nie weszła, lecz wskoczyła do naszej izby, co ujrawszy dziadek, wziął ją zaraz za rękę i oddając mnie ją, rzekł:

– Oto jest twoja żona. Klękniście, niech was pobłogosławię. Myśmy się rzucili na kolana przed dziadkiem, ale w tym momencie także i stolnikowa rzuciła się na kolana, wołając:

– Ojczy! – Ale on do niej:

– Precz! Nie kuś mnie do grzechu śmiertelnego przed grobem. – A do nas:

– Błogosławię was, dzieci moje, i życzę, abyście tyle doznali pociechy w życiu, ile ja smutku i utrapienia.

Na to pani Strzegocka zerwała się z kolan i drąc chustkę we dwoje, a łkając głośno, wyszła do przyległego alkierza; myśmy się milczkiem wysunęli na ganek.

W dzień św. Michała już wszystko było gotowe do mojego ślubu. Konopka, zawezwany sztafetą przeze mnie, natychmiast przyjechał, ażeby wedle danego niegdy słowa służyć mi za drużbę. Po wiadomościach, odebranych od Zosi, spodziewałem się, że mu tym zawezwaniem przykrość wyrządę, ale było wcale przeciwnie; przyszedł on na koniec do tego rozumu, że Zuzia nie była partią dla niego i rad był temu, że się to rozerwało. Dlatego w jego oczach zamiast smutku dojrzałem szczerą wesołość, a na ustach wdzięczność dla mnie, iż mu podałem sposobność przejechania i rozerwania się cokolwiek po dawniejszych trudach i umartwieniach.

Michałowscy, także natychmiast po deklaracji zawiadomieni przeze mnie, lubo się tylko jego samego spodziewałem, przyjechali oboje, za co nie mogłem się dosyć nadziękować ukochanej Jadwisi, która, będąc prawie jeszcze niezdrową, nie wahała się podjąć trudu tak dalekiej podróży, aby być świadkiem mojego szczęścia. Przyjęcie moich braterstwa przez stolnikową, która aż dnia drugiego po ich przybyciu raczyła się im pokazać, było tego rodzaju, że aż się splakała Jadwisia; ale znajomość bliższa, zabrana z anielskiej dobroci Zosią, i świadomość jej przywiązania do mnie prędko te łzy ukoila.

Z gości obcych w dzień ślubu całe niewiele przyjechało. Kobiety ani jednej... tak to silną i wszechwładną była jeszcze natenczas opinia publiczna! Z mężczyzn zaś tylko kilku starych pana Wita przyjaciół, Gintowt, Jur z Borowiczek i kilku młodzieży, których przyjaźń jam sobie przez czas mego pobytu na Litwie pozyskać umiał.

Tak więc o samym południu, podczas gdy koło ubogiej cerkiewki w dziadkowej wiosce sercem przywiązany do swoich panów lud wiejski oczekiwał na ciekawe dlań widowisko, drużki, którymi nikt inny być nie mógł, tylko jedenastoletnia córeczka Jadwisi i panna służebna Zosi, ubierały pannę młodą do ślubu. Zosia, niebożatko, płakała przy tym akcie rzewnymi łzami i miała wiele do płaczu powodów. Pomijam to, że w tym momencie zęgnęła

się z całym wiekiem dziecinnym, przeżyty w niezwichnionym szczęściu u kolan kochającej ją niegdyś matki; że się zegnała z swoimi wszystkimi snami i marzeniami o tęczach i kwiatkach, z domem rodzinnym, z rodziną i owym najukochańszym dziadkiem, którego kochała tak, jak bluszcz wiotki kocha starą zamkową ruinę, przy której wzrósł, rozzielenił się, rozkwitł i giętkimi ją objąwszy ramionami, rad by już umrzeć tak przy niej i grób swój znaleźć u stóp jej... ale to była boleść wielka i wielkich łez godna, że jej wraz z tamtymi stratami przyszło tracić miłość ukochanej swej matki, która od dni kilku już ani słowa do niej nie rzekła, która słowa błogosławieństwa powiedziała tak zimno i obojętnie, że aż dreszcz nas przeszedł od stóp do głowy; która na koniec w sam dzień ślubu dostała spazmów tak uporczywych, że nawet do kościoła z nami pójść nie mogła.

Smutek ten Zosi i mnie się udzielił, udzielił się on i naszym gościom weselnym, a kiedyśmy szli do kościoła, to lubo Gintowt, który nam starostował, wesołością i igraszkami tak sadził, że inną razą byłby cały powiat przy nim w tan poszedł, dziś jednak nic nie skutkowało, a orszak raczej podobien był pogrzebowemu konduktowi niż weselnikom idącym po wieczne szczęście przed ołtarz Pański.

Pomimo to jednak, gdyśmy po tym smutnym obrzędzie dozgonnym węzłem połączeni ze sobą, powracali z kościoła do domu, a lud wiejski, stojący przed świątynią Pańską, rzucał się nam do nóg, wynurzając swoje afekta i życzenia, starsi z gromady powiadali mnie szczerze: – Smutny dzień ślubu, wesołe będzie pożycie.

Ale Bóg nie chciał, aby się sprawdziła ta przepowiednia.

Epilog

Pożycie moje z Zosią, ile było szczęśliwe, nie potrzebuję tego powiadać. Dwór bóbrecki, dotąd albo całkiem pusty i niemy, albo po kawalersku gwarliwy, zamienił się w przybytek stałego szczęścia i ładu. Gospodarstwo do mego autoramentu należące, lubo niemało przez czas mojej konkurencji ucierpiało, dało się jednak wkrótce do dawnego przyprowadzić porządku – gospodarstwo niewieście, jakkolwiek młodą i niedoświadczoną główką Zosi prowadzone, nie mogło nikomu za wzór posłużyć, świadczyło wszakże niepomału o najlepszych chęciach i skrzętności gospodyni. I mieliśmy domek ładny zewnątrz i wewnątrz, i był w nim dostatek dla siebie i dla sług, i łyżka strawy dla postronnych ubogich, a kiedy się gość trafił, co przy łasce i afekcie ukochanych sąsiadów moich nierzadko się nam zdarzało, to każdy znalazł i stół niegłodny, i piwnicę niepróżną, a nade wszystko serce na wciąż otwarte, bośmy tym szczęściem, którym nas Bóg obdarzył, radzi dzielili. się z całym światem. Wśród takich okoliczności, na odwiedzaniu miłych sąsiadów naszych, na przyjmowaniu ich u siebie, na zatrudnieniach gospodarskich i zaopatrywaniu się we wszystko na zimę, minęła nam jesień cała. Przyszła zima, nastąpiły zapustne tańce i swawole. Szlachta sanocka, w złych i dobrych losach zawsze wesołej fantazji, po staremu się weseliła. Od tych wesołości i myśmy nie tylko nie odbiegali, ale owszem, pomagaliśmy z całego serca. Więc bywaliśmy i u wielmożnych Grabowskich w Myczkowcach, który to dom był wielki i otwarty, i u jw. Malickich w Uhercach, i u Krajewskich w Terce, i u Załęskich w Serebnicy, a nawet raz, zaproszeni umyślnie, prezentowaliśmy się na wielkim balu u jw. wojewody wołyńskiego na leskim zamku, gdzie miałem tę serdeczną pociechę, że jako niegdyś siostra moja, Jadwisia,

pięknością urody i zgrabnością ułożenia pozyskała jednogłośnie od całej kompanii pochwały, tak dzisiaj Zosia moja wzbudziła powszechną i wielką adorację dla siebie, a to nawet tak wielką, że aż jednego z pończoszkowych elegantów, który za daleko swą adorację posunął, bykiem w nos poczęstować musiał, aby ją od tych uporczywych komplementów uwolnić. Za byka, lubo był dany milczkiem i wtedy, kiedy elegant do całowania ręki się zginał, musiałem mu stanąć do sprawy, co mi jednak tym większą sprawiło przyjemność.

Za bawienie się w cudzych domach przez zapust należało się nam wywdziękzyć, jakoż ku końcowi i myśmy się ośmielili zaprosić do siebie sto kilkadziesiąt osób i tak nam się to powiodło, że podczas gdy dla długości zapust już jakoś u wszystkich upadała ochota, u nas na nowo się podniecała i zawiązał się kulig, który, objechawszy kilkanaście domów wokoło, na koniec uczynił nam ten zaszczyt niemały, że na ostatki znów do nas zajechał i w naszym domu swoją swawolę zakończył. Stało się tak wprawdzie, że w pierwszy czwartek Wielkiego Postu myśmy oboje z Zosią suszyć musieli, a z owych prowiantów, przysposobionych na całą zimę, ani okruszyna się nie została i piwnica mi tak pękła natenczas, że gdyby był mój ojciec wstał i ona kupę próżnych beczek i antałów obaczył, to byłby był drugi raz umarł; ale jednakże nas to nic nie bolało i owszem, kiedy Bóg dał czym się podzielić, mieliśmy to sobie za łaskę, że nam dał chętnych do podziału.

Jednakże przy wesołościach naszych i szczęściu nie obeszło się i bez frasunków. Nie było to niebo nasze tak czyste, żeby się na nim od czasu do czasu nie pokazywały jakieś chmurki posępne albo czerwone pręgi, niby cienie słońc gasnących albo już zgasłych. I owszem, zawsze na czas przychodziła ta lub owa zgryzota i może ją Pan Bóg na to nam dawał, aby nas jednostajność szczęścia nie nudziła; jednakże zawsze były to smutki, które niepomalu nas dotykały. A pierwszy i nigdy nie ustający powód do nich dała nam Zuzia, która rzeczywiście wyszedłszy za Niemca i schedę swoją tarnowskim palestrantom sprzedawszy, wyniosła się gdzieś za morza. Drugą nieustającą zgryzotą naszą było postępowanie pani Strzegockiej z nami. Kapryśna i uparta kobieta, lubo na koniec ojca wyciągnęła ze sobą z Litwy i znowu zamieszkawszy w Żwierniku, tak nie opodał od nas siedziała, tak mało zajmowała się nami, jak gdybyśmy całe do niej nie należeli. Nienawiść, którą ostatnimi czasy powzięła ku mnie, przelała ona z czasem i na dziecko swoje, i gryzła biedną Zosię miłości matczynej utrata, i gryzły ją złych języków stąd wynikające pogadanki, a chociaż ona przez to w przywiązaniu swoim do matki ani na jeden cień się nie odmieniła, toż jednak brak wzajemności tak jej się dawał uczuć głęboko, że kiedy nam przychodziło jechać tam w odwiedziny, to do owego niegdyś tak lubianego Żwiernika jechała teraz jakby na ścięcie. Do tego wszystkiego jeszcze i ja miałem swe umartwienie. Ukochany i nigdy nie opłakany przyjaciel mój, ów misjonarz św. Wincentego à Paulo, po kilku miesiącach cierpienia Bogu oddał niepokalaną swą duszę.

Cierpiałem więc wiele i ja samotnie, cierpiałem i nad cierpieniami, najdroższej towarzyszki mojej, ale że zawsze wiele sobkostwa jest w tej nędznej skorupie naszej, toż przy dobrym powodzeniu naszym pod innymi względami i przy miłości naszej, która nam złościła wszystkie dni i wieczory, prawie w ciągłym szczęściu minęła zima.

Przyszła wiosna. We wiosnie, kiedy cała ziemia się rozgrzewa i rozzielenia, kiedy spiętrzone z gór wysokich wałą się lody, kiedy woń świeża nowego życia napełnia wszystko, co jest w nas i za nami – i zakrzepłe i urażone serce człowieka weselej się rozzielenia, i frasunki wałą się wraz z lodami, i pierś się nasza jakoś rozszerza i czerstwego nabierając powietrza, wyrzuca z siebie dawnych pogorzeliisk popioły i dawne bóle zapomina – z wiosną też i nasze szczęście jeszcze się odświeżyło i rozzieleniło.

Żona moja, przyzwyczajając się coraz więcej do obowiązków gospodyni, zajęła się gospodarstwem i domem, a że ogród był jej najulubieńszą zabawką, więc zaraz z wiosny cały ogród bóbrecki oddałem pod jej dyspozycję. Zaraz też wskutek wspólnej narady zmieniliśmy cały dawny plan jego, skąd wypłynęło, że cała część od dworu aż do samego Sanu

zamienioną została w wirydarz²²⁹, a w jego końcu wybudowaną została altanka z piękną galerią dokoła. Koło altanki urządziłem niewielką sadzawkę, którą dziwnie pięknymi zaludniłem rybkami, a podczas gdy nieraz tam usiadłszy oboje, ja jej opowiadałem moje dawniejsze bitwy i służby wojenne, ona swoje rybki karmiła, rzucając im chleb z galerii. Koło wirydarza własnymi rękami zasadziliśmy wiele drzewek młodych i wspominaliśmy przy tym, jako kiedyś i te drzewa wyrosną, i my się zestarzejem oboje i otoczeni dorosłych dzieciątek gronem, pod cieniem tych drzew usiądziem i opowiadać im będziem, jako i my kiedyś byliśmy rzeźwi i młodzi.. W wirydarzu zasadziliśmy kwiatów siła, posprowadzanych z Żwiernika i z innych znakomitych ogrodów, a gdy niektóre z nich marły, nie mogąc znieść ostrości górskiego klimatu, ja obiecałem Zosi, że na przyszły rok jej wymuruję cieplarnię, aby i kwiatkom było tak dobrze, jak nam obojgu. I była stąd wielka pociecha. I było wielkie' szczęście w domu naszym. I dopiero wtedy dałem prawdę słowom, powiedzianym mi niegdy przez misjonarza, że tylko miłość taka, którą spoilo błogosławieństwo Boże, jest prawdziwą miłością.

Ale niedługo trwał dla mnie ten raj na ziemi.

I stało się ze mną tak, jako z onym pracowitym rolnikiem, który ciężkim trudem pozbierawszy zniwo bogate z pola, schował je pod dobrze zaopatrzoną strzechę i położywszy się na spoczynek, liczył sobie we śnie, ile ziarn schowa do spichlerza, ile grosza za nie uzbiera, ile dostatku i spokoju, i szczęścia mu stąd przybędzie – a wtem nagle piorun go budzi z łoża: porywa się ze snu, widzi dom cały w płomieniach, a kiedy oczy przetaił, to już li na to, aby nimi na popiołach swoich dostatków zapłakać. Tak się stało i ze mną.

Dnia jednego dano mnie znać, że z Krakowa puszczone dzieciątko w kolebce, aby spłynęło do nas i abyśmy mieli z niego pociechę. Jakoż istotnie dnia tego nad wieczorem przypłynęła kolebka, ale zamiast jednego znaleźliśmy w niej dziełek dwoje. Chłopcy obadwa byli piękniejsze od najpiękniejszych aniołów. Zosia moja, lubo była bardzo słabą natenczas i ustawicznie odchodziła od przytomności, jednak kiedy spozrzała na nie, uśmiechała się śród boleści. I miała jej twarz dziwnie piękny wyraz natenczas, bo na tle ciężkich cierpień i bólów malowała się anielska cierpliwość i spokojny promień wielkiego szczęścia. Przez cały czas ten jam był jak na torturach; pociecha z dzieci i trwoga o Zosię tak się mieszały we mnie, żem i płakał, i śmiał się. Doktor Gondoni, który siedział przy łożu chorej, aż był w obawie o zmysły moje i zapewniał mnie ciągle, że dobrze będzie.

Ale czymże są słowa ludzkie wobec woli Bożej i zaciętości nieszczęścia!

Ledwie się słońce schowało za góry, zapłakał mi jeden synek w kolebce i jakby kwiatek nagle kosą podcięty, zakrzepł na moich rękach. Ból mnie porwał głęboki, zapłakałem w głos! ciało nieżywe złożyłem w sali na stole i drżąc cały i łkając, zapaliłem dwie świece i powróciłem do Zosi.

Zosia w tej chwili zasłabła gorzej. Leżała ona na wznak na łóżku, lzy jej potokami ciekły po twarzy, usta zsiniały cokolwiek i drżały, zdawało się, że się modliła. Nie chcąc jej przeszkadzać, uklęknałem przy łóżku i ręce złożywszy, także modliłem się myślą.

Śród tej ciszy drugie dziecię zakwiliło w kolebce. Przerażony tym płaczem zerwałem się z kolan i pobiegłem ku niemu. Zosia tylko krzyknęła głośno i podniosła się od poduszek, ale w osłabieniu na powrót upadła. Widząc to, zatrzymałem się na pół drogi, a nie wiedziałem, gdziebiegnąć. Ale wtem dziecię zapłakało głośniejsze, przybiegłem do niego, wzięłem je na ręce; płacz trwał jeszcze ze dwa pacierze, a po nich – drugiego trupka trzymałem na rękach. Kiedy ucichł płacz dziecka, Zosia znów się zerwała, znowu krzyknęła, i to tak mocno i przeraźliwie, żem aż ja zdrętwiał od tego krzyku; alem się już nie oglądał na łóżko, tylko wybiegł czym prędzej i brata złożyłem przy bracie, i znowu zapaliłem dwie świece.

²²⁹ wirydarz (łac.) – ogród

Kiedym powrócił, jużem w Zosinym pokoju zastał kilkoro ludzi. Wszyscy płakali i poglądali na mnie z litością i żalem. Włoch siedział na łóżku i trzymał Zosię za rękę. Ale ona już była w konwulsjach. Twarz jej się przeciągnęła, łyzy zastygły na licach, usta zsiniały i drganiem wtórowały drganiom całego ciała. Z przeraźliwym rykiem i obłąkanymi oczyma rzuciłem się znowu na kolana przed łóżem i jęcząc potem, zdrętwiałymi rękami obimałem tę kibić niegdy tak smukłą, a dzisiaj wiotką jak powismo lnu lub konopi. Byłbym duszę moją wyzionał, aby jej zdrowie powrócić. Ale już było po czasie. Drgania ciała i ust coraz słabły, oczy coraz więcej mgłą zachodziły, oddech się zatrzymywał, ustawał, aż nareszcie ustał zupełnie. I tak trzecie ciało zakrzepło na moich rękach.

Co się dalej działo, tego nie umiem powiedzieć. Pomnę tylko, że w onej wielkiej sali, która tyle zawierała naszych familijnych pamiątek, stał wyściełany wysoki katafalk, czarnym sukniem okryty, na którym leżała trumna, a w tej trumnie też sama Zosia w niebieskiej sukni, z zamkniętymi na wieki oczyma, z rękami na krzyż złożonymi na piersiach i z obrazkiem Matki Najświętszej w rękach. Twarz jej była tak piękna, jak zawsze, po śmierci i rumieńce wystąpiły na powrót, i usta dawną odzyskały różowość, i cała postać była tak piękną, jak niegdy: tylko co było w niej najpiękniejszego: dusza – ta uleciała do Boga. Po obydwóch stronach katafalku na stopniach stały dwie trumny z obydwoma aniołkami moimi, które nawet bez chrztu świętego powróciły do swego raju na łono Boga, z którego zstąpiły na ziemię. Na ostatnim stopniu katafalka wybladły, wynędzniały, z oczyma obłąkanymi, z włosami rozczochranymi, z twarzą wykrzywioną od bólu, nie cień, nie straszidło, ale upiór człowieka, siedziałem ja – i widziałem przed sobą ów sen, niegdy mi opowiadany przez Zosię, który dał jej widzieć kwitnącą różę umarłą w trumnie, u jej stopni dwa goździki braciszki i powój zeschnięty, wijący się koło katafalku.

Tak siedzącego zastał mnie pan Grabowski, wdzięczny mój sąsiad z Myczkowiec, i widząc, co się dzieje, prawie gwałtem zabrał mnie do siebie. U niego to, ciężką umęczony chorobą, przemęczyłem się przez owe kilka tygodni, które były najboleśniejszymi z całego życia mego.

Wzmógłszy się cokolwiek na ciele, powróciłem do Bóbrki. O, jakże mi tam pusto było natenczas! Jakież to były dni moje, jakie noce!

Zrazu mnie poczęli nawiedzać sąsiedzi, myśląc, że mnie potrafią rozerwać i gawędami swoimi moje smutki ukoić; i ja przyjmowałem ich zrazu, i męczyłem się jeszcze i ich przyjmowaniem i traktamentem, i rozmową z nimi – ale wkrótce na bok odłożyłem wzgląd wszelki i zamknąwszy się szczelnie, nie przyjmowałem nikogo. I trawiłem dni całe na modlitwach samotnych, odmawianych na grobach mego ojca, mych niemowląt i Zosi – i wkrótce potem na bóbreckim cmentarzu, naprzeciwko owego nagrobka, przy którym stał anioł kamienny ze złamanym kordem w jednej, a przygaszoną pochodnią w drugiej ręce, stanął drugi nagrobek, przy którym także z białego wykuta kamienia stanęła młoda, piękna niewiasta, z dwiema łzami na oczach i dwojgiem niemowląt na rękach.

I długo, długo to miejsce było najulubieńszym przybytkiem moim. Tam przesiadywałem wszystkie dni letnie i wszystkie wieczory, tam, zawiniony w szubę, przeklezczałem wszystkie ranki zimowe. I Bóg mnie za to pocieszył do tyła, że się przyzwyczaił do mego nieszczęścia.

Czując to, na rok następny przedsięwziąłem sobie, zamiast światowych rozrywek, których gwaru znieść bym był nie mógł na żaden sposób, odwiedzić latem kilka miejsc świętych i stamtąd jeszcze oddać cześć Bogu i pomodlić się za dusze, z którymi wiecznego połączenia jak drugiego raju pragnąłem.

I w tych wędrówkach, na które zawsze szedłem pieszo, a Węgrzynek mój konie za mną prowadził, abym miał na czym powracać, przekrzyżowałem Polskę całą i znano mnie już stąd wszędzie, i dla tej pobożności szanowano tak powszechnie, że nigdy żadnej przygody nie doznał, które onego czasu często się wydarzały podróżnym.

Aż raz... a było to już w trzecim roku tego mojego pielgrzymstwa – wiele rzeczy już się do tego czasu było zmieniło: dziadek staruszek już dawno spoczywał w grobie – pani stolnikowa, z którą wszelkie zerwałem relacje, samotnie dnie pędziła w Żwierniku – Lgocki się był odszukał i po staremu głupio żył na tym świecie – Stojowski, utraciwszy brata i ożeniwszy się, zamieszkał w dąbrowskim zamku – Konopka się ożenił i mieszkał pod Krakowem – Bal się ożenił i piękny dom prowadził w Średniej Wsi – pan Urbański, podstarzawszy się, dawne łowy w Jabłonkach zarzucił i zamieszkał w Komborni – i tylko jeden pan Fredro, po dawnemu na zdradę Włoszki narzekający, samotne życie z końmi swoimi i kilkoma sąsiadami pędził na Hoczwi... otóż wtedy, powracając latem z odpustu z Kalwarii Zebrzydowskiej, kiedy przyjeżdżam do Krosna, staje tłum wielki ludzi przed Franciszkańskim kościołem. Pytam, co by to było? Powiadają, że mnich jeden umarł i diabli go wzięli. Proszę, iżby mi opowiedziano, jako ta rzecz się stała? Powiadają, że umarł, ciało jego złożono w trumnie; nagle z trumny ciało zniknęło o samej północy, a w tymże samym momencie widziano konia czarnego jak węgiel, wylatującego kurytarzami klasztornymi w dziedziniec, z dziedzińca w miasto i za miasto.

– Jakże temu mnichowi było na imię?

Odpowiedział:

– Imię jego Murdelio.

W kilka tygodni potem opowiadano mi ze szczegółami, jako tej samej nocy koń czarny jak węgiel, pomimo drzwi pozamykanych, wpadł do pokojów w żwiernickim dworze. Pani stolnikowa, zbudziwszy się ze snu, krzyknęła, krew ją zalała i umarła, koń zniknął, ale ślady podków końskich niedawnymi laty jeszcze pokazywano powybijane na posadzkach w żwiernickim dworze.

POSŁOWIE

Krytycy i historycy literatury, dawni i nam współcześni, zgodnie orzekli, że *Murdelio* stanowi szczytowe osiągnięcie sztuki pisarskiej Zygmunta Kaczkowskiego. Nie ma powodu do podważania tej opinii. Rzeczywiście, powieść tę czyta się z dużym zainteresowaniem, a jeśli nawet w toku lektury przychodzi stwierdzić niejedną ułomność tekstu, jako rezultat niewydolności artystycznej autora, to przecież skłonni jesteśmy traktować z pobłażliwością mniej udane fragmenty, pamiętając, że najwybitniejszym zdarzało się niekiedy bawić czytającą publiczność pomysłami niskiej, by nie powiedzieć, zupełnie pośledniej próby. Casus Sienkiewicza, o którym Witold Gombrowicz pisał, że był „pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym”, a przy tym „magikiem” i „uwodzicielem” nie jest odosobniony. Gombrowiczowska formuła, pełna intelektualnych antynomii, przylega poniekąd do dzieła Zygmunta Kaczkowskiego, choć późniejszy współzawodnik Sienkiewicza nigdy nie osiągnął popularności autora *Trylogii*. W przypadku *Murdeliona* mamy wszakże do czynienia z powieścią, która zdecydowanie wysuwa się ponad przeciętny poziom beletrystyki polskiej pięćdziesiątych i sześćdziesiątych lat XIX wieku, a także z powieścią, która wytrzymała próbę czasu i do dzisiaj „odślania” swoim czytelnikom wartości pominięte lub niedostrzeżone przez sztafetę następujących po sobie pokoleń. Ale *Murdelio* jest ponadto zabytkiem literatury, a więc dziełem, którego percepcję ułatwia znajomość realiów historycznych epoki, czyli gleby macierzystej autora i dzieła.

Zygmunta Kaczkowskiego (1825–1896) wydała dawna Ziemia Sanocka. Dawna, ponieważ nazwa ta, historycznymi korzeniami zanurzona w średniowieczu, straciła rację bytu w roku 1772, kiedy – na mocy traktatu rozbiorowego między Rosją, Prusami i Austrią – południowo-wschodnie ziemie Rzeczypospolitej przeszły pod panowanie austriackie. Królestwo Galicji i Lodomerii, bo takie miano nadano zaborowi, otrzymało nową administrację, złożoną przeważnie z Niemców lub ziemczych Czechów, która w imieniu Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości zaprowadzała tu nowe porządki. Nie przyjmowały się one łatwo. Szlachta, zwłaszcza osiadła w okolicach górskich i podgórskich, gdzieś koło Sanoka, Krosna, Jasła i Leska, trzymała się dawnego obyczaju, ignorując biurokratyczny motłoch. Hrabia Aleksander Fredro, aczkolwiek tytuł hrabiowski zawdzięczał zapobiegliwemu ojcu, z wielkopańską wyniosłością przyrównywał galicyjskich urzędników do „rasy pudłów albo tybetańskich capów”, a wcześniej nieco Franciszek Karpiński w złośliwym wierszyku poucział:

Insza tu rzecz z Krejshauptmanem.
Ustąpcie; jedzie przez miasto!
Strojny czubno, pętliczasto!
Sama Jejmość, pełna sadła,
Jakby na raz wołu zjadła,
Może ważyć trzy cetnary
Prócz ogromnych cyców pary.

To trwanie szlachty galicyjskiej przy swoim oznaczało również zastój edukacyjny. Zbawienne skutki działalności Komisji Edukacji Narodowej Galicji już nie objęły, a sarmackie ideały społeczne nadal tkwiły w świadomości szlacheckiego ogółu. Nie dziwi zatem, że w Galicji najdłużej, bo do lat niemal pięćdziesiątych XIX wieku, zachowały się relikty Polski kontuszowej, ze wszystkimi implikacjami tego pojęcia.

Ojciec Zygmunta Kaczkowskiego, administrator majątku Fredrów w Cisnej, z humorem uświadamiał swoim gościom, a był wśród nich Wincenty Poi, który słowa te zanotował, status dworu szlacheckiego w Sanockiem roku pańskiego 1846:

Sami nie wiecie, gdzie jesteście. Państwo Ciśniańskie graniczy wprawdzie z Austrią, ale do niej nie należy. Płaci jej podatki, aby się nie troszczyło o interes państwowe, daje rekruta, bo nie chce własnej armii wystawiać, ale zresztą jest niezawisłe i jak tylko podatki płaci i daje rekruta, Niemca nie widzi na oko [...]. Jeśli się zaś jakiś Niemiec pojawił, to ma swoich kowali – a wtedy byłaby to sprawa międzynarodowa.

Znawcy epoki zwracają uwagę na inne świadectwa szlacheckiego separatyzmu w Galicji. Według pamiętnikarskiej relacji Seweryna Łusakowskiego legitymowanie się w Sanockiem paszportem austriackim, obowiązującym w całym kraju, uchodziło za gruby nietakt. Okaziciela takiego paszportu traktowano ze wzgardą. Wśród herbowych znacznie później jeszcze trafiali się ludzie, którzy nie uznawali ani rozbiorów Polski, ani uwłaszczenia chłopów!

Zygmunt Kaczkowski, którego dzieciństwo i młodość przypada na okres rozbudzenia politycznego Galicji po powstaniu listopadowym, w *Moim pamiętniku* powiada, że z osobistego doświadczenia zna typy duchowo wykreowane przez wiek XVIII. Do nich niewątpliwie należał „patriarcha Ziemi Sanockiej”, pan Leska, Ksawery Potocki. Opis jego pogrzebu w kwietniu 1844 roku przynosi ciekawy portret zbiorowy szlachty sanockiej.

Na jego pogrzeb – wspomina Kaczkowski – zjechała się ćma szlachty, że obydwaj rynki miasteczka Leska były nabite wozami i końmi, a niektórym już i tam miejsca nie stało. Szliśmy piechotą na

Posadę, gdzie czcigodny starzec leżał w trumnie otwartej, w czarnym kontuszu z perłowymi guzami. Żał był głęboki i szczery u wszystkich, widziałem starców, którzy rzewnymi łzami płakali; wszyscy to czuli, że duch wyższego lotu, co mieszkał pomiędzy nami, uleciał z ziemi i pokolenia żyjące zostawił w sieroctwie. [...] Pomiedzy tą szlachtą, która tak licznie zjechała się na pogrzeb p. Ksawerego do Leska można było widzieć niezmiennione jeszcze do owego czasu typy z wieku XVIII, bo nowoczesna kultura docierała tutaj tylko wyjątkowo do niektórych rodzin, a ogół szlachty wychowywał się jeszcze według dawnych tradycji i obyczajów. Takie same jędrne i zamaszyste postacie, bardzo wielu ludzi ogromnych wzrostem i z szerokimi barami, nieprzepracowani siłacze i zawołani jeźdźcy na koniach, miny buńczuczne, głosy stentorowe, swada ogromna, strusie żołądki, nieugaszone pragnienie, tylko dawny strój polski zastępowali czamarą, chociaż było jeszcze wielu w starodawnych kontuszach. Było tam dużo drobniejszej szlachty, w krótkich kapotach, z sakwami na koniach, ale także wiele czterokonnych ciężkich powozów, konie duże, ubrane w koce z posrebrzanymi herbami, liberia staroświecka w kapeluszach z lakierowanej skóry. Była jeszcze wówczas szlachta, siedząca, na jednej wsi, która chowała takie zabytki i jeszcze ją stać było na ich utrzymanie. W ogóle ci wszyscy ludzie byli dobrze żywieni, twarze rumiane, humor nieprzebrany, dostatek w ubiorach, konie wierzchowe dobre, zaprzęgi co najmniej dostatnie, zgoła powszechny dobrobyt, bo wtedy wszyscy na swoich wioskach siedzieli, żyli skromnie i hipotecznych długów nie mieli. Ale były to już ostatnie chwile tego starego świata, który jeszcze do owych czasów dociągnął.

Konterfekt ten z powodzeniem mógłby się znaleźć w *Opisie obyczajów za panowania Augusta III* pióra księdza Jędrzeja Kitowicza! Zygmunt Kaczkowski często zresztą dawał do zrozumienia, że o tradycję osiemnastowieczną otarł się osobiście. Do „zabytków XVIII wieku” zaliczał swoją babkę, która pamiętała czasy konfederacji barskiej, i jej brata, który „opowiadał bardzo ciekawe rzeczy z czasów Stanisława Augusta, a mianowicie te tysiące drobnych szczegółów i szczegółików, które tak namacalnie malują ówczesne życie, a których tak trudno doszukać się w książkach”.

Zygmunt Kaczkowski wzrastał zatem w atmosferze konserwatyzmu szlacheckiego. Patriotyzm jego grupy społecznej sprowadzał się do negowania tego, co obce i co nowe, a pielęgnowania tych wartości, które przekazywała tradycja. Kaczkowski podsumował to w następujący sposób:

Przez lat przeszło pięćdziesiąt kraj się bronił inercją. Własnej oświaty nie rozwijał, bo nie miał środków po temu i nie starał się ó nie, ale niemieckiej kultury nie przyjmował, bo była mu wstrętną.

Powyższe zdania warto odczytać w kontekście instrukcji, jaką opracowano w Wiedniu zaraz po wcieleniu części ziem polskich do Austrii, w roku 1772:

Byłoby bardzo do życzenia – czytamy w tym osobliwym dokumencie – ażeby w określonym czasie, to jest roku i dniu nikt prócz chłopów nie ubierał się po polsku. Wszystko powinno być traktowane po niemiecku albo po łacinie, a każdy, kto tylko wstępuje w c.k. służbę, winien być *sub conditione sine qua non* wezwany, aby przyjął strój francuski.

Jak widać, nawet po przeszło pięćdziesięciu latach instrukcja ta nie została w pełni zrealizowana.

Czas jednak robił swoje. Po powstaniu listopadowym nastąpiło znaczne ożywienie polityczne właśnie w Galicji. Stało się to za sprawą uchodźców z Królestwa, którzy znaleźli schronienie w gościnnych dworach galicyjskich ziemian. Bogata dokumentacja tego epizodu historycznego wypełnia karty licznych pamiętników z epoki. Dla naszych celów wystarczy jednak odwołanie się do relacji samego Kaczkowskiego. W *Moim pamiętniku* pisał on:

Natomiast już podczas powstania kraj zaczął się napełniać emigrantami – a w końcu tegoż roku [1831] i w pierwszej połowie roku 1832 było w Galicji daleko więcej polskich żołnierzy, niżeli z niej wyszło. Ruch wtedy w kraju był ogromny, nie było tak odległego kąta w całej Galicji, gdzieby polskich żołnierzy nie było, z których wielu nawet jeszcze mundury nosiło. Smutku z powodu upadku powstania tu ani śladu nie było, owszem bawiono się bardzo wesoło, po wszystkich dworach wyprawiano biesiady, muzyki, śpiewy, tańce i bale – a niejedna wierność małżeńska i cnota panieńska padła wtenczas ofiarą patriotycznego zapędu.

Oczywiście, wkrótce rząd austriacki uznał byłych powstańców za żywioł bardzo niebezpieczny i emigranci w większości musieli opuścić Galicję. Ci, którzy zostali, zrobili jednak swoje. Galicja stała się poligonem patriotycznych działań na rzecz „wyjarzmienia Polski”. Zaczęła się epoka spisków. Seweryn Goszczyński, uczestnik ataku na Belweder w pamiętną Noc Listopadową, tu właśnie konspirował, w nadziei, że niebawem rozpocznie się wojna „o wolność ludów”, o którą na emigracji żarliwie modlił się Adam Mickiewicz. Po latach, w Paryżu, Goszczyński – wspomina Zygmunt Kaczkowski – z dumą wypowiedział następujące zdanie: „Ja podówczas sam przeszło sto spisków zawiązałem w Galicji!” Nie była to czcza przechwałka, choć zasięg owych spisków ocenić należy jako minimalny. Nieudana wyprawa Zaliwskiego, która swoją bazę miała w Galicji, obudziła czujność władz i spowodowała ostre represje wymierzone przeciwko emisariuszom i miejscowym spiskowcom. Ruch patriotyczny nie został jednak zdławiony. Dominantą ideową ciągle zawiązujących się spisków był demokratyzm. Hasło „Wszystko dla ludu i przez lud” głosili rewolucjoniści typu Dembowskiego, Heltmana, Wiśniewskiego i Goslara. Dla szlachty galicyjskiej, w większości usposobionej konserwatywnie, był to program nie do przyjęcia. W kręgu Aleksandra Fredry, a nawet Wincentego Pola propagandę demokratyczną utożsamiano z komunizmem. Najchętniej dyskutowano o wyzwoleniu narodowym bez jakiegokolwiek udziału ludu, a w ostateczności godzono się na działanie według formuły: „Wszystko dla ludu, ale bez ludu”.

Świadomość społeczno-polityczna Zygmunta Kaczkowskiego kształtowała się zatem w czasach bardzo burzliwych i pełnych sprzeczności. Ojciec robił wszystko, by uchronić syna przed złym, jeśli nie zgubnym, wpływem spiskowców. Na jesieni 1835 roku niespełna dziesięcioletniego chłopca umieścił w gimnazjum lwowskim. Rychło miało się okazać jednak, że gubernialny Lwów jest owładnięty przez patriotyczną propagandę, że młodzież rozczytuje się w zakazanej literaturze, że lekceważy swoich nauczycieli, którzy usiłowali ją wychowywać w duchu lojalności wobec władz austriackich. Wtedy to troskliwy rodzic pod błahym pozorem przeniósł syna do gimnazjum przemyskiego. Nie przewidział, że tu również może się on znaleźć pod wpływami niespokojnych spiskowców. Grozą powiało zwłaszcza pod koniec 1839 roku, gdy uczeń z klasy Kaczkowskiego, Justyn Begejowicz, usiłował zamordować komisarza policji Gutha. Ten akt terroru pociągnął za sobą liczne aresztowania. Kaczkowski, który do żadnych spisków nie należał, znalazł się w areszcie domowym. Wkrótce jednak, za poręczeniem ojca, wyjechał w „sanockie góry”. Sprawa nieco przycichła i z nowym rokiem szkolnym Zygmunt rozpoczął dalszą edukację... w Samborze. Podejrzliwie i niechętnie traktowano tam byłych uczniów przemyskich. Nic więc dziwnego, że naszego szóstoklasistę relegowano z gimnazjum. Powodem była dziecinna – jak powiada Kaczkowski – satyra na współuczniów i profesorów. Zaczęły się dłuższe niż zwykle wakacje.

Pół dnia na komu albo na polowaniu – czytamy w pamiętniku autora *Murdeliona* – a druga połowa na biciu się w pałasze, strzelaniu do celu i innych gimnastycznych ćwiczeniach z emigrantami, których u nas nigdy nie brakło, to mi było nie tylko bardzo na rękę, ale przyczyniało się także do rozwoju sił fizycznych, a zarazem do wyrobienia sobie wytrzymałych nerwów, co mi się w moim życiu

późniejszym, gdzie trzeba było niejedną próbę zdrowia wytrzymać, nieraz bardzo się przydało. Przedsiębioraliśmy wówczas częstokroć dalekie wyprawy na Połoniny i przepędzaliśmy tam po kilka dni, nocując przy wielkich ogniskach pod namiotami, zbudowanymi z gałęzi. Polowaliśmy na tych wyniosłych pastwiskach na samy i jelenia, a w niższych sferach na dziki [...]. W dnie słotne czytaliśmy emigracyjne dzienniki i książki, których tutaj mieliśmy pod dostatkiem, lecz częściej szliśmy do wielkiej stodoły i strzelaliśmy tam z pistoletów do tarczy.

Były to, jak widać, zabawy i przyjemności typowe dla szlacheckiej młodzieży, z lekka tylko okraszone zajęciami intelektualnymi, ową lekturą gazet i książek zakazanych, z których z całą pewnością nie wyciągano zbyt daleko idących wniosków, zwłaszcza społecznych. Priorytet szlachty we wszystkim dla Kaczkowskiego był bezdyskusyjny. Uwidoczniło się to wyraźnie podczas jego pobytu w Tarnowie, gdzie ostatecznie umieścił go ojciec dla ukończenia nauki.

W Tarnowskiem, bardziej niż w Galicji wschodniej, rozprzestrzeniła się propaganda demokratyczna uprawiana przez Wiesiołowskich, Chrzastowskich, a także przez Juliana Goslara, którego Poi nazywał niebezpiecznym komunistą, widząc w nim przeciwnika szlachty i zwolennika wszechwładztwa ludu. Kaczkowski podzielał poglądy Pola, choć swemu gimnazjalnemu koledze nie odmawiał „pewnego uroku”, głównie dlatego, że cechowała go „niewzruszona wiara w swoje zasady”. Zasady te charakteryzował jednak chłodno:

Goslar zapisał się wówczas do szóstej klasy w Tarnowie, był zatem moim kolegą. Właściwych spisków pomiędzy nami nie wiązał, tylko tworzył kółka, składające się z pięciu lub sześciu kolegów i na ich zebraniach [...] wykladał filozofię po polsku. Ile te wykłady były warte, wówczas sądzić nie mogłem, pamiętam jednak, że oprócz języka nie było w nich nic polskiego, a była tylko mowa o prawach człowieka, o usamowolnieniu wiejskiego ludu i uszczęśliwieniu ludzkości za pomocą wiecznych rewolucji, aż do takiego czasu, w którym znikną ostatnie ślady jakiegokolwiek nierówności pomiędzy ludźmi.

W Tarnowie zakończył Kaczkowski edukację na poziomie średnim. Myśl o studiach uniwersyteckich zaprowadziła go ponownie do Lwowa. Wytrwał tu tylko rok. Marzył mu się Paryż. Niestety, ojciec z pomysłu wojażu do centrum europejskiej rewolucji nie był zadowolony i ostatecznie na kolejny rok wysłał syna do Wiednia. Zdecydowały zapewne względy pragmatyczne, może widoki na jakiś urząd w administracji państwowej? Ale nic z tego na razie nie wyszło.

Kaczkowski zaniechał studiów i objął gospodarstwo (pod okiem leciwej babki) w dziedzicznej Bereźnicy. Tu zastały go wypadki 1846 roku. Jego ówczesne poglądy polityczne i społeczne można „sprowadzić do kilku zdań, którymi on sam próbował określić stanowisko grona lwowskich kolegów:

Duch, który w tym kółku panował, był gorąco patriotyczny, ale z politycznego punktu widzenia rozsądny i umiarkowany, a w każdym razie nierewolucyjny. [...] Kwestia patriotyzmu, idea wyswobodzenia całej Polski w jej dawnych granicach, obowiązek poświęcenia się dla tej idei nie ulegały pomiędzy nami żadnej dyskusji, bo to się już samo przez się rozumiało i stanowiło nienaruszalną zasadę; dyskutowaliśmy tylko środki, którymi do tego celu dążyć należy i pod tym względem byliśmy wszyscy jednego zdania, że nierozważne zerwanie się do zbrojnego powstania byłoby błędem niedarowanym, że przede wszystkim należy się wzmocnić na siłach i że do tego wzmocnienia się dojść możemy tylko przez uobywatelnienie ludu i rozszerzenie oświaty.

Mój pamiętnik pisał Kaczkowski po roku 1890, a więc u schyłku życia, i trudno dzisiaj osądzić, czy wiernie odtworzył w nim przekonania swego środowiska ideowego sprzed roku

1846. Tak czy owak z wypowiedzi Kaczkowskiego wylania się program prepozytywistyczny: dość jasny, jeśli chodzi o cele i zupełnie mętny, jeśli chodzi o środki realizacji. Jedno jest pewne – młody Kaczkowski nie życzył sobie ani zbrojnego powstania, ani tym bardziej rewolucji socjalnej, która w warunkach polskich, a szczególnie galicyjskich oznaczałaby bezwarunkowe uwłaszczenie chłopów. Ta ostatnia perspektywa dziedzicowi Bereźnicy była niemiła.

O wiele bardziej otwarty okazał się Kaczkowski na nową, romantyczną literaturę, która w czasach jego dorastania i dojrzewania zawładnęła sercami i umysłami galicyjskiej młodzieży. Jako dziecko, w domu ojcowskim, zetknął się z powstańczymi wierszami Seweryna Goszczyńskiego i Wincentego Pola. W obecności obydwu poetów, którzy gościli w Cisnej, deklamowano głośny wiersz *Marsz za Bug*, w którym autor *Zamku kaniowskiego* nawoływał – gdy była pora po temu – do ofensywnych działań wojennych, a także śpiewano popularne, choć nie drukowane jeszcze pieśni Pola *Grzmią pod Stoczkiem armaty* i *Lecą liście z drzewa*. Podczas tego seansu – wspomina Kaczkowski – „wszyscy mieli łzy w oczach”.

Dla patriotycznie nastrojonej młodzieży literatura romantyczna, zwłaszcza nielegalnie kolportowane utwory Adama Mickiewicza, miała bardzo wiele uroku. We Lwowie, w Przemyślu i Tarnowie uważano ją za signum czasu i dla niej zaniedbywano niekiedy lekturę dawniejszych autorów. Niebawem nowe zasady estetyczne zostały przeszczepione na grunt galicyjski.

Wówczas już – wspomina Kaczkowski – i we Lwowie zaczęła się z wolna rozbudzać romantyczna literatura i w przeciwieństwie do dotychczasowych utworów Kamińskich, Chtędowskich, Jaszowskich i Kretowiczów, rozszerzać smak inny i całkiem inne estetyczne pojęcia. Wyszła już wtedy „Ziewonia”, a w niej czytano poetyckie prace obydwóch Borkowskich, Bielowskiego, Magnuszewskiego i innych, w których wiał duch nowy, swobodny i ciepły i zwiastujący nową epokę w naszej literaturze...

W przypadku Kaczkowskiego percepcja romantyzmu nie przebiegała wyłącznie na fali entuzjazmu. W jego środowisku towarzyskim, np. w domu Aleksandra Fredry, gdzie bywał z racji koleżeństwa z synem gospodarza – Olesiem, bardzo krytycznie oceniano niektóre utwory romantyczne, nie oszczędzając nawet *Pana Tadeusza*, któremu zarzucano płaskość i przyziemność.

Wielbiciele klasycyzmu – powiada Kaczkowski – byli zdania, że ten poemat ściąga poezję epicką na poziom tak niski, że na tym cierpi jej godność – a demokraci uważali, że jest ona apoteozą szlachetczyzny i społecznego zastoju, z uszczerbkiem wolnomyślnych idei.

Skrajnie negatywne opinie o nowym kierunku należały jednak do rzadkości. Jako *curiosum* przytacza Kaczkowski zdanie swego ciotecznego dziada:

Raz, kiedy zaszedł do mego pokoju i obaczył Mickiewicza i Goszczyńskiego na stole, dał mi reprimendę, mówiąc: – A -co czytasz? Żaden przyzwoity człowiek nie powinien brać tego do ręki. To są wybryki młodych ludzi źle wychowanych, a kto to czyta, postępuje tak samo, jak gdyby poszedł tańcować do jakiejś szynkowni z lokajami i kucharkami.

W dzienniku lektur młodego Zygmunta Kaczkowskiego znalazły się nie tylko utwory Mickiewicza, Goszczyńskiego, Pola, Magnuszewskiego, Józefa i Leszka Borkowskich, Bielowskiego, później nieco, uwielbianego Rzewuskiego, ale również dzieła twórców europejskich, takich jak Balzac, Aleksander Dumas, George Sand i innych. Można zatem

przyjąć, że młody dziedzic bereźnicki dobrze był zorientowany w tym, co się działo na ówczesnym Parnasie, przy czym stać go było na krytycyzm wobec zacierzewanym wyznawców jednej tylko wiary artystycznej. Najbardziej bał się skrajności. Trzymał się więc środka zarówno w kwestiach polityczno-społecznych, jak i literackich. Udział w powstaniu, które wybuchło w lutym 1846 roku, nie był zatem wyrazem determinacji politycznej Kaczkowskiego, lecz rezygnacji, wedle dość powszechnej w polskiej tradycji zasady, że skoro powstanie już wybuchło, to niegodziwością byłoby niewstąpienie w jego szeregi. I Kaczkowski wstąpił. Wstąpił też jego ojciec Ignacy, którego w żadnym wypadku nie można było pomawiać o skłonności rewolucyjnej. „Jeśli nie można naprawić, to nie trzeba psuć...” – miał powiedzieć doświadczony i trzeźwy pan Ignacy, zgłaszając akces do powstania. Wstąpili również sąsiedzi ze Wzdowa, Ustianowej, Jasienia, Bóbrki, Solinki, Baligrodu, Żernicy i innych miejscowości bieszczadzkich. Postanowiono zdobycie Sanoka. Wyprawa doszła do Zahutyna. Tu, ze względu na coraz większy opór chłopów, zdecydowano odwrót w kierunku Leska.

W tym odwróceniu – zeznał przed sądem Kaczkowski – bratem udział, a ponieważ oddział dążył drogą ku Ciśnie, więc pojechałem do Cisny, gdzie przybyłem do moich rodziców w niedzielę 22 lutego i tam dnia 24 lutego br. zostałem wraz z ojcem moim przez tamtejszych i obcych chłopów napadnięty, poturbowany i do Sanoka odstawiony.

Tak zakończył się powstańczy epizod w życiu Zygmunta Kaczkowskiego. Następstwem tego wydarzenia było śledztwo, sąd, wyrok śmierci przez powieszenie, dwuletnie oczekiwanie w więzieniu na rewizję procesu, uwolnienie na skutek amnestii w roku 1848. Nadszedł czas przemyśleń i gorzkich refleksji. W *Pieśniach z otchłani* czytamy:

Wszakże nie dałeś ni razu. Panie,
Z mieczem wylecieć na pole,
Abym okraślił życia zaranie
Choć jednym szczerbem na czole;
A kiedym z szabli, przodków spuścizny,
Dobyć chciał jedną choć nutę
Do hymnu czynów mojej Ojczyzny:
Kazałeś iść mi w pokutę!

Mniej patetycznie, ale szczerze brzmi apostrofa do szabli (*Miałem ja szablę po ojcach sławną*), w której obecny więzień stanu spowiada się z nierycerskiej postawy w godzinie próby:

Przez cztery wieki bluszcz sławy świętej
W progi wносиła domowe,
Przez cztery wieki, jak duch zaklęty,
Biła najeźdźców na głowę.
Dzisiaj, O! dzisiaj... na srom pra-ojcom
Syn ich nie bitny, nie srogi,
Złamaną w trwodze porzucił zbójcom
Pod obryzganę krwią nogi.

W tekście tym zwracają na siebie uwagę dwie sprawy: apoteoza przeszłości i zawstydzenie terażniejszością, która nawet w wymiarze osobistym nie może dostarczyć satysfakcji, bo przenika ją niemoc i obryzganę krwią widmo zbrodni. Dobrze wiadomo o jaką zbrodnię

chodziło. Ruch, który przeszedł do historii pod nazwą rzezi galicyjskiej albo rabacji chłopskiej, sparaliżował ludzi nie tylko pokroju Zygmunta Kaczkowskiego, a więc ludzi nie wiążących nadziei narodowych z siłą ludu. Obezwładnił on także szczerych demokratów, którzy na ten lud stawiali. Ciężarem winy za przelew krwi bratniej – nie bez racji – obciążono przewrotną administrację austriacką, ale nie zmieniło to faktu, że w świadomości szlacheckiej lud wznosił się do roli demonicznej i kapryśnej siły, która niszczy i z którą niepodobna współdziałać. Krótkotrwała Wiosna Ludów wymusiła wprawdzie zmianę stosunków społecznych na wsi, lecz nie zdołała przeorać mentalności szlachty. Bohaterowie z determinacją Goslara należeli w tym czasie do wyjątków.

Kaczkowski ani z usposobienia, ani z wychowania taką jednostką nie był. W poszukiwaniu wartości pozytywnych zwrócił się zatem ku przeszłości. Znamca jego życia i twórczości – Antoni Jopek – napisał krótko:

Syn szlachecki zląkł się chłopskiego noża i rychło jako artysta wycofał się w bezpieczne regiony sarmackiego historyzmu.

W rzeczy samej, Zygmunt Kaczkowski po wyjściu z lwowskiego więzienia w roku 1848 krótko tylko i bez większego powodzenia miał się pióra dla wyrażenia mową wiązaną i niewiązaną problemów współczesności, bo już w roku 1850 dał się poznać jako autor *Dziedzica Strwiążyka*, powieści osadzonej w czasach rozbiorów. Następny utwór. *Bitwa o chorążankę*, ogłoszony w „Czasie” w roku 1851 rozpoczyna już głośny cykl znany pod nazwą *Powieści ostatniego z Nieczujów*, którego najważniejszym ogniwiem jest właśnie *Murdelio*, wydrukowany w „Gazecie Warszawskiej” w roku 1852, zaś w edycji książkowej rok później.

W połowie XIX wieku beletrystyka historyczna cieszyła się dużym uznaniem. W decydującym stopniu przyczynił się do tego Walter Scott, który słusznie uchodzi za twórcę nowożytnej powieści historycznej. Nowatorstwo Scotta, w porównaniu z dawnymi powieściami pseudohistorycznymi, polegało na przedstawianiu historycznie prawdziwego tła politycznego, społecznego i obyczajowego, na którym rozgrywały się losy fikcyjnych na ogół, ale reprezentatywnych dla danego czasu historycznego bohaterów. Na początku zawrotnej kariery czytelniczej szkocki pisarz sięgał po tematy niezbyt odległe, by koloryt przedstawianej epoki był możliwie autentyczny i świeży. Scott przywiązywał wagę nie tylko do źródeł pisanych, ale także do tradycji ustnej. Podobnie postępował Zygmunt Kaczkowski, wsłuchując się w opowieści ludzi, którzy pamiętali czasy konfederacji barskiej, jak jego babka i cioteczny dziad. Z żywą kroniką rodzin szlacheckich stykał się zresztą pisarz także w innych dworach w Sanockiem.

Innym nurtem literackim, do którego odwoływał się młody pisarz, była rodzima gawęda szlachecka, mająca swoje antecedencje w sarmackim pamiętnikarstwie, zwłaszcza w twórczości Jana Chryzostoma Paska, a na wyżyny sztuki wyniesiona przez Henryka Rzewuskiego, autora *Pamiętek Soplicy* i *Listopada*. Oczywiście, w latach debiutu Kaczkowskiego gawęda stała się podstawowym sposobem wypowiedzi literackiej dla bardzo wielu pisarzy. Uprawiali ją Ignacy Chodźko, Michał Grabowski, Michał Czajkowski i inni. Nastawienie ideowe gawędy szlacheckiej, ze względu na koncepcję bohatera i narratora w jednej osobie, a także ze względu na partykularyzm, któremu hołdowała, było wybitnie zachowawcze, a nawet apologetyczne w stosunku do przeszłości.

Te cechy gatunku bez trudu odnajdujemy w *Powieściach ostatniego z Nieczujów*, a zatem i w *Murdelionie*. Marcin Nieczuja Śląski został uformowany przez kulturę sarmacką i nigdy do niej nie nabrał dystansu. Najlepiej też czuje się w „swoich” sanockich górach.

Ale nie oznacza to, że w przypadku *Murdeliona* mamy do czynienia z formą powieloną, skostniałą. Przeciwnie. Zygmunt Kaczkowski w tym właśnie utworze dał się poznać jako artysta o dużych możliwościach, a nade wszystko jako pisarz otwarty, zdolny do twórczej

syntezy różnoimiennych doświadczeń swojej epoki. W *Murdelionie* przełamują się tradycje, poza już wspomnianymi, powieści grozy, moralitetu, ballady, a także obrazka i powieści realistycznej. Z pozoru wygląda to na eklektyzm. W rzeczywistości *Murdelio* w swej istocie gatunkowej jest stopem wyjątkowo szlachetnym, ewokującym wielorakie wartości. Dla przykładu wystarczy spojrzeć na bohatera tytułowego. Tajemniczy mnich, uosobienie zła, szatan wcielony – postać jakby zapożyczona z głośniejszej i kontrowersyjnej powieści Matthew Gregory Lewisa pt. *Mnich*. A przecież nie o sensacyjność i nie o skandal obyczajowy chodziło Kaczkowskiemu. Kreując *Murdeliona* odniósł się krytycznie do libertynizmu osiemnastowiecznego, którym szlachta sarmacka wyraźnie się gorszyła, ale jednocześnie z oporami i nie zawsze konsekwentnie odrzucał bajroniczny indywidualizm, jako supremację praw jednostki wobec modelu życia ukształtowanego przez zbiorowość.

W ogóle wpisanie w powieść problemów uniwersalnych i egzystencjalnych zbliża ten utwór do czytelnika współczesnego. Spoza osłonek powieści kontuszowej wyłania się bowiem świat ludzi o bujnych temperamentach i wcale bogatym życiu wewnętrznym, ludzi podejmujących dramatyczną walkę o szczęście osobiste, popadających w konflikty, przegranych, ale nie pogodzonych z losem, drapieżnych i uległych, skazanych na poszukiwanie wartości i motywowanie swoich wyborów.

Wróćmy jednak do wcześniejszego wątku rozważań. Tradycyjnie *Murdeliona* traktuje się jako powieść historyczną. Z dzisiejszego punktu widzenia nie jest to kwalifikacja najszczęśliwsza, choć formalnie uzasadniona, ponieważ akcja powieści rozgrywa się przed urodzeniem autora. Znaczący przedmiot, porządkując pole badawcze, umówili się bowiem, że data urodzin autora będzie granicą, która rozdzieli powieść historyczną od powieści współczesnej. Ta wygodna klauzula nie zawsze jest w pełni przydatna. Okazuje się, że w powieściach typu *Murdeliona* Zygmunta Kaczkowskiego czy *Wiernej rzeki* Stefana Żeromskiego ciężar gatunkowy przypisywanej im historyczności niewiele wykracza poza zero. Fakty, które zazwyczaj trafiają do podręczników historii i które pozwalają nam śledzić i rozumieć proces dziejowy we wspomnianych przykładowo powieściach, pojawiają się w proporcjach przewidzianych dla mikroelementów. Nikogo nie trzeba przekonywać że *Wierna rzeka* nawet w najgrubszych zarysach nie odtwarza przebiegu powstania styczniowego, ani jednego ważnego, historycznie sprawdzalnego fragmentu. Na plan pierwszy wysuwają się osobnicze losy bohaterów uwikłanych w historię. Adekwatność podtytułu „klechda domowa” jest zdumiewająca.

Podobnie rzecz się ma z *Murdelionem*. Wiadomo wprawdzie, że akcja powieści rozgrywa się po pierwszym rozbiórze Polski, że narrator i bohater w jednej osobie jest poddanym austriackim, że nowe porządki narzucone mieszkańcom Galicji korygują również jego życie osobiste, ale przecież opowieść o tym życiu skrzętnie pomija wydarzenia interesujące dziejopisów, którzy przyglądają się konstelacjom politycznym. Gdy jednak zwrócimy się w stronę obyczaju, kultury i tej rozległej dziedziny, którą niekiedy nazywamy „życiem codziennym”, to wtedy *Murdelio* jako opowieść historyczna nabiera rumieńców, a wiarygodność podawanych szczegółów nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Zacząć trzeba od topografii. W powieści występują nie tylko autentyczne nazwy miejscowości: Bóbrka, Zabrodzie, Rabę, Jabłonki, Kombornia, Lesko, Sanok, Pilzno, Tarnów i dziesiątki innych, które z łatwością odnaleźć można na mapie, ale również autentyczne nazwiska szlagonów, stanowiących obywatelstwo Ziemi Sanockiej. Więcej. Gdy Marcin Nieczuja Śląski opowiada o swoich peregrynacjach np. na Mazury (tak w owym czasie nazywała szlachta sanocką okolice Tarnowa, Pilzna i Rzeszowa), to pewne jest, że jego opis najpodlejszych w świecie dróg, brudnych zajazdów i karczem, a także dworów, do których się często zajeżdżało na nocleg, ma wartość dokumentu. Mniej dokładny jest natomiast, gdy mu przychodzi zdawać sprawę z pobytu np. na Litwie.

Również w charakterystyce stylu życia szlachty pan Marcin jest bezbłędny: partykularyzm, niewybredne zabawy przy kielichu, pojedynki z byle powodu, sarmacka galanteria wobec kobiet, a wzdarga dla chłopca, którego można palnąć w pysk w przekonaniu, że tak nakazuje odwieczne prawo Boże – oto tylko niektóre tematy Marcinowej opowieści. Subtelnie, stosując mistrzowskie skrót, przedstawia on także sarmacki patriotyzm. Nikt tu oczywiście głośnych deklaracji nie składa i nikt nie dyskutuje o kondycji uciśnionej ojczyzny. Wystarczy, że szlachta zachowuje się tak, jakby Rzeczpospolita nie została okrojona i jakby ona sama pod obcą władzą się nie znajdowała. Jest u siebie i podkreśla to dobitnie. Czasem wobec urzędników cesarskich dopuszczała się wybryków, jak pan Krajewski z Terki, który jednego z nich „kazał za poły sukni gwoździami przybić do ściany”, lub pan Bał, który innemu „dał kilkadziesiąt bizunów na progę”. Nie dziwi zatem, że baron Holmfels i jego dwaj towarzysze podróży obawiali się o swoje bezpieczeństwo, przyjmując gościnę w domu pani stolnikowej Strzegockiej w Zwierniku, oddalonym od Tarnowa o dwie mile. Marcin Nieczuja Śląski, w zastępstwie gospodyni, musiał uspokajać i pouczać wahających się gości:

Tymczasem mogę wam to zaręczyć – mówił – że w jakikolwiek dom w tym kraju zaproszeni wstąpicie, możecie być pewni, że wam i włos z głowy nie upadnie; nawet gdyby kto obcy napaść was chciał pod strzechą, to tylko po trupie gospodarza mógłby was osiągnąć.

Nakaz gościnności nie likwidować jednak, uprzedzeń. Przypomnijmy scenę prezentacji:

Kiedyśmy weszli, wiodę ja tych gości wprost przed kanapę, aby ich prezentować gospodyni; ale najpierwszy zaraz dziadek wstał, rękę po staremu przyłożył do czoła, spojrzał na nas i zaraz czapeczkę swoją wziął pod pachę i odszedł. Lgocki zaś, obaczywszy ich, parsknął od śmiechu mówiąc:

– Hi, hi, hi! Niemiec.

Pani stolnikowa się także nie lepiej znalazła, bo niebawem po prezentacji wyszła do innych pokojów; panienki, przypatrzywszy się cudzoziemcom i ich ubiorom, także się powysuwały, za nimi zaraz Konopka; Lgocki stał jeszcze jaką chwilę i oglądał harcapy z bliska i trzewiki, i sprzączki, ale i ten, parsknąwszy kilka razy, odszedł; wszystkie więc obowiązki gospodarskie zostały się na mnie. Gniewało mnie to – skarży się dalej pan Marcin – ale zresztą trudno się było gniewać; lat temu już kilkadziesiąt i takie to jeszcze przesądne były natenczas zdania i uprzedzenia.

Znawca stosunków galicyjskich po pierwszym rozbiórce Polski nie bez podstaw mógłby zakwestionować prawo do uogólnienia tej sceny. Zdarzały się bowiem, niestety, liczne przypadki serwilizmu zamożniejszej szlachty polskiej, która dla rzeczywistych, a nawet iluzorycznych korzyści własnych zachwalała austriackie porządki, zwłaszcza gdy rysowała się możliwość postawienia przed swoim nazwiskiem tytułu hrabiego albo barona, na co nie zezwalał dawny egalitaryzm stanowy.

Kaczkowski wiedział o tym aż nadto dobrze i dlatego w obrębie tego samego wątku pozwolił czytelnikom poznać mechanizmy przełamania narodowego partykularyzmu. Najbardziej otwarty pan Marcin Mieczuja skorzysta niebawem z pomocy barona Holmfelsa, uznając, że pomocy udziela szlachcic szlachcicowi. Natomiast panna Zuzanna, starsza córka stolnikowej Strzegockiej, bez żadnych skrupułów odrzuci pocziwego szlachcica Konopkę i wyjdzie za mąż za Niemca. Narrator Zuzannie wystawia ocenę ujemną i czynu jej nie pochwała, co generalnie może oznaczać dezaprobatę dla serwilizmu. Fakt pozostaje jednak faktem. Widzimy zatem, że Kaczkowski przedstawiał zjawiska historyczne w ich dynamice rozwojowej, a mimo to trudno uznać, że jest to najważniejszą, dominującą warstwą jego dzieła. Dzieje się tak dlatego, że bardziej od tła dziejowego, nawet w swym obyczajowym wymiarze, interesuje go pojedynczy człowiek i jego kondycja egzystencjalna.

Pomińmy na razie postać tytułową, która zresztą w powieści pojawia się późno we wzmiankach i relacjach Marcina Nieczui i dopiero pod koniec odgrywa bardziej samodzielną rolę. Ważniejszą osobą jest tu ów Marcin Nieczuja Śląski, niezbyt słusznie, jak sam powiada, nazywany skarbnikowiczem.

Ten szlachecki urząd ziemski – jeden z najniższych w dawnej Polsce – miał w XVIII wieku charakter wyłącznie tytułarny i można go było kupić za małe pieniądze, co poświadcza w swoim *Pamiętniku* nieoceniony Jan Duklan Ochocki.

Otóż do naszego skarbnikowicza, za sprawą krytyków i historyków literatury, przyłgnęła etykieta szlagona, niewykształconego i prymitywnego „owsianego” szlachcica z Sanockiego, który nie umie i nie chce wyzwolić się z więzów staroświeckiego obyczaju i przez to staje się piewą odchodzącego świata, który budzi naszą sympatię tylko dlatego, że odchodzi. W tej supozycji jest wiele prawdy.

Pan Marcin, jak wiemy, szkół nie kończył, wyjąwszy kilkuletnie „studia” pod okiem księdza Dutkiewicza, wiedzy książkowej nie posiadał i nie cenił jej należycie, a stylem życia przypominał statystycznego szlachcica, który za kołnierz nie wylewał i z byle powodu, a nawet bez powodu chwycił za szablę, by naznaczyć kreską kompana, z którym przed chwilą trącał się przyjacielsko kielichem.

Antoni Jopek – autor najnowszej monografii Zygmunta Kaczkowskiego – tak charakteryzuje pana Marcina:

Zdumiewa swoją płytkością intelektualną, brakiem jakichkolwiek szerszych zainteresowań. [...] Nie przestrzega zasad kodeksu honorowego wobec ludzi innej niż szlachecka kondycji. [...] Nie zna się nawet na prawie, mimo że trudno wyobrazić sobie w owej epoce szlachcica nie uwikłanego w procesy. Nie interesuje go gospodarstwo.

Ten surowy werdykt trzeba nieco złagodzić. Pan Marcin – wbrew pozorom – nie jest pustym „czerepem rubasznym”, jakby powiedział Juliusz Słowacki. Natura obdarzyła go wysoką inteligencją. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Mimo niedostatków wykształcenia książkowego porozumiewał się dobrze po łacinie, a nawet po francusku. Nie znał tylko niemieckiego, głównie z powodu niechęci do austriackiego zaborcy. Pan Marcin posiada także pewne obycie literackie. Cytuje Wergiliusza, Cyncerona, Kochanowskiego, poprzestając wprawdzie na sentencjach obiegowych, ale trafnie wkomponowanych w teksty oracji, zbudowanych według najlepszych wzorów retorycznych.

Nie można mu też zarzucić nieznajomości prawa. Kiedy trafił do więzienia w Tarnowie i stanął przed komisją śledczą, owszem, wykręcał się nieznajomością prawa austriackiego, co nie oznacza, że nie orientował się w prawie polskim. Prawdą jest, że pan Marcin ma usposobienie zachowawcze, konserwatywne, że pochwała to, co ma oparcie w tradycji rodzinnej i sąsiedzkiej, że jego pobożność często trąci bigoterią, ale jednocześnie nie jest to człowiek ciemny, przyjmujący bez zastrzeżeń – jak wyrok losu – wszystkie nakazy dawnego obyczaju.

W tym miejscu warto przypomnieć historię jego starań o rękę Zosi – młodszej córki pani stolnikowej Strzegockiej. Wpadła mu ona w oko przy pierwszym spotkaniu. Rychło też przekonał się, że panna sprzyja mu wyraźnie i dlatego nie zwlekając poprosił matkę o jej rękę. Pewny był dobrego przyjęcia, bo – jak sądził – ród Nieczujów sroce spod ogona nie wypadł, a i pani stolnikowa dotąd darzyła go sympatią. Niestety, dostał rekuzę. Ta nieoczekiwana odmowa uraziła go bardzo, co prędzej opuścił dwór stolnikowej, ale myśli o poślubieniu Zosi nie zaniechał. Sprzeciwiania się woli rodzicielskiej tradycja nie uznawała. Pan Błoński z Berezki, człowiek stary i doświadczony, radził odstąpienie do zamiaru i pogodzenie się z losem.

Owe szaleństwa za kobietami – słowa pana Błońskiego – owe wzdychające miłości zostaw już Francuzom i Włochom. To ich rzemiosło. Polakom, których umysł z natury stateczny i których serce do wyższych daleko rzeczy niż marna kobieta wzniesione, taka rozrywka nie przystoi, ale może być, bardzo wierzę, ale na to jest rada. Wytnij trochę, popracuj, zabaw się książkami, wzmocnij i otrzeźwij umysł jaką poważną nauką, a kiedy de to trochę zmęczy i znów wyjedziesz pomiędzy ludzi, to ci się znowu inna spodoba panna.

Rady pana Błońskiego nieszczęśliwy Marcin skwitował melancholijnym zdaniem:

Ale jeżeli to lichy rozum jest, który cudzej potrzebuje porady, to nierównie lichszy jest ten, który w miłości idzie się radzić ludzi starych, którzy już dawno zapomnieli, co miłość.

Pan Marcin miłości się nie zaparł, ale na miłość szaloną sobie nie pozwolił. Nie wykradł panny, jak mu doradzał Murdelio, a poznawszy historię życia fałszywego mnicha, w rzeczywistości Ignacego Piotrowicza, zdobył się na surową ocenę jego postępowania. Nie, płaskim i bezrefleksyjnym człowiekiem Marcin Nieczuja Śląski nie był. Dość wyraźnie przerasta on swoje środowisko, posiada wiele cech indywidualnych, oczywiście, dobrych i złych, i dzięki temu łatwo go rozpoznać, w szlacheckim tłumie.

Złożoną problematykę ludzkiej egzystencji poznajemy jednak nie poprzez Marcina Nieczuję, lecz poprzez tytułowego Murdeliona i jego wybrankę, panią stolnikową Strzegocką. Kreując te postacie Kaczkowski nie był skrupowany, jak w wypadku pana Marcina, wyznaczoną im rolę społeczną. Żyją one bowiem jakby poza społeczeństwem, burząc przyjęty przez to społeczeństwo porządek etyczno-moralny.

Ignacy Piotrowicz, który na jakiś czas przywdział habit i nazwał się Murdelionem (od herbu Piotrowiczów), jest uosobieniem zła, a w przekonaniu zabobonnej szlachty uchodzi za diabła wcielonego. Istotnie, młodość jego nie była budująca. Sumienie obciążają mu gwałty, zbrodnie, bestialstwa. Z perspektywy czasu postępowanie młodego Piotrowicza wydaje się rezultatem złego wychowania, sprzecznego ze staropolskim kanonem etycznym, rezultatem osiemnastowiecznego libertynizmu. Sprawa nie jest jednak tak prosta. Młody panek otrzeźwiał, a przyczyną jego przemiany była miłość do córki stryja – Wita Piotrowicza.

Najpewniej dzieje porywczego młodzieńca potoczyłyby się inaczej, gdyby nie upór starego Piotrowicza, który odmawiając ojcowskiego błogosławieństwa zakochanym, złamał mu życie. Nie tylko zresztą jemu, ale i córce, bo przecież cierpienie w równym, a może w wyższym stopniu dotknęło także dziewczynę. Pojawił się dylemat iście romantyczny: co ważniejsze, czy uświęcone tradycją prawo ojca do decydowania o losie dziecka, czy prawo do nieskrępowanej miłości. Ignacy Piotrowicz vel Murdelio jak schillerowski zbójca porywa pannę i jak nieokiełnany bohater Byrona obraca mściwą rękę przeciwko ojcu dziewczyny, nie bacząc, że potępi go opinia szlachty całego powiatu oszmiańskiego.

Osamotniony Murdelio przegrywa, panna z dzieckiem pod sercem wraca do domu i wkrótce zostaje wydana za innego mężczyznę. W powieści poznajemy ją jako czterdziestoletnią kobietę, wdowę, matkę dwóch dorosłych córek. Zdawać by się mogło, że po dawnej namiętności pozostał tylko popiół, że pani Strzegocką jest wystygłą matroną, której nie są w stanie poruszyć zakłęcia starzejącego się amanta. A jednak, gdy Murdelio porywa ją po raz drugi, bynajmniej nie boleje z tego powodu, a nawet jest niezadowolona z ingerencji obrońców jej czci.

Honoriusz Balzac w powieści *Kobieta trzydziestoletnia* ośmielił się dostrzec problemy kobiety, która według ówczesnych mniemań właśnie po trzydziestce wkraczała w smugę cienia i na bohaterkę romansu się nie nadawała. Kaczkowski poszedł dalej. Pani stolnikową, mimo lat czterdziestu, nie rezygnuje ze szczęścia osobistego. W jej postawie daje się wyczuć bunt przeciwko najbliższym: ojcu, córkom, przed którymi musi kryć się ze swoimi nadziejami i oczekiwaniami, ze swoimi złudzeniami.

Wypowiedziane i niewypowiedziane racje Murdeliona i jego wybranki narrator – Marcin Nieczuja Śląski – odrzuca. Odrzuca je także Kaczkowski, który zdaje się polemizować w tej powieści z romantykami, z ich pojęciami wolności i ich wizją miłości. Ale niezgoda na skrajny indywidualizm i na lekceważenie tradycji, w tym wypadku tradycji sarmackiej, nie jest równoznaczna z obojętnością i z brakiem współczucia dla mimo wszystko zagubionych i nieszczęśliwych kochanków.

Doczytując ostatnie karty powieści napisanej przed blisko stu pięćdziesięciu laty wypada stwierdzić, że nie zestarzała się ona zupełnie i ze względu na swoją dyskursywność, bogactwo pytań w każdej epoce aktualnych, i ze względu na rzetelność w przedstawianiu realiów epoki zanurzonej w historię.

Z ważniejszych prac wykorzystanych i cytowanych w niniejszym *Posłowie do Murdeliona* wymienić należy:

Zygmunt Kaczkowski, *Murdelio. Powieść ostatniego z Nieczujów*, „Gazeta Warszawska” 1852–1853; wyd. osobne: t. I–II, Petersburg 1853; wyd. następne:

Ostatni z Nieczujów. Powieści, t. I–VI, Petersburg i Mohylew 1853–1855 (*Murdelio* wypełnia t. II i III); *Dziela...* przejrzone i poprawione przez autora, t. I–XI, Warszawa 1874–1875 (*Murdelio* znajduje się w t. II). Po śmierci Z. Kaczkowskiego *Murdeliona* wznawiano wielokrotnie. Z ważniejszych edycji wymienić należy: Z. Kaczkowski, *Murdelio*, opracował Z. Szweykowski, BN seria I nr 84, Kraków 1925;

Kraków 1959, posłowie A. Jopek; Kraków 1974 (niniejsze wydanie wg tej edycji).

Zygmunt Kaczkowski, *Mój pamiętnik z lat 1833–1844*, Lwów 1899.

Zygmunt Kaczkowski, *Pieśni z otchłani 1846*. Z rękopisu wydał i przedmową poprzedził W. Bruchnalski, Lwów 1920.

Piotr Chmielowski, *Zygmunt Kaczkowski (w:) Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie*, Kraków 1887.

Adam Krechowicki, *Zygmunt Kaczkowski i jego czasy*. Lwów 1918.

Zygmunt Szweykowski, Wstęp (do:) Zygmunt Kaczkowski, *Murdelio*. Oprac.... Kraków 1925, BN seria I nr 84.

Antoni Jopek, *Bard szlachty sanockiej. Opowiadania i powieści historyczne Zygmunta Kaczkowskiego*, Kraków 1974.

Stanisław Grodziski, *W królestwie Galicji i Lodomerii*. Kraków 1976.

CZESŁAW KŁAK